

NOX  
Sensacja

ROBERT MASELLO

# KRZYŻ

## ROMANOWÓW



Opowieść grozy, thriller medyczny i powieść historyczna w jednym.  
Od pierwszych stron czujemy dreszcz nadciągającej katastrofy.

„Kirkus Reviews”

Feeria

**Masello Robert**

**Krzyż Romanowów**

*Dla Chucka, mojego kuzyna i przyjaciela, człowieka obdarzonego największą  
inwencją spośród wszystkich ludzi, jakich znam.*

*Z wyrazami wdzięczności i przywiązania*

## Prolog

Cieśnina Beringa, 1918

- Siergiej, nie umieraj - mówiła dziewczyna w odkrytej łodzi, odwracając się w jego stronę. - Zabraniam ci umierać. - Miała nadzieję, że głos jej nie zadrży, ale nie udało jej się nad nim zapanować.

Gdy próbowała wyciągnąć do niego rękę, odsunął się, zbieleńcami palcami wciąż kurczowo trzymając się rumpla.

- Nie, nie - wykrztusił, cofając się z przerażeniem. - Nie dotykaj mnie.

- W oczach miał szaleństwo, a młody zarost na bladych policzkach znaczyły plamki krwi i drobiny piany. - Musisz tam dopłynąć - dodał, pokazując drżącym palcem punkt ponad dziobem łodzi. - Tam! - powtórzył, domagając się od Any, upartej nastolatki, która nigdy w życiu nie odpowiadała za nic poza wyborem własnych sukienek, aby się odwróciła i zrobiła to, co jej każe niewiele od niej starszy chłopak ze wsi.

Niechętnie spojrzała w tamtą stronę, słysząc nad głową łopot podartego żagla, i w oddali, za obłokiem mgły, ujrzała wynurzający się z morza niewyraźny zarys ciemnej, niedostępnej wyspy. Z łodzi wyspa wyglądała jak zaciśnięta pięść, otoczona zwiewną szarą bransoletą. Ana nigdy nie widziała bardziej nieprzyjaznej ziemi.

- Szukaj ognisk - wychrypiał. - Na pewno zapalili ogniska.

- Ale sama nie mogę. Musisz płynąć ze mną.

Siergiej pokręcił głową i zakaszłał tak mocno, że pomiędzy palców pociekła krew. Spojrzał zaszkłonym wzrokiem na poplamioną dłoń i szepnął:

- Niech cię Bóg chroni, maleńkaja.

Po czym spokojnie, jak gdyby przewracał się w łóżku na drugi bok, przechylił się przez burtę i runął w lodowatą toń cieśniny.

- Siergiej! - krzyknęła, rzucając się w stronę rufy tak gwałtownie, że niewiele brakowało, by łódź obróciła się do góry dnem.

Ale już odpłynął, a poły jego futra z fok wydeły się i rozpostarły jak szeroko rozłożone skrzydła nietoperza. Przez kilka sekund unosił się na falującej powierzchni, aż ciężar ciała, ubrania i butów pociągnął go w dół. Na wodzie pozostał tylko zwiędły, zamrożony bławatek.

Na ten widok zebrało jej się na płacz.

Została w łodzi sama - sama na całym świecie - a rumpel zaczął się gwałtownie chybotać na boki z przeraźliwym piskiem, głośniejszym od krzyku latających we mgle mew. W zakamarkach serca, gdzie przechowywała już pamięć o tylu zmarłych, teraz będzie się musiało znaleźć miejsce i dla Siergieja.

Ilu jeszcze będzie miała tam złożyć?

Przeszła przez oblodzoną ławkę i przycupnęła na małym drewnianym siedzisku przy sterze. Mokre futro ciążyło jej jak zbroja. Mimo że otuliła głowę kapturem, wiatr smagał jej twarz śniegiem, deszczem i kropelkami morskiej wody. Ale przynajmniej popychał łódź w kierunku wyspy. Rękawiczki były sztywne jak sople i z wielkim trudem udało jej się owinąć szot wokół nadgarstka, tak jak to widziała u Siergieja. Drugą ręką mocno chwyciła rumpel. Łódź cięła fale, unosząc się i opadając, unosząc się i opadając. Mgła spowijała ją jak całun, a Ana była tak wyczerpana, zziębnięta i głodna, że popadła w rodzaj otępienia.

Pomyślała o swoim ogrodzie w Carskim Siolu, prywatnej enklawie pod Sankt Petersburgiem, gdzie hodowała róże, i wróciła pamięcią do przyjęcia, które rodzice wydali z okazji jej piętnastych urodzin. Było to zaledwie przed dwoma laty, zanim jej życie z kolorowego snu zmieniło się w koszmar. Dziś miała wrażenie, jakby to wszystko nigdy się nie zdarzyło. Pomyślała o siostrze, od której dostała tomik wierszy swojego ulubionego poety - Puszkina - o młodszym braciszku siedzącym na kucyku oraz o trzymającym wodze konika Nagornym, nieokrzesanym marynarzu, który stał się jego nieodłącznym sługą.

Ojciec w wojskowym mundurze, sztywno wyprostowany, stał na werandzie, trzymając matkę za rękę.

Nagle fala rozbryznęła się jej na twarzy i lodowata woda pocięła po szyi za kołnierz futra. Ana wzdrygnęła się; rumpel omal nie wyslizgnął jej się z dłoni, a lina od żagla wrzynała się w przegub niczym opaska uciskowa. Buty były śliskie od lodu, w chorej nodze zupełnie straciła już czucie.

Pamiętała też jednak stojącego za matką i górującego nad nią mnicha o niesamowitych oczach i długiej splątanej brodzie. Wysadzany kamieniami krzyż, który nosił na sutannie, miała teraz na szyi, ukryty pod gorsetem i futrem; chronił ją długo, tak jak obiecywał mnich, ale teraz wątpiła, czy nawet ten krzyż potrafi ją ocalić.

Zbliżając się do brzegu, łódź zaczęła się miotać jak koń usiłujący zrzucić jeźdźca z grzbietu, Ana musiała więc wyteńczyć siły, by utrzymać się na rufie. Warstwa wody z lodem w kadłubie łodzi sięgała już kilkunastu centymetrów i przelewała się przez zamrożone resztki zapasów.

Wiedziała, że jeśli jeszcze dziś nie przybije do brzegu, na pewno skończy w lodowatych odmętach morza jak Siergiej. Mewy i rybołowy krążyły nad nią na tle stalowoszarego nieba, szyderczo krzyżąc.

Ściągnęła szot i łódź niebezpiecznie się przechyliła, tnąc wzburzoną wodę. Była już na tyle blisko, by zobaczyć porzrucane na plaży głązy, a tuż za nimi ścianę gęsto rosnących drzew, przykrytych śniegiem. Ale gdzie obiecane przez Siergieja ogniska? Wierzchem rękawa starła z oczu słoną wodę - zawsze cierpiała na krótkowzroczność, ale zgubiła okulary tam, gdzie była ze swoją rodziną, tam, gdzie...

Nie, nie mogła o tym myśleć. Musiała się powstrzymać od powracania pamięcią do tego miejsca... zwłaszcza teraz, gdy jej życie znów zawisło na włosku.

Tuż nad dziobem łodzi śmignął rybołów, potem zawrócił i przeleciał obok skrzypiącego masztu. Podążając za nim wzrokiem, na klifie przed sobą ujrzała migocący płomień wysokiej jak drzewo pochodni.

Zmrużyła oczy i zobaczyła następny ogień.

Serce zabiło jej otuchą.

Rozległ się chrzęst, gdy niesiona falą łódź otarła dnem o ławicę ostrych kamieni i muszli. Ana puściła linę, a uwolniony żagiel załopotał z trzaskiem głośnym jak wystrzał. Ściskając rumpel w skostniałych w zimna dłoniach, czuła, jak łódź podskakuje i szoruje o mokry piasek i kamyki, by wreszcie, gdy cofnęła się fala przyboju, osiąść na dnie.

Ledwie mogła się ruszać, wiedziała jednak, że jeśli się zawaha, może nadejść następna fala i zabrać ją z powrotem na otwarte morze. Musiała wykrzesać z siebie resztki sił, by przedostać się na dziób i stanąć na wyspie.

Niepewnie wstała - lewa stopa była zdrętwiała jak kłoda - i ciężkim krokiem ruszyła naprzód przez pokład kiwającej się i skrzypiącej łodzi, przechodząc przez drewniane ławki. Zdawało jej się, że słyszy potężne uderzenie dzwonu, które odbija się echem od kamieni i drzew. Dotknęła miejsca na piersi, gdzie ukryty był krzyż, i zmówiła modlitwę dziękczynną do świętego Piotra za to, że zbawił ją od złego.

A potem, omal nie tracąc równowagi, weszła do wody - której błyskawicznie nalało jej się do butów - i chwiejnym krokiem wyszła na plażę. Potykała się i ślizgała na mokrych kamieniach, z mozołem pokonała kilkumetrowy pas piasku i dopiero wtedy osunęła się na kolana. Klęczała z pochyloną głową, jak gdyby czekając na cios topora, i ciężko dyszała, z trudem łapiąc oddech. Nie słyszała nic oprócz chrzęstu lodu w swoich włosach. Ale żyła i tylko to się liczyło. Przetrwała wędrówkę przez zamarznąłą tundrę, podróż przez morze...

wszystkie okropności w domu z pobielonymi oknami. Dotarła na inny kontynent, a teraz, patrząc w głąb plaży, dostrzegła w półmroku jakieś ciemne postacie biegnące w jej stronę.

Tak, przybywali jej na ratunek. Siergiej mówił prawdę.

Gdyby miała więcej sił, zawołałaby do nich, pomachała ręką.

Ale straciła czucie w rękach i nogach i nie umiała powstrzymać szczękania zębami.

Ciemne sylwetki poruszały się tak szybko i nisko, że nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Nagle jej serce ściał jeszcze większy chłód. Zorientowała się, czym naprawdę są biegnące postacie.

Gwałtownie odwróciła się w stronę łodzi, ale fala już ją zabrała i żagiel zniknął we mgle.

Czyżby dotarła tak daleko... żeby spotkało ją coś takiego?

Przerażona patrzyła w głąb ciemniejącej o zmierzchu plaży, widząc płonące pomarańczowym blaskiem żarłoczne oczy i energicznie poruszające się barki. Przez piasek i kamienie galopowało w jej stronę stado wilków.

# Rozdział 1

Khanashin

Prowincja Helmand, Afganistan

- Dobrze się pan czuje, majorze?

Slater wiedział, jak wygląda, i wiedział, dlaczego sierżant Groves zadał to pytanie. Tego ranka połknął garść tabletek, ale gorączka wróciła. Wyciągnął rękę, aby oprzeć się o maskę dżipa i nie stracić równowagi, ale zaraz oderwał dłoń. Blacha była rozgrzana jak piekarnik.

- Będę żył - odparł, wycierając opuszki palców w spodnie moro. Tego dnia rano odwiedził bazę marines i patrzył, jak zabierano helikopterem kolejnych dwóch ludzi; obaj byli jedną nogą w grobie i nie wiedział, czy przeżyją. Mimo zastosowania wszystkich rutynowych środków ostrożności, malaria, którą sam zaraził się rok wcześniej podczas misji w Darfurze, zdziesiątkowała obóz. Na miejsce wysłano więc jego, majora Franka Slatera, lekarza Armii Stanów Zjednoczonych i epidemiologa, żeby wymyślił, co jeszcze można zrobić, by zaradzić trudnej sytuacji - i to szybko.

Pola ryżowe, na które właśnie patrzył, stanowiły główną wylęgarnię śmiercionośnych komarów, a baza, nie dość, że została zbudowana tuż obok, to jeszcze znajdowała się dokładnie po ich nawietrznej stronie. Nocą, gdy owady wyruszały na żer, całe ich roje unosiły się z pól i spadały na baraki, stołówkę i wieże strażnicze. Kiedyś w dolinie Eufratu Slater widział tak gęsty obłok owadów, że przez pomyłkę wziął go za burzową chmurę.

- To jak chce pan to zrobić? - zapytał sierżant Groves. Afroamerykanin, twardy i surowy jak ulice Cleveland, z którego pochodził („kiedy stamtąd wyjeżdżałem, produkowaliśmy tylko sople” - powiedział kiedyś Slaterowi), zawsze wyrażał się zwięźle i zdecydowanie. - Opryskać bagna, czy przenieść bazę?

Slater właśnie się nad tym zastanawiał, gdy jego uwagę zwróciło dwoje ludzi z objuczonym mułem, brnących przez pole ryżowe - dziewczynka w wieku dziewięciu czy dziesięciu lat i jej ojciec. W Afganistanie prawie wszyscy narażeni byli na malarię, chorobę tak powszechną jak gdzie indziej grypa, i w ciągu pokoleń albo umierali, albo wykształcali w sobie podstawową odporność. Często chorowali, ale nauczyli się z tym żyć.



Młodzi Amerykanie, którzy przyjechali tu prosto z farm w Wisconsin czy górskich miasteczek w Kolorado, nie radzili z nią sobie jednak aż tak dobrze.

Dziewczynka prowadziła muła, a ojciec przytrzymał wielkie kosze ziarna, zawieszane na jego chudym grzbiecie.

- Zajmę się tym - oznajmił szeregowy Diaz, zeskakując z fotela kierowcy w dziupie. W rękach ścisnął już M4. Na Bliskim i Środkowym Wschodzie żołnierze szybko się uczą, że nawet najbardziej niewinny widok może być ostatnim, jaki mają w życiu przed oczami. W koszach można ukryć materiały wybuchowe. Muł może być bombą zegarową. Nawet dzieci bywają wykorzystywane przez dżihadystów jako przynęty albo składane w ofierze. Podczas poprzedniej misji Slater musiał przeszukiwać gruzyską szkołę dla dziewcząt w prowincji Kandahar, gdzie udający woźnego talib wjechał prosto do klasy motocyklem obwieszonym materiałami wybuchowymi.

- Bóg jest wielki! - wrzasnął radośnie fałszywy dozorca, a chwilę później posłał wszystkich na tamten świat.

Przez ostatnie dziesięć lat Slater prawie codziennie oglądał śmierć w różnych postaciach, ale nadal nie wiedział, co jest gorsze - fakt, że jeszcze mogła go szokować, czy to, iż na ogół przestał już na nią reagować. Często się zastanawiał, jak twarde może stać się ludzkie serce. Jak twarde musi się stać.

Dziewczynka patrzyła na niego ciemnymi oczyma spod chusty, którą miała na głowie, wyprowadzając muła z pola na nasyp drogi. Jej ojciec smagnął zad zwierzęcia pustą trzcina. Szeregowiec, mierząc do nich z przewieszzonego przez ramię karabinka, kazał im się zatrzymać. Znał po arabsku zaledwie kilka słów, ale gesty ręki i naładowana broń to język, który każdy rozumie.

Slater i Groves - jego prawa ręka w każdej misji, od Iraku po Somalię - obserwowali podchodzącego do przybyszów Diaza.

- Otworzyć kosze - rozkazał, pokazując ręką, o co mu chodzi. Ojciec wydał polecenie córce, która uchyliła wieko jednego kosza i czekała, aż żołnierz zajrzy do środka.

- Teraz drugi - powiedział Diaz, okrążając opuszczony łeb muła.

Dziewczynka wypełniła rozkaz i stanęła obok kosza, a Diaz wetknął lufę w ziarno.

I gdy Slater już miał mu rozkazać, żeby pozwolił im odejść - czy to był jego sposób na zdobycie przychylności tubylców? - z kosza jak błyskawica wyskoczyła jasna opalizująca wstęga i trafiła dziewczynkę prosto w twarz. Dziecko upadło jak rażone piorunem, wijąc się u stóp szeregowca, który odskoczył zdumiony.

- Jezu, Jezu - powtarzał żołnierz, bezsensownie mierząc z karabinu do rzucającego się w drgawkach ciała dziewczynki. - Żmija!

Ale Slater już to wiedział i zanim ojciec zaczął lamentować, biegiem ruszył w jej stronę. Wąż nadal zatapiał zęby w jej policzku, sącząc w nią jad i miotając się wściekle na wszystkie strony. Slater wyszarpnął z pochwy nóż, którym zwykle wycinał próbki tkanek z zarażonych zwłok, a drugą ręką próbował złapać ogon żmii. Dwa razy cętkowana, twarda jak stal skóra wyslizgnęła mu się z palców, ale za trzecim razem udało mu się chwycić ją mocno, naprężyć i przeciąć kręgosłup. Połowa węża odpadła w strudze krwi, ale szczęki nadal zwierały się w śmiertelnym ukąszeniu.

Oczy dziewczynki były zamknięte, jej ręce i nogi dygotały. Dopiero gdy przytrzymały ją szerokie dłonie Grovesa, Slaterowi udało się ścisnąć łeb zdychającej żmii i wyciągnąć zęby z rany. Język węża wciąż trzepotał, ale żółte oczy zaczęły przygasać. Slater ścisnął mocno, aż język się uspokoił, a oczy zupełnie straciły blask. Cisnął truchło z nasypu, a Diaz wpakował w zwinięte ciało gada serię z karabinu, wrzucając je do mętnej wody.

- Daj moją torbę! - wrzasnął Slater i Diaz pobiegł do dziupa.

Graves - krzepki jak futbolista, lecz delikatny jak pielęgniarka - kucnął przy dziewczynce, oglądając ranę. W policzku były dwa długie nacięcia, na śniadej skórze czerwieniły się smugi krwi. W jej żyłach płynął już jad, jeden z najsilniejszych w świecie zwierząt.

Ojciec dziewczynki kołysał się na obutych w sandały nogach, modląc się głośno i krzycząc. Nawet muł zaryczał w panice.

Diaz podał Slaterowi torbę, już otwartą, a Slater, działając automatycznie, wstrzyknął dziewczynce środek przeciwkrzepliwy i starał się ustabilizować jej stan, choć wiedział, że życie może jej uratować tylko surowica, której ostatnio brakowało.

I to tylko podana w ciągu najbliższej godziny.

- Zorganizuj najbliższy śmigłowiec - powiedział do Diaza. - Trzeba ją zabrać do centrum medycznego.

Ale żołnierz się zawahał.

- Niech się pan nie obrazi, majorze, ale zgodnie z rozkazem helikoptery medyczne mają służyć tylko do transportu rannych żołnierzy. Po cywila nie przylecą.

Graves zmierzył Slatera smutnym spojrzeniem i rzekł:

- Ma rację. Odkąd trzy dni temu zestrzelono ten śmigłowiec, nie ma wyjątków. O pogotowiu ratunkowym można zapomnieć.

Slater ich słyszał, zastanawiał się jednak, czy naprawdę mają zamiar beczynnie stać i pozwolić dziewczynce umrzeć. Jej ojciec wykrzykiwał jedyne angielskie słowa, jakie znał:

- Pomocy! USA! Proszę, pomocy!

Kłęczał w kurzu, mnąc w dłoniach wełnianą czapkę.

Małe serce dziewczynki waliło jak młotem, nogami i rękami wstrząsały konwulsje. Slater wiedział, że dalsza zwłoka na zawsze przypieczętuje jej los. U osoby tego wzrostu i tej wagi, której żmija wstrzyknęła całą dawkę jadu - oglądał te węże na tyle często, by wiedzieć, że ten był w pełni dojrzały - krwinki niebawem zaczną się rozpadać.

- Postarajcie się, żeby się jak najmniej ruszała - polecił Diazowi i Grovesowi, a sam pobiegł do dżipa, chwycił mikrofon radia i połączył się z główną bazą.

- Mamy poszkodowanego żołnierza marines! - krzyknął Slater. - Ukąszenie żmii. Potrzebny natychmiastowy - powtarzam, natychmiastowy transport!

Zobaczył, jak Groves wymienia spojrzenie z szeregowcem.

- Podaj współrzędne - zatrzeszczał głos w radiu.

Współrzędne? Od gorączki Slaterowi huczało w głowie, ale jakoś zebrał myśli, aby podać pozycję.

- Jesteśmy jakieś dwa kilometry od obozu w Khanashin - powiedział, próbując się skupić. - Na południowy zachód od pól ryżowych.

Nagle stanął przy nim Groves i wyrwał mu z ręki mikrofon, ale zamiast odwołać rozkaz majora, podał dokładne współrzędne.

- Przekaż im, że rozdział racji żywnościowych mogą dokończyć później - warknął Groves. - Potrzebujemy śmigłowca zaraz! I przekaz centrum medycznemu, żeby przygotowali cały swój zapas surowicy!

Slater, chwiejąc się na nogach, kucnął w cieniu dżipa.

- Nie powinieneś się do tego mieszać - powiedział do Grovesa, kiedy sierżant odłożył mikrofon. - Lepiej, żebym sam dostał za to po uszach.

- Niech się pan nie przejmuje - odparł Groves. - Uszu jeszcze panu zabraknie.

Przez następne pół godziny Slater robił co mógł, aby wyciszyć i uspokoić dziewczynkę - im bardziej się rzucała, tym szybciej trucizna krążyła w organizmie - a sierżant z szeregowcem uważnie obserwowali sąsiednie pola. Kłopoty przyciągały talibskich partyzantów jak świeża krew rekiny, a gdyby podejrzewali, że nadleci tu helikopter, to w poszukiwaniu ostatniej rakiety Stinger gotowi byli przeczesać całe swoje arsenały. Slater nie chciał też zwracać się do obozu z prośbą o wsparcie; ktoś mógłby się zorientować, co się naprawdę dzieje, i odwołać lot.

- Słyszę! - krzyknął Groves, odwracając się w kierunku łańcucha niewielkich wzgórz.

Slater też usłyszał. Rozległo się dudnienie wirników, a po kilku sekundach zza linii wzniesień wyłonił się black hawk. Pilot zatoczył koło, aby rozpoznać teren, po czym posadził maszynę kilkanaście metrów od dziopa i nie wyłączył silników, które pracowały na wolnych obrotach. Rozsunęły się boczne drzwi i w obłoku kurzu wyskoczyli zza nich dwaj żołnierze z noszami.

- Gdzie? - krzyknął jeden z nich, ścierając z gogli wirujący pył.

Diaz wskazał dziewczynkę leżącą na nasypie drogi między Slaterem a sierżantem.

Żołnierze stanęli jak wryci, a jeden z nich, przekrzykując huk silników, wrzasnął:

- Cywil?

- Tylko ranni w zadaniach bojowych! - dodał drugi. - Mamy ściśle rozkazy.

- Wszystko się zgadza - odparł Slater, wskazując dystynkcje majora na rękawie. - I tutaj ja je wydaję! Mała natychmiast poleci do centrum medycznego!

Pierwszy żołnierz zawahał się, wciąż niepewny, lecz drugi postawił koniec noszy na ziemi u stóp dziewczynki.

- Zostawiłem w domu córkę - mruknął, otulając dziewczynkę śpiworem, a potem pomógł Grovesowi ułożyć ją na płótnie noszy.

- Biorę pełną odpowiedzialność - oświadczył Slater. - Szybko!

Ale gdy ojciec dziewczynki próbował wsiąść do śmigłowca, pilot gwałtownie pokręcił głową i przecząco pomachał ręką.

- Nie da rady! - krzyknął. - Już mamy za duży ciężar.

Slater musiał odepchnąć Afgańczyka; nie było czasu na wyjaśnienia.

- Powiedz mu, o co chodzi! - krzyknął do sierżanta.

Ojciec płakał i zawodził - Diaz próbował go powstrzymać - a Slater szybko zasunął drzwi i uderzył pięścią w tył fotela pilota.

- Dobra, w górę, w górę!

Chcąc się uchronić przed ewentualnym ostrzałem, śmigłowiec podczas startu mocno przechylił się na bok, po czym zygaldem odleciał znad pól ryżowych; ten nawadniany obszar, nazywany zieloną strefą, należał do najniebezpieczniejszych terenów w Afganistanie i był schronieniem rebeliantów i snajperów. Slater usłyszał odgłos przypominający szybki stukot klawiszy maszyny do pisania i wiedział już, że przynajmniej jednemu z talibów udało się postać serię w brzuch kadłuba black hawka. Helikopter wznosił się wyżej, ponad nagie czerwone wzgórza, na których było widać rdzewiejące wraki radzieckich transporterów, na wpół zagrzebanych w ziemi i piasku. Zaczynał się wyścig z czasem. Twarz dziewczynki

spuchła, jak gdyby miała świnę, a Slater najdelikatniej jak umiał nałożył jej maskę tlenową. Nasuwając paski na tył głowy, pomyślał, że jej uszy wyglądają jak dwie śliczne muszelki. Nie zwracała uwagi na to, gdzie jest ani co się z nią dzieje. Ból, szok i naturalna adrenalina, którą organizm bez przerwy pompował w jej żyły, wprawiły ją w stan delirium.

Żołnierze trzymali się z daleka, przypięci pasami w fotelach obok palet z racjami żywnościowymi, które rozwozili, i przyglądali się, jak major Slater zajmuje się pacjentką. Ten, który miał córkę, wyglądał, jakby cicho odmawiał modlitwę. Ale wszyscy wiedzieli, że mała Afganka to teraz problem Slatera.

Kiedy śmigłowiec znalazł się na terenie centrum medycznego i wylądował, oczy dziewczynki już się zamknęły, a gdy Slater uchylił jej powieki, zobaczył tylko białka. Ręce i nogi prawie się nie ruszały, jedynie od czasu do czasu wstrząsały nimi skurcze, jak gdyby przepływały przez nią ładunki elektryczne. Slater wiedział, że to nie jest dobry znak. Wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby w terenie miał ze sobą surowicę, ale była kosztownym preparatem, stale jej brakowało i gdy nie trzymano jej w lodówce, szybko traciła właściwości.

Część personelu centrum była zaskoczona nową pacjentką, spodziewając się żołnierza marines, ale Slater wydawał rozkazy tak przekonująco, że nie tracili ani sekundy. Brudny i spocony, z plamami krwi węża na palcach, wciąż trzymał dziewczynkę za rękę, kiedy wieziono ją na salę operacyjną, gdzie czekał zespół lekarski z wenflonami.

- Ostrożnie - uprzedził Slater. - Z miejsc wkłucia będzie się sączył jad.

- Majorze - odparł spokojnie lekarz. - Wiemy, co robić. Proszę zostawić to nam.

Kiedy jednak próbował ją puścić, lekko zacisnęła palce na jego dłoni. Może myślała, że to ojciec?

- Wytrzymaj, skarbie - powiedział cicho Slater, choć wątpił, czy go słyszy i rozumie. - Nie poddawaj się. - Wyswobodził rękę z uścisku, a pielęgniarka szybko odsunęła go na bok, aby dostać się do rany i zdezynfekować pole operacyjne. Lekarz wziął strzykawkę wypełnioną surowicą, uniósł ją do światła i przesunął tłok, usuwając powietrze.

Wiedząc, że po prostu przeszkadza im w pracy, Slater wyszedł na korytarz i patrzył przez okrągłe okienko w wahadłowych drzwiach. Lekarz i dwie pielęgniarki pracowali szybko i z metodyczną precyzją. Slater obawiał się jednak, że od ukąszenia minęło zbyt wiele czasu.

Nagle wstrząsnął nim dreszcz i musiał kucnąć przy drzwiach. Miał najostrożniejszy od dobrych paru miesięcy nawrót malarii, a czując nagły podmuch klimatyzacji, zapragnął okryć się kocem. Gdyby się jednak zdradził ze swoim stanem zdrowia, zostałby przykuty do biurka w Waszyngtonie, a tego losu bał się bardziej niż śmierci. Musiał tylko wrócić do łóżka w

obozie, połknąć lekarstwa i wypocić się przez dzień czy dwa. Krew dudniła mu w skroniach jak bęben.

Na domiar złego usłyszał głos swojego dowódcy pułkownika Keenera, który zagrział w korytarzu:

- To pan wezwał śmigłowiec, majorze Slater?

- Ja.

- Ja, panie pułkowniku - poprawił go Keener, zerkając na wydruk, który trzymał w ręku. - I twierdził pan, że to ranny żołnierz marines?

- Tak - odrzekł. - Panie pułkowniku.

- Zdaje pan sobie sprawę, że to nie jest pogotowie ratunkowe? Że zajął pan black hawka, który wykonywał zadanie związane z działaniami bojowymi, i wykorzystał go w wyłącznie cywilnej sprawie? - Z każdym wypowiedzianym słowem jego złość się wzmacniała.

- Może nie czytał pan zaleceń wydanych dwa dni temu całemu personelowi bazy?

- Czytałem, od początku do końca.

Slater wiedział, że taką postawą sobie nie pomaga, ale nic go to nie obchodziło. Prawdę mówiąc, od lat nie przejmował się rozkazami, zaleceniami i procedurami służbowymi. Został lekarzem, żeby ratować ludziom życie, koniec i kropka; został epidemiologiem, żeby ocalić życie tysiącom ludzi w najgorszych miejscach na świecie. Dziś jednak znów próbował ocalić jedno.

Życie małej dziewczynki o prześlicznych uszach. I jej ojca, który gdzieś w Khanashin na pewno błagał teraz Allaha o cud... cud, który raczej nie nastąpi.

- Oczywiście wie pan, że będę musiał zameldować o tym incydencie i że AFIP\* przyśle nowego pracownika, aby rozwiązać nasz problem z malarią - ciągnął pułkownik. - To może potrwać wiele dni i kosztować nas życie wielu Amerykanów. - Ostatnie słowo wymówił w sposób niepozostawiający wątpliwości, że nikt inny na świecie się nie liczy. - Może się pan uważać za zawieszonoego w obowiązkach służbowych. Proszę wracać do bazy, doktorze, i czekać na dalsze rozkazy. Jeśli jeszcze to do pana nie dotarło, to informuję, że tkwi pan w gównie po same uszy.

‘ Armed Forces Institute of Pathology - Instytut Patologii Sił Zbrojnych USA (przyp. tłum.).

Slaterowi nie trzeba było tego mówić. Gdy Keener stał przed nim wściekły, zastanawiając się nad następną groźbą, sięgnął do kieszeni po tabletki chlorochiny, którą przyjmował co kilka godzin. Próbował je połknąć bez popijania, ale za bardzo wyschło mu w ustach. Minął pułkownika, prawie się o niego ocierając, i chwiejnym krokiem podszedł do

wodotrysku z wodą pitną. Popił tabletki, po czym nachylił głowę nad chłodnym strumieniem. Czuł się, jakby w jego włosach szalał pożar, który wreszcie może ugasić.

Z sali operacyjnej wyszedł lekarz, spojrzął na nich obu, a potem zbliżył się do pułkownika i cicho powiedział mu coś do ucha. Keener z powagą skinął głową, a lekarz zniknął za wahadłowymi drzwiami.

- Co się stało? - zapytał Slater, przyciskając palce do mokrych włosów. Po szyi ciekła mu woda.

- Wygląda na to, że zmarnował pan sobie karierę na darmo - odparł pułkownik. - Mała właśnie umarła.

Slater przypominał sobie tylko wyraz twarzy pułkownika - taki sam, jaki widywał u setek funkcjonariuszy i urzędników nastawionych wyłącznie na wykonywanie rozkazów - zanim wymierzył cios, który zwałił Keenera z nóg. Pamiętał jeszcze jak przez mgłę, że przez chwilę stał na miękkich nogach nad oniemiałym i zszokowanym pułkownikiem leżącym na brudnym zielonym linoleum.

Ale sama chwila zadania tego godnego boksera ciosu pozostała dla niego zagadką.

Potem wrócił do wodotrysku i włożył głowę pod strumień. Gdyby mógł się rozplakać, prawdopodobnie teraz by to zrobił. Ale nie miał już w zapasie żadnych łez. Dawno ich zabrakło.

Z drugiego końca korytarza dały się słyszeć podniesione głosy i tupot ciężkich butów żandarmów, którzy biegli go aresztować.

## Rozdział 2

Wody przybrzeżne północnej Alaski były nieprzyjemnym miejscem nawet latem, gdy przez całą dobę świeciło słońce i przynajmniej można było zobaczyć nadpływającą krę, ale teraz - pod koniec listopada, przy szkwale - trudno było sobie wyobrazić gorsze miejsce na ziemi.

Zwłaszcza na łajbie do połowu krabów, takiej jak „Neptun II”.

Szyper Harley Vane wiedział, że będzie miał wielkie szczęście, jeśli kuter nie rozleci się na kawałki. Od niemal dwudziestu lat łowił na Morzu Beringa, a przez cały ten czas

sztormy i połowy stawały się coraz gorsze. Przyczyny kiepskich połowów mógł się domyślać: jego kuter i dziesiątki innych wciąż wracały do tych samych łowisk, zmniejszając ich populację i dając jej za mało czasu, żeby się odbudowała. Wszyscy szyprowie mieli świadomość, że w ten sposób dokonują powolnego samobójstwa, lecz nikt nie zamierzał tego przerwać jako pierwszy.

I jeszcze pogoda. Prądy stawały się coraz silniejsze i coraz mniej przewidywalne, wiatr coraz gwałtowniejszy, a coraz bardziej popękany lód coraz trudniej było omijać. Wiedział, że całe to gadanie o globalnym ociepleniu to bujda na resorach - przecież w zeszłym roku spadło najwięcej śniegu od pięciu lat. Ale stan szlaków żeglugowych, mniej skutych lodem i szerszych niż kiedykolwiek przedtem, wyraźnie wskazywał, że coś wisi w powietrzu. Siedział w sterówce i prowadził kuter przez wzburzony ocean między pięciometrowymi falami oraz fragmentami lodowca wielkości samochodu i żeby nie spaść z wysokiego siedzenia, musiał przypiąć się pasem. Łódź kiwała się i kołysała tak mocno, że zastanawiał się, czy nie wziąć mikrofonu i nie zwołać wszystkich pod pokład, ale na razie „Neptun II” złowił niewiele - ostatnim razem w każdym z więcierzy znalazło się mniej niż sto krabów - a dopóki nie napełnią się zbiorniki, kuter musiał pozostać na morzu. Na lądzie były rachunki do zapłacenia, trzeba więc było zarzucać więcierze bez względu na warunki.

- Chcesz kawy? - zapytał Lucas, wychodząc spod pokładu z drugim kubkiem w rękę. Wciąż miał na sobie żółty anorak ociekający lodowatą wodą.

- Chryste Panie - powiedział Harley, biorąc od niego kawę. - Wszystko tu zalejesz.

- Na zewnątrz jest trochę mokro - odparł Lucas. - Powinieneś sam się przekonać od czasu do czasu.

- Miałem dużo okazji - rzekł Harley. Odkąd skończył jedenaście lat, pracował na pokładzie w czasach, kiedy jego ojciec był właścicielem pierwszego „Neptuna”, a starszy brat umiał zarzucać hak i wyciągać boje. Pamiętał, jak ojciec siedział na takim samym stołku jak ten i rządził w sterówce, patrząc na główny pokład przez rząd prostokątnych okienek. Widok niewiele się zmienił: oblodzony maszt, żelazny żuraw, duże szare kubły do sortowania połowu. Kiedy tamten kuter poszedł na dno, Harley i jego brat Charlie zainwestowali w nowy. W przeciwieństwie do swojego poprzednika, „Neptun II” był wyposażony w dwa rzędy umieszczonych nad mostkiem reflektorów. O tej porze roku, gdy słońce wychodziło tylko na kilka godzin w okolicach południa, światła cały czas rzucały na pokład upiornie biały blask. Czasem Harley odnosił wrażenie, że ogląda czarnobiały film.

Ze swojego miejsca, otoczonego ekranami wideo i komputerów - tej innowacji ojciec też się opierał - przyglądał się, jak czterej członkowie załogi na pokładzie rzucają liny i



wciągają więcierze z krabami uczepionymi stalowej siatki, a potem wysypują ich zawartość do kubłów i na taśmociąg, który zabiera połów do ładowni. Nagle, nadymając się jak balon, wyrosła przed nimi olbrzymia, co najmniej ośmiometrowa fala i rozbiła się o dziób kutra. Woda chlusnęła aż na okienka sterówki.

- Robi się niebezpiecznie - zauważył Lucas, trzymając się jakiegoś stołka. - Jak przyjdzie trochę większa fala, wyrzuci kogoś za burtę.

- Mam tylko nadzieję, że to będzie ten leniwy sukinsyn Farrell.

Lucas pociągnął łyk kawy, zachowując swoje zdanie dla siebie.

Harley spojrział na ekrany. Jeden przedstawiał odczyt sonaru, który pokazywał, co znajduje się pod rozkołysanym kadłubem kutra; w tym momencie było to pięćdziesiąt pięć metrów zimnej czarnej wody i podwodna góra wznosząca się na wysokość połowy tej odległości. Inne ekrany wyświetlały dane nawigacyjne i wskazania radaru, dzięki którym znał swoją pozycję, prędkość i kierunek. Zerkając na ekrany, wiedział już, co Lucas chce powiedzieć.

- Wiesz, że jeżeli szybko nie zmienisz kursu, to wpadniesz prosto na tę górę kamieni przy Wyspie Świętego Piotra?

- Myślisz, że jestem ślepy?

- Myślę, że przypominasz swojego brata. Jesteś gotów poświęcić cały kuter, żeby wyciągnąć więcierz pełen krabów.

Choć Harley nie odpowiedział, zdawał sobie sprawę, że Lucas ma rację - przynajmniej w sprawie brata. Zresztą ojca też, niech stary drań spoczywa w pokoju. Obaj mieli w sobie ziarno szaleństwa - a Harley wolał myśleć, że jemu udało się go nie odziedziczyć. Dlatego był teraz szyprem. Nikt mu nie będzie mówił, co ma robić, szczególnie marynarz pokładowy, chłopak z college'u, który spędził na kutrze najwyżej dwa czy trzy sezony. Harley został na kursie i czekał, chcąc się przekonać, czy Lucas ośmieli się powiedzieć coś jeszcze.

Ale się nie ośmielił.

Harley przyglądał się, jak Kubelik z Farrellem wciągają na pokładzie następny więcierz - stalową klatkę o boku trzech metrów. Był wypełniony krabami, których setki kłębiły się wewnątrz, machając szczypcami, czepiając się siatki i usiłując uciec. To był pierwszy pełny więcierz, jaki Harley widział od wielu dni, same dobre sztuki. Kiedy otworzyło się dno, kraby wysypały się na sortownicę, a członkowie załogi szybko zaczęli wrzucać je do kubłów, na dół, a gdy były zbyt uszkodzone albo za małe, ciskali je z powrotem do oceanu jak frisbee.

Harleya nie obchodziło, czy znajdą się za blisko Świętego Piotra, czy nie. Jeżeli były tam te cholerne kraby, musiał płynąć.

Przez następne pół godziny „Neptun II” pruł naprzód, rzucając wiecierze i walcząc z coraz silniejszym sztormem. Od żurawia odpadł kawał lodu i runął na pokład, omal nie zabijając Samończyka, którego Harley zamustrował w portowym barze. Ale ilekroć słyszał w interkomie okrzyk któregoś z załogantów „130 kilo!” albo „140!”, postanawiał płynąć dalej. Gdyby nadal szło tak dobrze, to za dwa dni wróci do Port Orlov i brat nie będzie się go czepiał.

I gdyby wszystko tak się ułożyło, może udałoby mu się przekonać Angie Dobbs, żeby wyjechała z nim do jakiegoś ciepłego miejsca. Los Angeles albo Miami Beach. Wiedział, że sam raczej nie jest dla niej szczególnie atrakcyjny - dziesięć lat temu Angie została wicemiss nastolatek Alaski - ale gdyby obiecał jej darmowy wyjazd z tej dziury, przypuszczalnie byłaby skłonna skorzystać z propozycji. Może nawet uprzejmie dałaby się przelecieć. W końcu nie była niewiniątkiem - Chryste, pół miasta twierdziło, że ją miało, a Harley długo czuł się niesprawiedliwie pomijany.

- Szyper! - usłyszał w interkomie. To chyba głos Farrella, który pewnie chce się poskarżyć na długą zmianę.

- Co? - spytał Harley, niezadowolony, że przerwano mu przyjemne marzenia.

- Mamy coś! - odpowiedział, przekrzykując wycie wiatru.

- Tak, właśnie widzę. Najlepszy połów w sezonie.

- Nie - powiedział Farrell. - Nie, patrz!

Unosząc się z miejsca za sterem, żeby mieć lepszy widok na pokład, Harley zobaczył Farrella, który zsunął kaptur żółtego sztormiaka i z przejęciem na coś pokazywał.

Między haki i liny zaplątała się skrzynia - duża i czarna - z której spływały kaskady wody i lodu. Farrell z pomocą dwóch ludzi wciągał ją nad relingiem. Co u diabła...

- Zaraz schodzę! - zawołał Harley, po czym odwrócił się do Lucasa i polecił mu przejąć ster. - Tylko nie majstruj przy kursie.

Zdjął anorak z haka na ścianie. Pędząc po skrzypiących schodkach, wyciągnął z kieszeni ocieplane nieprzemakalne rękawice i zanim je założył, przez chwilę się z nimi mocował. Wystarczyłoby kilka minut na pokładzie, żeby dłonie zmieniły się w dwie porcje mrożonych paluszków rybnych. Narzucił na głowę kaptur i pociągnął rozsuwane drzwi; podmuch wiatru omal nie wepchnął go z powrotem do kabiny.

Wreszcie udało mu się wydostać na pokład, a drzwi zasunęły się za nim z trzaskiem. Zaczął iść, zmagając się z wichrem, jedną ręką uczepony wewnętrzny reling. Mimo

zapadającego zmierzchu, w odległości może trzech mil widział za sterburtą wystający ponad wzburzone morze postrzępiony zarys Wyspy Św. Piotra. Ten skrawek lądu o urwistych klifach i kamienistych mieliznach pochłonał więcej ofiar niż jakakolwiek inna wyspa u brzegów Alaski i Harley rozumiał, dlaczego nawet rdzenni Eskimosi zawsze omijali go z daleka. Odkąd sięgał pamięcią, uważali wyspę za miejsce przeklęte, zamieszkane przez nieszczęsne i złe duchy, które nie mogąc pomknąć do nieba autostradą zorzy polarnej, zostały skazane na pozostanie na ziemi. Niektórzy twierdzili, że te potępione dusze to duchy szalonych Rosjan, którzy niegdyś osiedlili się na wyspie, uwięzione w ciałach czarnych wilków włóczących się po skałach. Harley gotów był w to uwierzyć.

- Co mamy z tym zrobić? - krzyknął Farrell. Wielka czarna skrzynia kołysała się nad nimi na linach i sieci.

Miała prawie dwa metry długości, metr szerokości, a wieko zdobił jakiś rzeźbiony wzór, którego Harley nie mógł dojrzeć. Pozostali członkowie załogi patrzyli zdumieni. Harley polecił Samończykowi i dwóm innym opuścić skrzynię na taśmociąg. Bez względu na to, co to było, nie chciał tego stracić; bez względu na to, co mogło się kryć wewnątrz, nie chciał, żeby załoga zobaczyła to przed nim.

Farrell bosakiem odciągnął skrzynię od relingu, a Samończyk nakierował ją na pokład. Z głuchym łoskotem wylądowała na boku i pośrodku wieka na całej długości pojawiła się szczelina.

- Szybko! - ponaglił Harley i pomógł wepchnąć ciężar na taśmę. Pełna wody skrzynia mogła ważyć grubo ponad sto kilo, a kiedy już znalazła się na przenośniku, Harley włączył maszynę i patrzył, jak znaleźisko przesuwają się przez pokład i zmierza w kierunku ładowni.

- Dobra, przedstawienie skończone! - wrzasnął, przekrzykując wiatr i huk fal. - Wciągać kraty! Już!

Mężczyźni ostatni raz obejrzeni się przez ramię i wrócili do pracy, a Harley zawrócił w kierunku sterówki. Zamiast jednak wspiąć się z powrotem do kabiny, zszedł ostrożnie po rozchybotanych schodkach do ładowni, gdzie zobaczył mechanika Richtera, który już oglądał skrzynię.

- Co to jest, u diabła? - zapytał Richter. - Wiesz, że to cholera mogło zepsuć pas? - Richtera, który na kutrach i łodziach łowiących kraby, dorsze i mieczniki przepracował niemal pięćdziesiąt lat, zwykle nazywano po prostu Starym.

- Nie wiem, co to jest - odrzekł Harley. - Zaplątało się w liny.

Richter cofnął się i skubiąc krzaczaste siwe brwi, przyjrzał się skrzyni, która stała na nieruchomej już taśmie. Wszędzie na mokrej podłodze leżały uszkodzone kraby, w

większości martwe, choć niektóre jeszcze się poruszały. Górne światła rzucały mdły żółtawy blask na ogromne zbiorniki i dudniące turbiny. Zalatywało benzyną i słoną wodą.

- Powiem ci, co to może być - powiedział Richter. - To cholera wygląda jak trumna.

Harley wbrew własnej woli doszedł to tego samego wniosku. Skrzynia nie miała klasycznego kształtu trumny, ale wymiary mniej więcej się zgadzały.

- Lepiej nie brać na pokład trumien - zrzędził Richter, przekrzykując hałas silników. - Psiakrew, ojciec niczego cię nie nauczył?

Harley miał już powyżej uszu historii o swoim ojcu. Wszyscy od Nome po Prudhoe Bay mieli o nim coś do powiedzenia. Przesunął dłonią po wieku skrzyni, ścierając część wody z lodem, i nachylił się, żeby obejrzeć rzeźbienia. Większość już się starła, ale wydawało mu się, że dostrzega jakiś napis. Nie po angielsku, ale wyryty takimi samymi literami, jakie widział na starych rosyjskich budynkach, które zostały tu i ówdzie na Alasce. W szkole uczono go o tym, jak Rosjanie pierwsi zasiedlili tę ziemię jeszcze w osiemnastym wieku, a potem dali jedną z największych plam w historii, sprzedając ją Stanom Zjednoczonym po wojnie secesyjnej. Wyglądało to właśnie na takie litery, a w słabym świetle ładowni dojrzał jeszcze wyrzeźbioną postać. Nachylił się bliżej i zobaczył, że to jakiś święty, ale dość groźny, w długiej szacie, z krótką brodą, trzymający w ręku kółko od kluczy. Nagły dreszcz przebiegł mu po plecach.

- Daj mi latarkę - polecił staremu mechanikowi.

- Po co?

- Daj.

Poruszając głową na wszystkie strony i starając się nie rzucać cienia na skrzynię, Harley zajrzał przez szczelinę w wieku, a gdy Richter wcisnął mu do ręki latarkę, skierował snop światła do środka i przytknął nos do drewna.

- Bóg ukarze cię za to, co robisz.

Ale Harley nie słuchał. Choć szczelina była bardzo wąska, znów dostrzegł błysk jakiegoś lśniącego przedmiotu. Coś, co połyskiwało niczym jasnozielone oko.

Jak szmaragd.

- Martwych należy zostawić w spokoju - wyrecytował z powagą Richter.

Harley zasadniczo się z tym zgadzał. Nie oznaczało to jednak, że martwi muszą zachować na zawsze swoją biżuterię.

- Co tam zobaczyłeś? - zapytał Stary, ulegając w końcu ciekawości. - To był biały czy tubylec?

- Nie wiem - odparł Harry, wyłączając latarkę i prostując się. - Za ciemno. - Nikt nie musi o tym wiedzieć. Na razie. - Daj jakiś brezent - powiedział, a gdy Stary nie ruszył się z miejsca, sam poszedł po plandekę. Narzucił ją na skrzynię, po czym zabezpieczył grubymi sznurami. - Nikomu nie wolno tego dotykać, dopóki nie przybijemy do portu - oznajmił, a Richter przeżegnał się ostentacyjnie.

Harley wspiał się po śliskich schodkach na poziom pokładu, a potem z powrotem do sterówki, gdzie Lucas, zgodnie z poleceniem, utrzymywał kurs. Ale po powrocie Harleya nie umiał już dłużej trzymać języka za zębami.

- Wyspa Świętego Piotra - ostrzegł - jest niecałą milę przed nami od sterburty. Jeżeli zaraz nie ominiemy skał, wyprują nam z łodzi bebechy.

Harley zdjął przemoczony anorak i rękawice, po czym zajął swoje miejsce. W nikłym świetle księżycy wyspa wynurzała się z morza jak gigantyczna czarna czaszka. Jej brzeg niczym całun spowijał pas mgły.

- Daj dziesięć stopni na zachód - powiedział Harley, a Lucas skwapliwie obrócił kołem sterowym.

- Co się zaplątało w sieci? - zapytał, gdy kuter uderzył w grzbiet następnej fali.

- Zajmij się lepiej kursem - odparł Harley, patrząc w ciemne morze. - Resztę zostaw mnie.

- No bo jeżeli to jest uratowane mienie z jakiegoś statku, to trzeba by to zgłosić na...

Nagle kuter zadygotał gwałtownie od dzioba po rufę jak pies otrząsający się z wody, a gdzieś z dołu dobiegł zgrzyt metalu. Lucas omal nie zwałił się z nóg; Harley musiał się przytrzymać tablicy rozdzielczej, za którą siedział.

- Łódź? - zapytał, choć już wiedział, że nie. Lucas, błydy ze strachu, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami, powiedział:

- Skały.

Kutrem szarpnął drugi wstrząs, przechylając go na bok. Rozszalała masa wody przewaliła się przez pokład, a więcierze gwałtownie zakołysały się w powietrzu. Jeden z nich uderzył Samończyka, który zaczął rozpaczliwie wymachiwać rękami, próbując odzyskać równowagę, i w tym momencie zmyła go następna fala. Farrell i Kubelik kurczowo trzymali się masztu, żurawia i oblodzonych lin.

- Jezu Chryste - wykrztusił Harley, szukając po omacku mikrofonu.

Lucas uwiesił się koła sterowego, jakby to było koło ratunkowe.

- Mayday! - krzyknął Harley do mikrofonu. - Tu „Neptun II”, na północny zachód od Wyspy Świętego Piotra. Człowiek za burtą! Słyszycie? Mayday!

Spod pokładu dobiegł następny zgrzyt, jak gdyby miażdżonej blachy samochodu, a w interkomie rozległ się jęk mechanika Richtera:

- Gródź puściła! Słyszycie mnie tam? Pompy nie dadzą rady.

- Słyszemy cię, „Neptun” - zatrzeszczał w radiu głos funkcjonariusza Straży Przybrzeżnej. - Masz człowieka za burtą?

- Tak - zawołał Harley. - I nabieramy wody! - Błyskawicznie podał pozycję, po czym rzucił mikrofon Lucasowi i zerwał się z miejsca.

- Nie zostawiaj mnie tu samego! - błagał drżącym głosem Lucas.

- Zajmij się tym! - krzyknął Harley.

- Cholera, dokąd idziesz?

- Na dół! - wyjaśnił Harley, rzucając się w stronę trapu. - Sprawdzić uszkodzenia! - I coś jeszcze - pomyślał.

Lucas został ucepiony steru, a Harley zbiegł po schodkach. Ale przechył pokładu i straszny hałas w ładowni mówiły mu, że los kutra jest już przesądzony. Wiedział, że będzie miał szczęście, jeżeli przeżyje tę noc. Wszyscy będą mieli szczęście.

Może stary Richter miał rację, mówiąc o tej przeklętej skrzyni.

## **Rozdział 3**

### **FORT LESLEY J. MCNAIR WASZYNGTON**

Major Frank Slater uważał, że jak na sąd wojskowy, wszystko toczyło się całkiem gładko.

Siedząc w nieskazitelnie czystym mundurze obok swojego wyznaczonego przez armię adwokata - chłopaka o krótko ostrzyżonych jasnych włosach, który sprawiał wrażenie kogoś, kto więcej akcji widział w restauracji Hooters niż na polu bitwy - Slater nie miał do roboty nic innego poza słuchaniem obciążających go zeznań, na które nie reagował ani sprzeciwem, ani skruchą.

Pułkownik Keener, którego obowiązki w Afganistanie uznano za zbyt ważne, aby odsyłać go do Waszyngtonu, zeznawał przeciwko Slaterowi za pośrednictwem Skypea. Monitor na stoliku na kółkach ustawiono przed pięcioosobowym składem sędziowskim. Slater i jego adwokat porucznik Bonham tylko słuchali relacji pułkownika na temat różnych przestępstw i naruszeń regulaminu, popełnionych w Khanashin przez majora -

„epidemiologa”, jak nazywał go Keener, a w jego ustach słowo to brzmiało jak „pedofil” - człowieka, „który z wojskiem ma tyle wspólnego co mój pies”.

Zarzut napaści na przełożonego - czyli, jak się dowiedział Slater, przestępstwa z paragrafu 128 Ujednoliconego Kodeksu Wojskowego - dla oskarżenia okazał się formalnością. Kiedy pułkownik Keener złożył zeznanie wstępne, poproszono go, aby zaczekał na przedstawienie dowodu potwierdzającego. To też okazało się proste. W korytarzu centrum medycznego przypadkiem była pielęgniarka, i choć stała za daleko, by usłyszeć, co pułkownik mówił do Slatera tuż przed ostrym starciem, to wysłano ją do Stanów, aby zeznała, że istotnie widziała, jak major zadał pułkownikowi cios, który powalił go na ziemię.

- Tylko jeden cios? - zapytał przewodniczący składu, emerytowany generał.

- Jeden wystarczył - przytaknęła pielęgniarka.

Slaterowi wydawało się, że przez twarz generała przemknął cień uśmiechu.

- Potem wezwałam żandarmów - dodała pielęgniarka.

- I nie wiadomo pani, co się zdarzyło tuż przed tym zajściem? - zapytał sędziego.

- Dowiedziałam się dopiero później - odparła. - Tamta dziewczynka właśnie umarła na sali operacyjnej i doktor... to znaczy major Slater, po prostu stracił panowanie nad sobą. - Zaryzykowała i spojrzała na oskarżonego ze współczuciem. - To naprawdę mógł być tylko chwilowy impuls - dodała. - Bardzo starał się ją uratować, a potem się dowiedział, że wszystko na nic, i to go wytrąciło z równowagi.

Generał coś zanotował, a pozostali czterej sędziowie poszli za jego przykładem. Ponieważ rozprawa toczyła się przed ogólnym sądem wojskowym - znacznie poważniejszym od sądu doraźnego czy specjalnego - o winie orzekło w sumie pięciu oficerów: generał, trzech innych starszych mężczyzn i kobieta, która wyglądała, jakby zamiast kręgosłupa miała sztywny kij. Oskarżyciel jako dowód rzeczowy przedstawił zdjęcie rentgenowskie zrobione w centrum medycznym, przedstawiające pękniętą szczękę pułkownika Keenera. Kiedy pokazano je Slaterowi, aby potwierdził autentyczność zdjęcia, major powiedział:

- Uderzające podobieństwo. oskarżenia okazał się formalnością. Kiedy pułkownik Keener złożył zeznanie wstępne, poproszono go, aby zaczekał na przedstawienie dowodu potwierdzającego. To też okazało się proste. W korytarzu centrum medycznego przypadkiem była pielęgniarka, i choć stała za daleko, by usłyszeć, co pułkownik mówił do Slatera tuż przed ostrym starciem, to wysłano ją do Stanów, aby zeznała, że istotnie widziała, jak major zadał pułkownikowi cios, który powalił go na ziemię.

- Tylko jeden cios? - zapytał przewodniczący składu, emerytowany generał.

- Jeden wystarczył - przytaknęła pielęgniarka.

Slaterowi wydawało się, że przez twarz generała przemknął cień uśmiechu.

- Potem wezwałam żandarmów - dodała pielęgniarka.

- I nie wiadomo pani, co się zdarzyło tuż przed tym zajściem? - zapytał sędzieja.

- Dowiedziałam się dopiero później - odparła. - Tamta dziewczynka właśnie umarła na sali operacyjnej i doktor... to znaczy major Slater, po prostu stracił panowanie nad sobą. - Zaryzykowała i spojrzała na oskarżonego ze współczuciem. - To naprawdę mógł być tylko chwilowy impuls - dodała. - Bardzo starał się ją uratować, a potem się dowiedział, że wszystko na nic, i to go wytrąciło z równowagi.

Generał coś zanotował, a pozostali czterej sędziowie poszli za jego przykładem. Ponieważ rozprawa toczyła się przed ogólnym sądem wojskowym - znacznie poważniejszym od sądu doraźnego czy specjalnego - o winie orzekło w sumie pięciu oficerów: generał, trzech innych starszych mężczyzn i kobieta, która wyglądała, jakby zamiast kręgosłupa miała sztywny kij. Oskarżyciel jako dowód rzeczowy przedstawił zdjęcie rentgenowskie zrobione w centrum medycznym, przedstawiające pękniętą szczękę pułkownika Keenera. Kiedy pokazano je Slaterowi, aby potwierdził autentyczność zdjęcia, major powiedział:

- Uderzające podobieństwo.

- Co takiego? - zapytał generał, przykładając dłoń do ucha.

Zanim porucznik Bonham oddał zdjęcie woźnemu sądowemu, wtrącił

- Mój klient mówi, że nie kwestionuje tego dowodu. - Po czym posłał Slaterowi mordercze spojrzenie.

Kiedy rozpatrzono zarzut czynnej napaści i włączono zdjęcie rentgez wojskowego punktu widzenia były jeszcze poważniejsze. Podczas gdy poczęsto dochodziło do sytuacji, w której oficer wydaje rozkaz, wiedząc, że kłamie, a przy okazji stwarza zagrożenie dla helikoptera i jego załogi. Gdy Slater wezwał śmigłowiec z pól ryżowych, nie tylko dopuścił się poświadczenia nieprawdy (paragraf 107 kodeksu) - zagrożonego karą dyscyplinarnego zwolnienia ze służby, utraty praw do uposażenia i wszystkich dodatków oraz pozbawienia wolności do lat pięciu - lecz także naraził na niebezpieczeństwo mienie wojskowe i personel (między innymi paragraf 108).

Dla Slatera słuchanie kierowanych wobec niego oskarżeń wcale nie było w tej rozprawie najtrudniejsze. Tego akurat się spodziewał. Najgorsze było to, że kazano mu patrzeć, jak do składania zeznań zmuszany jest jego przyjaciel i prawa ręka sierżant Jerome Groves. Slater już wcześniej kazał Grovesowi mówić prawdę i zrzucić całą winę tam, gdzie należało ją zrzucić, czyli na swojego dowódcę, ale wiedział, że będzie ciężko. Z Grovesem sporo razem przeszli.



Prokurator pochylił się i powiedział:

- Sierżancie Groves, to pan podał ratownikom dokładną pozycję, zgadza się?

Groves zawahał się przez chwilę i Slater skinieniem głowy dał mu znak, żeby odpowiedział. Nie było sensu zaprzeczać niepodważalnym faktom.

- Tak. Ale major Slater próbował po prostu ratować...

- I wiedział pan - ciągnął prokurator, obracając w palcach okulary - że celem tego zadania miał być transport do placówki medycznej osoby cywilnej, niebędącej członkiem sił zbrojnych? szybko: nowe do materiału dowodowego, sąd zajął się kolejnymi zarzutami, które bicia zdarzały się cały czas, zwłaszcza w strefach działań bojowych, to nie-

- Z całym szacunkiem, ale to było dziecko - odrzekł Groves. - Co pan by zrobił? Małą ukąsiła żmija i groziło...

- Powtarzam - przerwał mu oskarżyciel - wiedział pan, że nie chodzi o nikogo z personelu Armii Stanów Zjednoczonych?

- Wiedziałem.

- I mimo to nadal uczestniczył pan w tym oszustwie?

- Na mój rozkaz! - warknął Slater, unosząc się z krzesła. Bał się, że Grovesowi zabraknie argumentów na swoją obronę. - Sierżant zrobił tylko to, co mu poleciłem jako jego dowódca. Co mu rozkazałem.

Co było do przewidzenia, Slaterowi kazano usiąść i się zamknąć, mniej więcej tymi słowami, grożąc mu, że zostanie wyrzucony ze swojego własnego procesu. Kiedy usiadł, podniósł się porucznik Bonham i przeprowadził swoje przesłuchanie świadka, przedstawiając właściwie takie samo stanowisko, lecz w sposób bardziej obiektywny i wyważony pod względem prawnym. Slater udzielił mu jasnych instrukcji, zgodnie z którymi miał dopilnować, aby Groves został oczyszczony z wszelkich zarzutów.

Gdy sierżant został zwolniony, opuścił miejsce dla świadków, przemknął obok krzesła Slatera i mruknął:

- Przepraszam, Frank.

- Nie masz za co - odrzekł Slater.

Przewodniczący składowi sędziowskiemu generał znów musiał mu przypomnieć, że ze świadkiem nie wolno się porozumiewać, potem przerzucił kilka papierów i poprosił przedstawicieli stron, by przystąpili do podsumowania.

Oskarżyciel, wyraźnie przekonany, że ma wygraną w kieszeni, wygłosił listę zarzutów i paragrafów kodeksu wojskowego, które Slaterowi udało się złamać - nawet sam major był

zaskoczony, że w tak krótkim czasie złamał prawo aż tyle razy - a potem usiadł z założonymi na brzuchu rękami, niczym klient w restauracji czekający na podanie sufletu.

Porucznik Bonham, znacznie mniej pewny siebie, wstał i zaczął przedstawiać argumenty w obronie majora Slatera. Był to głównie prawniczy żargon, ale Slater musiał wysłuchać długiej rekapitulacji swoich własnych osiągnięć jako żołnierza i lekarza.

- Bardzo proszę o zaprotokołowanie, że major Slater wstąpił do Armii Stanów Zjednoczonych trzynaście lat temu, ukończywszy medycynę na Uniwersytecie Johna Hopkinsa jako specjalista chorób tropikalnych i zakaźnych oraz absolwent studiów podyplomowych z dziedziny epidemiologii i statystyki na Wydziale Zdrowia Publicznego Uniwersytetu Georgetown. Te kwalifikacje okazały się wyjątkowo przydatne - zarówno samemu majorowi, jak i naszemu krajowi - w najbardziej niebezpiecznych i targanych krwawymi konfliktami rejonach świata, od Somalii po Sarajewo. Został trzykrotnie wyróżniony, odznaczony Purpurowym Sercem oraz otrzymał stopień majora, który nosi w chwili tej rozprawy. Cierpi także na szczególnie przewlekły rodzaj malarii, na którą został narażony podczas pełnienia służby, ale nigdy nie pozwolił, aby choroba przeszkodziła mu w wykonywaniu zadań powierzonych przez Instytut Patologii Sił Zbrojnych USA z siedzibą w Waszyngtonie, gdzie pracuje na stałe. Uważam, że należy uznać tę chorobę za okoliczność łagodzącą w przypadku jakichkolwiek wykroczeń. Wśród jej objawów można wymienić gorączkę, halucynacje i bezsenność, które same w sobie mogą doprowadzić do impulsywnych i irracjonalnych działań. Działania, których major Slater, gdyby potrafił w pełni kontrolować swoje zachowanie, nigdy by nie aprobował, a z pewnością sam nigdy by się ich nie dopuścił.

Slater musiał oddać chłopakowi sprawiedliwość. Mowa końcowa była bardzo przekonująca i dobrze sformułowana... chociaż szalenie nie podobał mu się fragment o malarii. To nie przez malarię uderzył pułkownika i wezwał śmigłowiec. W tym momencie, gdy wygodnie siedział na sali rozpraw, symptomy choroby mu nie dokuczały, a myśli miał jasne jak błękitne listopadowe niebo za oknem, jeszcze raz zrobiłby dokładnie to samo. I nie stało się to wyłącznie przez małą Afgankę - śmierć dziewczynki była tylko przysłowiową kroplą, która przelała czarę goryczy. Napięcie narastało przez lata i musiało w końcu doprowadzić do wybuchu. Przeżył za dużo okropności, widział za dużo śmierci, za dużo barbarzyństwa. Jeździł do zbyt wielu spustoszonych miejsc na ziemi, mając za mało, by móc przynieść pomoc. Leżąc pod moskitierą w Darfurze przy jasnym świetle księżyca, zabrał się w końcu do lektury Jądra ciemności Josepha Conrada i szybko zrozumiał, dlaczego pewien wolontariusz z Oxfam tak bardzo nalegał, żeby przeczytał tę książkę. Być może nieświadomie

zaczął się zmieniać w jej tajemniczego bohatera Kurta, który widział tyle okrucieństwa, do jakiego zdolny jest człowiek, że ostatecznie doprowadziło go to do obłądu.

Kiedy porucznik Bonham zakończył mowę, przewodniczący trybunału polecił wszystkim opuścić salę, aby sędziowie mogli się naradzić, a Slatera odprowadzono z powrotem do celi, gdzie dostał colę, torebkę chipsów i opakowaną w folię kanapkę z pastą jajeczną.

- Jest pan głodny? - zapytał, podsuwając kanapkę swojemu adwokatowi.

- Nie aż tak.

- Jak pan myśli, jakie mamy szanse? - spytał, otwierając puszkę coli.

- Winien wszystkich zarzutów - to jasne.

Slater wiedział, że porucznik ma rację, nie była to jednak przyjemna wiadomość.

- Ale jest dużo okoliczności łagodzących, więc wyrok może nie będzie zbyt surowy.

Wydaje mi się również, że pułkownik Keener ma opinię palanta. To też może nam pomóc. -

Wskazując na torebkę chipsów, Bonham powiedział: - Ale jeżeli nie chce pan tego...

- Proszę się częstować.

Slater odsunął krzesło i popatrzył w wąskie okno wysoko na ścianie, zasłonięte gęstą drucianą siatką. Miało kształt kwadratu o boku czterdziestu kilku centymetrów. Przecisnąłby się przez nie najwyżej mały pies.

Bonham wyciągnął telefon i sprawdził, czy dostał jakieś SMSy albo czy ktoś dzwonił, napisał kilka wiadomości i schował aparat. Spalaszował wszystkie chipsy i wytarł palce w chusteczkę.

- Nie musi pan tu ze mną siedzieć - rzekł Slater.

- I tak nie mam za dużo do roboty - odparł porucznik.

- Jak długo może to potrwać?

- Nie wiadomo. - Bonham zabębnił palcami o blat stolika. - Ale może mógłbym spróbować pociągnąć za język woźnego.

- Proszę to zrobić - powiedział Slater. Zanim jednak młody prawnik zamknął za sobą drzwi, dodał: - Dobra robota, poruczniku.

Bonham niespodziewanie się zarumienił.

- Tak pan myśli?

- Tak - odparł Slater. - Tylko dostał pan wredną sprawę.

Gdy został w celi sam, popijał colę i czekał. Kilka pokoi od niego pięciu sędziów, którzy nigdy wcześniej go nie widzieli, decydowało o jego losie. Trudno mu było myśleć, że za kilka minut, może godzin, dowie się z ust emerytowanego generała, jakie będą

dramatyczne konsekwencje jego działań. Zastanawiając się nad tym teraz, miesiąc później i w zupełnie innym świecie, Slater nie miał sobie nic do zarzucenia. Próbował ratować życie dziewczynce - co jeszcze należało zrobić, aby móc patrzeć na siebie w lustrze? A jeżeli chodzi o cios zadany Keenerowi... najogólniej mówiąc, był to krok nierozważny. Nie pierwszy raz miał kłopoty przez swój wybuchowy charakter. Ilekroć jednak przypominał sobie minę pułkownika i nonszalancki ton, jakim ten poinformował go o śmierci dziewczynki... dłoń sama zaciskała mu się w pięść i miał ochotę trzasnąć go jeszcze raz. Tyle że tym razem wolałby do końca zachować przytomność umysłu.

Pytanie, czy nadal będzie czuł to samo po odsiedzeniu pięciu lat w wojskowym więzieniu?

W celi nie było żadnego zegara. Nie było telefonu, telewizora ani stojaka z czasopismami. Ściany z pustaków i stalowe drzwi. Nie mając na co patrzeć ani co robić, więzień mógł tylko siedzieć i rozmyślać nad swoim przeznaczeniem, a tego Slater za wszelką cenę starał się uniknąć.

Pochylił się, oparł głowę o stół - zapach zniszczonego i podrapanego drewna przypominał mu klasę w podstawówce - i zamknął oczy. W nocy nie mógł spać, ale w ciągu dnia znużenie często go pokonywało. Przed kilkoma dniami wieczorem zadzwonił do Silver Spring do swojej byłej żony Marthy. Nie wydawała się zadowolona z jego telefonu - dopóki jej nie wyjawiał powodu swojego powrotu do Stanów Kiedy się dowiedziała, usłyszał jej westchnienie. Było przede wszystkim wyrazem współczucia, ale brzmiała w nim również nuta ulgi - cieszyła się, że zerwała ten związek we właściwym momencie i że ten ostatni akt samounicestwienia już jej nie dotyczy.

- Gdzie cię trzymają? - zapytała. Wyjaśnił, że zobowiązał się stawić przed sądem, więc aż do rozprawy jest wolny, chociaż bez paszportu i tak nie może się zanadto oddalać.

- Chcesz, żebym przyjechała się z tobą spotkać? - zapytała. - Czy to ci w czymś pomoże?

Ale nie wiedział, jak mogłoby mu to pomóc. Zadzwonił tylko, żeby dać jej znać, co się dzieje, na wypadek gdyby się zainteresowała, gdzie jest... albo gdyby armia zawiadomiła ją, że jej część emerytury wojskowej ulegnie drastycznemu zmniejszeniu.

Chociaż akurat pieniędzy nie potrzebowała.

Jej drugi mąż był wspólnikiem w firmie lobbingowej na K Street, a jej prywatna praktyka dermatologiczna coraz lepiej prosperowała. Slater napotkał reklamy w miejscowych czasopismach, a raz czy dwa widział w lokalnych wiadomościach rozmowę z Marthą na

temat botoksu i kolagenu. Dostała od życia to, czego chciała... a on dostał to, na co zasłużył. Pewnie tak będzie sądzić większość ludzi.

Kiedy po Slatera przyszedł adwokat, major nie wiedział, ile czasu upłynęło. Zdrzemnął się i na policzku miał odcisnięte rysy wydrapane w drewnianym stoliku. Na sali rozpraw wszyscy sędziowie siedzieli sztywno wyprostowani, ale zaszła jedna zmiana. W głębi na plastikowym krzeselku z surową miną siedziała doktor Lena Levinson, dyrektor Instytutu Patologii Sił Zbrojnych USA. Na kolanach trzymała grubą teczkę. Gdy skinął jej głową, posłała mu pełne wyrzutu spojrzenie, a potem odebrała telefon, bo właśnie zadzwoniła jej komórka.

- Oskarżony, proszę wstać - powiedział generał. Slater podniósł się i stanął obok porucznika Bonhama. Zdziwił się, że jego kolana są bardziej miękkie, niż się spodziewał.

Generał odchrząknął.

- Ogłaszam wyrok sądu wojskowego w sprawie zarzutów przeciwko doktorowi Frankowi Jamesowi Slaterowi, majorowi Armii Stanów Zjednoczonych. - Slater szykował się na werdykt, podobnie jak Bonham, który zbladł tak strasznie, że Slater musiał się powstrzymać, żeby nie otoczyć go ramieniem.

- Winny - brzmiało słowo, które Slater wyraźnie usłyszał, powtórzone kilka razy. Ale przecież nie spodziewał się niczego innego.

Bał się orzeczenia kary.

Tu też sprawdziły się najgorsze oczekiwania. Został zdegradowany i dyscyplinarnie zwolniony ze służby wojskowej. Dożywotnio cofnięto mu prawa do uposażenia oraz wszystkich dodatków i świadczeń. Dopiero gdy stanęła kwestia kary więzienia, generał na chwilę umilkł, a Slater, wstrzymując oddech, czekał, aż padnie ostateczny cios.

- Jeśli chodzi o karę pozbawienia wolności, jaką zazwyczaj zagrożone są tego rodzaju zarzuty, to sąd, po przeczytaniu wyjaśnień złożonych przed kilkoma godzinami przez osobę niebędącą stroną sprawy, uwzględnił jej opinię. - Jego wzrok przelotnie spoczął na doktor Levinson. - Biorąc pod uwagę długą i cenną dla kraju służbę doktora Slatera, a także interes narodowy, sąd jednogłośnie postanawia odstąpić od wymierzania kary w takiej postaci.

Nie pójdzie siedzieć? W interesie narodowym? Slater osłupiał, a mina Bonhama świadczyła o tym, że i on jest całkiem zdezorientowany.

Generał odczytał do protokołu kilka formalnych informacji - nazwiska, daty, paragrafy kodeksu wojskowego, których dotyczyło orzeczenie - a następnie rozejrzał się po sali, jak gdyby czekając, czy ktoś zgłosi jakiś sprzeciw. Wreszcie oznajmił:

- Zamykam posiedzenie sądu.

Slater - który po trzynastu latach nagle został cywilem, choć skompromitowanym - nie mógł uwierzyć własnym uszom. Bonham klepał go po plecach i nawet generał spojrzął na niego bardziej ze smutkiem niż z potępieniem. Wychodząc z sali rozpraw, zobaczył stojącą przy drzwiach doktor Levinson.

- Mogę się tylko domyślać - powiedział - że pani dzisiejsze zeznania mają związek z moim ułaskawieniem, prawda?

- Mają.

- Dziękuję - powiedział, autentycznie wdzięczny. Była starą zrzędą, ale dobrze wiedział, że zawsze się rozumieli i wzajemnie cenili.

- A teraz musimy porozmawiać, doktorze Slater.

- O interesie narodowym?

- Prawdę mówiąc, tak - odrzekła.

## **Rozdział 4**

Harley Vane stał się kimś w rodzaju miejscowego celebryty. Historię o jego odwadze i cudownym ocaleniu opisywały wszystkie gazety na Alasce, w Oregonie i w stanie Waszyngton; zainteresowały się nią nawet niektóre stacje radiowe o zasięgu ogólnokrajowym i kilka telewizji.

W szpitalu, gdzie wracał do zdrowia przez pierwsze trzy dni po uratowaniu się z katastrofy, pielęgniarki traktowały go jak gwiazdę rocka. Przyszła go nawet odwiedzić Angie Dobbs. Obiecała mu, że w barze „Yardarm” będzie mógł pić za darmo, a sposób, w jaki to powiedziała, wskazywał, że może liczyć na coś jeszcze. Nareszcie.

Tego dnia rano lekarze obiecali mu, że będzie mógł wyjść, jeśli tylko będzie miał dobre wyniki. Harley był tego pewien; znów czuł się dobrze, poza tym musiał się zobaczyć ze swoim bratem Charliem. Pielęgniarki mówiły, że Charlie już u niego był, kilka godzin po tym jak wyłowił go kuter Straży Przybrzeżnej. Wtedy był jednak zbyt skołowany, aby cokolwiek pamiętać. Miał wielką lukę w pamięci, choć już wiele razy żałował, że nie jest większa.

Świetnie pamiętał, jak zbiegł po schodach do ładowni. Po drodze wciągnął na siebie kamizelkę ratunkową, wepchnął do kieszeni racę, a następnie chwycił wiszący na ścianie toporek strażacki i zatknął go za pasek.

Woda wdzierала się przez niewidoczną dziurę w kadłubie, gdzieś w pobliżu zbiorników do przechowywania krabów. Tysiące z nich znów znalazły się na wolności.

Uciekały po ścianach, czepiały się sufitu albo płynęły z coraz większą falą. Stary Richter klęczał w przenikliwie zimnej wodzie, próbując naprawić pompy.

- Nie da rady! - zawołał. - Nie da rady!

- Wyłaź na górę! - krzyknął Harley. - Wyłaź, szybko!

Ale Richter obrócił się do niego plecami i wrócił do pracy. Harley wiedział, że ten typ tak ma i jest gotów iść na dno razem ze statkiem.

W tym momencie nie było mu to potrzebne. Podszedł do niego, brnąc w lodowatej wodzie i czując, jak kraby podszczypują mu buty i uda, i chwycił Richtera za kościste ramiona.

- Mówię, że masz wyjść na pokład!

- Trzeba było dać je do przeglądu, zanim wypłynęliśmy z portu - powiedział Richter. - Mówiłem ci, że coś z nimi jest nie tak!

W burtę uderzyła następna fala i Richter wpadł do wody. Wyciągnął nad powierzchnię rękę, którą Harley natychmiast złapał. Udało mu się postawić starego na nogi, ale Richter miał na sobie mnóstwo krabów, których szczypce zaciskały się na jego mokrym ubraniu albo klekotały w powietrzu. Jeden krab, duży i różowy jak guma do żucia, pełził po jego piersi. Harley stracił go ręką.

- Wyłaź - krzyczał do Starego - albo sam cię utopię! - Mocno popchnął go w kierunku schodów. Potem zaczął się przedzierać przez zalane pobojuwisko w kierunku trumny, opierając się wodzie, która cały czas ciskała nim w stronę taśmociągu. Zgrabiałymi palcami, w których niemal stracił czucie, starał się rozplątać liny. W końcu jednak dał za wygraną i odciął je toporkiem. Opadły, a on wziął na cel zardzewiałe skoble zabezpieczające wieko. Ustąpiły dopiero po kilku uderzeniach, a kiedy puścił ostatni, wsunął ostrze toporka pod pokrywę i zaczął ją podważać. Skrzypnęła i powoli drgnęła, a Harley naciskał dalej, aż wieko całkiem się uniosło i siłą rozpędu wpadło do wody. Rozległ się plusk, a ono zakołysało się na powierzchni wody w ładowni jak deska surfingowa.

Woda sięgała Harleyowi do ud. Zaczynał marznąć. Światła migąły, ale nadal świeciły. Wewnątrz skrzyni ujrzał coś, co wyglądało jak mumia - miało znieruchomiałą w grymasie twarz z włosami, pełnym uzębieniem i pustymi oczodołami oraz dłonie skrzyżowane w taki sposób, że dotykały ramion. Mimo to było widać, że to zwłoki młodego człowieka, dziewiętnasto - albo dwudziestoletniego, ubranego w coś, co wyglądało jak zamrożone resztki wełnianej szarej bluzy z okrągłym kozackim kołnierzem oraz czarnego futra z fok. Na jego szyi Harley zobaczył to, czego szukał. Był to stary prawosławny krzyż z trzema poprzecznymi belkami różnej długości, wysadzany starymi kamieniami, które zielono

połyskiwały w słabym świetle. Próbował go zerwać, ale krzyż mocno trzymał się na łańcuchu. Choć nie miał ochoty tego robić, nie było innego wyjścia, więc nachylił się i unióśł głowę mumii. Robiąc to, miał wrażenie, że dotyka torby pełnej starych kości i zmiętego papieru. Skóra szeleściła, a czaszka ważyła w ręce tyle, co krucha wydmuszka jajka.

Nie udało mu się jednak zdjąć krzyża.

Łańcuch zaplątał się w długie brązowe włosy chłopca. Dopiero gdy kilka razy dość mocno szarpnął, omal nie odrywając głowy od kręgosłupa, zdołał wyswobodzić łańcuch i zdjąć go przez głowę.

Włożył krzyż głęboko do wewnętrznej kieszeni skafandra, a potem starannie zapiął ją na zamek. Kilka krabów zdążyło wspiąć się na koniec trumny i wpełznąć na zwłoki. Ich szczypcy cięły resztki tkaniny i badawczo dotykały twardego ciała. Jeden z nich skubał palec u nogi, który lada chwila mógł odpaść.

Niech go zjedzą, pomyślał Harley. Im szybciej, tym lepiej. Woda wciąż się podnosiła. Sięgała mu już do pasa, a statek przechylił się tak mocno, że trudno było utrzymać równowagę, wyciągnął więc rękę, żeby się złapać poręczy schodów. Podciągał się, przekładając ręce coraz wyżej, a woda za nim gwałtownie wzbierała i coś twardego cały czas trącało go w łydki. Obejrzał się za siebie i zobaczył, że wieko trumny z jakimś wyrzeźbionym świętym czy aniołem, jak wierny pies trzymający się nogi, płynie w górę schodów razem z nim.

Na pokładzie panował zupełny chaos. Wyjący wiatr szarpał liny i kosze, a szalupa ratunkowa była już na morzu. Też mam was w dupie - pomyślał Harley. - Zdaje się, że dzisiaj każdy myśli tylko o swojej. Zastanawiał się, kto z załogi został na pokładzie, a kto nie. Nagle nad powierzchnię wody wystrzeliła raca i w jej białym zimnym świetle ujrzął szalupę, która kołysała się między dwiema potężnymi falami za sterburtą. Marynarze próbowali trzymać się w pewnej odległości od „Neptuna II”, żeby wiry nie wciągnęły ich pod kuter, gdy zacnie tonąć. Harleyowi zdawało się, że dostrzega Farrella przy rumplu i Lucasa uczeponego dulki, ale nagle przez gwizd wiatru w uszach usłyszał głos - głos Richtera, który krzyczał gdzieś z pokładu.

Stary w pomarańczowej kamizelce ratunkowej kurczowo trzymał się masztu.

Harley nie rozumiał ani słowa - zresztą czy miało to jakieś znaczenie? - ale zobaczył, jak Richter unióśł rękę i pokazał na morze, w kierunku rysującej się bryły Wyspy Św. Piotra. Była wielka jak góra, a przez pył wodny i fale Harley wyraźnie widział brzeg, najeżony przypominającymi iglice i barykady skałami.



W niebo poszybowała następna raca, tym razem pozostawiając zieloną fluorescencyjną smugę; w świetle której Harley znowu zobaczył szalupę. Łódź kilka razy obróciła się w wirze i nagle uderzyła o skały. Załoga wysypała się jak kolorowe cukierki ze słoika, a kawałki roztrzaskanego drewna popłynęły na wszystkie strony. Zanim zielone światło się rozproszyło, zdążył dostrzec kamizelki swoich marynarzy, którzy jeden po drugim wpadali w wiry i znikali pod powierzchnią, wciągani w głąb rozszalałej czarnej toni.

Spojrzał w stronę sterówki. Niebieski ekran komputera wybił okno i zgasły światła. Pokład gwałtownie przechylił się pod stopami i Harley runął do zbiornika z krabami. Więcierze wciąż były pełne. Kiedy łódź pójdzie na dno z zamkniętymi więcierzami, kraby będą się musiały zjadać nawzajem, dopóki wszystkie nie wyzdychają.

Myśli kłębiły się w głowie Harleya, który nie wiedział, czy trzymać się wraku kutra, czy próbować przedostać się do kabiny załogi, żeby wziąć stamtąd tratwę. Nagle fala uderzyła w lewe nadburcie i porwała go ze sobą. Wpadł do lodowatej wody. Poczuł, jak niemal całe powietrze uchodzi mu z płuc, a sól szczypie w oślepienie oczy. Usiłował wydostać się na powierzchnię, ale woda była tak wzburzona, że zupełnie stracił orientację. Próbował się uspokoić, by tlen w płucach i powietrze w kamizelce ratunkowej pozwoliły mu odzyskać równowagę i skierować się ku górze, ale bez rezultatu. Wpadł w panikę, rozpaczliwie wymachując nogami i rękami. Zderzył się z czymś, z jakąś nagą skałą, od której odepchnął się całym ciałem. Wyplął na powierzchnię, ciężko łapiąc oddech, a gdy w ciemności wyciągnął rękę, złapał jakiś dryfujący obok kawałek drewna. Chwycił go mocno i wyczuł szorstkie rzeźbienia. Było to wieko trumny.

Wdrapał się na nie połową ciała, a potem objął je ramionami. Fale miały nim bez ustanku, aż wreszcie cisnęły go w wąski przesmyk między ostrymi skałami, wokół których szalało wzburzone morze. Ledwie widział, dokąd płynie, a ręce miał tak zdrętwiałe, że nie wiedział, jak długo będzie w stanie się trzymać. Gdy jednak poczuł, że ociera kolanami o kamienie i muszle przy brzegu, z trudem dźwignął się na nogi, przebrnął przez fale przyboju i dotarł do plaży. Osunął się na ziemię i leżał, dygocząc. Czuł, jak schowany w kieszeni krzyż wbija mu się w żebra.

Lśniące w blasku księżycy wieko trumny zatrzymało się na kamieniach i piasku.

Harley nie wiedział, jak długo tak leżał. W porównaniu z lodowatym morzem zimny i twardy ląd przypominał ciepły koc. Zaczął głęboko oddychać, kaszląc słoną wodą i wypluwając żwir, który przykleił mu się do ust. Wiedział jednak, że jeśli poleży dłużej, umrze z zimna. Obrócił się na wznak i spojrzał w niebo. Między kłębami pędzących chmur dostrzegł jasne punkciki odległych gwiazd. Otrząsnął się z wody jak pies, usiadł i popatrzył w morze.

Ani śladu „Neptuna II” ani nikogo z załogi. Nawet blask rac już dawno zniknął. Harley modlił się, aby Straż Przybrzeżna była już w drodze.

Przez chwilę mocował się z paskami kamizelki ratunkowej, aż wreszcie je zerwał i wymacał racę, którą miał w kieszeni. Nie chciał jej użyć za wcześnie, ale nie wiedział, jak długo może przeżyć w tym stanie. Rozejrzał się po plaży, szukając jakiegoś schronienia, ale niczego takiego nie znalazł. Nawet większej skały, za którą mógłby się skulić.

Pozostawało tylko wdrapać się na klif, choć byłoby to niemożliwe nawet przy dziennym świetle, z odpowiednimi linami i sprzętem. Harley zawsze gardził alpinistami. Wystarczało mu, że naraża tyłek, wypływając na połów krabów - z tego przynajmniej były pieniądze. Ale wspinać się tylko po to, żeby poczuć dumę z dotarcia na szczyt jakiegoś kopca kamieni?

Wiatr szarpał rękawami skafandra, a Harley mrużył oczy, chroniąc je przed kroplami wody, niesionymi znad oceanu. Wyteżał słuch, aby usłyszeć coś przez gwizd wiatru, aby dostrzec jakikolwiek znak nadchodzącej pomocy.

Nic. Umrze z zimna na tej wyspie - wszystkie cholerne legendy były prawdziwe - i dołączy do nieszczęśników, których duchy nawiedzają to miejsce, a co gorsza, umrze, mając w kieszeni pierwszy znak szczęścia, jaki od bardzo dawna mu się trafił. Czuł, jak wysadzany szmaragdami prawosławny krzyż wbija mu się w zębra.

Kuląc się przed wiatrem, wsunął racę między przemoczone buty, sięgnął do kieszeni kurtki i z trudem otworzywszy zamek, wyciągnął krzyż. Był ciężki, srebrny, z jednej strony ozdobiony szmaragdami, a kiedy go odwrócił, zobaczył jakiś napis. Choć nic o nim nie wiedział, przypuszczał, że będzie wart fortunę. Charlie by wiedział - albo Voynovich z Nome.

Oczywiście jeśli w ogóle odnajdą jego ciało.

Jeszcze raz spojrzął w ciemne niebo, ale tym razem wydawało mu się, że gdzieś w oddali dostrzegł błysk światła.

Zaledwie przez sekundę.

Pulsujące czerwone światło.

Znów je zobaczył.

Wcisnął krzyż z powrotem do kieszeni i poderwał się na nogi, ściskając w ręku racę. Zerwał pokrywkę, uniósł racę wysoko i szarpnął zawleczkę.

Raca wystrzeliła, tryskając snopem białych iskier, by po chwili rozbłysnąć wysoko nad jego głową i zalać plażę blaskiem fluorescencyjnego światła.

- Tutaj! - krzyczał Harley, skacząc i wymachując rękami. - Tutaj! - Wiedział, że nikt go nie widzi, wiedział, że nikt go nie słyszy, ale krew zaczęła mu szybciej pulsować w żyłach. - Jestem tutaj!

Niemożliwe, żeby nie zauważyli racy, powtarzał sobie, absolutnie niemożliwe.

I kiedy zielone wstęgi zaczęły znikać i rozpraszać się na wietrze, Harley zobaczył, jak czerwone światełka zwracają się w kierunku wyspy, a z daleka - chyba że wyobraźnia płata mu figla? - usłyszał dudnienie śmigieł helikoptera.

Dobry Boże, chyba przeżyje. Może jednak krzyż przyniesie mu szczęście.

A może nie.

Ledwie ożyła w nim nadzieja, kątem oka dostrzegł jakiś ruch na drugim końcu plaży.

Cień skradający się po piasku i kamykach. Zielony blask na niebie prawie już zniknął, ale w gasnącym świetle Harley ujrzał drugi cień, który dołączył do pierwszego. Poruszały się powoli i nisko przy ziemi, jak gdyby zwabiło je światło racy, ale nieoczekiwanie znalazły coś jeszcze ciekawszego.

Harley znów popatrzył na morze i zobaczył zbliżające się światła śmigłowca.

Znów skierował wzrok na półksiężyc plaży i zobaczył, że zamiast dwóch cieni są już trzy. A zaraz potem cztery.

Pod wpływem impulsu chciał krzyknąć i machać do pilota Straży Przybrzeżnej, ale równocześnie bał się zwrócić na siebie uwagę oddalonych o kilkaset metrów zwierząt. Wiedział, co to może być - zamieszkujące wyspę czarne wilki.

Albo - jeżeli wierzyć w opowieści - zagubione dusze od dawna nieżyjących Rosjan.

Nie wiedział, co robić, ale instynktownie ruszył biegiem w kierunku fal przyboju. Jeśli będzie musiał, wejdzie z powrotem do wody i spróbuje uczepić się którejś z najbliższych skał. Wilki nie potrafią przecież pływać.

Ale potrafią tropić. Harley z przerażeniem zorientował się, że go zwęszyły, unosząc pyski na wiatr. Zaczął szukać jakiejś broni. W pobliżu leżało wieko trumny, ale pewnie nie zdołałby go nawet podnieść, nie mówiąc już o zadaniu nim ciosu. Wydłubał z plaży kamień, a potem jeszcze jeden, i mocno zacisnął je w dłoniach.

Helikopter zbliżał się coraz bardziej, ale wyraźnie bał się podejść zbyt blisko klifu, by nie zahaczyć o niego śmigłami, zwłaszcza przy tak silnym wietrze.

Nagle w stronę Harleya skierowało się mocne białe światło reflektora, omiatając najpierw skały i mieliznę, a potem łukiem dochodząc do plaży i skupiając się na wieku trumny. Mężczyzna wbiegł w płamę światła, machając rękami i krzycząc. Rozległ się dudniący głos, zniekształcony przez wiatr.

- Widzimy cię!

To były najpiękniejsze słowa, jakie kiedykolwiek słyszał.

Ale spoglądając na drugą stronę plaży zobaczył, że wilki też go zauważyły.

- Odsuń się jak najdalej od klifu!

Reflektor wciąż kierował światło na Harleya, który wszedł po kolana do wody.

Z helikoptera na grubej nylonowej linie spuszczone druciany kosz. Lina rozwijała się gwałtownie i kosz spadał jak pająk opuszczający się na swojej pajęczynie.

Ale Harley chciał, żeby spadał jeszcze prędeej. Wilki pędziły coraz szybciej, ślizgając się po kamieniach i mokrym piasku.

- Szybciej, na litość boską! - krzycał Harley. - Szybciej!

Kosz rozkołysał się, trafiwszy w rwące prądy wokół plaży.

Pierwszy wilk gnał na łeb, na szyję - jak mógłby go nie zauważyć w pełnym blasku - a Harley biegał tam i z powrotem, próbując odgadnąć, w którym miejscu wylądje kosz.

- Rzućcie go! - krzycał. - Rzućcie!

Kosz kołysał się jak wahadło tuż nad jego głową, ale gdy usiłował podskoczyć, ciężkie buty utknęły w piasku i błocie.

Kosz odsunął się, a wataha wilków zbliżała się coraz bardziej. Pierwszy z nich biegł z chlupotem wzdłuż brzegu.

Harleyowi udało się uwolnić stopy z piasku, a kiedy kosz znalazł się bliżej, znów skoczył i tym razem złapał się jego siatki.

- Przypnij się! - usłyszał głos z góry. - I trzymaj się mocno!

Nikt nie musiał mu tego radzić. Wcisnął się tyłkiem do kosza, pas zacisnął wokół bioder i zapiął, a potem z całej siły chwycił się liny.

Przewodnik watahy wilków rzucił się na Harleya dokładnie w momencie, gdy ten poczuł, że wciągarka napina linę i kosz zaczyna się unosić. Mocny kopniak trafił warczące zwierzę w pysk. Kosz przechylił się nad spienionymi falami i śmigłowiec zaczął się oddalać od klifu.

Harley patrzył na kamienistą plażę w dole oraz na wilki, które nie zdążyły dopaść ofiary i kręciły się wokół wieka trumny. Mało brakowało, ale nic z tego, pomyślał z radością.

Unosił się coraz wyżej, kołysząc się w zimnym powietrzu, a wilki i plaża znikwały w ciemnościach. Ale gdy już mieli go wciągnąć do wnętrza helikoptera, miał wrażenie, że na szczycie najwyższego klifu dostrzega jakiś żółty błysk, jak gdyby światelka latarni zawieszzone w mroku.

## Rozdział 5

- Cieszę się, że udało się panu dotrzeć - powiedziała doktor Levinson, gdy do sali konferencyjnej wszedł spóźniony o dwadzieścia minut Slater.

Zważywszy na wszystko, co jej zawdzięczał, w żadnym wypadku nie chciał się spóźnić na pierwsze spotkanie, o jakie go poprosiła od procesu.

- Przepraszam, miałem kłopoty przy wejściu.

Powinien się ich spodziewać. W poniedziałek rano na ulicach Waszyngtonu zawsze były ogromne korki, a dzisiaj po raz pierwszy od sprawy przed sądem wojskowym próbował wejść do Wojskowego Centrum Medycznego Waltera Reeda przez wejście dla personelu przy Aspen Street. Dowiedział się, że unieważniono mu już uprawnienia oficera - wojsko, jeśli tylko chce, potrafi być diabelnie skuteczne - i choć strażnicy dobrze go znali, aby go wpuścić, mieli obowiązek czekać na oficjalne pozwolenie. Zwłaszcza że Slater podlegał Instytutowi Patologii Sił Zbrojnych, gdzie prowadzono najbardziej poufne prace związane ze śmiertelnymi chorobami zakaźnymi i bronią biologiczną. Teraz był po prostu doktorem Slaterem, któremu dano jednodniową przepustkę i nową naklejkę na szybę samochodu oraz poinstruowano go, że odtąd wstęp na teren centrum ma przez wejście dla pracowników cywilnych przy Szesnastej Ulicy.

- Przepraszam, majorze - powiedział żołnierz przy wejściu, kiedy w końcu otworzył bramkę.

- Nie ma powodu mnie przeproszać... ani tytułować mnie majorem - odparł Slater.

- Tak jest... doktorze.

Slater wjechał służbowym fordem taurusem na teren olbrzymiego kampusu, zastanawiając się, kiedy odbiorą mu samochód, a potem okrążył kilka budynków, między innymi dawne Wojskowe Muzeum Medyczne (obecnie Narodowe Muzeum Zdrowia i Medycyny), i wreszcie zaparkował w garażu instytutu na swoim dawnym stanowisku na poziomie A. Tego nie mogli mu odebrać, bo wciąż pracował jako starszy epidemiolog na Wydziale Patologii Chorób Zakaźnych i Tropikalnych. Z tego, co mówiła doktor Levinson, jego wiedza fachowa miała się teraz przydać w sprawie wagi państwowej.

W tej chwili widział tylko stół konferencyjny, przy którym siedziała doktor Levinson, wpatrując się w ekran otwartego przed sobą laptopa.

- Jak się pan czuje? - zapytała, ale było to coś więcej niż pytanie grzecznościowe. - Miał pan jeszcze nawroty malarii?

- Czuję się dobrze - odrzekł Slater, starając się panować nad głosem i nie uciekać wzrokiem. Zdjął płaszcz - z garażu wbiegł prosto na górę, nie zatrzymując się w swoim gabinecie - i zasiadł przy stole. Granatowy garnitur wydawał się trochę za duży; w Afganistanie stracił na wadze.

- Niech mnie pan nie okłamuje, doktorze Slater. To ważne.

- Jeśli tylko czegoś pani potrzebuje, jestem do dyspozycji - oznajmił, próbując uchylić się od odpowiedzi.

Nie wiedział, czy mu uwierzyła, czy może za bardzo zależało jej na jego pomocy, by kontynuować rozmowę na ten temat. Ale odchylając się na krzesło i przyglądając mu się badawczo, powiedziała:

- Wszyscy zaciągamy jakieś długi wdzięczności, a pan, mówiąc szczerze, podczas swojego procesu wykorzystał większość limitu.

- Rozumiem to i doceniam - odparł.

- To dobrze, miło mi to słyszeć. Powiem panu, jak mi się pan może odwdziżyć.

- Słucham.

- Mamy problem.

Jak dotąd, nic go nie dziwiło. Jego praca polegała wyłącznie na rozwiązywaniu problemów.

- Na Alasce.

To akurat go zaskoczyło. Slatera wysyłano do różnych odległych miejsc, ale rzadko pracował w Stanach.

- Najpierw chciałabym, żeby pan coś zobaczył. - Wcisnęła na laptopie kilka klawiszy i na ekranie, który wcześniej rozwinął się za jej plecami, wyświetlił się obraz. Była to fotografia zaśnieżonej drogi, wzdłuż której po jednej stronie ciągnęły się słupy telefoniczne; wszystkie były przechylone pod dziwnym kątem.

- To zdjęcie zostało zrobione kilka dni temu niedaleko Port Orlov.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Nikt nie słyszał. To osada rybacka na północnozachodnim krańcu półwyspu Seward. To zdjęcie też pochodzi stamtąd - dodała. Znów wcisnęła klawisz i na ekranie ukazała się budowla podobna do domku kempingowego ze spiczastym dachem, która zsunęła się z fundamentów.

- To inuicki słupek totemiczny, który od 1867 roku stoi w centrum i upamiętnia sprzedaż Alaski przez Rosję.- Stara drewniana kolumna z wyblakłą farbą na głowach orłów i wydr w jakiś cudowny sposób ocalała, ale stała pod kątem, który Slaterowi przypominał Krzywą Wieżę w Pizie. Najwyraźniej doszło do osunięcia terenu, ale to chyba powinno zainteresować raczej geologów.

- Skutek trzęsienia ziemi?- zapytał, a Levinson przecząco pokręciła głową.

- Sprawdziliśmy wszystkie dane sejsmologiczne. Nie, to nie to.

Znów wystukała coś na klawiaturze i pojawiły się zdjęcia przewróconych skrzynek pocztowych, popękanych betonowych schodów i zdeformowanych nabrzeży portowych.

- Zmiany klimatyczne - wyjaśniła. - Średnia temperatura rośnie, ocieplają się przybrzeżne prądy... a wieczna zmarzlina zaczyna topnieć.

OK, wniosek wydawał się sensowny. Slater nadal jednak nie rozumiał, jaki związek ma ta sprawa z jego podwórkiem.

Levinson, jakby czytając w jego myślach, kliknęła następne zdjęcie, mówiąc:

- A potem pojawiło się to.

Z początku pomyślał, że to po prostu stare ciemne drzwi lub jakiś zabytkowy stół jadalniany, ale kiedy przyjrzał się uważniej, zobaczył, że powierzchnię zdobi misterna płaskorzeźba przedstawiająca klasyczną postać, prawdopodobnie jakiegoś świętego w powłóczyściej szacie, trzymającego pęk kluczy. Pośrodku drewnianej płyty biegło długie pęknięcie.

- Domyślam się, że to wieko trumny - powiedział Slater, a kiedy Levinson nie zaprzeczyła, dodał - ale kim jest ta postać?

- To święty Piotr z kluczami do bram nieba i piekła.

- Skąd to pochodzi?

- Znalazła to Straż Przybrzeżna. Wyciągnął je w sieciach kuter rybacki, który potem roztrzaskał się o skały i poszedł na dno. Przeżył tylko jeden członek załogi, który trzymając się go, dopłynął do brzegu.

- Brzmi jak historia Izmaela z Moby Dicka.

- Nazywa się Harley Vane i z tego, co wyczytałam z pierwszych doniesień, trudny z niego człowiek. Twierdzi, że wieko to mienie ocalone z morza i że mu się należy.

Slaterowi wydało się to nieco dziwne, ale uznał, że gdyby zdarzyło mu się dopłynąć do brzegu na wieku trumny, też czułby się do niego przywiązany.

- Skąd to pochodzi?

- Przypuszczamy, że z cmentarza na Wyspie Św. Piotra, kilka mil na zachód od Port Orlov.

Na ekranie pojawił się kolejny obraz - zdjęcie lotnicze ogromnej czarnej wyspy o brzegach otulonych gęstą mgłą.

- Wyspa jest niemal nie do zdobycia, ale około 1912 roku udało się ją zasiedlić pewnej sekcje religijnej, która w większości wywodziła się z Syberii.

- Tylko proszę mi nie mówić, że ktoś tam jeszcze mieszka - rzekł Slater, choć patrząc na wyspę, trudno było uwierzyć, by ktokolwiek mógł kiedyś wybrać to miejsce na swój dom.

- Nikt już nie żyje - powiedziała Levinson, a po chwili pochyliła się nad stołem z założonymi rękami i z poważnym wyrazem twarzy spojrzała na niego zza okularów. - Wszyscy umarli w ciągu tygodnia czy dwóch. W 1918 roku.

- Data mówiła wszystko. Wiedział już, dokąd zmierzają.

- Hiszpanka?

Levinson skinęła głową.

Wszystko zaczynało się układać w całość.

- Więc takie same zmiany terenu jak w Port Orlov pojawiają się także na wyspie?

Milczała, a Slater myślał.

- Wieczna zmarzlina topnieje i przedmioty zakopane kiedyś w ziemi ukazują się na powierzchni. Na przykład takie jak ta trumna.

- Cmentarz założono na klifie, daleko od osady... Ale klif zaczyna się osuwać - uzupełniła po chwili.

I odsłaniać trumny... z ciałami ofiar grypy.

- Czy chodzi o to - powiedział, myśląc głośno - że wirus grypy mógł przetrwać w zamrożonych zwłokach?

- Prawdopodobieństwo jest niewielkie, ale trzeba je brać pod uwagę - przyznała.

Slater był epidemiologiem i nie trzeba mu było tłumaczyć, co mogłoby się zdarzyć, gdyby na świecie znów pojawił się ten wirus. W ciągu zaledwie kilku lat pandemia hiszpanki przetoczyła się przez cały świat i chociaż wciąż spierano się o ostateczną liczbę ofiar, wszyscy zgodnie twierdzili, że zmarło co najmniej pięćdziesiąt milionów osób. Zdaniem Slatera liczbę ofiar na subkontynencie indyjskim znacznie zaniżono. Nie podlega jednak dyskusji, że grypa była najbardziej niszczącą zarazą, jaka dotknęła ludzkość, i po dziś dzień nikt do końca nie zrozumiał jej przyczyn ani nie znalazł sposobu jej zwalczania. Ofiary pandemii umierały straszliwą śmiercią, dosłownie tonąc we własnej krwi i wydzielinach fizjologicznych. Mimo że wyjątkowo gruntowne badania związane z opracowaniem struktury



genetycznej wirusa prowadzono właśnie tutaj, w Instytucie Patologii Sił Zbrojnych USA, społeczność naukowa nawet o krok nie zbliżyła się do znalezienia skutecznego leku.

- Czy ten Harley Vane - spytał Slater, kontynuując tok swojego rozumowania - miał kontakt z ciałem z tej trumny?

- Twierdzi, że nie - odpowiedziała doktor Levinson. - Mówi, że w sieci znalazło się tylko wieko. - Powiedziała to takim tonem, jakby nie była pewna, czy powinna w to wierzyć.

- Reszta załogi utonęła w morzu.

Kawał drewna, nawet jeśli przed stu laty był częścią trumny, nie mógł przenieść żadnej choroby zakaźnej; Slater nie miał co do tego wątpliwości. Nie miał też jednak wątpliwości, że należy zrobić to, o czym zaraz potem powiedziała Levinson.

- Trzeba zabezpieczyć cmentarz, zanim ziemia odsłoni następne trumny. Trzeba to zrobić jak najszybciej i bez rozgłosu. Doktorze Slater, taka sprawna i dokładna praca to pańska specjalność.

Przyjął komplement bez słowa komentarza. To był fakt.

- Potem będziemy musieli ekshumować jedno albo więcej ciał, pobrać standardowe próbki rdzeniowe i poddać je szczegółowym badaniom i analizom przy procedurach zagrożenia trzeciego stopnia. - Zacięła usta, czekając na odpowiedź. Jedynym dźwiękiem, jaki słyszeli, był przytłumiony szum systemu filtrującego, który oczyszczał powietrze na każdym centymetrze kwadratowym biur i laboratoriów instytutu. Jej słowa zawisły w powietrzu, domagając się odpowiedzi, ale Slater mógł dać tylko jedną.

- Kiedy mam wyjechać?

- Wczoraj.

## Rozdział 6

Carskie Sioło, 1916 ocną ciszę rozdarł płacz jej brata, roznoszący się po długich marmurowych korytarzach i szerokich schodach pałacu. Anastazja - lub krócej Ana - usiadła na łóżku. Jej siostra Olga też już się zbudziła pod swoimi kołdrami. Wcześniej zdarzało się to wiele razy.

- Biedny Aleksy - powiedziała Ana. - Znowu jest gorzej.

- Nic na to nie poradzisz - odrzekła Olga. - Nikt z nas nic na to nie poradzi.

- Jest doktor Botkin.

- Doktor Botkin też nic nie poradzi - powiedziała zmęczonym głosem Olga. - Śpij.

Olga uniosła jedną z puchowych poduszek i włożyła pod nią głowę, ale Ana nie potrafiła zasnąć. Aleksy krzyczał, z korytarza dobiegał tupot stóp w nocnych pantoflach i Ana musiała iść sama zobaczyć. Wstała z łóżka, nałożyła miękki szlafrok z chińskiego jedwabiu - prezent od jak zwykle hojnego emira Buchary - i wymknęła się na korytarz. A gdy jej mały brązowy spaniel Jemmy ruszył w ślad za nią, nogą popchnęła go z powrotem w kierunku sypialni. robert Masello

Kilka pokoi dalej zobaczyła padające z komnat carewicza światło i usłyszała głosy pilnie naradzających się osób. Następca rosyjskiego tronu Aleksy - lub Aleksis, jak nazywano go poza rodziną - był największym skarbem całego imperium, droższym niż Anastazja i jej trzy siostry razem wzięte (żadna z nich tego nie kwestionowała, to był po prostu fakt). Ale tylko on spośród pięciorga rodzeństwa był dotknięty śmiertelną chorobą. Hemofilią.

Rodzina przybyła do posiadłości zaledwie przed tygodniem, licząc na odpoczynek od napięć i obowiązków publicznych związanych z życiem w Pałacu Zimowym w Petersburgu. Carskie Sioło, do którego prowadziła prywatna linia kolejowa, dzieliło od stolicy dwadzieścia pięć kilometrów. Kompleks pałacowy zajmował trzysta hektarów zadbanego i pilnie strzeżonego terenu, po którym, rozkładając wspaniałe ogony, przechadzały się pawie i swobodnie spacerowały oswojone jelenie. Wzdłuż żelaznych parkanów nieustannie jeździli Kozacy na koniach z szablami u boku, a z okna każdej z dwustu komnat można było zobaczyć maszerującego tam i z powrotem wartownika. W pobliskiej wiosce stacjonował dodatkowy, liczący pięć tysięcy żołnierzy garnizon.

W pałacu, zbudowanym na rozkaz Katarzyny Wielkiej w XVIII wieku, każdy pokój zdobiły kryształowe żyrandole i wielobarwne wschodnie dywany; komnaty ogrzewały ogromne kaflowe piece, nadając im piękny zapach. W porostawianych wszędzie wazonach pyszniły się cięte kwiaty, pochodzące zarówno z tutejszych cieplarni, jak i z dalekich carskich ogrodów na Krymie. Dziesiątki lokajów w różnorodnych liberjach bezgłośnie wykonywało swoje obowiązki, od otwierania drzwi po przenoszenie miseczek z kadzidłami z jednej komnaty do drugiej. Do czterech z nich - Etiopczyków, których skóra zdaniem Any lśniła jak heban - należało zadanie szczególne: wchodzili do komnaty przed carem Mikołajem lub cesarzową Aleksandrą. Sam widok któregoś z tych budzących grozę czarnoskórych służących w zdobionych klejnotami turbanach i wzorzystych kamizelach, z lśniącymi bułatami u boku, anonsował wszystkim obecnym nadejście jego lub jej cesarskiej mości.

Dwaj z nich pełnili straż przy drzwiach prowadzących do komnat Aleksego, ale nie zwrócili uwagi na czternastoletnią wielką księżnę Anastazję, która ukradkiem wbiegła do

przedpokoju. Przy kominku stali dwaj lekarze młodego carewicza, w zamyśleniu gładząc się po podbródkach. Wnętrze komnaty rozjaśniało przyćmione światło lamp elektrycznych, osłoniętych ciężkimi kloszami. Na łóżku siedziała caryca, kobieta o rudoblond włosach pośpiesznie upiętych w kok, i smukłymi palcami gładziła czoło syna. Obok niej stał doktor Botkin, tęgi mężczyzna, ubrany jak zawsze w czarny surdut (w surducie wystąpił nawet na plaży w Liwadii, ku rozbawieniu wszystkich), i patrzył pod światło na termometr. Nie miał zadowolonej miny, a kiedy się odezwał, caryca Aleksandra tylko pokiwała głową.

Wsuwając się ostrożnie do pokoju, Ana wreszcie zobaczyła leżącego w łóżku brata. Jego głowa spoczywała na kilku poduszkach, a kilka następnych miał podłożone pod spuchniętą nogę. Poprzedniego dnia spadł z huśtawki - dla Any czy którejś z jej siostr taki upadek skończyłby się najwyżej otarciem kolana, ale dla Aleksego mógł okazać się śmiertelnie niebezpieczny. W dzieciństwie Anę i jej siostry po tysiącokroć ostrzegano, aby nawet nie próbowały trącać i popychać wątłego braciszka. Każde skaleczenie czy zadrapanie, które z pozoru wyglądało niegroźnie, u osoby z tak niską krzepliwością krwi mogło spowodować głębokie i nieodwracalne uszkodzenia pod skórą, wywołując niepowstrzymane krwotoki do stawów i mięśni. Spuchnięta lewa noga była dwa razy grubsza niż zwykle. Otaczał ją ciasny opatrunek z gazy, który zmieniano co godzinę lub dwie, ponieważ przez pory skóry sączyła się krew. Jego oczy, zwykle żywe i figlarne, teraz były zapadnięte i sino podkrążone.

Ojciec wyjechał do Polski w jakichś sprawach dyplomatycznych, ale Ana przypuszczała, że jak zawsze dostał już telegram i wraca tak szybko, jak tylko pozwalają pociągi i powozy.

Ileokroć zdarzało się coś takiego, pojawiała się pytanie: Czy zdąży? Czy młody następca tronu przeżyje atak choroby?

Ana nie potrafiła wyobrazić sobie tego straszego dnia. Pewnie czułaby się tak, jak gdyby zawaliło się na nią niebo. Nie wiedziała, jak jej rodzice, a zwłaszcza matka, mogliby to znieść. To było nie do pomyślenia... więc bardzo starała się w ogóle o tym nie myśleć.

- Dlaczego wstałaś? - spytała matka, kiedy nagle ją zauważyła. - Powinnaś spać.

- Czy Aleksey wyzdrowieje?

- Wyzdrowieje - odezwał się doktor Botkin. - Wyjdzie z tego. Proszę wracać do łóżka.

Nie ma się czym martwić.

Matka uśmiechnęła się blado, ale niezbyt przekonująco, więc Ana podeszła bliżej łóżka. Brat zobaczył ją i próbował się uśmiechnąć, ale nagły paroksyzm bólu wygiął mu plecy. Jego oczy jeszcze bardziej się zapadły, a z ust wyrwał się przeraźliwy krzyk.

Imperatorowa zasłoniła uszy dłońmi, ale po chwili, jak gdyby zawstydzona swoją reakcją, szybko je opuściła i ujęła wilgotne od potu ręce syna.

Szafkowy zegar wybił dwanaście razy i gdy wybrzmiało ostatnie uderzenie, z dziedzińca dobiegły głosy wartowników, a potem stukot kopyt. Ana podbiegła do okna i szarpnęła zasłony, spodziewając się zobaczyć wyskakującego z powozu ojca. Zamiast niego ujrzała rosłego mężczyznę w czarnej sutannie, który zsiadał z klaczy o zapadniętym grzbiecie.

To był Grigorij Rasputin, starzecmnic, czyli święty człowiek z Syberii.

Matka, która stała obok, mnąc zasłonę zbielełymi palcami, powiedziała:

- Bogu niech będą dzięki.

Nawet Ana zmówiła modlitwę. Jeśli ktokolwiek mógł uratować jej brata, to właśnie ten mnich z długą czarną brodą, szerokimi dłońmi i śladami po ospie na twarzy. Nieraz już widziała, jak mu pomógł.

Kilka minut później mnich wszedł do pokoju i wydawało się, jakby wszyscy obecni, nie wyłączając carycy, usunęli się w cień. Choć samo jego nazwisko powinno być sygnałem ostrzegawczym - oznaczało „rozwiązły” - traktowano go z uprzejmością, wręcz szacunkiem (zwłaszcza w obecności Aleksandry, jego żarliwej zwolenniczki i przyjaciółki). Szaty miał przewiązane wytartym skórzanym pasem, buty oblepione błotem i czuć było od niego zapach stajni, ale uwagę przykuwały przede wszystkim jego oczy.

Ana nigdy nie widziała takich oczu jak u Rasputina - niebieskich jak Bałtyk, przesywających jak sztylety. Kiedy przewodniczył wieczornym modlitwom jej i jej sióstr, czuła, że nie ma rzeczy, o której by nie wiedział, że w jej sercu nie ma nic, czego by nie widział, a w jej duszy nic, czego nie mógłby wybaczyć. I choć był serdeczny dla całego rodzeństwa, Ana zawsze czuła, że łączy ją z Rasputinem szczególna więź.

- Jesteś najmłodszą siostrą, ale tobie właśnie przeznaczona jest wyjątkowa rola - zdradził jej kiedyś. - Nawet twoje imię - Anastazja - oznacza „zrywająca łańcuchy”. Wiedziałaś o tym, moje dziecko?

Podobno tak było; w dniu jej narodzin na jej cześć ojciec uwolnił kilku młodych więźniów politycznych.

Ale jakie łańcuchy miałaby sama zerwać, tego mnich nigdy nie powiedział, a ona nigdy nie miała odwagi zapytać.

Jej matka zaprowadziła starca do łóżka, a doktor Botkin dyplomatycznie usunął się na bok. Ana wiedziała, że doktor i Rasputin nie darzą się sympatią, ale wiedziała też, że jej matka bez reszty wierzy temu świętemu człowiekowi, nie lekarzowi. Zresztą wszyscy o tym wiedzieli.

Przede wszystkim sam Rasputin.

Mnich stanął w nogach łoża obolałego carewicza i wznosząc oczy ku niebu, zaczął szeptać modlitwę. W jednej ręce trzymał ciężki, wysadzany szmaragdami pectorał, zawieszony na srebrnym łańcuchu. Ana widziała kiedyś ten krzyż w gablotce w jasnoliliowym buduarze matki, gdzie spoczywał razem z innymi słynnymi klejnotami Romanowów.

Broda mnicha sterczała jak czarny ul, a słowa dudniły niczym echo przejeżdżającego w oddali pociągu. Chociaż z tego, co mówił, Ana niewiele rozumiała, to niski, nieprzerwany dźwięk brzmiał dziwnie krzepiąco. Zobaczyła, jak udręczone oczy brata zwracają się na Rasputina, a po minucie czy dwóch jęki chłopca ucichły i jego oddech się wyrównał. Już wcześniej widziała taką przemianę, mimo że ani ona, ani nikt inny nie miał pojęcia, co ją wywołało. Matka przypisywała to mocy Bożej - „Pan przemawia przez ojca Grigorija” - ale nadworni lekarze nie przestawali się zdumiewać.

Rasputin stanął obok łóżka i ujął dłonie chłopca w swoje szorstkie ręce.

- Krwawienie ustanie i ból minie - powiedział. Caryca patrzyła przez łzy, jak pogłaskał dłonie carewicza. Powtórzył te słowa jeszcze kilka razy, po czym rzekł: - Odpoczywaj, Aleksy, odpoczywaj, a gdy się obudzisz, poczujesz się lepiej. Noga nie będzie już tak spuchnięta, nie będziesz czuć bólu. - Nachylił się, przykrywając twarz chłopca brodą i dotykając szmaragdowym krzyżem pościeli, po czym delikatnie ucałował go w czoło. - I będziesz głośno wołać o owsiankę z miodem i dżem. - Na twarzy mnicha pojawił się uśmiech - tak samo krzywy jak przedziałek rozdzielający jego splątane włosy. Odmówił szeptem następną modlitwę. Kiedy odszedł od łóżka, na dywanie pozostała kałuża po jego zabłoconych butach.

Aleksy przestał więc się z bólu. Cudownym sposobem zasnął, a Rasputin szerokim gestem ramion, niczym car we własnej osobie, dał wszystkim znak, aby wyszli do drugiej komnaty.

- Ty też, mała Ano - szepnął, kładąc rękę na jej ramieniu, okrytym błękitnym jedwabiem szlafroka, a potem zamknął drzwi sypialni. Szmaragdowy krzyż, kołyszący się na jego sutannie, błysnął w blasku padającym z paleniska. Ana pod wpływem nagłego impulsu pocałowała krzyż.

- Ach, Chrystus do ciebie przemawia, prawda, maleńka? - rzekł Rasputin.

Ana nie znalazła odpowiedzi, tak jak nie wiedziała, dlaczego to przed chwilą zrobiła.

Ojciec Grigorij ukazał tylko w uśmiechu zepsute zęby, jak gdyby on doskonale to wiedział.

## Rozdział 7

Choć w tym, co powiedziała doktor Levinson, była odrobina przesady, Slater wkrótce się przekonał, że mówiła serio. Otrzymał instrukcje, by opracować plan działania, ocenić ryzyko, wstępnie określić koszty (mimo że gdy wychodził, doktor Levinson dała mu wyraźnie do zrozumienia, że nie grają żadnej roli) i zebrać zespół potrzebnych specjalistów, a wszystko miało się znaleźć na jej biurku w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin. W innej sytuacji coś takiego zajęłoby kilka tygodni, jeśli nie miesięcy - nie tylko samo zebranie zespołu, ale i zweryfikowanie jego członków przez wszystkie szczeble hierarchii służbowej. Doktor Levinson dała też jednak wyraźnie do zrozumienia, że projekt będzie miał najwyższy priorytet nie tylko dla Instytutu Patologii Sił Zbrojnych, ale także dla całej armii, sił powietrznych i Straży Przybrzeżnej, czyli wszystkich stron, które zaangażują się w niego na tym czy innym etapie. Centrum Zwalczania Chorób w Atlancie także zaoferowało pełną współpracę i wsparcie.

- Ale nie chcę, żeby się w to mieszała - oznajmiła Levinson. - Tam nawet zaparzenie filiżanki kawy trwa miesiąc.

Doktor Slater wrócił do swojego biura, zakasał rękawy i zabrał się do sporządzania listy najlepszych współpracowników. Wiedział, że będą mu potrzebni ludzie równie oddani co wykwalifikowani, równie kompetentni co odważni. Czekala ich bowiem praca najbardziej delikatna i niebezpieczna, jaką można sobie wyobrazić, w bardzo trudnych i niesprzyjających warunkach. Przeprowadzenie sekcji zwłok w najnowocześniejszym laboratorium to jedno, a pobranie próbek narządów na cmentarzu na zimnej wyspie, gdzie w każdej chwili ziemia może się osunąć spod nóg, to zupełnie co innego. Miał świadomość, że będzie musiał dobrać ludzi bardzo starannie.

Najważniejsza jest logistyka. Na wyspę trzeba będzie przetransportować dosłownie tony sprzętu, począwszy od namiotów do dekontaminacji po młoty pneumatyczne, od generatorów po lodówki (choć wybierali się na Alaskę). Do tak dużego i skomplikowanego zadania nadawał się tylko jeden zaufany człowiek - sierżant Jerome Groves, który pod koniec tygodnia miał zostać przerzucony do jakiegoś zapalnego punktu na Bliskim Wschodzie. W sumie telefon mógłby go ucieszyć.

Slater umieścił jego nazwisko na początku listy.

Potrzebowałby też pewnego geologa, o którym wcześniej myślał. Zanim Slater i jego zespół wbiją pierwszą łopatę w ziemię, aby ocenić, co znajduje się pod jej powierzchnią, będą musieli użyć georadaru i - nim wyrządzą nieodwracalne szkody - upewnić się, że trumny oraz ciała w środku w ciągu stu lat nie przesunęły się ani nie oddaliły od siebie. Podczas epidemii tyfusu w Chorwacji pracował z Rosjaninem, który pokłady wód gruntowych odczytywał z równą łatwością co menu w restauracji. Wtedy geolog związany był z Instytutem Geofizyki im. A.A. Trofimiuka, syberyjską filią Rosyjskiej Akademii Nauk, ale Slater nie miał pojęcia, co robi teraz. W każdym razie profesor Wasilij Kozak był osobą, o którą mu chodziło, dopisał więc do listy jego nazwisko.

Sprawami wirusologicznymi i autopsją Slater mógł się zająć sam. Potrzebował jednak jeszcze jednej pary rąk i oczu do pomocy w pracach na cmentarzu i w laboratorium. Po zaledwie kilku sekundach przyszła mu na myśl Eva Lantos, doktor wirusologii z MIT\*, naukowiec o wyjątkowo

‘ Massachusetts Institute of Technology - Instytut Technologii w Massachusetts (przyp. red.). przenikliwym umyśle. Kiedy kontaktował się z nią ostatni raz, mieszkała w Bostonie ze swoją przyjaciółką i pracowała nad genomem golca, ale jeżeli ktokolwiek gotów był na spotkanie z przygodą, to z pewnością Eva.

Slater zadzwonił w kilka miejsc, zostawił parę wiadomości, które ze względu na supertajny charakter misji były znacznie bardziej zagadkowe, niż sobie życzył, po czym zaczął szperać w dokumentach, przygotowanych dla niego przez AFIP. Gdy skończył wstępną listę kandydatów i wysłał wiadomość do doktor Levinson, zerknął przez okno i zobaczył, że zrobiło się już ciemno. Zapomniał zjeść lunch, a przez cały dzień posilał się jedynie czarną kawą i paczką mieszanki studenckiej, którą znalazł w szufladzie biurka. Jako lekarz - zwłaszcza lekarz cierpiący na nawracające ataki malarii - doskonale wiedział, że musi przestrzegać zdrowej diety, prowadzić uregulowany tryb życia oraz starać się unikać stresu. Śmiechu warte. Ledwie udało mu się uniknąć pięciu lat odsiadki, a już wyrusza na arktyczną wyspę na misję z trzecim stopniem zagrożenia. Sięgnął do kieszeni po pudełko z lekarstwem, połknął dwie tabletki chlorochiny, wyłączył lampkę na biurku i zszedł coś zjeść.

Z powodu nieregularnych godzin pracy naukowców i badaczy bufet cały czas był czynny, wziął więc kanapkę i sok. Kilka osób przywitało go, dopytując się, czy przypadkiem ostatnio nie wyjeżdżał na dłużej za granicę. Z ulgą zdał sobie sprawę, że jego napaść na dowódcę i proces przed sądem wojskowym, do którego doprowadził ten incydent, nie wzbudziły tu większego zainteresowania. Cywilna część personelu, która wiedzę na temat dyscypliny wojskowej czerpała tylko z serialu JAG - Wojskowe Biuro Śledcze, nie zdawała

sobie sprawy z powagi sytuacji. Z kolei personel wojskowy był tak pochłonięty własnymi planami i projektami, że nikim innym się nie przejmował.

Slater samotnie zjadł kanapkę, wyrzucił do kosza papier i pustą butelkę, po czym zastanowił się, czy wracać do domu, ale od razu pomyślał - do czego? Do pustego mieszkania? Zawsze mógł pójść na siłownię i poćwiczyć, ale wieczorem miejsce to sprawiało smutne wrażenie. Blask jarzeniówek, ostra woń wylewanego w ciągu dnia potu, znużony pracownik obsługi myjący podłogę w szatni. Nie mówiąc już o tych wszystkich facetach, takich jak on, którzy nie mieli dokąd iść.

I chociaż ciału brakowało sił, w głowie wciąż huczało od myśli. Było to jego przekleństwo i błogosławieństwo. Od zawsze. Jeśli jego mózg był wyposażony w jakiś wyłącznik, Slater jeszcze go nie znalazł. Najgorsze były noce. Myśli mogły go zaprowadzić wszędzie; przypominało to szaloną jazdę kolejką w wesołym miasteczku. W tej chwili wagonik mknął w jednym kierunku - do Banku Tkanek AFIP, mieszczącego się tuż obok, w archiwach Muzeum Medycyny Wojskowej. Został założony przez samego Abrahama Lincolna z typową dla niego mądrością i przezornością - i od tamtego czasu niezbyt się zmienił.

Była to największa kolekcja tkanek na świecie. Bank dysponował ponad trzema milionami próbek, wśród których znajdowały się wycinki tkanki płucnej pierwszego amerykańskiego żołnierza, który padł ofiarą epidemii grypy w 1918 roku, szeregowca z Camp Jackson w Karolinie Południowej. Przed wyjazdem na Alaskę doktor Slater chciał osobiście obejrzeć preparaty i popatrzeć na dawnego wroga, któremu niebawem miał stawić czoło.

Ale gdy próbował z holu głównego wejść do muzeum, posługując się swoją kartą identyfikacyjną, okazało się, że nie ma tam wstępu - na pewno był to jeszcze jeden problem wynikający ze zwolnienia ze służby. I choć wiedział, że może go rozwiązać już następnego dnia, teraz był bezradny.

Jeszcze raz przesunął pod skanerem zalaminowaną kartę, którą nosił na szyi, licząc na to, że może się uda, ale lampka wciąż paliła się na czerwono. Podejrzał, że przy trzeciej próbie włączy się wewnętrzny alarm. Jeszcze minutę czy dwie poczekał w korytarzu w nadziei, że wpuści go ktoś wchodzący, ale o tej porze biura były raczej puste i w pobliżu nie było żywej duszy, a tym bardziej nikt nie zmierzał do ponurych wnętrza starego muzeum.

Było jednak jeszcze drugie wejście i chociaż prowadziła do niego długa okrężna droga, idąc tamtędy, mógł ominąć system zabezpieczeń, który właśnie stanął mu na przeszkodzie. Zawrócił w stronę swojego gabinetu, skręcił w prawo, przeszedł przez skrzydło ekologii i toksykologii, zszedł po schodach na dolny poziom, a następnie szybkim krokiem



pokonał nieogrzewany i prawie pusty garaż.. Ponieważ nagle ogarnął go chłód, uznał, że maszeruje zbyt wolno. Przyspieszył kroku i skierował się na schody prowadzące do korytarza pod piwnicą, pierwotnie przeznaczonego do dyskretnego wyładunku zwłok, które po wojnie secesyjnej przywożono tu wozami konnymi.

Korytarze były zbudowane z czerwonej cegły, która z wiekiem wyblakła, a oświetlenie stanowiły słabe żarówki w drucianych koszach, zamontowane na suficie. Mijał drzwi z matowymi szybami, na których widniały wykonane złotymi literami napisy HISTOLOGIA, EWIDENCJA OBRAŹEŃ WOJENNYCH, WYDZIAŁ PALEOPATOLOGII. Trudno było uwierzyć, że w tym labiryncie ciągle pracują ludzie, ale Slater wiedział, że całe centrum Waltera Reeda już dawno przerosło rozmiarami kampus i że żaden kawałek miejsca nie zostanie pusty.

Skრęcając w kierunku banku tkanek, natknął się na stare gabloty, które kiedyś pokazywano na wystawach. Chociaż już ich nigdzie nie eksponowano, na zakurzonych półkach za grubymi szybami stała kolekcja słoików wypełnionych formaldehydem. Niektóre pochodziły z połowy dziewiętnastego wieku i zawierały okazy obrzydliwych anomalii fizycznych - bliźniąt zrosniętych tułowiami czy ofiar sirenomelii - płodów o zespolonych nóżkach i stopach. Nazwa tej wady ma związek z wyglądem kończyn, kojarzących się z rybim ogonem, i oczu jak u stworzeń wodnolądowych, który sprawia, że płody przypominają mityczne syreny; rzadko kiedy przeżywają one po narodzinach więcej niż jeden dzień. Teraz, po kilkudziesięciu latach, wciąż pływały w słoikach w mętnej cieczy, nietknięte, w niezmiennym stanie.

Tuż za drzwiami do banku siedział strażnik nocnej zmiany, ubrany w nienagannie wyprasowany brązowy uniform, ze słuchawkami w uszach, i zapamiętałe stukał w klawiaturę komputera. Kiedy wszedł Slater, zdumiony uniósł wzrok, szybko wyjął słuchawki, wyprostował się na krześle i podsunął mu listę, aby mógł się wpisać.

- Będzie jeszcze potrzebna karta identyfikacyjna - powiedział. Slater pokazał ją, a strażnik zapisał numer i sprawdził w bazie danych, czy zgadza się z nazwiskiem. Modlił się w duchu, żeby nie pojawił się żaden problem, ale strażnik skinął głową i rzekł:

- Słucham pana?

Slater wyjaśnił, po co przyszedł, a gdy strażnik zaczął podnosić się z krzesła, powstrzymał go:

- Może pan nie wstawać. Wiem, co gdzie jest, poradzę sobie.

- Na pewno? - spytał strażnik, a ton jego głosu wskazywał, że chętnie wróci do tego, czym zajmował się przed chwilą. Slater kątem oka dostrzegł na ekranie jakąś grę wojenną.

- Tak, to nie potrwa długo.

Wtedy strażnik z jakiegoś powodu wyciągnął z pudełka kilka chusteczek i podał Slaterowi.

- Po co mi to?

- Proszę wybaczyć, ale jest pan strasznie spocony. - Wskazał na jego czoło, a gdy Slater przyłożył chusteczki do twarzy, zobaczył, że istotnie są wilgotne.

- Dziękuję - rzekł. - Pewnie dlatego, że bardzo się spieszyłem.

Strażnik wzruszył ramionami i przyglądając się mrocznym salom, powiedział:

- To będzie chyba w pierwszej.

Bank był olbrzymi i składał się z licznych połączonych ze sobą pomieszczeń o łukowych sklepieniach z cegły, w których urządzono stanowiska z mikroskopami, oświetlone rzędami mocnych reflektorków. W długich przejściach ciągnęły się szeregi metalowych szafek z szufladami głębokości nie większej niż talia kart, w których przechowywano próbki tkanek i kości. Były sklasyfikowane według patologii, następnie pochodzenia anatomicznego i organicznego, a wreszcie wieku. Zbierano je i przesyłano do archiwum z koszar i pól bitewnych z całego świata. Najstarsze próbki w każdej kategorii, jeśli pozwalała na to ich wielkość, zwykle znajdowały się w dolnych szufladach poszczególnych działów. Slater, który od kilku lat nie zaglądał do archiwum, potrzebował pół godziny, by odnaleźć drogę do właściwego pomieszczenia. Była to ostatnia z ciągu sal i tak jak w pozostałych, które mijał, nie było w niej nikogo.

Przykucnął, wysunął szufladę, obejrzał próbki, zamknął i otworzył następną. Znalazł w niej to, czego szukał. Szczątki szeregowca Roscoe Vaughana, rekruta szkolonego na artylerzystę w Camp Jackson w Karolinie Południowej, zmarłego w 1918 roku - pierwszej znanej z imienia i nazwiska wojskowej ofiary choroby niezbyt fortunnie nazwanej hiszpańską grypą. Po nim do ziemi trafiły czterdzieści trzy tysiące innych. Podczas pierwszej wojny światowej, z czego nie każdy zdaje sobie sprawę, więcej żołnierzy zmarło na hiszpankę niż zginęło w walce.

Po szeregowcu pozostał tylko nie większy od grzanki kawałek parafiny, w którym lekarz wojskowy kapitan K.P. Hedgeforth umieścił pobrane po jego śmierci płatki tkanki płucnej. Zakonserwowana w formaldehydzie kostka została wysłana do Waszyngtonu, gdzie, zanim naukowcy z AFIP przystąpili do zbadania jej tajemnic, przez blisko osiemdziesiąt lat przechowywano ją na półce w niewielkim brązowym pudełku.

Slater wziął kostkę, która teraz była w przezroczystej kopercie, a także kilka preparatów sporządzonych z jej zawartości jeszcze w Camp Jackson, i zaniósł je do

stanowiska na końcu sali. Cały materiał uznano za całkowicie nieaktywny i używano go wyłącznie do celów dydaktycznych i badań historycznych. Ale kiedy w 1996 roku pobrano z niego próbki i poddano reakcji łańcuchowej polimerazy, uzyskano na tyle dużo informacji, by umożliwić patologom z instytutu rekonstrukcję struktury genetycznej wirusa. W odróżnieniu od martwego materiału źródłowego, wyniki tamtych testów molekularnych były teraz przechowywane z zachowaniem najostrzejszych przepisów bezpieczeństwa w głęboko mrożonych fiolkach i znajdowały się w utajnionym miejscu, do którego dostępu nie miał prawie nikt, a już z pewnością nie ktoś z tak ograniczonymi uprawnieniami jak dziś doktor Slater. To prawda, że zamierza sprofanować groby ofiar epidemii, ale przecież jeśli chce dotrzeć do jej źródeł, to nie ma wyboru i musi zbadać ten stary materiał sprzed dziesiątków lat..

Przecucie mówiło mu, że naprawdę musi to zrobić. Epidemiologię często uważa się za dziedzinę nauki, która od badacza, stojącego oko w oko z okropną rzeczywistością, wymaga chłodnego podejścia, obiektywizmu i umiejętności beznamietnej analizy, jednak Slater nigdy nie traktował swojej pracy w ten sposób. Miał naturę wojownika, ale by w pełni zaangażować się w walkę, musiał dobrze rozpoznać i wyczuć wroga.

Mimo starań elektryków, oświetlenie w pomieszczeniu było kapryśne. Ceglany sufit był zaokrąglony jak ściana beczki, a blask zamontowanych w górze reflektorów w niektórych miejscach był zbyt ostry, a w innych za słaby. Slater zorientował się, że musi przesunąć stółek najpierw w jedną, a potem w drugą stronę, żeby blatu nie przysłaniał żaden cień. Za ścianą słyszał przytłumione brzęczenie starych rur.

Według jednego z dokumentów, które czytał po południu, szeregowy Vaughan był „dobrze odżywionym” młodym mężczyzną; w innym nazwano go „korpulentnym”. Miał sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i podobnie jak większość żołnierzy piechoty, bardzo chciał dotrzeć do Francji jeszcze przed zakończeniem działań wojennych. Przechodził szkolenie na wydmach w pobliżu obozu, ucząc się obsługi uzbrojenia artylerii polowej. Ale dziewiętnastego sierpnia 1918 roku rano, zamiast dołączyć do swojego plutonu, zgłosił się na izbę chorych, skarżąc się na przeziębienie i gorączkę. Miał suchy kaszel i wypieki na twarzy, bolała go głowa. Serce pracowało bez zakłóceń, ale miał zajęte gardło i mówił, że trudno mu złapać oddech. Lekarz rozpoznał objawy grypy i polecił położyć go do łóżka.

Ale takiej grypy świat jeszcze nigdy nie widział.

W ciągu kilku dni stan szeregowego Vaughana coraz bardziej się pogarszał. Temperatura rosła, chory majaczył i miał dreszcze, mimo że okryto go górą koców, których wciąż było za mało. Jego twarz przybrała siny odcień, a stopy poczerniały. Doszło do wtórnej

infekcji, wywiązało się zapalenie płuc, które zaczęły wypełniać się śluzem. Gdy żołnierz próbował coś powiedzieć, na ustach pojawiały się bańki krwi. Na oczach lekarzy i pielęgniarek, którzy przyglądali mu się bezradnie, szeregowy Vaughan powoli tonął we własnych płynach ustrojowych. O szóstej trzydzieści rano dwudziestego szóstego września stwierdzono śmierć pacjenta.

Szeregowy Vaughan, niczym kanarek w kopalni węgla, ostrzegł o nadciągającym zagrożeniu.

Hiszpańska grypa, którą nazwano tak dlatego, że w drodze do Nowego Świata zebrała obfite żniwo w Hiszpanii, ostatecznie pochłonęła wśród ludności cywilnej Ameryki 675 000 ofiar. Liczba przypadków śmiertelnych w innych krajach była znacznie wyższa. Zanim epidemia wygasła, zdążyła radykalnie odmienić los narodów - i samej planety. Tym, którzy sądzili, że ludzkości nie może spotkać większe nieszczęście niż pierwsza wojna światowa, hiszpanka udowodniła, jak bardzo się mylą.

Slater patrzył na tkankę zamkniętą w kostce parafiny - niegdyś kawałku świecy - nie mogąc się nadziwić, ile spustoszenia się w niej kryje. Włączył mikroskop i umieścił w nim jeden z oryginalnych preparatów, przygotowanych przez doktora Hedgefortha; płytki były znacznie grubsze niż w obecnych preparatach i aby cokolwiek zobaczyć, musiał podnieść i wyregulować okular.

Pochylił głowę, ustawił powiększenie i zobaczył bladożółte tło - skrawek parafiny - a na nim ciemną plamkę, coś jak okruch spalonej grzanki na kawałku masła.

Plamka była maleńkim fragmentem lewego płuca szeregowca, który był tak przekrwiony, że zdaniem doktora Hedgefortha wyglądał jak kawałek wątroby.

Mimo upływu lat preparaty i wosk wciąż wydzielały woń formaldehydu, która przypomniwała Slaterowi godziny w laboratoriach analitycznych, spędzone na całonocnej nauce podczas studiów medycznych. Regulował powiększenie i oglądał kolejne preparaty, aż w jednym z ostatnich udało mu się zobaczyć wyraźniejszy obraz nie tylko zastygłych amorficznych komórek o fioletowym zabarwieniu, ale i fragmentów wirusa, przypominających odcinki drutu kolczastego. Miał wrażenie, jakby patrzył na historyczne pole walki - miejsce śmierci i zniszczenia. Widział coś, co skończyło się dawno temu, ale pozostawiło niezmienny do dziś ślad. Jak gdyby czytał wiadomość ze świata, który przestał istnieć... wiadomość przekazaną przez młodego żołnierza, którego duch uleciał z powrotem do gwiazd.

Slater nie miał pojęcia, jak długo siedział nad mikroskopem. Pogрузzył się w badaniu i własnych myślach, a ciszę od czasu do czasu zakłócał dźwięk rur ciepłowniczych za starym

ceglanym murem. Na swój sposób przygotowywał się do walki. Miał przed sobą nieprzyjaciela, pokonanego i uwięzionego pod płytką preparatu, ale był to ten sam wróg, z którym wkrótce miał się spotkać oko w oko w Arktyce... a tam wszystko może się zdarzyć.

Myśli zaczęły mu się plątać - może nawet zdrzemnął się na stołku przez kilka chwil - gdy nagle zdał sobie sprawę, że w przejściu za jego plecami ktoś stoi. Powoli odwrócił głowę. Oślepił go blask jednego z reflektorków i Slater ręką osłonił oczy przed ostrym światłem.

Przez ułamek sekundy miał wrażenie, że patrzy na zmarłego żołnierza, którego tkanki przed chwilą oglądał... ale młody człowiek w uniformie po chwili się odezwał.

- Zamykamy, panie majorze - powiedział strażnik. - Archiwum będzie otwarte jutro od ósmej rano.

Slater skinął głową, wyciągnął ostatni preparat spod mikroskopu, włożył kostkę parafiny z powrotem do przezroczystej koperty i podniósł się ze stołka. Zachwiał się, ale uznał, że to przez zbyt długie siedzenie w jednej, w dodatku niewygodnej pozycji. Musi tylko schować próbki i preparaty z powrotem do szuflady i będzie mógł iść do domu i się wyspać.

Teraz nawet puste mieszkanie wydawało się kuszące.

Idąc pod łukowymi sklepieniami, niespodziewanie poczuł na plecach podmuch chłodu, ale gdy mijał strażnika, który stał przy drzwiach, podzwaniając kluczami, opanował dreszcze. Dopiero gdy skręcił za róg korytarza i zniknął strażnikowi z oczu, odważył się wyciągnąć z kieszeni pudełko z lekami, po czym oparł się o ceglana ścianę i połknął na sucho dwie tabletki przeciw malarii.

Lekarzu, lecz się sam - pomyślał z zamkniętymi oczami, czując lekki zawrót głowy.

Ale gdy otworzył oczy, napotkał wzrok małej niemej syrenki, uwięzionej na zawsze w słoiku z formaldehydem. Ciekawe, czy ciała Rosjan będą równie dobrze zakonserwowane.

## **Rozdział 8**

Harley Vane przez wiele dni opowiadał swoją historię, ale coraz trudniej mu było znaleźć nowych słuchaczy. Wszyscy już słyszeli, że gdy stał na pokładzie, nadzorując wyławianie starej trumny, ten studencik Lucas Mullar zmienił kurs i skierował kuter zbyt blisko skał przy Wyspie Św. Piotra.

- Pewnie nie powinienem zostawiać go samego za sterem - zastanawiał się głośno w rozmowie z dziennikarzem „Barrow Gazette” - ale zawsze lubiłem dawać szansę młodym.

Opowiadał też, że po uderzeniu o skały sam wyciągnął z ładowni na pokład mechanika Richtera - „stary po prostu tonął w morzu krabów” - i zamierzał wsadzić go do szalupy, ale zorientował się, że załoga już spuściła ją za burtę. Kręcąc głową, mówił reporterowi lokalnej gazety:

- Gdyby tylko chwilę zaczekali, pewnie wszystkich bym uratował.

Dopiero kiedy się upewnił, że na pokładzie nie ma już nikogo i że los

„Neptuna II” jest przesądzony, ociągając się skoczył we wzburzone morze i zaczął płynąć do brzegu na rzeźbionym wieku trumny, dzięki czemu cudem ocalał.

- Czasami żałuję, że nie poszedłem na dno razem z kutrem i załogą - zwierzał się, spoglądając w zadumie na morze i pozując fotografowi „Gazette”.

Niewielu miejscowych wierzyło jednak w tę opowieść. Port Orlov był małym miasteczkiem, a bracia Vane mieszkali tu przez całe życie. Gdy byli mali, ich matka uciekła - „zaczarowana przez miejscowego szamana”, jak twierdził ojciec - więc chłopcy wyrosli na dzikusów, a potem stali się wręcz niebezpieczni. Prym wodził starszy z nich, Charlie, który włamywał się do chat mieszkańców, gdy wyruszali na połów, zanieczyszczał paliwem halibuty z innych kutrów, żeby cena jego ryb poszła w górę, wreszcie spowodował katastrofę pierwszego „Neptuna”, gdy pijany zasnął za sterem. Kutrowi zabrakło paliwa na pełnym morzu, utknął w lodzie i został zgnieciony jak blaszana puszka. Potem nikt już nie chciał pływać z Charliem Vane’em u steru. A teraz, gdy na dnie morza spoczął „Neptun II”, wyglądało na to, że nikt nie zamustruje się na statek, jeśli będzie nim dowodził Harley.

- Niech żyje zwycięski bohater - powitał go szyderczo Charlie, gdy Harley zjawił się w rodzinnym domu. Była to stara obszerna budowla z podświetlonym krzyżem, sterczącym na dachu jak antena. Dom stał na ponad metrowych betonowych podporach, jego konstrukcja była tak nieprzemysłana i nieudolna, że każdy pokój wyglądał jakby go dobudowano do całości. Podłogi były krzywe, sufity za niskie albo za wysokie i we wszystkich miejscach, do których trudno byłoby się dostać wózkowi Charliego, umieszczono podjazdy. Po zatonięciu „Neptuna” Charlie próbował handlować sprzętem żeglarskim, a kilka miesięcy później, w czasie wiosennych roztopów, przy najwyższym poziomie wody w rzece, usiłował pokonać progi skalne w kanionie Heron River. Jego kajak roztrzaskał się o skały i Charlie doznał porażenia kończyn dolnych. Tuż po wypadku liczba włamań w miasteczku i okolicy gwałtownie spadła.

- Chodźmy do pokoju modlitw - powiedział, zjeżdżając wózkem po drewnianym podjeździe.

Pokojem modlitw Charlie nazywał obszerne pomieszczenie z drewnianym sufitem i podłogą wyłożoną kilkunastoma chodnikami, które miały ogrzać surowo urządzone wnętrze. Pod ścianą stał szereg składanych krzeseł, na wypadek gdyby na jego niedzielne spotkania przyszło więcej niż kilka osób.

Dwa lata po wypadku Charlie zaczął twierdzić, że odnalazł Boga i, chcąc nieść wszystkim dobrą nowinę, rozpoczął działalność religijną w internecie pod nazwą „Pismo Święte według Vanea”. Była to dziwna mieszanina ewangelizacji, wystąpień antyrządowych i teorii spiskowych. Harley, który parę razy zajrzał na jego stronę, a nawet uczestniczył w kilku spotkaniach modlitewnych, nie był do końca przekonany, czy brat rzeczywiście wierzy w te bzdury, które głosi, czy może ma to być jego kolejny numer. Raz nawet zapytał go wprost, czy to wszystko serio, a wtedy oburzony Charlie wyrzucił go z domu.

Ale to też mógł być element gry.

- Chcesz herbaty? - zapytał, a Harley, który przemarzył na kość podczas długiej wędrówki do domu, przytaknął, chociaż herbata u Charliego po prostu nie nadawała się do picia.

- Herbata! - krzyknął Charlie, rozpędzając wózek, żeby przejechać przez grubą warstwę nałożonych na siebie dywaników. Na stole na kozłach, który pełnił funkcję biurka, stały dwa komputery - jednego Charlie używał do tak zwanych badań, a ekran drugiego cały czas wyświetlał jego stronę z logo: wielkim szarym wilkiem z obnażonymi kłami, broniącym drewnianego krzyża.

Harley usiadł w zdezelowanym fotelu, który zalatywał mokrym psem.

- No, czytałem o twoich przygodach - powiedział Charlie, drapiąc się po zarośniętym podbródku. - Jesteś bohaterem. Jak to jest?

- Może być - odpowiedział Harley.

- Tylko tyle? Może być? - zadrwił Charlie. - Myślałem, że będziesz szczęśliwy, jakby cię kto wsadził na sto koni, a przynajmniej na Angie Dobbs.

Właśnie przez takie uwagi Harley nie wiedział, co myśleć. Z jednej strony brat głosił wszem i wobec, że jest prorokiem, bez skazy i zmazy, a z drugiej był dokładnie takim samym wrednym szydercą jak zawsze - przynajmniej gdy nikt inny go nie słuchał.

- Zarobiłeś już coś na tym? - zapytał Charlie. - Widziałem ten artykuł w „Barrow Gazette” i założyłem się, że udzieliliście im wywiadu za darmo. Mam rację?

- Nie płacisz za to, żeby napisali o tobie w gazecie.

- Tak ci powiedzieli, ale wydaje ci się, że gwiazdy filmowe, piosenkarki czy koszykarze nie dostają pieniędzy za każdym razem, kiedy otworzą usta?

- Nie jestem gwiazdą filmową.
- To akurat racja - zgodził się Charlie.

Weszła Rebekah, żona Charliego, niosąc tacę z herbatą i babeczkami, które zapewne smakowały równie ohydnie. Harley nie był zaproszony na ich ślub i szczerze wątpił, by w ogóle odbyła się jakaś ceremonia, a jeśli już, to pewnie brat twierdził, że miał osobisty kontakt z Duchem Świętym. Rebekah była chudą kobietą, którą brat znalazł przez internet. Odpowiedziała na jego ogłoszenie o poszukiwaniu „towarzyszki życia”. Wprowadziła się do domu ze swoją młodszą siostrą Bathshebą. Rebekah naląła herbaty, którą zrobiono chyba z kory albo czegoś podobnego, pozbawionego kofeiny - wszelkiego rodzaju stymulanty były obecnie niezgodne z religią brata - i podała babeczki, w których na pewno nie było odrobiny cukru ani jakichkolwiek przypraw. Harley uznał, że pewnie upiekła je z trocin, które walały się na podwórku przy rębaku.

Przywitał się z bratową, a ona skinęła głową bez słowa. Jak zwykle miała na sobie długą, zapiętą pod szyję sukienkę. Wychodząc, powiedziała do Charliego:

- Olej opałowy prawie się już skończył.

Mówiła z wyraźnym akcentem z Nowej Anglii - pochodziła z jakiegoś prowincjonalnego miasteczka nie większego od Port Orlov - gdzie żyła w tak zwanej chrześcijańskiej wspólnotcie, która została rozwiązana przez władze stanowe. Mimo to Harley często się zastanawiał, co skłoniło ją i jej siostrę do podjęcia tak głupiej decyzji jak wyjazd na koniec świata, czyli na Alaskę.

Charlie odburknął coś, a gdy wyszła, podjął przerwany wątek.

- Może odtąd ja będę się zajmował kontaktami z prasą - zasugerował.
- Właściwie nie ma już czym. Dzisiaj nikt do mnie nie dzwonił, oprócz Straży Przybrzeżnej. Chcą wiedzieć coś więcej o tym wieku trumny, które zaplątało się w sieci.

- Co dokładnie powiedzieli?

Harley wiedział, że ta sprawa zaintryguje brata.

- Chcą mieć pewność, że nie wyłowiliśmy nic więcej.
- I tak im powiedziałeś?
- A jak myślisz? - rzekł Harley, patrząc nieruchomo w ciemne oczy brata. - Oczywiście, że tak. - Wypił łyk gorącej herbaty, która smakowała gotowaną skórą.

Charlie bez mrugnięcia okiem wytrzymał jego spojrzenie.

Pieprzyć to, teraz albo nigdy - uznał Harley.

- Byłeś u mnie w szpitalu - powiedział znaczącym tonem. - I zabrałeś mój skafander.
- Co z tego? Chcesz go z powrotem? Wisi w szafie w przedpokoju.



Harley postawił filiżankę na stercie starych gazet, poszedł do przedpokoju i wrócił z kurtką. Usiadł i zaczął szperać we wszystkich zapinanych kieszeniach, ale nie znalazł niczego oprócz paczki pastylek na gardło.

- OK, gdzie to jest? - spytał.

- Co? - odpowiedział Charlie, ale ze złośliwym błyskiem w oku, który powiedział Harleyowi, że Charlie doskonale wie, o co pyta brat. Jak gdyby znów byli dziećmi i Charlie ukrywał przed nim jakąś tajemnicę.

- Przecież wiesz. Krzyż, który był w wewnętrznej kieszeni.

Usta Charliego wolno rozchyliły się w uśmiechu, ukazując rząd szarych krzywych zębów.

- Jaki krzyż?

Harley wyciągnął rękę i zażądał:

- Oddaj mi go, Charlie.

- A jeżeli nie, to co? Pobijesz własnego brata kalekę?

Nikt tak jak on nie potrafił szermować argumentem swojego inwalidztwa.

- Jeżeli będę musiał, przewrócę do góry nogami cały cholerny dom.

- Nie sądzę, żeby Rebekah i Bathsheba na to pozwoliły - odparł Charlie i Harley wiedział, że brat ma rację. Mimo że siostry były chude jak szkielety, to stanowczości im nie brakowało i choć wstyd mu było to przyznać, bał się ich jak diabli. Miały oczy czarne jak węgielki, osadzone w trupiobladych twarzach pokrytych bliznami po ospie. Kiedyś widział, jak Rebekah skrzyła kark lisowi, nawet na zwierzę nie patrząc. Bardziej jednak przerażało go to, że chyba podobał się Bathshebie. Był to jeszcze jeden powód, dla którego musiał się stąd wyprowadzić.

W końcu Charliego znudził żart i nie trzymając już dłużej brata w niepewności, pokazał szafkę na broń pod oknem.

- Jest w szufladzie z amunicją.

Przez ułamek sekundy Harley podejrzewał, że szuflada jest pułapką, ale kiedy ją otworzył, znalazł krzyż, zawinięty w czystą szmatkę. Charlie chyba trochę go wypolerował i kamienie - na pewno szmaragdy - lśniły w blasku monitorów komputerów.

- Masz szczęście, że tego nie rozgadałeś - powiedział.

Harley obracał krzyż w palcach, zaskoczony jego wagą, zastanawiając się, czy to połysk prawdziwego srebra, ile mogą być warte kamienie i co oznacza rosyjska inskrypcja na odwrocie. W Nome był paser, Gus Voynovich, z którego usług korzystali z Charliem w

przeszłości - i jeśli ktoś mógł znać prawdziwą wartość znaleziska, to na pewno on. Facet był oczywiście kanciarzem, ale znał się na swojej branży

- Moim zdaniem, powinniśmy się podzielić po połowie - oświadczył Charlie.

- Co ty wygadujesz?

- Zamierzasz to sprzedać w „Kopalni Złota”, nie? - Tak nazywał się lombard Voynovicha w Nome. - No więc wiesz mi połowę tego, co dostaniemy od Voynovicha.

- Akurat. Sam to znalazłem. O mało się nie utopiłem, żeby to zdobyć.

- Ale gdybym nie zabrał ze szpitala twojej kurtki, już by to miała Straż Przybrzeżna albo jakaś cholerna salowa. Jak myślisz, jaką część byś wtedy dostał?

- Dam ci dziesięć procent.

- Nie zamierzam się z tobą kłócić, Harley. Wolałbym od razu wyciągnąć broń z szafki i kazać ci się wynosić z terenu kościelnego. - W związku z tym, że w starym domu znajdowała się siedziba „Pisma Świętego według Vanea”, Charlie nie płacił podatku od nieruchomości. Dostawał też co miesiąc całkiem przyzwoity zasiłek dla niepełnosprawnych.

- Zostaje tylko jedna rzecz, o której powinniśmy pogadać.

- Niby co?

- Ile tego jeszcze tam jest?

- Ile czego? Trumny nie ma, zatoniła tak jak kuter. Nie czytasz gazet?

- Trumna skądś się wzięła. Pewnie z Wyspy Św. Piotra. Pochowali w niej któregoś z Rosjan, którzy tam kiedyś mieszkali. Kto wie, co zakopali w innych grobach.

Harley siedział bez ruchu, czując, jak z każdą sekundą krzyż staje się coraz cięższy.

- Co ci chodzi po głowie?

- Trzeba tam pojechać, zanim zrobi to ktoś inny, i pokopać.

- Mam rozkopywać groby? - mówiąc to, Harley poczuł się dokładnie tak samo, jak wówczas, gdy Charlie kazał mu wejść przez świetlik do sklepu monopolowego przy Front Street.

- Posłuchaj - rzekł Charlie, pochylając się w wózku. - Nie pamiętasz tych opowieści?

- Jasne, że pamiętam. Na tej cholерnej wyspie straszy. - Nie powiedział nic o czarnych wilkach... ani o złotym świetle, które mignęło mu na klifach.

- Już w to chyba nie wierzysz, co? Moim zdaniem to Rosjanie wymyślili przed laty te brednie po prostu po to, żeby nikt się nie zbliżał do wyspy.

- Nigdy nie było powodu, żeby tam płynąć.

- Nie było - przytaknął Charlie. - Kiedyś. - Wszyscy wiedzieli, że na Świętym Piotrze nie ma nic oprócz ruin starej rosyjskiej wioski. Drewniane domki już się pewnie rozsypały ze

starości, a wszystkiego podobno pilnowała jakaś stara kobieta z latarnią, która w nocy chodziła tam i z powrotem po klifie i wabiła żeglarzy w śmiertelną pułapkę. - Ale teraz jest powód.

Harley nie wiedział, co powiedzieć ani jak odeprzeć argumenty brata. Tak było zawsze. Charlie wygrywał każdy spór - czasem od razu, a czasem po prostu wykazując się większą cierpliwością.

- Widzisz jakieś inne wyjście? - ciągnął Charlie kpiącym tonem. - Myślisz, że będziesz miał następny kuter? Albo nową załogę? Jeżeli jeszcze tego nie wiesz, to powiem ci, bracie, że na połów już więcej nie wypłyniesz. - Uśmiechnął się szeroko i wygładził dłońmi flanelową koszulę na piersi. - Powiedziałbym, że ten krzyż zesłała opatrność... i wiem na pewno, że Bóg do nikogo nie puka dwa razy.

Harley nie był przekonany, czy to w ogóle Bóg pukał do drzwi.

Ale Charlie, wskazując ruchem głowy rosyjskie znalezisko, dodał:

- Może wolałbyś to tu na razie zostawić, co? Będzie bezpieczniej. Do twojej blaszanej przyczepy chyba nie tak trudno się włamać?

## Rozdział 9

Slater nie był szczególnie dumny z tego, co właśnie robił - siedział w ciemnym samochodzie, zaparkowanym pod domem swojej byłej żony, choć wcale nie zamierzał się tu znaleźć.

Chciał co najwyżej przejechać wolno obok domu, żeby popatrzeć na niego w drodze z AFIP, ale nagle dopadło go ogromne zmęczenie i musiał się zatrzymać pod osłoną rozłożystego wiązu. W ramach przygotowań do prac ekshumacyjnych na Alasce zaaplikował sobie profilaktykę antywirusową, która mogła go osłabić, a kawa, którą kupił w Starbucksie, najwyraźniej nie podziałała.

Zaparkował, wyłączył światła, rozłożył siedzenie i spojrzał przez szybę na białe mury okazałego domu w stylu Tudorów z gustowną brązową stolarką i spadzistym dachem, otoczonego przyszyronym żywopłotem. Nawet na podjeździe nie było ani jednego listka. Dom wyglądał jak żywcem wzięty ze zdjęcia w czasopiśmie. Na parterze było ciemno, jeśli nie liczyć lampki na werandzie, lecz w oknach na górze paliło się światło i od czasu do czasu widział, jak za dzielonymi skrzydłami okien ktoś się porusza. Martha i jej mąż mieli dwoje dzieci, syna i córkę.

Nie można było sobie wymarzyć doskonalszej sytuacji. Mógłby to wszystko mieć... gdyby tylko chciał.

Poznał Marthę na medycynie na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa. Płaciła za studia sama, jemu finansowała je armia. Gdy się przeniósł do Georgetown, aby zrobić specjalizację z epidemiologii, pojechała razem z nim i studiowała dermatologię. Po ślubie już wiedział, na co liczy - chciała, żeby dostał ciepłą posadkę w Wojskowym Centrum Medycznym Waltera Reeda, a sama zamierzała otworzyć prywatną praktykę na przedmieściach Waszyngtonu. Przez pewien czas próbował spełnić jej marzenia. Wypełniał wszystkie obowiązki biurowe i administracyjne, przekładał papiery, uczestniczył w zebraniach, prowadził wykłady, ale coraz częściej nie mógł sobie znaleźć miejsca. Szczególnie źle się czuł, gdy dostawał raporty z terenu, szczegółowe relacje z linii frontu, gdzie ratowano ludzkie życie i tępiono choroby. Tego się właśnie uczył i to chciał robić, zamiast siedzieć w klimatyzowanym biurze, oceniać programy i przystawiać na nich pieczętki. Zgłosił się do służby za granicą, a Martha, choć niechętnie, zgodziła się, żeby spróbował.

Jeśli jednak miała nadzieję, że to go wyleczy, była w błędzie. Im dłużej to robił, tym bardziej tego chciał. Po roku czy dwóch spędzonych w odległych zakątkach dżungli czuł się tam jak u siebie; znacznie gorzej odnajdował się na koktajlu w Chevy Chase. I chociaż bardzo się z Marthą kochali, oboje zorientowali się, że ich drogi się rozchodzą. Kiedy pewnego wieczoru odwiozła go do bazy, skąd rano miał lecieć do obozu wojskowego na Dominikanie, gdzie doszło do wybuchu epidemii dengi, pożegnała go, mówiąc, żeby na siebie uważał, ale obydwójce wiedzieli, że za jej słowami kryje się coś więcej. Gdy po dziewięciu tygodniach otwierał drzwi ich mieszkania, miał złe przeczucia. W liście, który czekał na niego na kuchennym blacie, znalazł wszystko, czego się spodziewał, ale i tak czytał go kilka razy, żeby wchłonąć każde słowo. Nawet dziś, gdyby go ktoś zapytał, mógłby powtórzyć cały list z pamięci, linijka po linijce.

Slater wypił łyk wystygłej już kawy i patrzył, jak okno na górze uchyla się i czyjaś ręka zaciąga zasłonę. Wydawało mu się, że słyszy strzępek rozmowy przyniesionej przez wiatr: chlapiący głos, który mówił coś o zadaniu domowym, i śmiech kobiety. Śmiech Marthy. Kilka sekund później zgasło światło.

Slater odchylił siedzenie jeszcze bardziej i zamknął oczy. Boże, ależ był zmęczony. Na dworze panował chłód i wcale nie było mu ciepło, choć siedział w samochodzie i miał na sobie kurtkę. To był bardzo długi dzień. Długi, ale owocny. Przygotowania do misji posuwały się naprzód i powoli formował się jego wymarzony zespół. Doktor Eva Lantos z entuzjazmem powitała okazję, by wyrwać się z laboratorium w Bostonie („Chętnie dam odpocząć

genomowi golca!"). Wasilija Kozaka odnalazł na wysypisku odpadów przemysłowych na obrzeżach Irkucka, gdzie kończył prace badawcze nad chemicznymi zanieczyszczeniami gleby.

- Zaleciłem, żeby zamknęli całe miasto - rzekł z twardym rosyjskim akcentem - ale ten pomysł nie przypadł im do gustu.

- Nie dziwię się.

- Ja też.

Slater zdradził mu w największej tajemnicy, do czego będzie mu potrzebny na Alasce. Wasilij słuchał uważnie, gdy pokrótce przedstawiał czekające go zadanie, i tylko pod koniec przerwał mu, żeby spytać:

- Czy ta hiszpanka zabiła wielu Rosjan?

- Dziesięć albo dwanaście milionów, w największym przybliżeniu - odrzekł Slater.

- Sądzisz, że nadal można się nią zarazić?

Slater wiedział, że Wasilij naprawdę chce wiedzieć, więc odpowiedział mu szczerze:

- Nie, nie sądzę, ale niczego nie mogę zagwarantować.

Rosjanie, nawet dziś, dużo wiedzą o śmierci - żniwo, jakie w dwudziestym wieku zebrały wśród nich wojny i choroby, przekracza wszelkie wyobrażenia. Niektóre narody zapominają czasem o swoich dawnych nieszczęściach, ale Slater wiedział, że Rosjanie mają tę straszną wiedzę we krwi i szanował wypływającą z niej ostrożność.

- Jeżeli przyjedziesz, to powinienes już teraz poddać się profilaktyce antywirusowej, takiej samej jak wszyscy w zespole, ze mną włącznie.

- Prześlesz mi nazwy lekarstw?

- Zrobię więcej. Wyślę ci je do Irkucka.

Wasilij chrząknął, wciąż się zastanawiając, gdy Slater wyjaśniał, jakich zezwoleń będzie potrzebował od Akademii Nauki ze strony rosyjskiej, a jakich od Rady Bezpieczeństwa Narodowego, AFIP, a nawet być może od FBI ze strony amerykańskiej. Na koniec powiedział:

- To wszystko, co mam do powiedzenia - i czekał na decyzję.

- Myślę, że chyba w Irkucku zrobiłem już wystarczająco dużo - rzekł profesor.

Slater uśmiechnął się, zaciskając pięść w geście triumfu.

- Tak, dobrze byłoby znów z tobą pracować. Może dokonamy epokowych czynów.

Slater miał jednak nadzieję, że nie przejdą do historii, i gorąco pragnął, aby ta misja okazała się zupełnie zbędna - poza tym uważał, że we wszystkim należy się doszukiwać dobrych stron.

Teraz w zespole brakowało już tylko jednego ważnego elementu i tego popołudnia Slater pojechał do bazy w Fort McNair. Adiutant powiedział mu, gdzie może znaleźć sierżanta Grovesa. Wszedł do sali, starając się nie rzucać w oczy. Trzymał się z tyłu, przyglądając się walce i choć Groves i jego przeciwnik mieli miękkie rękawice i kaski, każdemu uderzeniu towarzyszył głuchy łomot.

Inni żołnierze szybko przerwali trening, odłożyli skakanki, dali spokój workom treningowym, opuścili hantle. Walka była po prostu za dobra, żeby nie zwrócić na nią uwagi.

Jak na kogoś o budowie buldoga, Groves poruszał się zaskakująco zwinnie, skacząc po całym ringu. Drugi pięściarz był biały, ale miał dłuższy zasięg ramion i przewagę kilku centymetrów wzrostu. Parę razy wyprowadził sierpowy, trafiając sierżanta w ramię albo w bok głowy. Raz nawet Groves zakotłusał się na piętach od potężnego ciosu w żebra.

Ale ilekroć został trafiony, pochylał niżej głowę i znów nacierał niczym Mike Tyson, tylko bez maoryskiego tatuażu.

Rozległ się gong i dwaj zawodnicy natychmiast opuścili ramiona i wycofali się do swoich narożników. Groves siedział z pochyloną głową, popijając wodę przez rurkę.

- Sierżant naprawdę potrafi dowalić - zauważył żołnierz w Tshircie z West Point.
- Tak, bez dwóch zdań - zgodził się Slater.
- Słyszałem, że odsłużył już trzy zmiany w kontyngencie.
- Cztery.

Żołnierz spojrzał na Slatera, który nie wyglądał znajomo, a w cywilnym ubraniu - kurtce, džinsach i białej koszuli - zupełnie tu nie pasował, więc pewnie się zastanawiał, skąd człowiek z zewnątrz może o tym wiedzieć. Tymczasem rozległo się staccato worka treningowego, który znów ktoś zaczął młócić.

Ponownie zabrzmiał gong, dwaj zawodnicy podnieśli się i zaczęli krążyć po ringu. Groves cały lśnił od potu, lecz poza tym sprawiał wrażenie, jakby się rwał do walki. Jego przeciwnik z kolei trzymał ręce nieco niżej, opadały mu ramiona i w połowie rundy zadawał już ciosy, które w nic nie trafiały.

- Aha, Groves jak nic go załatwi - powiedział żołnierz w koszulce akademii wojskowej.

I zgodnie z jego przewidywaniem, Groves czekał nie dłużej niż trzydzieści sekund, po czym ruszył naprzód jak lokomotywa, atakując gradem ciosów, od których przeciwnik nie tylko położył się na linach, ale niespodziewanie wypadł przez nie za ring. Wylądował na macie, wypłuł ochraniacz zębów i leżał, ciężko dysząc, podczas gdy kolega pomagał mu zdjąć kask.

- Jezu, Groves, spokojnie - powiedział. Złapał następny oddech. - Nie bijemy się o pieniądze.

Groves też wypluł ochraniacz i odrzekł:

- Trzeba walczyć jak o pieniądze, poruczniku. Zawsze.

Groves rozchylił liny i zszedł z ringu. Siedział na ławce i wkładał swoje rzeczy do torby, gdy Slater wysunął się z kąta sali i zapytał:

- A więc tak spędzasz czas poza służbą?

Sierżant nie musiał nawet podnosić wzroku.

- Cześć, Frank, spodziewałem się tu ciebie.

- Niezła walka.

Groves parsknął i energicznie przetarł ręcznikiem spoconą skórę ogolonej głowy.

Slater usiadł na ławce.

- Kiedy masz wyjechać?

- W przyszły piątek, z Ósmym Batalionem.

- A dokąd?

- Czy to ważne? - odparł Groves. - Pięćdziesiąt stopni w cieniu i fura piasku dookoła.

Slater ruchem głowy wskazał na dwóch następnych wchodzących na ring.

- Nie wiem, czy w porównaniu z tym w ogóle mam jakieś szanse - zażartował. - Wygląda na to, że proponuję ci wczasy.

Groves zasunął zamek torby, po czym odwrócił się do Slatera, który zauważył, że sierżant ma rozciętą wargę.

- Dostałem twoje wiadomości, ale ciągle nie rozumiem - powiedział Groves.

- Czego nie rozumiesz?

- Dlaczego jedziesz na następną misję, w dodatku na Alaskę, skoro właśnie wylali cię ze służby.

- Jadę wyłącznie jako epidemiolog. Tym razem nie żołnierz, tylko cywilny pracownik AFIP.

- Wiedzą, że masz jeszcze ataki malarii? Mówisz, że mam sobie zrobić wolne, a nie wydaje ci się, że sam powinieneś wziąć długi urlop?

- Nigdy nie wiem, co wtedy robić - odparł Slater i uznał, że to grube niedopowiedzenie. - Przynajmniej tym razem to nie Bliski Wschód. Nikt nie będzie do nikogo strzelał. Chodzi wyłącznie o misję medyczną.

- W takim razie do czego jestem ci potrzebny? - zapytał sierżant.

- Potrzebuję kogoś zaufanego, kto mi pomoże przeprowadzić całą operację. Za tydzień mamy wylądować około trzech ton sprzętu na wyspie, na którą podobno prawie nie można się dostać. Samolot nie ma gdzie wylądować, statek nie ma bezpiecznego portu, w którym mógłby zacumować. Trzeba będzie dostarczyć wszystko helikopterami, mniej więcej tak, jak to robiliśmy w Afganistanie, i od razu zabrać się do roboty.

Groves wypuścił z płuc powietrze i spojrzął na dwóch nowych zawodników, którzy markowali ciosy i atakowali prostymi.

- Czemu teraz? Czemu o tej porze roku?

- A czemu nie? Przecież to okres świąteczny - gdzie może być lepiej niż w Arktyce?

- Jest ciemno. Prawie cały czas. Ktoś o tym pomyślał?

- Oczywiście, że pomyśleliśmy - odparł Slater. I to była prawda, jedną z pierwszych rzeczy, którą uwzględnił w szkicu budżetu, było sztuczne oświetlenie - lampy ksenonowe, reflektory, zapasowe generatory, żeby mieć pewność, że nie zabraknie im światła. Podczas pracy z wirusami, aktywnymi czy nie, usterka oświetlenia mogłaby być równie niebezpieczna jak awaria chłodzenia. - Ale zadanie nie może czekać.

Jeden z zawodników na ringu zadał cios poniżej pasa, a jego przeciwnik głośno się poskarżył.

- Rozchodź to! - krzyknął Groves.

Wznowiono walkę, a Slater czekał. Mimo zastrzeżeń sierżanta, Slater dobrze znał swojego człowieka. Wezwanie na misję w Afganistanie miało swoją moc, ale prośba ze strony dawnego majora była silniejsza. Poczucie lojalności nie pozwoliłoby Grovesowi puścić Slatera samego, zwłaszcza gdy zwrócił się do niego w tak osobisty sposób.

- Dostałem już rozkazy - powiedział w końcu Groves, nie odrywając wzroku od ringu. Zawodnicy zwarli się w klinczu, trykając się głowami jak dwa barany. - Kto zmieni mi przydział?

- O to się nie martw. Wszystkim się zajmiemy - Slater wyciągnął do niego rękę. - Nie zapomnij spakować ciepłych rzeczy.

- Aha - odrzekł sierżant, z rezygnacją podając mu dłoń. - Nie zapomnę.

Koniec końców Slater uznał, że to był udany dzień. Teraz potrzebny był mu tylko porządny odpoczynek. Patrząc w głąb ulicy, zobaczył, jak w jednym z domów otwierają się drzwi, wybiega zza nich pies, podnosi nogę przy drzewie, a potem truchtem wraca do środka. Slater wciąż odczuwał senność wywołaną lekami. Włączył ogrzewanie w samochodzie i zamknął oczy, żeby zdrzemnąć się dziesięć minut i ruszyć w dalszą drogę do domu. Ale kiedy



się ocknął, zeszywniały i obolały, usłyszał ciche pukanie w szybę. Otworzył oczy i ujrzał Marthę w dresie, która stała przy samochodzie z kluczem w ręku.

Zażenowany sytuacją, wcisnął guzik i otworzył okno.

- Tylko mi nie mów, że siedziałeś tu całą noc - powiedziała.

Slater spojrział na zegarek. Było wpół do szóstej rano. Wstawał szary świt. Jezu, pomyślał, czyżby interakcje tych wszystkich leków wywołały narkolepsję?

- Tylko mi nie mów, że o tej godzinie wychodzisz biegać - odrzekł pogodnym tonem, mając nadzieję, że zamaskuje nim zakłopotanie.

Martha ze smutkiem pokręciła głową.

- Chcesz wejść i się ogrzać?

- Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł.

- Masz rację - zgodziła się.

Nastąpiła niezręczna chwila, a potem Martha powiedziała:

- Cieszę się, że sprawa przed sądem tak dobrze się skończyła.

- W sumie miałem szczęście.

- Czyli pracujesz znowu na miejscu, w Stanach?

- Nie na długo.

- A potem dokąd jedziesz?

- To poufne - powiedział i obydwójce się uśmiechnęli. W przeszłości identyczną rozmowę odbyli tyle razy, że kiedy powtarzali ją teraz - gdy Martha stała ubrana w dres na zimnej ulicy, a Slater skulony siedział w samochodzie - te słowa obojgu wydały się absurdalne.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, mając sobie do powiedzenia tysiące rzeczy, które i tak powiedzieli już wcześniej. Czując, że ma plecy sztywne jak deska, zdrętwiałe nogi i mętlik w głowie, Slater odniósł wrażenie, jakby oglądał wizję życia, którego nie miał, ale mógłby mieć - i w tym momencie uznał, że nie byłoby takie złe. Musiał się powstrzymać, by nie wyciągnąć ręki przez okno i nie pogłodzić Marthy zimnymi palcami po policzku. Podczas corocznego badania epidemiologów, których kierowano na misje o wysokim poziomie stresu, psychiatra wojskowy powiedział mu ostatnio, że wyraźnie dostrzega u niego brak bliskości w życiu.

- Nie może pan wiecznie od tego uciekać - powiedział wtedy. - Biorąc pod uwagę to, z czym ma pan do czynienia w pracy, potrzebuje pan w życiu podpory, bezpiecznego portu, do którego zawsze można wrócić. - Lekarz zrobił pauzę, po czym dodał: - Bo jeśli nie, to zboczy pan z kursu i wypłynie na nieznane wody emocji.

Slater wiedział, że lekarz ma rację - wystarczy zobaczyć, dokąd go właśnie zniosły prądy.

- No dobrze - powiedział, jakby właśnie uciął sobie z byłą żoną najzwyczajszą pogawędkę. Przekręcił kluczyk w stacyjce - Cieszę się, że mogliśmy pogadać.

- Ja też - odrzekła, stukając z żartobliwą miną w unoszącą się szybę. - Zajrzyj czasem.  
- W jej uśmiechu był cień goryczy i Slater zastanawiał się przez chwilę, czy i ona myślała o niezrealizowanym scenariuszu wspólnego życia.

Na pożegnanie uniósł rękę i ruszył, a kawałek dalej zwolnił, żeby w lusterku wstecznym popatrzeć na jej sylwetkę w niebieskim dresie oddalającą się w głębi ulicy, coraz mniejszą i mniejszą. Skręciła za róg, nie oglądając się za siebie, i zniknęła, podobnie jak wiele rzeczy w jego życiu.

## Rozdział 10

Port Orlov nie od zawsze nosił tę nazwę. Pierwotnie była to mała innuicka wioska, która powstała po to, aby wykorzystać naturalny port. Przez setki lat tubylcy mieszkali w surowych, ale solidnych chatach, zbudowanych ze skór karibu i futer fok, a przy drzwiach każdej z nich stał rodzinny totem. Wzdłuż brzegu ciągnął się rząd smukłych kajaków, na których ruszali na połów migrujących przez Cieśninę Beringa wali grenlandzkich.

Ale pod koniec XVIII wieku wioskę odkrył jeden z licznych rosyjskich statków handlowych, który zapuścił się na te wody w poszukiwaniu futer, skór i kłów morsów, a potem rozegrała się tam taka sama ponura tragedia jak gdzie indziej na Wyspach Aleuckich i na brzegu łądu, który rodowici mieszkańcy nazywali Alakshak czyli „Wielki Łąd”. Najpierw goście przybyli w pokojowych celach, proponując kupno futer wydr, kości słoniowej i skór niedźwiedzi, które mieli Innuici. Płacili rumem i bronią za wszystko, co myśliwi zdołali upolować. Potem, gdy Innuici zaczęli stawiać opór - tłumacząc, że zabijanie tylu zwierząt w tak bezmyślny sposób nie tylko jest błędem, ale stanowi bezpośrednie zagrożenie dla ich trybu życia - Rosjanie brutalnie wymusili na nich posłuszeństwo, zabijając tysiące ludzi i podporządkowując sobie resztę. Kiedy niespełna sto lat później kapitan Orłow i jemu podobni skończyli swoje dzieło, z Innuitów, których liczba wcześniej przekraczała osiemnaście tysięcy, pozostała zaledwie garstka, a wydrom, kormoranom i lwom morskim, na których Innuici opierali swoją egzystencję, groziło wyginięcie.

Na starym totemie w miasteczku były wyrzeźbione pyski niektórych z tych zwierząt - szczególną rolę odgrywały wydry i wilki - ale dzisiaj słup stoi przechylony pod dziwnym kątem i nikomu w okolicy nie chce się go wyprostować. Nie byłoby też źle, gdyby go odmalowano.

Harley Vane, w nasuniętym na głowę kapturze i z rękami w kieszeniach kurtki, mijając słup totemiczny, kopnął w jego stronę kamyk - miał gdzieś tubylców i ich idiotyzmy. Zmierzał do baru „Yardarm”, żeby ubić mały interes. Było dopiero wpół do piątej, ale dzienny limit światła słonecznego już dawno się wyczerpał. Dni stawały się coraz krótsze, kurcząc się do najwyżej godziny lub dwóch około południa, po których zamglone słońce znikało za horyzontem, a niebo wypełniało się gwiazdami. Spękana i zryta koleinami ulica była nieproporcjonalnie szeroka - musiała zmieścić przejeżdżające tędy od czasu do czasu szesnastokołowe ciężarówki. I pusta, jeśli nie liczyć sunącego z warkotem pługu śnieżnego.

Przed barem Harley jak zwykle zobaczył szereg zardzewiałych pikapów i poobijanych furgonetek, wśród których - tak jak się spodziewał - stał wóz hydraulika Eddiego Pavlika. Eddie więcej zarabiał na handlu trawką, którą woził na pace samochodu, niż na przepychaniu zatkanych rur.

Harley wszedł do gwarne go baru i zdjął kaptur. Poczł nagły podmuch ciepłego powietrza, który zmierzwił mu włosy. Szybko je przyglądził, zanim zdążyła go dostrzec Angie Dobbs. Właśnie ją zobaczył, jak w fartuszku podaje pizzę jakimś pajacom siedzącym niedaleko stołów bilardowych. Eddie ustawiał bile dla Russella Wrighta.

Chyba tysiąc razy przechodził przez tę wysypaną trocinami salę, ciasno wypełnioną drewnianymi stolikami i krzesłami, ale od wypadku na morzu czuł, że coś się zmieniło, że ludzie inaczej na niego patrzą. Z początku był przekonany, że wszyscy są pod wrażeniem - w gazecie ukazało się jego zdjęcie, a historia, którą opowiadał, była niewiarygodna. Nie przeżył nikt oprócz niego. Teraz jednak atmosfera wokół niego się zmieniła.

Jak gdyby podśmiewali się z niego za plecami.

- Hej - powiedział, gdy Russell składał się do strzału, zezując na koniec kija. Eddie stał oparty o ścianę, trzymając w ręku piwo. Harley zastanawiał się, czy Angie już go zauważyła.

- Hej - odpowiedzieli chórem. Russell, bardziej milczący, zabrał się do metodycznego wbijania bil, podczas gdy Eddie jak zwykle zaczął narzekać.

- Dasz wiarę, że w Kalifornii chcą zalegalizować trawkę? Dasz wiarę, że będzie w tej sprawie głosowanie? Cholera, nie wiem, może tam wyjechać i obsadzić towarem ze sto akrów albo załatwić sobie papier od lekarza - mają takie coś w wielu stanach - żeby można było bez

problemu sprzedawać towar i go używać. Bo sam powiedz, czemu rząd ma mówić, co mogę wprowadzać do organizmu, a czego nie. Jest coś o tym w Konstytucji?

W rozmowach z nim prawie każdy temat prowadził do Konstytucji, choć Harley był stuprocentowo pewien, że Eddie w życiu jej nie przeczytał. Harley oczywiście też nie, więc całkiem możliwe, że zawierała długą listę rzeczy, które można lub nie można wprowadzać do organizmu. Uznał jednak, że dobrze byłoby wprowadzić do niego piwo.

Angie wciąż roznosiła butelki i szklanki. Jej blond włosy też się mocno skręciły, ale to tylko dodawało jej uroku. Na dolnej wardze miała kolczyk, a na ramieniu wytatuowane imię Mick - to facet, któremu urodziła dziecko, gdy miała szesnaście lat. Czasami Harley widywał w miasteczku małego z babcią, która go wychowywała.

- Pisali o tobie w innych gazetach? - zapytał Eddie. - Słowo daję, powinienesz zadzwonić do jakiegoś programu w telewizji typu Deadliest Catch.

- No - przytaknął Russell, wbijając właśnie do luzu białą bilę. - Mógłbyś zagrać w rekonstrukcji katastrofy...

- Może nawet namówiłbyś kogoś, żeby zrobił o tym film. Za te pieniądze mógłbyś kupić nowy kuter.

- I nową załogę - dorzucił Russell - skoro o tym mowa.

Eddie zaśmiał się i klasnął w dłoń.

- Tak, stary, powodzenia! - Zgiął się wpół ze śmiechu i wtedy Harley zorientował się, że Eddie jest zalany. - Będą się o ciebie bić. - Próbował się skupić i wykonać strzał, ale fatalnie spudłował.

Na tym właśnie polegało wrażenie Harleya, że w miasteczku zmieniła się atmosfera wokół niego. Z początku wszyscy zdawali się dziękować Bogu, że morze oszczędziło przynajmniej jednego człowieka, ale potem jakby zmienili zdanie. Ludzie, którzy go znali - któż mógłby go nie znać w miasteczku wielkości Port Orlov? - patrzyli na niego z ukosa. Harley zaczął myśleć, że mu nie wierzą - przynajmniej nie do końca. A kiedy w składzie drewna wpadł na niego ojciec Lucasa Mullera, wbił w niego ciężki wzrok. Harley doszedł do wniosku, że chodzi mu o to, iż o zatonięcie kutra obwinił Lucasa. Próbował się zrewanżować równie nieruchomym spojrzeniem, ale mu się nie udało. Muller wręczył mu ulotkę z informacją, że w nadchodzącą niedzielę w miejscowym kościele odbędzie się nabożeństwo żałobne za wszystkich członków załogi, którzy zginęli.

- Pewnie ludzie będą chcieli, żebyś powiedział kilka słów - rzekł Muller. - Będziesz mógł to zrobić?

W jego głosie brzmiało niedowierzanie, dlatego Harley odparł:

- Jasne. Nie ma sprawy.

Nabożeństwo odkładano tak długo, ponieważ czekali, żeby się przekonać, ile ciał uda się wydobyć. Wyłowiono trzy - Lucasa, Farrella i Samończyka. Pozostałych dwóch, czyli Kubelika i starego Richtera, do dziś nie odnaleziono.

Harley zauważył zmierzającą w ich stronę Angie. Niosła na tacy miseczkę z preclami i trzy piwa.

- Do nas, do nas! - zawołał Eddie i złapał dwie butelki; jedną odstawiając z boku dla Russella, który znów podszedł do stołu.

Ostatnią butelkę Angie podała Harleyowi, mówiąc:

- Słyszałam, że w przyszłą niedzielę będziesz w kościele przemawiać.

- Tak, wszyscy mnie o to proszą - odrzekł Harley, rzucając na tacę dziesięć dolarów.

- Kończę dzisiaj o dziewiątej.

- Tak? - wyjąkał.

- Mhm. A mały Mick jest u mojej mamy.

Wciąż zachodził w głowę, dlaczego dała dziecku imię po tym typku, który nawet nie zaczekał, żeby być przy jego narodzinach.

- Mogłabym wpaść - powiedziała.

- Pewnie - powiedział Harley, starając się nie zdradzać, jak wielką ma na to ochotę. - Chyba będę u siebie.

- Hej, Angie! - zawołał jeden z klientów, wymachując pustą butelką.

- Już nam wyszło! - To był Geordie Ayakuk, który pracował w miejscowym ośrodku kultury prowadzonym przez Centrum do Spraw Społeczności Innuickiej. Harley nigdy go nie lubił, a teraz jeszcze przerwał mu ważną rozmowę.

Kiedy jednak Angie odeszła, a Eddie i Russell zmęczeni się bilardem

- gdy kończyły się pieniądze na grę, szybko się nudzili - Harley mógł się zająć sprawą, o której chciał z nimi pogadać. Usiedli przy stoliku wcisniętym między szafę grającą a drzwi męskiej toalety, pochylili się nad piwem i miseczką fistaszków w łupinach i Harley, najlepiej jak umiał, zaczął ich namawiać do swojego pomysłu - a ściślej rzecz biorąc, pomysłu swojego brata Charliego.

- Widziałem to na własne oczy - powiedział Harley do uważnie słuchających go mężczyzn. Koszula Eddiego cuchnęła, jakby nie zmieniał jej od czasu ostatnich prac hydraulicznych, a spod podwiniętych rękawów Russella widać było tatuaż, który zrobił sobie podczas odsiadki w Spring Creek. Miał przedstawiać orła, ale bardziej przypominał nietoperza.

- Jeżeli widziałeś te klejnoty, czemu od razu ich nie wzięłeś? - zapytał Russell. - Zanim kuter poszedł na dno?

- Bo nie wiedziałem, że pójdzie na dno - wyjaśnił po raz drugi Harley.

- Gdybym wiedział, jasne że od razu bym to zabrał. - Uznał, że nierozsądnie byłoby zdradzać Eddiemu i Russellowi fakt, że zdążył wyciągnąć krzyż; gdyby o tym wiedzieli, może próbowaliby go okraść.

- Więc mówisz, że co tam było? - zapytał Eddie. - Naszyjnik ze szmaragdami?

- Może. Ale mówiłem już, że trudno było się dobrze przyjrzeć, bo szczelina była za mała.

- Może to było wszystko? - powątpiewał Russell, rozłupując następny orzeszek. - Czemu myślisz, że jest coś więcej?

- Sam nie wiem - przyznał Harley. - Niczego wam nie obiecuję. Ale jeżeli spod ziemi wyszły inne trumny, to kto wie, co jest w środku?

Russell wciąż nie był przekonany, ale Eddie wyraźnie zaczynał się podniecać.

- Nigdy nie słyszeliście tych historii? - spytał Eddie. - Wujek opowiadał mi kiedyś o tych stukniętych Rosjanach, którzy dawno temu uciekli z Syberii i osiedlili się na wyspie, bo nikt nie mógł się tam dostać. Mieli jakąś tajemniczą religię i żyli zupełnie odcięci od kontynentu.

- Jak im się to udało? - zdziwił się Russell. - Przecież to amerykańskie terytorium.

- Zgodnie z umową należało do tych pieprzonych tubylców - wyjaśnił Harley - którzy zobaczyli dużo paciorków i powiedzieli im, że mogą sobie wziąć wyspę. Od tego czasu nikt tam już nie zaglądał, bo miała kiepską opinię.

- Mówisz o tym, że wszyscy umarli?

- Aha - przytaknął Harley. - No i przez czarne. - Wciąż miał przed oczyma, jak przewodnik stada skacze, usiłując dosięgnąć jego stóp, kiedy helikopter Straży Przybrzeżnej zmarzniętego na kość ściągał go z plaży. - Nawet Eskimosi ją omijają, bo mówią że tam straszy.

- Kupa bzdur - mruknął Russell.

- Masz rację - potwierdził Harley przekonującym tonem. - Masz rację. - To żółte światło mogło być zwyczajnym złudzeniem. - To brednie. Tak naprawdę nikt tam nie zagląda, bo cholernie trudno znaleźć drogę, którą można się dostać na wyspę. Już raz wpieprzyłem się w te skały i nie zamierzam wpieprzać się znowu.

- Chłopcy, chcecie jeszcze jedną kolejkę? - zapytała Angie, zatrzymując się przy ich stoliku z kolejną miseczką orzeszków. - Za godzinę kończę pracę - dodała, spoglądając znacząco na Harleya.

- Się wie - odpowiedział. - Ja stawiam.

- Zaraz wracam.

- Podobno ma kolczyk na sutku, taki sam jak na wardze - zauważył Eddie. Harley nie mógł się już doczekać, żeby się o tym przekonać.

- Powiedz jeszcze raz, ile z tego będzie dla nas? - zapytał Russell.

- To mój pomysł, więc biorę siedemdziesiąt pięć procent z tego, co znajdziemy - oznajmił Harley. Wiedział, że połowę z tego będzie musiał dać Charliemu. - Resztą możecie się podzielić.

Russell wyraźnie się wahał, podczas gdy Eddie już liczył pieniądze.

- Na pewno będziemy mogli wziąć „Kodiaka” - powiedział, mając na myśli niewielki stary trawler swojego wuja. - On i tak często jest za bardzo pijany, żeby wypływać na połów.

- Będą nam jeszcze potrzebne łopaty, może piłka do metalu i lutlampa - dorzucił Harley. - Nawet jeżeli trumny są z pół metra pod ziemią, to będzie ciężko jak diabli dostać się do nich przez wieczną zmarzlinę.

Angie z brzękiem postawiła przed nimi butelki i znów zapłacił Harley. Korciło go, żeby odliczyć z ich doli rachunek z baru.

Milczeli, dopóki obok ich stolika nie przecisnął się Geordie Ayakuk, który poczłapał do toalety. Po chwili Harley zapytał ściszym głosem:

- No więc jak, chcecie to zrobić czy nie?

- Ma się rozumieć - oświadczył Eddie, uderzając w stół otwartą dłonią i rozsypując wszędzie łupinki po orzeszkach.

Na twarzy Russella wciąż malowało się powątpiewanie.

- Czym się martwisz? - zapytał Harley.

Russell wiercił się na krześle i drapał po tatuażu na przedramieniu.

- Będziemy wykopywać ludzi. Trupy z grobów. Tak nie wolno.

- Chryste Panie, przecież nie będziemy ich wyciągać - ostro zaprotestował Eddie. -

Dwie minuty i zaraz będą z powrotem w grobach, jak przedtem.

Geordie wyszedł z toalety i mijając Harleya, zaśmiał się.

- Byłeś już w Tańcu z gwiazdami?

- Oglądaj, to zobaczysz - odburknął Harley, po czym zwrócił się do Russella - No więc?

- Zgódź się - namawiał go Eddie. - To będzie czad. Pomyśl, ile propanu musiałbyś się nadzwigać, żeby zarobić taką kasę.

- Jeżeli w to nie wchodzisz, masz trzymać gębę na kłódkę - uprzedził Harley.

- Myślisz, że nie wiem? - obruszył się Russell. - Po prostu nie chcę wylądować z powrotem w Spring Creek.

- Nie wylądujesz - zapewnił go Harley. - To będą tylko... poszukiwania. Stara tradycja na Alasce. Tylko że tym razem kopalną złota będzie cementarz.

To się spodobało Eddiemu, który roześmiał się tak głośno, że i Russell zaczął się uśmiechać. Harley wiedział, że już go ma. Wyciągnął zaciśniętą pięść i Eddie uderzył w nią kostkami palców. Kilka sekund później Russell powoli podniósł rękę i też uderzył nią w zwiniętą dłoń Harleya.

Gdy po kilku minutach Harley wyszedł z baru „Yardarm”, żeby zdążyć do domu i położyć na łóżku czyste prześcieradło, z północnego zachodu, czyli od strony Wyspy Św. Piotra, powiał silny wiatr. Przez chwilę zdawało mu się, że słyszy wycie wilków. Nałożył kaptur, mocno go zaciągnął i rozejrzał się po pustej ulicy. To miała być jego szczęśliwa noc. Angie Dobbs, nareszcie. Na dobry początek podszedł do krawężnika, wyciągnął nóż myśliwski, który zawsze nosił z tyłu za paskiem, i wbił go w przednią oponę dzipa Geordiego Ayakuka.

## Rozdział 11

Na Wyspie Św. Piotra wiatr był silniejszy niż zwykle, ale zamiast rozproszyc otulającą skaliste brzegi mgłę, ubił ją na gęstą mleczną masę. Wył wokół starych drewnianych budynków rosyjskiej kolonii jak stado wilków i gwizdał przez szczeliny w palisadzie.

Stary Richter słyszał, jak jego podmuchy szarpią krokwiemi, ale wątpił, by zrujnowany kościół z cebulastą kopułą, który stał tu od dziesiątków lat, miał się zawalić akurat dziś w nocy. Bo wiedział, że ta jedna noc mu wystarczy.

Rano już nie będzie żył.

Już się tak bardzo nie bał. Miał mnóstwo czasu, żeby przyzwyczaić się do tej myśli. Odkąd fala zmyła go z pokładu „Neptuna II”, na różne sposoby oszukiwał śmierć... najpierw uczepony kawałka zniszczonej szalupy, później gdy wyczołgał się na brzeg i wspiął po kamiennych schodach, szerokich najwyżej na ćwierć metra, które zaprowadziły go wyżej... aż do ruin starej kolonii.



Upadł w tym kościele i przez dzień, może nawet dwa leżał pod stertą stwardniałych futer. Przez sen słyszał dźwięki przypominające odgłos helikoptera i syreny mgłowe, ale nie potrafił się obudzić, nie potrafił się poruszyć. Kto by uwierzył, że taką katastrofę mógł ktokolwiek przeżyć, a tym bardziej stary Richter? Był pewien, że wszyscy pozostali utonęli.

Modlił się, żeby pierwszym, który poszedł na dno, był ten kretyn Harley Vane.

Miał nadzieję, że siły wróci mu sen i może odrobina czegoś do jedzenia, ale w kieszeni znalazł jedynie dwa rozmokłe batony, które wydzielał sobie kawałek po kawałku. W kościele znalazł tylko starą słomę, którą przeżuwał jak koń, i kałużę deszczówki, która przeciekła przez dziurę w kopule. Aby się dostać do tej odrobiny wody, musiał się czołgać na łokciach. Odmroził sobie stopy, które zmieniały kolor z sinego przez fioletowy aż po czarny. Przebarwienia nieubłaganie pełzły coraz wyżej. Przez kilka dni na przemian tracił i odyskiwał przytomność, a ilekroć udało mu się ocknąć, był tym zdumiony.

I prawdę powiedziawszy, rozczarowany.

Chciał, żeby to się wreszcie skończyło. Żył już wystarczająco długo i nie miał ochoty, żeby go ratowano tylko po to, by mu uciąć nogi i kilka palców u rąk, bo ich też już nie czuł; potem trafiłby do jakiegoś domu opieki, gdzie powoli traciłby resztki sił i dogasał. Było mu tylko przykro, że jest sam. Chętnie zobaczyłby przed śmiercią twarz jakiegoś człowieka. Kogoś, z kim mógłby się pożegnać. Kto może nawet trzymałby go za starą zmarzniętą rękę, gdy będzie odchodził.

Było ciemno, tak ciemno, że nie wiedział nawet, czy w ogóle ogląda coś rzeczywistego, czy tylko obrazy, które podsuwają mu myśli. Ciągle widział swoją żonę, a przecież ona od dwudziestu lat nie żyła. I klacz, którą miał w dzieciństwie. Brązową z białym nosem. Miała na imię Queenie. Dlaczego nie mógł sobie przypomnieć, co się z nią stało? Raz, gdy miał trzynaście lat, pojechał pociągiem z Tacoma do St Paul i nigdy w życiu nie przeżył niczego wspanialszego. Konduktor z wagonu sypialnego oprowadził go po całym pociągu i wyjaśnił, co do czego służy. Richter zawsze lubił wiedzieć, co jak działa.

W kościele było okno, wciąż zasłonięte jedną okiennicą, która przez całą noc łomotała. Richter zastanawiał się, jakim cudem drewniane skrzydło ocalało, skoro było tak luźno zamocowane. Okiennica znów uderzyła o drewno, a do kościoła wpadł podmuch wiatru, wzbijając kurz i słomę.

W myślach przemknął mu następny obraz... płonącej jasnym światłem latarni.

Wydawało mu się, jakby przed chwilą mignęła mu za oknem.

Myślami powrócił do wagonu pociągu. Pamiętał, jak się zachwycił na widok tych wszystkich wskaźników i przełączników w kabinie maszynisty i jak pytał, do czego każdy z nich służy. Czuł się, jakby otworzył się przed nim sezam.

U drzwi, które Richter przed kilkoma dniami zamknął i zaklinował, rozległo się jakieś skrzypnięcie. Teraz się otwierały i do środka wpadało żółte światło. Leżąc na sztywnych futrach, odwrócił głowę i tuż za jedną z kościelnych ławek ujrzał coś, co wyglądało jak unosząca się w powietrzu stara naftowa latarnia.

Usłyszał szuranie - jak gdyby ktoś ciągnął po deskach niesprawną stopę, idąc główną nawą w jego stronę.

- Tu jestem - wychrypiał. - Na podłodze. - Czyżby jego życzenie miało się spełnić? Czyżby los miał mu oszczędzić samotnej śmierci?

Latarnia zbliżyła się jeszcze bardziej, a gdy zmrużył oczy i popatrzył w ciemność, dojrzał osobę, która ją trzymała.

Zobaczył twarz, kobiecą, wychudzoną jak twarz jego żony, gdy rak dokonał już najgorszego. Długie siwe włosy i bezzębny uśmiech... uśmiech, od którego zrobiło mu się jeszcze zimniej.

Latarnia znalazła się jeszcze bliżej, a pod futro wsunęła się ręka i ujęła jego dłoń. Teraz szczerze żałował, że w ogóle modlił się o towarzystwo. Jej palce w dotyku przypominały gałązki.

Powiedziała coś - zabrzmiało to jak słowa pociechy - w języku, którego nie rozumiał.

Chciał krzyknąć, ale zabrakło mu tchu. Czuł się, jakby krew przestała mu krążyć w żyłach. Kilka razy próbował złapać oddech. Jej ręka zacisnęła się mocniej i umarł z szeroko otwartymi oczami, wpatrzonymi w światło latarni i z ustami zastygniętymi w bezgłośnym krzyku.

Kobieta powtórzyła swoje słowa, a potem puściła jego rękę i utykając, odeszła.

Otuliła ramiona szalem, mimo że nie czuła zimna, i wyszła z kościoła. Nie знаła imienia starego człowieka, ale wiedziała, skąd się tu wziął. Widziała, jak zatonął statek.

Widziała wiele tonących statków... przez wiele lat.

Idąc wydeptaną przez siebie ścieżką, krążyła po kolonii, przypominając sobie donośne głosy odmawiające modlitwę, zapach świeżo upieczonej ryby i ciepło trzaskającego ognia.

Ile czasu upłynęło, odkąd nie słyszała nic poza wyciem wilków - jej pokrewnych dusz - odkąd nie poczuła niczego cieplejszego niż stygnąca ręka tego umierającego starego człowieka?

Ale na cóż więcej zasłużyła? Była zwiastunką śmierci. Ale straszna łaska, dzięki której ocalała życie - nie raz, lecz dwa razy - z innymi obeszała się mniej łagodnie.

- Jesteś wyjątkowym dzieckiem - powiedział jej mnich. - Bóg przeznaczył ci wyjątkową rolę.

Tego wieczoru, gdy to od niego usłyszała, podarował jej srebrny krzyż na połączanym łańcuchu. Był wysadzany szmaragdami zielonymi jak kocie oczy, a na odwrocie miał wyrytą wiadomość przeznaczoną tylko dla niej.

- Niech to będzie nasz sekret - powiedział wtedy, kładąc jej na głowie swoją wielką dłoń - dłoń, która uzdrowiła jej młodszego brata. Poczuła, jakby spłynął na nią uzdrawiający balsam, zamknęła oczy, zaczęła oddychać spokojniej i nawet przestała ją boleć zdeformowana lewa stopa, która zawsze tak bardzo jej doskwierała.

- Daję ci to błogosławieństwo, żeby chroniło cię od złego - rzekł. A potem niskim głosem zaintonował kilka słów. Nie pierwszy raz poczuła od niego woń alkoholu i wiedziała, że niektórzy ludzie mówili o nim okropne rzeczy.

- Nic nie może ci wyrządzić żadnej krzywdy - powiedział, a ona ani przez chwilę w to nie wątpiła. - Jeśli wierzysz w moją moc...

- Wierzę, ojcze, wierzę.

-... w takim razie musisz też uwierzyć w moc tego krzyża.

Unosząc latarnię, wyszła za palisadę i zniknęła między drzewami na zboczu. Choć ich nie widziała, miała świadomość, że czarne wilki - duchy zmarłych, którzy nie zaznali spokoju - idą jej śladem, chyłkiem przemykając przez las. Ile czasu upłynęło, odkąd się zorientowała, że ich nie przybywa ani że nie umierają? Ile czasu upłynęło, odkąd zdała sobie sprawę, że w każdym tajemniczym stworzeniu kryje się dusza, tak samo zagubiona jak jej, uwięziona między tym a tamtym światem? Że ich los jest nierozzerwalnie związany z jej losem?

Kiedy zbliżyła się do cmentarza, jej towarzysze pozostali z tyłu, w cieniu drzew. Opuszkami palców musnęła drewniane słupki w bramie, przebiegając słowa, które tu kiedyś wyryła. Wybaczcie mi, brzmiały - ale kto miał to uczynić?

Silny wiatr zaciągnął nad ziemią kurtynę śniegu. Kobieta szła między przewróconymi płytami nagrobnymi i skamieniałymi krzyżami, ale gdy dotarła na skraj cmentarza wychodzący na morze, zatrzymała się. Odpadł tu kawał ziemi, jak zepsuty ząb wyrwany z dziąsła. Gdyby mogła zagrzebać się w tej zniszczonej ziemi i odnaleźć tam swoje miejsce, na pewno by to zrobiła. Ale, jak rzekł Rasputin, czekał ją wyjątkowy los.

Minął już niemal wiek i przez cały ten czas nigdy nie zyskała pewności, czy jego słowa były błogosławieństwem, które miało dać jej siłę do walki z przeciwnościami losu, czy też przekleństwem, rzuconym na jej głowę i głowy całej rodziny.

Ale bez względu na intencję, słowa w zadziwiający sposób okazały się skuteczne i w jednym, i w drugim przypadku.

## Rozdział 12

- Za około dziesięć minut będziemy nad Wyspą Św. Piotra - zatrzeszczał głos pilota; mimo że Slater miał na uszach słuchawki, trudno mu było go usłyszeć przez warkot śmigieł i dudnienie dwóch silników śmigłowca Sikorsky S-64 Skycrane. - Chciałem zdążyć za dnia, żeby się mogli panowie dobrze przyjrzeć, zanim się ściemni. - Miedziany krążek słońca na horyzoncie znikał za mglistym zarysem wschodniej Syberii. - O tej porze roku mamy niewiele dziennego światła.

- W Irkucku miałem lampy kwarcowe - powiedział do swojego mikrofonu profesor Kozak. - Trzy - dodał, pokazując Slaterowi trzy palce w rękawicze. - Po jednej w każdym pokoju.

Slater życzliwie pokiwał głową, próbując utrzymać na kolanach zapieczętowaną kopertę. Obaj mężczyźni siedzieli obok siebie za pilotem i drugim pilotem i lecieli nad zimną zielononiebieską taflą Cieśniny Beringa; pod nimi łączyły się wody Pacyfiku i Morza Arktycznego, a pomiędzy Małą Diomedą należącą do Stanów Zjednoczonych a Wielką Diomedą leżącą na terytorium Rosji przebiegała niewidzialna linia zmiany daty. Sierżant Groves został w Nome, gdzie organizował resztę ładunku i czekał na doktor Evę Lantos, aby towarzyszyć jej w ostatnim etapie podróży z Bostonu, natomiast Slater postanowił polecieć pierwszym helikopterem razem z wypożyczonym rosyjskim geologiem. Nie mieli czasu do stracenia i chciał, żeby obaj przyjrzeni się ukształtowaniu terenu na Świętym Piotrze. Wiedział, że trzeba będzie podjąć wiele decyzji, i to szybko.

Wyprawa była zmusna i skomplikowana, choć dopiero się zaczynała. Slater przyleciał z Waszyngtonu do Los Angeles, stamtąd do Seattle, potem do Anchorage, skąd samolotem transportowym dotarł do Nome, gdzie do dwóch helikopterów ładowano górę sprzętu i zapasów potrzebnych do ekspedycji. Kiedy w ładowni pierwszego z nich znalazło się wszystko, od nadmuchiwanymi laboratoriów po grube gumowe maty antystatyczne, a

następnie została ona zamknięta i zabezpieczona, na pokład wszedli Slater i zażywny profesor. Ostatni raz widzieli się na polu minowym w Chorwacji, które razem pokonywali.

W przeciwieństwie do większości helikopterów, Sikorski został zaprojektowany głównie z myślą o transporcie ciężarów do dziesięciu ton i w efekcie wyglądał jak gigantyczna modliszka z pękatą kabiną w przedniej części, przeznaczoną dla pilotów i pasażerów (zabierał ich najwyżej pięciu naraz) oraz długą i wąską ładownią z wysuwającym żurawiem do opuszczania lub podnoszenia ładunków z dużej wysokości. W powietrzu utrzymywał go wirnik o sześciu długich łopatach, umieszczony nad podwoziem, oraz śmigło na ogonie. Slater miał wrażenie, jak gdyby podróżował latającą maszyną do robót budowlanych.

Przez wiele mil lecieli wzdłuż nierównych brzegów Alaski, nad szerokimi połaciami tajgi, gdzie bujnie rosły osiki, trawy i gęste krzewy, oraz nad nagą tundrą, gdzie krajobraz był bardziej surowy. Od czasu do czasu Slater dostrzegał człapiące po krach niedźwiedzie albo stada karibu, które rozgrzebywały zmarzniętą ziemię w poszukiwaniu ukrytych pod szronem porostów. Kiedy przelatywali nad wcinającym się w morze pasem lądu, klepnął drugiego pilota po ramieniu i pokazał palcem w dół, na spadziste dachy oraz krzywe ogrodzenia.

- Przylądek Księcia Walii - rzekł drugi pilot. - Nazwany tak w 1778 roku.

- Przez kapitana Cooka - powiedział profesor Kozak, dumny, że może coś dodać.

Niewiele było tu do oglądania, a przy prędkości, z jaką lecieli - niecałe dwieście kilometrów na godzinę - wtulone w skaliste zbocze miasteczko szybko znikало z pola widzenia. Slater znał jednak dobrze jego smutną historię. Nie różniła się zbyt od historii sąsiedniego Port Orlov.

Rdzenni mieszkańcy nazywali to miejsce Kingigin, czyli „wysoki cypel”. Kiedyś była tu tętniąca życiem inuicka wioska i ważny ośrodek handlu jelenimi skórami, kością słoniową, nefrytami, krzemieniem, koralikami i fiszbinami. Miasteczko leżało w najbardziej wysuniętym na zachód punkcie Ameryki Północnej, tuż pod kołem polarnym, a z lądu prowadził do niego tylko wąski szlak dla psich zaprzęgów. Podczas epidemii hiszpanki w 1918 roku powinno więc pozostać najbezpieczniejszym miejscem na ziemi. Nie było tam nawet telegrafu. Ale za sprawą serii fatalnych zdarzeń w Wales, podobnie jak w kilku innych osadach na Alasce, odnotowano najwyższy współczynnik umieralności w Ameryce.

W październiku tamtego roku do Nome przyplłynął parowiec „Victoria”. W porcie powitał go świadomy zagrożenia miejscowy lekarz, który nalegał, by zbadać całą załogę i pasażerów; kilkadziesiąt osób poddał nawet kwarantannie w Szpitalu Świętego Krzyża. Ale gdy po pięciu dniach zachorowała tylko jedna z nich (a chorobę zdiagnozowano jako

zapalenie migdałków), pozostałych wypuszczono. Cztery dni później zmarł na hiszpankę jeden z pracowników szpitala, a po czterdziestu ośmiu godzinach kwarantanna obowiązywała już w całym Nome.

Ale stało się, było za późno. Ze statku wyładowano pocztę i chociaż odkażono ją do ostatniego papierka, marynarze, którzy przynieśli worki do miejscowych doręczycieli, stali się nieświadomymi nosicielami wirusa. Agentami śmiertelnej zarazy zostali potem listonosze, którzy jeździli psimi zaprzęgami do najodleglejszych punktów terytorium. Wszędzie rozwozili chorobę, a gdy trzy tygodnie po doręczeniu poczty do Wales dotarli wreszcie ratownicy, ujrzeli obraz całkowitego zniszczenia - stosy rozkładających się ciał w zaspach śniegu i stada dzikich psów rozrywających szczątki. W jednej chacie znaleziono zamrożonego na kość mężczyznę, który oplatał ramionami piec. Trzeba go było pochować w pozycji klęczącej, w kwadratowej skrzyni. Ci, którzy przeżyli, głodowali w jednoizbowej szkole, pijąc tylko rosół z renifera.

- Popatrz! - krzyknął profesor, wskazując na Cape Mountain, który właśnie mijali. - Przyjacielu, tu się kończy dział wodny. - Z ust pachniało mu miętową gumą, którą pracownicy żuł, by uniknąć zatkania uszu.

Wznoszący się na potężnej płycie granitu poszarpany brązowy szczyt, błyszczący od śniegu i lodu, miał kształt ostrza topora. Tubylcy mawiali, że właśnie u stóp Cape Mountain mityczny drwal Paul Bunyan odłożył siekiere, kiedy już wyciął wszystkie drzewa w Arktyce. Slater domyślał się już, skąd się wzięła ta legenda.

- Kiedy dolecimy do Świętego Piotra - odezwał się pilot - podejść od wschodu, zrobię obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni, a potem mogę stanąć w zawisie, jeśli panowie sobie życzą. - Zerknął na wskaźnik paliwa, po czym dodał - Ale nie za długo.

Na myśl o tym, że w końcu zobaczy wyspę, Slater poczuł, że serce zabiło mu żywiej, i wyprostował się w fotelu, co, zważywszy na grubość kurtki i naramienne pasy bezpieczeństwa, wcale nie było łatwe. Swobodę ograniczała mu także obecność profesora, który wykazywał jednak taki entuzjazm, że sam ten fakt wystarczał, by doktor nie miał żadnych wątpliwości, iż do mało radosnego zadania, które ich czekało, wybrał właściwego człowieka.

Helikopter zbliżał się do celu. Między ramionami pilotów na wprost przed sobą Slater zobaczył nierówną czarną bryłę, otoczoną skałami, które wystawały nad powierzchnią wzburzonej wody. Prawie całą dolną część wyspy zasłaniały lód i mgła. Dostrzegł fragmenty plaży, ale prawdopodobnie były za małe i zbyt strome, aby mógł na nich usiąść helikopter, zwłaszcza taki. Przez moment mignęły mu kręte stopnie, wykute w kamiennym klifie.

- Wyspa powstała w wyniku wybuchu wulkanu - zabrzmiał w słuchawkach głos profesora, w którym było słycać ton podziwu. - To lawa bazaltowa sprzed dwóch milionów lat. - Zdjął okulary i zdmuchnął ze szkieł jakiś pyłek, znów wypełniając kabinę zapachem mięty, po czym szybko założył je z powrotem.

Helikopter przechylił się w prawo i Slater miał teraz lepszy widok przez boczne okno. Na szczycie stromego klifu, w którym urządziły sobie gniazda rybitwy, rozciągał się nierówny płaskowyż, gdzieniegdzie porośnięty świerkami i olchami.

- Może pan podejść bliżej? - zapytał Slater.

- Da się zrobić - odparł pilot - ale wiatr przy klifach może być niebezpieczny.

Śmigłowiec zszedł nieco niżej i przeleciał bliżej wyspy. Wtedy właśnie Slater zobaczył coś ukrytego w skąpym lesie. Złapał Kozaka za rękaw i wskazał w dół.

Ponad drzewami wystawała podziurawiona cebulasta kopuła z surowego drewna.

- Rosyjska kolonia - powiedział pilot, zataczając nad nią koło.

W helikopter uderzył nieprzyjemny boczny wiatr, lecz pilotowi udało się ustabilizować maszynę na tyle, by Slater mógł się przyjrzeć terenowi. Starą cerkiew otaczało kilka zrujnowanych budynków - chat, które ledwie stały na wysokich fundamentach, pustych zagród dla zwierząt, studni z zardzewiałym wiadrem. Resztki wioski otaczała częściowo rozebrana palisada.

A gdzie cmentarz?

To samo pytanie zadawał sobie chyba profesor, bo pociągnął Slatera za rękaw i wskazał ścieżkę, prowadzącą od miejsca, gdzie kiedyś stała główna brama, i znikającą w gęstym zagajniku wiecznie zielonych drzew.

- Mógłby pan polecieć bardziej na zachód? - poprosił Slater.

- Zgoda, ale mamy tylko kilka minut. Potem trzeba będzie zatankować w Port Orlov - odpowiedział pilot.

Sikorsky, którego wirnik w zawisie hałasował jeszcze bardziej niż podczas lotu, zrobił zwrot i ponad wierzchołkami drzew ruszył tropem ścieżki, aż ujrzeli skalisty cypel. Wystawał z płaskowyżu niczym deska do prasowania, a jego smaganą wiatrem powierzchnię znaczyły pochylone stare drewniane krzyże i płyty z szarego kamienia.

Logiczne, pomyślał Slater. Cmentarz założono jak najdalej od kolonii.

W zapadającym mroku zobaczył na samym końcu cypla nierówny punkt, gdzie ziemia i skały niebezpiecznie zawisały nad urwiskiem, jak gdyby w tym miejscu z ciała wyspy wyrwano jedną kończynę... i już wiedział, skąd pochodzi znaleziona na morzu trumna.

- Światło gaśnie - powiedział pilot i ostatnie promienie słońca zniknęły tak nagle, jakby ktoś zdmuchnął świeczkę. Nad wyspą zaległa ciemność, a helikopter szybko przechylił się i oddalił od stromego, niedostępnego klifu.

Ale Slatera wciąż nurtowało jedno pytanie. Była to przypuszczalnie najbardziej odizolowana kolonia na planecie, otoczona krami i skalistym brzegiem, pozbawiona poczty i kontaktu z miejscową ludnością. W czasie pandemii 1918 roku powinna być najbezpieczniejszym miejscem na ziemi. Ale śmiertelne macki hiszpanki sięgnęły nawet tu. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek uda mu się dowiedzieć, jak to się stało. Nie pierwszy raz wbrew woli poczuł coś w rodzaju podziwu dla strasznego wroga. Niech to szlag, trzeba przyznać, że był podstępny.

- Kutry do połowu krabów - zauważył pilot, gdy Slater spojrział w dół i zobaczył kołyszące się na wzburzonym morzu światła. - Najgorsza robota na świecie.

Zabawne, pomyślał. Często słyszał, jak dokładnie tymi samymi słowami mówiono o jego zajęciu.

## Rozdział 13

Sankt Petersburg, 25 grudnia 1916 roku

Pałac Zimowy wyglądał najpiękniej, kiedy przystrajano go na bal bożonarodzeniowy. Jak co roku, Anastazja nie mogła się tego doczekać - zwłaszcza że był to koniec roku tak tragicznego i krwawego. Choć wzdłuż rozległych granic imperium miliony źle przygotowanych rosyjskich żołnierzy wciąż desperacko walczyły z Niemcami, tu nikt by się tego dziś nie domyślił. Gdy spoglądała na obszerny ośnieżony dziedziniec, przed olbrzymim westybuliem pałacu zatrzymywały się setki wytwornych powozów, lśniących samochodów, dzwoniących sań i jaskrawoczerwonych trojek, z których wysiadali wytwornie ubrani goście cara i carycy, śmiejąc się i rozmawiając. Niektóre słowa dobiegały nawet do miejsca przy oknie w pokoju młodej wielkiej księżnej - większość gości mówiła po francusku, w języku znacznie modniejszym niż rosyjski. Anastazja dostrzegła znajome twarze; właśnie zobaczyła, jak z jednego z najokazalej zdobionych pozłaczanych powozów, ciągniętego przez cztery wspaniałe białe konie ze złotymi frędzlami w grzywach i ogonach, wysiada młody wielki książę Dymitr, kuzyn jej ojca, wraz ze swoim wiernym przyjacielem księciem Feliksem Jusupowem, potomkiem najbogatszej rodziny w Rosji.



Krążyła plotka, że rodzina Jusupowów jest bogatsza od samej rodziny carskiej, choć Anastazja nie mogła w to uwierzyć. Kto mógłby posiadać więcej niż car? Nawet jeśli Feliks należał do najbardziej czarujących i rozchwytywanych młodych mężczyzn w całym Petersburgu, sama myśl wydawała się impertynencją.

Goście zbierali się w wielkiej sali balowej przez ponad godzinę, a punktualnie o wpół do dziewiątej mistrz ceremonii trzy razy uderzył hebanową laską w marmurową podłogę i ogłosił nadejście ich cesarskich gości. Mahoniowe, zdobione złotem drzwi otworzyły się szeroko i do olbrzymiej, oświetlonej kryształowymi żyrandolami sali balowej za ojcem i matką weszła Anastazja z trzema siostrami. Mężczyźni w obwieszonych medalami mundurach i czarnych frakach skłonili się z szacunkiem, a panie w obszernych jedwabnych sukniach dygały, wydając przy tym szelest, który przywodził Anastazji na myśl stado podrywających się do lotu gęsi. Na szyjach i w uszach dam oraz na ich nadgarstkach i palcach mieniły się klejnoty we wszystkich możliwych barwach i rozmiarach. Primabalerina Baletu Petersburskiego miała białe buciki, których obcasy i klamerki wysadzane były drobnymi brylantami.

Orkiestra zagrała poloneza i podczas gdy rodzice zaczęli witać gości - matka z charakterystycznie nieobecnym wyrazem twarzy, który pojawiał się u niej zawsze, ilekroć Aleksy znów przechodził bolesny atak choroby - Anastazja rumieniła się po uszy i starała się nie potknąć o brzeg swojej długiej białej sukni. Z powodu deformacji lewej stopy nosiła buty zrobione specjalnie dla niej przez nadwornego szewca z Moskwy, ale bardzo trudno było jej się poruszać po wyfroterowanym parkiecie i bała się przewrócić na oczach arystokracji z całego kraju. Wielki marszałek dworu hrabia Paul Benckendorff wziął ją pod ramię i podał jej lampkę szampana.

Anastazja rozejrzała się szybko i zapytała:

- A jeżeli mama zobaczy?

- Jeżeli zobaczy? - powtórzył ze śmiechem hrabia. Końce jego sztywnych siwych wąsów sterczały jak dwa ołówki. - Jest wigilia Nowego Roku, a ty masz piętnaście lat!

Gdy wciąż się wahała, powiedział:

- Do dna!

I Anastazja, śmiejąc się już razem z nim, spełniła polecenie. (Szczerze mówiąc, już kilka razy piła szampana, ale wiedziała, że mama wciąż tego nie aprobuje).

- Proszę zarezerwować dla mnie chaconne - dodał, mrugając do niej, po czym odszedł przywitać gości z ambasady brytyjskiej.

Kiedy jej siostry tańczyły, Anastazja pilnie obserwowała, odnotowując w pamięci wszystko, żeby następnego dnia jak najdokładniej opowiedzieć o balu Aleksemu. Prawowity następca tronu przebywał z dala od towarzystwa w prywatnych apartamentach rodziny carskiej, dochodząc do siebie po krwotoku z nosa, który się zaczął od zwykłego kichnięcia poprzedniego dnia. Z powodu choroby krwawienie nie ustawało i doktor Botkin, po konsultacjach z najlepszymi lekarzami w Petersburgu, wciąż się wahał, czy zaryzykować kauteryzację pękniętego naczynia krwionośnego, które spowodowało krwotok. Anastazja dobrze wiedziała, że każdy lekarz jak ognia bał się zostać tym, który próbując pomóc, jeszcze bardziej zaszkodzi carewiczowi. Dlatego na ogół nie robili nic, postanawiając czekać, patrzeć i modlić się, żeby minął kolejny kryzys.

Oczywiście, posłano po Rasputina - który miał się również pojawić na balu - ale, jak się często zdarzało, na razie nikomu nie udało się go znaleźć. Chociaż był sławny, jego życie prywatne owiane było tajemnicą. Anastazja słyszała różne opowieści na ten temat - niektóre wręcz gorszące - ale matka niewzruszenie twierdziła, że to stek kłamstw, wymyślonych przez politycznych i osobistych wrogów człowieka, którego sama z czcią i przywiązaniem nazywała ojcem Grigorijem.

W sali balowej zebrało się już prawie tysiąc osób, a wokół parkietu krążyły dziesiątki służących, roznoszących na srebrnych tacach kawior i pokrojonego w plasterki jesiotra oraz kieliszki szampana i bordo. W sąsiednich komnatach ustawiono olbrzymie stoły uginające się pod ciężarem najprzeróżniejszych dań, od sałatek z homara po ciastka z bitą śmietaną. Anastazję tak jednak oczarował piękny bal, że pragnęła szaleć po sali przy dźwiękach mazurka i walca. Czowała się pewnie tylko w ramionach kilku tancerzy, wśród których był hrabia Benckendorff. Kiedy wrócił, aby zatańczyć z nią chaconne i silnym ramieniem otoczył jej kibić, wiedziała, że będzie ją bezpiecznie prowadził i wspierał; w tańcu odchyliła do tyłu głowę i dała się porwać uniesieniu. Pomyślała, że bardzo pomógł w tym szampan; powinna pić go częściej. Zobaczyła tańczące obok siostry - Olgę, Tatianę i Marię. Poruszały się wdzięcznie jak łabędzie. Zastanawiała się właśnie, czy zawsze będzie się przy nich czuła jak brzydkie kaczątko - więc tym bardziej się zdziwiła, gdy zobaczyła na ramieniu hrabiego dłoń w białej skórzanej rękawiczce i usłyszała głos:

- Czy wolno mi przeszkodzić?

Hrabia odwrócił głowę i odrzekł:

- Ależ księżę, właśnie łapię właściwy rytm!

Jusupow uśmiechnął się, a gdy hrabia wypuścił Anastazję z objęć, śmiało zajął jego miejsce. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Księżę Feliks Jusupow mógł tańczyć, z kim

tylko chciał i kiedy chciał. Miał ciemne, falujące włosy i pociągłą, niemal kobiecą twarz o ciemnych, smutnych oczach. Jego rzęsy były dłuższe niż u którejkolwiek z jej siostr, a gdy teraz patrzyła na nie z bliska, mogłaby przysiąc, że były przyciemnione i podkrecone. Przypomniała sobie podsłuchaną kiedyś plotkę, że młody książę lubi pokazywać się w mieście przebrany za kobietę, wystrojony w futra, klejnoty i jedwabne suknie. Nie wiedziała, co myśleć o tego rodzaju opowieściach, zwłaszcza że niedawno ożenił się ze znaną piękną imieniem Irina - której dziś nigdzie nie widziała.

Jak gdyby czytając w jej myślach, rzekł:

- Księżna Irina jest na Krymie, w Kokozi.

Bez względu na to, jak okazały był pałac Jusupowa - a relacji na temat jego przepychu było wiele - Anastazja nie mogła sobie wyobrazić, jak można było nie pojawić się na bożonarodzeniowym balu u cara.

- Ale widzę, że brakuje też innego gościa - dodał, a Anastazja, płynąc przez parkiet w jego ramionach, pomyślała, że książę jest jeszcze lepszym tancerzem niż hrabia.

- Aleksy śpi - odrzekła. - Cały dzień spędził na polowaniu. - Podobnie jak resztę carskiej rodziny, nauczono ją trzymać w tajemnicy poważny stan zdrowia brata.

Książę skinął głową i uśmiechnął się, ale zrozumiała, że nie chodziło mu o jej brata.

- Och, ma książę na myśli ojca Grigorija? - zapytała.

Z niewiadomego powodu jej słowa rozbawiły Jusupowa, który parsknął śmiechem. Nawet zęby miał doskonale - małe, równe i olśniewająco białe.

- Tak, oczywiście, ojca Grigorija - powiedział kpiącym tonem i wiedziała już, że stroi sobie żarty z tego, że tak go nazywała. - Nasz przyjaciel Rasputin musi być na jakiejś tęgiej popijawie, skoro spóźnia się na bal w Pałacu Zimowym.

Anastazja poczuła się zakłopotana.

- Będzie tu dzisiaj, prawda?

- Tak przypuszczam - odparła. Sądził, że sprawdzała listę gości?

- Pytam, bo wydaje mi się, że wy dwoje bardzo dobrze się rozumiecie, riestce pas? Ilekroć idziemy się razem napić, poczciwy ojciec Grigorij często mówi o waszej rodzinie - ale o pani mówi częściej niż o wszystkich pozostałych razem wziętych.

Fakt, że w ogóle o nich mówi, zdumiał Anastazję, lecz wbrew woli zaczęła się zastanawiać, co takiego o niej powiedział. Schlebiało jej to, choć nigdy by się do tego nie przyznała. Nie musiała pytać, Jusupow sam pośpieszył z wyjaśnieniem.

- Uważa, że nosi pani w sobie „iskrę świętego ognia”, jak to nazywa. A któż lepiej zna się na takich rzeczach niż Rasputin?

Anastazji coraz bardziej kręciło się w głowie, choć nie wiedziała, czy to od obrotów w tańcu, od szampana, czy od zamętu w głowie, jaki wywołał nieoczekiwany temat rozmowy. Czego Feliks Jusupow od niej chciał?

- Czy czasem mówi o mnie? - zapytał.

- Nie przypominam sobie. Dlaczego miałby mówić?

- Dlatego, że jesteśmy dobrymi przyjaciółmi - odrzekł z udawanym oburzeniem. - A że potrafi mieć cięty język, to jestem ciekaw, czy w rozmowach za zamkniętymi drzwiami carskich apartamentów kiedykolwiek pada moje nazwisko. - Utkwił w Anastazji spojrzenie swoich poważnych, ciemnych i przenikliwych oczu, a ona odniosła wrażenie, jakby patrzył na nią wilk, który ocenia, czy nada się na kolację.

- Chyba muszę usiąść - powiedziała, czując nagle, że chwieje się na nogach.

Księżę bez chwili wahania zabrał ją z parkietu i posadził na złoconej otomanie, ustawionej między wielkimi lustrami. Siedzące na niej dwie damy szybko wstały, aby ustąpić miejsca członkowi carskiej rodziny.

- Proszę wybaczyć - powiedział księżę, kłaniając się w pas i zakładając rękę do tyłu. - Obawiam się, że zmęczyłem waszą cesarską mość tą rozmową. - Anastazja wciąż odnosiła wrażenie, że sobie z niej drwi. Drwił z wielkiej księżnej! - Jestem pewien, że nasz wspólny przyjaciel lada chwila się pojawi. Tam, gdzie leje się szampan, nie może zabraknąć ojca Grigorija.

Kiedy się oddalił, inne damy zatrzepotały rękami, próbując zwrócić na siebie jego uwagę, ale na próżno. Jusupow zatrzymał właśnie wielkiego księcia Dymitra Pawłowicza i wskazał na jedną z bocznych komnat, gdzie stały stoły z przekąskami. Damy wzięły więc na cel Anastazję.

- Wasza wysokość ślicznie dziś wygląda - zachwycła się jedna, a druga zapytała:

- Dokąd poszła matka waszej wysokości? Ma na sobie tak piękną suknię, że chętnie przyjrzałabym się jej dokładniej. - Nachyliła się bliżej i dodała z uśmiechem - Mogłabym zamówić sobie jej kopię przed wyjazdem do Paryża.

Podobnie jak cała carska rodzina, Anastazja uodporniła się na pochlebstwa. Rodzice starali się nauczyć ją je ignorować. Jeśli ktoś chciał usłyszeć szczerą opinię, zawsze mógł się zwrócić do kogoś z rodziny lub do zaufanych osób, takich jak doktor Botkin, nauczyciel francuskiego Pierre Gallilard czy Anna Demidowa, pokojówka matki, która służyła carycy od zawsze i nikt nie wątpił w jej przywiązanie i lojalność. Nawet Jemmy, choć był tylko cocker spanielem, kochały ją tak samo, bez względu na to, czy Anastazja byłaby wielką księżną, czy zwykłą wieśniaczką. Czasem żałowała, że ludzie nie są bardziej podobni do psów.

Służący podsunął jej jeszcze jedną lampkę szampana, a ponieważ nigdzie w pobliżu nie było matki, nie widziała powodu, żeby odmówić. Na dziś miała już dość tańca - zaczął jej dokuczać ból w lewej stopie - rozmawiała więc uprzejmie z dwiema damami, które okazały się żonami jakichś ministrów (ministrowie zmieniali się tak często, że Anastazja nawet nie zadawała sobie trudu, żeby zapamiętać ich nazwiska). Zaczynała się niepokoić nieobecnością matki. Na drugim końcu sali balowej był tylko car, otoczony tłumem pełnych uwagi gości, Anastazji przyszło więc do głowy, że skoro matka zniknęła - a ojciec Grigorij w ogóle się nie pojawił - to powód może być tylko jeden.

Stan Aleksego musiał się pogorszyć.

Przeprosiła panie, okrążyła parkiet, pomachała na dobranoc hrabiemu Benckendorffowi i unosząc nieco suknię, wybiegła na szeroką galerię, której sklepienie wspierało się na strzelistych kolumnach z jaspisu, marmuru i malachitu. Kilkoro spóźnionych gości pospiesznie zatrzymało się na jej widok, aby złożyć ukłon i dyg. Biegła głównymi schodami, potem następnymi korytarzami, które zdobiły barwne gobeliny i mroczne olejne portrety, aż dotarła do prywatnych apartamentów rodziny, położonych we wschodnim skrzydle. Tu znajdowało się sanktuarium Romanowów, złożone z zaledwie dwudziestu czy trzydziestu pokoi, z których większość wychodziła na park. W tej części pałacu mogli prowadzić stosunkowo normalne i swobodne życie, poza zasięgiem wzroku obserwatorów. Kiedy się zbliżyła, etiopscy strażnicy bezgłośnie otworzyli drzwi i po chwili równie bezgłośnie zamknęli je za nią.

Ruszyła biegiem do pokoi brata, gdy nagle zauważyła, że drzwi do prywatnej kaplicy matki są uchylone. Migotał za nimi blask świec, a gdy zajrzała do środka, zobaczyła stojącego przed ołtarzem Rasputina, otoczonego świecami wotywnymi i dziesiątkami świętych ikon - portretów Matki Boskiej i wielu świętych, malowanych złotem i srebrem na żywicznym drewnie i brązie. Był tak pogrążony w modlitwie, że nie słyszał, gdy weszła, i chociaż nie chciała go przestraszyć, musiała wiedzieć, czy jej bratu grozi niebezpieczeństwo.

- Ojciec Grigoriju - szepnęła, a on, jak gdyby od początku zdawał sobie sprawę z jej obecności, nie odwracając się, powiedział:

- Dodałem sił carewiczowi, będzie żył.

Ogarnęła ją ulga - jak by wyglądało Boże Narodzenie, gdyby umarł? Przez chwilę wahała się, czy nie powinna wyjść i pozwolić starcowi kontynuować modły.

- Ale szybko zbliża się mój czas - dodał. Krzyż na jego piersi zaśnił w blasku świec.

Obrócił głowę, nie odwracając całego ciała, a Anastazji, choć darzyła tego świętego człowieka ogromną czcią, widok ten przywiódł na myśl wyginającego szyję węża. Jego oczy płonęły.

- Nie dożyję Nowego Roku - powiedział. - Wszystko napisałem w liście, który dałem Symanowiczowi.

Symanowicz, niechlujny mężczyzna cuchnący tabaką i potem, był jego osobistym sekretarzem.

- List ma przeczytać wasz ojciec. Jeśli zginę z rąk zwykłych zabójców, moich braci chłopów, wówczas ty i cała twoja rodzina nie macie się czego obawiać; Romanowowie będą rządzić przez setki lat. - Ostrzegawczo podniósł palec, a jego broda zjeżyła się jak naładowana prądem. - Ale jeżeli zamordują mnie bojarzy, jeżeli będzie to szlachta, przez dwadzieścia pięć lat będą mieli na rękach moją krew. Bracia zaczną się nawzajem zabijać. Jeśli do mojej śmierci doprowadzi ktoś spokrewniony z waszą rodziną, wtedy biada dynastii. Powstanie przeciwko wam rosyjski lud, z żądzą mordy w sercach.

Krew zastygła Anastazji w żyłach. Nigdy dotąd nie słyszała, żeby mówił tak apokaliptycznym tonem, i po raz pierwszy odsunęła się od niego ze strachem.

- Dlatego musisz wziąć to - dodał, chwytając szmaragdowy krzyż na łańcuchu. - Musisz go zawsze nosić.

Zdjął krzyż z szyi i nałożył go Anastazji, obracając go tak, aby mogła zobaczyć, co jest na odwrocie. Ich głowy znalazły się tak blisko siebie, że wyraźnie poczuła od niego zapach alkoholu i dostrzegła trupioblada skórę pod zygzakowatym przedziałkiem w jego długich czarnych włosach.

- To miał być prezent dla ciebie na Boże Narodzenie. Spójrz, moje dziecko, spójrz.

Ujrzała napis, ale w blasku pełgających płomieni świec wotywnych trudno go było odczytać.

- Widzisz? Widzisz, co tu jest napisane? - mówił błagalnym tonem. - "Dla mojej maleńkiej. Nikt nie zdoła rozerwać łańcuchów miłości, które nas wiążą".

Na końcu zobaczyła podpis pod dedykacją, który brzmiał: „Twój kochający ojciec, Grigorij”.

- Pora, żebyś wiedziała - ciągnął. - Choć nie będzie mnie tu ciałem, to duchem zawsze będę cię strzegł. A twoją tarczą będzie ten krzyż.

- Ale dlaczego ja? - zapytała Anastazja, ze zdziwieniem słysząc, jak drży jej głos. - Dlaczego nie ktoś inny? - Pragnęła, żeby matka albo ktokolwiek wszedł teraz do kaplicy i

zdjął urok, który właśnie na nią rzucał. - Dlaczego nie moje siostry? Są starsze i... - zawahała się zawstydzona, ale zaraz wyrzuciła z siebie prawdę -...nigdy nie będę taka piękna jak one.

Rasputin prychnął drwiąco, a potem się wyprostował.

- W oczach Boga ty jesteś najpiękniejsza - oświadczył, unosząc wzrok ku witrażom na suficie.

- A Aleksy? Przecież to on będzie kiedyś rządzić Rosją.

- Posłuchaj mnie - powiedział Rasputin, zniżając głos i spuszcżając wzrok. - Krew twojej rodziny jest zatruta; carewicz jest zatruty. Tę skazę przekazała mu matuszka.

Często używał wobec cara i carycy tradycyjnych pieszczotliwych określeń matuszka i batuszka, które sugerowały, że są dla swojego narodu kochającymi rodzicami. I chociaż Anastazja rzeczywiście wiedziała, że przekleństwo hemofilii jest dziedziczne - którejś nocy słyszała, jak matka lamentowała w swoim buduarze, że to przez nią syn tak straszliwie cierpi - to jednak nigdy nie słyszała od mnicha tak ostrych słów potępienia.

- Klątwa, którą nosisz w swoich żyłach, pewnego dnia okaże się twoim zbawieniem. Świat opanuje zaraza, ale ty będziesz na nią odporna.

Anastazja pomyślała, że mnich wpadł w jakiś święty trans i bredzi jak w gorączce. Chciała jak najszybciej uciec. Szczerze żałowała, że wyszła z sali balowej.

- Dziękuję za prezent, ojczu - wykrztusiła, dotykając krzyża, który był cięższy, niż sobie wyobrażała, i chociaż był bardzo piękny, wolałaby go nie mieć. - Powinnam pójść i zobaczyć, co się dzieje z bratem. - Wycofała się powoli jak królik, który nie spuszcza wzroku z łasicy.

Rasputin nie odwrócił wzroku ani się nie poruszył, gdy odsuwała się w stronę drzwi. W czarnej sutannie, otoczony ikonami, które matowo odbijały drgające światło świec, wyglądał jak słup dymu.

Nie wiedząc, co powiedzieć, wymamrotała:

- Życzę ci błogosławionych świąt Bożego Narodzenia, ojczu.

- Módl się za mnie - odrzekł.

W tym momencie, kiedy wystawiła za drzwi zdrową stopę i opuściła ciemne wnętrze kaplicy, usłyszała jego cichy głos:

- Bo nie ma mnie już pośród żywych.

## Rozdział 14

Siedząc na twardym siedzeniu rolby, Nika Tincook mocowała się z kapryśnymi biegami pojazdu. Maszyna miała już prawdopodobnie ze trzydzieści lat, więc w każdej chwili można się było spodziewać drobnych usterek. Poza tym budżet Port Orlov nie zezwalał na żadne nowe wydatki. Nikt nie wiedział o tym lepiej niż ona.

Nika, opatulona w futro z bobra, które uszyła jej babcia, w wełnianej czapce drużyny Seattle Seahawks, jeszcze raz szarpnęła dźwignię i tym razem udało się wrzucić bieg. Ruszyła starą rolbą po oświetlonym lodowisku do hokeja i powoli zataczała szerokie łuki, czyszcząc i wygładzając taflę lodu. To zajęcie zawsze ją uspokajało, prawie tak jak jazda na łyżwach z rękami założonymi do tyłu. Na lodowisku nie było nikogo prócz niej - wszyscy siedzieli w domach i przygotowywali kolację - mogła więc być sama ze swoimi myślami.

Dlatego tym bardziej zdenerwował ją narastający hałas, jaki zaczął dobiegać jej uszu. Z początku pomyślała, że znów coś jest nie tak z rolbą i nawet wychyliła się na siedzeniu, żeby uważniej posłuchać pracy silnika, ale w tym momencie uświadomiła sobie, że źródło dźwięków znajduje się gdzieś dalej. A hałas wzrastał z każdą chwilą.

Spojrząwszy w niebo, zauważyła zbliżające się światła - białe i czerwone - ale nie były rozstawione tak jak w awionetce, lecz jakby bardziej skupione. Gdy maszyna zesłała niżej, ujrzała dwa snopy silnego światła przeszukujące teren. To był helikopter - długi i jak gdyby przegubowy - a gdy ukazał się nad miejskim ośrodkiem kultury, zorientowała się ze zgrozą, że reflektory suną w jej stronę i zatrzymują się na lodowisku. Zalał ją oślepiający biały blask, a z góry zaczęły padać wydawane przez megafon polecenia.

- Proszę usunąć rolbę z lodowiska - powiedział głos.

- Co jest do... - Ale posłusznie skrzyła kierownicę, wyciskając z silnika maksymalną moc i rozpędzając pojazd do piętnastu kilometrów na godzinę. Dudnienie helikoptera było ogłuszające, a po lodowisku we wszystkie strony śmigały drobiny śniegu i lodu.

Gdy tylko zjechała po pochylni do garażu komunalnego, gdzie miasto przechowywało wszystkie pojazdy służb publicznych, od pługów śnieżnych po karetkę pogotowia, wyłączyła silnik i szybko wybiegła na zewnątrz.

Helikopter, z kołami rozstawionymi jak odnóża owada, powoli siadał na tafli lodu, którą właśnie skończyła oczyszczać. O co tym razem chodzi? Boże, żeby to tylko nie była następna ekipa dziennikarzy wysłana po to, aby zrobić materiał o katastrofie „Neptuna II” i przeprowadzić wywiad z Harleyem Vaneem, który jako jedyny ocalał. Jak wielu ludzi w mieście, nie wierzyła w opowieści Harleja, ale prawda, niestety, leżała gdzieś na dnie Morza Beringa.



Wirniki wyłączono i gdy powoli zaczęły cichnąć, drzwi kabiny się otworzyły i ukazał się w nich tęgi mężczyzna w okularach. Pośliznął się na lodzie i twardo wylądował na tyłku. Zaśmiał się, a drugi mężczyzna, szczupły i wysoki, pomógł mu wstać i poprowadził go w kierunku stalowych trybun. Nika podeszła po ubitym śniegu, który chrząścił jej pod stopami, i krzyknęła:

- Kim jesteście?

Mężczyźni dopiero teraz ją zauważyli. Wyższy z nich miał ciemne oczy, ciemne włosy i przypominał jej długodystansowych biegaczy, których знаła, i z którymi chodziła, jak była w collegeu. Kroczył po śliskim lodzie z odpowiednią zręcznością i pewnością siebie, ale nie odpowiedział na jej pytanie.

- I kto wam powiedział - ciągnęła - że możecie lądować na naszym lodowisku do hokeja?

Mężczyzna zdjął rękawiczkę i wyciągnął dłoń.

- Frank Slater - przedstawił się. - Przepraszam za lodowisko, ale kończyło nam się paliwo i nagle zobaczyliśmy te światła.

- Całe szczęście, że akurat nie było meczu.

- Wasilij Kozak z Instytutu Geologii, Geofizyki i Mineralogii im. A.A. Trofimiuka - rzekł profesor, skłaniając głowę. - Instytut należy do Rosyjskiej Akademii Nauk.

Nika coraz mniej z tego rozumiała.

- Jesteśmy tu w pewnej ważnej sprawie - rzekł Slater, i choć już powinna się do tego przyzwyczaić, to jednak słysząc w jego głosie nutę protekcyjnego tonu, nieco się zjeżyła. Ponieważ była kobietą, i to młodą, a nie dało się też ukryć, że zobaczyli ją, gdy prowadziła rolę, mężczyzna pewnie zakładał, że ma do czynienia z jakąś szeregową pracownicą.

- Muszę rozmawiać z burmistrzem Port Orlov - oznajmił, pokazując jej dużą zalakowaną kopertę, zaadresowaną do władz miasta. - Może mi pani pokazać, gdzie mogę go znaleźć?

- Czy burmistrz spodziewa się pańskiej wizyty? - zapytała jak najuprzejmiej.

- Obawiam się, że nie.

- Przylecieliście z daleka największym helikopterem, jaki w życiu widziałam, nie umawiając się wcześniej na spotkanie?

- Nie było na to czasu.

- Racja - odrzekła sceptycznym tonem. - Email w dzisiejszych czasach działa za wolno.

Profesor, który rozglądał się z zaciekawieniem, rzekł, zwracając się do obojga:

- Proszę mi wybaczyć, ale trochę się przejdę. Chciałbym rozprostować nogi.

- Oczywiście - odparła Nika. - Trudno się zgubić w Port Orlov. Tędy dojdzie pan do ulicy - dodała, wskazując w stronę szeregu dużych, topornych budynków z pustaków, z których składał się ośrodek. - A pana proszę za mną - powiedziała, zwracając się do Slatera.

Ruszyli po twardej, nierównej ziemi i po chwili weszli do ośrodka. Przy komputerze siedział jej bratanek Geordie i zjadał chipsy.

- Przynieś nam kawę - powiedziała do niego. - I proszę, odłóż te chipsy.

Poprowadziła Slatera korytarzem, obok tablicy ogłoszeń z ulotkami reklamującymi warsztaty rękodzieła i giełdę używanego sprzętu narciarskiego, a potem do biura ze zniszczonymi metalowymi meblami i sufitem wyłożonym białymi płytami akustycznymi, z których część zaczęła się zapadać.

- Proszę usiąść, panie Slater - powiedziała, zdejmując futrzaną kurtkę i czapkę.

- Doktorze Slater, jeśli chodzi o ścisłość - poprawił ją odruchowo, a w jego głosie nareszcie zabrzmiał ton pewnej skromności. - Przyjechałem z Instytutu Patologii Sił Zbrojnych USA w Waszyngtonie.

Jeśli do tej pory jeszcze się nie domyślała, to wiedziała już, że sprawa jest naprawdę poważna.

Wszedł Geordie, niosąc kubki z kawą i dwa opakowania bezmlecznego zabielaacza.

- Postaw tutaj - powiedziała i zrobiła miejsce na biurku, odsuwając pliki papierów. Slater zdjął kurtkę i położył kopertę na pustym rogu blatu.

- Powinienem panią uprzedzić - rzekł - że następny helikopter przyleci jutro rano, więc jeśli wolałaby pani, żeby wylądował w jakimś konkretnym miejscu, proszę dać mi znać.

Mimo tych wszystkich tajemnic, przynajmniej jest przychylnie nastawiony, pomyślała.

- No więc, o co tu chodzi? - zapytała.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeżeli przekażę wszystkie informacje burmistrzowi i on będzie ich udzielać.

- W takim razie - powiedziała, biorąc kopertę i otwierając go nożem do listów zrobionym z fiszbinu wieloryba - sprawdźmy, co tu jest.

Chciał zaprotestować i nawet wyciągnął rękę, żeby odebrać jej kopertę, ale uśmiech na jej twarzy chyba ją zdradził.

- Tylko proszę nie mówić, że pani jest burmistrzem - rzekł. - N.J. Tincook?

Wyciągnęła z koperty teczkę.

- Nikaluk Jane Tincook, ale zwykle mówią na mnie Nika. Miło mi pana poznać - powiedziała, ale jej wzrok przyciągnęły urzędowe ostrzeżenia i pieczęcie na okładce raportu z informacją, że jego zawartość jest ściśle tajna. Sam tytuł wystarczył, żeby spadła z krzesła. „Plan Projektu AFIP, Wyspa Św. Piotra, Alaska (17. Okręg): Badania geologiczne, Ekshumacja, Pobranie próbek rdzeniowych, Procedury analiz wirusa”. Przerzucając strony, zauważyła, że dołączony raport liczy co najmniej sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt stron, zapisanych tekstem z pojedynczą interlinią, któremu towarzyszą obszerne przypisy, indeksy, wykresy i diagramy. Ostatni raz musiała przebrnąć przez coś takiego na studiach doktoranckich w Berkeley.

- Spodziewa się pan, że to teraz przeczytam? - spytała. - I że coś z tego zrozumiem?

- Nie, nie spodziewam się - odparł.

- To dlaczego nie przesłał pan tego wcześniej?

- Dlatego, że, jak zorientowała się pani po adnotacjach na okładce, staramy się działać w miarę dyskretnie.

- Dlaczego? - Znów ogarnęła ją irytacja, a doktor Slater chyba to zauważył. Wypił łyk kawy, po czym spokojnym i rzeczowym tonem powiedział:

- Spróbuję to pani wytłumaczyć. - Miała wrażenie, że robił to już wiele razy i że był przyzwyczajony do rozmów z ludźmi, którym niewiele mówiono z powodów, których nie wolno mu było wyjawiać.

Kiedy wyłożył jej sprawę, potwierdziły się jej podejrzenia. Znała już historię wieka trumny i Harleya Vanea, podobnie jak większość tego, co opowiedział jej o starej rosyjskiej kolonii. Wychowała się w Port Orlov, a tu wszyscy wiedzieli, że na wyspie mieszkała kiedyś sekta stukniętych Rosjan Robert Mas ello i że w 1918 roku wytrzebiła ich epidemia hiszpanki. Wiedziała nawet, że sekta składała się z wyznawców szalonego mnicha Rasputina, który podobno opętał carską rodzinę Romanowów w ostatnich latach przed rewolucją. Pozwoliła jednak Slaterowi kontynuować, po części z uprzejmości i ciekawości, a po części chcąc wiedzieć, do czego to właściwie zmierza. Jak mawiała jej babcia, która ją wychowała, Bóg dał nam tylko jedno usta, ale dwoje uszu. Trzeba więc słuchać.

Prawdę mówiąc, podobało jej się także brzmienie jego głosu, zwłaszcza teraz, gdy rozmawiał z nią jak równy z równym.

- Patronem Rasputina był święty Piotr - wyjaśnił Slater.

A jednak, pomyślała, jest coś, o czym nie wiedziałam.

- Wieko trumny zdobił wizerunek świętego trzymającego klucze do nieba i piekła. Między innymi stąd wiedzieliśmy, skąd pochodziło.

- Ale oprócz Harleya Vanea, którego morze wyrzuciło tam na brzeg, na wyspie od lat nikt nie postawił stopy. Wśród miejscowych ma bardzo złą reputację. Skąd ta pewność, że trumna przyplęnęła właśnie stamtąd?

- Godzinę temu zrobiliśmy przelot nad wyspą. Widzieliśmy, gdzie obsunął się cmentarz. Wieczna zmarzlina stopniała i klif ulega erozji.

Zadzwoił telefon Niki, która krzyknęła:

- Geordie, odbierz! I nie łącz tu nikogo!

- Dlatego musimy przeprowadzić tu inspekcję, ekshumować ciała, pobrać próbki i upewnić się, że nie przetrwał żaden aktywny wirus.

I nagle stało się dla niej zupełnie jasne, dlaczego utrzymywano tę sprawę w tak głębokiej tajemnicy. Boże, rozmawiali o operacji, która po pierwsze wymagała zbeczeszczenia starych grobów - na co innuicka społeczność patrzyłaby bardzo niechętnie - a na domiar złego o możliwości uwolnienia zarazy, która uśmierciła miliony ludzi. To była lekcja, przed którą nie uciekł żaden rdzenny mieszkaniec Alaski.

- Ale dlaczego tutaj? Te ciała leżą w ziemi od ponad stu lat. Dlaczego sądzi pan, że mógłby się w nich zachować żywy wirus, skoro cmentarze pełne ludzi, którzy zmarli na hiszpankę, są na całym świecie?

- Bo tamte ciała nie zamrzły tak szybko i nie pozostały w tym stanie tak długo.

Ujrzała w pamięci obraz kosmatego ciała mamuta, które odkopano zachowane w prawie idealnym stanie, kiedy tuż za miastem budowano rafinerię ropy i gazu. Miała wtedy zaledwie sześć lat, ale dobrze pamięta, jak się wpatrywała w znalezisko, czując wielki smutek i zastanawiając się, czy zwierzę zostało zabite przez dinozaura.

- Jakie jest niebezpieczeństwo dla miasta? Jeżeli zagrożenie znajduje się kilka kilometrów od brzegu, to moim zdaniem o wiele za blisko, żebyśmy mogli zachować spokój. Czy będziemy się musieli ewakuować? A jeżeli tak, to na jak długo? Kto za to zapłaci i dokąd mamy wyjechać?

Miała na końcu języka jeszcze kilkanaście pytań, ale Slater powstrzymał ją gestem i powiedział:

- Chwileczkę, spokojnie. Wszystko jest w raporcie.

- Serdecznie dziękuję - odparła zgryźliwie - ale, jak już mówiliśmy, musiałabym go czytać całą noc.

- Jak wynika z obliczeń - rzekł doktor Slater - ryzyko mieści się w granicach rozsądku, ale na wszelki wypadek wszystkie prace będziemy prowadzić przy zachowaniu procedur zagrożenia biologicznego trzeciego stopnia. Wszystkie próbki będą pobierane na wyspie i

wywożone stamtąd helikopterem Straży Przybrzeżnej. Nie zahaczą o Port Orlov nawet przejazdem. Będziemy potrzebować miasta tylko jako tymczasowego punktu zbornego. Kiedy przyjedzie cały transport, pojutrze już nas tu nie będzie. Nikt nie musi wyjeżdżać.

Na razie ją uspokoił, ale wciąż nie była zadowolona. Wróciła do tego miasteczka na końcu świata, bo czuła się odpowiedzialna za nie i za rdzennych mieszkańców. Znała historię ich cierpień, wiedziała, że do dziś płacą cenę tamtych straszliwych krzywd. Nie było rodziny inuickiej, która wciąż nie cierpiałaby z powodu utraty dawnego trybu życia, nie było rodziny, która nie zostałaby rozbita przez depresję, alkoholizm czy narkotyki. Jej udało się tego uniknąć najpierw dzięki stypendium na Uniwersytecie Alaski w Fairbanks, a potem studiom doktoranckim z antropologii w Berkeley. Wróciła, by stać się ich głosem i ich obrońcą. Tyle że w tej chwili nie wiedziała, jak ma się do tego zabrać, żeby dobrze wypełniać tę rolę.

Znów zadzwonił telefon, ale krótko, bo natychmiast odebrał go Geordie siedzący w korytarzu.

- Wiem, że ma pani teraz nad czym rozmyślać - powiedział Slater, ale zanim zdążyła odpowiedzieć, usłyszeli wrzask Geordiego:

- Mówiłaś, żeby nikogo nie łączyć, ale czy chodziło ci również o oczyszczalnię ścieków?

- Tak! - zawołała zirytowana.

- Chętnie odpowiem na wszelkie pani pytania. Wiem, że ma ich pani jeszcze mnóstwo.

Z korytarza powiało chłodem, a potem rozległ się donośny tupot. Do gabinetu zajrzał profesor Kozak. Miał zaparowane okulary i zaczerwioną twarz.

- Czy ktoś jest głodny? Ja mógłbym zjeść niedźwiedzia z pazurami!

Właśnie czegoś takiego potrzebowała Nika, aby rozładować napięcie.

Uśmiechnęła się i to samo zrobił doktor Slater. Uśmiech nadał jego twarzy lekko kpiący, lecz interesujący wyraz. Zaczęła się zastanawiać, gdzie był wcześniej, zanim trafił do tego odległego zakątka Alaski. Ze znużenia widocznego w jego rysach domyślała się, że musiał odwiedzić niejedno zapalne miejsce na świecie.

- Nie jestem pewna, czy podają tam niedźwiedzie - odrzekła, chowając raport do szuflady w biurku i zamykając ją na klucz - ale znam miejsce, gdzie robią najlepsze na północ od Nome burgery z łosia.

## Rozdział 15

Charlie był właśnie w trakcie webcastu, głosząc przez internet Słowo Boże z siedziby „Pisma Świętego według Vanea” - i oczywiście zwracając się z prośbą o fundusze, aby kościół mógł kontynuować swoje „szeroko zakrojone programy pomocy społecznościom w najbardziej odległych i duchowo upośledzonych regionach północnego zachodu Ameryki” - gdy nagle cały dom zaczął się trząść.

Do pokoju wpadła z krzykiem jego żona Rebekah, unosząc ręce nad głową, a za nią jej niezbyt rozgarnięta siostra Bathsheba:

- Pan nadchodzi! Przygotujcie się!

Charlie mógłby nawet sam w to uwierzyć, tyle że dobiegające z niebios odgłosy za bardzo przypominały mu helikopter. Za oknem widział snopy światła reflektorów, przesuwające się tam i z powrotem po ogrodzie za domem i garażu, gdzie stał jego przerobiony i specjalnie wyposażony minivan.

Błyskawicznie odwrócił się od kamery Skypea przy komputerze i wyjechał wózkami z pokoju modlitw na taras z tyłu domu. Zdażył zobaczyć ogromny śmigłowiec, który jak gigantyczna wałka sunął nad jego posesją. Znajdował się najwyżej piętnaście metrów nad ziemią i wyglądało to tak, jakby prowadził obserwację. Charlie zastanawiał się przez moment, czy rząd federalny nie przysłał czasem oddziału specjalnego, żeby go zgarnąć; na pewno wiadano, że wygłasza dość prowokacyjne opinie o tych draniach z Waszyngtonu. Nagle przyszło mu do głowy, że podświetlony krzyż na dachu mógł być świetnym celem.

Ale helikopter, muskając wierzchołki drzew, poleciał dalej, a po chwili zniknął za krawędzią dachu, kierując się w stronę miejskiego ośrodka kultury. Charlie słuchał oddalającego się dudnienia silnika, po czym wyciągnął z kieszeni swetra komórkę i zadzwonił do Harleya. Najpierw zgłosiła się poczta głosowa, ale natychmiast znowu zadzwonił i tym razem w słuchawce odezwał się półprzytomny głos.

- Cholera, jak mogłeś przespać coś takiego? - zapytał ostro.

- Co przespać?

- Ten helikopter, który mała nie rozwalil mi komina na dachu.

- O czym ty mówisz?

- O wojskowym helikopterze, który przeszukuje miasto. Założę się, że ma to coś wspólnego z tobą i tą trumną.

- Charlie, jak następnym razem się wkurzysz, zadzwoń do kogoś innego.

- Nawet się nie waży odkładać słuchawki - ostrzegł go. - Wstawaj, rusz tyłek i idź do baru „Yardarm” dowiedzieć się, co jest grane. - Bar „Yardarm” stanowił miejscowy odpowiednik centrali telefonicznej.

- Czemu sam nie pojedziesz?

- Bo właśnie mam webcast.

Harley parsknął śmiechem.

- Do kogo? Naprawdę myślisz, że ktoś tego słucha?

Czasami Charlie istotnie się zastanawiał, ilu ma odbiorców, ale od czasu do czasu znajdował jednak w skrzynce na listy koperty z czekami na niewielkie kwoty czy z pięciodolarowymi banknotami, ktoś więc musiał go słuchać. No i miał w domu dwie kobiety, które znalazły go przez internet.

- Nie zamierzam się o to kłócić - powiedział autorytatywnym tonem, którym wygrywał każdy spór. - Rusz się.

Kiedy się rozłączył i obrócił na zimnym tarasie, w drzwiach stała Rebekah z rękami w kieszeniach jednej ze swoich długich sukienek. Zza jej pleców wychylała się Bathsheba, która najwyraźniej dała się przekonać, że nadejście Pana zostało przełożone na później. Ich blade twarze i haczykowane nosy przywodziły mu na myśl mewy.

- Połączenie się zerwało - powiedziała Rebekah. - Mówiłam ci, że mamy za wolne łącze.

Harley rzucił telefon na materac i leżał przez chwilę. Dlaczego Charlie zawsze dzwoni i dyktuje mi, co mam robić? Przecież nie dlatego, że jest na wózku; tak było przez całe życie. Angie powiedziała kiedyś Harleyowi, że powinien wyjechać z Port Orlov i osiedlić się gdzieś, gdzie brat nie mógłby nim dyrygować. Zaczynał dochodzić do przekonania, że chociaż nie była zbyt błyskotliwa, to tu akurat miała rację. Jeśli numer z cmentarzem wyjdzie i faktycznie znajdą w trumnach coś cennego, to może uda mu się rozpocząć lepsze życie gdzieś w kontynentalnych stanach.

Bratu nie da wtedy nawet nowego numeru telefonu.

Wstał i potykając się, zaczął szukać w przyczepie jakichś ubrań, które byłyby czyste - albo mogły za takie uchodzić. Z braku porządnej szczotki przeczesał włosy palcami. Podłoga zasłana była sięgającą kostek warstwą śmieci - puszek po piwie, opakowań po płatkach, czasopiśmie o sztukach walki - a wszystko to było skąpane w bladofioletowym blasku padającym z terrarium dla węża, które stało na blacie obok mikrofalówki. Zajrzał tam i spytał zwiniętej na kamieniu Fergie:

- Jesteś głodna? - Nie pamiętał, kiedy ostatnio ją karmił, otworzył więc zamrażarkę i wyciągnął zamrożoną mysz w plastikowej torebce, wykręconą jak znak zapytania, po czym na minutę włożył ją do mikrofalówki. Raz podgrzewał mysz za długo i zrobił się taki smród, że przez tydzień w przyczepie nie dało się mieszkać. Musiał się wtedy przeprowadzić do Charliego i jego czarownic. Było tak okropnie, że nie mógł się doczekać powrotu. Miał dość zwłaszcza Bathsheby, która pod byle pretekstem przychodziła pod jego drzwi.

Przyczepa stała zaparkowana około stu metrów od Front Street, między składem drewna a sklepem z bronią o nazwie „The Arctic Circle Gun Shoppe”. Harley nigdy nikogo nie pytał, czy wolno mu tam parkować, ale nikt mu nigdy tego nie zabronił. To jedno na pewno przemawiało na korzyść Alaski - wciąż była dość liberalna.

Ale i potwornie zimna. Chociaż „Yardarm” oddalony był o zaledwie kilka minut drogi, to kiedy tam dotarł, uszy paliły go z zimna i przez chwilę musiał postać w drzwiach, żeby się ogrzać. Przy stołach siedzieli stali bywalcy, Angie roznosiła burgery i frytki, ale zauważył coś nowego: przy barze siedzieli dwaj faceci, których nigdy wcześniej nie widział, w typie tych porządniejszych, ubrani w mundury Straży Przybrzeżnej, a na drugim końcu sali przy stoliku w rogu zobaczył Nikę Tincook w towarzystwie dwóch innych mężczyzn; ich też zobaczył pierwszy raz w życiu. Czterech nieznajomych jednego wieczoru w barze w Port Orlov - to na pewno była sensacja.

Kiedy Angie szła do kuchni, Harley złapał ją za ramię i zapytał:

- Co nowego?

- Harley, nie tutaj, szef patrzy.

Zauważył jednak, że jej wzrok pobiegł w kierunku facetów ze Straży Przybrzeżnej, a jeden z nich na nią spojrział.

- Kto to?

- Piloci.

- To widzę.

- Znowu podgrzewałeś te martwe myszy? - zapytała, marszcząc nos. Potarła rękę w miejscu, gdzie ją chwycił.

- Co tu robią?

- Pojęcia nie mam. Może sam ich zapytasz?

Odsunęła się i przez wahadłowe drzwi weszła do kuchni.

Harley, mając nadzieję, że nikt nie zauważył, jak go nieoczekiwanie zbyła, poszedł wolnym krokiem do baru i usiadł na stołku niedaleko funkcjonariuszy Straży Przybrzeżnej. Pochłonięci rozmową, w ogóle go nie zauważyli.



Zamówił piwo, a potem nachylając się w ich stronę, powiedział:

- Nigdy was tu nie widziałem.

- Jesteśmy przejazdem - odrzekł krótko ostrzyżony blondyn, nawet nie odwracając głowy.

- Przylecieliście tym helikopterem?

Rudowłosy, ten który zerkał na Angie, z wahaniem skinął głową.

- Tak? Mogę zapytać, co to za zadanie?

- Rutynowe - odparł rudy, a gdy Harley spojrział na krótkowłosego, ten, wpatrując się w prawie pusty kufel, potwierdził:

- Misja szkoleniowa.

Potem odgradzili się od niego jak murem i rozmawiali przyciszonymi głosami, a on, siedząc obok nich poczuł się jak ostatni idiota. Nie zamierzał jednak wstawać i zaraz odchodzić, bo wyglądałoby to jeszcze gorzej. Dokończył piwo, próbując wciągnąć barmana w rozmowę o ostatnim meczu Seahawks. Ale nawet Al był zbyt zajęty i nie miał czasu pogadać.

Z głębi sali, od strony stołów bilardowych, dobiegł gromki śmiech i Harley zobaczył, że to krępy facet w okularach, siedzący między wysokim chudzielcem a Niką, znamienitą burmistrz Port Orlov. Harley nigdy nie gustował w eskimoskich dziewczynach - podobały mu się blondynki z długimi nogami, nawet jeśli były farbowane jak Angie - ale dla Niki, jak często mówił swoim kumplom Eddiemu i Russellowi, byłby gotów zrobić wyjątek. Miała nie więcej niż metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, duże ciemne oczy i włosy czarne jak focze futro. Ale bardzo podobała mu się jej budowa - Nika miała szczupłe, jędrne ciało i gdy w pogodne dni przechadzała się po mieście ubrana tylko w polarową kurtkę, a wiatr rozwiewał jej rozpuszczone włosy, musiał przyznać, że go kręci.

Harley opróżnił jeszcze jedno piwo i chwilę postął przy szafie grającej, jak gdyby bardzo chciał wiedzieć, jaki będzie następny utwór, a potem skręcił w stronę stołów bilardowych. Długo wybierał kij ze stojaka, udając, że sprawdza, czy jest prosty i czy ma końcówkę w dobrym stanie, a potem, jakby przypadkiem, nagle zauważył siedzącą zaledwie dwa metry od niego Nikę.

- Witam waszą ekscelencję - powiedział żartobliwie.

- Cześć, Harley.

- Chcesz powbić ze mną parę bil?

- Innym razem.

Zastanawiał się nad następnym ruchem, gdy z kłopotu wybawił go wysoki mężczyzna, przed którym stał talerz z resztkami hamburgera i frytek.

- Harley? - zapytał. - Czyżby pan Harley Vane?

- Ten sam. Jedyny i niepodrabialny.

- Frank Slater - powiedział, podnosząc się, żeby podać mu rękę. - Miło mi pana poznać. Słyszałem o pańskich dramatycznych przejściach.

- Tak, trudno to inaczej nazwać.

- Mogę zadać panu kilka pytań? - spytał, podsuwając mu krzesło. - Jestem lekarzem, ciekawość leży w naszej naturze. - To za piękne, żeby było prawdziwe - pomyślał Harley, choć Nika wyglądała tak, jakby za chwilę miał ją trafić szlag. Harley odwrócił sobie krzesło i usiadł z rękami na oparciu.

- To jest profesor Kozak - przedstawił Slater.

- Witam, profesorze. - Kiedy podali sobie ręce, mężczyzna ścisnął mu dłoń jak imadło - z siłą, jakiej Harley nie podejrzewałby u żadnego profesora. Pewnie Rusek.

- Cieszę się, że całkiem wrócił pan do zdrowia - oznajmił doktor. - Żadnych długotrwałych skutków?

- Nie, czuję się nieźle - odparł Harley, choć gdyby doktor zapytał go o skutki psychiczne, powiedziałby mu coś innego. Ilekroć zamykał oczy, nawiedzał go koszmar, w którym ścigało go stado czarnych wilków o ludzkich twarzach.

- Wie pan, jest coś takiego jak PTSD, czyli zespół stresu pourazowego - po takim doświadczeniu jak pańskie może dopaść człowieka po kilku dniach, tygodniach, a nawet miesiącach.

Harley widział wystarczająco wiele programów telewizyjnych, żeby dość dużo wiedzieć na ten temat.

- Tak, tak, słyszałem.

- Chciałem tylko, żeby pan o tym pamiętał - ciągnął Slater - i wiedział, że powinien się pan do kogoś zwrócić, gdyby zaczęły się jakieś zaburzenia. To zresztą zupełnie normalne.

Harley zaśmiał się.

- Tak, jasne. Jeśli zacznę wariować, pójdę do któregoś z psychiatrów, których nie mamy, do szpitala, który nie istnieje.

Lekarz skinął głową, jak gdyby zdawał sobie sprawę, że się wygłupił, ale równocześnie Harley poczuł dziwną potrzebę, by skorzystać z jego propozycji i zrzucić z siebie całe to paskudztwo, które mu ciążyło - opowiedzieć o snach z wilkami i o kimś z żółtą latarnią, kogo widział na wyspie. Nie mógłby się z tego zwierzyć Russellowi czy Eddiemu - poradziliby mu, żeby wypił jeszcze jedno piwo - nawet Angie uznałaby, że zachowuje się jak mięczak.

- Mogę panu zadać jedno pytanie? - zapytał Harley.

- Śmiało.

- Co robicie tutaj na tym zadupiu Alaski? - Zerkając na Nikę, dodał - Bez obrazy, wasza ekscelencjo.

- Nie obraziłam się i daruj sobie tę ekscelencję.

Cieszył się, że trafił w czuły punkt.

Slater pokiwał głową, ostatnimi frytkami wytarł z talerza keczup i powiedział:

- Prowadzimy ćwiczenia ze Strażą Przybrzeżną. Lepiej dmuchać na zimne.

Ale nie spojrział mu w oczy a Harley domyślił się, że jednak szykuje się coś poważnego. Potwierdziły się podejrzenia Charliego; jego brat może i był gnojkiem, ale nie brakowało mu oleju w głowie. Trzeba mu to przyznać.

- A propos - dorzucił Slater - co się stało z wiekiem trumny, na którym dopłynął pan do brzegu jak na desce surfingowej? Widziałem to na zdjęciu w gazecie.

- Czemu pan pyta?

- Z ciekawości.

- Zawodowej?

Wyraz twarzy Slatera nie zdradzał niczego - a może zdradzał wszystko.

- Myślałem, że wystawię ją na eBayu - zakpił Harley. - Ale jeżeli chce pan zaproponować jakąś sumkę...

- Szczerze mówiąc - odparł Slater - miałem na myśli co innego. Ta rzecz nie należy do pana i powinna wrócić tam, skąd pochodzi.

- Tak? Czyli gdzie?

- Na cmentarz na Wyspie Św. Piotra

Wreszcie Slater spojrział Harleyowi prosto w oczy, nie wstawiając już żadnych kitów, i Harley zrozumiał, że ma do czynienia z kimś więcej niż jakimś doktorkiem na szkoleniu. Nadeszła więc pora, żeby doktorek też się przekonał, z kim ma do czynienia.

- Takie jest prawo morza - wyjaśnił Harley. - Ja to znalazłem, ja wyłowilem i to należy do mnie. - Wstał, odsuwając krzesło. - Do zobaczenia - powiedział, po czym zerknąwszy na Nikę, dodał - wasza ekscelencjo.

- Nie sądzę, żebym mógł zaufać temu człowiekowi - zauważył Kozak, gdy Harley odszedł. Skończył piwo, z rozmachem odstawił kufel na stół i lekko czknał.

- I miałby pan rację - przyznała Nika. - Harley i jego brat to nieciekawe typy.

Kozak przeprosił ich i poszedł do toalety, a Slater poprosił, żeby opowiedziała mu wszystko o braciach Vane.

- Samo przeglądanie policyjnych rejestrów trwałoby całą noc. - Ale opisała mu w skrócie długą historię rodziny Vaneow w Port Orlov. Slater wydawał się szczególnie zaintrygowany, gdy wspomniała, że Charlie prowadzi misję ewangelizacyjną przez internet.

- Czyli to stąd ten podświetlany krzyż na domu w lesie - rzekł. - Trudno go było nie zauważyć z helikoptera.

- Tak, nie da się wyraźniej zaznaczyć.

- Myśli pani, że traktuje tę działalność serio?

Pytanie było trudne i nawet Nika nie potrafiła tego rozstrzygnąć.

- Sądzę, że on tak sądzi. Ale natura ciągnie wilka do lasu. Muszę zakładać, że w głębi duszy Charlie Vane jest wciąż tym samym drobnym cwaniaczkiem, jakim zawsze był. Zresztą jutro sam pan będzie miał okazję to ocenić.

- Jak to?

- Na pewno pojawi się na nabożeństwie żałobnym za załogę „Neptuna II”. Przyjdzie tam całe miasto.

- Nie wiem, czy ja i profesor powinniśmy w tym uczestniczyć.

Nika się roześmiała.

- Nie ma powodu, żebyście nie uczestniczyli. Bo jeżeli uważa pan, że wasz pobyt u nas uda się utrzymać w tajemnicy, to chyba nigdy nie był pan w takim miejscu jak Port Orlov. Harley prawdopodobnie już się wszystkim chwali, jak kazał się panu wypchać. Jeśli dopisze mu szczęście, ta historyjka wystarczy, żeby znów zaciągnąć do łóżka Angie Dobbs.

- Kto to jest Angie Dobbs?

- Pierwsza singielka do wzięcia w mieście - odparła Nika. - Ta blond kelnerka przy szafie grającej.

Rzeczywiście, Harley, donośnym głosem, właśnie raczył ją i jeszcze kilka osób jakąś opowieścią. Slater ironicznie pokręcił głową.

- Widzę, że rządy w tym mieście to bardzo ciężka praca.

Nika wzruszyła ramionami. Nie chciała, żeby tak myślał, ale miał rację. Port Orlov, podobnie jak inne inuickie miasteczka na Alasce, był w tragicznym stanie. Przy zbyt skromnych możliwościach pomocy społecznej i zbyt wielu problemach, czasami czuła się na tym pustkowiu pozostawiona sama sobie. Gdyby udało się otworzyć porządną przychodnię, byłby to ogromny krok naprzód, ale jak znaleźć na to pieniądze i lekarza, który chciałby tu pracować. Mimo szlachetnych intencji, miała tylko dwie ręce, a dzień składał się z tylu godzin, z ilu się składał.

- Radzimy sobie, jak możemy - powiedziała w końcu.

- Czasami trzeba się zadowolić świadomością, że zrobiło się wszystko, co w naszej mocy - rzekł ze współczuciem. - Bez względu na trudności.

Miała wrażenie, że mówi też o swojej pracy i zastanawiała się, jakie straszne sceny odtwarzał właśnie w pamięci. Miał wyraz twarzy kogoś, kto widział rzeczy, których nikt nie powinien oglądać, kto robił rzeczy, których nikt nikomu nie powinien kazać robić. I mimo dzielących ich różnic - nie wspominając o fatalnym początku znajomości na lodowisku - zaczynała przeczuwać w Slaterze bratnią duszę.

Niełatwo w takiej dziurze znaleźć kogoś podobnego do siebie.

## Rozdział 16

- Komu ufasz? - zapytał Charlie, wpatrując się obiektyw kamery podłączonej do komputera.

- Któremu lekarzowi? - odpowiedziała pytaniem kobieta, nie bardzo rozumiejąc. - Sama nie wiem, wszyscy tak mi mieszają w głowie, kiedy mowa o raku i...

- Komu ufasz?! - przerwał jej Charlie, zaciskając silne dłonie na kołach wózka.

Kobieta na ekranie wyraźnie zamknęła się w sobie, zgarbiła, spuściła głowę. Jej potargane włosy wyglądały jak przyklejone do głowy.

- Kto jest wobec ciebie szczery?

- Ty? - powiedziała niepewnie, jak studentka, która liczy na to, że odgadła poprawną odpowiedź.

- Źle! - wybuchnął.

Skuliła się jeszcze bardziej.

- Ja jestem tylko instrumentem. Tylko posłańcem. To Jezus jest wobec ciebie szczery. „Każdy, kto żyje i wierzy we Mnie, nie umrze na wieki”. Jezus mówi: zawierz mi, zawierz do końca, nie trochę, nie na tyle, ile zechcesz poświęcić, ale zawierz bez reszty.

- Ależ ja wierzę - zaklinała się. - Naprawdę wierzę w to wszystko, w Boga, ale...

- Żadnych ale! Bóg mówi, daj mi wszystko, a ja ci wszystko oddam, i po stokroć więcej. Co cię powstrzymuje?

Umilkła. Z sąsiedniego pokoju słychać było głosy dzieci.

- Boję się - wyznała skruszonym głosem. - Okropnie się boję.

Charlie zdał sobie sprawę, że ją traci, że za mocno zaatakował. Ta kobieta wciąż przejmowała się ziemskimi sprawami, bała się śmierci, i wierzyła nie w to, co trzeba. Celowo zniżył głos i powiedział tonem pocieszenia:

- Kiedyś byłem taki jak ty, zanim Bóg odebrał mi władzę w nogach. Co dzień żyłem w strachu, że stracę wszystko, co mam - zdrowie, rodzinę, miłość moich przyjaciół. - Charlie sam musiał przyznać, że z miłością przyjaciół trochę przesadził, ale dał się ponieść, więc można mu wybaczyć. - I wtedy Bóg uderzył mnie mocno w twarz, cisnął mój kajak na skały w kanionie Heron River i posadził mnie na wózku inwalidzkim jak rzepę w ziemi. - Zanim służby leśne dotarły na miejsce, żeby go uratować, Charlie ujrzał Jezusa tak wyraźnie jak teraz tę kobietę na ekranie. Był ubrany w białą szatę jak na obrazach, tylko miał długie i ciemne włosy, a korona cierniowa połyskiwała, jakby była zrobiona z jakiegoś sreberka. - I od tego czasu rosnę. Moje ciało usycha, ale moja dusza jest ogromna jak sekwoja. - Nigdy więcej nie widział już Jezusa, ale wiedział, że ten dzień kiedyś nadejdzie - na tym albo tamtym świecie.

Przyciszonym głosem, żeby nie wychwytał go mikrofon komputera, Rebekah powiedziała zza kadru:

- Spóźnimy się. - Stała w drzwiach pokoju modlitewnego już w kurtce i rękawiczkach.

Machnął do tyłu ręką, też poza zasięgiem oka obiektywu, dając jej znak, że słyszy. Kobieta na ekranie płakała.

- Nie jestem taka silna jak ty - wykrztusiła. - Te wszystkie biopsje, badania i tomografy po prostu... mnie wykańczają.

- Słyszę, siostrze. - Do wszystkich swoich internetowych parafian zwracał się „siostrze” lub „bracie”. - Ale Bóg nigdy nie nakłada na nas więcej, niż możemy udźwignąć.

- Bathsheba czeka w samochodzie - syknęła Rebekah.

- Muszę już kończyć. W mieście mamy nabożeństwo; czekają tam na mnie. - Mogła odnieść wrażenie, że Charlie osobiście celebrował nabożeństwo, co nie do końca było prawdą, ale jednak jej nie okłamał. Istotnie, odbywało się nabożeństwo - uroczystość żałobna za załogę, która utonęła na „Neptunie II” - a czekali na niego tylko dlatego, że zamierzał podwieźć do kościoła brata, Harleya, który miał wygłosić kilka zdań. Charlie już mu je napisał.

- Zostań z Bogiem, siostrze - zakończył. - Jeśli Go nie odstąpisz, On nie odstąpi ciebie. Nigdy o tym nie zapominaj.

- Staram się.

- PayPal - przypomniała mu cicho Rebekah, stojąc w drzwiach.

. - No tak - odrzekł Charlie, tak pochłonięty swoją świętą misją, że prawie zapomniał o zaleceniach Pana, by znaleźć środki, żeby głosić Jego słowo. - I nie zapomnij wpłacić datku z konta PayPal.

Kobieta skinęła głową, wycierając nos w kulkę zwiniętych chusteczek.

- Z Panem Bogiem, siostró.

- Z Panem Bogiem - powiedziała i zakończyła połączenie.

Rebekah westchnęła zirytowana.

- Wydaje ci się, że dom utrzymuje się z modlitwy, nie z pieniędzy! - Sprowadziła wózek Charliego po pochylni do garażu, a następnie pomogła mu się podciągnąć i usiąść za kierownicą niebieskiego minivana. Górna połowa jego ciała nadal była silna i sprawna. Podczas gdy Rebekah chowała wózek z tyłu, Bathsheba pochyliła się nad książką. Gdyby Charlie zapytał, co czyta, twierdziłaby, że Pismo Święte, ale nie raz już się okazywało, że to jedna z książek o wampirach w stylu Zmierzchu. Charlie surowo ją za to ganił.

Nabożeństwo zaplanowano na południe, a Charlie wiedział, że jest mało prawdopodobne, by Harley zdążył wstać. Wyjechał tyłem z garażu, korzystając z ręcznego układu sterowania, który umożliwiał mu prowadzenie samochodu bez konieczności wciskania stopami pedałów gazu i hamulca; wystarczyło obracać specjalnie zainstalowaną dźwignię przy kierownicy. Podjazd był długi i wyboisty, a nawierzchnia głównej drogi wcale nie była w lepszym stanie.

- Nie podoba mi się, że tak często rozmawiasz z tą kobietą - powiedziała Rebekah.

Charlie przez chwilę zastanawiał się, kogo miała na myśli.

- Domaga się współczucia i tyle - ciągnęła Rebekah.

- Na litość boską, ona umiera.

- To żadne usprawiedliwienie. Wszyscy umrzemy.

- Należy do mojej owczarni.

- No to ją ostrzyż i skończ z tym.

Bathsheba zachichotała z tyłu, a Charlie spojrział w lusterko wsteczne.

- Co w tym śmiesznego?

- Nic.

Kiedy obie wprowadziły się do niego, Charlie po kilku dniach zdał sobie sprawę, że Bathsheba wcale nie jest nieśmiała, tylko zwyczajnie mało rozgarnięta. Starsza siostra po prostu się nią opiekowała.

Potrzebował pomocy przy domu, a jeszcze bardziej przy prowadzeniu strony i kościoła „Pisma Świętego według Vanea”. Rebekah miała smykałkę do interesów, a

Bathshebie można było powierzyć proste prace domowe. W innych sytuacjach młodsza siostra mogła jednak sprawiać problemy.

- Nie będziemy mieli dzisiaj żadnych kłopotów, co? - zapytał przez ramię.

Bathsheba udawała, że nie wie, o czym Charlie mówi.

- Żadnych wygłupów? Żadnych ataków? - Ostatnim razem, gdy weszli do kościoła luterańskiego, który służył jako dom modlitewny wszystkim wyznaniom w Port Orlov, Bathsheba twierdziła, że zaatakował ją diabeł. Te dwie kobiety, wychowane w małej fundamentalistycznej sekcji na północnym wschodzie, która przed stu laty odłączyła się od głównego nurtu, przybyły do Port Orlov z pewnymi ugruntowanymi, choć niekonwencjonalnymi poglądami. Ale zdarzenia tego rodzaju Charlie przypisywał przeklętym książkom, które czytała Bathsheba. Dzięki Bogu, miejska biblioteka w ośrodku kultury składała się z zaledwie trzech półek wymiętych książek Reader s Digest.

- Nie martw się o moją siostrę - powiedziała ostro Rebekah. - Lepiej zajmij się swoim bratem. - Właśnie zamierzał to zrobić; opracował szczegółowy plan działania dla Harleya i jego dwóch stukniętych kumpli Eddiego i Russella.

Jechali w milczeniu aż do obrzeży miasteczka, po czym skręcili we Front Street i zatrzymali się między składem drewna a sklepem z bronią. Przyczepa stała na zardzewiałym stalowym zaczepie, ćwierć metra nad ziemią.

- Idź po niego - powiedział Charlie, a Rebekah odrzekła:

- Jest zimno. Lepiej po prostu zatrąb.

Charlie pomyślał, że tematem następnego kazania w sieci będzie posłuszeństwo.

Nacisnął klakson i patrzył, jak w oknie podnosi się żaluzja. Dostrzegł zarys głowy Harleya na tle jasnofioletowego światła padającego z terrarium węża. Prawdę mówiąc, Charlie nigdy nie był w tej przyczepie, inaczej niż Rebekah, która opowiedziała mu wszystko w szczegółach.

Drzwi się otworzyły i po schodach zszedł Harley, zapinając po drodze kurtkę. Włosy miał mokre po prysznicu. Usiadł na tylnym siedzeniu obok Bathsheby, która szybko schowała książkę. Charlie spojrzął do tyłu i polecił:

- Pokaż mi mowę, którą będziesz wygłaszał.

- Jaką mowę? Powiem parę zdań i zaraz siądę z powrotem.

- Myślałem, że powiesz to. - Charlie sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął wydrukowane notatki. - Przeczytaj po drodze. Bo to wygłosisz.

Harley niechętnie wziął kartkę i kiedy ruszyli, zaczął ją studiować. Charlie pochlebiał sobie, że świetnie posługuje się słowem - dzięki elokwencji udało mu się wykręcić od



niejednego zarzutu, między innymi włamania z bronią w rękę i napaści - i nawet jeśli to nie on miał przemawiać w kościele, z ambony padną jego słowa.

Dzięki znaczkowi osoby niepełnosprawnej Charlie zaparkował furgonetkę przy samych schodach. Rebekah wprowadziła wózek podjazdem na górę. W środku, niedaleko płyty pamiątkowej na cześć wszystkich rybaków, którzy w ciągu ostatnich stu lat zginęli na morzu, powieszono tablice ogłoszeń z nazwiskami i zdjęciami ostatnich ofiar. Lucas Muller. Freddie Farrell. Jonah Tasi - Samończyk. Buddy Kubelik. Stary Richter. Napisano, że stary miał na imię Aloysius. Nic dziwnego, że nigdy go nie używał. Zdjęcia przedstawiały mężczyzn triumfalnie trzymających złowione ryby, kucających nad martwym wapiti albo unoszących kufle piwa w barze „Yardarm”. Niektórzy mieszkańcy przypięli do tablic liściki i karteczki pożegnalne.

Gdy wózek Charliego jechał nawą kościoła, ludzie zauważali go i szybko odwracali wzrok. Wiedział, że jego świta wygląda spektakularnie i bardzo mu się to podobało. To miasteczko zawsze było za małe jak na jego ambicje, ale dopiero po wypadku - i swoim ocaleniu - zrozumiał Boże przesłanie i znalazł sposób, by usłyszał o nim cały świat. „Pismo Święte według Vanea” nie było jeszcze potęgą, ale szczerze wierzył, że pewnego dnia będzie. Kiedy Pan uzna za stosowne, wskaże mu, co zrobić, by tak się stało.

Rebekah zatrzymała wózek przy pierwszej ławce, a Charlie z zadowoleniem zobaczył, że miejsce musi im zrobić pani burmistrz oraz siedzący obok niej dwaj mężczyźni - z których jeden wyglądał jak Rusek. Pewnie ci z helikoptera; Charlie ucieszył się, że ma okazję ich zobaczyć. Zawsze powtarzał, że trzeba znać swojego wroga. A Pan z pewnością zgodziłby się z głosem zdrowego rozsądku. Zdaniem Charliego wielu ludzi myliło się w tej kwestii; uważali, że Bóg chce, aby zachowywali się jak prostoduszne dzieci, od każdego spodziewając się dobroci i darząc wszystkich bezgranicznym zaufaniem, jak naiwne pieski. Bzdura. Bóg chce, żebyśmy, korzystając ze sprytu, jaki nam dał, pomagali Mu i Jego sprawie - pod tym względem Charlie nigdy nie zawiódł Jego oczekiwań.

Ale skoro o tym mowa... na ambonę wszedł przewielebny Wallach, żaloszny mięczak, który ledwie potrafił poruszać łyżeczką w herbacie - jak więc mógł poruszyć serca wiernych? W jednej ręce trzymał Biblię, a w drugiej kamizelkę ratunkową z „Neptuna II”, którą zawiesił na haku przy pulpicie. Użył haka do tego celu nie pierwszy raz, i nie ostatni. Morze Beringa nie przestawało się srożyć.

- Zebraliśmy się tu dzisiaj - zaczął pastor - aby uczcić pamięć dobrych ludzi, którzy stracili życie podczas pracy, którą zawsze wykonywali z oddaniem i radością.

Minęło zaledwie dziesięć sekund, a Charlie omal nie ryknął śmiechem. Ktokolwiek sądzi, że poławiacze krabów robią to dla przyjemności, nie może być przy zdrowych zmysłach. To chyba najgorsza robota na świecie. Charlie robił to przez parę lat, dopóki pierwszy „Neptun” nie poszedł na dno, i nie tęsknił za tym nawet przez minutę. Teraz żył po to, aby pełnić swoją posługę i w tym celu był gotów zrobić wszystko, co okaże się konieczne. Ściślej mówiąc, miał to zrobić Harley i jego kumple Eddie i Russell. Jeszcze przed rozpoczęciem nabożeństwa widział te dwie ofiary losu palące skręta przed kościołem.

Harley podsunął im temat roboty, więc Charlie nie zamierzał już tracić czasu, żeby ich przekonywać. Zadanie wymagało ogromu ciężkiej pracy - musieli dotrzeć na Wyspę Św. Piotra i rozkopać groby, prawdopodobnie wciąż skute wieczną zmarzliną. Spokoju nie dawała mu tylko myśl, że przez całe życie miał pod nosem taką żyłę złota. Czyżby Opatrzność w końcu otworzyła mu oczy? Jeśli się okaże, że tam, skąd pochodził wysadzany szmaragdami krzyż, jest więcej kosztowności, wreszcie zdobędzie środki, żeby robić wszystko, co zechce. Będzie mógł zalać całą planetę słowem Bożym. Może właśnie z tego powodu Jezus postawił na jego drodze ten skarb?

Kto wie, ile tego może być?

Odkąd w kurtce Harleya znalazł krzyż, szperał w internecie, zamawiał książki, ściągał monografie, raz podszył się nawet pod profesora z Uniwersytetu Alaski, żeby dokładnie wypytać kilku znawców historii Rosji. A wszystko, czego się dowiedział - na przykład to, że kolonię założyła grupa fanatyków z Syberii, którzy osiedli na wyspie między rokiem 1910 a 1918 - tylko zaostrzyło jego apetyt.

- Wysłuchamy dziś rodzin tych, którzy zginęli - kontynuował pastor monotonię - a także kapitana nieszczęsnego kutra, który tamtej pamiętnej nocy przewrócił się do góry dnem. Tylko on przeżył, aby móc nam o tym opowiedzieć.

I nazmyślać, ile wlezie, pomyślał Charlie.

- Zacznijmy od pana Mullera - rzekł wielebny Wallach - ojca Lucasa, najmłodszego członka załogi.

Gdy Muller, który na co dzień prowadził sklep żelazny, z uroczystą miną zbliżył się do pulpitu, zniecierpliwiony Charlie bębnił palcami w kolana. Wciąż rozmyślał o swoich najnowszych odkryciach. Okazuje się, że ci przybysze z Syberii byli wyznawcami szalonego mnicha Rasputina, tego który opętał ostatniego cara i carycę Rosji. Romanowów. Część tych informacji przypominał sobie ze szkoły - nie można było wychować się na Alasce i nic nie wiedzieć o Rosjanach, którzy mieszkali po drugiej stronie cieśniny - ale o klejnotach

Romanowów nie wiedział dotąd nic. Nie miał pojęcia, że car i jego rodzina posiadali jedną z najbardziej olśniewających kolekcji biżuterii, jakie widział świat.

I że jej dużej części brakuje po dziś dzień.

- Kiedy mój syn się do czegoś przyłożył, nigdy nie zawiódł - mówił Muller. - Był bardzo pojętny i nie znałem nikogo, kto by pracował tak ciężko jak on.

Charlie wiedział, że winą za zatonięcie kutra obarcza się Lucasa, który stał u steru, domyślał się więc, że w ten sposób ojciec próbował ratować jego reputację. Miał nadzieję, że Harley nie wpadnie na pomysł, żeby powiedzieć coś z głowy i dolać oliwy do ognia.

Kiedy Muller oddał głos matce Samończyka, Charlie jeszcze raz przeglądał w myślach listę przedmiotów składających się na kolekcję carskiej rodziny - niezliczone diademy i naszyjniki, kolczyki i bransoletki, złożone krzyże i emaliowane jajka - wykonane przez jubilera Fabergea. Caryca, zauroczona świętym człowiekiem ze stepów, hojnie obsypywała go prezentami, a krążyły nawet pogłoski, że została jego kochanką. Ale kto to może wiedzieć i w ogóle, kogo by to dzisiaj obchodziło? Dla Charliego ważna była niewątpliwa wartość krzyża - i fakt, że jeśli pochodził z wyspy, to reszta zaginionych klejnotów Romanowów też może tam być.

Matka Samończyka ustąpiła miejsca siostrze Farrella, a następnie mechanikowi, znajomemu Starego Richtera, aż w końcu nadeszła kolej Harleya, który podszedł zgarbiony do pulpitu, jak skazaniec idący na szafot. Charlie chciał krzyknąć, żeby się wyprostował, ale z ulgą zobaczył, że Harley wyciąga przygotowaną przez brata kartkę i zaczyna czytać.

Rebekah z aprobatą pokiwała głową i spojrzała na Charliego świdrującym wzrokiem. Bathsheba odłożyła swoją tandetną książkę i naprawdę zaczęła słuchać.

- Celem łaski Bożej zawsze pozostaje człowiek - mówił Harley; z tego fragmentu Charlie był szczególnie zadowolony. - Musimy podążać ścieżką wiary. Ta ścieżka poprowadzi nas przez życiowe trudy i znoje, chroniąc nas przed złem i niezliczonymi zarazami, które nas nękają. Nawet wtedy, gdy kurczowo trzymałem się wieka trumny, ufałem, że Bóg doprowadzi mnie do brzegu.

Charlie wiedział, że Bóg był prawdopodobnie ostatnią rzeczą, o jakiej tamtej nocy myślał Harley, ale na pewno dobrze to zabrzmiało. Następnie Harley przeczytał opis wszystkich innych głęboko religijnych objawień, których doświadczył, gdy pełen zwątpień i lęków zmagał się z zimnym morzem, zanim dotarł na brzeg, gdzie ostatecznie doprowadziła go wiara.

- Żałuję tylko, że nie udało mi się uratować członków mojej załogi, którzy wypłynęli ze mną w ten straszny rejs - zakończył. - Wiem jednak, że teraz odpoczywają w pokoju w rękach kochającego Boga.

Gdy umilkł, Charlie miał ochotę zaklaskać albo w jakiś sposób dać wszystkim do zrozumienia, że to jego słowa, ale nie miał pomysłu, jak to taktownie zrobić. Po chwili, zaskakując zgromadzonych, wstała pani burmistrz i wygłosiła kilka zdań, które, jak zapewne przypuszczała, pomogą jej wygrać następne wybory (jakby w ogóle ktoś przy zdrowych zmysłach chciał przyjąć tę robotę), po czym wielebny Wallach zmówił Modlitwę Pańską i zaprosił zebranych do aneksu kościoła na ciepłe napoje i przekąski.

- Dobrze wypadłem? - Harley wolnym krokiem podszedł do brata. Kartki z tekstem mowy wcisnął do tylnej kieszeni jeansów.

- W niektórych miejscach za bardzo mamrotałeś, ale poza tym było w porządku.

- Miałeś patrzeć na ludzi - wtrąciła Rebekah.

- Ciebie nie pytam.

- Gdybyś był mądry, to byś spytał.

Charlie wiedział, że jego brat i Rebekah nie darzą się sympatią. Zanim w rodzinnym domu Vaneow pojawiły się siostry, mieszkał tam i Harley, ale kiedy rządy przejęły Rebekah i Bathsheba, Harley i jego wąż w niezbyt subtelny sposób zostali stamtąd wyprowadzeni.

- Mnie się wydaje, że dobrze ci poszło - powiedziała nieśmiało Bathsheba.

- Gdzie są ci kretyni? - zapytał Charlie, a Harley, wiedząc dokładnie, kogo ma na myśli, rozejrzał się po pustoszejącym kościele.

- Pewnie poszli na poczęstunek.

- Idź po nich. Spotkamy się przy furgonetce.

Rebekah wyprowadziła wózek na zewnątrz, a potem poszła z siostrą do aneksu. Charlie wiedział, że obie są tam potrzebne jak dziura w moście.

Kilka minut później pojawił się Harley z Eddiem i Russellem. Byli obładowani taką ilością pączków, obwarzanków i kawy, że nie wiedzieli, jak wejść do vana. Wreszcie Harley postawił kubek na masce i odsunął boczne drzwi. Charlie zastanawiał się, jak ci trzej poradzą sobie z jakimkolwiek bardziej skomplikowanym zadaniem.

Ale już jego w tym głowa.

- No i co? - zapytał, gdy siadali z tyłu. - Macie łódź?

Wszyscy trzej spojrzeli na siebie zdziwieni, po czym Eddie się zadeklarował, że na kilka dni mógłby prawdopodobnie podprowadzić kuter wujowi.

- Ale jak się zorientuje, to pewnie będę musiał odpalić mu kilka dolców.

- Kup mu sześciopak piwa, to się w ogóle nie zorientuje - poradził Russell.

- Musicie się dostać na wyspę jutro, chłopaki - zapowiedział Charlie.

- I co mamy tam robić? - zapytał Russell, a z ust wypadło mu parę okruchów. Charlie uznał, że Wygląda jak przeżuwaną krowa.

- Zabrać klejnoty, zanim dostaną je ci goście przysłani przez rząd.

- Kto powiedział, że w ogóle się tam wybierają? - spytał Eddie.

Charlie potrzebował chwili, żeby się uspokoić, po czym rzekł:

- Nie robią rozpoznania terenu w miejscu, do którego nie chcą jechać. I nie wiercą Harleyowi dziury w brzuchu, wypytyując o wieko trumny, jeżeli sami nie zamierzają szukać reszty.

- Ale oni będą mieć super sprzęt i Bóg wie co jeszcze - zauważył Eddie.

- Dlatego będziecie tam przed nimi i przybijecie po zawietrznej stronie wyspy - wyjaśnił Charlie. - Jak najdalej od plaży.

- Nigdzie indziej poza plażą nie da się zacumować - odparł Eddie.

- Dużą łodzią nie, ale trawler twojego wuja ma zanurzenie mniejsze niż xiwa metry i może podplynać do zatoczki. Oczywiście, będziecie musieli zaczekać, aż się ściemni. - O tej porze ciemność po południu zapadała coraz wcześniej. - Nie wolno wam też rozpałać żadnego ognia. Kiedy przyjadą federalni, lepiej żeby nie poczuli dymu i nie zobaczyli żadnych śladów po obozowisku. Najlepsza byłaby jaskinia. Znajdźcie jakąś.

- Na długo? - marudził Eddie.

- Na tyle, ile będzie trzeba - odparł Charlie. - I weźcie ze sobą broń.

- Broń? - zapytał Russell, odzyskując głos. - Nie będę strzelać do Straży Przybrzeżnej.

Dwa lata w Spring Creek mi wystarczą.

- Wilki - powiedział Charlie. - Przypominam, na wypadek gdybyś nie wiedział, że na wyspie są wilki.

- Aha.

Część mieszkańców zaczęła powoli opuszczać aneks kościoła, naciągając czapki i rękawiczki. Geordie Ayakuk, który zjadał hot doga, nie miał ani czapki, ani rękawiczek. Tubylcy mają naturalny tłuszcz, pomyślał Charlie - to kolejny znak tajemniczego dzieła Bożego.

W tłumie pojawiły się obie siostry, które ruszyły w kierunku vana, a Harley i jego kumple mieli wrażenie, jak gdyby zobaczyli ducha.

- Dobra - powiedział Eddie, szybko pociągając za klamkę i odsuwając drzwi. - Lepiej już pójść.

- Ja też - powiedział Russell i wysiadł zaraz za nim.

Harley został na fotelu pasażera. Z niepewną miną zapytał:

- Jak myślisz, ile to naprawdę potrwa?

- To wszystko zależy.

- Od czego?

- Od tego, jak szybko będziecie kopać.

Rebekah stała teraz obok samochodu, wyraźnie czekając, żeby Harley ustąpił jej miejsca i przesiadł się do tyłu.

- Podwożę cię do przyczepy - rzekł Charlie - i możesz się już zacząć pakować.

Ale Harley zerknął na Bathshebę, która miała wielką ochotę, żeby usiadł z tyłu razem z nią, i powiedział:

- Nie trzeba. Przejdę się.

## Rozdział 17

Kiedy van odjechał, Harley postawił kołnierz kurtki i w przenikliwym wietrze powlókł się Front Street. Było dopiero południe, ale niebo zasnuwały gęste chmury i dzień już gasł. Wszystko wokół niego - parę wystaw sklepowych, przekrzywiony totem, zardzewiałe półciężarówki na potężnych kołach - było skąpane w ołowianym świetle, jak gdyby miasto przykryło odwrócone do góry dnem naczynie. Ciekawe, jak by to było patrzeć na promienie słońca igrające wśród palm i chodzić w samym Tshircie i krótkich spodenkach?

A jak wyglądałaby Angie Dobbs z prawdziwą opalenizną, a nie z ceglastohomarovą jak po niektórych wizytach w solarium w Nome?

Ze względu na nabożeństwo żałobne sklep z bronią i skład drewna były zamknięte. Na końcu alejki, między nimi, jego przyczepa też stała w ciszy i mroku, jeśli nie liczyć fioletowej poświaty z terrarium węża, sączącej się spomiędzy listewek żaluzji. Gdy przechodził obok sklepu z bronią, w środku roszczękał się rottweiler, który rzucił się na drucianą siatkę zasłaniającą okno.

- Zamknij się, pieprzony kundlu - powiedział Harley, podchodząc do szopy za składem drewna. Na drzwiach wisiała kłódka, ale Harley wiedział, że właściciel już tyle razy gubił klucze, że przestał ją zamykać. Poza tym, cóż można było stamtąd ukraść oprócz paru łopat i kilofów, których on właśnie potrzebował? Prawdopodobnie nikt nie zauważył ich zniknięcia, dopóki nie wróci z wyspy z workiem klejnotów, na co liczył.

Klejnotów, za które mógłby kupić bilet pierwszej klasy do Miami Beach.

Harley uchylił metalowe drzwi na tyle, żeby wśliznąć się do środka, i po omacku odnalazł sznurek włącznika wiszącej u sufitu żarówki. Cała lampa kołysała się, rzucając cienie na i tak już ponure wnętrze. W szopie piętrzyły się stosy gnijących desek, stało też parę zepsutych tokarek i koźłów do cięcia drewna, na których leżały porozrzucane narzędzia. W głębi, oparte o ścianę jak grupka pijanych, stały łopaty, szpadle i kilofy, których potrzebowali do odkopywania i otwierania trumien. Wystarczył sam ich widok, żeby zaczęły boleć go ręce, ale powiedział sobie, że ma przypilnować, aby większość najcięższej roboty odwalali Eddie i Russell. To on jest szefem, a szef ma wszystko nadzorować. Już to widział, jak ci dwaj będą się do niego przypieprzać.

Ominął taczkę bez koła i zaczął grzebać wśród łopat, szukając takich, które będą się najlepiej nadawać. Potrzebował przynajmniej jednej szerokiej i płaskiej, na wypadek gdyby spadło dużo śniegu, i jeszcze paru ostrzejszych i twardszych do rozkopywania zamrożonej ziemi. Dłuta też mogły się przydać; można by je wbijać w ziemię jak paliki i gdyby Eddie i Russell zrobili to dobrze, mogliby usunąć naraz kawał prawie nienaruszonej ziemi.

Wiatr wiał tak mocno, że skrzydło metalowych drzwi zamknęło się z hukiem, a Harley na ten dźwięk aż podskoczył. Lampa na suficie kołysała się jak wahadło, a on żałował, że żarówka nie ma więcej watów. Wszystko w pomieszczeniu rzucało dziwaczne cienie na ściany z falistej blachy i przez ułamek sekundy zdawało mu się, że dostrzegł jakiś ruch za sobą, jak gdyby właśnie ktoś lub coś weszło do szopy.

Czyżby wypuścili tego cholernego psa? Harley stał nieruchomo jak głaz i czekał, ale nie zauważył niczego, co skradałoby się przy ziemi między deskami i piłami łańcuchowymi. A wytężając słuch, usłyszał przez szum wiatru ujadanie rottweilera dobiegające ze sklepu z bronią, czyli stamtąd, gdzie powinien być.

Pies tak ujadał, jakby z jakiegoś powodu wpadł w panikę.

Harley nie rozumiał, po co są psy. Uważał je za nieudane wilki i jego zdaniem można by je wszystkie powystrzelać.

Wrócił do wybierania narzędzi - nie chciał tu spędzić całego dnia. Gdyby właściciel złapał go na tym, co robił, to formalnie rzecz biorąc, mógłby to uznać za kradzież. Nagle przerwał, bo wydawało mu się, że znów słyszy jakiś ruch, tym razem z drugiej strony sterty desek.

- Hej! - zawołał. - Jest tu kto?

Nikt nie odpowiedział.

- McDaniel? - zapytał, myśląc, że może właściciel składu drewna zaczął się i chce go przyłapać na gorącym uczynku. - To ja, Harley.

Wciąż nie było odpowiedzi, ale z całą pewnością usłyszał odgłos kroków.

- Chciałem tylko pożyczyć łopatę, żeby wygarnąć lód spod przyczepy. Chyba mogę, co? - Ale wiedząc, jaką opinię mają w mieście bracia Vane, dodał: - Chciałem zaraz oddać, jak tylko skończę. - Boże, przynajmniej raz prawie mówił prawdę.

Z łopatą w ręku ostrożnie podszedł do sterty desek, spodziewając się, że może zobaczy McDaniela albo tego młodego Eskimosa, który mu pomagał, ale ujrzał coś, co w chybotliwym świetle przypominało chudego stracha na wróble. W pierwszej chwili pomyślał, że to może manekin.

Ale wówczas to coś zamrugało oczami.

- Kurwa, kim jesteś? - zapytał, ale zanim skończył mówić, już go rozpoznał.

Mokre brązowe włosy, opadające na szarą bluzę ze stójką. I długie czarne futro z fok. Duże ciemne oczy, zeszywniała skóra, wargi odsłaniające żółte zęby.

To było ciało z trumny, którą znalazł w sieci.

Patrzył na nie z przerażeniem, a postać wyciągnęła do niego rękę, jakby spodziewając się, że coś od niego dostanie.

- Czego chcesz? - zapytał Harley, cofając się, i z całej siły ścisnął łopatę. - Wypierdalaj stąd!

Młody człowiek otworzył usta - Harley mógłby przysiąc, że nawet z odległości trzech metrów poczuł najgorszy smród, jaki kiedykolwiek zdarzyło mu się wachać - i powiedział coś, co zabrzmiało jak rosyjski. Ale był to głos tonącego, wypowiadający bełkotliwie słowa grzęznące w bulgocie wody.

Harley uniósł łopatę jak baseballista szykujący się do uderzenia.

- Nie podchodź bliżej!

Słyszał, jak rottweiler w sąsiednim budynku szaleje jeszcze bardziej, lecz tym razem żałował, że nikt tego cholernego psa nie wypuścił.

Mężczyzna powtórzył te same słowa i podniósł rękę - zamiast palców miał po prostu gołe białe kości, zakończone długimi, pozakręcanymi paznokciami - po czym dotknął swojej piersi.

Dokładnie tam, gdzie wcześniej wisiał szmaragdowy krzyż.

Chryste Panie. Gdyby Harley miał teraz ten krzyż przy sobie, bez namysłu rzuciłby nim w zjawę.



- Nie mam go! - krzyknął. Po czym, jakby to miało jakiś sens, dodał: - Jest u Charliego!

Ale mężczyzna chyba nie rozumiał ani słowa po angielsku i gdy zrobił krok naprzód, Harley poczuł, że ma za sobą tylną ścianę szopy. Machnął łopata, ale przybysz najwyraźniej nie zwrócił na to uwagi. Podszedł bliżej, a Harley zadał cios łopata, trafiając go w ramię i przewracając jak garść patyków i szmat na stertę kawałków drewna i wiórów.

Harley wrzasnął, przeskoczył miejsce, w którym stał człowiek w futrze, i wciąż ściskając w ręku łopatę, pobiegł do drzwi, przewracając po drodze taczkę. Wypadł na zewnątrz. Rottweiler wciąż szalał, skacząc na okno i znacząc je śladami piany. Harley obejrzał się przez ramię i nagle zderzył się z czymś albo kimś, po czym padł jak długi na ziemię.

Zobaczył stojącego nad sobą wkurzonego i zdezorientowanego McDaniela.

- Harley, do jasnej cholery, co ty tu robisz? - Jego wzrok padł na łopatę. - Chcesz mi odśnieżyć podjazd?

- Chciałem tylko pożyczyć - wyjaśniał Harley, próbując złapać oddech i wpatrując się w otwarte drzwi szopy. Czy to cholerstwo zamierzało za nim wyjść?

- Pożyczyć? - zapytał McDaniel. - Akurat.

Zanim Harley zdążył go powstrzymać, wszedł do szopy. Po minucie zauważył, że światło zgasło, a McDaniel wyszedł jak gdyby nigdy nic.

- Jak chcesz pożyczyć jakieś narzędzia - rzekł - wystarczy normalnie poprosić.

- Jasne - odpowiedział Harley, stojąc już na nogach. Ale co się stało ze zwłokami w futrze z fok? Czy McDaniel ich nie zauważył? Czy też po prostu... zniknęły?

- W kościele miałeś bardzo dobrą mowę.

Czy to coś w ogóle tam było? Harley zaczął się obawiać, że traci rozum.

- Nie zaczynaj znowu kraść, bo wszystko spieprzysz.

Harley skinął głową i powlókł się w stronę swojej przyczepy, zostawiając łopatę opartą o stopnie. Zziębnięte ręce tak mu dygotały, że nie umiał trafić kluczem w zamek. A gdy się wreszcie odwrócił, żeby zamknąć za sobą drzwi, zobaczył McDaniela, który wciąż na niego patrzył i tylko kręcił głową.

## Rozdział 18

Dzisiaj wieczorem, myślał książę Feliks Jusupow, wszystko zmienię. Nie tylko to, jak widzi mnie świat. Odmienię też historię.

O tak, doskonale zdawał sobie sprawę, jakie robi wrażenie w kosmopolitycznym środowisku. Przez całe lata umyślnie szokował wszystkich, których znał - pokazując się w kawiarniach, restauracjach i na przyjęciach w najelegantszych kobiecych strojach i obwieszony biżuterią swojej matki. Był gospodarzem szalonych przyjęć - właściwie orgii - w należących do jego rodziny pałacach w Moskwie, Petersburgu czy na wsi. Cieszył się względami zarówno dziewcząt, jak i chłopców, aktorek i śpiewaczek operowych, jak również dziarskich młodych marynarzy. W dodatku ożenił się z siostrzenicą cara księżniczką Iriną, słynącą z niezrównanej urody. Prawdę mówiąc, sam uważał się za równie atrakcyjną osobę jak ona, ale Irina była bardzo pożądaną partią i musiał przyznać, że stanowią idealną parę.

Jednak dziś wieczorem księżniczka była bezpiecznie ukryta setki kilometrów od Petersburga, w okazałym rodzinnym pałacyku myśliwskim na Krymie. Książę nie chciał, aby znalazła się w pobliżu pałacu Jusupowów w tę brzemienną w skutki wigilię Nowego Roku. Wystarczyło, że odgrywa rolę przynęty w pułapce.

Jusupow obiecał Rasputinowi, że jeśli o północy przybędzie do pałacu, weźmie udział w kameralnym przyjęciu, na którym mnich w końcu będzie miał okazję poznać słynną piękność.

- Księżna tyle o tobie słyszała, że domaga się, abym cię jej przedstawił - powiedział mu Jusupow. Z próżnością Rasputina mogła konkurować tylko jego zachłanność. - Obiecałem jej, że tam będziesz.

Książę wysłał po Rasputina własny samochód - czarnego bentleya z herbem rodowym na drzwiach - aby przywiózł go do pałacu. Spojrzał na złoty kieszonkowy zegarek i stwierdził, że samochód powinien się pojawić lada chwila. Z piętra dobiegała muzyka z gramofonu, ostatnio bardzo popularna wśród rosyjskiej socjety melodia Yankee Doodle Dandy, oraz głosy pozostałych konspiratorów, udających rozbawionych gości przyjęcia.

Na bruk dziedzińca padał śnieg, kładąc się warstwą na cienkiej tafli lodu, który skuł powierzchnię kanału za bramami pałacu. Na dole, w sklepionych komnatach, gdzie miał się dokonać czyn, wszystko było już przygotowane. Na srebrnych tacach ułożono wykwintne ciastka zaprawione cyjankiem potasu. Madera, także zatruta, została zdekantowana i przygotowana do podania. I gdy Jusupow zobaczył, jak przez żelazne bramy wjeżdża samochód, prowadzony przez przebranego za szofera doktora Łazowierta, wyszedł po gościa na dwór.

- Witaj! - wykrzyknął, szeroko rozkładając ramiona, gdy Rasputin wysiadł.

- Feliksie! - odpowiedział Rasputin, biorąc go w objęcia.

Jak na podobno szalonego mnicha, dziś prezentował się nad wyraz dobrze. Wziął kąpiel - Jusupow poczuł wyraźny zapach taniego mydła bijący od jego skóry - i miał na sobie kunsztownie haftowaną jedwabną koszulę oraz czarne aksamitne spodnie. Nawet jego skórzane buty były czyste i wyglansowane.

Ale nie było widać krzyża, który zwykle nosił na szyi i w którego szmaragdach rzekomo kryła się jakaś tajemna moc - bo jakże inaczej można wytłumaczyć, że taki brutal jak on zdobył taką pozycję i władzę? Jusupow i Crzyż Romanowów wziął to za dobry znak, jak gdyby stawał w szranki z przeciwnikiem, który ma złamaną kopię.

- Zaczęliście zabawę beze mnie! - powiedział Rasputin, unosząc głowę w kierunku hałasów dochodzących z okien na piętrze.

Ale ksiązę prowadził go już do westybulu, oddalając się od głównych schodów. Rasputin zaczął się opierać, lecz Jusupow szepnął:

- Księżniczka dołączy do nas na dole później, na przyjęciu tylko dla nas.

- Czemu nie na górze? - zapytał Rasputin, z błyskiem oburzenia w oku.

- Tam raczej wieje nudą - odparł Jusupow, ciągnąc go w stronę schodów prowadzących do piwnicy. - Przyszło paru krzykaczy z Dumy.

- Nie boję się ich! - oświadczył Rasputin. - Niech mi wymyślają! Politycy to dla mnie kaszka z mlekiem.

- Na ciebie czeka coś znacznie lepszego.

Rasputin niechętnie dał się poprowadzić krętymi schodami do sklepionych komnat w piwnicy. W kominku huczał ogień, a w powietrzu roznosił się zapach kadzideł. Zdenerwowany wielki ksiązę Dymitr, stojący przy barku, uniósł kieliszek szampana i powtórzył po gospodarzu słowa powitania.

Jego obecność najwyraźniej udobruchała Rasputina. Ten tak zwany święty starzec stanowił ciekawe połączenie - raz był człowiekiem z ludu przemawiającym w imieniu chłopów, a chwilę potem nędznym awanturnikiem, który zabiegał o względy arystokratów, choć udawał, że nimi gardzi. Jedno Jusupow wiedział na pewno - dla arystokracji Rasputin stał się kulą u nogi; caryca została przez niego całkowicie zniewolona, mógł więc decydować o losie każdego na dworze. I coraz śmielej używał swoich wpływów, aż doszło do tego, że zaczął ingerować w sprawy państwa - a nawet wpływać na przebieg wojny. Ponieważ Rasputin próbował krytykować wszystko, począwszy od strategii wojskowych aż po decyzje cara w sprawie wyboru ministrów, dla patriotów, takich jak ksiązę Feliks i wielki ksiązę Dymitr, stało się jasne, że coś trzeba z tym zrobić.

I dziś mieli to uczynić. Książę nie miał wątpliwości, że gdy wieść o tym się rozejdzie, jego wizerunek w cudowny sposób się odmieni i z niesławnego bogatego lekkoducha stanie się Wybawicielem Matki Rosji.

- Przygotowaliśmy twoje ulubione - powiedział Dymitr, podsuwając Rasputinowi półmisek z ciastkami, za którymi mnich przepadał, ale ku jego i Feliksa konsternacji, święty starzec odmówił. Przechadzał się po zwieńczonym kamiennymi łukami pokoju i podziwiał objętych dant, wystawione w przeszklonych witrynach. Na granitowych podłogach leżały puszyste perskie dywany i skóra białego niedźwiedzia, z zachowaną głową i wyszczerzonymi kłami.

- Muzyka! - wykrzyknął Jusupow, klaszcząc w dłonie, a Dymitr chwycił bałajkę i zagrał. Rasputin zaczął poruszać ręką w rytm muzyki, po czym usiadł na rzeźbionej otomanie. Kusily go ciastka na stole, a Jusupow udawał, że nie zauważył, jak Rasputin mimochodem sięga po jedno i szybko je zjada.

Doktor Łazowiert, który osobiście zmełł cyjanek potasu i nasypał do każdego ciastka, przysięgał na wszystkie świętości, że zgon nastąpi niemal natychmiast.

Nawet Dymitr wolniej przebierał palcami po strunach, żeby się przyjrzeć.

Ale Rasputin tylko się uśmiechnął i powiedział:

- Jeszcze raz! Tylko tym razem zagraj coś skoczniejszego!

Książę przyglądał się z niedowierzaniem, jak mnich wyciąga z gęstej brody okruszek, po czym go zjada.

A potem jeszcze jedno ciastko.

Dymitr trącał palcami struny instrumentu, a Jusupow czekał z zapartym tchem.

Rasputin siedział na otomanie jak gdyby nigdy nic.

- Może nasz gość miałby ochotę napić się wina - zaproponował Dymitr, z wyraźnym drżeniem w głosie, a Jusupow, jak gdyby budząc się z koszmaru, szybko sięgnął po karafkę. Nalał maderę do kryształowego kielicha i podał ją rozpartemu na otomanie mnichowi.

- Mam pić sam? - zapytał Rasputin, biorąc kielich, a książę, udając rozbawienie, podszedł do barku i nalał sobie duży kieliszek koniaku.

- Za Nowy Rok! - powiedział, wznosząc kieliszek.

- Za piękną księżniczkę Irinę! - wykrzyknął Rasputin, gdy zegar w rogu pokoju wybił godzinę. - Czy ona zamierza w ogóle do nas przyjść? - Wypił duszkiem maderę, otarł usta rękawem, po czym podstawił kielich, żeby mu nalać jeszcze. Osłupiały książę sięgnął po butelkę i ponownie napelnił naczynie.

Zaczął się zastanawiać: jak to możliwe? Czyżby ten plugawy mnich z syberyjskich pustkowi naprawdę był jakimś prorokiem? I nawet bez krzyża na piersi był niezniszczalny, chroniony przez boską opatrzność, jak to często i uroczyście deklarował?

Wielki książę Dymitr upuścił bałajkę na otomanę i wymawiając się nagłym bólem głowy, w przerażeniu wybiegł krętymi schodami z piwnicy. Rasputin poruszył się niespokojnie, a potem raptownie wstał. Dzięki Bogu, pomyślał Jusupow, przynajmniej porusza się na własnych nogach. Ruszył jak niedźwiedź w stronę jednej z witrynek, w której stał szesnastowieczny włoski krucyfiks z kryształu górskiego, i zaczął go oglądać przez szybę.

Jusupow nie miał pojęcia, co robić. W hebanowej kasetce za barkiem na wszelki wypadek schował browninga - teraz wyciągnął go drżącymi rękami i stanął za mnichem.

- Proszę, możesz wyjąć ten krucyfiks z gablotki - powiedział, ale wydawało się, że Rasputin woli go zostawić za szkłem. Rękami dotknął natomiast brzucha i zaczął go masować.

- Może powinienes go wziąć i zmówić modlitwę - rzekł książę bardziej zdecydowanym tonem. Jusupow widział w szybie odbicie Rasputina; on też widział swoją twarz.

Nagle Rasputinowi zaczęło się zbierać na wymioty i wyciągając rękę w stronę witryny, wykrztusił:

- Otruliście mnie...

Jusupow nie odpowiedział. Drżącą ręką podniósł rewolwer, wycelował prosto w plecy Rasputina i wystrzelił.

Przez kilka sekund mnich się nie poruszył, nawet nie drgnął. Książę próbował strzelić jeszcze raz, ale lepki od potu palec ześliznął mu się ze spustu. Rasputin dźwignął się powoli i skierował na niego pałające wściekłością spojrzenie błękitnych oczu, a potem runął jak długi na leżącą na podłodze niedźwiedzią skórę.

Jusupow usłyszał na schodach kroki, a gdy się odwrócił, zobaczył wielkiego księcia Dymitra, doktora Łazowierta i jeszcze jednego konspiratora Puryszkiewicza. Wszyscy trzej spojrzeli na rewolwer zwisający bezwładnie z jego dłoni, a następnie na leżące twarzą do podłogi ciało. Mnich nie poruszał się i miał zamknięte oczy, lecz nigdzie nie było śladu krwi. Doktor Łazowiert ostrożnie podszedł, zbadał Rasputinowi puls i stwierdził zgon.

- Dobrze, wobec tego owińmy go w coś i zabierzmy stąd - rozglądając się po sklepionej piwnicy powiedział Puryszkiewicz, najstarszy i najbardziej opanowany spośród nich.

Jusupow wyrzucał sobie, że nie przemyśleli wcześniej tej części planu.

- Na górę - zdecydował Puryszkiewicz. - Weźmiemy niebieskie zasłony z salonu.

Wszyscy trzej skwapliwie pobiegli z powrotem na górę, a Jusupow został sam na sam z ciałem. Osunął się na fotel, upuszczając rewolwer na dywan. Spodziewał się jakichś emocji, poczucia triumfu. Ale nic takiego nie nastąpiło. Ręce wciąż mu dygotały, a w uszach huczało od ogłuszającego wystrzału.

Z kominka wyleciała iskra i spadła zaledwie kilka centymetrów od buta mnicha.

Który drgnął.

Księżciu zaparło dech. Przyglądając się twarzy mnicha, zobaczył, jak otwiera się jedno oko, a po chwili drugie. I zanim zdążył się zerwać z fotela, Rasputin stał już na nogach. Z wykrzywionych ust ciekła mu ślina, a ręce szarpały ubranie Jusupowa.

- Morderco! - wycharczał, zaciskając palce na szyi księcia. Razem upadli na podłogę, ale księżę zdołał się wyrwać i wybiec na schody, wołając pomocy.

- Morderco!

Rasputin był tuż za nim i wdrapywał się po krętych schodach na czworakach, jak zwierzę. Jusupow słyszał jego sapanie i czuł, jak jego ręce łapią go za mankiety spodni.

- On żyje! Żyje! - krzyczał, wbiegając do salonu i natychmiast zatrzęsął za sobą drzwi. Puryszkiewicz i pozostali, którzy zbierali zerwane zasłony, popatrzyli na niego, z niedowierzaniem otwierając usta. - On jeszcze żyje! - powtarzał Jusupow, zastawiając plecami drzwi.

- To niemożliwe. Nie miał pulsu - odparł doktor Łazowiert.

- Przecież do niego strzeliłeś - zauważył Dymitr. - Strzeliłeś mu w plecy.

- Połknął dziesięciokrotną śmiertelną dawkę trucizny - dodał Łazowiert.

- Ale ucieka! - wrzasnął księżę. - Właśnie teraz!

- Niemożliwe - powiedział Puryszkiewicz lekceważącym tonem, ale równocześnie wyciągnął spod kamizelki pistolet. - Z drogi!

Odepchnął księcia na bok i zdecydowanym krokiem wyszedł na korytarz z bronią w rękę. Ślady krwi prowadziły do marmurowego westybulu, a przez otwarte drzwi do pałacu wpadał zimny wiatr. Jusupow, kuląc się za plecami Puryszkiewicza, wskazał palcem na zewnątrz.

- Widzisz to? Widzisz?

Ślizgając się w padającym śniegu, mnich niepowstrzymanie zmierzał przez dziedziniec w kierunku głównej bramy, za którą był kanał.

- Mordercy! - krzyczał Rasputin. - Caryca o wszystkim się dowie! Jesteście mordercami!

- Zabij go, zanim ucieknie! - wrzasnął Jusupow.

Ale gdy Puryszkiewicz zrobił krok naprzód i strzelił, Jusupow trącił go w ramię i kula z brzękiem odbiła się od żelaznej bramy.

- Zastrzel go! - krzyczał Jusupow, a Puryszkiewicz, odpychając go, znów wycelował.

Strzał był niecelny, podobnie jak następny. Rasputin mocował się z zamkiem bramy. Próbując się skoncentrować, Puryszkiewicz ugryzł się w rękę, a potem strzelił jeszcze raz. Tym razem kula dosięgła ramienia mnicha. Kiedy osunął się na bok, następny pocisk trafił go w tył głowy.

Gdy konspiratorzy otoczyli leżące ciało, na śnieg sączyła się już krew, ale oczy Rasputina wciąż patrzyły w niebo, a zęby zgrzytały z bólu i wściekłości. Czy tego człowieka nie da się zabić? - myślał z przerażeniem Jusupow. Czy to się nigdy nie skończy?

Puryszkiewicz też zaklął pod nosem, po czym mocno kopnął mnicha w skroń. Z braku lepszej broni, Jusupow zdjął ciężki, ręcznie doczony skórzany pas ze srebrną klamrą i bił nim ciało tak długo, aż przestało dawać jakiegokolwiek oznaki życia. Doktor Łazowiert uniósł rękę, aby ich powstrzymać.

- Dość - powiedział. - Już skończone.

Z budynku wyszedł wielki książę Dymitr, ciągnąc za sobą niebieskie zasłony, ale zanim zawięli w nie zwłoki, Jusupow powiedział:

- Stójcie. - Ukląkł, rozerwał Rasputinowi zakrwawioną koszulę, po czym na szyi i na piersi zaczął szukać krzyża.

- Co robisz? - zdumiał się Dymitr.

- Miał krzyż ze szmaragdami - szukam go!

- Chryste, nie dość ci własnego bogactwa, Feliksie? - zapytał Dymitr, odpychając go na bok. - Postradałeś zmysły?

Dobre pytanie, pomyślał Jusupow, siadając na śniegu i patrząc, jak pozostali kończą zawijać ciało i obwiązują je sznurem. Była głęboka noc, zimna i śnieżna, więc na szczęście nikogo nie zobaczyli i nikt ich nie zobaczył, gdy szli z ciałem aleją, pod mostem, a potem na zamarzniętą Newę; wrzucili zwłoki do rzeki przez dziurę w lodzie. W świede księżycy były tylko cieniem pod wodą, który bezszelestnie i powoli płynął z prądem. Wraz z nimi odpłynęły marzenia Jusupowa o chwale. Nagle pojął - jak mógł wcześniej być taki ślepy? - że zamiast okrzyknąć go wybawcą, ludzie mogą go uznać za zamachowca. Zabójstwo człowieka było trudnym zadaniem - nigdy dotąd tego nie robił - i chociaż car być może skrycie będzie się

cieszył, że uwolnił się od szaleńca, caryca na pewno wpadnie w furję. Czemu lepiej tego nie przemyślał?

Teraz jednak, przemarznięty do szpiku kości, pragnął jedynie, żeby nikt nie odnalazł zwłok i by pozostały pod lodem aż do wiosny... a jeszcze lepiej do końca świata.

## Rozdział 19

Podczas nabożeństwa żałobnego Slater słuchał na żywo komentarza, prowadzonego półgłosem przez Nikę. Gdy przy pulpicie kolejno stawali krewni zmarłych, przedstawiała mu każdą osobę, informując, jaki ma związek z tragedią „Neptuna II” i od kiedy jej rodzina pracuje na wodach Alaski. Było to twarde, zahartowane towarzystwo i Slater mógł się tylko domyślać, ile cierpienia sprawia im strata najbliższych. W takim miejscu świata trudno było znaleźć jakieś pewne oparcie, a ich wszystkich właśnie dosięgnął druzgocący cios.

Slater musiał jednak przyznać, że spośród wszystkich obecnych największą uwagę przyciągała rodzina Vaneów - Charlie, sunący przez kościół z miną dygnitarza czekającego na owacje, i prowadzące wózek dwie kobiety o ziemistych twarzach, ubrane w długie sukienki. Harley człapał z tyłu jak dziecko, które ma wyrecytować wiersz, ale nie bardzo się go nauczyło. Nawet kiedy siadali w ławkach, wyczuwało się wokół nich jakiś niepokój i Slater zauważył, że kiedy Harley wygłosił już swoją mowę i uroczystość została zakończona, żaden z wiernych nie kwapił się, by do nich podejść.

- Chyba nikt za nimi nie przepada? - spytał, gdy Nika poszła przodem do aneksu kościelnego na poczęstunek. Wokół dwóch kobiet i w bliskiej odległości od nich było zupełnie pusto. Slater nigdy nie widział sióstr, które roztaczałyby wokół siebie taką złą aurę i które wszyscy obchodziliby z daleka jak dwie czarownice.

- Większość ludzi w Port Orlov wie o nich na tyle dużo, żeby się z nimi nie zadawać.

Z kościoła wychodzili Eddie i Russell, którzy ledwo mogli unieść pączki i kawę.

- Z pewnymi wyjątkami - dodała Nika.

Slater zauważył, że sam stanowi przedmiot pewnego zainteresowania. Wszyscy widzieli już sikorskyego i choć pani burmistrz osobiście potwierdziła jego wersję (słyszał, jak powiedziała już trzem osobom: „to zwykle szkolenie dla Służby Przybrzeżnej”), nie miał wątpliwości, że zaczynają krążyć inne plotki. W końcu byli w małym miasteczku.

Ale dopóki w plotkach nie pojawiała się nic na temat hiszpanki, w ogóle mu nie przeszkadzały.



Wychodząc na zewnątrz, ujrzał niebieskiego vana, w którym siedzieli bracia Vane, gawędząc z Eddiem i Russellem. Zastanawiał się, czy postawić na noc straż przy śmigłowcu, czy ryzykować, że stracą kołpaki. Już i tak utknął w Port Orlov na dłużej, niż zamierzał, a w dodatku zła pogoda na Środkowym Zachodzie uniemożliwiła przylot Evy Lantos, zaś wojskowa biurokracja miała jakieś zastrzeżenia do sprzętu, który miał przywieźć drugi helikopter. Zdziałało prawo Murphy ego. Slater wiedział, że tego rodzaju problemy napotyka każda misja - zwłaszcza taka jak ta, organizowana niemal w locie - co jednak wcale nie ułatwiało mu czekania. Cierpliwość nigdy nie należała do jego cnót.

Gdy wrócił do ośrodka kultury, gdzie nocowali z profesorem Kozakiem i dwoma pilotami ze Straży Przybrzeżnej, poszedł prosto do gabinetu Niki, w którym, na rogu jej biurka i na szafce z dokumentami, zainstalował prowizoryczne stanowisko dowodzenia. Choć było to najbezpieczniejsze pomieszczenie na terenie ośrodka, miał pewne wyrzuty sumienia, zajmując aż tyle miejsca. Z drugiej strony jego gospodyni wykazała bardzo dużo życzliwości, dała mu nawet dodatkowy klucz.

- Tylko proszę nie zgubić - uprzedziła go. - Nasz ślusarz rzadko trzeźwieje, więc trudno dorobić nowy.

Ponieważ nie było Niki, która wyszła złożyć rodzinom ofiar oficjalne wizyty z kondolencjami, a Kozak badał miejscowy teren, Slater usiadł na jej krześle - zamiast na taborecie, który tu sobie przyniósł - i zabrał się do pracy nad logistyką, wysyłając emaile i próbując wymyślić, jak wykonać zadanie w jak najkrótszym czasie i przy jak najmniejszym zainteresowaniu opinii publicznej. Prognozy pogody nie były dobre - nadciągała burza i Slater chciał zdążyć na Wyspę Św. Piotra przed nią, przynajmniej po to, aby zainstalować kilka niezbędnych namiotów i baraków. Nie uśmiechała mu się perspektywa stawiania słupów oświetleniowych w chłoszczącej wichurze.

Praca pochłonęła go na dwie godziny, podczas których zadzwonił nawet do sierżanta Grovesa - i najwyraźniej go obudził - aby omówić z nim najnowsze zmiany planów.

- No więc, kiedy można się was spodziewać? - zapytał, a Groves, ziewając głośno, odparł:

- Powinniśmy załadować na drugiego sikorsky ego wszystko, łącznie z pocziwą doktor Lantos, do czwartku rano.

Był dopiero wtorek wieczór, więc Slater przygryzł wargi, niezadowolony.

- O której mamy się spotkać na wyspie? - zapytał Groves.

- Nie spotkamy się - odrzekł Slater, przemyślawszy to gruntownie po rekonesansie lotniczym. - Kolonia leży na szczycie płaskowyżu, ale jest otoczona drzewami i ruinami

drewnianych budynków. Cmentarz znajduje się w jeszcze trudniej dostępnym punkcie. Jest za mało miejsca, żeby wylądować dwa helikoptery równocześnie.

- A plaża? Moglibyśmy tam siąść, nie?

Slater musiał odrzucić także i ten pomysł.

- Na plaży zmieści się najwyżej ponton. Jest za wąska, przy samym klifie, a jedyna droga na górę to schody wykute w skale, ale w dużej odległości. Nie odważyłbym się wnieść po nich nawet kotka, a co dopiero wirówkę laboratoryjną.

- Czyli polecisz pierwszy?

- Tak, możecie wylądować po nas. Zostawimy dwie godziny na wstępne rozlokowanie ładunku, a wystartujemy w czwartek o jedenastej. Wcześniej jest jeszcze za ciemno.

Rozmawiali o tysiącu innych szczegółów - kolejności stawiania namiotów do dezynfekcji, naziemnej sieci oświetleniowej, rozmieszczeniu bud z generatorami - gdy nagle Slater poczuł zapach duszonego mięsa i usłyszał dyskretne pukanie do drzwi.

- Proszę - powiedział, przykładając telefon do ramienia i po chwili ujrzał Nikę z glinianym garnkiem, który trzymała przez kuchenne łapki.

- W barze „Yardarm” robią własną wersję kurczaka po kijowsku - powiedziała. - Może mi pan wierzyć, że lepiej zjeść coś ugotowanego w domu.

Slater poczuł się zakłopotany tym, że przyłapała go na panoszeniu się w jej gabinecie, i zaczął podnosić się z krzesła.

- Niech pan spokojnie dokończy rozmowę - powiedziała. - Będę czekać w sali gimnastycznej.

- Wygląda na to, że się z kimś zaprzyjaźniłeś - zauważył sierżant Groves ze śmiechem. - Tylko tego nie zepsuj.

Kiedy się rozłączyli, Slater uporządkował papiery, próbując zostawić biurko w takim stanie, w jakim je zastał, a potem poszedł korytarzem do sali gimnastycznej, gdzie pod tablicą wyników Nika postawiła stolik do kart, a na nim butelkę wina, garnek z gulaszem i dwa nakrycia. Mniej malowniczego otoczenia nie mógłby sobie wyobrazić, tym bardziej nie mógł więc zrozumieć, dlaczego to miejsce wydaje mu się takie przytulne i romantyczne. Instynktownie wsunął koszulę do spodni, żeby się lepiej prezentowała, i przygładził dłonią włosy. Może rzeczywiście powinien częściej wychodzić z domu, jak często żartował sobie z niego sierżant Groves?

- Przecież nie umarłeś, tylko się rozwiódłeś - powiedział mu, kiedy ostatni raz siedzieli razem w barze w Waszyngtonie.

- Naprawdę nie musiała pani tego robić - rzekł Slater, siadając na składanym krzeselku naprzeciwko Niki.

- Innuicka gościnność - wyjaśniła, nakładając mięso. - Brak poczęstunku dla gościa, który przybył z tak daleka, to kompromitacja.

Slater otworzył wino i napełnił kieliszki. Chciał wznieść toast, ale zapomniał języka w gębie.

- Za... powodzenie misji - wykrztusił w końcu, a Nika się uśmiechnęła. Stukając się z nim, powtórzyła:

- Za powodzenie misji.

- I wspaniały posiłek - dodał Slater, próbując ochłonać. - Pachnie cudownie. - Położył sobie serwetkę na kolanach. - Bardzo dziękuję.

Rozmowa się rwała. Slater, który potrafił bez końca mówić o nosicielach chorób, nie bardzo sobie radził ze sztuką prowadzenia rozmów towarzyskich; Martha zawsze biła go w tym na głowę. Między kęsami gulaszu z renifera pytał Nikę o jej życie i przeszłość, a ona chętnie odpowiadała. Okazało się nawet, że mają wspólnych znajomych wśród wykładowców Berkeley, gdzie zrobiła doktorat z antropologii, by potem wrócić do Port Orlov i służyć jego mieszkańcom.

- Chciałam ocalić i uwiecznić pewien tryb życia, tradycje i zwyczaje rdzennej ludności - powiedziała - zanim zupełnie zanikną.

- Niełatwo je chyba kultywować w czasach internetu, telefonii komórkowej i gier wideo?

- Niełatwo - zgodziła się. - Ale za tą dawną kulturą wiele przemawia. Dzięki niej mój lud przetrwał wieki w najsurowszym klimacie na ziemi.

Kiedy rozmawiali, Slater przekonał się, że Nika ma rozległą wiedzę na temat wierzeń i mitologii rdzennych Alaskan - i że ogromnie je szanuje. Miał wrażenie, że uczestniczy w fascynującym bezpłatnym seminarium... i musiał przyznać, że ze studenckich czasów nie pamiętał tak atrakcyjnej wykładowczynie. Nika miała na sobie zwykłą parę dzinsów i zrobiony warkoczowym ścięciem biały sweter, a długie czarne włosy zaczesła do tyłu i spięła bursztynową klamerką, lecz równie dobrze mogłaby to być wytworna kreacja. Gdyby nie wisząca nad stolikiem tablica wyników, która pokazywała, że Port Orlov przegrał dwunastoma punktami mecz koszykówki z drużyną gości, mógłby przysiąc, że siedzą w jakimś kameralnym bistro w kontynentalnej części Stanów.

Nie zauważył nawet, kiedy i jak zręcznie skierowała rozmowę na temat jego osoby, ale już po chwili opowiadał, jak zainteresowała go epidemiologia, a potem o zdarzeniu w Afganistanie, przez które wojsko odstawiło go na boczny tor.

- A jednak powierzyli panu to poufne zadanie - zauważyła, dolewając mu wina. - Pewnie nadal mają o panu bardzo dobre zdanie.

- Taniej im wychodzi - odparł, próbując zbyć komplement.

Ale Nika na swój subtelny sposób nie dawała za wygraną, zadając kolejne pytania o to, jak będzie przebiegać misja, w jakich etapach i jak długo. Zwykle Slater znacznie ostrożniej ujawniał takie informacje, ale ponieważ była z nim tak szczerą i jak dotąd chętnie współpracowała, dzieląc z nimi swoje biuro i zgadzając się, by helikopter nadal stał na środku miejskiego lodowiska, ukrywanie przed nią szczegółów byłoby nieuprzejmością z jego strony. Dopiero gdy spytała, o której będą odlatywać na wyspę, w głowie zadźwięczał mu dzwonek alarmowy. O co jej chodzi?

- Zespół wystartuje w czwartek przed południem - powiedział.

- Mam zabrać ze sobą coś specjalnego? - spytała niewinnie, wyciągając ze stojącego pod stołem koszyka dwie tartaletki z wiśniami. - Przepraszam, powinnam dołożyć do nich lody.

- Nie, zespół ma wszystko, co będzie potrzebne - odrzekł z naciskiem.

- W porządku, nie ma sprawy - powiedziała, wkładając łyżeczkę w jego ciastko. - Mam najlepszy śpiwór na świecie i jestem przyzwyczajona do spania w różnych miejscach.

- O czym pani mówi? - zapytał Slater, nie zwracając uwagi na łyżeczkę i tartaletkę.

- O Wyspie Św. Piotra - odparła. - Chyba pan nie sądził, że pozwolę wam lecieć beze mnie.

- Tak właśnie sądziłem - powiedział, odnosząc wrażenie, że wystrychnęła go na dudka. - To ściśle tajna i potencjalnie bardzo niebezpieczna misja i może w niej brać udział tylko uprawniony personel - który osobiście dobrałem.

Nika otarła usta serwetką, mówiąc:

- Wcześniej włożyłam tartaletki do podgrzewacza do pieczywa. Proszę zjeść, zanim wystygnie.

- Obawiam się, że nie możemy robić wyjątków.

- Zgadzam się - oświadczyła. - Tylko uprawniony personel. Jako burmistrz Port Orlov, a także pełnoprawny członek rady plemiennej, muszę zwrócić panu uwagę, że przepisy Ustawy o Rdzennych Amerykanach Terytoriów Północnego Zachodu z 1986 roku dotyczą

również tej wyspy, a więc decyzja o tym, kto, kiedy i jak wejdzie na ten teren podlega naszej kompetencji.

Slater tak gwałtownie wyprostował się na krześle, że omal go nie wywrócił.

- Nie chcę przez to powiedzieć, że nie udzielamy panu oficjalnego zezwolenia - dodała, biorąc następną łyżeczkę tartaletki - ale na razie jeszcze go pan nie otrzymał.

Spojrzała na Slatera czarnymi błyszczącymi oczyma z uśmiechem zaciekawienia na wargach.

- Nie chwaląc się, przepyszna tartaleтка.

A Slatera, który w swoim czasie miał do czynienia z potężnymi przeciwnikami, taki tupet mógł tylko wprowadzić w zdumienie. Nigdy dotąd nikt nie zapędził go w kozi róg z taką łatwością i z takim wdziękiem. Doktor Levinson z AFIP mogłaby bez trudu zażegnać tę zawołaną groźbę opóźnienia misji, ale biurokratyczne zabiegi, których by to wymagało, uwiązałyby go w miasteczku na jeszcze co najmniej kilka dni.

- Tak - dodała, kiwając głową nad deserem. - Jeszcze odrobina lodów waniliowych i byłaby doskonała.

Czy mu się to podobało, czy nie, właśnie sobie znalazł swoją Sacajawę\*.

Sacajawea - indiańska przewodniczka towarzysząca ekspedycji Lewisa i Clarka w latach 1804-1806 podczas ich wyprawy na zachód Ameryki (przyp. tłum.).

## Rozdział 20

- Niech to szlag - mruknął Harley. - Patrz, gdzie rzucasz ten sznur.

- Nie widziałem cię - usprawiedliwiał się Russell.

- I nie wydzieraj się tak!

- Ty też!

Harley pomyślał, że ekspedycja nie zaczyna się najlepiej. Najpierw, żeby zatankować łódź, musieli się włamać do stacji bunkrowej w porcie.

No i oczywiście doszło do tego drobnego „incydentu” w szopie McDanielsa. Kiedy nazajutrz Harley odważył się tam zajrzeć, przy ścianie znalazł tylko stertę starych szmat i parę desek. Wytłumaczył sobie, że to były halucynacje wywołane stresem po wygłoszeniu mowy

w kościele, ale nie udało mu się do końca przekonać samego siebie. Na razie starał się o tym nie myśleć, postanowił też nie mówić nic Eddiemu ani Russellowi. Na pewno by po prostu uznali, że był naćpany... i chcieliby dostać działkę tego, czym się naćpał.

- Czemu robicie taki hałas? - zapytał Eddie, wychodząc z ładowni. - Podobno mieliśmy być cicho.

Prawdopodobieństwo, że w porcie jest jeszcze ktoś na tyle głupi, żeby wypływać w morze w tak zimną noc, była dość nikła, lecz Harley od początku wyraźnie dał im do zrozumienia, że powinni zachować swoje plany w najwyższej tajemnicy. Nie pisnął słowa nawet Angie, choć być może nie przez dyskrecję, ale z powodu spojrzeń, jakie w barze „Yardarm” wymieniała z tamtym gościem ze Straży Przybrzeżnej. Ciągle był wkurzony i zazdrosny.

- Odbijajmy już - zarządził - dopóki jest pogoda. - Następne dni, jeżeli szare przerwy rozdzielające długie okresy ciemności można nazwać dniami, miały być burzowe. Ale jeśli na Alasce ktoś chce czekać na dobrą pogodę, może się jej nigdy nie doczekać, potwierdzi to każdy z miejscowych.

Łódź o nazwie „Kodiak” należała do wujka Eddiego, któremu zwykle nie chciało się wychodzić w morze. Liczyła sobie prawie trzydzieści lat i nie prezentowała się zbyt okazale, ale ponieważ została zbudowana jako kuter marynarki wojennej, miała bardzo sztywny kadłub i ciężką stalową płetwę sterową, która mogła wytrzymać zetknięcie z każdą przeszkodą, jaką mogłaby jej rzucić pod kil Cieśnina Beringa - skały, kłody, mielizny. Jak na większości alaskańskich statków rybackich, okna w kabinie były z leksanu, a zamontowano je od zewnątrz, aby nie mogły ich roztrzaskać nawet największe fale. Kiedyś wstawiony wujek Eddiego przechwalał się, że łódź potrafi wytrzymać pełne zatopienie przez dwanaście godzin i pozostanie zupełnie sucha w środku. Harley nie miał pojęcia, skąd o tym wie - czyżby ją zanurzali, żeby się przekonać? - ale wtedy o to nie pytał, a teraz nie zamierzał się o tym przekonywać.

Eddiemu pozwolił stać przy sterze - w końcu łódź należała do jego wujka - a Russell rozwalił się w kącie kabiny z piwem w rękę.

- Na razie idź na niskich obrotach - powiedział Harley. - A potem kurs na północny zachód.

- Wiem, gdzie jest Święty Piotr - odparł Eddie drwiącym tonem.

- A ty - Harvey zwrócił się do Russella - rusz tyłek i idź na pokład uważać na góry lodowe.

- Może sam pójdziesz wystawiać dupę na mróz?

Harley mógłby się posłużyć przekonującym argumentem i wyciągnąć broń ukrytą za pasem pod kurtką, ale dopóki nie będzie trzeba, nie chciał pogarszać sytuacji ani uciekać się do żadnych drastycznych środków. Russell, patrząc na niego wyzywająco, pociągnął z puszki następny łyk, a Harleyowi przyszło do głowy, że wystawianie go na pokład, żeby stał na oku, to i tak zły pomysł. Pewnie wypadłby za burtę.

- Kurwa mać, sam to zrobię - powiedział, a zwracając się do Eddigo, dodał - omiń skały od zachodu i podpłyn od zawietrznej.

- Tak jest, kapitanie Bligh.

Harley zawiesił sobie na szyi lornetkę, nałożył kaptur i zapiął rzepy rękawów, a potem wyszedł na śliski, oblodzony pokład. Od katastrofy „Neptuna II” nie był na morzu i odkrył w sobie zupełnie nowe obawy. Nie powinien się czuć zaskoczony. Ale gdy patrzył na wzburzoną czarną wodę, nie potrafił myśleć o niczym innym prócz tamtej nocy, kiedy był pewien, że pograży się w niej na zawsze. Tak niewiele brakowało, by jego nazwisko pojawiło się na tablicy w kościele. Zacisnął dłonie na relingu, tak samo jak zaciskał je wtedy na wieku trumny. Z początku trzymał swoje znalezisko w przyczepie, gdzie oparł je o ścianę obok terrarium węża, jak trofeum. Potem jednak ogarnął go lęk i schował wieko pod łóżkiem.

To tylko pogorszyło sprawę.

Wreszcie w rozpaczy wcisnął je pod przyczepę, gdzie walały się różne stare kawałki drewna. Najchętniej zawlókłby to cholerstwo z powrotem do morza, gdyby nie był przekonany, że kiedyś dla kogoś może być coś warte. Kiedy ten doktor Slater powiedział mu, że powinien zawieźć wieko na wyspę, zaczął się nad tym serio zastanawiać; ale tego nie mógł zrobić - przede wszystkim dlatego, żeby nie dawać temu gnojnikowi satysfakcji.

Wyszedł księżyc - na szczęście, bo cieśnina tej nocy była wzburzona i wokół łodzi wirowały duże kawały lodu, które zderzały się ze sobą. W oddali rysowały się czarne sylwetki Małej i Wielkiej Diomedey - strzegących Syberii jak psy leżące u bram. W zasięgu wzroku nie dostrzegł żadnego statku, ale niebo usiane było gwiazdami, które lśniły jak ostrza igieł. Spoglądając ku górze, Harley poczuł, że jego oczy wypełniły się łzami, ale nie z powodu nadmiaru emocji, tylko od zimnego, niesłabnącego ani na chwilę wiatru. Otarł je wierzchem rękawicy, lecz natychmiast pojawiły się znowu.

Poszedł na dziób i chwycił zamontowaną tam lampęszperacz. Łódź unosiła się i opadała na falach, na jego ustach i policzkach osiadały i zamarzały kropelki wody. Rozstawił szeroko nogi, żeby nie stracić równowagi, i wbił wzrok w ciemność, podążając za blaskiem reflektora.

Czy gdzieś tam, roztrzając kry, pływają inne trumny z równie okropnym ładunkiem? Jeśli tak, modlił się, żeby ich nie zobaczyć. Wystarczyło mu kłopotów z jedną, którą znalazł.

- Zbliża się od sterburty - obwieścił przez megafon Eddie, jak gdyby był przewodnikiem grupy turystów. - Witajcie na Wyspie Św. Piotra.

Cholera. Harley miał ochotę rozwalić mu łeb za te wrzaski. Cały plan polegał na tym, żeby nikt ich nie namierzył. A jeśli w jakiejś zatoczce przyczaiła się Straż Przybrzeżna?

Machnął ręką w stronę sterówki, dając Eddiemu znak, żeby się zamknął, szybko sprawdził powierzchnię wody na kursie i wyłączył reflektor dziobowy. Właśnie minęli największe grzywacze i jeżeli Eddie nie zrobi nic głupiego - a zawsze istniała taka możliwość - powinni już być bezpieczni.

„Kodiak” sunął dalej, a Harley zdjął z lornetki osłony i zlustrował wyspę. Plażę jak zwykle okrywał całun mgły i wodnego pyłu, ale w blasku księżyca dostrzegł strome stopnie, wykute w bocznej ścianie urwistego klifu, które prowadziły aż na skalisty cypel. Wiele razy przepływał obok tej wyspy „Neptunem II” zawsze omijając ją z daleka; dziś przechodzili bliżej brzegu niż kiedykolwiek przedtem. „Kodiak” okrążał wyspę, przy której Harley nie zauważył Straży Przybrzeżnej, marynarki ani żadnego z tych cholernych śmigłowców. Ponownie włączył szperacz na dziobie i oświetlił wielki lśniący grzbiet orki, która właśnie uniosła się ponad fale, tryskając wodą z otworów nosowych jak z gejzeru. Waleń zanurzył się dopiero po kilku sekundach, Harley zdążył więc pomyśleć o odwadze dawnych eskimoskich myśliwych, którzy wyruszali na połów tak ogromnego i silnego stworzenia w lichych kajakach, uzbrojeni w parę harpunów. Sam bałby się stanąć do walki z takim zwierzęciem, nawet gdyby miał uzi. Aż trudno uwierzyć, że ich potomkowie to tubylcy, których znał - goście tacy jak gruby Geordie Ayakuk, siedzący kamieniem za biurkiem w ośrodku kultury, albo te ochlaptusy zebrzące o drinka w barze „Yardarm”. Kurwa, co się z nimi stało?

Księżyc przykryła chmura - znak, że nieuchronnie nadciągają burze - i Harley skierował reflektor w stronę wyspy, szukając bezpiecznej i dobrze osłoniętej przystani. Ale nawet po tej stronie z morza sterczały skały, a woda kipiała nad ukrytymi pod nią rafami. Ludzie, którzy nie mają pojęcia o żeglowaniu, myślą, że im bliżej brzegu, tym bezpieczniej. Harley wiedział jednak, że nic bardziej mylnego. Otwarte morze daje możliwość manewru i czas do zastanowienia, a jeśli dobrze odczyta się mapy, prawdopodobieństwo, że pod kadłubem czai się coś groźnego, jest niewielkie.

Nie, do największych katastrof dochodziło blisko brzegu, zwłaszcza jeśli był tak niebezpieczny jak na Wyspie Św. Piotra. Poza kutrem, który stracił w tych wodach, Harley wiedział o co najmniej kilkunastu innych, które sztormy, zdraдлиwe fale i wiatry zniosły za



blisko linii brzegowej; nie raz widział, jak prądy w strefie przybrzeżnej porywają łódź i przejmują nad nią niepodzielną władzę, ciągnąc ją, dokąd chcą, a potem ciskając ją o częstokół ostrych skał. Można było wycisnąć całą moc z silnika, postawić wszystkie żagle, ale jeśli Morze Beringa chciało ci się dobrać do skóry, zawsze osiągało cel.

W sterówce widział Eddiego i Russella, pochylonych nad kołem sterowym. Obaj trzymali już puszki z piwem i z czegoś rechotali. Chryste, gdyby tylko miał kogoś, na kim mógłby naprawdę polegać. Potrzebował pomocy do tej roboty i z takich czy innych powodów ci dwaj byli naturalnymi kandydatami. Od wyjścia z więzienia Spring Creek Russell pracował dorywczo w rafinerii - i zawsze brakowało mu pieniędzy na piwo - a Eddie żył z dywidendy ze Stałego Funduszu Alaski, na koszt dużych firm naftowych prowadzących działalność na terenie stanu. W razie potrzeby uzupełniał dochody drobnymi kradzieżami.

Krótko mówiąc, przez kilka dni nikt nie zauważył ich nieobecności.

Ale „Kodiak” podchodził niebezpiecznie blisko brzegu i Harley uznał, że nie może pozwolić, by Eddie nadal trzymał ster - w każdym razie jeżeli nie chce uszkodzić łodzi. Przesuwając reflektor tam i z powrotem wzdłuż klifu, zobaczył stado mew trójpalczastych, które, spłoszone światłem, poderwały się do lotu, i strome, lśniące od lodu ściany nie do zdobycia. Wir białej piany po stronie bakburty wskazywał miejsce, w którym kryła się podwodna rafa. Łódź, okrążając wyspę, była w połowie drogi do rosyjskiej kolonii i nigdzie nie było widać innej plaży. Harley mógł liczyć najwyżej na jakąś zatoczkę czy przesmyk; będą musieli rzucić kotwicę i dostać się na brzeg szalupą „Kodiaka”.

Unieruchomił szperacz i wrócił do sterówki. Gdy tylko stanął w drzwiach, słysząc za plecami wycie wiatru, Eddie i Russell z cieniem skruchy na twarzach przestali się śmiać.

- Co was tak rozbawiło?

- Nic - odparł Eddie.

Harley domyślił się, że to on był obiektem żartów. Gdy Eddie powstrzymał następny wybuch śmiechu, Harley nie miał już wątpliwości i ogarnęła go wściekłość.

- Wyluzuj - poradził Russell nieco zmęczonym głosem. - Napij się piwa. - Wyciągnął do niego puszkę, a Harley wytrącił mu ją z ręki tak mocno, że trafiła w podstawę kompasu i stłukła ekran anemometru.

- Kurwa! - wrzasnął Eddie. - Wujek to zauważy!

Russell zgarbił się i zacisnął pięści. Eddie skoczył między nich, rozkładając ręce.

- Ej, spokojnie, chłopaki. Już, spokój. Przecież jesteśmy kumplami.

- Kumplami? - powtórzył Harley, mierząc wściekłym spojrzeniem jednego i drugiego.  
- Skoro jesteśmy takimi dobrymi kumplami, to musimy sobie coś wyjaśnić. Wziąłem was do tej roboty i nie chcę, żeby spierdoliły ją dwa zapijaczone gnojki.

Puszka toczyła się po podłodze sterówki, tryskając pianą z wgniecenia. Koło sterowe obracało się zwolna.

- Kto powiedział, że jestem pijany? - zaperzył się Russell, chwiejąc się na nogach.

Harley uśmiechnął się, udając, że już wszystko w porządku, po czym wykonał nagły obrót, wyrzucając jedną nogę w klasycznym kickbokserskim ruchu i podcinając nogi Russellowi, który klapnął tyłkiem na podłogę. Wylądował z takim hukiem, że aż zatrzęsła się cała kabina, a potem oszołomiony leżał przez chwilę, oparty o stół z mapami.

- Co jest? - zapytał Eddie. - Nie musiałeś tego robić.

- A ty - rzekł Harley - idź na pokład stanąć na oku. - Podeszedł do koła sterowego, ale Eddie znów je chwycił i nie chciał ustąpić.

- To łódź mojego wujka.

Harley odepchnął go i Eddie wpadł na Russella, który właśnie zaczął się gramolić na nogi. Obaj runęli na podłogę, a Harley obrócił się, tym razem wyciągając zza pasa pistolet. Eddie wyciągnął przed siebie ręce i zawołał:

- Spokojnie, chłopie! Odłóż to, zanim zrobisz komuś krzywdę.

Harley czekał kilka sekund, aby się upewnić, że Russell nie planuje żadnego numeru.

Russell rozłożył ręce, jak gdyby chciał pokazać, że nie ma broni ani złych zamiarów.

- Jezu, Harley. Weź się w garść.

W chwili, gdy Harley wsuwał pistolet za pas, łódź nagle się przechyliła i usłyszeli przeraźliwy zgrzyt, jakby blachy szorującej o beton. Harley obejrzał się i zobaczył, że puszczone koło sterowe znów się obraca, a przez okno sterówki, w odległości nie większej niż czterdzieści metrów od dziobu, dostrzegł klif. Ale łódź tkwiła w miejscu i jeśli się nie mylił, osiedli na jednej z wielu raf, którą mógłby zauważyć, gdyby nie awantura w sterówce.

- Niech to szlag! - wrzasnął Eddie, zrywając się na nogi i rzucając się w stronę manetki. Zanim Harley zdążył go powstrzymać, dał całą wstecz i znów rozległ się zgrzyt, tym razem jeszcze głośniejszy... ale „Kodiak” ani drgnął.

- Niech to szlag, niech to szlag! - wydierał się Eddie, biegając w kółko po ciasnej sterówce i głośno tupiąc. Łódź uwięzła na rafie, chwiejąc się do przodu i do tyłu jak samochód, który utknął na czubku zasy. - To ty przynosisz pecha! - krzyknął i wycelował palec w Harleya. - Przynosisz cholernego pecha!

Nawet Harley na chwilę zapomniał języka w gębie. Może naprawdę przynosi pecha?

Eddie znów chciał szarpnąć manetkę, ale Harley go powstrzymał.

- Zarznieś go - powiedział.

- To co możemy zrobić?

- Czekać - wyjaśnił Harley. - Może fala nas podniesie. Russell, zejź na dół i zobacz, czy nie nabieramy wody.

Tym razem Russell spełnił polecenie i chwiejnym krokiem ruszył do ładowni.

Eddie, gotując się ze złości, spojrział spode łba na Harleya, który odwrócił się i popatrzył na oświetlony reflektorem dziobowym fragment wyspy. Na poziomie wody dostrzegł kilka płytkich zbiorników pływowych, w których bieleła się piana, by zaraz zniknąć, a nad nimi skalne rumowisko sięgające połowy wysokości klifu. Los jednak się do nich uśmiechnął. Na rumowisko raczej dałoby się wspiąć, a pozostały odcinek ściany pokrywały liczne jaskinie, szczeliny i występy skalne.

- Mówili mi, żebym tego nie robił - mruknął Eddie, kręcąc głową. - Mówili, żebym nie wpływał w morze z żadnym z Vaneow.

- Kto ci mówił? Miałeś trzymać gębę na kłódkę. Kto ci to mówił?

- Nikt - wycofał się Eddie. - Nikomu nic nie powiedziałem. Tylko wszyscy tak gadają w porcie.

Harley nie mógł się dziwić. Jego rodzina straciła już dwa kutry, Charlie był na wózku i wszystko wskazywało na to, że właśnie zaryli się na mieliźnie trzecią łodzią.

W luku ukazał się zdyszany Russell.

- Nie jest tak źle. Kadłub cały.

- Długo wytrzyma? - spytał w panice Eddie.

- Twój wujek zawsze mówił, że łódź można zalać na dwanaście godzin i nie zatonię - zauważył Harley.

- Zalać? Nie słyszałeś, co powiedział Russell? Kadłub cały. Stary, nie rzucaj na łódź swojej rodzinnej klątwy. Spadajmy stąd.

- Akurat tego nie zrobimy - oznajmił Harley. - Rzucimy kotwicę i zostawimy dość luzu, żeby następny przypływ ściągnął łódź ze skał.

- I co mamy robić do tego czasu? - odparował Eddie. - Siedzieć i czekać?

- Nie, popłyniemy na wyspę i zabierzemy się do roboty. Jak inaczej chcesz odkupić wujkowi anemometr? - Harley zapiął kurtkę i powiedział: - Zbierzcie sprzęt. Pójdę przygotować szalupę.

Kiedy znalazł się na pokładzie, przeszedł całą długość statku, ale nie zauważył większych uszkodzeń z wyjątkiem zdartej farby. Jeśli nie powstanie przeciek, łódź może tu zostać, dopóki nie uwolnią jej prądy i jakieś zręczne manewry silnikiem. Gdy rzucił kotwicę, łańcuch rozwijał się nie dłużej niż kilka sekund. Poszedł na dziób i oświetlił reflektorem klif, szukając najlepszej drogi przez skały i przybrzeżne zbiorniki wody. Widział, że niełatwo będzie przeprowić się tamtędy szalupą, tak aby wyszła z tego bez szwanku, ale potrafił to zrobić, nawet z takim balastem na pokładzie jak Russell i Eddie. Dopiero gdy wyłączył reflektor, żeby oślepiający odbłask nie przeszkadzał mu obejrzeć mokrej ściany klifu, na szczycie dostrzegł coś, co wyglądało jak kołyszące się żółte światelko. Zmrużył oczy, przypuszczając, że to tylko złudzenie optyczne po wyłączeniu silnej lampy dziobowej, ale kiedy spojrział jeszcze raz, żółty punkcik wciąż tam był. Przypominał zawieszoną w powietrzu latarnię.

## Rozdział 21

Rankiem w dniu, w którym miało być pochowane ciało Rasputina, Anastazja i pozostali członkowie rodziny carskiej wsiedli do dwóch długich czarnych odkrytych samochodów i pojechali z Petersburga do parku w Carskim Siole. Tam wykopano grób, a obok rozpoczęła się budowa kościoła ku czci Rasputina.

Anastazja nigdy nie widziała matki pogrążonej w takim smutku. Na wieść o zabójstwie ojca Grigorija caryca zupełnie się załamała. Lękała się, że jej syn Aleksy utracił najpotężniejszego opiekuna. Ale kiedy się dowiedziała, że czynu dopuścił się książę Jusupow, a co gorsza, wielki książę Dymitr, krewny Romanowów, niemal postradała zmysły. Anastazja i jej trzy starsze siostry na zmianę pilnowały matki.

Wyglądając przez okno, Ana widziała pokryte śniegiem i poprzecinane liniami brzoź bezkresne pola, na których, jak litery na papierze, tu i ówdzie czerniły się wrony. Poranek był piękny, bardzo słoneczny, a niebo tak błękitne, jak gdyby tę scenerię namalował sam Faberge. Z okapów nielicznych wiejskich domów zwisały sople, które w blasku słońca lśniły jak brylanty. Ana miała pod bluzką szmaragdowy krzyż, który po balu bożonarodzeniowym podarował jej mnich. Wtedy ostatni raz widziała go żywego i od tego czasu nie zdjęła już krzyża.

Ciało Rasputina odnaleziono dość szybko. Konspiratorzy tak się spieszyli, że na zamarznętej Newie zostawili jego but. Zwłoki nie odpłynęły daleko, a gdy w lodzie wybito

jeszcze jeden przerębel, aby je wydobyć, okazało się, że święty starzec po wrzuceniu do rzeki jeszcze żył. Jedna ręka wyswobodziła się ze sznurów i zamarzła, podniesiona jak gdyby w geście błogosławieństwa, a płuca wypełniała woda. Choć mnich miał truciznę we krwi, kule w ciele i sińce po pobiciu, ostateczną przyczyną jego śmierci było utonięcie.

Gdy samochody wjechały do parku, a straż kozacka zamknęła bramy i wróciła do nieustannego patrolu, Anastazja zobaczyła, że na zamarzniętym polu zbudowano drewniane kładki. Kiedy samochody stanęły, z pierwszego wysiadł car Mikołaj oraz jego żona, która ciężko wspierała się o ramię swojej bliskiej przyjaciółki madame Wyrubowej. Caryca Aleksandra od stóp do głów ubrana była na czarno, podobnie jak wszyscy inni, ale w rękę miała bukiet białych róż, zerwanych rano w szklarni Pałacu Zimowego.

W oddali przy otwartym grobie stał karawan z pracującym silnikiem, a z rury wydechowej unosił się szary obłok spalin. Krocząc ostrożnie po niedawno ułożonych deskach, Anastazja ruszyła w tę stronę, dostrzegając z daleka fragment trumny - prostej, zrobionej z białej dębiny. Jej matka od razu tam podeszła i zwróciła się do jednego z karawaniarzy o otwarcie trumny.

Mężczyzna niepewnie spojrzął na cara, który skinął głową.

Podniesiono wieko i choć Ana z siostrami trzymała się nieco z tyłu, dostrzegła sztywną czarną brodę tego świętego człowieka... a w głowie nad lewym okiem poszarpaną dziurę, jakby wywierconą świdrem. Jego szerokie dłonie, kiedyś pełne mocy i ekspresji, teraz leżały pokornie skrzyżowane na ramionach w czarnej sutannie.

Był to najbardziej szokujący widok, jaki Ana kiedykolwiek widziała... ale nawet nie drgnęła, choć jej siostra Tatiana się rozszlochała, a Olga zaczęła ją pocieszać. W głowie Anastazji pobrzmiwały tylko słowa, które Rasputin wypowiedział do niej w kaplicy.

Jeśli do mojej śmierci doprowadzi ktoś spokrewniony z waszą rodziną, wtedy biada dynastii. Powstanie przeciwko wam rosyjski lud, z żądzą mordy w sercach.

A wielki książe Dymitr nie dość że w morderstwie uczestniczył, to jeszcze następnego dnia się tym chwalił.

Krew twojej rodziny jest zatruta - powiedział mnich. - Klątwa, którą nosisz w swoich żyłach, pewnego dnia okaże się twoim zbawieniem. Świat opanuje zaraza, ale ty będziesz na nią odporna.

Ana wciąż nie miała pojęcia, co oznaczają to ostatnie zdania. Mimo to nosiła szmaragdowy krzyż z tajemnym napisem na odwrocie, który jej podarował.

Matka podała białe róże przyjaciółce, po czym położyła na piersi Rasputina dwa przedmioty. Jednym była ikona, opatrzona podpisami wszystkich członków rodziny carskiej,

a drugim list, który wcześniej podyktowała Anastazji, ponieważ za bardzo drżała jej ręka. „Mój drogi Męczenniku” - brzmiał - „daj mi swe błogosławieństwo na resztę smutnej i strasznej drogi, którą muszę pokonać na ziemi. I nie zapominaj o nas w niebie w swoich świętych modlitwach”. Ana podała matce list, żeby mogła złożyć na nim podpis. Podnosząc się z otomany, gdzie złożył ją atak ischiasu, matka starannie wykaligrafowała słowo „Aleksandra” z charakterystycznym zawijasem, po czym przyłożyła list najpierw do serca, a potem do ust.

Teraz list leżał na piersi ojca Grigorija. Karawaniarze zamknęli trumnę, która została spuszczone do grobu. Kapelan poprowadził nabożeństwo żałobne, ale Ana słuchała tylko szumu zimowego wiatru, który szeleścił między skrzypiącymi rusztowaniami wznoszonego obok kościoła. Spojrzała na członków swojej rodziny, którzy w milczeniu nieruchomo stali rzędem, w czarnych płaszczach, butach i nakryciach głowy, i odniosła wrażenie, jakby patrzyła na fotografię. Smutną fotografię, która znów przypominała jej złowieszczą przepowiednię mnicha.

- Weź to, proszę - powiedziała cicho madame Wyrubowa. Podała Anie kilka białych róż. Kiedy matka, ojciec i siostry wrzucili kwiaty do otwartego grobu, Ana cisnęła też swoje, patrząc na ich płatki, które jak śnieg opadają na wieko trumny.

- Nie ma mnie już pośród żywych - powiedział Rasputin w tamten wieczór Bożego Narodzenia.

Ale nawet tu i teraz Anastazja w głębi duszy w to nie wierzyła.

## **Rozdział 22**

Leżąc w śpiworze na dnie jaskini, Harley sprawdził godzinę na swoim telefonie. Zasięg był gówniany - czego się można spodziewać po jaskini na wyspie gdzieś na końcu świata? - ale zegar powiedział mu, że jest ósma rano.

A to oznaczało, że najwyższy czas zacząć.

Kiedy w nocy „Kodiak” osiadł na mieliźnie, Harley i jego dwaj prawie bezużyteczni pomocnicy załadowali swój ekwipunek do szalupy, a potem mozolnie wciągali go sztuka po sztuce po stromej ścianie klifu do pierwszej jaskini, jaka wyglądała na stosunkowo bezpieczną i suchą. Na jednej ze skrzynek położyli latarkę LED, która paliła się przez całą noc. Rozglądając się teraz po wnętrzu, Harley ujrzał ułożone pod ostrymi skalnymi ścianami

pudła z jedzeniem i plecaki, a obok łopaty, szpadle i... trzy skrzynki piwa, które zawdzięczali Russellowi. Sądząc po jego chrapaniu, wciąż odsypiał to, które już zdążył wypić.

Harley wyczołgał się ze śpiwora, kopniakiem obudził Eddiego, a potem pochyłony, żeby nie uderzyć głową w niski strop, podszedł do wylotu jaskini; między dwiema skrzynkami rozwiesili kawał brezentu, żeby osłonić się przed wiatrem. Rozchylił poły brezentu i spojrzął na zimny, ciemny poranek, na spienioną wodę w zagłębieniach u stóp klifu. Łódź wciąż stała na kotwicy na skałach, zdradzając ich obecność na wyspie, ale przynajmniej utknęła daleko od dawnej rosyjskiej kolonii. Harley wolałby znaleźć kryjówkę jeszcze dalej od „Kodiaka”, na wypadek gdyby zajrzała tu Straż Przybrzeżna i go zauważyła, ale wiedział, że gdyby kazał Eddiemu i Russellowi zatańczyć cały ekwipunek w głąb lasu, podnieśliby bunt.

- Cholera, która godzina? - zapytał Eddie, zanurzając się głębiej w śpiwór, żeby uciec przed chłodem bijącym od wejścia.

- Pora wstawać i ruszać.

- Weź Russella.

Ale Harley postanowił już, że pozwoli Russellowi się wyspać. Po awanturze na pokładzie miał opory i nie chciał brać tych dwóch razem, zwłaszcza na pierwszy rekonesans. Nie wiedział, czego się właściwie spodziewać, a taki nieobliczalny gość jak Russell mógł się okazać kulą u nogi. Poza tym zamierzał pokonać kawał drogi.

Kiedy posilili się nadwyżką wojskowych racji żywnościowych, które Harley wyniósł z „Arctic Circle Gun Shoppe”, wyszli na skalny występ. Harley przytoczył sobie do pleców strzelbę kaliber 12 i wcisnął do kieszeni pojemnik gazu pieprzowego z koncentratu chili. Na ramię zarzucił sobie szpadel; Eddie wziął kilof. Kiedy wychodzili, przez głowę przemknął mu obrazek wyruszających do lasu siedmiu krasnoludków.

Po piętnastu metrach marszu jeszcze bardziej nie mógł się oprzeć wrażeniu, że są postaciami z tej cholernej bajki. Sama wyspa była niewielka, ale posępna. Gęsto porośnięta świerkami, choinami i olchami, o nierównej, skalistej powierzchni, przykrytej cienką warstwą śniegu, którego - jeśli wierzyć prognozom pogody - wkrótce miało być dużo więcej. Zaczepiali rękawami o klujące krzaki kolcosiłów, a jeden z nich zerwał nawet Eddiemu z głowy wełnianą czapkę. Eddie musiał się zatrzymać, wyrwać czapkę roślinie, a potem ze złości odłamał gałązkę i rozdeptał.

- Na pewno już nie żyje? - spytał Harley.

- Odpierdol się - warknął Eddie. - Wiesz w ogóle, dokąd idziemy, czy tylko wyszliśmy na spacer.

To nie było złe pytanie. Harley miał mgliste pojęcie, gdzie szukać kolonii, i jedynie się domyślał, że cmentarz musi leżeć na jej terenie.

- Jeżeli będziemy trzymać w miarę prosty kurs, musimy trafić - rzekł, odwracając się i ruszając między jakieś zarośla. Celowo nie zachowywał ciszy; taki gąszcz lubią niedźwiedzie, a zaskoczony grizzly potrafi się bardzo wkurzyć. O tej porze roku było raczej mało prawdopodobne, aby natknęli się na niedźwiedzia, który wyruszył na poszukiwanie pożywienia - zwierzęta zwykle spały w swoich legowiskach albo, jeśli któreś miało dużo szczęścia, w wydrążonym pniu topoli - ale doszedł do wniosku, że lepiej narobić hałasu, niż później żałować.

Co innego wilki. One były aktywne przez cały rok, szukając padliny i polując na żywą zdobycz - młode karibu albo nieostrożnego łosia. Bardzo rzadko zdarzało się, by polowały na człowieka i Harleya zawsze uczono, żeby nigdy przed nimi nie uciekać. W przypadku nieoczekiwanego spotkania trzeba stać bez ruchu, krzyczeć, rzucać kamieniami, czymkolwiek. Ucieczka jest dla całego stada zaproszeniem do pościgu. Jednak nie wiadomo, jak zachowałyby się zamieszkujące wyspę czarne wilki - podobno zwierzęta bardzo osobliwe. Krążyło o nich mnóstwo opowieści. Żeglarze mówili, że kiedyś w nocy widzieli je, jak stały w szeregu na klifie i spoglądały przez cieśninę w stronę Syberii, unosząc pyski i chórem wyjąc. A po dwóch myśliwych z Saskatchewan, którzy wyruszyli ustrzelić parę sztuk, zaginął ślad. Parę dni później morze wyrzuciło na brzeg ich kajak, w którym znaleziono zakrwawione rękawice i drewniane wiosło, jak gdyby przegryzione na pół.

Mimo że myśliwych uznano za zmarłych, mówiło się nawet o podjęciu akcji ratunkowej. Zabrakło jednak ochotników, a Nice, nowo wybranej burmistrz, zupełnie na tym nie zależało. Jak gdyby była po stronie tych przeklętych wilków.

Przez następną godzinę przedzierali się przez las wysokich wiecznie zielonych drzew i gdy Harley zaczął się obawiać, że zboczył z kursu, dojrzał przez drzewa polanę, a dalej mur drewnianej palisady. Ogrodzenie było w bardzo kiepskim stanie; bale były powykrzywiane w różne strony jak nierówne zęby. Harley z ulgą zauważył między nimi szparę, na tyle dużą, że można było się przez nią dostać na teren kolonii.

- Niech mnie szlag - mruknął Eddie i w jego ustach zabrzmiało to jak największy komplement.

A zważywszy na to, jaka robota ich tu czekała, Harley przez chwilę pomyślał, że być może to prorocze słowa.

- To ich kościół? - spytał Eddie i razem z Harleym utkwili wzrok w cebulastej kopule wznoszącej się po drugiej stronie ogrodzenia.



- Chyba tak - odparł Harley. - Jeżeli tylko nie odprawia się tu żadnych nabożeństw, mnie to nie przeszkadza.

Prawdę mówiąc, mimo że Harley próbował żartować, miejsce napawało go dziwnym niepokojem, choć za nic w świecie nie przyznałby się do tego przed Eddiem. Przez lata słyszał różne historie o starej rosyjskiej kolonii, zanim tamtej nocy morze wyrzuciło go na plażę, skaczący wilk omal nie odgryzł mu lewej stopy... i dostrzegł błysk żółtej latarni, o której wspominali żeglarze. Nigdy jednak nie wyobrażał sobie, że któregoś dnia, o chłodnym i ciemnym poranku będzie stał u wrót tej opuszczonej kolonii ze szpadlem w ręku.

- Chodź, stary - rzekł Eddie, potrącając go i ruszając przodem. Trzymał kilof na ramieniu jak muszkiet. - Najlepiej szybko mieć to z głowy.

Prześliznął się pierwszy przez szparę w ogrodzeniu, a Harley podążył za nim. Znaleźli się za kościołem, którego ściany kiedyś były białe, ale wiatr, deszcz i śnieg zdarły z drewna prawie całą farbę. Idąc wzdłuż bocznej ściany, Harley znalazł okno z wystającymi z ramy paroma odłamkami szkła i jednym skrzydłem okiennicy, które trzaskało na wietrze. Ponieważ kościół stał na gnijących palach i był trochę przechylony, Harley musiał stanąć na palcach, by zajrzeć do środka. Wyciągnął latarkę, oświetlił przednią część nawy głównej i zobaczył wyblakły fresk na przeciwległej ścianie. Mimo półmroku zorientował się, że kiedyś był to obraz Matki Boskiej z aureolą nad głową. Widok odrobiny złotej farby zachowanej na ikonie przejął go dreszczem podniecenia; jednak ci dawni Rusczy uwielbiali złoto prawie tak samo jak swoją Madonnę. Miał nadzieję, że trochę go też zakopali.

- Co widzisz? - niecierpliwił się Eddie. - Wejźmy tam i sprawdźmy.

Ale Harley nie chciał się oddalać od głównego celu wyprawy, zwłaszcza że poza ikoną nie widział nic prócz piętrzących się pod rzeźbioną ścianką góry rupieci - starych drewnianych skopków na mleko, narzędzi kowalskich, zniszczonych mebli. Wyglądało na to, że w ciągu minionych stu lat kościół dość dokładnie przeczesano.

- Jak będziemy wracać - powiedział, żeby Eddie się zamknął. - Najpierw znajdziemy cmentarz.

Kiedy mijali stopnie przed przekrzywionymi drzwiami, które były uchylone, Eddie spojrzał na nie tęsknie, ale ruszył za Harleyem obok starej studni do głównej części kolonii. Ze wszystkich stron otaczały ich rozsypujące się stare chaty i otwarte zagrody. W jednej z nich Harley zobaczył zardzewiałe kowadło, w innej dwie beczki z żelaznym obręczami. Najwyraźniej kiedyś była to wioska, w której mieszkało około czterdziestu czy pięćdziesięciu osób trudniących się normalną pracą. Harleya interesowało jednak tylko to, gdzie ci ludzie

trafiali po śmierci. Nigdzie nie było widać cmentarza, nawet po drugiej stronie kościoła. Przecież kiedyś ludzi chowano przy kościele?

Na drugim końcu palisady zobaczył miejsce, gdzie kiedyś musiała być główna brama kolonii - wejście nadal otaczały zniszczone belki, przekrzywione tak samo jak słup totemiczny w miasteczku - i Harley, przerzuciwszy szpadel na drugie ramię, skierował się w tamtą stronę. Za bramą zobaczył ścieżkę prowadzącą z kolonii przez przesiekę w stronę gęstego zagajnika.

- Znowu pieprzony las - jęknął Eddie.

- Tu jest szlak - odparł Harley, maszerując naprzód. I rzeczywiście. Choć dróżka była wąska i kręta, prowadziła chyba na skraj wyspy. Schodziła coraz niżej i Harley z ulgą zobaczył w oddali bramę, podobną do bramy kolonii, lecz znacznie mniejszą. Podchodząc bliżej, zauważył, że na słupkach są jakieś starannie wyryte rosyjskie napisy. Wyglądało to jak kilka wielokrotnie powtórzonych takich samych słów. Nawet Eddie zatrzymał się, by obejrzeć inskrypcje.

- Myślisz, że tu napisali „Zapraszamy do zakopanych skarbów”? - zapytał.

A Harley mógł się tylko zastanawiać. Zaraz za słupkami znajdował się cmentarz kolonii, zajmujący nie więcej niż akr ziemi, ale pełen kamiennych nagrobków i drewnianych krzyży, sterczących nad zamarzną ziemią każdy w inną stronę. Słońce przedzierało się przez zasłonę chmur i zaczynało się przejaśniać. W słabym świetle dnia Harley zobaczył też, że na wielu płytach nagrobnych zagadkowe inskrypcje biegną w dół, w stronę podstawy. Wyglądało to jak niewielki półksiężyc, ale nie miał bladego pojęcia, co to może znaczyć. Czyżby kamieniarze podpisywali się na swoich wyrobach? Cholera, pomyślał, opierając koniec szpadla między stopami, od czego zacząć?

Eddie krążył między grobami, od czasu do czasu uderzając ostrzem kilofa w drewniany krzyż, a Harley - którego w żadnym wypadku nie można było nazwać człowiekiem religijnym - uznał, że nie powinien tak robić i krzyknął:

- Przestań, idioto!

Po raz pierwszy w pełni pojął wagę tego, co zamierzali zrobić; w duchu przeklinał swojego brata Charliego, przeklinał też samego siebie za to, że zawsze zrobi jakieś głupstwo. Jak się tu w ogóle znalazł?

Eddie przystanął, żeby się wysikać i po chwili rozległ się szum strumienia moczu padającego na twardą ziemię. Kiedy skończył, odwrócił się i zapytał:

- To gdzie chcesz zacząć? Dupy już nie czuję z zimna.

Harleyowi przyszło do głowy tylko tyle, że najlepiej zacząć w miejscu, skąd wszystko wzięło początek. Bezwiednie podszedł na skraj cmentarza, do przepaści nad Cieśniną Beringa. Zaledwie po dwóch minutach odnalazł miejsce, z którego trumna spadła do morza.

Na samej krawędzi klifu oderwał się kawał ziemi i skał, pozostawiając po sobie bliznę. Harley uważał, żeby za bardzo się nie zbliżać.

- Myślisz, że to stąd? - prychnął Eddie.

- Tak - odparł Harley. Patrzył na poszarpaną ziemię, jak na nieistniejący grób... a nawet gorzej. W wyobraźni ujrzał tamtego chudego mężczyznę w futrze z fok, który leżał w trumnie na pokładzie „Neptuna II”. I który ukazał mu się w szopie za sklepem z bronią.

Szukając swojego szmaragdowego krzyża.

- Po mojemu trzeba zacząć od tego z największym nagrobkiem - rzekł Eddie, rozglądając się po cmentarzu. - Im bogatszy gość, tym bardziej prawdopodobne, że go pochowali z jakimiś fantami.

Nie mając żadnego lepszego planu, Harley musiał przyznać, że to nie jest najgorsza logika.

Eddie odszedł o parę metrów i zatrzymał się przy figurze kamiennego anioła, z której pozostał tylko korpus.

- Można by tutaj - powiedział. A potem zsunął plecak, rzucił go na bok, uniósł kilof nad głowę i z szerokim zamachem uderzył.

Żelazne ostrze ledwie drasnęło zamarzniętą ziemię i odbiło się od niej, a Eddie upuścił stylisko i odskoczył, klnąc i potrząsając rękami.

Harley roześmiał się, a Eddie rzucił wyzywająco:

- Sam spróbuj.

- Trzeba się do tego zabrać porządnie - odparł Harley, zdejmując swój plecak, w którym miał haki wspinaczkowe i dłuto. - Jeżeli najpierw zruszymy ziemię, może uda się coś wyciągnąć, zanim zrobi się ciemno.

Przez następne dwie godziny pracowali pochyleni nad grobem, na przemian wbijając haki, rąbiąc ziemię wokół nich i wydrapując ją szpadlem. Była to żmudna i wyczerpująca robota i z każdym oddechem Harley coraz bardziej uświadamiał sobie jej bezsens. Powinni wziąć ze sobą dynamit i zanim pojawi się ten Slater, po prostu wysadzić cały cmentarz w powietrze. Liczył tylko na to, że rosyjscy grabarze musieli mieć takie same kłopoty; prawdopodobnie wykopali dość płytkie groby, na tyle, na ile pozwalała przemarznięta ziemia.

Po przerwie na kolejny posiłek z konserwy - Eddiemu trafiła się mielonka, którą wymienił się z Harleyem na peklowaną wołowinę z ziemniakami

- wrócili do pracy. Eddie na zmianę rąbał i rozdrabniał zmarzlinę ostrzem szpadla, a kiedy dostrzegł coś, co przypominało matową powierzchnię zakopanego drewna, rzucił się na kolana i odgarnął ziemię przesiąkniętymi potem rękawicami.

- Trumna! - wykrzyknął uradowany. - Udało się, stary!

Harley kazał mu się cofnąć, po czym uniósł kilof i walnął. Rozległ się trzask ostrza wcinającego się w drewno.

Eddie w zniecierpliwieniu wymachiwał ramionami, spodziewając się, że za chwilę odkopią skrzynię pełną skarbów.\*

Harley chciał mu poradzić, żeby się uspokoił, lecz sam czuł, że krew szybciej krąży mu w żyłach. Jeżeli w tej trumnie coś znajdą, będzie miał co rzucić w twarz Charliemu. I kto tu jest dupą wołową?

Znów uniósł kilof. Jego szare matowe ostrze zarysowało się na tle nieba, które było w tym samym kolorze. Gdy go wbijał w trumnę, jego wzrok przyciągnęło coś na horyzoncie.

W rezultacie kilof chybił celu i z głuchym łomotem wylądował na zamrożonej na kość ziemi.

- Uważaj, co robisz - upomniął go Eddie. - Masz walić tam, gdzie już jest luźniej.

Ale Harley znów przyglądał się punktowi na horyzoncie. Maleńkiej czarnej kropce, która jednak wyraźnie zmierzała w ich stronę.

Eddie zruszył szpadlem więcej ziemi nad trumną. A gdy Harley nie podniósł kilofa do następnego ciosu, zapytał:

- Mam to zrobić sam? - Wyciągnął rękę po narzędzie. - Cienias z ciebie, daj mi to.

Harley oddał mu kilof, nie odrywając wzroku od zbliżającej się plamki. Widział ją coraz wyraźniej - to był helikopter, na pewno ten z lodowiska w Port Orlov, który leciał prosto na nich.

- Kryj się! - krzyknął Harley, a Eddie wlepił w niego zdumione spojrzenie.

- Przed czym? K.RZYŻ ROMANOWÓW

- Przed tym! - powiedział, wskazując nadlatujący śmigłowiec.

Wiatr od oceanu przyniósł odgłos silników i dudnienie obracających się łopat wirnika.

Harley rozplaszczyl się na drewnianym krzyżu, a Eddie skulił się u stóp okaleczonego anioła, obejmując rękami jego leżącą na ziemi głowę. Jeżeli śmigłowiec nie zawisnie nad cmentarzem, to powinien przelecieć nad nimi tak szybko, że nikt z pokładu ich nie zobaczy... choć szpadel i kilof leżały na śniegu widoczne jak na dłoni. Niech to szlag. Harley wyciągnął rękę, złapał szpadel i wsunął go pod siebie.

Poculi silny podmuch i helikopter z rykiem przemknął nisko nad ich głowami, tuż nad cmentarzem i drzewami, kierując się w stronę kolonii. Kiedy już ich bezpiecznie minął, Harley zerwał się na nogi i zobaczył, że maszyna rzeczywiście zwalnia i zatacza koło nad dawną wioską ogrodzoną palisadą. Na kadłubie błyskały czerwone i białe światła pozycyjne, a śmigłowiec, przypominający gigantyczną zieloną modliszkę, na chwilę zawisł w powietrzu, a potem zszedł poza linię drzew i zniknął Harleyowi z oczu.

- Już są? No to jesteśmy w dupie - odezwał się Eddie.

Ma rację, pomyślał Harley. Jeżeli to coś więcej niż krótki przystanek, tak jak mówili ci pieprzeni piloci, to mieli totalnie przesrane.

Jego spojrzenie znów padło na rozłupaną trumnę w częściowo odsłoniętym grobie. Wzrok Eddiego również.

- Nie ma mowy, żebym pozwolił gnojkom zabrać to, co wykopaliśmy - oświadczył Eddie, wstając spod nagrobka.

Harley też nie chciał do tego dopuścić, choć wiedział, że mają niewiele czasu. Otrzeptał ziemię i lód z rękawic, chwycił kilof, głęboko nabrał powietrza, po czym wysoko wzniosł ostrze i jeszcze raz opuścił; nareszcie usłyszał głośny trzask.

## Rozdział 23

Na pokładzie S-64 doktor Slater, jako gościnny szef zespołu, zaproponował wirusolożce doktor Lantos, która przez kilkoma godzinami przybyła do Port Orlov, miejsce przy oknie, ale podziękowała.

- Nie przepadam za lataniem - powiedziała. - I widok z helikoptera to ostatnia rzecz, jaką chcę oglądać.

Jeszcze teraz, gdy śmigłowiec zbliżał się do posępnych skał Wyspy Św. Piotra, siedziała bez ruchu naprzeciwko Slatera, zamykając oczy za grubymi szklami okularów i ciasno splatając ręce na kolanach. Za to profesor Kozak, którego zwaliste ciało było przypięte pasami do fotela obok Slatera, wyciągał szyję, żeby przez swoje okno zobaczyć jak najwięcej.

- Lecimy od strony cmentarza - oznajmił przez słuchawki, a gdy śmignęli nad starymi grobami, przycisnął czoło do pleksiglasowej szyby, żeby mieć lepszy widok.

Slater też spojrział przez okno, ale mieli taką prędkość, że zdążył dostrzec tylko miejsce, w którym obsunęła się ziemia.

- Widzieliście to? - krzyknął Kozak, a Slater spytał, co ma na myśli.

- Coś się poruszyło.

- Jak to?

- Przy grobie, może wilk.

- Tu są wilki? - zapytała doktor Lantos, nie otwierając oczu.

- Kilka - przyznał Slater. - Ale Nika mówi, że jeżeli damy im spokój, one też dadzą nam spokój. - Nice przydzielił miejsce w drugim helikopterze, który miał wystartować za parę godzin, żeby pomogła sierżantowi Grovesowi i jego załodze trafić na miejsce. Patrzyła na niego nieco podejrzliwie, obawiając się, czy to nie jakiś podstęp z jego strony, aby w obawie o jej bezpieczeństwo nie wywieźć jej gdzieś daleko od wyspy, ale Slater zaśmiał się tylko i rzekł:

- Wiesz, naprawdę powinnaś pracować w Waszyngtonie.

- Dlaczego?

- Masz do tego wrodzone zdolności.

Zmarszczyła brwi i odparła:

- Na razie potraktuję to jako komplement.

Helikopter zaczął zwalniać, przechylając się na bok, a Slater zauważył, jak doktor Lantos przetyka ślinę. Choć budziła grozę w laboratoriach i kręgach akademickich, gdzie umiejętnościami zawodowymi, skrupulatnością i rzetelnością biła wszystkich na głowę, nie było wątpliwości, że w powietrzu czuje się tak źle, jak mówiła. Ciekawe, jak udało jej się przeżyć lot pięcioma różnymi samolotami, na które musiała się przesiadać, aby dotrzeć tu ze swojej uczelni.

- Jesteśmy nad miejscem lądowania - zatrzeszczał w słuchawkach głos pilota. A potem dla żartu dodał: - Proszę złożyć stoliki i podnieść oparcia foteli. - Jak gdyby twarde siedzenia można było w ogóle poruszyć choćby o milimetr.

Kołysząc się w przód i w tył, sikorsky powoli usiadł. Zetknięciu kół z ziemią towarzyszył lekki wstrząs maszyny. Doktor Lantos z ulgą wypuściła powietrze z płuc i po raz pierwszy, odkąd wsiadła na pokład, rozplotła dłonie i rozluźniła napięte ramiona.

Kiedy otworzyła oczy, Slater powiedział do niej ze współczuciem:

- Kiedy skończymy pracę, może uda nam się załatwić u Straży Przybrzeżnej transport promem.

- Dostaję też choroby morskiej.

Wirnik z westchnieniem zwalniał obroty, a profesor Kozak odblokował drzwi, otworzył je i wygramolił się z kabiny. Lantos odrobinę chwiejnym krokiem ruszyła za nim, Slater zamykał pochód.

Jeden z pilotów był już na ziemi i szedł w kierunku ładowni. Choć Slater miał ochotę nadzorować wyładunek sprzętu laboratoryjnego - resztę ciężkiego wyposażenia miał przywieźć drugi śmigłowiec - musiał stanąć i po prostu się rozejrzeć. Do tej chwili nie postawił stopy na wyspie, nie mówiąc już o rosyjskiej kolonii, a zawsze, ilekroć przybywał na miejsce z ekspedycją epidemiologiczną, natychmiast musiał zorientować się w terenie. Z pierwszego przelotu nad wyspą trzy dni temu pamiętał ogólny plan osady, ale naprawdę poczuł to miejsce dopiero wówczas, gdy oddalił się od helikoptera i obszedł całą kolonię.

Odnosił wrażenie, że miejsce, w którym się znalazł, to fortwidmo.

Mimo szpar między balami palisada wciąż budziła respekt, a opuszczone budynki - o pozbawionych szyb oknach i ziejących pustką drzwiach - wydawały się zamieszkane. Wiedział, że w środku nie ma nikogo, a mimo to nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ktoś go obserwuje. Na zardzewiałym łańcuchu nad starą studnią wisiało wiadro i Slater zdziwił się, że łańcuch pozostał nietknięty. Na drugim końcu osiedla stała zbudowana na palach i nieco pochylona drewniana cerkiew z charakterystyczną cebulastą kopułą. Wyobrażał sobie ciężkie i surowe życie Rosjan, którzy urządzili osadę w tak nieprzyjaznej głuszy, budując sobie dom w tak dzikim i niedostępnym miejscu. Sądzili, że nic i nikt im nie zagrozi... dopóki nie odnalazła ich tu pandemia hiszpanki.

Slater znów zadał sobie pytanie, jak do tego doszło. Jakiego chytrego mechanizmu użył wirus, aby pokonać zamrożone wody Morza Beringa, dostać się na tę odciętą od świata wysepkę i pokonać drewnianą bramę, którą miał teraz za plecami?

- Trap opuszczony - powiedział pilot. - Mamy zacząć rozładunek?

Slater przytaknął i odwrócił się, aby nadzorować operację. Kozak palił cygaro, którego ostra woń unosiła się na wietrze, a opatulona w kurtkę doktor Lantos przytupywała na zamrożonej ziemi, by pobudzić krążenie, narzuciwszy kaptur na aureolę siwiejących kręconych włosów. Spoglądając w szare niebo, Slater powtarzał sobie, że ma tylko parę godzin na postawienie namiotów i innych pomieszczeń ochronnych. Podejrzewał, że wyjście alternatywne - nocleg w przegniłych chatkach albo przechylonej cerkwi - nie wzbudzi wielkiego entuzjazmu.

Kiedy nad wyspą pojawił się drugi sikorski z Niką i sierżantem Grovesem na pokładzie, w środkowej części dawnej kolonii piętrzył się już wyładowany sprzęt i zainstalowane było tymczasowe oświetlenie lądowiska. Ułożone w szeroki krąg światła były nie tylko zabezpieczeniem; chociaż było dopiero popołudnie, szybko zapadała ciemność.

Sierżant ze swoją załogą przybył do miasteczka rano i Nika szybko przekazała mu najnowsze szczegóły. Groves był potężnym mężczyzną o grubym karku i skupionym wyrazie

twarży, ale natychmiast zjednął ją sobie rzeczowym podejściem do sprawy i szybkością, z jaką pojmował wszystko, o czym mówiła, od topografii wyspy po wrażliwość miejscowej rdzennej ludności na to, co dzieje się na ziemi, którą wciąż uważają za swoją. Odniosła też wrażenie, że dla doktora Slatera sierżant jest gotów zrobić wszystko; prawdopodobnie niejedno razem przeszli i wytworzyła się między nimi silna więź.

W chwili, gdy ich śmigłowiec wylądował na miejscu opuszczonym przez pierwszą maszynę, sierżant Groves wyskoczył z kabiny i zaczął kierować rozładunkiem oraz rozmieszczeniem pozostałego sprzętu i ekwipunku. Wymienili ze Slaterem parę słów, parę spojrzeń, a potem porozumiewali się chyba telepatycznie, współpracując w idealnej harmonii, aby wszystko zrobić w odpowiedniej kolejności i jak najkrótszym czasie. Postawiono szopę z generatorem i rozwinięto na ziemi grube zwoje przewodów, tworząc sieć, która na pewno została zaprojektowana już wcześniej. Zbudowano połowę stołówkę, do której szybko przeniosła się doktor Lantos i postawiła laptopa na skrzynce z żywnością. W ciągu zaledwie dwóch godzin w obozie zaczęło działać oświetlenie elektryczne, pod palisadą, w dyskretnym, ale i dogodnym miejscu ustawiono toaletę, a tam, gdzie nazajutrz miały stanąć laboratoria modułowe i namioty mieszkalne, wbito w ziemię chorągiewki. Nika, na której wojskowa precyzja i szybkość wywarły duże wrażenie, starała się po prostu nie przeszkadzać.

Choć nie uważała, że nie ma żadnych zadań do wykonania. Jeśli doktor Slater sądził, że wykorzystuje swój status członka rady plemiennej, aby zapewnić sobie miejsce noclegowe na wyspie, to się mylił. Nika traktowała swoje obowiązki poważnie. Z wykształcenia była antropologiem - naukowcem - lecz kierowała nią także silna potrzeba duchowa, łącząca ją nie tylko z inuicką ludnością, ale i jej światopoglądem. Nie lekceważyła legend i zwyczajów swojego ludu ani nie negowała istnienia pewnych rzeczy tylko dlatego, że nie potrafimy ich zobaczyć, usłyszeć czy wyczuć za pomocą naszych zmysłów. A skoro dziewięćdziesiąt procent wszechświata składa się z czegoś, co zazwyczaj nazywamy „ciemną materią”, to na pewno nie do niej należy określanie granic tego, co może lub nie może być prawdą.

Zapadła już ciemna noc i podczas gdy pozostali zebrali się w polowej stołówce - zielone ściany namiotu jarzyły się niczym robaczki świętojańskie - Nika otuliła twarz kołnierzem kurtki i ruszyła w głąb ciemnej kolonii. Słuchała wiatru w nadziei, że usłyszy głosy tych, którzy tu kiedyś żyli, i tu umarli. Zaglądała do chat i zagród, starając się wyobrazić sobie twarze osadników. I cały czas na swój sposób próbowała się z nimi porozumieć. Chciała ich zapewnić, że nie przyjechali tu łupić ani zakłócać im spokoju, tylko dokonać czegoś wielkiej wagi... czegoś, co może pomóc innym uniknąć straszego losu, jaki ich spotkał.



Próbowała nadawać komunikaty o pokojowych zamiarach, lecz w zamian nie otrzymywała tego samego. Odpowiadała jej tylko bezdenne głucha pustka.

Gdy przystanąła przed cerkwią, nieco przechyloną na bok, poczuła, że dotarła do osi, wokół której skupiało się życie kolonii. Nic dziwnego. Prze-”cież tu koncentrowała się moc - i istota - całej sekty. Nie zwracając uwagi na sierżanta Grovesa, który wołał w ciemności, zapraszając ją na kolację - „kuchnia czynna do ósmej!” - rzuciła plecak i śpiwór na stopnie przed wejściem do cerkwi. To miejsce przejmowało ją dreszczem grozy i nie miała wątpliwości, że regularnie zbierały się tutaj wszystkie dusze, dlatego wiedziała, że właśnie tu będzie musiała spędzić noc.

## Rozdział 24

Rasputin miał rację. Ale Anastazji trudno było sobie przypomnieć, jak dokładnie brzmiały jego słowa.

Przepowiedział, że jeśli zamorduje go ktoś z arystokracji, a w szczególności ktoś z jej rodziny, będzie to znak końca dynastii Romanowów. Broszury, wydawane potajemnie przez wzburzonych wyznawców Rasputina, zapowiadały, że ulice spłyną krwią, brat powstanie przeciwko bratu i nikt z jej rodziny nie będzie bezpieczny.

I oto, jak dotąd, wszystko się sprawdzi.

13 sierpnia 1917 roku miał być ostatnim dniem Romanowów w ich ukochanym Carskim Siole. Najpierw kraj rozdarła wojna, a potem rewolucja na ulicach. Ana z trudem rozróżniała walczące o władzę frakcje - Czerwonych, Białych, mienszewików, bolszewików, zwolenników prezydenta Kiereńskiego i jego rządu tymczasowego. Wiedziała tylko, że jej ojca zmuszono do abdykacji i że odtąd ona i jej rodzina w gruncie rzeczy stali się więźniami, których stale trzymano pod strażą i nadzorowano.

Ale straży nie pełnili Kozacy, ich lojalni obrońcy, ani czterej dumni Etiopczycy, którzy przedtem stali na warcie przy drzwiach ich komnat.

Nie, teraz pilnowali ich butni żołnierze i zwykli robotnicy o prostackich twarzach z czerwonymi opaskami na rękawach. Nie chcieli nawet zanieść ich kufrów i walizek na stację

kolejową, skąd rodzina miała tego wieczoru odjechać. Hrabia Benckendorff musiał dać każdemu po trzy ruble, żeby się zgodzili.

Poprzedniej nocy Anę zbudził ze snu wystrzał z pistoletu, ale kiedy w koszuli nocnej wybiegła na balkon, żołnierze unieśli wzrok i zaczęli się szyderczo śmiać, a jakiś oficer podniósł łeb jednego z oswojonych jeleni, które właśnie zaganiali i strzelali do nich dla rozrywki. Jej spaniel Jemmy zaszczekał ze złością przez balustradę, co wzbudziło jeszcze głośniejsze wybuchy śmiechu wśród żołnierzy, jeżeli w ogóle byli godni tej nazwy.

Ten sam oficer kręcił się teraz po pałacowym westybulu i wtykał nos do ich walizek. Nawet hrabia nie mógł nic zrobić, żeby go powstrzymać. Rola jej rodziców ograniczała się do tego, by potulnie stać z boku, podczas gdy grupa dowódców dyskutowała o tym, jak i kiedy przetransportować więźniów na stację kolejową. Podobno były jakieś wątpliwości co do ich bezpieczeństwa, gdy znajdą się za bramą parku. Anie trudno było uwierzyć, że poza pałacem może być jeszcze gorzej niż tutaj.

- Po prostu rób, co ci każą - poradził jej ojciec, a widok pokonanego Cara Wszechrusi rozżłościł ją i zasmucił. - Kiereński osobiście zagwarantował, że znajdzie sposób, żeby nas wydostać z kraju.

Ciekawe, jak mógłby tego dokonać, skoro nie potrafił nawet wymyślić sposobu, aby ich przewieźć z pałacu na dworzec?

Dopiero prawie o świcie wreszcie wydano rozkazy, by przetransportować na stację zmęczoną rodzinę carską wraz z kilkorgiem wiernych członków świty. Towarzyszył im oddział kawalerii. Pociąg, który dla kamuflażu oznaczono symbolem i flagami Czerwonego Krzyża, podstawiono na bocznicy, gdzie nie było peronu. Żołnierze, nie siląc się na uprzejmość, wciągnęli carycę i pozostałe kobiety do wagonów. Ana nie mogła znieść dotyku ich rąk i gdy tylko znalazła się w przedziale, zaczęła gorączkowo czyścić suknię.

I tak zaczęła się ich długa podróż na wschód, w głąb rozległych pustkowi Syberii. Sam pociąg był wygodny i dobrze zaopatrzony, a towarzyszyło im tyle osób spośród domowników - służący ojca, dama dworu Anna Demidowa, francuski guwerner Pierre Gilliard, a nawet doskonały kucharz - że czasem się zdawało, iż wyruszyli na wycieczkę do carskich posiadłości na Krymie albo do jakiegoś wiejskiego zacisza. Codziennie o szóstej wieczorem pociąg się zatrzymywał, aby mogli wyprowadzić na spacer Jemmygo oraz psa cara. Ana z niecierpliwością czekała na te krótkie przerwy. Chciała poczuć pod stopami twardą ziemię zamiast ciągłego dudnienia kół po torach. Zachwycała się widokiem zielonych traw bagiennych i bezkresnych stepów. Jeśli pojawił się zagajnik białych brzoź, bawiła się z siostrami w chowanego, przenosząc się dzięki temu na chwilę w szczęśliwsze czasy. Matka,

którą znów złożył ischias, patrzyła na nie z okna pociągu, a Aleksy, jeśli tylko czuł się na tyle dobrze, spacerował wraz z ojcem wzdłuż torów.

Raz, gdy Ana za bardzo oddaliła się od pociągu, aby nazrywać chabrów, jakiś młody żołnierz, chudy jak patyk, ze śmiesznym brązowym wąsikiem, zawołał do niej, żeby wracała. Anastazja, wskazując ręką na ogromną połąć stepu, zapytała:

- Myślisz, że bym uciekła? Dokąd miałabym pójść?

Żołnierz, wyraźnie zmieszany faktem, że rozmawia z wielką księżną - mimo że została tej godności pozbawiona - odrzekł:

- Nie wiem, ale proszę tego nie robić. - Zabrzmiało to bardziej jak prośba niż reprimenda. Anastazja rozumiała, że wykonuje swoje obowiązki, ale wyraźnie czuł się z tym trochę nieswojo. Uśmiechnęła się do niego - mógł być starszy od niej najwyżej o rok lub dwa, miał nie więcej niż dziewiętnaście czy dwadzieścia lat. Trzymał karabin, jakby to była motyka, którą prawdopodobnie posługiwał się znacznie lepiej.

- Siergiej! - krzyknął ze szczytu pobliskiego wzgórza inny żołnierz. - Przyprowadź tę kulawą sukę z powrotem!

Siergiej oblał się mocnym rumieńcem; niektórzy żołnierze znajdowali wielką przyjemność w obrażaniu będących pod ich nadzorem członków carskiej rodziny. Ana, która zdążyła się już do tego przyzwyczaić, a nawet na to uodpornić, spojrzała na bukiet intensywnie niebieskich chabrów, który miała w ręku, i powiedziała:

- Tyle mi wystarczy.

Gdy w drodze powrotnej do pociągu upuściła jeden kwiatek, Siergiej podniósł go i pochylając głowę w ukradkowym ukłonie, próbował jej go oddać.

- Zatrzymaj go - powiedziała. Jeśli wcześniej sądziła, że się zarumienił, to wyglądało to blade w porównaniu z purpurą, jaką jego twarz okryła się teraz. Wyglądał jak pomidor, więc roześmiała się i rzekła:

- Uwważaj, żeby inni nie zobaczyli, że go masz, Siergiej. Uznają go za własność imperialną i ci zabiorą.

Włożył go do kieszeni swojej wytartej wojskowej bluzy tak ostrożnie, jakby kwiatek był ze złota.

Po tym zdarzeniu Ana przyzwyczaiła się do tego, że pilnuje jej Siergiej. Ilekroć wychodziła z pociągu ze swoim spanielem Jemmym, spodziewała się, że zobaczy go, jak rusza w ślad za nią, trzymając się w pewnej odległości. Inni żołnierze też zaczęli ją uważać za jego podopieczną. A jej siostry żartowały, że znalazła adoratora. Pociąg zwykle nie zatrzymywał się w pobliżu żadnej stacji czy miasta; Ana nie wiedziała czy ze względu na to,

iż Gwardia Czerwona uważa, że miejscowa ludność zaatakuje rodzinę carską, czy że raczej będzie próbowała ją uwolnić. Pewnego dnia zobaczyła w oddali jakąś wioskę, chyba zamożną, sądząc po doniczkach z kwiatami w oknach, zielonych polach i tętniących życiem podwórzach, ale od pociągu odgradzała ją rzeka. Ana zauważyła, że Siergiej tęsknie patrzy w tamtą stronę, trzymając karabin opuszczony niżej niż zwykle.

- Jak się nazywa ta wioska? - zapytała, a on był tak zamyślony, że w pierwszej chwili nie odpowiedział.

Gdy powtórzyła pytanie, odrzekł:

- To mój dom. - A potem odwrócił się do niej i dodał - Nazywa się Pokrowskoje.

Wtedy Anastazja spojrzała na wioskę ze szczególną uwagą. Pokrowskoje. Często słyszała, jak mówił o niej Rasputin. Stamtąd pochodził. I przepowiedział, że Romanowowie pewnego dnia ją zobaczą.

Czy wyobrażał sobie, że w takich okolicznościach?

Nie musiała zadawać następnego pytania, bo Siergiej sam powiedział:

- W tamtym piętrowym domu mieszkał ojciec Grigorij.

Nie sposób go było nie zauważyć. Wyraźnie górował nad pozostałymi, tak jak Rasputin zawsze przyćmiewał swoją obecnością każde towarzystwo. Anastazja zastanawiała się, kto tam teraz mieszka - słyszała plotki, że miał żonę i małego synka. Ale krążyło o nim tyle plotek, najczęściej tak ordynarnych, że ani ona, ani caryca, której często szeptano je do ucha, nie wiedziały, w które wierzyć. Miała ochotę zawiadomić matkę, gdzie się znaleźli; caryca, która wciąż odpoczywała w pociągu z powodu bólu pleców, na pewno chciałaby o tym wiedzieć.

Podchodząc bliżej niż dotąd, ale uważając, żeby pozostali strażnicy nie zaczęli niczego podejrzewać, Siergiej powiedział:

- Są tacy, którzy wciąż kontaktują się ze świętym starcem.

- Jak to, kontaktują się? Ojciec Grigorij nie żyje. Został pochowany w Parku Carskim.

Siergiej poważnie spojrzał jej w oczy.

- Sama położyłam białą różę na jego trumnie - dodała Ana. Jej palce bezwiednie powędrowały na pierś i dotknęły ukrytego pod bluzką krzyża.

- Są tacy, którzy podtrzymują ogień - rzekł Siergiej. Zaraz potem zagwizdała lokomotywa, a Jemmy w odpowiedzi zaszczekał.

- Wszyscy wsiadać! - krzyknął oficer z dachu carskiego wagonu. Jeszcze raz rozległ się gwizd, a potem zniecierpliwione sapanie lokomotywy.

Siergiej ostentacyjnie uniósł lufę karabinu i szturchnął Anastazję, popychając ją w stronę pociągu. Ruszyła w kierunku torów, a Jemmy truchtał przy jej nodze. Po schodkach wchodziły już jej siostry, za którymi szedł ojciec, w furazerce na głowie i zwykłej bluzie w kolorze khaki. Trzymał za rękę Aleksego w identycznym stroju. Maszynista machał chorągiewką.

Anastazja odwróciła się, żeby powiedzieć coś do Siergieja, ale on razem z innymi strażnikami wolnym krokiem zmierzał do wagonu wojskowego, udając, że tego nie zauważył.

Chwilę później pociąg wyruszył w dalszą drogę, a Ana patrzyła przez okno na znikające kwiaty, pola i pobielone budynki w Pokrowskoje. Zapomniała zapytać, w którym domu mieszka Siergiej i teraz głęboko tego żałowała.

## Rozdział 25

- Kooshdakhaa - powiedziała Nika, a Slater poprosił ją, aby powtórzyła. Chciał jeszcze raz posłuchać nowego słowa, no i po prostu podobało mu się, jak Nika je wymawia.

Lampy w stołówce migotały, a podmuchy wiatru, przed którym tylko częściowo chroniła ich stara palisada, z głuchym wyciem uderzały w potrójnie wzmocnione nylonowe ściany namiotu. Tymczasowa sieć zasilania, którą naprędce założył sierżant Groves, wciąż działała, lecz zawieszona na przewodach lampy kołysały się nad prowizorycznym stołem. Jutro, pomyślał Slater, trzeba będzie uruchomić dodatkowy generator - na wszelki wypadek.

- Kooshdakhaa - powtórzyła Nika. - Ludziwydry. Jeżeli ktoś był nieszczęśliwy i żywił na ziemi jakąś urazę, musiał tu zostać, nie mogąc wejść do nieba po schodach zorzy polarnej. A jeżeli ktoś utonął, a jego ciała nie odnaleziono i nie pochowano, jego duch mógł się stać odmieńcem, pół człowiekiem, pół wydrą.

- Dlaczego wydrą? - zaciekała się doktor Eva Lantos, jeszcze raz mocząc we wrzątku torebkę ziołowej herbaty.

- Bo wydra żyje między morzem a lądem, a duch odmieńca, tak jak ona, jest zawieszony między życiem a śmiercią.

- W Rosji też mamy dużo podobnych legend - odezwał się profesor Kozak, wycierając skórka chleba resztki gulaszu. - Przez całe dzieciństwo słuchałem takich opowieści.

- Większość kultur ma ze sobą coś wspólnego - zgodziła się Nika. - Na przykład według niektórych wersji kooshdakhaa przyjmowały postać pięknej kobiety albo czyjejś

bliskiej osoby, żeby zwabić człowieka na głęboką wodę albo w głąb lasu. Jeżeli się zgubił, sam mógł potem zostać odmieńcem.

- Czyli jeżeli zobaczę w lesie Angelinę Jolie - rzekł Kozak - która zawoła do mnie: „Wasilij! Wasilij! Muszę cię mieć!”, to nie powinienem do niej biec.

- Najpierw lepiej się przynajmniej zastanowić - odparła z uśmiechem Nika.

Kozak wzruszył ramionami.

- I tak bym pobiegł.

Slater oparł się o skrzynkę i patrzył na zespół okiem dumnego ojca przyglądającego się swojej trzódce. W ciągu kilku godzin spędzonych na wyspie zaczęli tworzyć całkiem zgraną grupę. Profesor Kozak uwijał się jak pracowity niedźwiedź, wypakowując zestaw georadarowy i palił się do pracy, którą chciał rozpocząć już jutro. Doktor Lantos sprawdziła wszystkie skrzynie ze sprzętem i materiałami laboratoryjnymi, doradziła też Slaterowi, gdzie najlepiej postawić namiot do przeprowadzania sekcji zwłok. Sierżant Groves zrobił obchód, zabezpieczając teren (z przyzwyczajenia, ponieważ na wyspie nie było żadnych nieprzyjaciół) i zawierając bliższą znajomość z funkcjonariuszami Straży Przybrzeżnej, którzy zostali, aby nazajutrz dokończyć stawianie budynków modułowych oraz słupów i ramp oświetleniowych.

Oczywiście jeżeli pozwoli na to pogoda. Nadciągała burza i wiatr już smagał kolonię jak rzemiennym biczem. Slater modlił się w duchu, żeby nie spadło za dużo śniegu - oznaczałoby to więcej kopania, by dostać się do grobów.

No i była jeszcze Nika, której obecności z początku ostro się sprzeciwiał. Sama przypominała ducha - dobrego leśnego duszka, znającego historię, legendy i tradycje rdzennych mieszkańców tej ziemi. Slater zauważył, że jego uwagę pochłaniają nie tylko słowa Niki, ale i światło, jak gdyby uwięzione w jej kruczoczarnych włosach i oczach. Jej śniada skóra w blasku lamp miała wręcz złoty odcień. Zwrócił również uwagę, że często dotyka małej figurki z kości słoniowej, nie większej od pendrive'a, którą nosiła na niebieskożółtej bluzie uniwersytetu Berkeley. Podziękował w duchu profesorowi, który też to zauważył, i zapytał:

- Co nosisz na szyi? Małego kooshdakhaa?

- Nie - odparła, unosząc figurkę na łańcuszku, żeby wszyscy mogli ją lepiej zobaczyć.

- To by przynosiło pecha. Amulety takie jak mój przynoszą szczęście. Nazywamy je bilikinami.

Slater pochylił się bliżej, nie odstawiając kubka z kawą, który miał w ręku. Dopiero teraz zobaczył, że to umiejętnie wyrzeźbiona sowa ze zwiniętymi skrzydłami i szeroko otwartymi oczyma.

- Sowa symbolizuje doskonałego przewodnika, bo widzi nawet w ciemnościach. Nosił ją tradycyjnie przewodnik polowania.

- Cios morsa? - zapytał Kozak, obracając figurkę w grubych palcach.

- Być może - odrzekła Nika. - Ale dostałam to od mojej babci, a ona od swojej i jeżeli ta opowieść jest prawdziwa, została zrobiona z ciosu mamuta włochatego. Leżą tu wszędzie zamrożone w ziemi i co jakiś czas się je znajduje.

Co jeszcze wykopię z zamrożonej ziemi Wyspy Św. Piotra? - pomyślał Slater. Doskonale zachowany okaz z wirusem ukrytym w ciele jak tykająca bomba, czy gnijące zwłoki, które kilkadziesiąt lat powolnego rozkładu i wyziębienia pozbawiło już śmiertelnie niebezpiecznych drobnoustrojów?

- Tak - powiedział Kozak. - Alaska ma taką samą topografię i geologię jak Syberia, to dobre środowisko do zachowania takich szczątków. - Znając już jej pochodzenie, z tym większym podziwem patrzył na niepozorną figurkę.

W namiot uderzył wyjątkowo silny podmuch wiatru i światła znów zamrugały. Slater sięgnął do kieszeni koszuli i wyciągnął kilka plastikowych torebek. W każdej było dwanaście niebieskich kapsułek i dwanaście białych.

- Wydaje mi się, że po kolacji podaje się raczej brandy - mruknął Kozak, oglądając swoją torebkę.

- Obawiam się, że w połączeniu z tym nie wyszłaby nam na zdrowie - odparł Slater.

Doktor Lantos otworzyła torebkę, pytając:

- Profilaktycznie?

- Tak. Niebieskie to zwykły lek przeciwgrypowy; będziecie je musieli brać codziennie przez najbliższe sześć dni, nawet jeśli skończymy pracę prędzej. Białe to inhibitor neuraminidazy, który podczas badań w AFIP wykazał działanie terapeutyczne i profilaktyczne.

- Nie słyszałam o tych badaniach - stwierdziła Lantos, sceptycznie przyglądając się białej kapsułce.

- Wyniki nie zostały jeszcze opublikowane. A jutro - dodał z szerokim uśmiechem - być może przeprowadzimy najlepszy test w warunkach terenowych.

- Czyli jesteśmy królikami doświadczalnymi? - zapytał Kozak.

Slater skinął głową i popił każdą z pastylek resztką kawy. Kozak i Lantos poszli za jego przykładem, tylko Nika siedziała w milczeniu, wciąż czekając.

- Gdzie moje?

Przelykając kawę, Slater odparł:

- Nie potrzebujesz.

- Dlaczego?

- Bo nie będziesz miała kontaktu z żadnym ciałem.

- Kto tak powiedział?

- Ekshumacja to bardzo niebezpieczne i bardzo ponure widowisko. Lepiej w nim nie uczestniczyć, jeżeli nie ma takiej potrzeby.

Ale Nika ani myślała ustąpić.

- Naprawdę znowu musimy przez to przechodzić? Jako reprezentant rady plemiennej i antropolog domagam się, aby pozwolono mi obserwować ekshumacje. - I wyciągnęła otwartą dłoń.

Slater zerknął na Lantos i profesora, którzy spojrzeli na niego z minami mówiącymi „od nas to na pewno nie zależy”.

Slater jeszcze raz sięgnął do kieszeni, wydobyl torebkę, którą zamierzał dać Grovesowi po jego powrocie z obchodu, i przechylił dłoń nad ręką Niki; postanowił, że porcję leków dla sierżanta przygotowuje później. Nika uśmiechnęła się triumfalnie i uniosła foliową torebkę jak cenne trofeum, a pozostali się roześmiali. Slater też musiał się uśmiechnąć: nic dziwnego, że została burmistrzem.

- Możesz się po nich czuć senna, więc najlepiej weź tuż przed zaśnięciem - poradził.

- A gdzie będziemy spać? - spytała doktor Lantos, rozglądając się po stołówce, jednym z niewielu postawionych dziś namiotów.

- Obawiam się, że dzisiaj za sypialnię będzie nam musiała posłużyć jadalnia.

- W takim razie zamawiam sobie ten przytulny kącik pod stołem - powiedziała, stukając stopą w podłogę z izolowanej gumy.

- A ja położę śpiwór na górze tych poduszek - oznajmił Kozak, wskazując na stertę mat, z których nazajutrz mieli ułożyć chodnik prowadzący na cmentarz.

- Nika - rzekł Slater - pomyślałem, że mogłabyś...

- Już wiem, gdzie będę spać - przerwała mu.

- Wiesz?

Kiedy zmagając się z wiatrem, szli przez kolonię, zastawioną skrzyniami i paczkami z ekwipunkiem wyładowanym z dwóch helikopterów, Slater wciąż próbował ją przekonywać, lecz Nika pozostawała głucha na wszelkie argumenty. Czowała, że ten gest zadośćuczynienia wobec duchów, które kiedyś zamieszkiwały wyspę, jest jej obowiązkiem. Nie potrafiła jednak wytłumaczyć tak „metafizycznego” poglądu takiemu empirykowi jak Frank



Slater. Zdawała sobie sprawę, że jego zadaniem, jako epidemiologa, jest patrzeć na wszystko trzeźwo i obiektywnie, nie biorąc pod uwagę żadnych innych względów.

To ona miała pozostać wyczulona na wszystko - widzialne i niewidzialne, fakty i wierzenia; tak rozumiała swoje zadanie. Wychowała się wśród legend i tradycji swojego ludu. Jej pierwsze wspomnienia dotyczyły fantastycznych zjawisk naturalnych - widziała wirujące kręgi zorzy polarnej, chór szczekających fok leżących na krach jak syreny, słońce, które zachodziło na całe miesiące. Ktoś wychowany na wybrzeżu Alaski, tuż pod kołem podbiegunowym, musi mieć poczucie oddalenia od reszty świata, a równocześnie jedności z otaczającymi go potężnymi i wiecznymi żywiołami - niedostępnymi łańcuchami gór, nieprzebytymi wodami mórz. Nika od zawsze umiała dziwić się światu - i miejscu człowieka w jego porządku - miała też wrodzony szacunek dla wszelkich prób stworzenia systemu wierzeń, który potrafiłby to wszystko ogarnąć.

Gdy dotarli do stopni prowadzących do cerkwi, spodziewała się, że Slater przystanie jak chłopak odprowadzający dziewczynę do domu po randce, ale on ruszył po schodach.

- Zaczekaj - powiedziała. Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. Jedno skrzydło drzwi spadło z zawiasów, pozostawiając wąską szparę.

- Nie wchodź - poprosiła.

- Dlaczego? Budynek się przechyla - sprawdźmy, czy jest bezpieczny.

- Będę ostrożna - obiecała. Nie powiedziała mu, że nie chce, by jego obecność zakłóciła panującą wewnątrz aurę - wiedziała, że jeśli wspomni o tym choćby słowem, Slater pomyśli, że całkiem postradała rozum. Była zaskoczona, jak bardzo zaczęło jej zależeć na jego zdaniu na swój temat; dawno czegoś takiego nie czuła. Jeśli chodzi o mężczyzn, z którymi chciałyby się spotykać, Port Orlov, oględnie mówiąc, miał dość skromną ofertę.

- Poradzę sobie - powiedziała. Chwyliła śpiwór i plecak i przemknęła obok niego.

Nie wyglądał na przekonanego.

- Proszę. - Zdjęła łańcuszek z biłikinem i nałożyła mu na szyję. - Teraz możesz mieć wszystko na oku nawet w ciemnościach.

- Tobie będzie potrzebny bardziej niż mnie - powiedział, spoglądając na drzwi cerkwi.

- Powinien go nosić przewodnik polowania.

Przez ułamek sekundy, gdy nakładała mu przez głowę naszyjnik, ich twarze znalazły się bardzo blisko siebie i poczuła na policzku jego ciepły oddech. Zobaczyła zarost i niewielką bliznę na podbródku. Ciekawe, skąd ją ma? I dlaczego miała taką ochotę delikatnie przesunąć po niej palcem?

- Do zobaczenia rano - powiedziała, żeby przerwać ten nastrój. - Zapisz mnie na grzankę francuską.

Na jego twarzy wciąż malowało się powątpiewanie, jednak Nika wsunęła się przez szparę do środka, a potem przywarła plecami do jednego skrzydła drzwi i zamknęła oczy. Otworzyła je dopiero wtedy, gdy usłyszała jego oddalające się kroki, i zobaczyła obraz takiej pustki, że miała wielką ochotę zmienić plany.

## Rozdział 26

Kiedy Harley i Eddie, brnąc przez las z latarkami i narzędziami, trafili w końcu z powrotem do jaskini, zapadła już noc. Przez całą drogę wiatr wiał im w oczy i choć Harley miał twarz szczelnie zasłoniętą czarną wełnianą kominiarką, policzki piekły go tak, jakby ktoś je obił.

Eddie, ubrany podobnie, cały czas zrzędził.

Zwłaszcza dlatego, że łup tak ich rozczarował.

W chwili gdy słaniając się na nogach weszli do jaskini - chyba dziesiątej z tych, które sprawdzili - Russell zerwał się na nogi z krzykiem:

- Co jest, kurwa? Zostawiliście mnie?

Harley, próbując z powrotem zasłonić wejście brezentem, kazał mu się zamknąć, ale Russell dopiero się rozkręcał.

- Kurwa mać, gdzieście byli? Budzę się, gotowy do wyjścia, a was nigdzie nie ma? Dokąd poszliście? Dlaczegoście mnie nie obudzili?

- Bo w nocy się uchlałeś - odparł Harley, wskazując na kilka puszek piwa lśniących w świetle benzynowej lampy. - I nie mieliśmy czasu czekać, aż wytrzeźwiejesz.

- Nie mieliście czasu, czy nie chcieliście się podzielić tym, co znajdziecie? Poszliście kopać, nie? - Jego wzrok spoczął na szpadlu i kilofie, które rzucili przy wylocie jaskini. - Co znaleźliście? Już macie przede mną jakieś tajemnice?

- Aha - powiedział Eddie, ciężko osuwając się pod ścianą. - Mamy tajemnice.

Harley zrzucił plecak, sięgnął do niego i cisnął na ziemię różaniec z kryształów.

- Tyle znaleźliśmy.

Russell podniósł go i obejrzał paciorki - najwyraźniej nawet on doszedł do wniosku, że są niewiele warte - po czym rzucił różaniec na ziemię.

- Co jeszcze?

- Co jeszcze? - powtórzył Eddie. - Kopaliśmy parę godzin, żeby znaleźć to gówno.

- Nie wierzę - oznajmił Russell. Chwycił plecak Harleya i wytrząsnął jego zawartość. Posypała się kaskada batoników energetycznych, tictaców, pomadek ochronnych do ust, prezerwatyw i tak dalej.

Harley poczuł, że zaczyna mu się podnosić ciśnienie - dzień i tak nie należał do najlepszych - i już miał kazać Russellowi włożyć wszystko z powrotem, ale ugryzł się w język. Widział, że jeszcze chwila, a Russell zupełnie straci rozum, w dodatku chyba znów był trochę pijany. Wiedział też, co naprawdę go wpieniło, i nie była to świadomość, że go oszukali, że musiał spędzić cały dzień sam, zaszyty w jaskini, zastanawiając się, co się dzieje i czy Harley z Eddiem w ogóle zamierzają wrócić. Russell nigdy by się do tego nie przyznał - Harley doskonale o tym wiedział - ale to był atak paniki.

Po dwóch latach spędzonych w Spring Creek - gdzie parę razy trafił do izolátky - Russell stracił zdolność do przebywania w odosobnieniu.

- No to jaki jest plan? - zapytał Russell, górując nad nim, choć i tak musiał się schylić pod niskim stropem jaskini. - Odplywamy?

- Na czym? - prychnął Eddie. - O ile wiem, „Kodiak” dalej stoi na skałach.

- To szalupą.

- Przy takim sztormie? - zapytał szyderczym tonem Eddie.

- Czyli co? Jutro znowu idziemy kopać?

To było pytanie za milion dolarów, nad którym Harley łamał sobie głowę przez całą drogę powrotną. Kiedy okrążali z Eddiem kolonię, zobaczył, jak łopaty wirnika sikorskyego unoszą się nad palisadę, dostrzegł też biały blask elektrycznych żarówek. Ten Slater i załoga ze Straży Przybrzeżnej instalowali się na wyspie... ale po co? Jeżeli przeniosą się na cmentarz, będą mogli tylko czekać.

Albo, co przyszło mu do głowy w połowie drogi, mógłby zaczekać i zobaczyć, czy wykopią coś cennego, a potem to ukraść. Przecież Straż Przybrzeżna nie wie, że na wyspie jest ktoś jeszcze. Może dadzą sobie spokój z normalnymi zabezpieczeniami. Nic nie wiadomo.

- Co jemy? - zapytał Eddie, grzebiąc w zapasach. - Zróbmy coś dobrego i gorącego.

- Jasne - odparł Harley. - To może od razu wywiesimy tabliczkę, że tu jesteśmy? Jasne, rozpalmy wielki ogień, żeby było dużo dymu, może nawet zwabimy jakieś zwierzęta.

Eddie, osadzony w miejscu, zatarł dłonie w rękawicach z jednym palcem i czekał.

Harley podczołgał się do pudła z jedzeniem i rzucił im parę puszek. Dla siebie wziął dwie z napisem Boeuf Strogonow.

Tamci dwaj, mrużąc pod nosem, usiedli każdy w swoim kącie i zabrali się do jedzenia.

Harley też był głodny, a po tym, co przeżył, nawet paskudztwo z puszki smakowało wspaniale. Pewnie dlatego przychodzi na człowieka coś takiego w wojsku. Wywieź faceta do jakiegoś okopu na pustyni, a zje wszystko i jeszcze będzie wdzięczny.

Różaniec leżał pod ścianą i Harley wbrew własnej woli jeszcze raz przeżywał tamto rozczarowanie, gdy w końcu rozbili trumnę. Eddie bał się sięgnąć do środka, więc to zadanie znów przypadło jemu. Tym razem starał się nie patrzeć na twarz zwłok; tylko tego mu było trzeba, żeby dręczył go następny wytwór wyobraźni, jak tamten gość w futrze z fok. Obmacał tułów, twarz i szyję, sprawdził też, czy na palcach są jakieś pierścienie, ale udało mu się odnaleźć i wyciągnąć tylko to. Zresztą nawet sznur paciorków niełatwo było wyrwać z rąk, jak gdyby zwłoki za nic nie chciały go wypuścić.

Kiedy skończyli, Harley wpełznął z powrotem do grobu odłupane kawałki trumny, po czym zasypał dół ziemią i śniegiem. Miał nadzieję, że w nocy spadnie więcej śniegu, który zatrze pozostałe ślady.

Russell czknął i otworzył następne piwo. Harley zaczynał się zastanawiać, czy te trzy skrzynki na pewno mu wystarczą.

Oczywiście pozostawało jeszcze pytanie, jak długo wytrzyma sam Russell. Od wyjścia z więzienia przypominał tykającą bombę zegarową i Harley wolał znaleźć się poza jej zasięgiem, gdyby doszło do wybuchu.

## Rozdział 27

Stojąc plecami do drzwi, Nika wyciągnęła latarkę i oświetliła wnętrze opuszczonej cerkwi. Było tak ciemno, że blask wydobywał z mroku nie więcej niż metr przestrzeni. Na domiar złego budynek pod łagodnym kątem opadał na bok i miała wrażenie, jakby stała na łodzi, która przechyla się na fali.

Ostrożnie sprawdzając stopą podłogę, dotarła do drewnianych ławek. W wąskim przejściu między nimi deski nie były za bardzo wypaczone i ławki być może dawały jakąś ochronę przed przeciągiem. Przez moment wahała się, czy nie wrócić do stołówki, ale myśl o wycofaniu się z misji, nie wspominając o słuchaniu przez całą noc chrapania Kozaka (niemożliwe, żeby nie chrapał), utwierdziła ją w powziętej wcześniej decyzji. Zdjęła buty i

owinęła je futrem, robiąc sobie coś na kształt poduszki, a potem rozwinęła śpiwór i wśliznęła się do środka.

Nawet dla kogoś przyzwyczajonego do roli burmistrza, członka rady plemiennej, kierowcy rolby i człowieka do wszystkiego w całym miasteczku, był to wyjątkowo ciężki dzień, a choć Nika nie mogła przewidzieć, że tę noc spędzi w ruinach starej cerkwi, nie pierwszy raz zdarzało jej się nocować w dziwnych warunkach. Jako antropolog specjalizujący się w rdzennych mieszkańcach rejonów arktycznych spała już w igloo, które sama zbudowała, w szałasach z wnętrzości morsów i skór karibu, w zamkniętych od dawna kopalniach rud żelaza, które kiedyś wybito ładunkami wybuchowymi w zamarzniętej ziemi. Spośród miejsc, w których zdarzyło się jej znaleźć, to wcale nie było najgorsze.

Mogło przecież być najbardziej upiorne. Prawdę mówiąc, wciąż towarzyszył jej dziwny niepokój, który ogarnął ją, gdy tylko postawiła stopę na wyspie. Z początku przypisywała to niezręcznej sytuacji między nią a doktorem Slaterem; nie chciał jej zabrać na wyspę, ale skoro już się tu znalazła, uznał chyba, że spoczywa na nim szczególny obowiązek, aby jej pilnować. Nika na pewno nie chciała stać się dodatkowym ciężarem - sama ekspedycja oznaczała ogrom odpowiedzialności jak na jednego człowieka - musiała jednak przyznać, że w gruncie rzeczy nawet jej się to podoba. Tak się przyzwyczaiła, że wszystkiego musi dopilnować sama, bez względu na to, czy chodziło o kłótnię rybaków w porcie, czy deficyt w miejskiej kasie, że już zapominała, jak to jest, gdy troszczy się o nią ktoś inny. Tak długo żyła samotnie, że miło było poznać innego przedstawiciela tego samego gatunku.

Nie, jej niepokój miał inne źródło, związane z samą wyspą niczym wodorost ze skałą. Nika zawsze była wyczulona na takie rzeczy - babcia, która ją wychowała, mawiała, że byłby z niej dobry szaman. Podobno takie zdolności przejawiał jej ojciec, lecz Nika prawie go nie знаła, ponieważ zaginął, gdy była małym dzieckiem, a matka, pracująca na nocną zmianę w rafinerii, pewnego dnia została potrącona przez pijanego kierowcę i zginęła na miejscu. W tej części Alaski nie była to wcale taka niezwykła historia, ale Nika postanowiła zmienić swoją rolę w tym scenariuszu, zanim będzie za późno.

Zamiast zostać w miasteczku i w wieku siedemnastu lat zająć w ciężę z jakimś rybakim, przyłożyła się do nauki i zdobyła stypendium na Uniwersytecie Alaski w Fairbanks; potem dostała się na studia doktoranckie na Berkeley. Jej dawny chłopak Ben planował, że razem wyprowadzą się na Florydę, gdzie właśnie otrzymał ofertę pracy na Uniwersytecie Miami - staż z możliwością stałego zatrudnienia. Nawet poleciała tam z nim na tydzień, aby rozejrzeć się po kampusie i obejrzeć kilka mieszkań, ale miała wrażenie, jakby każda palma była cierniem w jej sercu. Poza tym, choć widziała, jak obdziera się foki ze

skóry i patroszy wapiti, to widok maszerujących po kuchennym blacie karaluchów wzbudzał w niej nieopisane obrzydzenie.

Ku zdziwieniu Bena, może nawet własnemu, wróciła tam, skąd postanowiła uciec. Ponieważ dopięła swego i zdobyła wykształcenie, postanowiła zostać w Port Orlov, gdzie mogła zrobić dla swojego ludu coś więcej, niż pisać do czasopism naukowych monografie etnograficzne, których nikt nie czyta. Mogła zrobić coś konkretnego. Może właśnie to mają na myśli duchowni, kiedy mówią o swoim powołaniu.

Z nawy głównej dobiegł jakiś szelest i Nika wstrzymała oddech. Szczury. Tylko tego jej brakowało. Wsunęła dłoń ze śpiwora i sprawdziła, czy ma latarkę w zasięgu ręki.

Slater przejawia ten sam misjonarski zapał, pomyślała. Chociaż nigdy by się do tego nie przyznała, gruntownie przeczesała internet, szukając informacji na jego temat. Wszystko, co przeczytała, robiło wrażenie - znakomite kwalifikacje naukowe, wspaniała kariera wojskowa w służbach medycznych, liczne publikacje z zakresu epidemiologii, wszystkie oparte na bezpośrednich doświadczeniach ze stref wojennych i punktów zapalnych świata. Ale człowiek, który do niedawna był majorem, znów stał się cywilem, a czytając między wierszami, na których niemal było widać odciski palców rządowych cenzorów, doszła do wniosku, że nieoczekiwanie coś poszło nie tak. Wyrzucono go ze służby? Co takiego mógł zrobić? W jej odczuciu Slater wydawał się wcieleniem sprawności organizacyjnej, wzorem uczciwości, najstarszym harcerzem, jakiego znała... ale z oznakami zmęczenia życiem. Zauważyła coś jeszcze - bladość skóry i pojawiającą się od czasu do czasu szklistość oczu. Przyszło jej na myśl, że może niedawno był chory. Może nadal jest. Ale na co?

Znów rozległ się szmer, ale tym razem brzmiał jak stłumiony tupot małych stóp na drewnie, a potem szuranie. Jak gdyby ktoś coś ciągnął po podłodze. Chciała rozpiąć śpiwór, ale bała się, że odgłos zdradzi jej obecność. Psiakrew, dlaczego nie sprawdziła dokładniej wnętrza cerkwi, zanim ułożyła się do snu? Albo dlaczego nie śpi w stołówce razem ze wszystkimi?

Zaczęła się powoli wysuwać ze śpiwora, nie ruszając zamka. Ledwie wyciągnęła na zewnątrz ramiona, szuranie rozległo się znowu - bliżej i głośniejsze. Tym razem nie miała wątpliwości, że powoli podchodzi do niej jakieś żywe, ciepłe stworzenie. Słyszała cichy oddech. Nie wiedziała, czy powinna leżeć bez ruchu i nie wydawać żadnego dźwięku, czy jak najszybciej wyswobodzić się ze śpiwora. Wyciągnęła głowę do tyłu, by spojrzeć w głąb nawy, i w tym momencie coś ukazało się jej oczom. Było na ziemi, niewiele dalej niż pół metra od jej twarzy. W mdłym świetle księżycy dojrzała tylko zwróconą w swoją stronę głowę. Miała szeroko otwarte oczy i usta.

Wrzasnęła i włączyła latarkę.

Wpatrywał się w nią stary człowiek w pomarańczowej kamizelce ratunkowej... ale tuż za nim w ciemności błysnęła para żółtych dzikich oczu.

Wilk, który włókł zwłoki, ciągnąc je za zmasakrowaną rękę, stanął jak wryty i ani drgnął.

Nika wrzasnęła i gwałtownie pomachała latarką.

Wilk pochylił łeb i warknął. Żaden wilk z prawdziwego zdarzenia nie odda kawału mięsa przy tak niewielkim zagrożeniu.

Zamachnęła się na niego latarką, lecz wilk zrobił unik, nie wypuszczając zdobyczy.

Znów wrzasnęła, a po kilku sekundach za drzwiami rozległ się zgiełk, tupot obutych stóp i krzyki mężczyzn.

Wilk szarpnął łbem, wrywając z ręki starego człowieka kawał zmrożonego ciała, a potem rzucił się w głąb ciemnej cerkwi.

- Nika! Gdzie jesteś?

To był Slater.

Nad jej głową rozbłysły krzyżujące się snopy światła latarek.

- Tutaj - wykrztusiła, uwalniając nogi ze śpiwora.

- Gdzie?

Gdy wygramoliła się spomiędzy ławek, odgłos kroków się zbliżył.

- Uważajcie - tu jest wilk!

- Gdzie? - To był głos sierżanta.

- Właśnie pobiegł w głąb budynku!

Slater opiekuńczym gestem otoczył ją ramieniem, mocnym jak stalowa obręcz.

- Jezu Chryste - powiedział, patrząc na leżące na podłodze zwłoki.

- Wyjdźcie! - krzyknął sierżant Groves. - Wyjść stąd! Zajmę się wilkiem.

Ale Slater nie ruszył się z miejsca. Skierował światło latarki na drugi koniec cerkwi. Stał tam drewniany ikonostas z resztkami farby, a przed nim leżała sterta połamanych desek i mebli.

Między rupieciami poruszył się czarny kształt.

Widzę! - zawołał Groves i Nika usłyszała szcęk odbezpieczanej broni.

- Nie strzelaj! - krzyknęła.

Ale sierżant prychnął lekceważąco i pistolet wypalił z ogłuszającym hukiem. Pocisk odłupał róg starego krzesła, z którego posypały się drzazgi, a cień skoczył za ławkę.

- Dajcie mu spokój! - wołała Nika. - Jeżeli wyjdziemy, sam sobie pójdzie. - Pociągnęła Slatera za rękaw koszuli.

W tym momencie czarna plama mignęła, zwierzę wyskoczyło z ukrycia i ku ich zdumieniu, ruszyło pędem prosto na nich.

Groves strzelił jeszcze raz i kula z brzękiem odbiła się od starego rusztu z paleniska, ale zanim zdążył oddać następny strzał, wilk śmignął tuż obok nich, biegnąc z opuszczonym łbem i wzrokiem utkwionym w otwarte drzwi. Gdy przemknął przez nawę, Nika poczuła na nodze jego zjeżoną sierść.

Sierżant obrócił się na pięcie, lecz Slater ostrzegł go, żeby nie strzelał.

Po chwili wilk zniknął w mroku.

- Był tylko jeden? - dopytywał się Groves.

- Tak - odrzekła. - Więcej nie widziałam.

Wzrok sierżanta spoczął na zwłokach. Groves wziął głęboki oddech i zaczął im się przyglądać, bardziej zaintrygowany niż wstrząśnięty.

- Kto to jest?

- Jeden z zaginionych członków załogi - odparł Slater. Ukłękł i w świetle latarki obejrzał kamizelkę ratunkową. Miała biały napis „Neptun II”.

- Zaraz, już go poznaję - powiedziała Nika. - To Richter. W porcie, gdzie pracował, wszyscy nazywali go Stary Richter. - Zorientowała się, że kilkoro uczestników ekspedycji stoi już na stopniach i zagląda do środka przez otwarte drzwi.

- Czyli katastrofę przeżył nie tylko Harley Vane - zauważył Slater.

- Ale jakim cudem ten stary dostał się do kolonii? - zastanawiał się Groves, chowając broń do kabury.

- Kiedy ludzie nie mają innego wyjścia - powiedziała poważnym głosem Nika - potrafią dokonywać wyjątkowych rzeczy.

A Wyspa Św. Piotra z pewnością była dobrym miejscem, aby ich dokonać. Nic dziwnego, że od wylądowania miała takiego stracha. Wyspa miała złą sławę i na razie wszystko wskazywało na to, że w pełni na nią zasługuje.

## Rozdział 28



Slater obudził się w ciemnościach, nie mając pojęcia, która może być godzina. Zerknął na fluorescencyjne cyfry swojego zegarka i zobaczył, że nie ma jeszcze szóstej. Słońce miało wzejść - jeśli w ogóle można to tak nazwać - dopiero za cztery godziny.

Czuł obecność pozostałych, którzy jeszcze spali - doktor Lantos na podłodze z izolowanej gumy pod stołem, Kozaka pochrapującego na stercie mat i Niki, która cała i zdrowa przeniosła się ze starej cerkwi i leżała w śpiworze, zwinięta jak kot między nierozpakowanymi skrzyniami. Wzdrygnął się na samą myśl, co mogło jej się stać w nocy, gdy znalazła się sam na sam z wilkiem i zamrożonym trupem. Na żadnej misji nie stracił ani jednego człowieka i nie zamierzał tego zmieniać.

Zwłaszcza jeśli chodzi o kogoś takiego jak Nika.

Podniósł się bezszelestnie, podszedł do poły namiotu i wystawił głowę na zewnątrz. Było tak zimno, że gdy nabrał do płuc powietrza, miał wrażenie, jakby połknął wiadro lodu. Ziemię przykrywała warstwa świeżego śniegu, nie tak gruba, jak się obawiał, ale i tak mogła utrudnić kopanie. Sikorsky stał w odległości stu metrów od stołówki, a w kabinie maszyny spali sierżant Groves i załoga ze Straży Przybrzeżnej. Niczym Grecy ukryci w koniu trojańskim, pomyślał Slater.

Nagle drzwi śmigłowca się otworzyły i na śnieg zeskoczył Groves w rozpiętym skafandrze i rozwiązanych butach, z włączoną latarką w ręku. Slater uniósł rękę, ale sierżant nie zauważył go i ruszył w kierunku latryny. Dziś czekał ich ogrom pracy, ale Slater wiedział, że jeśli ktokolwiek potrafi to porządnie zorganizować i dopilnować wszystkiego, to na pewno Groves.

Wycofał się do środka i zobaczył, jak poruszyła się doktor Lantos.

- Kto tu zrobił przeciąg? - spytała, szukając po omacku okularów. Nawet profesor przestał chrapać i przeciągał się, prostując krzepkie ramiona. Slater widział tylko czubek głowy Niki, która wtuliła się głębiej do śpiwora, żeby uszczknąć jeszcze kilka minut drzemki.

Dzień oficjalnie się rozpoczął.

W ciągu kilku następnych godzin Groves i załoga śmigłowca przygotowali w stołówce gorące śniadanie i wylądowali z helikoptera pozostały ekwipunek, a doktor Lantos i profesor sprawdzili sprzęt, aby się upewnić, czy niczego nie brakuje i czy wszystko należycie działa. Gdy tylko na niebie błysnął pierwszy promień światła, a Slater zobaczył, że załoga pod nadzorem pilota Rudyego stawia resztę budynków modułowych zgodnie ze sporządzonym przez niego planem, postanowił im nie przeszkadzać i zebrał swój zespół, żeby się przygotował do wyprawy na cmentarz. Doktor Lantos wołała na razie zostać i osobiście dopilnować budowy i lokalizacji namiotu do autopsji, ale inni palili się do wyjścia. Kozak,

zaciskając dłonie w rękawiczkach na uchwytych georadaru, wyglądał, jakby wybierał się kosić trawnik.

- Na pewno nie chcesz zaczekać, aż sprawdzimy, jak wygląda droga na cmentarz? - zapytał go Slater, ale Kozak poklepał jasnoczerwone uchwyty urządzenia, jak gdyby to był wierny pies, i odrzekł:

- Wszędzie potrafi się dostać. Zresztą, co możesz zrobić, dopóki nie zbadamy gruntu?

Slater musiał mu przyznać rację. Odkopywanie grobów w każdych okolicznościach jest koszmarnym przedsięwzięciem, najeżonym potencjalnymi trudnościami. Ale odkopywanie grobów sprzed stu lat, gdzie spoczywają szczątki ofiar hiszpanki - szczątki, które mogły ulec rozkładowi, w trumnach, które mogły się rozsypać, a same groby mogły nawet zmienić położenie z powodu zmian geotermicznych - to zadanie wymagające najwyższej ostrożności i profesjonalnej wiedzy.

Nie mówiąc już o wrażliwości. Slater nie był zaskoczony, widząc, jak Nika sznurowuje buty i wkłada wewnętrzne rękawiczki.

- Chyba nie dam rady cię przekonać, żebyś została dzisiaj w bezpieczniejszym miejscu? - zapytał.

- Dzięki, ale po zeszłej nocy chyba już przeszłam chrzest bojowy - odrzekła.

Groves, z naręczem chorągiewek na drutach pod pachą, uśmiechnął się i pokręcił głową, spoglądając na szefa, jak gdyby chciał powiedzieć: Jeżeli sądziłeś, że nie pójdzie, to się łudziłeś. I choć Slater wiedział, że sierżant ma rację, musiał przynajmniej spróbować. Pomijając wszystkie inne względy, ekshumacje często były niebezpieczne i szef każdego zespołu przede wszystkim próbował ograniczyć liczbę uczestniczących w nich osób.

Po drugie, nie należało tracić czasu na kłótnie z upartymi przeciwnikami, którzy nie licząc się z niczym, dążyli do osiągnięcia własnych celów.

Kiedy zespół wyszedł w końcu przez główną bramę kolonii i ruszył w dół zbocza w kierunku niewielkiego zagajnika, ponure niebo było całkiem szare. Slater zauważył między drzewami wąski przesmyk, który wskazywał, że kiedyś zaczynała się tu ścieżka, a sierżant Groves bez słowa umocował na najbliższym konarze czerwoną chorągiewkę. Gdy przedzierali się przez gęsty las i zarośla, zahaczając rękawami o cierniste krzewy, a śnieg z niższych gałęzi spadał im na czapki i kaptury, Groves od czasu do czasu znaczył drogę chorągiewkami.

- Trzeba to będzie wyciąć po obu stronach - powiedział Slater przez ramię, a Groves odparł:

- Po południu postawię zespół z piłami. Chcesz, żeby położyć pochylnie?

- Tak, tam, gdzie są duże nierówności terenu.

- O tak, mnie się przydadzą - odezwał się profesor, który z pomocą Niki usiłował pokonać kołami georadaru wyjątkowo grube korzenie.

Slater, widząc jego zmagania, ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć: a nie mówiłem? Rozumiał zniecierpliwienie profesora, który nie mógł się doczekać rozpoczęcia pracy; sam miał w naturze tę wadę - a może zaletę. Lata uczestnictwa w misjach epidemiologicznych nauczyły go jednak trzymać impulsy na wodzy, opracować dokładny plan, a potem realizować go co do joty.

- Co z oświetleniem? - pytał dalej Groves.

- Halogen na słupie co pięć, sześć metrów, może trzystuwatowy.

- Bałem się, że to powiesz.

Slater wiedział, że oznacza to konieczność poprowadzenia kabli z generatora w kolonii przez las, ale i tak musieli to zrobić, żeby doprowadzić zasilanie do przebieralni i komory dekontaminacyjnej.

Gdy znów wyłonili się z lasu, Slater zatrzymał się przy dwóch zniszczonych słupkach bramy i zobaczył wycięte w drewnie słowo - albo słowa.

Nika natychmiast zdjęła rękawicę i pełnym czci gestem przesunęła palcem po ledwie widocznych znakach.

- To po rosyjsku.

Podszedł Kozak i pochylił się, żeby się przyjrzeć.

- To te same dwa słowa, powtórzone wiele razy - wyjaśnił.

- Jakie? - zapytał Groves.

- „Wybaczcie mi, wybaczcie mi”.

- Ciekawe co - powiedziała cicho Nika.

Ale Slater, patrząc na cmentarz, który rozciągał się aż do krawędzi klifu, zastanawiał się, kto wrył ten napis. Założyciel sekty, który doprowadził do jej unicestwienia w tym surowym, zimnym miejscu? Ostatni żywy mieszkaniec kolonii?

A może sam nosiciel wirusa, świadom nieszczęścia, które sprowadził na swoich współwyznawców?

Nie sądził, aby mieli się tego kiedykolwiek dowiedzieć, nie zamierzał też zaprzętać sobie głowy takimi pytaniami. W tym momencie, spoglądając na ruiny cmentarza, na przechylone krzyże i popękane nagrobki, starał się ocenić ukształtowanie terenu. Patrząc w lewo, zobaczył puste miejsce, przykryte miękką kołderką śniegu.

- Tu postawimy namiot do badań - powiedział do Grovesa, który już wtykał w ziemię chorągiewki, wyznaczając granice obiektu. Stawiał już wcześniej takie konstrukcje i wiedział, że potrzeba na nie około sześciu metrów kwadratowych. Komory zawsze były ciasne, ale w przypadku większych rozmiarów rosło ryzyko, że puści jakiś szew albo obluzuje się poła namiotu, zagrażając ich szczelności.

Kozak już wtoczył między słupki georadar na czterech gumowych kółkach i wjechał nim na cmentarz. Zatrzymując urządzenie obok przegniłego pnia drzewa, tupnął mocno w ziemię, zupełnie jakby rozpoczynał jakiś taniec, a potem przyklęknął, zdjął rękawice i odgarnął śnieg ze skrawka gruntu. Przesiał między palcami kilka ziaren, następnie przyłożył do ziemi policzek, jak gdyby słuchał bicia serca. Slater i Nika wymienili rozbawione spojrzenia, lecz Slater wiedział, że wszystkie czynności profesora mają swój powód. Kozak był najlepszy w tym, co robił, i potrafił czytać w ziemi jak nikt inny. Kilka razy uderzył w ziemię otwartą dłonią, a potem, otrzepując ręce i spodnie, oświadczył:

- Górne pół metra to wieczna zmarzlina, ale da się ją przebić. Jakiś metr czy półtora niżej jest skała macierzysta.

Dla Slatera była to dobra wiadomość. Groby musiały być płytkie.

- Ale będę musiał przeprowadzić dokładne pomiary całego terenu.

- Nie będzie na to czasu - odparł Slater, myśląc o swoim harmonogramie i burzach, które lada dzień mogły nadejść z Syberii. - Zaczniij od urwiska, gdzie już się zaczęła erozja. Muszę wiedzieć, czy teren, na którym jutro będziemy pracować, jest stabilny.

Na skraju cmentarza, w miejscu, gdzie wysunięta skała i ziemia wpadły do Morza Beringa niczym złamana trampolina, znajdowało się wyżłobienie. Kiedy Slater ruszył w tę stronę, poczuł, że Kozak łapie go za rękaw.

- Zaczekaj.

Pchając przed sobą georadar jak wózek spacerowy, profesor powoli go minął, cały czas w skupieniu wpatrując się w zamontowany między czerwonymi uchwyty monitor. Idąca obok niego Nika wyglądała jakby była zahipnotyzowana tajemniczym czarnobiałym obrazem wyświetlanym na ekranie, a Kozak bardzo chętnie tłumaczył jej, co oznaczają falujące cienie i towarzyszące im liczby, które przesuwały się po obu stronach monitora.

- Przetwornik - powiedział, wskazując na jedną z dwóch anten zamontowanych w dolnej części wózka - wysyła impulsy do gruntu. Te impulsy przenikają przez materiał o różnej przewodności elektrycznej i tworzą tu pewnego rodzaju odbicie - postukał w ekran interfejsu. - To się nazywa przenikalność dielektryczna. A wszystkie dane zapisuje komputer.

- I co te dane mówią ci w tym momencie? - spytał Slater, kiedy podeszli do grobu znajdującego się najbliżej urwiska.

Kozak milczał przez chwilę.

- Będę je musiał przeanalizować później. Ale widzę coś dziwnego. Albo monitor źle działa, albo w gruncie są pęknięcia innego pochodzenia, które nie mają nic wspólnego ze zjawiskami geologicznymi.

- Mówi pan o czasie, kiedy wykopano groby? - domyślił się sierżant.

- Nie tylko - odrzekł Kozak z nieco zdziwioną miną. Popchnął wózek georadar u wzdłuż grobu położonego najbliżej miejsca, gdzie zarwał się klif, a potem wolno przesunął go tam i z powrotem, od szczytu do nóg mogiły. Slater wyciągał szyję, aby dojrzeć obraz na monitorze, który przypominał mu trochę ekran ultrasonografu. Zobaczył rozmyty zarys długiego prostokąta z ostrzej zarysowanym kształtem pośrodku. Ale gdy Kozak jeszcze raz przesunął georadar, Slater zobaczył, jak krawędzie obrazu poszerzają się i stają się bardziej nieregularne. Zamazane. Mógł się tylko domyślać, co to oznacza, ale czekał, żeby Kozak sam to powiedział.

- Wysadzina.

- Trumny przesuwają się w ziemi?

Kozak skinął głową.

- Im bliżej klifu, tym większy ruch.

Ruch oznaczał uszkodzenia, a uszkodzenia mogły oznaczać, że w alaskańskiej ziemi mogło dojść do wielu rzeczy, od wycieku i skażenia po - w najlepszym wypadku - rozkład i nieszkodliwe rozproszenie.

- Jaka jest temperatura w gruncie? - zapytał Slater, a Kozak wcisnął kilka klawiszy komputera i wyświetlił na ekranie osobny wykres.

- Na głębokości mniej więcej metra, gdzie jest większość trumien, między minus cztery a minus dziesięć stopni Celsjusza.

- To dobrze czy źle? - odezwała się Nika.

- W AFIP ze względów bezpieczeństwa przechowujemy próbki w temperaturze minus siedemdziesięciu stopni - wyjaśnił Slater.

Ale wynikało z tego, że będą musieli zacząć od tego grobu. Znajdował się najbliżej strefy zero, w związku z czym stan zwłok w trumnie prawdopodobnie był najbardziej zbliżony do tych, które wpadły do morza. W każdej misji epidemiologicznej najważniejsze jest to, aby rozpocząć pracę od najbardziej niebezpiecznego miejsca, a potem przejść dalej i sprawdzić, dokąd i jak daleko rozprzestrzeniło się zakażenie lub skażenie. Slater dał znak

Grovesowi i powiedział mu, że właśnie tu powinny się zacząć prace ekshumacyjne. Sierżant umocował jedną chorągiewkę na krzyżu, a drugą wbił w nogach grobu.

- I postarajcie się w miarę możliwości nie naruszyć ziemi, żeby potem można było przykryć grób.

Groves zanotował jego zalecenie, a Nika z aprobatą pokiwała głową.

- Nie chcemy pozostawiać po sobie żadnych śladów profanacji.

- Im szybciej stąd pójdziecie - wtrącił Kozak, machając rękami - tym łatwiej będzie mi skończyć robotę. No już, sio - muszę zrobić siatkę, a wszyscy stoicie mi na drodze.

, Slater wiedział, co znaczy tłum gapiów, kiedy człowiek chce się skupić na ważnym zadaniu, poprowadził więc Nikę i sierżanta w stronę dawnej bramy, a Kozak skupił się na georadarze. Jeżeli jutro pierwsza ekshumacja miała przebiec bez żadnych komplikacji, dziś musiał zrobić pewne rzeczy na terenie kolonii.

Kozak prawie nie zauważył ich odejścia. I choć potrząsał monitorem, próbując usunąć kręte linie zakłócające mapę topograficzną, one wciąż się pojawiały, podobnie jak obraz twardego, prawdopodobnie metalowego przedmiotu, który ukazywał się na ekranie, ilekroć wózek georadaru przesunął się nad każdym z grobów. Od strony morza powiał silny wiatr, który wyginał gałęzie ciemnych drzew otaczających cmentarz i profesor otulił głowę nausznikami futrzanej czapki. Taką samą czapkę nosił jako mały chłopiec, w Związku Radzieckim. I dziś na nieznanym wyspie wrócił do niego ten sam bezbrzeżny smutek, jaki pamiętał z tamtych czasów.

Między innymi dlatego wszystkich stąd wygonił. Kiedy przychodziła ta depresja, musiał z nią zostać sam... a w rejonach świata o takim klimacie opadała go często. Wracał pamięcią do tłumy żałobników, zebranych na ogromnych państwowych uroczystościach pogrzebowych w Moskwie, w których uczestniczył w dzieciństwie. Ludzie, ubrani w grube czarne płaszcze i futrzane czapki, stali spokojnie na wietrze, który chłostał ich twarze i wyciskał im z oczu łzy. Zważywszy na nieomyślność i żelazny charakter, jakie przypisywano chowanemu dziś dygnitarzowi - człowiekowi, którego wszyscy się bali i którego nikt nie lubił - tylko ostry wiatr mógł sprawić, że ktokolwiek uroni łzę.

Mały Wasilij przyglądał się, jak ksiądz, w długiej czarnej sutannie i kamiławce - fioletowym nakryciu głowy przypominającym komin - nadzoruje pieriebor, czyli żałobne bicie w dzwony. Najpierw uderzono raz w najmniejszy dzwon, a potem po kolei w coraz większe, co miało symbolizować wędrówkę duszy od kołyski po grób - tak przynamniej szepnęła mu matka, nachylając mu się do ucha. Na koniec bito we wszystkie dzwony równocześnie, co oznaczało zakończenie ziemskiego istnienia. Trumnę, zabitą czterema

gwoździami na pamiątkę czterech gwoździ, którymi ukrzyżowano Chrystusa, opuszczono do grobu, z głową skierowaną na wschód w oczekiwaniu zmartwychwstania. Ksiądz wysypał do dołu popiół z kadzielnicy, a gdy każdy z żałobników o kamiennych twarzach wrzucił na trumnę łopatę ziemi i oddalił się po zaśnieżonych alejkach cmentarza, Wasilij został sam z owdowiałą matką. Oparł się o nią, a ona otoczyła go ramionami i razem przypatrywali się grabarzom, którzy nie mogąc się doczekać zakończenia roboty, wyłonili się zza drzew, żeby zasypać ziemią grób jego ojca.

## Rozdział 29

- No więc, skąd to masz? - zapytał Voynovich, odchylając się na stołku. Odkąd Charlie Vane ostatni raz był w „Kopalni Złota”, żeby mu coś opchnąć, paser chyba jeszcze bardziej utył, jeśli to w ogóle możliwe.

- Już ci mówiłem - odparł Charlie. - To dar od Boga.

- No tak, jasne. Słuchałem twoich programów. Ty i Bóg jesteście teraz dobrymi kumplami.

Charlie wiedział, że nikt nie wierzy w jego nawrócenie na Chrystusa, ale co z tego? Zawsze znajdują się niedowiarki i krytykanci. Sam Jezus miał do czynienia z niewiernym Tomaszem. Ale przyjechał do niego, aż do Nome, ponieważ Voynovich był jedyną znaną mu osobą, która mogła uczciwie oszacować wartość szmaragdowego krzyża - i powiedzieć mu, co oznacza ten cholerny napis na odwrocie.

Voynovich jeszcze raz obejrzał krzyż przez lupę jubilerską.

- Nie mogę się przekonać, dopóki ich nie wyjmę - powiedział - ale to mogą być zwykłe szkiełka.

- To szmaragdy - upierał się Charlie - więc nie wciskaj mi swoich kitów. - Fakt, że był teraz duchownym, nie oznaczał, że stał się frajerem. - A krzyż jest srebrny.

- Aha, tu akurat masz rację.

Była dopiero czwarta po południu, ale na dworze było już ciemno, a ze względu na delikatność negocjacji, Voynovich opuścił rolety w witrynie lombardu i obrócił tabliczkę w drzwiach napisem ZAMKNIĘTE na zewnątrz. Przez lata niewiele się tu zmieniło - na ścianie wisiał ten sam łeb łosia, w zakurzonych gablotkach leżał ten sam zestaw eskimoskich ozdób z kości, dawnych narzędzi górniczych i „rzadkich” monet w zamkniętych foliowych kopertach. Jarzeniówki nadal brzęczały i trzeszczały.

- To na pewno stara rzecz - zgodził się Voynovich.

- Ile ma lat?

- Tak na oko? Sądząc po stanie, co najmniej sto. Oczywiście, gdybym wiedział, jak i gdzie to znalazłeś - po to właśnie pytam - pewnie mógłbym ci powiedzieć o wiele więcej. - Wzruszył ramionami w luźnej sztruksowej koszuli i z leżącej na ladzie paczki wyciągnął następnego papierosa.

- A ten napis z tyłu? - zapytał Charlie, zmieniając odrobinę pozycję na wózku. Wciąż był obolały po długiej podróży z Port Orlov. - Co znaczy?

Voynovich odwrócił krzyż i próbował odcyfrować litery przez swoje dwuogniskowe okulary w złożonych oprawkach, ale dał za wygraną.

- Muszę wziąć z zaplecza szkło powiększające - oznajmił, zsuwając się ze stołka i ruszając w głąb lombardu. W ślad za nim popłynął obłok dymu.

Zdaniem Charliego kłopot z kanciarzami polega na tym, że nigdy nie przestają kantować. To nie szmaragdy? Co za bzdura. Voynovich prawdopodobnie liczył na to, że zachowując się, jakby wyświadczał Charliemu przysługę, uda mu się odkupić od niego krzyż za dwie stowy, a potem, za pośrednictwem swoich ludzi w Tacoma, sprzedać go za parę tysięcy. Charlie nie po to jechał taki szmat drogi, żeby zarobić dwieście dolców i na pewno nie chciałby powiedzieć żonie, że dostał tylko tyle. Choć powinna służyć mężowi - tak stanowi Biblia - miała cięty język, który potrafił ranić jak nóż.

W tej chwili razem z siostrą poszła na zakupy. Nome było niewielkim miastem - mieszkało tu jakieś dziesięć tysięcy ludzi - ale w porównaniu z Port Orlov to metropolia. Ulice były pełne barów, salonów bingo i sklepików dla turystów z pamiątkami i miejscowym rękodziełem. Budynki, na ogół piętrowe, zbudowane z cegły i dość już zniszczonego drewna, stały blisko mokrych uliczek, co nadawało miasteczku atmosferę dawnych obozów przy kopalniach Zachodu.

Voynovich przyczłapał z powrotem i wgramolił się na stołek, położył papierosa w popielniczce i spojrzął przez lupę na inskrypcję.

- Kiedyś byłem lepszy z rosyjskiego - powiedział - sporo zapomniałem. Z tych zadrapań i śladów przypalenia wynika, że jakiś idiota uczył się na tym strzelać.

- Powiedz mi w końcu, co tu jest napisane.

Właściciel lombardu pochylił się, aby z bliska obejrzeć litery.

- Zdaje się, że „Dla mojej... małej. Nikt nie może rozerwać łańcuchów świętej miłości, które nas wiążą. Twój kochający ojciec, Grigorij”.

Voynovich oglądał krzyż jeszcze przez kilka sekund, po czym uniósł głowę.



- To wszystko? - upewnił się Charlie.

- Wszystko.

Charlie nie miał pojęcia, czego się właściwie spodziewał, ale na pewno nie tego. Prezent od tatusia? Nie było tu nic, co mogłoby brzmieć jak wskazówka kierująca do jakiegoś wielkiego ukrytego skarbu.

- Jak chcesz, żebym go na razie zatrzymał i spróbował dowiedzieć się czegoś jeszcze, nie ma sprawy - powiedział Voynovich, zdaniem Charliego trochę za szybko. - Mam dostęp do dużej bazy danych rosyjskiego towaru i mógłbym pogadać z paroma osobami.

- Nie.

- No dobra - rzekł Voynovich. - W takim razie jeżeli chcesz go sprzedać, możemy to zrobić od razu. Pewnie więcej wart jest w całości, ale zobaczymy, co o tym myślą w Tacoma. Może lepiej go rozebrać na części... zwłaszcza jeśli to naprawdę szmaragdy. - Wziął z lady krzyż, ale Charlie wyciągnął rękę i złapał go za przegub - przez ten cholerny wózek większość ludzi nad nim górowała, nie cierpiał tego.

- Krzyż zostaje u mnie - oznajmił, a Voynovich spojrzał na niego zdziwiony.

- Myślałem, że chcesz zarobić.

- I zarobię. - Owinął krzyż w miękką szmatkę, w której go przywiózł, i schował go do wewnętrznej kieszeni kurtki.

- Jak chcesz zaliczki - dodał paser, podążając za krzyżem chciwym wzrokiem - mógłbym ci dać. Co byś powiedział na dwieście dolców teraz, a potem...

Ale Charlie odjeżdżał już wózkiem od lady lombardu.

- W porządku, pięćset z góry z tego, co dostaniemy, plus zwykła działka.

Charlie był już u drzwi, ale ponieważ otwierały się do środka, musiał w upokorzeniu czekać, aż Voynovich podejdzie, by je przytrzymać, żeby mógł pokonać wózkiem próg.

- W takim razie tysiąc - usłyszał przez ramię, oddalając się od lombardu. - Równiutki tysiąc. - Skoro stawka rosła tak szybko, wiedział już, że znalezisko naprawdę jest coś warte. Całkiem dużo, chyba że przecucie go myliło.

Chodnik, jak każda betonowa nawierzchnia na Alasce, był nierówny i dziurawy, jazda po nim była więc udręką. Charlie wiedział jednak, gdzie znajdzie Bathshebę. W „Book Nook” sprzedawano używane tanie wydania książek i na pewno poszła tam uzupełnić zapasy romansów.

Ktoś wychodząc z księgarni przytrzymał mu drzwi, a u góry zadźwięczał mały dzwoneczek. Bathsheba, jak można się było spodziewać, stała z nosem w jakimś chłampie, który pośpiesznie próbowała ukryć, kiedy do niej podjechał.

- Gdzie twoja siostra?
- W sklepie niedaleko, poszła kupić włóczkę.
- Jedziemy.
- Już skończyłeś? Rebekah mówiła, że możemy pójść coś zjeść w mieście.
- Rebekah się myliła.
- Ale jest taki lokal, „Nugget”...
- Powiedziałem, jedziemy.

Zawrócił wózek, a Bathsheba odłożyła książkę na półkę i skoczyła naprzód, żeby otworzyć mu drzwi. Kiedy zabrali Rebekah ze sklepu z włóczką, siostry pomogły mu wsiąść za kierownicę vana i po chwili Charlie, manipulując dźwignią, wyjechał na pokrytą błotnistą breją ulicę.

- Patrz - powiedziała Rebekah, choć Charlie nawet nie zwolnił - to ten słynny sękaty łuk. - Miała nadzieję, że uda jej się odwrócić uwagę rozczarowanej siostry.

- Co? - spytała Bathsheba, połykając haczyk i odwracając się, by spojrzeć na pęknięty bal świerkowy na dwóch kolumnach.

- Tutaj co roku kończy się wyścig zaprzęgów Iditarod.
- Co to jest?
- Pamiętasz, mówiłam ci o tym ostatnim razem.
- Powiedz jeszcze raz.

Jak, na Boga, Rebekah to znosi? Ciągle musi tłumaczyć siostrze wszystko od nowa, choćby wcześniej zrobiła to już kilkanaście razy. Dostał je w pakiecie - żonę i jej siostrę, niepodzielną całość - a ponieważ potrzebował pomocy w domu, pomyślał, czemu nie? Czasem jednak bywały sytuacje, takie jak ta, kiedy się zastanawiał, czy nie postąpił zbyt pochopnie.

Zaraz zgañił się za niesprawiedliwą myśl. Kurczę, trwać przy Jezusie to robota na okrągło.

- Postawiono go na cześć zdarzenia sprzed wielu lat - mówiła Rebekah z cierpliwością, którą okazywała tylko i wyłącznie siostrze. - Wybuchła epidemia jakiejś choroby, chyba tyfusu...

- Dyfterytu - poprawił ją Charlie.
- Zgadza się, dyfterytu. I dzieci w Nome - dzieci tubylców - nie były na nią odporne.
- To było w 1925 roku - powiedział Charlie, nie mogąc się powstrzymać. - I nazwano to „wielkim wyścigiem pomocy”.

Rebekah milczała przez sekundę, patrząc na niego spod zmarszczonych brwi, po czym podjęła:

- Jedyne lekarstwo na chorobę...

- Surowica.

- Było w Anchorage. - Czekala, by znowu ją poprawił, ale kiedy się nie odezwał, ciągnęła - Trzeba było zorganizować sztafetę psich zaprzęgów, żeby przewieźć surowicę przez setki mil, przez okropne burze, śnieg i lód, i zdążyć na czas, zanim choroba pokona dzieci.

- I udało się?

- Udało - w ciągu zaledwie pięciu czy sześciu dni. Jako pierwszy wbiegł na tę ulicę sławny pies, który dociągnął sanie do linii mety.

- Balto - wtrącił Charlie. - Nazywał się Balto. Ale prawdziwym bohaterem był inny pies, Togo. To Togo i jego maszer przewieźli szczepionkę przez najtrudniejszą i najdłuższą część drogi. - Na Alasce każde dziecko znało tę historię, związaną z dzisiejszym wyścigiem Iditarod, nazwanym tak na cześć szlaku, na którym tyle się zdarzyło. Ale Charliego zawsze wkurzało, że zasługi przypisano nie temu, komu się należały. Przed wielu laty, zanim flota handlowa wyrzuciła go z pracy, wyjechał na krótki urlop do Nowego Jorku i widział w Central Parku pomnik Balta. Miał ochotę wydrapać jego imię i wpisać Togo.

- Moglibyśmy kiedyś zobaczyć ten wyścig? - zapytała Bathsheba.

Rebekah spojrzała na Charliego.

- A kiedy w ogóle się odbywa?

- W marcu - odrzekł. - Na pewno zdobędę dla nas miejsca w pierwszym rzędzie. - Zastanawiał się, dlaczego ciągle przejmują się tym Togo.

Może nie cierpiał historii, w których pomija się kogoś, kto powinien zostać doceniony, a cała chwała spływa na tego, kto wpada na koniec i zgarnia wszystkie laury.

Na rogu Main Street minęli słynny drogowskaz z kilkunastoma tabliczkami pokazującymi odległość z Nome do innych miejsc. Do Los Angeles jest 2871 mil, a do koła podbiegunowego zaledwie 141. Pod słupem pozowało do zdjęć kilkoro turystów. Bathsheba wyciągała szyję, żeby mieć lepszy widok.

- Zadzwoń no do Harleja - powiedział, kiedy van opuścił granice miasta. Nome nie było zbyt rzęście oświetlone, ale w chwili, gdy z niego wyjechali, spowiła ich zupełna ciemność. Rebekah zadzwoniła do jego brata i Charlie usłyszał w głośniku samochodu krótki sygnał, a potem szum zakłóceń i na koniec ciszę. To samo od dwóch dni.

- Niech to szlag! - warknął, uderzając otwartą dłońią w kierownicę.

- Ta wyspa jest na końcu świata - zauważyła Rebekah, rozłączając się. - Nie wiem, dlaczego się spodziewasz, że tam w ogóle może być jakiś zasięg.

- Jestem głodna - odezwała się z tyłu Bathsheba.

- Powinniśmy zjeść coś w mieście - powiedziała do Charliego Rebekah. - Teraz będziesz się musiał zatrzymać przy tym zajeździe, który mijaliśmy na Sound.

Charlie już miał zaprotestować, ale uświadomił sobie, że też jest głodny - przekorę miał po prostu w naturze - a czekała ich długa podróż. Droga między Nome a Port Orlov, jeśli w ogóle można ją było tak nazwać, składała się z odcinków asfaltowych, żwirowych i gruntowych, pod którymi leżała warstwa ubitej ziemi. W dużej części była wyboista, zryta koleinami i powymywana przez wodę, nawet latem.

A to z całą pewnością nie było lato.

W zaśnierzonych pustkowiach wokół nich trudno było coś zobaczyć, lecz pośrodku oświetlonych blaskiem księżyca pól, niczym przycupnięte mastodonty, stały stare, opuszczone czerparki do złota. Od czasu do czasu można było zobaczyć pracującą maszynę, która dudniła basem i pożerała kamienie, krzaki i błoto, wiecznie szukając złota, które mogło się tam kryć. Jeszcze bardziej niesamowity był widok lokomotyw, które ugrzęzły w zamarznętej tundrze i rdzewiały na zapadniętych torach, niepotrzebne, od kiedy skończyło się złoto. Ich czerwone ze starości kominy były najwyższymi punktami na pozbawionych drzew polach.

- Jest - powiedziała Rebekah, wskazując na światła parkingu przed zajazdem. Modułowy budynek na palach stał niedaleko opaski brzegowej Nome. Wał z granitowych głazów, zbudowany na początku lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku przez wojskowe służby inżynieryjne, miał ponad tysiąc metrów długości i prawie dwadzieścia metrów szerokości u podstawy. Wznosił się nad plażą znaną kiedyś jako Gold Beach, gdzie w 1899 roku poszukiwacze odkryli niewiarygodną ilość złota dosłownie leżącego na piasku i czekającego, aby je zebrać.

- Wchodzisz z nami? - zapytała Rebekah, lecz obie wiedziały, że Charlie nie będzie miał ochoty jeszcze raz wysiadać i wsiadać do samochodu. Wjechał na wysypany żwirem parking i powiedział:

- Przynieście mi jakąś kanapkę i termos herbaty. Miętowej, jeżeli mają. I nie siedźcie tam za długo.

Siostry, okutane w swoje długie płaszcze, wysiadły z vana i pobiegły do zajazdu. Ponieważ komórka Harleja nie odpowiadała, Charlie spróbował zadzwonić do Eddiego, a potem do Russella, ale też mu się nie udało. Co się działo na Wyspie Św. Piotra? Znaleźli

bezpieczną przystań dla „Kodiaka” i ustronną jaskinię, żeby się ukryć? I, co ważniejsze, czy zaczęli kopać i czy coś znaleźli? Charlie liczył na wiele, ale nie miał żadnej pewności; dobrze wiedział, że nie wysłał na to zadanie Drużyny A.

O falochron za zajazdem rozbijały się fale. Kiedy na plaży odkryto złoto - a było go tyle, że wartość kruszcu zebranego tylko latem 1899 roku wyniosła dwa miliony dolarów - parowce z San Francisco i Seattle przywiozły do Nome tylu poszukiwaczy, że wzdłuż brzegu powstało miasteczko namiotowe długości trzydziestu mil, aż do Cape Rodney. Charlie widział zdjęcia na ścianach lokalu „Nugget Inn” w mieście. Wiele mil prymitywnych schronień z płótna i skór, bud i przybudówek, pełnych zdesperowanych ludzi, usiłujących zbić fortunę. Czując w kieszeni ciężar szmaragdowego krzyża, zastanawiał się, co się właściwie zmieniło od tamtych czasów. Alaska wciąż pod wieloma względami była Dzikim Zachodem - pewnie ostatnim - gdzie mogli przyjechać i zacząć wszystko od nowa samotnicy, buntownicy, ci, którym los nie sprzyjał, a przede wszystkim ci, którzy chcieli go odmienić.

Czekając w ciepłym samochodzie, masował uda i kolana bezwładnych nóg. Poniżej pachwin nie miał czucia, wiedział jednak, że należy pobudzać krążenie i zapobiegać atrofii mięśni. Nic nie dzieje się bez powodu - od wypadku powtarzał to sobie każdego dnia - i jeśli w ten sposób Bóg chciał go zaprowadzić do swojej owczarni, niech tak będzie.

Siostry wyszły z zajazdu. Widząc ich blade twarze i kosmyki czarnych włosów wymykające się z koków, pomyślał, że wyglądają jak dwie wrony. Bathsheba niosła termos, a Rebekah kanapkę w papierowej torebce. Okazało się, że to razowa grzanka z sałatką z łososia. Przynajmniej tyle potrafiła. Charlie zjadł, słuchając biblijnego kazania z płyty - czasem w ten sposób znajdował pomysły do własnych internetowych wystąpień - a potem wycofał vana z parkingu.

Mogli przenocować w Nome, ale Charlie nie znośił tracić pieniędzy, poza tym wolał być u siebie, gdzie miał podjazdy i wszystko, dzięki czemu czuł się swobodnie. Nie mówiąc o tym, że wiadomości z Wyspy Św. Piotra znacznie szybciej dotarłyby do domu niż do odległego Nome. Pierwszy odcinek drogi był na szczęście wyasfaltowany, z białą linią pośrodku i poboczami po obu stronach. Charlie wiedział jednak, że dalej nie będzie już tak gładko. Przynajmniej van był na to przygotowany - miał dwa dodatkowe kanistry z benzyną (to konieczność podczas podróży przez puste części Alaski), plastikowe osłony reflektorów, które chroniły lampy przed pryskającym spod kół żwirem, oraz drucianą siatkę z przodu, która chroniła chłodnicę i lakier, na wypadek kolizji z czymś większym. Przy czołowym zderzeniu z łosiem byłby to koniec nie tylko dla łosia.

Ujechali może ze dwadzieścia mil, gdy zerkając w lusterko zobaczył, że Bathsheba leży bezwładnie na tylnym siedzeniu, pogrążona we śnie. Rebekah, która też to zauważyła, zapytała półgłosem:

- Ile dostałeś od Voynovicha?

- Nic.

- Co ty wygadujesz? - Jeszcze raz obejrzała się do tyłu, sprawdzając, czy siostra naprawdę śpi. Ukrywali przed nią niektóre rzeczy w obawie, żeby nie wygadała czegoś, o czym nie powinna wiedzieć.

- Został u mnie - powiedział, poklepując się po kieszeni.

Rebekah założyła ręce na piersi i z trudem panując nad sobą, zapytała:

- Zechcesz mi powiedzieć, dlaczego?

- Bo zaproponował mi tysiąc z góry.

Teraz zrobiła naprawdę zdumioną minę.

- Jeżeli tyle chciał mi dać tylko dlatego, że bym nie wyszedł z nim z lombardu, to znaczy, że musi być wart o niebo więcej. Jeżeli Harleyowi i tym idiotom jego kumplom uda się znaleźć na wyspie więcej takich cacek, to pojedę do Tacoma i sam wszystko sprzedam.

Nieco udobruchana spytała:

- Powiedział ci przynajmniej, co jest napisane z tyłu?

- Tak, ale to tylko osobista dedykacja. Ani słowa o Romanowach. - Tak mu się przynajmniej wydawało. Postanowił, że po powrocie do domu, jeśli właśnie nie będzie wypełniał obowiązków internetowego kaznodziei, przeprowadzi gruntowne badania. Gotów był założyć się o wszystko, że Voynovich robi w tej chwili dokładnie to samo.

Jechał w głąb nocy, popijając herbatę i patrząc, jak najpierw znika środkowa linia na drodze, a potem pas awaryjny; droga zmieniła się w wąski kręty szlak, który wił się między zaśnieżonymi wzgórzami i biegł wzdłuż koryt zamrzniętych strumieni. Mijali przerzucone nad zamrzniętymi rowami stare drewniane mosty, umocnione betonowymi blokami, i znaki drogowe ostrzegające przed dzikimi zwierzętami na drodze. Informowały o łosiach, niedźwiedziach, wapiti, karibu, lisach, owcach Dalia. Bywały takie pory roku, że jeśli ktoś miałby na to ochotę, mógł się żywić wyłącznie mięsem przejechanych zwierząt.

Rebekah też wkrótce zapadła w sen, opierając głowę o słupek drzwi, a Charlie próbował nie zasnąć, uważnie słuchając kazania z płyty. Wygłaszał je staruszek, przewielebny Abercrombie, który mówił usypiającym, monotonnym głosem.

- A kiedy w Księdze Wyjścia, w rozdziałach od siódmego do dwunastego, czytamy o dziesięciu plagach, jakie spadły na Egipcjan, jak mamy to rozumieć? - pytał pastor. - Jaki Bóg miał cel?

Chciał skopać Egipcjanom tyłek - pomyślał Charlie - i to zdrowo.

- Otóż cel Boży był dwojaki - ciągnął kaznodzieja. - Oczywiście, Pan chciał przekonać faraona, aby uwolnił Izraelitów. Ale miał i drugi powód, pokazać, jak wielką siłę ma Bóg Izraela w porównaniu z bogami Egiptu. To właśnie pragnął uzmysłwić nie tylko Egipcjanom, ale i samym Izraelitom.

Przewielebny Abercrombie przystąpił do analizy każdej z dziesięciu plag, objaśniając po kolei ich znaczenie, a Charlie miał oczy szeroko otwarte, wypatrując niebezpieczeństw na drodze i małych czerwonych chorągiewek, które zwykle umieszczano w miejscach, gdzie był sypki żwir albo uszkodzenia nawierzchni spowodowane mrozem.

- „Jeżeli nie wypuścisz ludu mego” - Abercrombie zacytował Stary Testament - „to Ja ześlę muchy na ciebie, na twoje sługi, na lud twój i na twoje domy”\*.

Charlie zawsze miał kłopot z plagami egipskimi, ponieważ Jahwe po każdej rundzie natychmiast zaczynał następną, wszystko jedno, czy to były muchy, komary, żaby czy pomór bydła. Jak na Pana Boga Wszchemogącego nie bardzo wiedział, jak raz na zawsze rozprawić się z Egipcjanami. Nic dziwnego, że faraon godził się uwolnić Izraelitów, by zaraz potem łamać dane słowo.

Zza zakrętu z rykiem klaksonu wypadła cysterna i minęła ich, pędząc w przeciwnym kierunku. Podmuch powietrza mocno zakołysał vanem.

Ale obie siostry spały dalej.

- „I rzekł Pan do Mojżesza: Wyciągnij rękę ku niebu, a nastanie ciemność w ziemi egipskiej tak gęsta, że można będzie dotknąć ciemności” - mówił kaznodzieja.

Ciemność tak gęsta, że można będzie dotknąć ciemności. Charlie przypomniał sobie, że kiedy pierwszy raz przeczytał te słowa, pomyślał, że księga opisuje Alaskę. Nocną ciemność w lesie albo na pustej drodze, gdy księżyc i gwiazdy przykrywają burzowe chmury, ciemność, która potrafi być tak gęsta. Wszystkie cytaty wg Biblii Tysiąclecia (przyp. tłum.). sta i namacalna jak futro bobra. Słyszał o ludziach, którzy umarli, zamarli na swojej własnej ziemi, nie mogąc odnaleźć drogi do domu. A wkrótce, gdy zacznie nadciągać zima, noc zapanuje niepodzielnie i zupełnie zgasi słońce.

Przez wiele mil jedynym widocznym w blasku reflektorów znakiem człowieka były góry rupieci na skraju drogi. Stare zepsute pikapy, do połowy zagrzebane w śniegu, podziurawione kulami ramy motocykli, rozpadający się wóz kempingowy, stojący na samych

osiach. Na Alasce łatwo się czegoś pozbyć, ale nic nie może się uchronić przed zbieraczami. Każdy wrak został starannie ogołocony z wszelkich użytecznych części, jak zwierzę, które pozbawia się futra, mięsa i poroża.

Przed szerokim zakrętem, który prowadził na most nad Heron River, na drodze pojawiły się poprzeczne ścieki, a vanem zaczęło szarpać i rzucać na boki na drobnych wybrzuszeniach asfaltu. Jakimś cudem Rebekah tylko odsunęła głowę od drzwi i zwiesiła podbródek w drugą stronę, a Bathsheba dalej spała w najlepsze. Charlie słyszał tylko, jak z tyłu za nią chlupocze benzyna w kanistrach.

Droga pięła się coraz wyżej przez ośnieżone wzgórza, a poobijane znaki drogowe ostrzegały przed ruchem dwukierunkowym, zagrożeniem lawinami, zwierzętami na drodze, bocznym wiatrem, oblodzeniem jezdni - do wyboru, do koloru. Charlie zwolnił, używając ręcznych dźwigni. Na szczęście nikt za nimi nie jechał i na razie nikt nie nadjeżdżał z przeciwka. Jednopasmowy stalowy most był jednym z największych w okolicy, mimo że Heron River nie należała do potężnych rzek. Płynęła daleko w dole, dnem granitowego kanionu, i często zupełnie zamarzała. Kiedy jednak wiosną zaczynały się topić śniegi albo gdy nadchodziły deszcze, z dnia na dzień potrafiła się zmienić w rozszalały potok.

Charlie poprawił się na siedzeniu i gdy zmieniał bieg, znów poczuł, jak srebrny krzyż szturcha go między zębra. Niewygodnie było trzymać go w kieszeni. Ponieważ Bathsheba i tak spała, uznał, że spokojnie może go wyciągnąć i nie odwijając ze szmatki, położyć na środkowej konsoli obok termosu. Samochód wjechał na ubity żwir, który dawał lepszą przyczepność. Mijając dwa głązy wielkości domów, lśniące od lodu, Charlie znów zwolnił.

- A kiedy przyszła dziesiąta i ostatnia plaga, Pan powiedział: „O północy przejdę przez Egipt. I pomrą wszyscy pierworodni w ziemi egipskiej, od pierworodnego syna faraona, który siedzi na swym tronie, aż do pierworodnego niewolnicy, która jest zajęta przy żarnach...”

Z tyłu dobiegł odgłos jakiegoś ruchu, a po chwili Charlie usłyszał skrzypnięcie skózanego siedzenia. Niech to szlag, dlaczego Bathsheba nie pośpi jeszcze ze dwie godziny? Do niczego nie było mu potrzebne jej głędzenie.

- „...i wszelkie pierworodne bydła. Wtedy w całej ziemi egipskiej będzie wielkie narzekanie, jakiego nie było nigdy i jakiego już nie będzie”.

Rebekah wciąż pochrapywała, ale jej siostra na pewno już się ocknęła.

- Księga Wyjścia, rozdział 11, wersety od 4 do 6.

Opony dudniły na garbach nawierzchni stalowego mostu, a Charlie kątem oka dostrzegł rękę wyciągającą się w stronę przedniego siedzenia. Z początku pomyślał, że



Bathsheba sięga po termos, ale zaraz uświadomił sobie, że przecież nie cierpi miętowej herbaty.

- Mimo to Pan zatroszczył się o swój wybrany lud - komentował Abercrombie - i kazał mu naznaczyć odrzwia krwią baranka.

Może przypuszczała, że to jej ulubione piwo korzenne.

- To jest mięta - powiedział. - Nie będzie ci smakować.

Na moment odrywając wzrok od śliskiej drogi, zobaczył, że nadgarstek jest dziwnie kościsty i biały, nawet jak na Bathshebę, a jego policzka dotknęło coś mokrego i lepkiego. Chryste, dlaczego nie wysuszyła włosów, zanim wsiadła do samochodu?

A potem naprawdę go wkurzyła. Nie dotykając termosu, sięgnęła po szmatkę, w której ukryty był krzyż.

- Zostaw to - warknął, nie chcąc puszczać kierownicy na oblodzonym moście.

Nie zważając na ostrzeżenie, wzięła zawiniątko.

Cholera. Oderwał jedną dłoń od kierownicy i chwycił ją za przegub - był zimny i śliski jak sopel lodu - ale gdy zerknął w lusterko wsteczne, zamiast nadąsanej Bathsheby zobaczył tylko dwa puste oczodoły w długiej twarzy nieboszczyka, ubranego w czarne futro z fok.

Odwrócił się i w tym momencie po twarzy przejechała mu strzecha zlepionych ciemnych włosów, splątanych i obrzydliwych jak wodorosty. Charlie chciał wrzasnąć, ale zaniemówił. Samochód zarzucił i otarł się o barierkę mostu tak mocno, że aż syknęły się niebieskie iskry.

- Co? - przestraszyła się nagle obudzona Rebekah. - Co się dzieje?

Charlie puścił kościsty nadgarstek i gwałtownie skręcił kierownicę.

Koła wpadły w poślizg na cienkiej tafli lodu.

Bathsheba siedziała wyprostowana jak struna, mamrocząc:

- Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego...

Samochód jeszcze raz uderzył w barierki. Otworzyła się kłapa z tyłu i rozjazgotał się alarm.

Ryknął klakson nadjeżdżającej z przeciwka półciężarówki, która błysnęła długimi światłami, zalewając wnętrze vana jasnym blaskiem.

- Co się dzieje? - krzyknęła Bathsheba. - Przez otwarty tył samochodu wpadał lodowato zimny wiatr.

- I Pan powiedział do Izraelitów: „Nie pozwolę Niszczycielowi wejść do waszych domów...”

- Uważaj! - wrzasnęła Rebekah, gdy z trudem udało mu się zapanować nad vanem i nie zjechać na drugi pas.

Nieboszczyk w lusterku zniknął, jak gdyby wypłoszyła go fala światła i powietrza. Charlie ujrzał tylko Bathshebę, a przez otwartą klapę - pustą drogę.

Pikap wyminął ich z głośnym turkotem, a kierowca pokazał Charliemu przez okno środkowy palec.

- Zasnąłeś? - spytała oskarżycielskim tonem Rebekah. Krzyż, już bez szmatki, leżał na podłodze samochodu.

- Fuj - powiedziała Bathsheba, wierząc się na siedzeniu.

- I anioł śmierci ocalił ich, tak jak obiecał Pan.

- Fuj - powtórzyła Bathsheba. - Coś tu okropnie śmierdzi.

- Co ty wygadujesz? - burknęła Rebekah, odwracając się do niej. - Zamknij tę klapę, zanim wypadnie połowa rzeczy!

Van powoli zjechał z mostu nad Heron River i Charlie, skręcając na pobocze, mógł wreszcie głęboko wciągnąć do płuc powietrze. Miał wrażenie, jakby nie oddychał od wieków. Ręce mu dygotały i nadal był zbyt przerażony, żeby obrócić się na siedzeniu.

- I strasznie tu mokro - poskarżyła się Bathsheba, zamykając klapę i sadowiąc się z powrotem na swoim miejscu.

Rebekah obejrzała podłogę z tyłu i powiedziała:

- Powinnaś otupać buty ze śniegu, zanim wsiadłaś do samochodu.

- Otupałam - zaprotestowała Bathsheba.

- No to w co weszłaś? - odrzekła jej siostra, odkręcając szybę. - Faktycznie, cuchnie, jakbyśmy mieli z tyłu trupa.

- Daj spokój z tym smrodem - mruknął do niej Charlie. Wskazał leżący na podłodze krzyż. - Podnieś to.

Spełniła polecenie i z powrotem owinęła krzyż w szmatkę.

- Włóż do schowka.

Wsunęła go i zatrzęsnęła drzwiczki.

- A ty - powiedziała, patrząc na niego ze złością - uważaj lepiej na drogę.

- „Tego samego dnia wywiódł Pan synów Izraela z ziemi egipskiej...”

Charlie wyłączył płytę i przełączył radio na stację nadającą muzykę country.

- Słuchałam tego - poinformowała go niezadowolona Rebekah.

- Spałaś - odparł, a w głośnikach odezwał się Garth Brooks, zawodzący smętnie o błyskawicach i przetaczających się grzmotach. - Posłuchaj sobie tego.

Charlie utkwiał wzrok w drodze, zacisnął dłonie na kierownicy i czując, jak serce powoli wraca do normalnego rytmu, ruszył w głąb ciemności spowijającej ziemię - ciemności, której można dotknąć - rozmyślając o krzyżu zrabowanym z rosyjskiego grobu.

Czy widmo, które właśnie ujrzał w samochodzie, było jego prawowitym właścicielem?

W blasku reflektorów przez chwilę ukazał się wilk - duży i czarny - który susami sadził wzdłuż drogi, jak gdyby chciał nadążyć za samochodem. Ale zaraz obrócił łeb i ze srebrzystym błyskiem w oczach zniknął w mroku

## Rozdział 30

Kiedy Slater dotarł na dół kamiennych stopni prowadzących na plażę, sam nie wiedział, co ma o tym wszystkim sądzić.

Niełatwo było nawet po nich zejść, i to za dnia, jakim więc cudem Stary Richter zdołał się po nich wspiąć, kiedy ocalał z katastrofy kutra?

- Ten gość, którego znaleźliśmy w cerkwi, musiał być twardzielem nie z tej ziemi - uznał Rudy, podporucznik Straży Przybrzeżnej.

- Jak nikt inny.

Gdziekolwiek stopnie miały szerokość zaledwie kilku centymetrów i biegły zygzakiem po ścianie klifu z poziomu kolonii, którą mieli wysoko nad głową. Slater słyszał dobiegające z góry odgłosy pracy ekipy sierżanta Grovesa, przygotowującej się do ekshumacji - piły tarczowe wycinały drogę na cmentarz, młoty pneumatyczne wznuszały ziemię, silne ręce wbijały metalowe słupki potrzebne do konstrukcji oświetlenia i połowych laboratoriów. Nawet teraz, w samo południe, promienie słońca usiłowały przedrzeć się przez niskie chmury, a Cieśninę Beringa przesłaniała obręcz mgły, która otaczała Wyspę Św. Piotra sto metrów od brzegu.

- Na wszelki wypadek - mówił Rudy, idąc kilka metrów w głąb kamienistej plaży - zostawimy tu hybrydę.

Jasnożółta łódź hybrydowa kołysała się tuż nad linią przyływu, przycumowana do głazu i zawieszona na prowizorycznych żurawikach, zbudowanych z drewna wyrzuconego przez morze. Wnętrze zabezpieczono płachtą nieprzemakalnego brezentu.

- Wszystko wskazuje na to, że nie będzie potrzebna - ciągnął Rudy - ale gdyby transport powietrzny był niedostępny albo z jakiegoś powodu chwilowo niemożliwy, zawsze będzie się nią można dostać z wyspy do Port Orlov.

- Rozumiem, że zostaniesz tu i będziesz sterować łodzią - rzekł Slater.

- Tak, nie polecę sikorskim. Ale łódź w zasadzie płynie sama. Port Orlov leży jakieś trzy mile stąd, prosto na wschód.

Śmigłowiec odlatywał za niecałe dwie godziny, zabierając z wyspy resztę personelu ze Straży Przybrzeżnej - oraz worek ze szczątkami Richtera. Nika skontaktowała się z Geordiem, żeby odebrał od nich zwłoki i dyskretnie przechował je w garażu ośrodka kultury aż do jej powrotu, kiedy będzie mogła zorganizować należyty pogrzeb.

Slaterowi zależało na ograniczeniu stanu osobowego na wyspie. W przypadku zdarzeń epidemiologicznych takich jak to, im mniej osób się nimi zajmuje, tym mniejsze ryzyko dezinformacji i rozprzestrzenienia się choroby na większą grupę. Funkcjonariusze Straży Przybrzeżnej zadawali za dużo pytań i choć zostali uprzedzeni, że wszystko, co widzą i robią na wyspie ma charakter ściśle poufny, Slater wiedział z doświadczenia, że każda tajemnica znana więcej niż trzem osobom krótko pozostaje tajemnicą. Uderzył dłonią w burtę łodzi, jakby poklepywał wiernego wierzchowca, mając nadzieję, że nigdy nie będzie musiał wypływać nią w morze. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z jego planem, ekshumacje i autopsje zostaną zakończone w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin i śmigłowiec zdąży wrócić po zespół Slatera i próbki rdzeniowe, zanim pogoda jeszcze bardziej się pogorszy.

Przenikający do szpiku kości ziąb był okopny, nawet jak na Alaskę - z winy niżu syberyjskiego, który powoli, lecz niepowstrzymanie nadciągał nad Wyspę Św. Piotra. Na razie spadło niewiele śniegu, raptem kilka centymetrów, ale uprzątnięcie nawet takiej ilości wymagało dodatkowego czasu i wysiłku. W tym momencie dla Slatera najważniejsze było dostać się na cmentarz i rozpocząć kopanie. Spędził kilka godzin na omawianiu danych topograficznych z profesorem Kozakiem i na początek wybrał grób położony najbliżej krawędzi klifu. Nie tylko groziło mu największe niebezpieczeństwo, że padnie ofiarą tej samej erozji, przez którą w oceanie znalazła się pierwsza trumna, ale mógł być także narażony na największe zróżnicowania temperatur ziemi i powietrza oraz spowodowane przez nie wysadzenia gruntu.

Zaraz po powrocie do kolonii Slater odbył coś w rodzaju szpitalnego Obchodu, sprawdzając zbudowane w rekordowym czasie laboratoria i pozostałe obiekty. Zielone namioty z neoprenu, połączone chodnikami ułożonymi z grubych gumowych mat, jarzyły się w środku jak żarówki. Wzdłuż chodników zawieszono sznury, aby w przypadku

nieoczekiwanej zawiei każdy, kto zostanie nią zaskoczony na zewnątrz, mógł odnaleźć drogę do schronienia. Poza połową stołówką stało tu kilka namiotów mieszkalnych - jeden dla doktor Lantos i Niki, która zdecydowanie porzuciła pomysł nocowania w starej cerkwi. Namiot stanowiący połączenie laboratorium i pomieszczenia do autopsji usytuowano przy głównej bramie. Przed wejściem zbudowano metalowy podjazd z poręczami po obu stronach, a u góry zawieszono duży pomarańczowy trójkąt, informujący o zagrożeniu biologicznym trzeciego stopnia, w związku z czym wstęp do obiektu miał tylko upoważniony personel. Namiot okrywały mocne podwójne plastikowe powłoki, połączone rzepowymi taśmami; w tym klimacie zamki błyskawiczne często się zacinały i zamarzały.

Slater rozchylił zasłony i wszedł do laboratoryjnej części namiotu. Doktor Lantos klęczała pod stołem, poprawiając splątane kable przypominające kłęb węży. Na sekundę Slater wrócił pamięcią do pola ryżowego w Afganistanie... i żmii, która zaatakowała tamtą dziewczynkę. Z otworów wentylacyjnych dmuchało ciepłym powietrzem, ale temperatura w namiocie nie przekraczała czternastu, piętnastu stopni.

Wyczołgując się tyłem spod stołu, Lantos uniosła wzrok i zobaczyła go. Poprawiała okulary na nosie, po czym zerknęła na zegarek.

- Tylko mi nie mów, że jesteś gotów do wyjścia.
- Pod warunkiem, że laboratorium jest już na chodzie.

Siedząc na piętach, odparła:

- Może się tak nie prezentuje, ale sędzę, że już w pełni nadaje się do użytku.

Oprowadzić cię?

- Pewnie.

Panujące w namiocie względne ciepło było naprawdę przyjemne i chętnie został tu jeszcze przez chwilę. Profilaktyka antywirusowa zakłóciła nieco działanie leków na malarię, które stale przyjmował, i tego ranka kilka razy poczuł nagły dreszcz przebiegający po plecach. Gdyby ktokolwiek inny z kierowanego przez niego zespołu zgłosił podobne objawy, Slater natychmiast odsunąłby go od obowiązków, nakazał odpoczynek, a może nawet konsultację z lekarzem. Gdyby jednak sam wycofał się z projektu, gdyby przyznał się przed kimś z zespołu, co się dzieje, cała misja zostałaby natychmiast przerwana. Co więcej, gdyby, nie daj Boże, informacja o tym opóźnieniu dotarła do doktor Levinson z AFIP, błyskawicznie zostałaby wymieniony na kogoś innego, odwołany do Waszyngtonu... i skazany na pracę przy biurku po wsze czasy.

Na takie ryzyko nie był przygotowany.

- To nasz salon - zażartowała doktor Lantos, wskazując długą i wąską przestrzeń, oświetloną rzędem reflektorów zamocowanych do aluminiowej listwy, która biegła przez całą długość pomieszczenia. Po obu stronach zainstalowano blaty, na których stały mikroskopy elektronowe, rzędy probówek, fiolek, kolb i zlewek, pojemniki z gumowymi rękawiczkami oraz dozowniki środków dezynfekcyjnych. Pod blatami stały szafki i pojemniki z wyraźnie opisanymi szufladami, które oznaczono różnymi kolorami.

- Masz potrzebne zasilanie? - spytał Slater, a Lantos energicznie pokiwała głową; dostrzegł ołówek i długopis, które wsunęła w czuprynę kręconych siwych włosów. Przemknęła mu przez głowę myśl, że gdyby dokładnie poszukać, znalazłoby się tam pewnie sporo innych rzeczy, od list zakupów po odcinki biletów. Była to jedna z jej cech, które zawsze budziły w nim sympatię.

W głębi namiotu - jak gdyby pokój w pokoju - znajdowało się drugie pomieszczenie o ścianach z przezroczystych plastikowych zasłon; rozchyliwszy je, Slater poczuł podmuch znacznie zimniejszego powietrza. Na potrójnie izolowanej gumowej macie, z której zbudowano podłogę, stała zamrażarka wielkości około połowy zwykłej lodówki. Pośrodku pomieszczenia był długi stalowy stół do sekcji zwłok, a obok stolik na kółkach z szeregiem naczyń i pojemników na próbki narządów i tkanek, które mieli pobrać z ekshumowanych ciał. Slater spodziewał się, że wezmą próbki z co najmniej trzech czy czterech grobów, pochodzących ze wszystkich czterech części cmentarza. Po sprawdzeniu nawiewu, podłączonego do oddzielnego urządzenia filtrującego na zewnątrz, z satysfakcją stwierdził, że obiekt rzeczywiście jest gotowy do pracy.

- Załóż czapkę - powiedział. - Idziemy na przedstawienie.

W towarzystwie doktor Lantos Slater poszedł po profesora Kozaka, pogrążonego w swoich badaniach geologicznych, a potem poprosił ich, żeby poczekał na niego przy głównej bramie. Następnie nie bez oporów ruszył w kierunku namiotu Niki. Wolałby tego uniknąć, nie chciał, żeby znalazła się w pobliżu miejsca ekshumacji i narażała się na niezliczone zagrożenia, jakie się z tym wiązały, wiedział jednak, że gdyby próbował ją zostawić, byłaby wściekła.

Nie mówiąc już o tym, że jako pełnoprawny reprezentant rady plemiennej i burmistrz najbliższego miasteczka, gdyby naprawdę chciała, mogłaby zablokować całą misję.

Wsunął głowę do jej namiotu i zobaczył, jak zaciekle stuka w klawiaturę laptopa. Wiedział, że opracowuje notatki z terenu do artykułu antropologicznego, który chciała napisać, ale nie miał serca jej powiedzieć, że nic z tego, co dzieje się na Wyspie Św. Piotra, raczej nie ujrzy światła dziennego, a już z pewnością nie trafi do żadnego czasopisma

naukowego. Jedyne oficjalny raport wyjdzie spod jego pióra, a nauczony doświadczeniem domyślał się, że będzie go analizować jedynie wąska grupa naukowców i dyrektorów AFIP.

- Już wykopali? - zapytała z nadzieją w głosie.

- Kiedy dotrzemy na miejsce i się ubierzemy, powinni już skończyć.

Obróciła się na składanym stołku, złapała leżącą na połowce wypłowiałą skórzaną kamizelę i włożyła ją przez głowę. Kaftan miał długie frędzle sięgające poniżej pasa i był ozdobiony wyszytymi czerwona i czarna nicią wizerunkami niedźwiedzi, orłów i wydr.

- Mówiąc o ubieraniu, miałem na myśli skafandry ochronne.

- Świetnie, odparła, ścigając długie czarne włosy w lśniący koński ogon i wykładając go na wierzch kaftana. - Ale jako reprezentant plemienia muszę mieć na sobie święty strój. - Nakładając na wierzch kurtkę, dodała - Będę też potrzebować chwili, żeby powiedzieć parę słów nad każdym grobem, który otworzycie.

- Ale to będą rosyjskie groby, nie inuickie - przypomniał jej Slater, a Nika tylko wzruszyła ramionami, mijając go i wychodząc na chodnik z gumowych mat. Jej buty z chlupotem brnęły przez lodowatą breję.

- Nasza ziemia, nasze zasady - powiedziała z uśmiechem. - Przywilej gospodarzy.

Slater nie był pewien, na mocy jakiego przywileju to się stanie, wiedział jednak, że odtąd będą obowiązywać jego zasady. Przy bramie kolonii spotkali się z Lantos i profesorem, po czym wszyscy czworo, w ciepłych kurtkach, czapkach i rękawicach chroniących przed zimnym wiatrem od oceanu, pomaszerowali ścieżką w kierunku drzew. Sierżant Groves i jego załoga wycięli w lesie szlak, ale zarośla znów zaczęły im wchodzić w drogę; uginające się pod ciężarem śniegu konary zwieszały się nisko nad głową, a ostre gałązki zahaczały o grube rękawy puchowej kurtki. W niczym nie przypominało to jego poprzednich wyjazdów, na których największe zagrożenie stanowiły zwykle udar słoneczny i ukąszenia skorpionów.

Choć w zasadzie było wczesne popołudnie, słońce świeciło tak słabo, że na ustawionych wzdłuż szlaku co kilka metrów słupach zapalono wszystkie lampy. Rzuciły na drogę nieco upiorny blask. Zbliżając się do słupków bramy cmentarnej z wyrytym anonimowym błaganiem „Wybaczcie mi”, Slater zerknął w stronę cypla, gdzie dostrzegł Grovesa i strażników, ubranych w skafandry ochronne, którzy ustawiali młot pneumatyczny, by wzruszyć resztę zamrożonej ziemi w granicach wytyczonych poprzednio przez Kozaka. Całe płyty wilgotnej darni zostały już usunięte i, zgodnie z instrukcją Slatera, ułożone na boku na brezentowej płachcie. Po zakończeniu ekshumacji mieli w miarę możliwości przywrócić grobowi poprzedni stan, a płachtę spalić.

Tymczasem po lewej stronie od wejścia postawiono przebieralnię i gdy Groves oddał jeszcze jedną głośną salwę młotem pneumatycznym, Slater zaprowadził swój zespół do namiotu. Aluminiowa podłoga zadudniła pod naciskiem ich butów. W przebieralni postawiono wieszak z pełnym wyborem białych skafandrów ochronnych z tyveku i kombinezonów termicznych wiszących na hakach, nad którymi zamontowano półkę z hełmami; poniżej stał szereg białych ochraniaczy na buty.

Choć Slater wiedział, że Santos i Kozak znają procedurę, zalecił wszystkim zdjąć kurtki, założyć kombinezony, a na nie białe skafandry.

Zgodnie z jego przewidywaniem Kozak już sapał, próbując się wcisnąć w strój ochronny, a Lantos pomagała ubrać się Nice; skórzany kaftan nie ułatwiał jej zadania, zwłaszcza gdy Slater zwrócił jej uwagę, że powinien znaleźć się wewnątrz skafandra.

- W przeciwnym razie będziesz się go później musiała pozbyć - dodał.

- Nie ma mowy - odparła Nika, usiłując zasunąć do końca zamek błyskawiczny. - Należy do mojego plemienia od co najmniej dwustu lat.

Kiedy się w końcu dopięła, Lantos także nałożyła kombinezon i skafander, a Slater, ubrany podobnie, sprawdził, czy elastyczne opaski na kostkach i przegubach Niki są mocno zaciśnięte. Potem pomógł jej nałożyć białe ochraniacze na buty. Pociągając się za rękaw, Nika oświadczyła:

- Chyba wolę naturalne tkaniny. Z czego to właściwie jest zrobione?

- Z polietylenu o dużej gęstości - wyjaśnił. - Prawie niezniszczalnego. Ochroni cię przed każdym patogenem przenoszonym drogą krwi albo cząstkami stałymi o średnicy połowy mikrometra.

- Ale na pewno się w tym nie ugotujemy?

- Nie tak, jak się obawiasz - wtrąciła Lantos. - Chociaż materiał jest barierą przed wodą i cząsteczkami innych płynów, odprowadza ciepło i opary potu. Co nie znaczy - dodała, podając jej hełm, na który Nika spoglądała dość sceptycznie - że będzie ci w tym wygodnie.

- Dobra, teraz hełmy - zakomenderował Slater i wszyscy nabrali ostatni haust świeżego powietrza, po czym nałożyli kaptury z wizjerami, których dolna część sięgała ramion. Stali w namiocie wszyscy czworo opatuleni jak mumie, więc coraz trudniej było im wykonać ruch, nie zderzając się z kimś innym. Lantos wsunęła pod pachę zestaw narzędzi chirurgicznych i gdy Slater rozsunął połę namiotu, wśród wybuchów nerwowego śmiechu wyszli na zewnątrz; wyglądali jak grupa pszczelarzy idąca do pracy w pasiece.

Ale gdy ich kombinezonami szarpnął pierwszy podmuch wiatru, nastrój się zmienił. Kiedy gęsiego posuwali się przez cmentarz, na czele z Kozakiem, który ostrożnie prowadził



ich ścieżką oznaczoną wcześniej chorągiewkami, a pochód zamykał Slater, w pełni uświadomili sobie wagę tego, co mieli zrobić. Przy grobie czekał na nich sierżant Groves i funkcjonariusze Straży Przybrzeżnej, którzy stali obok wysokoprężnej lampy sodowej. Dla nich początek ekshumacji oznaczał zejście z posterunku. Pracowali przez wiele godzin i zasługiwali na odpoczynek. Groves zaszutował, dotykając dwoma palcami plastikowej przyłbicy hełmu i dźwignąwszy młot pneumatyczny, skierował się do przebieralni.

Nagrobek, ozdobiony dwojgiem drzwi wyrzeźbionych w górnych rogach, położono z boku przy noszach, gdzie wyglądał trochę nieestosownie. Mimo że nazwisko zostało dawno starte z kamienia, Slater zobaczył, że na samym dole, gdzie zamrznięta ziemia chroniła go przed wpływem żywiołów, widnieje kształt przypominający półksiężyc.

- Co to oznacza? - zapytał, pokazując to profesorowi. - Widziałem to także na słupkach przy wejściu i na innych nagrobkach.

- Niektórzy twierdzą, że to symbol islamu i że zawsze jest na dole, aby pokazać zwycięstwo Chrystusa nad niewiernymi.

- Mówisz, jakbyś się z tym nie zgadzał.

- Bo się nie zgadzam. Moim zdaniem oznacza kotwicę. Według rosyjskiej wiary to symbol nadziei zbawienia. Nadziei, którą daje Kościół. - Podrapał się w hełm, jak gdyby to była głowa. - Ale dwoje drzwi? Tego nie wiem.

Choć zbawienie pozostaje niepewne, pomyślał Slater, to zmartwychwstanie - przynajmniej w sensie cielesnym - nieuchronnie się zbliża. Zaglądając do otwartego grobu, pod cienką warstwą ziemi i kamieni dostrzegł jasną plamę drewna, które zbieleło po dziesiątkach lat w mogile. Zauważył nawet kilka głębokich szczelin w wieku trumny.

- Tak jak się spodziewałem - wtrącił Kozak. - Wysadzenie gruntu uszkodziło trumnę.

Lantos i Nika stały po drugiej stronie grobu. Lantos przyglądała się miejscu ekshumacji profesjonalnym okiem, natomiast Nika z pochyloną głową odmawiała prawdopodobnie jakąś modlitwę albo błogosławieństwo. Slater nie wiedział, co właściwie sądzi o tym ponurym widowisku, lecz przez szacunek dla niej znacząco trącił Kozaka i przez następną minutę obaj milczeli. Słyszał tylko jej dobiegający spod hełmu przyciszony monotony głos, zauważył też, że lekko kołysze się na piętach jak gdyby w jakimś pradawnym rytmie, którego nikt poza nią nie słyszał. Poczuł dotyk bilikina pod koszulą i z niewiadomego powodu zapragnął, aby wiedziała, że nosi go na szyi.

Kiedy skończyła, Slater spojrzął na Lantos, a gdy dała mu znak skinieniem głowy, zsunął się do grobu jak nurek schodzący za burtę. Nie byłoby to łatwe zadanie w żadnych okolicznościach, ale w niewygodnym stroju czuł się dziwnie niezdatny. Wyciągnął rękę,

która lekko drżała - przeklęte leki - żeby utrzymać równowagę na prostokątnej trumnie, a potem przykucnął, by zajrzeć do środka przez największą szczelinę. Mimo że wizjer hełmu był doskonale czysty, coś mu zasłaniało widok.

- Wasilij, mógłbyś przesunąć lampę w lewo? - poprosił. - Przeszkadza mi mój cień.

Kozak przestawił światło i głosem stłumionym przez zasłonę hełmu zapytał:

- Lepiej?

- Zobaczymy - odparł Slater i pochylił się, aby jeszcze raz zajrzeć przez szparę.

I napotkał czyjś wzrok.

Spod warstwy lodu spoglądało niebieskie oko przypominające mętną szklaną kulkę.

Slater odskoczył jak oparzony.

- Co się stało? - zaniepokoiła się Nika.

- Właśnie - zawtórował Kozak. - O co chodzi?

- Nic - rzekł Slater. - Zdziwiłem się tylko. Myślałem, że stoję w nogach trumny.

- A nie stoisz? - spytał Kozak.

- Nie. W tym miejscu jest głowa.

- Czyli zwrócona na zachód?

- Tak. Co to za różnica?

- To by oznaczało, że był diakonem albo być może księdzem.

- Nie rozumiem - przyznała Nika.

- W przeciwieństwie do parafian, kapłana chowa się twarzą do wiernych - wyjaśnił Kozak.

- Wszystko jedno, w którą stronę jest zwrócony, będziesz potrzebował tego - powiedziała doktor Lantos, podając Slaterowi rozwidlony z jednej strony młotek ciesielski. - Postaraj się nie zostawić drzazg.

Slater, nie patrząc już przez szczelinę, zabrał się do wyciągania zardzewiałych gwoździ z czterech rogów trumny. Rozpadły się przy pierwszym dotknięciu młotka. Odchylając się na bok w wąskim grobie, podważył wieko, które uniosło się, a po chwili pękło pośrodku.

- Nie ma co, postarałeś się - zauważyła Lantos, gdy Slater podał jej połowę wieka, a Kozak sięgnął po drugą.

Zwłoki zostały całkowicie odsłonięte i Slater mógł stanąć tylko w bardzo wąskim zagłębieniu wzdłuż trumny. Przypuszczenie Kozaka okazało się słuszne - mężczyzna był ubrany w długą sutannę, która pod taflą lodu lśniła jak heban; spod podwiniętych rękawów było widać szkarłatną podszewkę. Nieboszczyk miał zaciśnięte dłonie: w jednej trzymał

ciasno zwiniętą kartkę papieru, w drugiej miedzianą ikonę wielkości karty katalogowej, odwróconą obrazkiem do dołu. Slater spojrzął na profesora, czekając na dalsze szczegóły.

- Ta kartka to modlitwa rozgrzeszenia - pospieszył z wyjaśnieniem Kozak. - Tradycyjnie umieszczano się ją w dłoni nieboszczyka po tym, jak kapłan przeczytał ją na głos. A ikona to pewnie przedmiot, który pokazał się na ekranie georadaru. Cały czas miałem odczyt jakiegoś metalu albo twardego minerału.

Slater spojrzął na ciało i twarz, która po śmierci wyglądała równie frapująco, jak musiała wyglądać za życia. Nawet teraz miał hipnotyzujące szaroniebieskie oczy i jasne, prawie białe włosy, które kiedyś musiały sięgać ramion. Był gładko ogolony i miał rozchylone usta, jak gdyby za chwilę miał coś powiedzieć. Na jego twarzy malował się wyraz zaskoczenia.

- Sądząc po wieku i braku zarostu - rzekł Kozak - to był diakon.

- Diakon, ksiądz, wszystko jedno - uznała Lantos. - Myślę, że będzie lepiej, jeżeli przed pobraniem próbek rozetniesz tę tkaninę. Wiertło może się wkręcić.

Miała rację, Slater odnosił jednak wrażenie, jak gdyby jej głos dobiegał z bardzo daleka. Nie chodziło tylko o utrudniającą komunikację hełmy Usiłował zachować spokój i przytomność umysłu, choć osoba z jego profesją powinna już dawno mieć za sobą podobne problemy. Złożył to na karb leków przeciwwirusowych, które przyjmował, ale bez względu na powód, wiedział, że to nie pora tracić panowanie nad sobą.

- Masz rację - rzekł. - Podaj mi nożyczki chirurgiczne.

Trzymała je już w pogotowiu. Ale aby ich użyć, Slater najpierw musiał przyjąć odpowiednią pozycję, a miał tylko jedną możliwość. Stał w rozkroku nad zwłokami i ostrożnie usiadł na nich jak jeździec na siodle. Usłyszał trzask lodu okrywającego ciało, przypominający dźwięk towarzyszący wejściu na zamrożony staw. Zwłoki były sztywne i twarde jak kowadło. Uchwytem nożyczek zaczął odłupywać lód na piersi diakona, dopóki nie wykuł otworu szerokości kilku centymetrów. Odłamki lodu posypały się na twarz zwłok, więc odgarnął je palcami.

- Chyba mu to nie przeszkadza - zauważyła Lantos.

Odwrócił narzędzie i ostrożnie wsunął jego koniec pod czarny materiał, by oddzielić go od zamrożonego ciała, po czym zaczął ciąć, dopóki nie udało mu się oderwać kawałka tkaniny. Podał go Lantos, żeby go przechowała, a następnie zrobił to samo po drugiej stronie mostka. Odsłonięta skóra miała barwę starej kości słoniowej, ale z lekkim połyskiem, jak gdyby posmarowano ją wazeliną.

- Mata - powiedziała Lantos, zanim zdążył ją poprosić.

Podowała mu zieloną gumową osłonę wielkości ręcznika kąpielowego, na której były krótkie pionowe i poziome nacięcia. Slater przykrył nią górną część tułowia i wsunął palec do jednego z otworów, aby go poluzować. Podczas badań autopsyjnych tego rodzaju maty używano nie tylko na znak szacunku dla zwłok, ale także po to, by zminimalizować ilość cząstek unoszących się w powietrzu,

- Dobra - powiedział. - Mogę zacząć pobierać próbki.

Lantos, jak instrumentariuszka na oddziale urazowym, wcisnęła mu w dłoń wolnoobrotowy próbnik wielkości śrubokrętu. Upewniwszy się, że odnalazł punkt dokładnie nad lewym płucem, Slater oparł się jedną dłonią, a drugą wcisnął koniec wiertła w otwór w macie. Ostrze z cichym terkotem zanurzyło się w ciele, po czym zassało małe kawałeczki tkanki płucnej, który Lantos natychmiast umieściła w oznaczonej wcześniej fiolce.

Slater kątem oka zauważył jakieś zamieszanie na górze.

- Co się dzieje? - zapytał, starając się koncentrować na pracy.

- Nic - powiedziała Lantos. - Nie przerywaj.

- To Nika - odezwał się Kozak. - Nie czuje się najlepiej.

Slater uniósł wzrok, ale jej nie zobaczył.

- Kontynuuj - dodał Kozak i lekko machnął ręką.

Slater skinął głową - zdawał sobie sprawę, że to makabryczna praca i nie sposób się do niej przygotować - ale im szybciej weźmie próbki in situ, tym szybciej będą mogli opuścić cmentarz... a dotyczyło to także diakona. Gdy tylko uzyskają nieuszkodzone próbki, zwłoki zostaną wyciągnięte z roztrzaskanej trumny i przetransportowane do namiotu w kolonii, gdzie je rozmrozą i przeprowadzą dokładną sekcję. Liczył na to, że drugim do dźwigania noszy będzie Kozak.

- Teraz serce czy mózg? - zapytała Lantos.

‘ Gdzieś w głębi lasu zawył wilk.

- Tchawica - odrzekł Slater, a kiedy podawał doktor Lantos wycinek, zauważył, że na krawędzi grobu nie ma też Kozaka. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Lantos zachichotała.

- Zgadza się, też nie wytrzymał. Zdaje się, że zostaliśmy tylko we dwójkę, biedne misie.

## Rozdział 31

Wszystkie okna dużego domu z cegły zostały zamalowane białą farbą, z wyjątkiem jednej małej szybki. W ten sposób nikt z uwięzionej rodziny Romanowów nie widział, co się dzieje na zewnątrz, nie mógł też ich zobaczyć żaden przechodzień.

Zresztą chłopci i sklepikarze z prowincjonalnego syberyjskiego miasteczka, jakim był Jekaterynburg, nie mieli odwagi spojrzeć w stronę budynku. Wystarczyło podejrzenie, że ktoś sympatyzuje z caratem, a jego życie nie było warte nawet rubla.

Bolszewicy wyeksmitowali prawowitego właściciela - kupca nazwiskiem Ipatiew - i w pięciu pokojach na piętrze ulokowali Anastazję wraz z rodziną oraz garstką służby i przyjaciół, którzy przy nich pozostali. Parter zarezerwowany był dla komisarzy. Większość z nich stanowili nasrożeni robotnicy z miejscowych fabryk, które przed rewolucją należały do Złokazowskiego i Sysereckiego. Wokół domu i wewnętrznego dziedzińca wzniesiono wysokie na półtora metra ogrodzenie, a teren był nieustannie patrolowany.

Anastazja wiedziała jednak, kiedy obchód będzie robił Siergiej, i gdy miał służbę, zawsze stawała przy tym skrawku odsłoniętego okna, którego nie zamalowano, aby Romanowowie mogli sprawdzać temperaturę na przymocowanym do muru termometrze. Ale nawet wtedy bała się pomachać, a on bał się zrobić cokolwiek więcej poza ukradkowym zerkanem w jej stronę. Gdyby ich przyłapano, reszta okna zostałaby natychmiast zamalowana, a Siergiej zastrzelony jako domniemany współnik carskiej rodziny.

- I co, jest? - spytała szeptem jej siostra Tatiana, nie unosząc głowy znad robótki. Odpruwała rąbek sukni, aby wszyć tam garść brylantów, które Romanowom udało się przemycić w trakcie długiej odysei. Zostały ukryte w każdej części garderoby, pod każdym guzikiem, w rondzie każdego kapelusza i pod usztywnieniem każdego gorsetu.

- Jeszcze nie - odrzekła Anastazja - ale czasami się spóźnia, jeżeli drugi strażnik zatrzyma się, żeby z nim zapalić.

Uśmiechając się ze smutkiem, Tatiana pokręciła głową i zapytała:

- Wiesz, że miałaś wyjść za niemieckiego księcia, żeby scementować sojusz? A nie zakochiwać się w jakimś rewolucjoniście.

- Ty też - odparowała Anastazja.

- Nie, mnie przeznaczono Bułgara.

- Wydawało mi się, że Bułgara miała poślubić Maria.

- Maria miała wyjść za austriackiego księcia. Zapomniałam, którego.

Jak to wszystko się oddaliło, pomyślała Anastazja. Królewskie śluby, międzynarodowe sojusze, księżęta, pałace i sielskie wakacje w Liwadii, ich nadmorskim azylu na Krymie. A teraz cała rodzina dusiła się w kilku ciasnych i gorących pokojach, bez

zamek w drzwiach, pilnowanych przez strażników, których największą rozrywką było wchodzenie bez pukania, aby zaskoczyć ich w najmniej spodziewanym momencie. Olga na wszelki wypadek pilnie nasłuchiwała w sąsiednim pokoju; buty żołnierzy na szczęście robiły dużo hałasu, gdy ciężko stąpali po drewnianej podłodze korytarza.

- Jest - powiedziała półgłosem Anastazja, kiedy pojawiła się tyczkowata sylwetka Siergieja. Miał na ramieniu karabin, jak przystało wartownikowi, ale chyba nie czuł się z nim mniej nieswojo niż przedtem. W chwilach, które udało im się spędzić razem, Anastazja dowiedziała się, że był najmłodszym synem rolnika, którego obsiane pszenicą pola sąsiadowały z polami należącymi do rodziny Rasputina; wszyscy od niepamiętnych czasów mieszkali w wiosce Pokrowskoje i choć Siergiej został powołany do Gwardii Czerwonej, nadal głęboko szanował świętego człowieka, którego uzdrawiająca moc niegdyś uratowała go od śmiertelnej choroby.

A jeśli ojciec Grigorij był wiernym i oddanym przyjacielem Romanowów, Siergiej uznał, że też nim będzie. Nie ufał swoim towarzyszom broni, nawet ich nie lubił; Ana od razu to zauważyła. Ale musiało upłynąć trochę czasu, zanim, nie zważając na ostrzeżenia rodziny, gotowa była obdarzyć go zaufaniem. Udało mu się jednak udowodnić, że można na nim polegać, i był nieocenionym łącznikiem ze światem zewnętrznym.

Przystanął, wiedząc, że doskonale go widać z niezamalowanego okna, i nie patrząc w tę stronę, uniósł dwa złączone palce, w których trzymał papierosa.

- Ma dla nas wiadomość! - wykrzyknęła Anastazja, widząc znajomy sygnał.

- Na pewno? - zapytała Tatiana, przerywając szycie tak gwałtownie, że z kolan spadł jej brylant.

- Tak, tak!

Już od tygodni krążyły plotki o przygotowywanym planie ratunku - trzystu lojalnych wobec monarchii oficerów miało wjechać do miasta i uwolnić cara oraz jego rodzinę. Z tego, co udało się Romanowom dowiedzieć, w całej Matce Rosji wybuchła wojna domowa. W długie syberyjskie wieczory, gdy zmierzch trwał prawie do północy, z oddali dobiegało dudnienie artylerii, a oni zastanawiali się, kto strzela. Armia Białych atakująca okopaną Gwardię Czerwoną, zdecydowana obalić rewolucję i uratować więźniów przetrzymywanych w domu Ipatiewa? Poprzedniego wieczoru wydawało się, działa huczą bliżej niż dotychczas, a Anastazja przewracała się z boku na bok na metalowym łóżku, nie mogąc uciszyć rozbudzonego nadzieją serca.

A teraz Siergiej miał nową wiadomość ze świata na zewnątrz, którą - jeśli dopisze im szczęście - przemyci razem z codzienną dostawą jedzenia.

Olga w pokoju obok zaczęła mocno kaszleć, teatralnie klepiąc się w pierś, więc Anastazja uciekła od okna, a Tatiana schowała robótkę pod obszerną spódnicą, po czym chwyciła tomik Puszkina, który leżał obok niej.

Do pokoju wpadł nowy komendant Jaków Jurowski, groźny typ z czarną gęstą czupryną i czarną hiszpańską bródką, człowiek irytująco obłudny. Przeprosił za wtargnięcie, a równocześnie jego zimne szare oczy uważnie lustrowały całe pomieszczenie, szukając kontrabandy lub śladów jakiejś intrygi.

- Przypuszczam, że słyszeliście kanonadę wczoraj wieczorem.

- Tak, słyszeliśmy - powiedział car, którego teraz nazywano po prostu Mikołajem Aleksandrowiczem. Właśnie wszedł z przylegającego do pokoju gabinetu. Miał na sobie wytarte bryczesy i prostą wojskową bluzę, z której czerwonogwardziści zerwali epolety.

- Mam nadzieję, że hałas nie zakłócił wam snu.

Anastazja i pozostali wiedzieli, że jego troska to żart, który wszyscy musieli wziąć za dobrą monetę. Zobaczyła, jak w oczach ojca zapłonął gniew, ale car opanował się, jak zwykle, i zapewnił tylko komendanta, że wszyscy mocno spali.

- Być może trzeba będzie podjąć dalsze środki ostrożności, aby zapewnić wam bezpieczeństwo - oznajmił Jurowski, a widząc carycę, dziś po prostu Aleksandrę Fiodorownę, która powolutku wchodziła do pokoju, trzymając się za obolałe plecy, dodał - Gorący kompres z szaławii powinien pomóc złagodzić atak ischiasu. - Powiedział to tym samym beznamiętnym i autorytatywnym tonem co zawsze. Anastazja odnosiła wrażenie, jak gdyby chciał uchodzić za lekarza, chociaż doktor Botkin w rozmowie na osobności zapewnił ją, że to zwyczajny oszust.

- Dziękuję - odpowiedziała tym samym tonem co mąż. - Jeśli byłby pan tak uprzejmy i przysłał mi trochę szaławii, to spróbuję.

Anastazja wiedziała, że Jurowski nie przysłał żadnej szaławii, a nawet gdyby, to matka i tak nigdy by jej nie użyła. To wszystko była wielka komedia, w której brała udział cała rodzina i jej bezwzględni strażnicy. Bolszewicy udawali, że chronią rodzinę carską, aby nie stała jej się żadna krzywda, a Romanowowie udawali, że w to wierzą i wszyscy siedzieli jak na szpilkach w obawie, żeby nie sprowokować jakiegoś wybuchu.

- Jak się czuje chłopiec? - zapytał Jurowski. - Już chodzi?

Aleksy, śmiertelnie znudzony odosobnieniem, wymyślił sobie niemądrą zabawę. Zjeżdżał na sankach po schodach, a obrażenia, jakie wtedy odniósł, przykuły go do łóżka. Doktor Botkin, mając do dyspozycji bardzo skromne środki, robił wszystko, co w jego mocy,

lecz ból był nie do zniesienia, a były dziedzic rosyjskiego tronu musiał cały czas leżeć z uniesionymi nogami i najczęściej majaczył w gorączce.

- Nie, jeszcze nie - powiedział Mikołaj. - Może poczułby się lepiej, gdyby znów można go było poddać elektrostymulacji u tego lekarza w mieście.

Jurowski ze zrozumieniem pokiwał głową i odparł:

- Zobaczą, co da się zrobić.

Ana wiedziała, co to oznacza. Nic.

- Czy dostaniemy dzisiaj jakieś racje żywnościowe? - zapytała Aleksandra, na co Jurowski odpowiedział:

- Zobaczą, co zostanie, jak tylko moi żołnierze i personel się najedzą.

Cóż za przyjemność musiała mu sprawić możliwość pokazania carycy, gdzie jej miejsce. Anie zdawało się, że ojciec na sekundę zaciska prawą rękę w pięść, ale zaraz schował ją za plecami. Chciała, żeby chociaż raz dał upust złości, nie zważając na konsekwencje.

Kiedy Jurowski zakończył pobieżną inspekcję pokoi - w ramach której uniósł koc na łóżku Aleksego, żeby się przekonać, że nogi wciąż są sine i spuchnięte, obejrzał liczne należące do matki ikony, tylko po to, żeby skalać je swoim dotykiem, a potem lubieżnie pogładził nocne koszule jej siostr, starannie złożone na końcu łóżek - wyszedł wolnym krokiem, a wszyscy na razie odetchnęli z ulgą.

Wtedy właśnie Ana powiedziała im, że Siergiej ma dla nich nową wiadomość. Przez ostatnie kilka tygodni wiele razy przynosił im wiadomości od anonimowego oficera Białych, który planował śmiałą akcję ich uwolnienia. Być może tym razem otrzymają sygnał, że plan jest bliski realizacji.

Godzinę czy dwie później, gdy usłyszała na dziedzińcu kucharza Charitonowa, udało jej się wyrzeć przez okno i zobaczyć Siergieja niosącego wiklinowy kosz z jajkami w ciemnych skorupkach, czarnym chlebem, watuszkami z serem i butelką mleka. Jedzenie przygotowywały siostry z pobliskiego monasteru nowotichwińskiego. Ana nie wiedziała, jak jej rodzina przeżyłaby bez ich pomocy. Jurowski pozwalał wnosić kosze, ponieważ sam chętnie częstował się ich zawartością (watuszki rzadko zostawały dla nich).

Za cichym przyzwoleniem rodziny Ana pobiegła na dół do kuchni w towarzystwie Jemmyego, który posapywał przy jej nodze. Żałowała, że nie porusza się tak zgrabnie jak jej siostry i nie jest choć trochę mniej pulchna. (Matka zawsze powtarzała, że po prostu ma nieco wyżej talię). Ale Siergiejowi to nie przeszkadzało. Ana, podobnie jak wszyscy, zdawała sobie sprawę, że to tylko niemądry kaprys, ale w jej rodzinie było teraz tak mało szczęścia i tak



trudno było liczyć na czyjąś pomoc, że nikt nie widział powodu, aby im przeszkadzać. Romanowowie przekonali się, że los może być równie gorzki jak nieprzewidywalny. Kiedy pewnego dnia zobaczyli sójkę, która na gałęzi czyściła sobie piórka, ojciec poradził jej, żeby była wdzięczna za każdą piękną rzecz daną od Boga - nieważne, dużą czy małą.

Kiedy weszła, kucharz wykladał na stół przyniesioną żywnością i głośno się nią zachwycał.

- Spójrz! - zwrócił się do Any. - Mąka. Biała mąka! I rodzynki. - Na pewno już się zastanawiał, jak to najlepiej spożytkować; Charitonow był mistrzem w robieniu czegoś z niczego.

Ale Siergiej ukradkiem zbliżył się do Anastazji i powiedział tak cicho, że nawet ona z trudem go usłyszała:

- Bądźcie gotowi.

- Na co? - spytała szeptem. Tymczasem kucharz z dumą pokazywał wszystkie specjały pokojówce matki Annie Demidowej, która przyszła zobaczyć, co to za zamieszanie. Ana zauważyła, jak kobieta ukradkiem bierze rodzynekę i wsuwa ją sobie do ust, a Jemmy myszkował po kuchni, sprawdzając, czy coś nie spadło na podłogę.

- Nie wiem, ale przez cały ranek biuro Jurowskiego dostaje i wysyła telegramy.

- Zostaniemy uratowani?

- I sprowadzono z wioski ciężarówkę.

Ana nic z tego nie rozumiała, ale modliła się, żeby miało to związek z ich uwolnieniem. Być może komendant planował ukraść z domu Ipatiewa wszystko, co się da - na dole zostało jeszcze trochę ładnych mebli - i wywieźć to, zanim przybędą wierne carowi oddziały.

- Dziękuję, że jesteś naszym przyjacielem - powiedziała Ana, a mówiąc to, musnęła rękawem bluzki jego ramię. Tak jak przypuszczała, mocno się zaczerwienił, co sprawiło jej dużą przyjemność. Dotąd razem z siostrami pod wieloma względami były chowane pod kloszem. Wprawdzie na początku tej wojny, oczywiście jeszcze przed rewolucją, wolno im było pomagać rannym żołnierzom w szpitalach wojskowych - matka uczyniła z tego wręcz obowiązek - ale o uczuciach Ana nie wiedziała prawie nic. Przez krótki czas podkochiwała się w nauczycielu muzyki, a także nauczycielu francuskiego i nauczycielu jazdy konnej, ale potem, z braku innych obiektów westchnień, w jej ślady poszły siostry. Siergiej, choć był zwyczajnym chłopcem, przynajmniej należał tylko do niej.

- To dla mnie zaszczyt, że mogę pani służyć - powiedział, ale jego głos wyrażał dużo więcej niż same słowa.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, do kuchni wtoczył się jeden ze strażników, krępy, z zepsutymi zębami, a pokojówka Demidowa szybko skierowała się do wyjścia. Obrzuciwszy krótkim spojrzeniem jedzenie, rozerwał bochenek chleba i wpakował sobie do ust niemal połowę. Kiedy na podłogę spadło parę okruchów, podbiegł do nich Jemmy, a mężczyzna kopnął psa czubkiem zabłoconego buta.

- Jak pan śmie! - krzyknęła Ana, biorąc Jemmyego na rękę.

- Z tobą zrobiłbym to samo - powiedział, plując kawałkami chleba. Spojrzał na Siergieja i zapytał:

- Nie powinniście czasem być na patrolu, towarzyszu?

Siergiej zawahał się, podobnie jak jej ojciec podczas rozmowy z komendantem, ale doszedł chyba do wniosku, że odwaga powinna iść w parze z rozwagą. Obrócił się na pięcie, podniósł pusty koszyk i wyszedł z kuchni przez drzwi prowadzące na dziedziniec.

Anastazja spiorunowała wzrokiem obrzydliwego strażnika, który przeżuwał chleb z otwartymi ustami, ale gdy kucharz Charitonow posłał jej ostrzegawcze spojrzenie, przytuliła mocniej Jemmyego i skierowała się z powrotem na schody.

- Musimy kiedyś zatańczyć - zawołał strażnik, bez wątpienia kpiąc z jej chodu, gdy zaczęła się wspinać po drewnianych stopniach.

## Rozdział 32

- Zamknijcie się, dobra? - powiedział Harley, kuląc się za przekrzywionym kościołem.

- Dajcie mi pomyśleć.

Chociaż raz Eddie i Russell spełnili polecenie, ale wiedział, że to nie potrwa długo.

Patrząc na teren kolonii, nie mógł wyjść z podziwu, jak bardzo odmieniono to miejsce w ciągu zaledwie dwóch dni. Stało tu sześć zielonych namiotów, część tradycyjnych ze spadzistym dachem, a część bardziej przypominających baraki, ale wszystkie wyglądały solidnie i były połączone ścieżkami ułożonymi z gumowych mat, zaopatrzonymi w sznurowe poręcze, wzdłuż których stały słupy oświetleniowe. Przez gwizd wiatru Harley słyszał miarowy szum generatorów dobiegający z aluminiowej szopy, zbudowanej obok platformy z toaletami, ustawionej nad dwoma przenośnymi zbiornikami bezodpływowymi.

Nie widział jednak żadnych ludzi; w tym momencie kolonia wyglądała na tak samo opuszczoną jak za pierwszym razem, kiedy ją zobaczył. Goście ze Straży Przybrzeżnej odlecieli swoim helikopterem. Kiedy przed kilkoma godzinami usłyszał dudnienie silników,

miał nadzieję, że oznacza to zakończenie ekspedycji na wyspie; przynajmniej będzie można bezpiecznie powrócić do grobów, pomyślał.

Ale było jasne jak słońce, że się mylił. Ktoś tu został i wszystko wskazywało na to, że na dłużej. Niech to szlag, niech to jasny szlag.

- Dupy nie czuję z zimna - mruknął Russell. - Co robimy?

Harley musiał szybko opracować nowy plan. Nieśli szpadle i kilof oraz parę stalowych haków wspinaczkowych, za pomocą których zamierzał zruszyć przemarznąjącą ziemię. Nie widział nikogo pilnującego terenu, wiedział jednak, że przejście środkiem kolonii byłoby zbyt niebezpieczne; gdyby ktoś nieoczekiwanie wyszedł z któregoś namiotu, nie mieliby się gdzie ukryć.

Czołgając się z powrotem, powiedział do nich:

- Chodźmy prosto na cmentarz. - Została im może godzina czy dwie światła dziennego i nie mógł sobie pozwolić na to, żeby zmarnować choćby część tego czasu.

Okrążyli kolonię, trzymając się drugiej strony drewnianej palisady, a potem poprowadził ich przez gąszcz świerków, sosen i olszyn, odchylając po drodze ośnieżone gałęzie, aż ku swojemu zaskoczeniu zobaczył drugi szlak, który wycięto w lesie i wyłożono matami od bram kolonii po drewniane słupki u wejścia na cmentarz. Na całej długości ustawiono też światła, które już były włączone. Choć nie miał pojęcia, skąd władze dowiedziały się o znalezionym przez niego szmaragdowym krzyżu, to wszystkie te zbudowane na wyspie obiekty świadczyły o tym, że tak właśnie się stało. Jego brat Charlie nie był głupi; mało prawdopodobne, żeby się przed kimś wygadał, ale Harley znacznie mniej ufał tej chciwej jędrzy, z którą się ożenił, albo jej stukniętej siostrze. Bathsheba powiedziałaaby wszystko każdemu.

I proszę, z czym musi się teraz zmagać.

- Patrzcie - powiedział Eddie, rozchylając wejście do zbudowanej na lewo od wejścia na cmentarz przebieralni. Harley zajrzał do środka i zobaczył wieszak z białymi kombinezonami, ochraniaczami na buty i równiutko ustawionymi na półce hełmami z osłoną na oczy. Zanim zdążył powstrzymać Russella, ten dureń zakradł się do namiotu i założył sobie hełm.

- Zaprowadźcie mnie do swojego dowódcy - powiedział, wyciągając do nich rękę. Harley musiał zdjąć mu hełm siłą i odłożyć go na półkę.

- Wyłaż - rozkazał - bo tak cię kopnę w dupę, że dolecisz do Port Orlov.

- Jasne - prychnął Russell. - A kto ci nogę rozmacha?

Cmentarz na szczęście był tak samo pusty jak kolonia, a świeży śnieg pięknie zasypał ich ślady wokół grobu, który odkopali. Teraz jednak wszędzie rozciągnięte były nylonowe linki, a tu i ówdzie w ziemię powtykano chorągiewki, na całym cmentarzu zaznaczając coś w rodzaju siatki. Na drugim końcu, gdzie załamał się klif, na brezencie złożono jeden na drugim całe pasy ziemi razem z przewróconym nagrobkiem. Podchodząc bliżej, Harley zobaczył ziejący otwarty grób.

- Zdaje się, że lepiej znają się na tej robocie niż my - zauważył Eddie. - Cholera, ciekawe, czym to zrobili.

Harleya mniej niż sposób interesował powód. Nie rozkopali przecież grobu, żeby szukać w nim skarbów; wyciągnęli całego trupa. Stojąc nad pustą mogiłą, zastanawiał się, co chcą zrobić ze zwłokami. Podejrzewali, że coś się w nich kryje, ale czy nie dało się tego wyciągnąć tu na miejscu? Może dopiero jak je rozmrożą? Zostały tylko resztki trumny, odłamki drewna i drzazgi.

- Hej, patrzcie - powiedział Russell, wyciągając głowę ponad krawędź klifu i wskazując na plażę daleko w dole. - Łódź.

Harley ostrożnie podszedł do urwiska i zobaczył, co pokazuje Russell - na żurawikach wisiała łódź hybrydowa. Pierwsza dobra wiadomość od paru dni; „Kodiak” wciąż tkwił na skałach i nabierał wody, a Harley nie wiedział, jak przekazać załodze wiadomość, że kuter prawdopodobnie już nigdy nie dobieje do brzegu. Teraz, dzięki Straży Przybrzeżnej Stanów Zjednoczonych, mieli drugie wyjście.

Kłopot w tym, że gdyby teraz odpłynęli, wróciłby praktycznie z pustymi rękami. Różaniec nie mógł być wart zbyt wiele.

- No? - odezwał się Eddie, rozglądając się po pustym cmentarzu. - To gdzie zaczynamy?

Harley bardzo chciałby wiedzieć. Ostatnim razem wybrał źle, przypuszczając, że pod największym kamieniem nagrobnym znajdą najcenniejszą zdobycz. Przypominało to debilny teleturniej Grasz czy nie grasz. Kto mógł wiedzieć, gdzie ukryto prawdziwy łup?

- Russell, staniesz na czatach - powiedział. - Wróc szlakiem jakieś dwadzieścia metrów, schowaj się i czekaj. Jak zobaczysz, że ktoś idzie, wracaj tu i uprzedź nas.

- Zaraz, ostatnim razem to ja kopałem - poskarżył się Eddie. - Dlaczego ja nie mogę stanąć na czatach?

- Róbcie, co mówię - uciął Harley. - Obaj.

Russellowi najwyraźniej nie trzeba było dwa razy powtarzać; myśl o tym, że nie musi pracować, była cudowna. Rzucił szpadel Eddiemu i ruszył wytyczonymi ścieżkami w stronę

początku oświetlonego szlaku. Eddie, który trzymał kilof, wziął drugą ręką szpadel i spojrzał na Harleya z kwaśną miną, która mówiła: Lepiej, żebyś się tym razem nie pomylił.

## Rozdział 33

Russell nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Przez całą drogę na cmentarz rozmyślał, jaka to będzie parszywa robota kopać w zamrożonej ziemi. Odrąbywanie lodu z zaworów w rafinerii, gdzie dorywczo pracował, było koszmarem nie z tej ziemi. Czekał, aż dotrze do bramy i zniknie Harleyowi z oczu, sięgnął do kieszeni kurtki i namacał jedną z puszek piwa, które miał przy sobie. Jedno na Alasce jest fajne - cały stan to jedna wielka lodówka.

Szedł szlakiem, szukając wygodnego miejsca - co nie było łatwe. Wszystko pokrywał śnieg i lód, a ziemia była twarda jak kamień. Życzył Harleyowi i Eddiemu powodzenia, zwłaszcza po ich ostatniej próbie, kiedy wrócili z marną garścią kryształowych paciorków na sznurku. Jego zdaniem cała wyprawa zakończy się totalną kląpą i będzie miał szczęście, jeżeli wróci do baru „Yardarm” z dziesięcioma dolcami w kieszeni.

Gdyby chciał zaliczyć Angie Dobbs, musiałby mieć na zachętę trochę więcej. Chryste, to śmieszne, że Harley robił takie wielkie halo z tego, że ją przeleciał. A kto jej nie przeleciał?

W ostrym świetle następnej lampy zauważył jakąś lśniąca powierzchnię tuż obok szlaku. Był to stary pniak, pokryty mchem i porostami, i choć nie przypominał fotela z podnóżkiem, nie można było chyba liczyć na nic lepszego. Odgarnął śnieg z gnijących liści leżących u podstawy pnia, zebrał je i zrobił sobie coś w rodzaju poduszki. Potem, zanim liście zdążył porwać wiatr, opadł na nie całym ciężarem ciała, mocno zaciągnął sznurki kaptura, żeby lepiej chronił twarz, i czekał.

Ciągle mówiło się o czystym i nieskażonym pięknie Alaski - Russell widział wszystkie te foldery i reklamy w biurze turystycznym, ale wydawało mu się, że to same głupoty. Było zimno, mokro i ciemno, a gnijące liście, na których siedział, śmierdziały. Pociągnął następny łyk piwa. Nie byłoby sensu żyć, gdyby nie alkohol i dupy.

No i trawa. Nie powinien zapominać o pierwszorzędym towarze, którego nigdy mu nie brakowało za kratkami w Spring Creek.

Po niedługim czasie spędzonym na przysypanym liśćmi pniu - w puszcze została jeszcze kapka piwa - zdawało mu się, że coś usłyszał.

Szybko zdarł z głowy kaptur i zaczął nasłuchiwać.

Czy to głos, czy tylko wiatr szepeczący w gałęziach drzew?

Wstał, połknął resztę piwa i rzucił puszkę w krzaki.

Tak, to był głos, mówiący z jakimś dziwnym akcentem. Rosyjskim. Przez sekundę pomyślał: To duch jednego z tych martwych osadników. Legendy o wyspie są prawdziwe! Po chwili wziął się jednak w garść i zanim się zorientował, co robi, nogi same poniosły go z powrotem na szlak, przez las, obok lamp i między rzeźbionymi słupkami cmentarnej bramy. Harley i Eddie chodzili w kółko, jakby ciągle zastanawiali się, który grób wybrać, ale wiedział, że nie może do nich krzyczeć. Rzucił się biegiem między groby, wymachując rękami jak wariat, dopóki go nie zauważyli. Chwycili narzędzia i uciekli w różne strony. Russell potknął się o jakąś dziurę - cholera, może to grób, który już odkopali? - i zanim wstał, już ich nie było.

Usłyszał jeszcze jeden głos, niesiony wiatrem od strony szlaku, i na łeb na szyję wybiegł z cmentarza, kierując się w stronę lasu. Zahaczał rękawami o gałęzie, brnął przez gąszcz nie do przebycia, ale wciąż biegł. Każdy oddech parzył go w gardło i uświadomił sobie, nie po raz pierwszy, w jak kiepskiej jest formie. Wystarczyły dwa lata w pudle. I zdarzył się prawdziwy cud - wypadł na małą polankę, na której stała stara chata. Choć zostało z niej parę desek, dzięki którym ściany jeszcze się nie rozleciały, i drzwi zbite z żerdzi, to w tym momencie wyglądała lepiej niż „Yardami”.

Wpadł z impetem w kruche drzwi, zamknął za sobą to, co z nich zostało, a potem zgiął się wpół, łapiąc oddech. Piwo uszło z niego w postaci ciepłych wymiocin, które obryzgały mu buty. Wiatr szarpnął patykami w drzwiach. Russell zobaczył stół i starą pustą skrzynię po dynamicie, ustawioną przy nim jak taboret. Oparł się jedną ręką o blat. Leżała na nim stara książka w skórze, a obok zamarznięta grudka świecy w cynowym naczyniu. W głowie waliło mu tak mocno, że zdawało mu się, jakby za chwilę miał umrzeć na udar. Weź się w garść, powiedział sobie. Przecież nie zrobiłeś jeszcze nic złego. To Harley rozkopał grób. Ja tylko pojechałem dla towarzystwa.

Usiadł ciężko na skrzynce, która jęknęła, ale wytrzymała.

Jeżeli popełnił jakieś przestępstwo, to najwyżej wtargnął na cudzy teren - być może należący do rządu. Jaka zresztą może grozić za to kara? Na pewno niezbyt surowa i gdyby nie był na zwolnieniu warunkowym, nie byłoby warto nawet zawracać sobie tym głowy. Był jednak na warunkowym i gdyby musiał wrócić do zatłoczonej celi w Spring Creek, gdzie ściany napierały na niego z każdym dniem mocniej i mocniej, wolałby raczej odebrać sobie życie.

Ale najpierw zabije Harleya Yanea. Za to, że wciągnął go w cały ten syf.

## Rozdział 34

- Powiedz mi jeszcze raz, co to znaczy - poprosiła doktor Lantos, rozwijając taśmę maskującą.

Slater skończył pisać na kawałku kartonu maksymę: *Hic locus est ubi mors gaudet succurrere vitae*, po czym przykleił ją na zewnątrz grubej plastikowej ściany oddzielającej połowe prosektorium od laboratoryjnej części namiotu.

- „Oto miejsce, gdzie śmierć się cieszy, że może pomóc żywym”. W AFIP zawsze mamy ten napis przed oczami, żeby nam przypominał, po co tu jesteśmy. Żeby pomagać żywym.

- Mam nadzieję, że diakon myśli tak samo.

- Przecież był duchownym, zgadza się?

Lantos prychnęła.

- Chyba masz większy szacunek dla systemów religijnych niż ja.

Slater wychowywał się właściwie bez religii. I choć czasem zazdrościł tym, którzy potrafili odnaleźć pociechę w Bogu - jego była żona regularnie chodziła do kościoła - był przekonany, że jeśli ziarno wiary nie zostanie zasiane odpowiednio wcześniej, to nigdy nie wykiełkuje.

Oboje z doktor Lantos byli już ubrani od stóp do głów w kombinezony, a tuż przed wejściem do prosektorium nałożyli jeszcze maski z plastikowymi okularami ochronnymi. Poświęcili jeszcze kilka sekund na sprawdzenie, czy wszystko ściśle przylega do siebie, ponieważ wiedzieli, że gdy znajdą się w środku, nie będą mogli tego zrobić, nie narażając się na ryzyko rozszczelnienia powłok ochronnych. Zadowolony z inspekcji Slater rozchylił grube poły wejścia do części namiotu przeznaczonych do autopsji i powiedział stłumionym głosem:

- Panie przodem.

Lantos, której siwa czupryna o parę centymetrów unosiła kaptur, dała nura do środka, a Slater wszedł za nią i odwrócił się, żeby zapiąć długie taśmy z przylepcami zabezpieczającymi wejście. Wewnątrz nawet gumowa podłoga była wyłożona od spodu warstwą grubego plastiku; dzięki temu po zakończeniu pracy na Wyspie Św. Piotra będą mogli zrolować całą część prosektoryjną jak gigantyczną płachtę celofanu i spalić ją. Slater miał wrażenie, jakby wszedł do meduzy; ze wszystkich stron otaczały go połyskujące przezroczyste płaszczyzny ścian, podłóg i sufitu.

Na stole sekcyjnym spoczywały zwłoki diakona w długiej czarnej sutannie z czerwoną podszewką. Jego martwe oczy wpatrywały się w sufit.

Lantos dźgnęła ciało palcem w rękawiczce i powiedziała:

- Zawsze rozmrażają się dłużej, niż się człowiek spodziewa.

Wydawało się, jakby mówiła o indyku na Święto Dziękczynienia i choć osobę postronną jej ton mógłby zrazić, Slater trafnie go rozpoznał. W ten sposób często rozmawiali ze sobą ludzie zawodowo zajmujący się medycyną - również epidemiolodzy. Żartobliwe uwagi miały rozwiać wątpliwości, obawy i poczucie moralnej dwuznaczności towarzyszące każdemu, kto właśnie zamierzał zbeczczyć i poćwiartować ludzkie ciało. W przeciwnym razie łatwo było wyobrazić sobie siebie samego leżącego na tym stole jako martwy, szybko rozkładający się wrak.

- Chcesz trochę poczekać - spytała Lantos - czy zacząć zdejmować ubranie?

Slater chwycił palcami ramię diakona, nacisnął brzuch, poruszył obutą stopą i odrzekł:

- Możemy zaczynać. Zdarza się, że ubranie jest sztywniejsze niż skóra.

- No to bierzmy kubek i skalpele.

Wszystko, co było potrzebne do przeprowadzenia sekcji, znajdowało się już w pomieszczeniu, od narzędzi chirurgicznych po pojemniki na odpadki, a w małej zamrażarce w rogu znajdowały się już próbki pobrane in situ na cmentarzu; były najczystszy materiałem, który w nietkniętym stanie miał zostać przetransportowany do AFIP.

- Musisz uważać na tę kartkę - ostrzegła Lantos, dotykając modlitwy rozgrzeszenia, która nadal tkwiła w dłoni nieboszczyka. - Może się rozpaść.

Slater wiedział, że ma rację i kiedy oddzielił zwój papieru od martwego ciała, delikatnie położył go na jednej z metalowych tac, ustawionych na blacie Tza jego plecami. Papier zwinął się jeszcze bardziej, jak żywe stworzenie kulące się przed atakującym drapieżnikiem.

Lantos zabrała się do wyciągania ikony zaciśniętej w drugiej dłoni diakona, lecz nawet to było ryzykowne.

- Chyba nie chce puścić - poinformowała Slatera. Pociągnęła jeszcze raz i wreszcie wyswobodziła obrazek z martwych palców. Patrząc na niego przez gogle, dodała: - Rozumiem już, dlaczego.

Pokazała ikonę Slaterowi. Obraz przedstawiał Madonnę z Dzieciątkiem i na tyle dobrze się zachował, że było widać cień czerwonego maforionu i resztki jasnoniebieskiej farby, którą pomalowano suknię. Ikona wyglądała na bizantyjską, postaci były pozbawione



perspektywy, ale na czole i ramionach Maryi widniały trzy brylanty, mieniące się teraz w świetle górnej lampy.

- Jesteśmy bogaci - zażartowała Lantos, gdy Slater podziwiał blask kamieni.

- Zaczekajmy, aż obejrzy to Kozak - rzekł, kładąc ikonę obok rulonu. - Na pewno będzie mógł nam o tym dużo powiedzieć.

Ale Lantos jak pracowity krawiec zaczęła już kroić czarną sutannę, tnąc długie pasy wzdłuż ciała, a potem odrywając je jak bandaż. Po usunięciu każdego pasa, naciskała pedał pojemnika na odpadki i po prostu go tam wrzucała. Kiedy pozbyli się całej tkaniny, razem ze Slaterem zdjęli z nóg diakona buty, które także wrzucili do pojemnika. Wylądowały z głuchym odgłosem.

Na stole leżało już zupełnie nagie ciało, ze sztywnymi ramionami skrzyżowanymi tuż poniżej klatki piersiowej. W miejscach, gdzie próbnik pobrał pierwsze wycinki, pozostały dwie klute rany i Slater nie mógł się oprzeć skojarzeniu z ranami na ciele Chrystusa, zwłaszcza że młody diakon wyglądał niemal jak święty. Jego długie blond włosy odtajały na tyle, by znów opaść do ramion, a prawie bezwłosa skóra miała marmurowy odcień jak figura piety. Niebieskie oczy były szeroko otwarte.

Slater wziął z blatu aparat cyfrowy i zrobił kilka zdjęć zwłok, najpierw całej sylwetki, a potem zbliżenia twarzy i innych fragmentów, gdzie wykonano pierwsze nacięcia. Następnie sprawdził masę ciała, którą pokazywała zainstalowana na stole waga, i zanotował ją, odczytując na głos; w pomieszczeniu działał dyktafon uruchamiany głosem. Kiedy skończył, Lantos wzięła blok pod ciało, czyli klin z twardej gumy piankowej, i powiedziała:

- Możesz go dźwignąć, żebym to podłożyła?

Gdy Slater uniósł górną połowę ciała ponad stół, zdawało mu się, jak gdyby diakon przeszył go pełnym wyrzutu wzrokiem, kwestionując to, co z nim wyprawiają. Lantos wsunęła blok pod kręgosłup zmarłego, a kiedy Slater opuścił ciało, głowa i ramiona opadły do tyłu, a klatka piersiowa została uniesiona, aby ułatwić dysekcję. Lantos zatarła ręce, jakby chciała powiedzieć, że właśnie o to chodziło.

- Co wybierasz? - spytała Slatera. - Y, T czy prosto przez środek?

Spośród kilku standardowych metod otwierania zwłok Slater już wcześniej wybrał dla swoich celów odpowiedni sposób cięcia, uznając, że najlepsza jest pierwszy z nich.

- Zrobimy Y - powiedział - żeby maksymalnie odsłonić szyję i drogi oddechowe.

Lantos skinęła głową. W mocnym świetle górnej lampy jej kręcone włosy wyglądały jak naelektryzowane. Podała mu nożyce i cierpliwie czekała, aż zrobi dwa duże i głębokie cięcia, zaczynając od obojczyków diakona w kierunku mostka, gdzie się łączyły. Stamtąd ciął

wzdłuż linii całego ciała, omijając tylko pępek, i zatrzymał się, gdy ostrze trafiło na kość łonową. Ponieważ ciało nie rozmroziło się do końca, podczas rozcinania słychać było jak trzeszczy skóra.

Slater żałował, że zapomniał włączyć muzykę. Pomagała mu się skupić.

- Bardzo ładna robota - pochwaliła Lantos. Maską tłumiała jej głos.

Rzeczywiście. Nawet Slater musiał to przyznać; twardość ciała umożliwiła większą precyzję cięcia. Podczas sekcji zawsze było mniej krwi, niż można się spodziewać - serce już nie funkcjonowało, więc jej przepływ powodowała tylko siła ciężenia - lecz nawet mimo to zaskoczony był jej niewielką ilością. Pozostała krew musiała ulec krystalizacji, pomyślał, a może wyparowała... ale wszystko stało się jasne, gdy odłożył nożyce i z pomocą Lantos, która ciągnęła z drugiej strony, otworzył tułów jak świeżą dynię.

Wyglądało to tak, jakby ktoś potraktował wnętrze diakona lampą lutowniczą. Wszystkie narządy klatki piersiowej były poczerńiałe i przekrwione. Widząc to, Slater przypomniał sobie ofiarę pożaru, którą kroił przed laty podczas pobytu w Sierra Leone.

- To nie była lekka śmierć - powiedziała Lantos poważniejszym tonem. - Biedak, umierał w cierpieniach.

Slater nie miał co do tego wątpliwości. Wziął piłę do kości i przeciął żebra po obu stronach klatki piersiowej, a potem z pomocą Lantos podniósł mostek razem z żebrami i odłożył na srebrną tacę.

Do dyktafonu powiedział głośno, co zrobił.

Następnie odwrócił się, aby obejrzeć odsłonięte trzewia młodego diakona.

Można było odnieść wrażenie, że mężczyzna połknął kulę gorącej smoły. Komórki ochronne i rzęski oskrzelowe zniknęły, jak gdyby wypalił je pożar prerii, a płuca przypominały dwa bakłażany barwy głębokiego fioletu. Worek osierdziowy osłaniający serce wyglądał jak podarty arkusz czarnej krepiny, a samo widoczne przez dziury serce było ciemne i sękaty jak granat ręczny.

- Rozległe uszkodzenia martwicze prawie wszystkich głównych narządów wewnętrznych. Oznaki patogenezы wirusowej i bakteryjnej.

- Wygląda, jakby wybuchła w nim bomba - zauważyła Lantos, przygotowując strzykawkę, by pobrać jedną z wielu próbek krwi.

- Nie bomba, ale burza - poprawił Slater. - Burza cytokin.

Hiszpanka była diabelską chorobą, która przejmowała kontrolę nad reakcją immunologiczną ofiary i obracała ją przeciwko niej. W zwykłych okolicznościach cytokiny - rozpuszczalne, podobne do hormonów białka - działają jak posłańcy między komórkami

układu odpornościowego, pomagając wykryć infekcje wywołane przez drobnoustroje takie jak wirusy, bakterie, pasożyty i grzyby, a potem skierować przeciwko nim przeciwciała i komórki NIC. Ale w przypadku hiszpanki cały system zaczynał pracować na najwyższych obrotach, cytokiny brały na cel wszystko, przeciwciała przywierały jak klej do wszystkiego, z czym się tylko zetknęły, komórki NK zabijały wszystko, co znalazło się w zasięgu ich działania. Wyglądało to jak szaleńcza nieokiełznana strzelanina, w której ginie każda komórka i niszczone jest każdy mechanizm obronny, a na koniec ofiara tonie we własnych wydzielinach i nasyconej wirusami krwi.

- Taki młody - powiedziała Lantos, przecinając końcem skalpela osierdzie. Mówiąc do dyktafonu, dodała: - Pobieram próbki krwi z żył płucnych i żyły głównej dolnej, chociaż materiał jest prawie niepłynny. Nie doszło do całkowitego rozmrożenia. Sprawdzam też tętnicę płucną... - nachyliła się, by lepiej się przyjrzeć - ...gdzie nie widać śladów skrzeplin.

Młodość, pomyślał Slater, w przypadku hiszpanki była zgubna, tak samo zresztą jak dobre zdrowie. Im silniejszy organizm, tym mocniejsza reakcja odpornościowa na chorobę - a im mocniejsza reakcja, tym większe niebezpieczeństwo śmierci, gdy mechanizmy obronne wymknęły się spod kontroli. W rezultacie hiszpanka poczyniła największe spustoszenia wśród młodych, NK natural killers - wyspecjalizowane linie komórek odpornościowych, których zadaniem jest neutralizacja wrogich drobnoustrojów (przyp. red.). sprawnych żołnierzy, którzy w 1918 roku wyjechali do Francji, a potem wśród pierwszych ratowników - młodych lekarzy i pielęgniarek, którzy przyszedli im z pomocą. Paradoksalnie osoby starsze i małe dzieci, z reguły słabsze, umierały na tę chorobę rzadziej niż pełni wigoru ludzie w kwiecie wieku.

Nic dziwnego, że w trakcie tego makabrycznego zajęcia Slater przypomniał sobie tamten wieczór w archiwum medycznym, kiedy oglądał preparaty tkanek młodego rekruta, zaatakowanych wirusem hiszpanki. Ciało żołnierza było zniszczone tak samo jak zwłoki spoczywające przed nim na stole, młody artylerzysta zmarł w takich samych męczarniach jak rosyjski diakon. Grypa nie wybierała, siejąc śmierć wśród narodów całego świata.

Krok po kroku fiolki, próbówki i pojemniki na wycinki zaczęły się wypełniać próbkami pobranymi z płuc i serca, tchawicy i śledziony, wątroby, trzustki i żołądka. Kiedy Slater skończył, Lantos wyciągnęła spod zwłok piankowy blok Kiedy ciało opadło, usłyszeli uchodzące powietrze, jak westchnienie ulgi.

Ale dali mu spokój najwyżej na dwie minuty.

Slater uniósł głowę zwłok i długie jasne włosy opadły w kosmykach na jego dłoń w rękawiczce. Lantos podłożyła blok pod kark. Zakrwawionym skalpelem Slater rozpoczął

cięcie za uchem, kontynuował nad ciemieniem i skończył w punkcie tuż za drugim uchem. Trzymając za włosy, zdjął skórę z czaszki w dwóch prawie równych płatach; jeden opadł na twarz, drugi zawisł z tyłu. Odgłos przypominał rozdzielanie rzepów, na które zapinali poły namiotu.

- Nie jesteś zmęczony? - spytała Lantos. - Możemy zrobić przerwę.

Ale Slater chciał iść za ciosem. Nie miał już tyle siły co przedtem i obawiał się, że lada chwila wstrząśnie nim malaryczny dreszcz; lepiej pracować dalej, dopóki ma dość pewną rękę, i zrobić przerwę dopiero wtedy, gdy będzie musiał.

- Wezmę piłę oscylacyjną - powiedział i Lantos podała mu narzędzie. Powietrze pod maską było ciepłe i nieprzyjemnie wilgotne.

Sprawdziła, czy skóra i włosy nie staną ostrzu na drodze, a Slater metodycznie odpiłował na samym czubku głowy okrągły fragment czaszki wielkości małego berecika. Następnie odłożył piłę i pociągnął odciętą część, jednocześnie ją obracając. W kilku miejscach wciąż się trzymała, musiał więc sięgnąć po skalpel i podważyć kość czy tkankę łączną. Gdyby robił to jako student medycyny, dostałby najwyżej trójkę.

Lantos przytrzymała czystą miskę nad głową zwłok i gdy wreszcie wyciągnął odcięty fragment kości, zabrała go.

Mózg był już zupełnie odsłonięty; opona twarda, zwykle biała, miała kolor mocnej herbaty. Slater wziął kleszcze, które omal nie wyślizgnęły mu się z mokrych palców, a Eva otworzyła i podsunęła mu pojemnik z formaliną - piętnastoprocentowym roztworem formaldehydu w wodzie buforowanej, w którym próbki mózgu miały się bezpiecznie przechować do czasu, gdy zostaną przewiezione do laboratoriów w Waszyngtonie.

Nagle górne światło przygasło, potem rozbłysło na nowo i znów przygasło.

Slater wymienił spojrzenie z Lantos.

Lampa mrugnęła.

Generator, pomyślał. Nic innego.

Światło zgasło, potem się zapaliło i znów zgasło.

Wyczuwając przerwę w zasilaniu, uruchomił się zapasowy generator. Wzrok Slatera powędrował do stojącej na podłodze zamrażarki, w której znajdowały się pierwsze próbki pobrane w otwartym grobie. Zauważył, że Lantos patrzy przez plastikowe osłony prosektorium w stronę ścian namiotu, które jakby falowały na wietrze... ale falowały kolorowo.

Co jest?

Slater rozchylił poły wejścia do laboratoryjnej części namiotu i przez plastikową osłonę dojrzał drobną postać, która szybko zmierzała w kierunku prosektorium.

- Wszystko w porządku! - krzyknęła, a w tym momencie Slater zawołał:

- Nie wchodź tu! - W zasadzie powinien wystarczyć już sam pomarańczowy trójkąt, który ostrzegał przed zagrożeniem biologicznym, ale Nika należała do osób, których ten widok mógł nie zatrzymać.

- Co się dzieje? - zapytał Slater.

- Zorza!

- Ale co się dzieje z zasilaniem!

- Zorza polarna! - powtórzyła zniecierpliwiona, stojąc tuż przed wejściem do prosektorium. - Aurora borealis! Zawsze miesza w polach elektrycznych.

Za ścianami namiotu jarzyła się złotawa poświata.

- Idź - powiedziała Lantos. - Sama dokończę.

- Nie ma mowy - zaprotestował Slater, ale Lantos nie ustępowała.

- I tak zrobiliśmy w ciągu jednej sesji wszystko, co się dało.

- Musimy jeszcze wydrążyć mózgową czaszkę.

- To może poczekać - odparła. - Szczerze mówiąc, Frank, nie masz tak pewnej ręki, jak powinieneś. Nie wiedziałam, kiedy ci to powiedzieć. Musisz odpocząć.

Slater zdziwił się, ale był skłonny przyznać jej rację. Przeciągał strunę i lada moment mógł popełnić jakiś tragiczny błąd. Słusznie postąpił, werbując ją do tej misji.

- Dzięki - rzekł. - Zrozumiałem.

Upredziwszy Nikę, żeby poczekała na niego przed namiotem, zdjął kombinezon i pozostałe elementy ochronne, włożył wszystko do szczelnego pojemnika, po czym z wieszaka przy wejściu wziął kurtkę i wyszedł na świeże powietrze.

Niebo mieniło się dziwnymi kształtami i barwami. Łapiąc go za rękę jak podniecone dziecko w zoo, Nika próbowała pociągnąć go w stronę bramy kolonii, ale Slater najpierw musiał zajrzeć do szopy z generatorem. Pomaszerował tam, idąc z chrzęstem po śniegu i lodzie, żeby sprawdzić, czy sprzęt ciągle działa. W środku był już Rudy ze Straży Przybrzeżnej, który uważnie przyglądał się dwóm turbinom i niezliczonym wskaźnikom.

- Była przerwa w zasilaniu? - dopytywał się Slater.

- Dwie króciutkie, za każdym razem trwały najwyżej sekundę - odparł Rudy. - Poza tym wszystko w porządku.

Slater odetchnął z ulgą, wtem telefon komórkowy w kieszeni jego spodni nagle zadzwonił, zawibrował, a kiedy go wyciągnął, umilkł.

- Zorza wysłała naprawdę silne fale elektromagnetyczne - powiedziała ze współczuciem Nika. - Pewnie właśnie straciłeś wszystkie zapisane kontakty i emaile.

- Powiadom mnie, gdyby któryś z generatorów przestał działać na dłużej niż minutę - poprosił Slater, a Rudy, nie odrywając wzroku od aparatury, dał mu znak, że to uczyni.

Slater wyszedł z szopy i dał się zaprowadzić na klif, gdzie sierżant Groves i Kozak zajęli już miejsca w pierwszym rzędzie, spoglądając ponad czarnym bezmiarem Cieśniny Beringa. Jakieś sto kilometrów nad wodą wirowała i falowała sięgająca wysoko w niebo migocząca świetlna zasłona, która mieniła się na zielono, żółto, fioletowo i różowo.

- Rozbłyśki słoneczne zafundowały nam dzisiaj niezłe widowisko - powiedział Kozak, na powitanie unosząc fajkę w stronę Slatera i Niki. W powietrzu dał się wyczuć aromat wiśniowego tytoniu.

- Słoneczne? - odezwał się Groves. - Od tygodnia widzimy słońce najwyżej trzy godziny dziennie.

- Wiatr słoneczny dociera do nas po dwóch dniach i kiedy strumień protonów i elektronów wpada w górne warstwy atmosfery, zderza się z ich atomami i bum! - Pociągnął fajkę. - Skutkiem takiego zderzenia jest promieniowanie w postaci światła. Różne atomy dają różne kolory. W Mongolii widziałem kiedyś szkarłatną czerwień. Ale to rzadkość.

- Hm, wystarczy i to - stwierdził Groves, wpatrując się w pulsujące zielone i żółte pasma, tworzące na niebie skomplikowane arabeski. - W Afganistanie nie można zobaczyć czegoś takiego.

Slater, który nigdy nie widział zorzy polarnej, też był pod wrażeniem, ale zielona opalizująca luna światła tańczących na horyzoncie w zaskakujący sposób skojarzyła mu się z okropnymi obrazkami w CNN tamtego dnia, gdy Stany Zjednoczone zaatakowały Bagdad, stosując swoją okrzyczaną doktrynę „szoku i przerażenia”. Wiedział, że prawie cała Ameryka siedziała wtedy przed telewizorami, czując dziwną mieszaninę euforii i wyrzutów sumienia, którą wywołuje wojna i demonstracja militarnej potęgi; kiedy był młody i bezmyślny, sam czasem to odczuwał. Ale na myśl o tym, co się dzieje na świecie, robiło mu się ciężko na sercu. Wysyłano go do zbyt wielu miejsc, które doświadczyła wojna, miejsc, gdzie nie został kamień na kamieniu i gdzie szalały wszystkie plagi, od cholery po tyfus. Przekonał się na własne oczy, jak wygląda ludzkie cierpienie.

- Rdzenni Amerykanie uważali zorzę polarną za drabinę do nieba - powiedziała Nika.

- Nic dziwnego - zgodził się Groves.

- Kiedy się pojawiała, myśleli, że patrzą na tańczące duchy przodków, które przechodzą na tamten świat.

- Może mieli rację - odrzekł Groves.

- Na pewno bije to na głowę pogrzeby w Rosji - rzekł z powagą Kozak. I w zamyśleniu zaczął ubijać tytoń w fajce.

Wszyscy byli ciepło opatuleni, aby ochronić się przed zimnym wiatrem, lecz Slater zwrócił uwagę, że Nika tylko narzuciła na siebie kurtkę, a jej długie włosy powiewają jak grzywa. Stojąc obok niego na krawędzi klifu i spoglądając na słabnące światła nad morzem - pasma zorzy splotły się teraz, tworząc żółtozieloną koronę - wyglądała jak naturalny element tego widowiska i zupełnie się nie dziwił, że wróciła z San Francisco na Alaskę i że została członkiem rady plemiennej. Zobaczył w niej jej przodków.

Chyba za bardzo się w nią wpatrywał, bo nagle odwróciła się do niego i spojrzała mu prosto w oczy, przechylając na bok głowę.

- Pierwszy raz?

- Zorza? - spytał. - Tak.

- Cieszę się, że zobaczyłeś ją ze mną - powiedziała z krzywym uśmiechem.

Właśnie w tym momencie, jak gdyby pokaz świetlnych strumieni nagle wessała czarna dziura, barwny kalejdoskop zniknął, a pozostały tylko jasne punkciki gwiazd i zimny wiatr od morza, który szarpał ich ubrania.

- Co się stało?

- Tak to właśnie wygląda - odrzekła.

Mimo to Frank i Nika zostali na klifie, podobnie jak Kozak i Groves, patrząc na pokryty krą ocean jak publiczność po koncercie licząca na bis. Bisu jednak nie było.

A potem gdzieś z głębi lasu dobiegło ich wycie.

- Zdaje się, że wszyscy są rozczarowani - zażartował Groves, kiedy odezwały się następne przeciągłe głosy.

Nika wzdrygnęła się i szybko okryła się szczelniej kurtką, podczas gdy żaloszny chór zagubiony w otaczającym kolonię lesie wył z tęsknoty za zgasłym światłem raj.

## Rozdział 35

Russell siedział w chacie od paru godzin, oszczędzając ostatnie piwo, jakie miał w kieszeni, i czekając, aż Harley i Eddie po niego przyjdą. Czy naprawdę spodziewali się, że sam znajdzie drogę przez las, a tym bardziej trafi do tej zasranej ciasnej jaskini, w której się ukrywają?

Przez pierwsze pół godziny wyczerpał wszystkie możliwości, starając się znaleźć w chacie jakąś rozrywkę. Były tu stare skóry zwierząt - wydr, bobrów i niedźwiedzi - którymi przykryto niedokończone nagrobki, a pod ścianami stały zardzewiałe łopaty i siekiery. Oprawiona w skórę książka na stole była napisana po rosyjsku, ale z kolumn nazwisk i dat, ciągnących się przez prawie wszystkie strony, odgadł, że to pewnie rejestr prowadzony przez kościelnego. Były tu informacje, kto gdzie i kiedy został pochowany. Przez chwilę Russell wrywał kartki i próbował rozpaść ogień zapalniczką Bic, lecz każdy kawałek papieru po prostu zniknął w obłoczku dymu, nie dając nawet odrobiny ciepła. Resztę książki wepchnął do kieszeni, na wypadek gdyby okazała się coś warta w oczach jakiegoś świra z antykwariatu w Nome.

Dopiero gdy zniknęły resztki dziennego światła i na niebie nagle pojawiła się zorza polarna, zdał sobie sprawę, że jest zdany tylko na siebie i że nikt po niego nie przyjdzie i nie zaoferuje mu pomocy. Mógł w tej chacie powoli zamarznąć na śmierć albo na własną rękę próbować wrócić do jaskini. Wiatr gwizdał przez szpary w drewnie i tak mocno grzechotał żerdziami w drzwiach, że stukały jak kastaniety.

Przeklinając Harleya, przeklinając Eddiego i przeklinając swojego pecha, Russell wstał i natychmiast tego pożałował. W tamtej dziurze na cmentarzu skręcił nogę i choć myślał, że ból minie, kostka wciąż puchła. Gdy spuścił skarpetę, zobaczył, że skóra przybrała już głęboko fioletową barwę. Nasilał się pulsujący ból. Russell powoli i ostrożnie pokuśtykał do drzwi i wyrwał jedną z żerdzi, żeby móc się nią podeprzeć jak kulą.

Skóra mu cierpła na myśl, jak strasznie będzie bolało, gdy naprawdę spróbuje iść z takim paskudnym skręceniem.

Niebo wciąż rozświetlał migoczący blask zorzy polarnej. Russell widział to już tysiące razy w życiu, widok nie robił więc na nim większego wrażenia, miał jednak nadzieję, że zostanie przynajmniej jeszcze trochę światła. W drugiej ręce trzymał latarkę - Harley dopilnował, żeby każdy z nich miał niezbędny ekwipunek - ale nawet w gęstych zaroślach i pod niskimi koronami drzew zorza dawała dość światła, by mógł znaleźć drogę przez gąszcz. Zaśnieżone gałęzie mieniły się wszystkimi kolorami wielobarwnego kalejdoskopu na niebie - na zielono, żółto i blad różowo - i cały las wyglądał dziwnie i nieprawdziwie, jak z jakiegoś filmu. Filmu, w którym Russell nie miał najmniejszej ochoty występować.

Silny wiatr niósł płatki śniegu i drobinki lodu. Russell miał mgliste pojęcie, gdzie się znajduje. Wiedział, że kolonia leży bliżej morza, a jaskinia gdzieś na zachodzie, ale gdy usłyszał zbliżające się głosy i na oślep uciekł do lasu, zupełnie stracił orientację.

Piwo prawdopodobnie też mu nie pomogło.



Kuśtykając i świecąc sobie latarką pod stopy, aby nie potknąć się na nierównej ziemi, postanowił, że jeśli przyływ nie ściągnął jeszcze „Kodiaka” z mielizny, to z jego pokładu nawiąże kontakt z łodem, przyzna się, że utknęli na Świętym Piotrze i w jakiś sposób wróci do Port Orlov. Jeżeli nawet w tych trumnach są jakieś klejnoty, ten Slater i Straż Przybrzeżna i tak będą tam pierwsi, więc po diabła tu zostawać?

Gdy zorza polarna nagle zgasła - Russellowi zawsze wtedy przypominał się dziadek, który palcami zduszał płomień świecy - w lesie zrobiło się prawie całkiem czarno. Tylko księżyc i gwiazdy pozwalały coś zobaczyć.

Starając się nie zwracać uwagi na ból w kostce, Russell skupił się na tym, co zrobi po powrocie do domu - wyobraził sobie, jak pije browar w barze „Yardarm” i rozgrywa partyjkę bilarda - gdy nagle usłyszał jakieś poruszenie w kępie olch. Przystanął, spodziewając się, że wyleci stamtąd stado przepiórek albo czmychnie wiewiórka, ale nic takiego się nie stało. Czekał w ciszy - gdyby to był niedźwiedź, wolałby uniknąć spotkania z nim tak samo jak on - po czym powiedział najbardziej zuchwałym tonem, na jaki mógł się zdobyć:

- Uważaj, gnojku, idę. - Zawsze dobrze było lojalnie uprzedzić niedźwiedzia.

Ale z gęstwiny nie dobiegł już żaden dźwięk ani żaden zapach i Russell ruszył w dalszą drogę. Chętnie zamieniłby latarkę na pojemnik gazu pieprzowego, który nosił przy sobie Harley. Wiedział, że na wyspie są wilki, ale wilki nigdy nie atakowały ludzi. Szukały stad wapiti i wybierały spośród nich młodą albo słabą sztukę. Szedł dalej, jedną ręką wspierając się na desce, a drugą, w której miał latarkę, odsuwał nisko wiszące gałęzie. Nigdy nie sądził, że zatęskni za swoim wozem z butlami propanu, ale w tym momencie chętnie usiadłby za jego kierownicą. Miał tylko nadzieję, że szef nie będzie się za bardzo czepiał, że przez parę dni nie pojawił się w pracy; powiedział mu, że musi odwiedzić chorego krewnego, ale gdyby prawda wyszła na jaw, albo co gorsza dotarła do kuratora, Russell znalazłby się w poważnych tarapatach.

Znów usłyszał szelest i tym razem kątem oka dostrzegł jakiś ruch za omszałym pniem drzewa. Wierzchem rękawiczki przetarł oczy, żeby lepiej wiedzieć - śnieg zaczynał padać coraz gęściej - i skierował latarkę na zarośla. Ale nagle wszystko się uspokoiło.

Uspokoilo się aż za bardzo... jak gdyby leśne stworzenia uciekły albo się przyczaiły.

Poczuł, jak jeżą mu się włoski na karku. Nie zrobił ani kroku, wiedział jednak, że nie czas teraz stawać w miejscu. Zastanawiał się, czy nie powinien wrócić do chaty i wziąć którąś z zardzewiałych łopat, żeby w razie potrzeby mieć przynajmniej czym się bronić. Żerdź, na której się wspierał, nie bardzo się do tego nadawała.

Ale kiedy się odwrócił, uświadomił sobie, że wcale nie będzie mu łatwiej trafić z powrotem do chaty niż do jaskini. Drzewa rosły tak gęsto, a ziemię przykrywało tyle mchu, liści i błotnistej śniegu, że musiałby być Eskimosem, aby odnaleźć drogę. A perspektywa pozostania na noc w lodowatej i strasznej chatce przejmowała go takim dreszczem przerażenia, że wołał o tym nie myśleć.

Odwrócił się w stronę, w którą wcześniej szedł, i starając się stąpać bezszelestnie, ruszył dalej. Gdy będzie się trzymał linii prostej, w końcu dotrze do klifu z drugiej strony - cała ta pieprzona wyspa nie jest przecież taka duża - a stamtąd mógłby pójść wzdłuż brzegu, dopóki nie znalazłby łodzi w zatoczce. To nie powinno być takie trudne ani zabrać za dużo czasu. Powiedział sobie, że musi tylko mieć się na baczności, nie zwracać uwagi na ból w kostce i cały czas iść naprzód.

Nagle coś przemknęło przed nim przez ścieżkę.

Jezu Chryste. Zatrzymał się jak wryty, nie mając pojęcia, co to było. Poruszało się szybko jak cień. Słyszał te wszystkie legendy o ludziachwydrach, ale kto by wierzył w takie eskimoskie bajdy? Podobno miał z nimi jakiś związek ten stary totem w miasteczku, który prawie się już zawalił. Kiedyś próbował o tym opowiadać jego nauczyciel w trzeciej klasie, ale Russell w ogóle nie uważał.

Teraz żałował.

Zastanawiał się, czy lepiej być cicho i jak najszybciej uciekać, czy narobić hałasu i próbować przedrzeć się dalej. Ale to wszystko zależało od tego, z kim albo czym miał do czynienia, a na razie nie zobaczył nic konkretnego, co pozwoliłoby mu znaleźć odpowiedź na to pytanie.

Za jego plecami trzasnęła gałązka. Odwrócił się gwałtownie. Podmuch wiatru sypnął mu w twarz śniegiem z konara drzewa, ale zmrużywszy oczy, Russell ujrzał wyglądającą z zarośli parę oczu - żółtych i skupionych.

Instynktownie dźgnął żerdzią gąszcz, ale w nic nie trafił. Oczy zniknęły równie nagle, jak się pojawiły.

Nie zamierzał jednak czekać. Zaczął się przedzierać przez las, nie czując bólu w kostce, który uśmierzyła pulsująca w żyłach adrenalina. Roztrącał z drogi gałęzie, gramolił się przez pnie powalonych drzew, ślizgał się na mokrym mchu, wdepnął nawet w obrzydliwe gęsie odchody. Nagle śliskim od gówna butem zahaczył o coś twardego, co wystawało z ziemi i runął jak długi, uderzając głową w gnijącą kłodę. Latarka wyleciała mu z dłoni.

Przez chwilę leżał oszołomiony, czuł jednak, że wciąż coś go tropi, śledzi, próbuje go zmęczyć. Najpierw usłyszał odgłos po prawej - chrzęst śniegu pod stopą albo łapą - a potem

odgłos po lewej, przypominający dyszenie. A więc jest ich więcej. Miał wrażenie, jakby prześladowcy uważnie go obserwowali na pewno już wiedzą, że nie jest w pełni sprawny, i tylko czekają na okazję, żeby go zabić... jak ranne zwierzę, które oddzieliło się od stada.

Tak jak to robią wilki.

Szybko nabrał powietrza i dźwignął się na nogi, opierając się na żerdzi. Wiedział, że jeżeli będzie sprawiał wrażenie słabego i przestraszonego, tylko ośmieli napastników. Kiedy zagrozi ci niedźwiedź, najlepiej nie ruszać się z miejsca, postarać się wyglądać na większego, niż jesteś naprawdę i narobić rabanu. Z wilkami wygląda to jednak inaczej. Ta gra nigdy ich nie męczy... bo dla nich to gra. Zmieniają się i jeden tropi zwierzę, a potem odpoczywa, a pościg podejmuje drugi. Dręczą i gnębią ofiarę, depczą jej po piętach, podgryzają i warczą nad uszami, biegając dokoła, tak że stworzenie dostaje zawrotów głowy, starając się nie stracić z oczu żadnego z wilków. Russell raz poszedł na polowanie z wujkiem i obserwował, jak wataha wilków okrążyła wygłodniałego kojota, który miał czelność poczęstować się ich łupem. Otoczyły go ciasnym kołem, zabezpieczając wszystkie możliwe drogi ucieczki, a potem podkraśli się bliżej, a gdy kojot uniósł łeb znad uczyty, zobaczył, że nie ma dokąd uciec.

Instynktownie dźgnął żerdzią gąszcz, ale w nic nie trafił. Oczy zniknęły równie nagle, jak się pojawiły.

Nie zamierzał jednak czekać. Zaczął się przedzierać przez las, nie czując bólu w kostce, który uśmierzyła pulsująca w żyłach adrenalina. Roztrącał z drogi gałęzie, gramolił się przez pnie powalonych drzew, ślizgał się na mokrym mchu, wdepnął nawet w obrzydliwe gęsie odchody. Nagle śliskim od gówna butem zahaczył o coś twardego, co wystawało z ziemi i runął jak długi, uderzając głową w gnijącą kłodę. Latarka wyleciała mu z dłoni.

Przez chwilę leżał oszołomiony, czuł jednak, że wciąż coś go tropi, śledzi, próbuje go zmęczyć. Najpierw usłyszał odgłos po prawej - chrzęst śniegu pod stopą albo łapą - a potem odgłos po lewej, przypominający dyszenie. A więc jest ich więcej. Miał wrażenie, jakby prześladowcy uważnie go obserwowali na pewno już wiedzą, że nie jest w pełni sprawny, i tylko czekają na okazję, żeby go zabić... jak ranne zwierzę, które oddzieliło się od stada.

Tak jak to robią wilki.

Szybko nabrał powietrza i dźwignął się na nogi, opierając się na żerdzi. Wiedział, że jeżeli będzie sprawiał wrażenie słabego i przestraszonego, tylko ośmieli napastników. Kiedy zagrozi ci niedźwiedź, najlepiej nie ruszać się z miejsca, postarać się wyglądać na większego, niż jesteś naprawdę i narobić rabanu. Z wilkami wygląda to jednak inaczej. Ta gra nigdy ich nie męczy... bo dla nich to gra. Zmieniają się i jeden tropi zwierzę, a potem odpoczywa, a

pościg podejmuje drugi. Dręczą i gnębią ofiarę, deptają jej po piętach, podgryzają i warczą nad uszami, biegając dokoła, tak że stworzenie dostaje zawrotów głowy, starając się nie stracić z oczu żadnego z wilków. Russell raz poszedł na polowanie z wujkiem i obserwował, jak wataha wilków okrążyła wygłodniałego kojota, który miał czelność poczęstować się ich łupem. Otoczyły go ciasnym kołem, zabezpieczając wszystkie możliwe drogi ucieczki, a potem podkraśli się bliżej, a gdy kojot uniósł łeb znad uczy, zobaczył, że nie ma dokąd uciec.

A potem wilki rzuciły się na niego wszystkie naraz, wściekłą masą najeżoną kłami i pazurami.

Russell był tak zdezorientowany i przerażony, że nie miał pojęcia, w którą stronę się obrócić. Wiedział tylko, że jaskinia jest dość daleko, a rosyjska kolonia blisko. Mógłby oddać się w ręce Straży Przybrzeżnej, powiedzieć im, że jest głupim kajakerem, którego morze podczas burzy wyrzuciło na wyspę. Może nawet ten doktor Slater mógłby rzucić okiem na jego kostkę albo jeszcze lepiej dać mu coś na uśmierzenie bólu.

Kolonia, o ile dobrze zapamiętał, znajdowała się po jego lewej, w kierunku cieśniny. Mając na oku zarośla i poruszając się szybko, ale i ostrożnie, ruszył na przelaj przez las. Śnieg sypał jeszcze mocniej. Przypominając sobie coś, co kiedyś mówił mu wujek, pomyślał, że mógłby tu i ówdzie łamać końce gałęzi, żeby zaznaczyć trasę, wiedział jednak, że jest za ciemno, żeby później w ogóle potrafił takie ślady odnaleźć. Mógłby to zrobić dopiero następnego dnia... a zaczynał wątpić, czy go dożyje.

Coś przeskoczyło przez zwalone drzewo po prawej i Russellowi mignęło lśniące czarne futro.

A potem z drugiej strony dobiegł skowyt.

Krótki, jak sygnał dla kompana.

Odpowiedział mu taki sam.

Russell przyspieszył kroku, słysząc łomot własnego serca. Zacisnął dłoń na desce, swojej jedynej broni. Wyteżał wzrok, aby zobaczyć coś przed sobą, aby dostrzec ślad kolonii. Miał urywany oddech, ale zmusił się, żeby oddychać równiej i głębiej. Najważniejsze to stale posuwać się naprzód. Ruszą do ataku tylko wtedy, gdy uznają, że ofiara jest bezradna i dała za wygraną... albo jeżeli zasmakowało im ludzkie ciało.

Skup się, powiedział sobie, nadal prąc naprzód. Skup się. I za drzewami na zboczu dojrzał kawałek czegoś jasnozielonego. I rozświetlonego od środka.

Namiot! Jeden z namiotów w kolonii!

Stał za tym, co w tym miejscu zostało z palisady. Jezu, Russell miał wrażenie, jakby od chwili, gdy pierwszy raz zobaczył tę cholerną kolonię, minęło ze sto lat. Niezdarnie zaczął schodzić po stoku, wbijając żerdź w zarośla, aż wreszcie, słaniając się na nogach, ale z radością, wszedł przez szparę w drewnianym ogrodzeniu.

Znalazł się za starym kościołem, ale kiedy się odwrócił, zobaczył, że między balami przekradają się też wilki - nie dwa, lecz cztery, całe czarne, o błyszczących żółtych oczach. Biegły z nisko pochylonymi łbami i zjeżoną sierścią na karku, wyraźnie nie zamierzając zrezygnować z polowania.

Machnął żerdzią, zataczając szeroki łuk, ale cofnął się tylko jeden z nich. Pozostałe nie ruszyły się z miejsca i powarkiwały, a z ich pysków kapały kropelki śliny.

‘ - Na pomoc! - wrzasnął Russell, ale słyszał tylko wycie wiatru. - Niech mi ktoś pomoże!

Czuł, że wilki ustawiają się wokół niego, odcinając drogę ucieczki. Znów zamachnął się żerdzią, ale tym razem przewodnik stada stojący na przedzie, z białą plamką na pysku, chwycił zębami koniec kija, o mały włos nie wyszarpując mu go z rąk. Russell poczuł ciepło jego ciała i cuchnący oddech.

Rozglądając się, zobaczył otwór przy fundamentach kościoła, niewiele większy niż kłapa studzienki kanalizacyjnej, ale wystarczająco duży, by się w nim schować. Wycofał się w tę stronę, dźgając żerdzią do każdego wilka, który za bardzo się zbliżył. Kiedy samiec alfa znów rzucił się naprzód i zacisnął zęby na kiju, Russell gwałtownie puścił żerdź, odwrócił się

I wgramolił do dziury. Drzazgi z nierównego drewna wbiły mu się przez rękawice w skórę, ale z całej siły wciągnął się jak najdalej, wsuwając resztę ciała. Złożony jak scyzoryk, cały znalazł się w ciemnym wnętrzu, kiedy coś szarpnęło go za podeszwę buta. Pociągnął nogę mocniej, modląc się w duchu, żeby but zahaczył się tylko o kawałek drewna, ale coś szarpnęło go jeszcze mocniej.

A potem poczuł kły wbijające się w but, wełnianą skarpetę... i w jego skórę.

Szarpnął się jeszcze raz, ale ze zdumieniem poczuł, że coś go ciągnie do tyłu. Rozpaczliwie czepiał się rękami grubych drewnianych ścian, szukając jakiegoś punktu oparcia, ale udało mu się chwycić tylko garść drzazg i trocin. Potrząsnął i wierzgnął nogą. Usłyszał, jak drą mu się spodnie i poczuł ciepło własnej krwi, która zaczęła się przesączać przez skarpetę.

Znów wydał z siebie wrzask, który rozległ się echem w pustym kościele.

Po chwili inne zęby zacisnęły mu się jak imadło na drugiej stopie.

Wypełził na zewnątrz jak wąż wyciągany za ogon z nory i padł na ziemię. Obracając się, żeby walnąć pięściami w te wściekle pyski, zobaczył nad sobą rozszalałe żółte oczy, czarną sierść i rozwarte szczęki. Próbował unieść ręce, żeby się bronić, ale przewodnik stada już wcisnął mu pysk pod brodę i szybko odnalazł tętnicę szyjną. A potem zatopił w jego ciele zęby, długie i ostre jak grube igły.

## Rozdział 36

Palił się elektryczny żyrandol, a spaniel Jemmy, która zwykle smacznie spał u jej stóp, poruszył się niespokojnie. Anastazja przetarła oczy i spytała:

- Co się dzieje?

W drzwiach stał jej ojciec w koszuli nocnej.

- Komendant powiedział, żebyśmy się ubrali i zeszli do jednego z pomieszczeń na dole.

- Dlaczego? - zapytała z łóżka Olga.

- Mówi, że w mieście są jakieś zamieszki i bezpieczniej będzie opuścić pokoje na piętrze.

Wszystkie cztery dziewczęta szybko spojrzały po sobie, zastanawiając się, co to może naprawdę oznaczać, ale Anastazja modliła się, aby to była pierwsza wiadomość o rychłym uwolnieniu. Siergiej mówił, że wymieniano liczne telegramy z Moskwą i że coś się szykuje. Może Biała Armia rzeczywiście jest już niedaleko. Już teraz wiatr w nocy niósł z oddali stłumione huk wystrzałów.

Dziewczęta wyskoczyły z łóżek i ledwie zaczęły się ubierać, pojawiła się matka i przypomniała im, żeby nałożyły specjalne gorsety - z pieczołowicie zaszytymi w podszewkach carskimi klejnotami.

- Musimy być przygotowani na wszystko - powiedziała Aleksandra. Ale w jej głosie brzmiała też nutka nadziei, której Ana nie słyszała od wielu miesięcy, odkąd zostali uwięzieni. - Być może nie wrócimy już do tych pokoi.

Chociaż dziewczęta pracy nad gorsetami poświęciły niezliczone godziny, nigdy ich jeszcze nie nosiły i okazało się, że gorset Any waży o wiele więcej, niż mogła sobie wyobrazić. Trudno go było założyć, a mając jeszcze na szyi szmaragdowy krzyż od ojca Grigorija, czuła się jak chodząca szkatułka z biżuterią.

Podobnie jak siostry, założyła długą czarną spódnicę i białą bluzkę, a gdy wyszły na korytarz, zebrali się tam już ich wszyscy współtowarzysze wygnania: doktor Botkin, przecierający okulary w złotych oprawkach, służący ojca Trupp, osobista pokojówka matki Demidowa i kucharz Charitonow. Tatiana zapytała, która godzina, i doktor Botkin spojrzął na swój kieszonkowy zegarek.

- Prawie pierwsza.

Po chwili przyszła matka, ściskając poduszkę, w której także ukryte były klejnoty (drugą miała Demidowa), a na koniec pojawił się ojciec, niosąc na rękach śpiącego Aleksego. Jej ojciec był niewysoki, ale barczysty i krzepki, dlatego zawsze nosił Aleksego z taką łatwością, jakby syn ważył tyle co piórko. Ana miała na rękach Jemmyego, który dla odmiany był zaskakująco spokojny.

Mikołaj ruszył przodem, a za nim po skrzypiących schodach zeszła do holu na dole reszta rodziny. Jurowski już tam na nich czekał, gładząc się po czarnej bródce. Miał na sobie długi płaszcz, o wiele za ciepły na lipcową noc.

- Tędy - powiedział, prowadząc ich na dziedziniec. Ana tak się ucieszyła, że może popatrzeć na gwiazdy i odetchnąć świeżym powietrzem, przesyconym wonią bzu i fuksji, że omal nie krzyknęła z radości. Po chwili zeszli schodami do piwnicy.

- Proszę poczekać tutaj - powiedział komendant. - To nie potrwa długo.

Pomieszczenie nie było wiele większe niż pokój dziewcząt na górze, ze ściany obłaziła tapeta w żółte paski. W pokoju nie było żadnych mebli, więc

Ana zastanawiała się, czy Jurowski już nie zaczął ograbiać domu. U sufitu wisiała na kablu goła żarówka, zalewając pustą przestrzeń ostrym światłem. Zanim komendant zamknął za sobą podwójne drzwi, Aleksandra zapytała:

- Możemy dostać jakieś krzesła?

Anastazja wiedziała, że matkę bolą plecy, wiedziała też, że najbardziej troszczyła się o Aleksego.

- Oczywiście - odparł Jurowski i zamknął drzwi. Ana doszła do wniosku, że nigdy nie zobaczą krzesel, tak jak nie zobaczyli szafwii ani niczego innego, co obiecywał, lecz ku jej zdumieniu, chwilę później Jurowski kopniakiem otworzył drzwi i wstawił do pokoju dwa drewniane krzesła.

Na jednym usiadła Aleksandra, spokojnie podkładając sobie pod plecy poduszkę, jak gdyby dla wygody, a na drugim Mikołaj, tuląc w ramionach Aleksego.

- Kapitalistyczne gazety rozpowszechniają informacje, że uciekliście albo że nie jesteście dostatecznie chronieni - oznajmił Jurowski. - Musimy wam zrobić zdjęcie, żeby raz na zawsze zadać kłam tym plotkom. Proszę się ustawić tak, żeby było widać wszystkich.

Ponieważ portretowano ich tysiące razy, rodzina carska posłusznie zajęła swoje tradycyjne miejsca, czyli rodzice i Aleksy pośrodku, a dziewczęta po bokach.

- Tak, tak - powiedział Jurowski, kierując doktora Botkina i pozostałych, aby stanęli w jednym rzędzie pod ścianą za carską rodziną. - Otóż to. Niech wszyscy zostaną tam, gdzie stoją.

Następnie znów otworzył drzwi i wyszedł. Nie było na co patrzeć ani co robić. Ana wierciła się w gorsecie i było jej duszno - nie tylko z powodu wagi, ale także grubości stroju. Kto mógł przypuszczać, że brylanty i rubiny są takie ciężkie? Olga położyła matce rękę na ramieniu, a Aleksandra ucałowała ją i uściśnęła z nadzieją.

Ana zastanawiała się, gdzie jest Siergiej i czy wie, co się teraz dzieje. W pomieszczeniu było tylko jedno zakratowane okno wychodzące na dziedziniec, ale umieszczone wysoko, więc nie mogła wyjrzeć na zewnątrz. Ciekawe, ilu oficerów jedzie im na ratunek.

Wydawało się, że w tej pozbawionej powietrza piwnicy czas się zatrzymał, gdy upozowani czekali na fotografa, żeby przyszedł wreszcie ze swoim statywem, aparatem i czarną płachtą. Jemmy się wiercił, ale Anastazja nie chciała go stawiać na podłodze w obawie, żeby nie narobił jakichś kłopotów. Komendant przy wielu okazjach dał im wyraźnie do zrozumienia, że nie cierpi psów.

Gdy drzwi ponownie się otworzyły, wszedł Jurowski w długim rozpiętym płaszczu i z dziesięcioma strażnikami, którzy wpełchnęli się do pokoiku razem z nim. Czytając głośno z kartki, którą trzymał wysoko w górze, Jurowski obwieścił, że „wobec faktu, że wasi krewni i zwolennicy nie zaprzestali ataków na Rosję Radziecką, Rada Uralska\* postanawia skazać was na śmierć”.

Anie się zdawało, że nie usłyszała wyraźnie, a jej ojciec, obrzuciwszy szybkim spojrzeniem zebraną wokół niego rodzinę, odwrócił się do Jurowskiego z niedowierzaniem w oczach i zapytał:

- Co? Co?

Komendant szybko powtórzył wyrok, słowo po słowie, a następnie wyciągnął zza pasa rewolwer i strzelił byłemu carowi prosto w czoło. Ana Zobaczyła, jak ojciec pada tyłem na krzesło, upuszczając na podłogę Aleksego. Zobaczyła jak matka podnosi rękę, żeby się



przeżegnać, a siostry kulą się pod ścianą. Usłyszała krzyk Demidowej i protesty Botkina, a reszta zmieniła się w straszny, niewyraźny obraz.

Gwardziści wyciągnęli broń i Ana pamiętała jedynie, jak pokój wypełnił ogłuszający huk, duszący dym, krzyki ludzi błagających o litość i tryskająca ciepła krew, krew, która lała się wszędzie. Jemmy zmienił się w mokry

\* Uralska Obwodowa Rada Delegatów Robotniczych, Chłopskich i Żołnierskich - jedna z bolszewickich rad delegatów, działających w Rosji podczas wojny domowej 1917-1921 (przyp. red.). strzęp, zwisający bezwładnie na jej rękach, a gdy kule z brzękiem odbiły się od klejnotów zaszytych w jej gorsecie, Ana upadła na martwe i dogorywające ciała... ogień jednak nie milkł. Z trzaskiem pękła żarówka u sufitu, a ostatnią rzeczą, jaką widziała, kurczowo ściskając szmaragdowy krzyż ukryty pod bluzką, była zjawa Rasputina, który nagle wyrósł przed nią, jak gdyby wirujące kłęby dymu i prochu przybrały postać jego czarnej brody i sutanny. W jej uszach zabrzmiał jego niski dudniący głos, który szepnął jak wtedy, na balu bożonarodzeniowym:

- Zawsze będę cię strzegł, maleńkaja.

## Rozdział 37

Lantos, przyzwyczajona do pracy w optymalnych warunkach, jakie miała w MIT, musiała się dostosować do nowych okoliczności. Na przykład nie przywykła do tego, by jej stopy kleiły się do wilgotnych gumowych mat na podłodze, nigdy też arktyczny wiatr nie walił w ściany jej laboratorium. Nie była przyzwyczajona do jego wycia, przypominającego nieustanny huk fal przyboju, ani do kołyszających się nad głową lamp.

Kombinezon z tyteku i gumowy fartuch, które miała na sobie, też nie były zbyt wygodne. W lateksowych rękawiczkach, maseczce zakrywającej nos i usta oraz za dużych goglach, pod którymi musiały się zmieścić okulary, zmuszona była poruszać się wolniej i z większą uwagą, niż nakazywała jej natura. Wiedziała jednak, że ich misja musi szybko znaleźć odpowiedzi na ważne pytania. Z czym mieli do czynienia: z martwymi resztkami wygasłej zarazy czy z uśpioną, ale wciąż aktywną pozostałością największego mordercy, jakiego znał dotąd świat?

Przez wiele godzin badała próbki pobrane z różnych narządów młodego diakona, którego zwłoki, jak zdemontowany silnik, wciąż spoczywały w prosektorium w głębi namiotu. Nie lubiła zostawiać tak ciała, nie tylko z powodu zagrożenia, ale i dlatego, że

zawsze w pracy starała się zachować szacunek dla przedmiotu badań. Postanowiła, że gdy tylko Slater wróci z cmentarza, gdzie poszedł z Kozakiem ustalić, który grób otworzyć jako drugi, poprosi go o pomoc w złożeniu zwłok z powrotem.

Aby uzyskać pewność co do wyników, wspólnie ze Slaterem zdecydowali, że będą musieli ekshumować jeszcze co najmniej trzy ciała z różnych i odległych od siebie miejsc cmentarza. Chcąc uniknąć ryzyka przeniesienia zarażenia lub pomylenia pobranych próbek, postanowili również pracować nad każdym ciałem oddzielnie, zebrać potrzebne dane, a potem złożyć zbadane zwłoki z powrotem w zamrożonym grobie. Zdaniem Lantos najprostsze procedury w laboratorium były zawsze najbezpieczniejsze i najbardziej eleganckie, zwłaszcza gdy miało się do czynienia z tak zwanymi „czynnikami wybranymi” - najbardziej osławionymi patogenami, takimi jak rycyna, węglik i wirus Ebola - w dodatku w tak trudnych warunkach.

Kiedy rozciągnęła mięśnie i na moment przycisnęła dłonie do krzyża, zaczęła się zastanawiać, czy pójść do stołówki i szybko wzmocnić się jakąś owsianką i kubkiem kawy, czy przeprowadzić jeszcze jeden test. Myśl o przerwie była kusząca, ale z ubieraniem i rozbieraniem było tyle kłopotu, że postanowiła zabrać się do jeszcze jednego etapu pracy.

Próby na zwierzętach.

Lantos miała słabość do myszy, które rutynowo poddawała testom. Były stworzeniami o wiele inteligentniejszymi, a nawet bardziej przebiegłymi, niż powszechnie uważano. Ale medycyna i nauka dla swoich celów wyhodowała, wykorzystywała i zniszczyła ich już miliony; na swoje nieszczęście się szybko rozmnażają i mają genetyczne odpowiedniki, w części niemal identyczne, dziewięćdziesięciu dziewięciu procent genów ludzkich. Lantos żałowała, że nie ma innego i lepszego sposobu zebrania potrzebnych naukowcom informacji... ale, jak dotąd, nikt nic takiego nie wymyślił.

Miała ustawione na blacie trzy szklane pojemniki, a w każdym z nich było sześć białych myszy. Jeden zawierał grupę kontrolną, która miała pozostać nietknięta, lokatorom drugiego miał być wstrzyknięty wirus zwykłej grypy, a trzeci był przeznaczony dla myszy, którym poda się szczep lub materiał wirusowy wydobyty i wyizolowany z ciała diakona.

W kącie laboratorium znajdowała się otwarta skrzynia z dodatkowymi żywymi myszami do późniejszych testów. Lantos rano sprawdziła, czy mają co jeść i co pić.

Sięgając do drugiego pojemnika, wyciągała myszy jedną po drugiej i za pomocą zestawu strzykawek, którymi piekielnie trudno się było posługiwać w rękawiczkach, wstrzykiwała każdej dawkę szczepu, który najpowszechniej spotykało się wśród ludzi, gdy wyjeżdżała na wyspę. Mnóstwo osób na całym świecie zachoruje na to tej zimy, ale nikt nie

umrze, jeśli jego organizm nie jest upośledzony w inny sposób. Myszy biegały i gramoliły się na siebie, próbując uciec przed jej ręką, ale kiedy robiła zastrzyk, potulnie leżały w jej dłoni; zaznaczała im grzbiety niebieskim tuszem i wkładała z powrotem między towarzyszy.

Najwyższą ostrożność i uwagę musiała zachować przy trzecim pojemniku. Z krwi pobranej z zamrożonych żył diakona wydzieliła surowicę, którą następnie odwirowała i oczyściła, nadając jej nazwę WSP (od Wyspy Św. Piotra) i numer I. W ciągu najbliższych dni miały się pojawić następne. Surowica znajdowała się w niewinnej brązowej fiolce, opatrzonej małą pomarańczową nalepką, a napełniając miksturą nową strzykawkę i potem aplikując po dwie krople każdej myszy z trzeciego pojemnika, Lantos zastanawiała się, czy patrzy na nieszkodliwy płyn, czy na Armagedon w butelce. Każda mysz, której podała WSPI, została zaznaczona pomarańczową plamą na grzbiecie i ogonie.

Grypa kryła w sobie mrowie zagadek. Hiszpanka przenosiła się drogą powietrzną, szerząc się poprzez kaszel i kichanie jej ofiar; wirus znajdował się we wszystkich ich płynach ustrojowych, od śluzu i śliny przez łzy, odchody aż po krew. Wystarczyło, aby następna ofiara wciągnęła do płuc zatruty opar lub nieświadomie dotknęła skażonej powierzchni, a potem tą samą ręką sięgnęła do ust, nosa lub oczu, i grypa już miała nowego gospodarza.

Poza tym cały czas mutowała. O ile myszy budziły w Lantos współczucie, to grypa wywoływała w niej niechętny, pełen grozy podziw. Prędzej czy później doświadczają tego prawie wszyscy badacze. Wirus zachowywał się jak istny Houdini, uzbrojony w tysiące sztuczek, chwytów i akrobatycznych uników, które w nadzwyczaj łatwy i szybki sposób umożliwiały mu zajęcie jak największej populacji gospodarzy, a przy tym wciąż wyprzedzał o krok zdolność swojej ofiary do wytworzenia przeciwciał lub mechanizmów obronnych. Społeczność naukowców, nawet uzbrojona w najnowszą technikę i wyniki przeprowadzonych w ciągu dziesiątek lat badań, wśród nich także dr Lantos, często zdumiewała się, jak nieskończenie małe zmiany mogą przekształcić grypę z łagodnego utrapienia w śmiertelną chorobę o niewyobrażalnym zasięgu. Podczas rekonstrukcji grypy z 1918 roku naukowcy doszli do wniosku, że za zjadliwość choroby odpowiadają polimerazy, a w szczególności geny HA i NA. Ale sekwencje tych białek polimerazy nie tylko były obecne w późniejszych szczepach atakujących człowieka, ale zaledwie dziesięcioma aminokwasami różniły się od niektórych najbardziej niebezpiecznych wirusów ptasich gryp z ostatnich kilku lat. Lantos wiedziała, że choroba potrafi się przepoczwarzać, często na naszych oczach, zmieniając swoją strukturę genetyczną, aby wmieszać się w każdy tłum, jak imigrant przebijający się w nowe rzeczy, by nie rzucać się w oczy na ulicach.

Na domiar złego w ciągu stuleci, płynnie jak cyrkowy akrobata, nauczyła się przeskakiwać na inne gatunki. Nikt nie wie, czy następna pandemia czai się w świńskim chlewie w Boliwii, czy na kurzej fermie w Mak&u.

Gdy wszystkie myszy otrzymały zastrzyk i zostały oznaczone - pojemniki miały oddzielną wentylację i stały w odległości kilku metrów od siebie - Lantos zamknęła fiolkę z WSPI i ze względów bezpieczeństwa umieściła ją w zamrażarce w prosektorium. Wsunęła ją obok rzędu próbek pobranych ze zwłok diakona oraz wysadzanej brylantami ikony i kartki z modlitwą, które ścisnął w sztywnych dłoniach. Slater obiecał Kozakowi, że jeśli po wstępnych badaniach krew i tkanki okażą się czyste, pozwoli mu rozmrozić papier, by rozwinąć i odczytać zapisany na nim tekst. Profesor wyglądał jak dziecko, któremu obiecano wycieczkę do Disneylandu.

Jesteśmy dziwnymi stworzeniami, pomyślała Lantos, zamykając zamrażarkę. Mamy swoje pasje i zainteresowania, które na ogół w pewnym sensie kształtują się w dzieciństwie, a w dalszym życiu przekładają się na wybór zawodu. Kozak prawdopodobnie zbierał kiedyś kamienie i minerały i został geologiem, podczas gdy ją zawsze fascynował świat przyrody i niezliczone formy, jakie potrafiło przybrać życie. Spędzała lato na wybrzeżu Massachusetts, badając ruchliwe życie w basenach pływowych i zbierając z ojcem małże. Skąd to się wzięło? Jak przetrwało? Rozumiała, jak to wszystko się ze sobą łączy, ale jakie jest jej miejsce w tym łańcuchu (poza tym, że uwielbia zupę z owoców morza, choć ma z tego powodu wyrzuty sumienia)? Jeżeli istnieje naturalny porządek - lub nieporządek - to kto za niego odpowiada? To są ważne pytania. Lubiła o nich rozmyślać, a teraz, skupiając się na najmniejszych, choć najbardziej niestrudzonych formach życia na ziemi, postanowiła się poświęcić wielkim sprawom. Rozwiązać zagadkę grypy to jak znaleźć klucz do puszek pełnej tajemnic.

Która przy braku ostrożności mogła się okazać puszką Pandory.

Zamknęła zamrażarkę i kiedy się odwracała, by wyjść z prosektorium, zdawało jej się, że zobaczyła żółte światło jak gdyby latarni kołyszącej się przy głównym wejściu do namiotu laboratoryjnego. I chyba sylwetkę jakiegoś człowieka - raczej niskiego. Ale patrzenie przez kilka warstw grubego plastiku jest jak oglądanie czegoś na dnie stawu, wypełnionego mętną wodą. Przypomniały jej się kraby, które pośpiesznie szukały kryjówki, kiedy wkładała dłoń do basenu pływowego na plaży.

Rozchyliła zasłony prosektorium i wyszła, wciąż w maseczce i okularach ochronnych na twarzy, spodziewając się zobaczyć Slatera, a może nawet profesora. Po tylu godzinach pracy zatęskniła za ich towarzystwem.

Ale się myliła.

Myliła się jak jeszcze nigdy dotąd.

Stała jak wryta i znieruchomiała, lecz nie mogła stać się niewidzialna. Ludzka sylwetka zniknęła, poły namiotu były rozchylone, a na gumowych matach postawił łapy czarny wilk z białą łatką na pysku, ze zjeżoną od wiatru sierścią na grzbiecie i dziwnie ludzkim blaskiem w oczach.

## Rozdział 38

- Na ekranie ciągle widać te linie! - krzyknął Kozak do Slatera z drugiej strony cmentarza. Przesuwał georadar po zaśnieżonym gruncie tam i z powrotem, jak odkurzacz.

- Czyli to nie usterka komputera?

Kozak przecząco pokręcił głową. Pochylony, z łopoczącymi nausznikami czapki, przyglądał się cyfrowemu monitorowi zamontowanemu między uchwytami urządzenia. Profesora intrygowały widoczne na geotermicznej mapie terenu linie rozszczepów, nalegał więc, by wrócić na cmentarz i sprawdzić, czy znów się pojawią.

No i pojawiły się.

Slater zastanawiał się, czym można to wyjaśnić. Patrząc na chłostany wiatrem cmentarz, nie potrafił sobie wyobrazić, jak ktoś z własnej woli mógł się osiedlić w tak ponurym i niedostępnym miejscu jak Wyspa Św. Piotra, gdzie nawet zwykły pochówek wymagał wysiłku godnego Herkulesa.

Kozak plasnął się w czoło.

- No oczywiście! - powiedział do siebie, na tyle głośno, że usłyszał go stojący kilka rzędów grobów dalej Slater.

- Co, oczywiście? - zapytał stający między kamieniami a nagrobkami doktor.

- Takie linie i zniekształcenia zwykle widzi się tylko na polach minowych.

- Przecież tu nie było min - rzekł Slater, podchodząc do niego.

- Ale były wybuchy - odparł Kozak, wskazując na pokrywającą ekran komputera gęstą siatkę linii. - Widzisz, gdzie są?

- Wygląda na to, że wszędzie.

- Wszędzie, ale tylko na cmentarzu - poprawił Kozak. - Nie ma ich, gdy dojdiesz do końca rzędów. Ani gdy zaczniesz wchodzić do lasu.

- Dobra, kupuję to - zgodził się Slater.

- Osadnicy zdetonowali na cmentarzu jakieś ładunki, prawdopodobnie dynamit, żeby rozbić tundrę i wieczną zmarzlinę.

Oczywiście, pomyślał Slater, powtarzając jak echo za Kozakiem. To ma sens. Globalne ocieplenie musiało osłabić grunt, ale tutaj popękała nawet skała macierzysta. Nic dziwnego, że tamta trumna wpadła do morza.

Ale co by to mogło oznaczać z punktu widzenia epidemiologii? Co to oznaczało dla ciał ofiar grypy? Czy pod ziemią powstało napowietrzone lub niestabilne środowisko, a jeśli tak, to czy przyczyniło się do rozkładu ciał i zażegnało niebezpieczeństwo ze strony wirusa? Stan zwłok diakona świadczył o czymś wręcz przeciwnym - kiedy wydobyli ciało, było zamrożone na kamień - ale mogło się okazać, że to anomalia. Jedynym sposobem, aby się przekonać, była ekshumacja jeszcze co najmniej dwóch czy trzech ciał.

I należało to zrobić, zanim nadciągająca burza rozszałeje się na dobre.

Slater właściwie już podjął decyzję, który grób odkopią jako drugi. Znajdował się około dziesięciu metrów od klifu, a jeżeli potem zajmą się kwaterą najbardziej wysuniętą na północy zachód, powstanie trójkąt i w zależności od wyników badań prowadzonych przez Lantos w laboratorium, będą mogli wybrać punkt leżący wewnątrz lub poza wyznaczonym w ten sposób obszarem. Lantos pewnie zdążyła już sporządzić czystą próbkę krwi diakona, a może nawet zaczęła testy na zwierzętach. Slater chciał się jak najszybciej przekonać, jak jej idzie.

- To co, będziemy się zbierać? - zapytał.

Ale Kozak, pochłonięty przewijającymi się na ekranie komputera liczbami, tylko coś mruknął pod nosem.

- Wasilij?

- Idź sam. Chcę to jeszcze przeanalizować - rzekł profesor. - Zobaczymy się w obozie.

Slater wiedział, że lepiej nie przeszkadzać innemu naukowcowi, kiedy jest zaabsorbowany pracą - jemu też się zdarzało zasnąć przy biurku po dziesięciu czy dwunastu godzinach ślęczenia nad danymi. Klepnął więc Kozaka w wywatowane ramię parki i klucząc między grobami, ruszył do bramy. Wybrał chyba jednak nieco inną trasę niż przedtem, bo nagle jego stopa wpadła w śnieg i zagłębiła się w dziurze w ziemi. Podeszwa z głuchym łomotem uderzyła w skrzypiącą trumnę.

Jak razem z Kozakiem mogli tego nie zauważyć podczas pierwszych oględzin cmentarza przed kilkoma dniami?

Wyciągnął but, przyklęknął i odgarnął śnieg. Jakieś pół metra niżej zobaczył rozłupane wieko trumny, jak gdyby potraktowane toporem. Przez otwór w drewnie dostrzegł ciemny zarys zwłok.

Jezu Chryste, kiedy to się stało? W nikłym dziennym świetle trudno mu było ocenić, czy uszkodzenia są niedawne, czy to ślady wypadku sprzed stu lat, których dotąd nie zauważyli.

Tak czy inaczej, należało to zabezpieczyć, i to natychmiast.

- Co robisz? - zawołał Kozak.

- Tu jest dziura w ziemi! - odkrzyknął Slater. - I uszkodzona kwatery.

- Niemożliwe - odparł z oburzeniem profesor, zmierzając w jego stronę. - Sprawdziłem cały teren i gdyby była jakakolwiek dziura...

- Jest - przerwał mu Slater - i nie podchodź za blisko. Trzeba to zaraz zamknąć i odgrodzić. - Przystawiał już w myślach harmonogram ekshumacji; następnym do zbadania będzie ten grób i jego lokator, którego dojrzał przez szparę w wieku. Złapał kilka chorągiewek zaznaczających siatkę w terenie, po czym z całej siły wbił je w pokrytą śniegiem ziemię wokół granicy grobu. - Nie podchodź ani kroku bliżej - ponownie ostrzegł Kozaka - i nie pozwól podchodzić bliżej Rudyemu i Grovesowi.

Wstał i rozejrzał się, szukając oznak czyjegoś wtargnięcia, ale świeży śnieg zasypał wszystkie ślady, jakie mogli pozostawić intruzi. To nie miało żadnego sensu. Jeżeli rzeczywiście dziurę wykopano niedawno, kto mógłby to zrobić? Po co miałyby to robić?

I może nadal był na wyspie?

- Miej oczy otwarte - powiedział złowrogim tonem do profesora. - Być może nie jesteśmy tu sami.

Kozak patrzył na Slatera w osłupieniu, a on ruszył w stronę kolonii. Musiał ogłosić, że na cmentarz absolutnie nikt nie ma wstępu - choć miał na myśli przede wszystkim Nikę. Nie mógł dopuścić, żeby narażała się na niebezpieczeństwo i przychodziła tu odprawiać te swoje rytuały, dopóki otwarty grób był potencjalnym zagrożeniem.

Wyłożona matami ścieżka była śliska od śniegu i lodu i biegnąc nią, parę razy musiał się chwycić latarni, by nie stracić równowagi. Dzień szybko się kończył. Wbiegając przez bramę kolonii, usłyszał krzyk - niewątpliwie Ewy Lantos w laboratorium.

Co teraz?

Wpadł po pochylni do namiotu, zarzucając wszystkie środki ostrożności i procedury bezpieczeństwa, i zobaczył czarnego wilka skaczącego na plastikowe osłony prosektorium.

Lantos była w środku, wymachując piłą oscylacyjną i wołając o pomoc. Plastik był już pocięty na pasy, ale wilkowi nie udało się jeszcze pokonać przeszkody.

Slater przebiegł wzrokiem laboratorium, szukając jakiejś broni, ale widział tylko mikroskopy, fiolki i szklane pojemniki pełne zdenerwowanych białych myszy.

Wilk jeszcze raz zaatakował pazurami plastikowe płachty, oddzierając następny pas, po czym chwycił go zębami.

- Hej! - krzyknął Slater, żeby zwrócić na siebie uwagę. - Tutaj!

Wilk gwałtownie obrócił łeb. Na pysku miał białą plamkę, spomiędzy szczęk zwisał płat grubej folii.

Slater chwycił z blatu wagę do próbek i rzucił. Chybił, ale na sekundę odwrócił uwagę zwierzęcia.

- No dalej! - krzyknął, idąc tyłem w stronę wyjścia. - Chodź za mną, sukinsynu! - Złapał podkładkę do notatek i też cisnął w jego stronę; kartki odpięły się w locie. - Chodź za mną!

Ale wilk nie zamierzał dać się złapać na tę przynętę. Jak gdyby wiedząc, że napastnik jest niegroźny, obrócił łeb na bok, chwycił w zęby kawał grubej osłony i ze zdwojoną siłą znów zaczął ją rozrywać.

Lantos wrzasnęła, gdy wilk oderwał wielki płat zasłony i powstał na tyle duży otwór, by mógł się przez niego przecisnąć do wnętrza prosektorium.

Zamachnęła się piłą, lecz wilk skoczył na nią, błyskając kłami i wyciągając pazury, a Slater, biegnąc przez laboratorium, zobaczył, jak Eva pada pod ciężarem zwierzęcia.

Przedarł się przez ten sam otwór co wilk, porwał z tacy z narzędziami największy skalpel i chlasnął zjeżone włosy na karku zwierzęcia. Na pierwsze cięcie bestia nie zareagowała, tak jak i na drugie, dopiero po trzecim wilk zawył i z wściekłością obrócił się w jego stronę.

Slater cofnął się i ściskając w dłoni śliski skalpel, oparł się o zamrażarkę, szykując się do ataku. Ku jego zdumieniu, wilk warknął, ale zamiast rzucić się na niego, odwrócił się i skoczył na stół sekcyjny, kładąc łapy po obu stronach zwłok diakona, jak drapieźnik broniący swojej zdobyczy.

- Uciekaj! - zawołał Slater do Lantos, która leżała na podłodze w swoim kombinezonie i gumowych fartuchu. - Dasz radę?

Lantos wygramoliła się na nogi i wybiegła z prosektorium, trzymając się za brzuch, a Slater osłaniał ją, czując w gardle każdy swój oddech.



Wilki pochylił łeb nad okaleczonymi szczątkami na stole i powąchał je. Gęste czarne futro było zlepione jego własną krwią, która nadawała sierści oleisty połysk.

Slater zaczął się ostrożnie wycofywać, nie spuszczać wilka z oczu i cały czas trzymając skalpel.

Ale zwierzę nie ruszało się ze stołu, nie raczyło nawet na niego spojrzeć, gdy rozchylił zasłony i znalazł się w laboratoryjnej części namiotu. Oglądając się przez ramię, Slater pobiegł w stronę łopoczącego na wietrze otwartego wejścia. Zanim wyszedł na zewnątrz, jeszcze raz spojrzął na wilka przez strzępy ścian prosektorium. Zwierzę uniosło do nieba potężny łeb i zawyło głosem tak przejmującym i rozpaczliwym, jak żałobnik na pogrzebie.

Slater na miękkich nogach opuścił namiot, którego poły były zakrwawione, podobnie jak poręcz pochylni. W dogasającym świetle dnia zobaczył ślad jasnoczerwonych plam na śniegu, prowadzący w głąb kolonii. Wokół palisady rozległo się wycie wilków odpowiadających na zew.

Nigdzie nie widział jednak Lantos.

Ślady krwi i butów zmierzały najpierw w jednym kierunku, a potem w innym, jak gdyby gnała przed siebie na oślep, próbując po prostu oddalić się od laboratorium.

- Eva! - krzyknął, lecz odpowiedziały mu tylko wilki. - Eva!

Wokół niego jarzyły się na zielono namioty, ale ślad krwi zaprowadził go do starej studni, przy której znalazł głębszą i większą kałużę.

- Eva!

Leżała zwinięta w kłębek pod kamienną cembrowiną, trzymając się za brzuch. Kiedy ją odwrócił, zobaczył sączącą się z rozcięcia gumowego fartucha krew. Miała przekrzywioną maseczkę na twarzy. Pochylił się nad nią i zapytał:

- Słyszysz mnie?

Nie odpowiedziała, ale dotknął jej szyi i wyczuł puls.

- Trzymaj się - powiedział. - Wyjdiesz z tego, obiecuję. - Nie był jednak wcale pewien, czy dotrzyma tej obietnicy.

Śnieg rozpadał się na dobre i zapadł zmrok. Jeśli miał uratować jej życie, musiał ją zoperować i zamknąć ranę, ale wstęp do laboratorium był od teraz wzbroniony, tak samo jak do pozostałych namiotów kolonii. Lantos mogła zostać zarażona, musiał więc od zaraz poddać ją kwarantannie.

Przed nim wznosiła się przekrzywiona cerkiew z cebulastą kopułą, wziął więc Lantos na ręce, wspinał się po starych drewnianych stopniach, nogą otworzył drzwi i, najdelikatniej jak potrafił, położył ją na jednej z ławek.

Ucieszył się, kiedy usłyszał, że z jej ust wyrwał się jęk.

- Eva, zaraz wracam. - Ujął jej ręce, wciąż w lepkich rękawiczkach, i położył na brzuchu. - Trzymaj je tu, słyszysz? Uciskaj.

Cicho stęknęła, a Slater znów wybiegł na zewnątrz. Słyszac wycie wilków w lesie - czyżby zwietrzyły tę krew? - mocno zatrzasnął drzwi cerkwi. Zielone namioty, od których dzieliło go zaledwie pięćdziesiąt metrów, wydawały się odległe o całe kilometry. Ale nawet się nie zatrzymał, żeby złapać oddech, tylko zbiegł po schodach po zestaw narzędzi chirurgicznych.

Misja właśnie się zawaliła, ale jeżeli i on straci głowę, dojdzie do katastrofy na niewyobrażalną skalę.

## Rozdział 39

- Ale co z Russellem? - jęczał Eddie. - Musimy dalej szukać Russella!

Harley uważał, że już dość się naszukali Russella. Wrócili aż na cmentarz, gdzie ukryli się gdzieś za drzewami i widzieli jakiegoś przysadzistego gościa z siwą bródką, który popychał na śniegu coś, co przypominało kosiarkę, a potem próbowali iść przez las śladem swojego kumpla moczymordy. Jedyńm tropem, jaki znaleźli, była jego latarka leżąca pod krzakami, która ciągle świeciła. To nie wyglądało dobrze - dlaczego Russell, choć tępy, miałby wyrzucać latarkę?

- Nie możemy zostawić człowieka! - oświadczył Eddie, patrząc na niego płonącymi w półmroku oczami, a Harley, słyszac to, mało się nie porzygał. Nie możemy zostawić człowieka? Co ten Eddie sobie myśli? Że są marines?

- Daj spokój - poradził mu Harley. - Albo już zamarzył gdzieś na kość, albo zaszył się w kolonii, ma ciepło jak w uchu i wstawia kit o tym, jak płynął kajakiem i się zgubił.

Harley zmierzał właśnie do kolonii. Miał już dość cmentarza i jeszcze bardziej dość pieprzonego lasu. Jeżeli ci ze Straży Przybrzeżnej wykopali coś wartego uwagi, na pewno już znajdzie to w kolonii.

Nie było trudno przekraść się przez dziurę w palisadzie i tuż przed zapadnięciem zmroku zaprowadził Eddiego do ustronnego miejsca za szopą z generatorem. Pogrzebał w plecaku, wyciągnął lornetkę noktowizyjną i zarzucił ją sobie na szyję.

- Ej, skąd to masz? - spytał z zazdrością Eddie, gdy Harley regulował noktowizor.

- Z „Arctic Circle Gun Shoppe”.

- Ile kosztowała?

- Skąd mam wiedzieć? - Przecież za nią nie zapłacił. Rąbnął ją razem z kartonami racji żywnościowych.

Namioty świeciły się na zielono, ale między nimi było zupełnie ciemno i tu właśnie mogły mu się przydać obiektywy czułe na podczerwień. Harley był w stanie obserwować teren i gdyby ktokolwiek pojawił się na ścieżkach, zauważyłby niewyraźny zarys jego sylwetki. Jedyłą wadą było ciche i piskliwe brzęczenie, przypominające komara, który uporczywie bzyczy nad uchem.

Podobnie jak Eddie.

- Chcę zobaczyć! - domagał się Eddie, sięgając po lornetkę. - Pokaż.

Harley musiał go trzepnąć po łapach, a przy okazji zauważył, że Eddie jest na haju. Gdzieś po drodze musiał połknąć jakiegoś spida. Tylko tego trzeba było teraz Harleyowi - naćpanego współnika.

Zobaczył jakiś ruch przy kościele - ten Slater biegał po obozie w kombinezonie laboratoryjnym - a potem prowadził Nikę Tincook, burmistrza, oboje mieli ręce pełne jakichś prześcieradeł, koców i toreb z narzędziami medycznymi. O co tu chodzi? Mimo wiatru usłyszał ich zdenerwowane głosy, ale nie słyszał ani nie widział, żeby cokolwiek się działo w tym dużym namiocie przy głównej bramie... gdzie poły łopotały jak szalone, a w środku paliły się wszystkie światła.

- Chodź - powiedział do Eddiego. - Ale trzymaj się nisko i ani pary z gęby.

- Co robimy? Idziemy uratować Russella?

Harleyowi nie chciało się odpowiadać. Ruszył pochylony w głąb kolonii, przeskakując rury z PCW i kable elektryczne przeprowadzone na śniegu, a potem przelazł pod plecionymi sznurami wyznaczającymi granice ścieżek. Przed pochylnią zwolnił na sekundę - czyżby na poręczy była krew? - ale nie mógł przecież zostać na zewnątrz. Dał nura do środka i zaczął na Eddiego.

- Słuchaj, widziałeś krew na...

- Zamknij się - przerwał mu Harley, rozglądając się, ale nie zobaczył nikogo. Po obu stronach były blaty, na których stały zlewki, fiolki i mikroskopy; widok przypominał mu lekcje chemii, której nie zdał. Na monitorze komputera spostrzegł jakąś cząsteczkę - a może to był atom? - wolno obracającą się wokół własnej osi.

- Patrz no - powiedział Eddie, wskazując na trzy pojemniki z białymi myszami. - Twój wąż nie miałby chrapki na te maleństwa?

Zanim Harley zdążył go powstrzymać, idiota sięgnął do pojemnika i wyciągnął za ogon mysz. Miała na grzbiecie pomarańczową plamę i rozpaczliwie wiła się w powietrzu.

- Rzuć tę cholerną mysz - warknął Harley.

Eddie wyszczerzył zęby w uśmiechu i unióśł ją nad otwartymi ustami, jak gdyby chciał ją połknąć. Harley popchnął go na tyle mocno, że mysz zdołała się uwolnić i z piskiem pobiegła szukać bezpiecznego schronienia.

- Skopię ci tyłek, jeżeli zrobisz jeszcze jakąś głupotę - ostrzegł Harley.

- Już się boję - odrzekł Eddie, ale spuścił wzrok i więcej go nie prowokował.

Harley odwrócił się w stronę laboratorium; jedyną rzeczą, jaką warto byłoby stąd ukraść, były laptopy i może mikroskopy, ale to cholerstwo trudno byłoby dźwigać. Na drugim końcu namiotu wisiały porozrywane plastikowe zasłony sięgające od sufitu do podłogi. Wyglądało to jak jakaś kryjówka, ale wyraźnie ktoś wdarł się do środka. Sam ten fakt wystarczył Harleyowi.

Ruszył w głąb namiotu, zauważając, że tu też jest krew, a jeszcze więcej na pasach grubej folii. Nawet Eddie się ościagał.

Harley wsadził głowę do środka i omal nie zwymiotował.

Na stalowym stole leżały poćwiartowane zwłoki, a na wózkach i blatach stały miski i naczynia pełne krwi i narządów

- Rany boskie - powiedział Eddie, choć był tak nakręcony, że wszedł i stanął jak urzeczony. Uniósł zwisający skalp zasłaniający twarz trupa. - Ciekawe, kto to był.

Jeden z tamtych Rosjan, pomyślał Harley, ale dlaczego zrobili z nim teraz coś takiego...

- Zdaje się, że dobrał się też do niego wilk.

- Co ty wygadujesz? - spytał Harley, bojąc się popatrzeć na zwłoki z bliska. Jak Eddie może to znieść?

- Ślady łap - wyjaśnił Eddie, a Harley przemógł się i spojrział; wytrzymał na tyle długo, by się przekonać, że jednak Eddie przynajmniej raz ma rację. Na stalowym blacie były krwawe ślady łap - wyglądające na całkiem świeże.

Harley przebiegł wzrokiem niewielkie pomieszczenie, jak gdyby wilk mógł się tu gdzieś zacząć, ale tym razem jego uwagę przyciągnęła lodówka z kołem, które można zobaczyć na drzwiach do skarbcza w banku.

Ale patrząc na resztę pomieszczenia, wcale nie był taki pewny, czy chce to otwierać.

- Co tam jest? - spytał podniecony Eddie.

Harley dotarł tak daleko, że nie było już sensu się zatrzymywać. Przekręcił koło, rozległ się syk jak gdyby odklejanej uszczelki i w środku zapaliło się ostre białe światło.

Tu też zobaczył ustawione w szereg kolby i fiołki, z których wiele było oznaczonych nalepkami i etykietami, ale w głębi dostrzegł charakterystyczny biały błysk trzech brylantów, osadzonych w starej mosiężnej ikonie Matki Boskiej. Eddie też to zobaczył i wyciągnął rękę, przewracając połowę butelek i probówek w lodówce, ale Harley wcisnął obrazek do kieszeni na piersi i powiedział:

- Opchniemy to w Nome.

- Fakt, opchniemy - przytaknął Eddie. - To też.

Obok leżała kartka papieru zwinięta w rulon. Eddie zabrał ją z półki i niecierpliwie rozwinął; zwój zatrzeszczał i w kilku miejscach popękał.

Było na nim kilka linijek napisanych czarnym atramentem, który już zszarzał, a tekst był po rosyjsku.

- Czego się spodziewałeś, mapy skarbów? - zakpił Harley.

- Kto wie, może to prowadzi do skarbów - odparł Eddie, wpychając kartkę do kieszeni. Harley z niepokojem zauważył, że chowa też po kieszeniach probówki i fiołki.

- To jest gównem warte - powiedział Harley. - Co robisz?

- Dla kogoś może być coś warte - odrzekł. - I ten ktoś może mi zapłacić, żeby to dostać. - Zauważył, że ma już pełne kieszenie, i wcisnął jeszcze kilka Harleyowi. - Tobie też może zapłacić! - Harley znów dał mu po łapach - coraz bardziej żałował, że jeszcze przed wypłynięciem z Port Orlov nie przeszukał im plecaków, żeby sprawdzić, czy mają alkohol i prochy.

- Musimy stąd spadać - powiedział i gdy Eddie ostatni raz popatrzył na zmasakrowane zwłoki - co jeszcze chce ukraść, pomyślał Harley, nerkę? - wyszli do laboratorium.

- Laptopy? - podsunął Eddie, lecz Harley pokręcił głową. Komputery były rządowe i prawdopodobnie łatwo byłoby je zidentyfikować; poza tym chciał jak najszybciej wiać z tej cholernej rzeźni. Uszli najwyżej dwadzieścia kroków, gdy zobaczył krzepkiego czarnego faceta w wojskowej kurtce, który biegł do laboratorium razem ze strażnikiem Straży Przybrzeżnej. Mieli karabiny, jakby szli zapolować na niedźwiedzia... a może na wilka.

Harley dał nura za generator i przekradł się do dziury w palisadzie. Ale nawet lornetka noktowizyjna nie mogła mu pomóc odnaleźć drogi przez las; najpewniejsza trasa prowadziła wzdłuż klifu - trzymając się brzegu, w końcu trafi do zatoczki, gdzie utknął „Kodiak”, a jeśli ma trochę szczęścia, to może przyplływ ściągnął już kuter z mielizny.

Kłopot w tym, że jego kumpel Eddie był tak naćpany, że mógł spaść z klifu albo zabłąkać się w lesie, a przynajmniej na razie był Harleyowi potrzebny; na „Kodiaku” musiał mieć kogoś na pokładzie. Harley wyciągnął z plecaka nylonowy sznur, ciasno obwiązał nim w pasie Eddiego, który ze śmiechem próbował obracać się w kółko, a drugi koniec przywiązał sobie do pasa na narzędzia, w którym nosił nóż i gaz pieprzowy. Zostawił między nimi najwyżej cztery metry sznura.

Mając po jednej stronie skraj lasu, a po drugiej ocean, Harley ruszył naprzód wzdłuż brzegu, oświetlając sobie drogę latarką i uważając na ciernie i kamienie. Od czasu do czasu czuł pociągnięcia sznura, gdy Eddie zgubił krok albo zwolnił. Trasa byłaby trudna nawet w letni dzień, a w ciemnościach, przy chłoszczącym arktycznym wietrze znad Morza Beringa, jej pokonanie graniczyło z cudem. Kiedy oddalił się od kolonii, odetchnął trochę swobodniej i oświetlił latarką szerszy pas ziemi. Śnieg zeskorupiał i przy każdym kroku chrząścił pod butami. Harley wiedział jednak, że wystarczy jeden fałszywy ruch i obaj runą z urwiska.

Nie mając żadnych punktów orientacyjnych, nie potrafił obliczyć odległości, jaką pokonali. Mógł tylko brnąć przed siebie, licząc na to, że zauważy zatoczkę, w której stał zakotwiczony „Kodiak”; stamtąd bez trudu będzie mógł trafić do jaskini. Ale jeżeli ją przegapi albo minie, zgubią się gdzieś w burzy albo stanie się coś jeszcze gorszego. W bezlitosnym zimnie zaczynał już tracić czucie w dłoniach i stopach. Postanowił, że gdy tylko dotrą do jaskini, zapali kocher i zrobi jakąś gorącą zupę czy gulasz. W taką pogodę nikt nie będzie chodził na zwiady.

Eddie kilka razy się potknął i Harley musiał przystanąć, żeby mógł się podnieść. Im dłużej szli, tym większe miał wrażenie, że nie prowadzi, ale niesie Eddiego.

- Obudź się! - krzyknął w końcu. - Nie będę cię ciągnął, rusz dupę!

- Odpierdol się! - wrzasnął w odpowiedzi Eddie. - Tu jest strasznie zimno.

- Jasne - odparł Harley. - Myślisz, że mnie jest cieplej?

Harley włókł się naprzód, spoglądając na ziemię, a potem na wzburzone czarne morze w dole. Kiedy zdawało mu się, że dojrzał łódź, zatrzymał się, żeby otrzeć oczy i popatrzeć uważniej. Skierował w tę stronę latarkę, ale światło było za słabe, by pokonać taką odległość. Wziął lornetkę i próbował wycelować w łódź, ale w powietrzu wirowało tyle śniegu i było tak mało światła, że noktowizor był bezużyteczny.

Wydawało mu się jednak, że przez huk fal słyszy skrzypienie kadłuba.

- Już niedaleko - powiedział do Eddiego, którego obecność wyczuł za plecami. Zostawił lornetkę zawieszoną na szyi.

Ale Eddie się nie odezwał.

- Może nawet znajdziemy tam Russella.

Znów nie usłyszał odpowiedzi, co było dziwne jak na takiego gadułę.

Harley odwrócił się, uniósł latarkę i kogoś zobaczył - ale z pewnością nie był to Eddie.

Stała za nim stara kobieta w długiej spódnicy i chuście zawiązanej na głowie. Kierując światło na jej twarz, zobaczył dwoje zapadniętych niebieskich oczu, zimnych jak u husky, i pergaminową, poraną bruzdami i zmarszczkami skórę, przypominającą starożytną mapę. Kobieta patrzyła na niego, ale nie na twarz; utkwiała wzrok w przedniej kieszeni jego kurtki, gdzie ukrył ikonę.

Nie musiała nic mówić; wiedział, czego chce.

Zamachnął się na nią latarką.

Ale nie trafił.

Sięgnął po nóż i w tym momencie doczłapał Eddie, który potknął się i wykrztusił:

- Jezu Chryste.

Harley poczuł dziwną ulgę, że Eddie też ją widzi, ale kiedy się obrócił z nożem w rękę, szukając w padającym śniegu staruszki, zaplątał się w sznur i omal nie ugodził Eddiego.

- Uważaj z tym jebanym nożem! - wrzasnął Eddie, cofając się szybko.

Za szybko.

Harley poczuł, jak sznur szarpnął go za pasek, a sekundę później naprężył się i pociągnął go w stronę klifu. Eddie krzyczał, ześlizgując się po oblodzonym zboczu. Harley wymachiwał rękami, próbując się czegoś złapać.

- Pomóż mi! - wołał Eddie. Harleyowi udało się chwycić niskiej gałęzi uginającej się pod śniegiem. Nóż upadł na ziemię.

Trzymał się jedną ręką, zdzierając rękawicę korę, śnieg i igły, ale gałąź wyslizgnęła mu się z dłoni i runął na kolana. Usłyszał trzask próbek w kieszeniach i po chwili kawałki rozbitego szkła boleśnie wbiły mu się w uda. Ciężar Eddiego ścigał go z krawędzi urwiska.

- Rany boskie! - wrzasnął przerażony Eddie, skrobiąc butami skałę w poszukiwaniu jakiejś szczeliny albo występu.

Harley wbił palce w śnieg i lód i znalazł w ziemi jakąś wystającą fałdę, duży kawał zamrożonej ziemi głębokości może dziesięciu centymetrów. Uchwycił się go z całej siły, ale nylonowy sznur wciąż ciągnął go w dół, zaciskając pas wokół bioder. Rękawy kurtki boleśnie wpijały mu się w pachy.

Sięgnął do klamry pasa, ale był tak mocno zaciągnięty, że nie potrafił jej rozpiąć.

- Wciągnij mnie, Vane! Wciągnij mnie!

Nie miał jednak wystarczającego oparcia i wiedział, że niebawem straci siły. Dusił go kołnierz, lornetka wbijała mu się w pierś. Wczepiony jedną ręką w ziemię, drugą sięgnął po nóż leżący parę centymetrów od niego, a potem wcisnął ostrze pod naprężony sznur.

- Nie dam rady! - jęczał Eddie. - Ten sznur mnie udusi!

Zgrabiałymi palcami Harley przeciągnął ostrze po linie. Była naprężona jak struna fortepianu, ale poczuł, że splot zaczyna puszczać. Zaczął piłować mocniej.

- Ciągnij! - dyszał Eddie, jak gdyby całe powietrze uciekło mu z płuc.

Kurtka owijała się wokół Harleya jak pyton, a on czuł, że za kilka sekund w ogóle nie będzie mógł się ruszać. Niezdarnie przesuwiał ostrze noża tam i z powrotem, tam i z powrotem.

- Ciągnij!

I nagle, kiedy zdawało mu się, że zaraz zemdleje, usłyszał głośny brzęk, jak gdyby zerwała się struna banjo, i w jednej chwili siła ciągnąca go w stronę klifu przestała działać. Sznur śmignął po śniegu, lecz palce Harleya wciąż mocno trzymały się ziemi. A potem usłyszał przerażony krzyk Eddiego, który brzmiał coraz ciszej, by w końcu utonąć w wietrze. Jeśli rozległ się plusk, to zagłuszyła go burza.

Harley przycisnął twarz do ziemi i na gorącej skórze poczuł zimny dotyk śniegu. Leżał bez ruchu, oddychając wolno i powtarzając sobie, że jeszcze żyje, jeszcze żyje.

Minęło dużo czasu, zanim nabrał dość odwagi i dość sił, aby unieść głowę i trochę się rozejrzeć. Stara kobieta zniknęła. Był w ciemności zupełnie sam.

## Rozdział 40

Najważniejsza jest umiejętność improwizowania. Każdy epidemiolog z prawdziwego zdarzenia wie, że trzeba umieć natychmiast wykonać zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, kiedy zmienią się okoliczności - a w terenie okoliczności zawsze się zmieniały.

W ciągu niecałej godziny Slaterowi udało się postawić w nawie cerkwi wyposażony w górne oświetlenie i mocny grzejnik tymczasowy namiot, przeznaczony na miejsce kwarantanny, gdzie podłączył ranną i mającą Lantos do dwóch kroplówek; w pierwszej znajdował się antybiotyk o szerokim spektrum działania, aby chronić ją przed sepsą, nieuniknioną po zranieniu przez wilczy pazur, a w drugiej stężony roztwór demerolu, który uspokoił ją na tyle, aby Slater mógł zrobić co trzeba. Potrzebował środka znieczulającego, ale wyjeżdżając na wyspę, nie zamierzał przecież operować nikogo żywego.



Groves i Rudy otrzymali zadanie uszczelnienia okien cerkwi, aby zapobiec przeciągom i nadmiernemu wyziębieniu wnętrza, a Nika została mianowana naczelną pielęgniarką. Pamiętając, jak zareagowała na cmentarzu, gdy pobierał próbki ze zwłok diakona, Slater nie był pewien, czy sobie poradzi, ale trzeba jej przyznać, że na jego prośbę nawet się nie skrzywiła. Była nawet zadowolona, że dostała szansę, aby się zrehabilitować.

- Po prostu mów mi, co mam robić - oznajmiła. - Będę cię słuchać.

I słuchała. Kazał jej założyć kompletny strój ochronny, z rękawiczkami i okularami, po czym stanęła po drugiej stronie noszy na kółkach, zachowując się, jakby całe życie spędziła na sali operacyjnej. Kiedy chciał, żeby pomogła mu podłączyć przewody kroplówek, wypełniała jego polecenia co do joty, bez wahania manipulując zwinnymi palcami. Kiedy prosił ją o jakieś narzędzie, instynktownie wiedziała, o które mu chodzi, a gdy chciał, żeby pottrzymała gazik albo nawet przytrzymała palcem szew, kiedy przeciągał nić przez rozcięte ciało, nawet nie zbladła - a jeśli już, to i tak tego nie zauważył, ponieważ miała zasłoniętą twarz.

- Świetnie sobie radzisz - powiedział spod maski.

- To dlaczego tak się pocę?

- Wszyscy się pocimy. Właśnie dlatego potem palimy te cholerne kombinezony. - Przyszło mu do głowy, że byłaby świetnym wiejskim lekarzem, a z tego, co słyszał, Port Orlov potrzebował kogoś takiego.

Coraz bardziej jednak obawiał się o Lantos. Na przemian traciła i odzyskiwała świadomość i choć wprowadził ją w taki stan, by w miarę bezboleśnie przeprowadzić niezbędny zabieg, starał się utrzymywać ją na granicy: musiała być nieprzytomna i nieruchoma, ale nie mógł osłabiać jej funkcji oddechowych bardziej, niż to konieczne.

Potrzeba było więcej pracy, niż się spodziewał; wilk, specjalista od rozpruwania ofiary jednym ruchem pazurów, poczynił spustoszenia w jej jamie brzusznej, a na domiar złego cały czas istniało niebezpieczeństwo, że mogło dojść do zakażenia wirusem. W prosektorium stało mnóstwo naczyń z krwią i narządami, a Lantos odniosła poważne obrażenia i miała otwartą ranę. Żywe organizmy przenosiły hiszpankę drogą kropelkową, ale przecież doskonałym środowiskiem wirusa była właśnie krew i płyny ustrojowe. Jeśli którakolwiek próbka była aktywna, nie sposób wykluczyć, że Lantos uległa bezpośredniemu zakażeniu i leżąc teraz na stole i oddychając słabo przez maseczkę, może być prawdziwą fabryką grypy.

Było jasne, że dłużej nie da się utrzymać takiej sytuacji. Należało ewakuować Lantos do odpowiedniego szpitala, i to szybko, a niezabezpieczony materiał biologiczny pozostawiony w laboratorium, z najwyższą ostrożnością zebrać i bezpiecznie zniszczyć.

Zamrożone próbki pobrane in situ z grobu były dość niebezpieczne. Ale trudno powiedzieć, co stało się z wirusem, który mógł się zachować w ciele i narządach wewnętrznych, gdy zwłoki zostały rozmrożone w celu przeprowadzenia autopsji i uzyskania dodatkowych wycinków tkanek. Najprawdopodobniej był nieaktywny albo został dezaktywowany w wyniku zmiany temperatury.

Zawsze jednak istniało prawdopodobieństwo, że przez krótki czas był żywy... i zdolny do zakażenia.

Lantos poruszyła się na stole i jej dłonie drgnęły. Slater tak się spieszył, by opatrzeć jej obrażenia, że nie miał czasu odpowiednio jej unieruchomić. Skinął głową Nice i poinstruował ją, jak zwiększyć dawkę demerolu w kroplówce. Mieli jeszcze trochę pracy... choć Slater funkcjonował już tylko na oparach energii i adrenalinie.

Nie wiedział, jak długo jeszcze będzie zdolny do koncentracji, jakiej wymagał delikatny zabieg, ani jak długo uda mu się panować nad drżeniem rąk. Miał jednak świadomość, że to tylko doraźna pomoc - aby zatamować krwotok i utrzymać wszystko na miejscu, dopóki nie zajmie się tym bardziej wykwalifikowany chirurg na dobrze wyposażonej sali operacyjnej.

Ale kiedy to nastąpi?

Usłyszał skrzypnięcie otwieranych drzwi cerkwi, a potem głos sierżanta Grovesa przed zamkniętym wejściem do namiotu.

- Przykro mi - rzekł Groves - ale u Straży Przybrzeżnej nic nie udało się załatwić. Jeden śmigłowiec uziemiony i czeka na naprawę, a drugi poleciał na akcję ratunkową na Małą Diomedę.

- Nie mogą wysłać łodzi? - zapytał Slater, nie odrywając wzroku od pacjentki.

- Mówią, że morze jest za bardzo wzburzone i wątpią, czy udałoby im się podплыnąć wystarczająco blisko. Muszą poczekać, aż skończy się burza.

- Czyli jak długo? - zapytał zniecierpliwiony, zakładając następny szew.

Lantos jęknęła, obracając głowę na stole.

Po chwili Groves przyznał:

- Nie wiadomo. Ale Rudy mówi, że prognozy nie są dobre.

Nawet w namiocie Slater słyszał wycie wiatru, szarpiącego deskami starej cerkwi i mógł sobie tylko wyobrazić potężne fale roztrzaskujące się na skałach i mieliznach wokół Wyspy Św. Piotra. Nic dziwnego, że tajemnicza rosyjska sekta postanowiła schronić się właśnie tutaj; było to jedno z najbardziej niedostępnych i niezdołanych miejsc na świecie. Ze

wszystkich koszmarnych zakątków globu, w których Slater był - a odwiedził ich wiele - ten nawet jemu wydawał się przeklęty.

- Wracaj do radia i połącz się z nimi jeszcze raz - rzucił rozdrażnionym tonem, wyjątkowo zdenerwowany. - Powiedz im, że nie możemy czekać. To sprawa życia i śmierci.

- Frank - odezwała się Nika.

- Dowiedz się, kto tam dowodzi. Musisz porozmawiać z kimś z samej góry.

- Frank, krwawienie się zwiększa...

- I powiedz im, że jeżeli potrzebują zezwolenia na dostęp do tajnych informacji, niech zadzwonią do doktor Levinson do AFIP. Gwarantuję...

- Frank! - przerwała mu Nika.

A gdy spojrzał na nią, zobaczył, że patrzy na wzbierające czerwone jeziorko, jak gdyby skóra właściwa została niedostatecznie zamknięta i krew przesączała się przez szwy. Lantos jęknęła i choć dzięki działaniu kroplówki powinna być nieprzytomna, jej dłonie poruszyły się, być może w mimowolnym skurczu. Nika usiłowała chwycić ją za rękę, ale jej się nie udało, więc Slater rzekł:

- Ja to zrobię, odsuń się.

Ale Nika sięgnęła nad stołem, próbując złapać drugą rękę - naruszając zasady, które wykwalifikowana pielęgniarka znalazłaby na pamięć - i zanim zdążyli się zorientować, co się stało, wzdrygnęła się i syknęła z bólu, gdy koniec igły chirurgicznej przebił jej rękawiczkę. Igła utkwiała w jej dłoni na ułamek sekundy, który zdawał się przeciągać w nieskończoność, aż wreszcie Slater wyciągnął ją i spojrzał przez okulary. Nika przyglądała się maleńkiemu otworkowi w rękawiczkę, przez który wypłynęła kropelka krwi, a potem uniosła ciemne oczy, pełne niedowierzania... i wątpliwości.

Takich samych, jakie, niestety, zadawał sobie on sam.

## **Rozdział 41**

Siergiej pchał taczki w kierunku domu Ipatiewa, gdy usłyszał wystrzały. Od kilku dni w oddali dudniła artyleria, ale teraz to były strzały z broni ręcznej i padły znacznie bliżej domu.

Brzmiały jak seria huków petard.

W taczkach były kanistry z benzyną. Komendant Jurowski wysłał go do miasta, żeby spuścił paliwo z każdego pojazdu, jaki uda mu się znaleźć, a gdyby ktoś go o coś pytał, miał

go odesłać do tych na Kremlu. Gdy zeszłej wiosny bolszewicy przyszli do wsi i siłą zabrali go z domu, obiecywali mu zupełnie inną służbę.

Siergiej słyszał teraz pojedyncze strzały. Zatrzymał się pośrodku ciemnej ulicy, przejęty strachem. Kto mógł strzelać w środku nocy, i po co?

Pchając taczki tak szybko, jak na to pozwalały wyboje i koleiny na gruntowej drodze, dotarł do czterometrowej palisady otaczającej dom, a kiedy wartownik zapytał z za ogrodzenia, kto to, odpowiedział:

- Towarzysz Siergiej Ilinskij. Z benzyną.

- Dawaj ją tu.

Na dziedzińcu Siergiej zobaczył czekającą ciężarówkę, a w powietrzu poczuł zapach prochu... i krwi. Skierował wzrok na żelazne kraty w oknie piwnicy, ale w środku było ciemno, więc niczego nie zobaczył.

Z domu wyszedł Jurowski, zobaczył kanistry z benzyną i zapytał:

- Tylko tyle?

- W Jekaterynburgu nie mają zbyt dużo traktorów - odrzekł Siergiej, starając się, by jego głos nie zdradzał żadnych emocji.

- Idź na górę i przynieś stamtąd koce i prześcieradła.

Siergiej wspinał się po schodach z tyłu domu i zobaczył wielkie zamieszanie. Strażnicy biegali po schodach tam i z powrotem, dźwigając pościel, z ustami pełnymi jedzenia, kilku zachłannie piło wódkę z dzbanka. Kiedy dotarł do pokoju, który Anastazja dzieliła z siostrami, cztery łóżka były już rozebrane. Na podłodze leżały porzrzucone książki i pamiętniki, grzebień i buty. Arkady, jeden z lotewskich strażników, których niedawno sprowadzono do domu, zdejmował zasłony z zamalowanych na biało okien.

- Co się tu dzieje? - zapytał Siergiej. - Gdzie one są?

Arkady zmierzył go kąpiącym spojrzeniem i odparł:

- Moim zdaniem w piekle. - Rzucił Siergiejowi zasłony i powiedział - Zabierz to do piwnicy.

Ściskając zasłony w ramionach, Siergiej niepewnym krokiem zszedł po schodach, nie chcąc dopuścić do siebie myśli o tym, co tu się musiało wydarzyć. Przeciął dziedziniec i zszedł do piwnicy. Z każdym krokiem coraz wyraźniej czuł gryzący zapach dymu i śmierci, a w sercu rósł mu coraz większy ciężar. Na dole Jurowski w długim płaszczu trzymał latarnię i kierował operacją.

Podłoga była tak zalana krwią, że żołnierze usiłujący zawinąć ciała w prześcieradła i draperie wciąż się ślizgali.

- Zabierzcie ich stąd! - warknął Jurowski. - Ciężarówka czeka.

Siergiej przyjrzał się miejscu rzezi; zobaczył złote okulary, błyszczące na zakrwawionej twarzy doktora Botkina, bagnet tkwiący w piersi Demidowej. Zauważył wystające spod prześcieradła znoszone, stare buty cara, a potem ujrzał, jak zawijają w obrus, niczym w całun, jego synka Aleksego, który nie miał połowy twarzy po strzale w ucho z małej odległości.

Ale gdzie Anastazja?

- Nie stój tak! - huknął Jurowski, uderzając go po plecach. - Bierz się do roboty.

Siergiej wkroczył w gąszcz ciał, szukając Anastazji. Znalazł ją, przykrytą zwłokami jej siostry Tatiany; była zakrwawiona, a pod nią leżał jej zmiażdżony piesek Jemmy. Włosy Any zlepione były krwią, ubranie podarte na strzępy, a dłonie mocno zaciśnięte na czymś ukrytym pod gorsetem.

Siergiej poczuł, jak ogarnia go gniew i żółć podchodzi mu do gardła. Gdyby tylko mógł, zabiłby na miejscu Jurowskiego i wszystkich strażników co do jednego. Dom Specjalnego Przeznaczenia - tak oficjalnie nazywano rezydencję Ipatiewa i Siergiej zawsze przypuszczał, że chodzi o uwięzienie przebywających w nim osób.

Teraz rozumiał, że chodziło o ich zamordowanie.

Położył zasłony na podłodze - były kremowe, w niebieskie koniki morskie - i delikatnie zawinął w nie ciało Any. Spojrzał na jej twarz, ubrudzoną krwią, popiołem i łzami, a potem zawinął końce, jak gdyby pakował cenny prezent.

- Ruszać się, wszyscy! - krzyczał Jurowski.

Siergiej słyszał pracujący silnik ciężarówki na dziedzińcu. Łotysze zarzucali sobie na ramiona pozostałe ciała jak dywany i wynosili je. Siergiej wziął na ręce Anastazję, jakby zanosił dziecko do łóżeczka, a wychodząc z piwnicy, usłyszał kpiący głos Jurowskiego:

- Tylko uważaj, żebyś jej nie obudził.

Siergiej był sparaliżowany z przerażenia i bólu, a kiedy strażnicy powiedzieli mu, żeby rzucił ciało na tył ciężarówki, razem z resztą, po prostu wszedł na górę i bezsilnie oparł się o boczną ścianę, trzymając ciało między kolanami.

- Wpadła ci w oko - zażartował jeden ze strażników. - Dlatego komendant wysłał cię do miasta. - Zamknął klapę z tyłu pojazdu. - Teraz możesz pomóc ją pochować.

Uderzył pięścią w bok ciężarówki i kierowca włączył bieg. Samochód szarpnął, potoczył się przez dziedziniec i wyjechał za palisadę na drogę w kierunku Koptiaki. Sterta zwłok - Siergiej naliczył jeszcze dziesięć - delikatnie kołysała się na każdej nierówności

drogi, jakby była jednym ciałem. Car i jego lokaj, caryca i jej pokojówka, ich córki, następca tronu, kucharz, lekarz... wszyscy bez wyjątku rzucają na jeden krwawy stos.

Siergiej zastanawiał się, dokąd jedzie ciężarówka... i co zrobi, gdy dotrą na miejsce.

Za nimi toczył się, podskakując na wybojach, stary samochód wiozący Łotyszów, łopaty i benzynę.

Co najmniej godzinę sunęli przez las po starych, zrytych koleinami kopalnianych drogach. Siergiej słyszał, jak gałęzie drzew drapią boki ciężarówki, a pod kołami chlupocze błoto.

I wtedy - chyba że był to wytwór jego zbolętej wyobraźni - usłyszał coś jeszcze.

Pochylił głowę.

Znów to usłyszał.

Jęk.

Odwinął kremową zasłonę.

- Ana, ty żyjesz? - zapytał szeptem.

Oczy miała zamknięte, a jej policzki drgały, jak u kogoś dręczonego koszmarnym snem.

- Nie ruszaj się!

Jej twarz wykrzywiła się w cierpieniu, a z rozchylonych warg wyrwał się krzyk.

Siergiej przyłożył jej rękę do ust.

- Ana, nic nie mów. Słyszysz mnie? To ja, Siergiej. Nie ruszaj się.

Znów próbowała krzyknąć, więc znów przycisnął dłoń do jej warg.

- Jeśli się dowiedzą, że żyjesz, zabiją nas oboje.

Otworzyła oczy, przepełnione paniką, a on pochylił się jeszcze niżej, żeby mogła go wyraźniej zobaczyć. Mimo tego, co się między nimi zdarzyło, mimo spojrzeń, słów i kwiatów, nigdy nie przekroczyli granic. Aż do tej nocy Siergiej nie śmiał nawet marzyć, że kiedykolwiek będzie trzymał w objęciach wielką księżnę Rosji - równie dobrze mógł sobie wyobrazić, że kiedyś zostanie carem.

Serce zabiło mu w uniesieniu - tulił w ramionach miłość swojego życia! - ale równocześnie myśli kłębiły mu się w głowie. Jak to możliwe, że przeżyła tę masakrę? Czy to jej krew, czy krew jej siostry?

I co ma zrobić, żeby niepostrzeżenie wynieść ją z tej karawany śmierci?

Ciężarówka, zgrzytając biegami, wspiniała się na wzgórze, a Siergiej nagle usłyszał stukot kopyt i dzikie okrzyki dobiegające z lasu. Rozległ się pisk hamulców i zanim

samochód się zatrzymał, Jurowski wyskoczył z drugiej ciężarówki, przeklinając i wymachując mauserem z długą lufą.

Czyżby jednak mieli się uratować? Czy to oficerowie kawalerii Białych, lojalnych wobec cara, o których długo modliła się Ana i jej rodzina? A może to zbuntowani żołnierze czescy\*, którzy nienawidzą rewolucjonistów? Siergieja to nie obchodziło, jeśli tylko było ich wystarczająco dużo, żeby pokonać gwardzistów. Może wykorzystałby tę okazję.

- Nie ruszaj się - szepnął do Anastazji, przyglądając dłonią jej zakrwawione włosy.

Słyszał parskanie koni i skrzypienie kół wozu.

- Obiecano nam, że ich dostaniemy! - krzyknął jakiś głos. - Wszystkich i żywych!

- No toście się spóźnili - odrzekł Jurowski. - Ta ciężarówka dalej nie pojedzie. Będą nam potrzebne wozy, żeby przewieźć ciała do Uroczyska Czterech Braci.

Siergiej wiedział, że „Czterej Bracia” to pnie wysokich sosen, które kiedyś stały w miejscu, gdzie teraz są kopalniane szyby i torfowiska. Czy tak Jurowski zamierzał pozbyć się ciał? Chciał je wrzucić do opuszczonych szybów?

- Obiecałem moim ludziom, że się zabawią z księżniczkami - narzekał mężczyzna. - A sam ostrzyłem sobie zęby na carycę.

\* Legion Czechosłowacki, oddziały utworzone z dezertersów narodowości czeskiej oraz słowackiej, którzy należeli do armii austrowęgierskiej walczącej z Rosją w czasie I wojny światowej. W okresie rewolucji rosyjskiej 1917 roku walczyli po stronie Białych, (przyp. red.)

- Zamknij gębę, Jermakow, i rób, co każę. - Jurowski usiłował pokazać niesfornym jeźdźcom, że on tu dowodzi; Siergiej poznał to po napięciu w jego głosie. - Wyładować ciała, a jeżeli zobaczę, że ktoś próbuje coś ukraść, dostanie kulę w łeb.

Co mogliby kraść? - pomyślał Siergiej. Pierścionki z palców? Ale słysząc, jak kilku mężczyzn zsiada z koni, a Łotysze gramolą się z samochodu, uznał, że to może być jego jedyna szansa. Gdy tylko opuszczono klapę z tyłu ciężarówki i zobaczył twarze chłopów gapiących się pożądliwie na krwawy ładunek, wstał i chwiejąc się nieco, jakby był pijany, powiedział:

- Zabierajcie ich, towarzysze.

Brudne dłonie chwyciły zwisające bezwładnie ręce i nogi zabitych i wyciągały je z ciężarówki. Ściągnięto z nich prześcieradła, a jeden z mężczyzn zawołał:

- Mam księżniczkę, ale niech mnie diabli, nie wiem, którą.

Gruchnął śmiech, przez który przebił się okrzyk kogoś innego:

- A ja mam samą królową suk!

Podnosząc ciało Anastazji i umyślnie obchodząc się z nim w bezceremonialny sposób, Siergiej zrobił krok nad ciałami służącej i kucharza, po czym zeskoczył na ziemię. Droge oświetlały reflektory samochodu, ale po obu stronach rozciągał się gęsty las, kiedy więc z tyłu podjechały furmanki z sianem, on, dźwigając swój ciężar, minął jeden wóz, a potem następny. Rozległ się radosny okrzyk. Znaleźli ciało cara.

- Kto chce napluć w twarz samemu Nikołaszce? - triumfował Jermakow. Siergiej udawał, że po pijanemu potyka się o koleiny na drodze i wpadł w jeżyny.

Ale nikt go nie zawołał ani nie zauważył. Wszyscy byli tak zajęci bezczeszczeniem zwłok cara, że nie widzieli jego zniknięcia. Zarzucił sobie dziewczynę na ramię jak worek z ziarnem - ileż to razy dźwigał takie ciężary na polach Pokrowskoje? - i pobiegł w głąb czarnej jak noc gęstwiny. Kiedy Ana pojękiwała, powtarzał:

- Cicho, Ana, cicho.

Była cięższa, niż mógł przypuszczać, a jej ciało twardsze i sztywniejsze, ale przy całym zgiełku i zamieszaniu czerwoni być może wcale się nie zorientują, że brakuje jednej z księżniczek, a w każdym razie dopóki nie zwiozą wszystkich ciał do Uroczyska Czterech Braci. Siergiej zamierzał być już wtedy wiele kilometrów stąd, ukryty w miejscu, które na pewno będzie bezpiecznym schronieniem dla jedynej osoby ocalałej z carskiej rodziny.

## Rozdział 42

Harley właśnie spędził najgorszą noc w całym swoim życiu i nie zamierzał przeżywać takiej po raz drugi. Otworzył piwo z zapasów Russella i od czasu do czasu zapadał w półgodzinne drzemki, ale za każdym razem budził się gwałtownie, obawiając się, że zobaczy staruchę z klifu albo posiniaczonego i zakrwawionego Eddiego, przeklinającego go za odcięcie sznura.

Albo tego poharatanego faceta ze stołu w namiocie.

Uważał, że Wyspa Św. Piotra jest jeszcze gorsza, niż mówiły wszystkie opowieści i legendy, które słyszał. To był jeden wielki nawiedzony dom, w którym było miejsce tylko dla trupów i każdego, kto chciałby się do nich przyłączyć. Harley musiał stąd wiać póki czas.

O ile rzeczywiście był jeszcze czas.

Gdy tylko burza zelżała na tyle, by na niebie ukazała się odrobina dziennego światła, odważył się wyjść z jaskini, żeby sprawdzić, czy morze ściągnęło „Kodiaka” ze skał.



Ściągnęło, ale w dół. Łódź osiadła głębiej w zatoczce i na lodowatej powierzchni unosiły się jakieś kawałki, które z niej poodpadały. Skrzywienie, które słyszał w nocy, to był odgłos kadłuba uderzającego o skały. Kabina została zalana, a maszty, drzwi i trapy wściekle atakowały fale przyboju.

Szalupę - choć w tak lichej łódeczce i tak nigdy nie dotarłby do Port Orlov - przypływ rzucił na skały i zamienił w kupkę drzazg i trocin.

Pozostało mu więc tylko jedno wyjście - łódź hybrydowa, którą zauważył na plaży poniżej cmentarza, gdzie prawdopodobnie zostawiła ją Straż Przybrzeżna na wypadek konieczności awaryjnej ewakuacji.

Chyba nie mogło być bardziej awaryjnej sytuacji niż ta.

Nie miał najmniejszej ochoty pokonywać tej drogi jeszcze raz - w myślach wciąż widział tego czarnego z karabinem - ale nie było innej możliwości. Wiedział też, że jeśli będzie się za długo zastanawiał, straci te parę godzin dziennego światła, które mu zostały. Wcześniej opróżnił kieszenie kurtki - wyciągnął fiolki, ikonę i całą resztę - chcąc nie chcąc włożył wszystko do plecaka, a teraz dorzucił jeszcze parę batonów, wodę w butelce i pistolet, który Russell był uprzejmy zostawić. Chętnie zabrałby więcej, ale musiał ograniczyć bagaż. Nie czuł się najlepiej i wcale by się nie zdziwił, gdyby miał lekką gorączkę. Gdy wróci do swojej przyczepy, prawdopodobnie będzie na dobre przeziębiony.

Ruszając w stronę plaży i kamiennych schodków prowadzących do pontonu, zobaczył, że jego wczorajsze ślady już zniknęły. To typowe dla Alaski. Natura szybko wymazuje każdy znak ludzkiego życia, a jeżeli coś w ogóle przetrwa - jak kolonia na wyspie - wkrótce zmienia się w ruinę, która przypomina jak puste, krótkie i nic nie warte jest życie. Czasami, jak w tej chwili, Harley dochodził do wniosku, że jednak dobrze byłoby zamieszkać gdzie indziej. Powinien wyjechać w dniu, gdy Charlie sprowadził do domu te dwie stuknięte baby.

Kiedy Harley zbliżał się do palisady, usłyszał krakanie wron i zobaczył parę leniwie krążących po niebie myszołowów. Chętnie uniknąłby wchodzenia na teren kolonii, ale na klifie wiał silny wiatr - a wspomnienie widma, które tam widział, było bardzo żywe - uznał więc, że mniej ryzykuje, jeśli przemknie się przez obóz do głównej bramy. Choć ziąb był przenikliwy, Harley poccił się w swojej kurtce.

Nad starym kościołem krążyło jeszcze więcej ptaków, a niedaleko dziury w fundamentach krzywego budynku spacerowało ich całe stado i zawzięcie coś dziobały. Pod jedną ścianą powstała zaspą, lecz gdy Harley przekradał się obok kościoła, ptaki niechętnie zerwały się do lotu. Zobaczył, że pod skorupą śniegu coś leży. Wyglądało na to, że w zaspie grzebały także inne zwierzęta, zauważył też, że śnieg ma lekko różowy odcień... a to, co

wcześniej wziął za wystającą gałązkę, było czubkiem buta. Podeszedł nieco bliżej i czubkami palców w rękawicze odgarnął trochę śniegu. Wystarczył mu widok strzępów firmowej bluzy roboczej, by wiedzieć, że smakołyk, który z takim apetytem pałaszują miejscowe stworzenia, to szczątki Russella.

A pewnie i kraby miały używanie, posilając się Eddiem.

Nie był aż tak nieczuły - w końcu znał swoich kumpli od bardzo dawna - ale nie mógł nie pomyśleć, że całe pieniądze, jakie dostanie za brylanty z ikony (a musiały być sporo warte) zamiast między czterech, będzie mógł podzielić tylko między dwóch. Charlie pewnie będzie twierdził, że był w tym palec Boży.

Pochylony przebiegł obok namiotów w kolonii, minął główną bramę i zbliżył się do klifu. Mgła otaczająca pierścieniem Wyspę Św. Piotra leżała około stu metrów od brzegu, ale na plaży w dole zobaczył bezpiecznie przycumowaną żółtą łódź hybrydową, zawieszoną na prowizorycznych żurawikach z kawałków drewna wyrzuconego przez morze. To chyba pierwszy przeblysł szczęścia, odkąd zaczął się ten cholerny koszmar, pomyślał Harley.

Stopnie, które przed stu laty wykuł w skale jakiś szalony Rosjanin, miały zaledwie kilka centymetrów szerokości i biegły zygzakiem aż do poziomu wody. Zejście byłoby mordęgą, nawet gdyby nie czuł się tak marnie. Wciśnięty w ścianę klifu przez nieubłagany wiatr od Cieśniny Beringa, ostrożnie stawiał nogę za nogą, rozgarniając najpierw stopą śnieg i kamyki z niższego stopnia - czasem nawet płoszył ptaki - a potem niepewnie przenosząc ciężar ciała. Parę razy ptaki wróciły, krążąc wokół jego głowy i broniąc swojego terytorium, ale nawet ich nie odganiał. Potrzebował obu rąk, by trzymać się śliskiej skały

Plecak, choć jego zawartość została okrojona do minimum, okazał się większym ciężarem, niż przypuszczał, grożąc mu utratą równowagi. Harley starał się panować nad oddechem i, jeśli nie musiał, nie patrzeć w dół gdyby wpadł w panikę, byłoby po nim. Ręce bolały go od obejmowania ścian, a napięte kolana zaczęły dygotać, w końcu usłyszał jednak szum fal na piasku i kamykach i poczuł na twarzy kropelki morskiej wody. Kiedy skończyły się schody i poczuł pod stopami chrzęszczący żwir plaży, padł na twarz, szeroko rozkładając ręce.

Już nigdy, pomyślał, nigdy nie dam się wciągnąć w coś tak głupiego.

Oszczędzając resztki sił w nogach, podczołgał się przez piasek i kamienie. Mgła zbliżyła się do brzegu, co oznaczało, że trudniej będzie manewrować przez otaczające wyspę skały i mielizny. Jedno się zgadzało - wyspa od początku do końca była miejscem pechowym i nie mógł się doczekać, żeby ją opuścić.

Klepnął dłonią w mocno napompowaną burtę łodzi i półprzytomny dźwignął się na kolana, aby się jej przyjrzeć. Wnętrze maskował gruby wodoodporny czarny brezent, ale mocując się z zatrzaskami i paskami, którymi go przytwierdzono, odniósł dziwne wrażenie, że coś się pod nim kryje. Przez łoskot fal parę razy usłyszał jakiś podejrzany chrobot, jak gdyby coś biegało po pokładzie, gorączkowo szukając schronienia. Potrząsnął głową, aby odzyskać jasność umysłu i skupił się na odpinaniu reszty mocowań plandeki. Raz zdawało mu się, że słyszy za sobą chrzęst butów na piasku i obrócił się gwałtownie, szukając po omacku broni, ale zobaczył tylko słup mgły... w których nie było nikogo.

Eddie nie żyje, powiedział sobie. Roztrzaskał się o skały po drugiej stronie wyspy.

A Russell... z Russella została tylko ta bezkształtna bryła w zaspie.

Rozwiązał ostatnie paski przytrzymujące brezent i szarpnął go.

Zobaczył parę wpatrzonych w siebie oczu i zanim zdążył się przerazić, stworzenie śmignęło obok niego tak prędko, że tylko mignęło brązowe futro i czarne pazury.

Harley zachwiał się na nogach, a wydra czmychnęła w głąb plaży, machając ogonem, ale raptownie zmieniła kurs, pobiegła w stronę morza i bezgłośnie dała nura w lodowatą wodę.

Wszystko rozegrało się w ciągu paru sekund, ale Harley potrzebował dobrej minuty, żeby się uspokoić i wrócić do pracy.

Cholerna wydra. Pamiętał jak przez mgłę jakąś legendę o wydrach, eskimoską bajkę, ale ponieważ, zdaje się, przynosiły pecha - jak wszystko na tej wyspie - nie próbował jej sobie przypomnieć. Podczas kazań w swoim „Piśmie Świętym według Vanea” Charlie zawsze próbował dowodzić, że eskimoskie opowieści mają coś wspólnego z Jezusem, ale Harley w to nie wierzył. Uważał, że brat stara się po prostu wydębic od tubylców parę dolców więcej.

Zgrabiałymi palcami rozpiął klamry mocujące łódź do żurawików, a potem, szarpiąc linę, ściągnął ją na wodę.

Jasnożółty ponton zakołysał się na fali jak gumowa kaczka i dopiero po trzeciej próbie Harleyowi udało się wciągnąć na pokład, usiąść z tyłu w spodniach i butach ociekających wodą i uruchomić silnik.

Ustawił łódź równoległe do brzegu, oddalił się od ostrych skał i wolno skierował ją na morze. Wiedział, że nie próbowałby tego nikt przy zdrowych zmysłach i właśnie dlatego prawdopodobnie mogło mu się udać. Mgła stała się tak gęsta, że wydawało się, jakby żeglował w zupie, wiedział jednak, że trochę dalej od brzegu się rozproszy. Zamierzał płynąć równoległe do klifu, a potem wziąć kurs prosto na południowy zachód do Port Orlov. Nie był jednak taki głupi, żeby iść prosto do portu; nie, chciał przybić kilka mil dalej, do dawnej

przystani należącej do rodziny, a potem, kiedy wszystko ucichnie, może nawet rozbierze łódź i sprzeda na części.

Krople wody pryskały mu w twarz, ale nawet ocierając ją rękawem, wcale nie widział lepiej - kurtka też była zupełnie mokra. Zaczynał się naprawdę paskudnie czuć. Nie podobał mu się kaszel. Potrzebował dobrego gorącego żarcia w barze „Yardarm” i Angie Dobbs w łóżku. Tak, odrobina Angie w nocy wyleczy wszystkie dolegliwości.

Płynął wolniej, niż przypuszczał, więc zwiększył obroty silnika. Mimo że łódź ważyła tak niewiele, że powinna ślizgać się po falach, coś ją zatrzymywało - albo prąd był silniejszy, niż się spodziewał, albo dziób był czymś obciążony. Wiatr tak głośno gwizdał mu w uszach, że wydawało mu się, iż słyszy głosy; i byłoby nieźle, gdyby to Angie mówiła mu, jaki świetny jest w łóżku, albo Charlie - pocziwy Charlie - pouczał go, jak wyciąć łatwy numer.

Ale było inaczej.

Brzmiało to bardziej jak głos Eddiego, który pytał, dlaczego odciał ten cholerny sznur... i wrzask Russella rozdieranego na sztuki przez dzikie zwierzęta.

Pieprzyć Eddiego. Pieprzyć Russella. Sami chcieli wykorzystać okazję. Harley nie był ich aniołem stróżem.

Łódź przecięła falę, kołysząc się gwałtownie, i Harley mocno zacisnął dłoń na manetce silnika.

Rany boskie, ależ mu było zimno. Nakrył się do pasa brezentem.

I mógłby przysiąc, że w obłoku mgły spowijające łódź przez krótką chwilę zobaczył obu swoich współników siedzących przy dziobie i czekających, żeby odstawił ich do domu. Balast, pomyślał, jak zawsze.

Zamrugał oczami i zniknęli - Harley potrafił rozpoznać halucynacje, które były chyba specjalnością tej przeklętej wyspy.

Ale gdy znów zamrugał - dobry Boże - znów siedzieli na pokładzie, patrząc na niego takim wzrokiem, jakby to wszystko była jego wina.

## Rozdział 43

To był najtrudniejszy telefon w życiu Slatera, ale ponieważ gra szła o życie - na pewno Ewy i prawdopodobnie Niki - zadzwonił do doktor Levinson do Waszyngtonu. Najwyraźniej zastał ją na przyjęciu i zanim przeszła do jakiegoś ustronnego pokoju, zdążył usłyszeć w tle brzęk kieliszków i sztućców.

Jak najzwyczajniej zrelacjonował jej przebieg wypadków na wyspie i wyobrażał sobie, jak z każdym jego słowem na jej twarzy odmalowuje się coraz większe niedowierzanie i gniew. Przyszła bronić go przed sądem wojskowym, dała mu znakomitą okazję, aby się zrehabilitował, a on koncertowo ją zmarnował. Gdy w końcu się odezwała, usłyszał w jej głosie lodowaty ton,

- Czyli ma pan nie jedną, ale dwie zagrożone osoby w zespole? - Nie miał serca powiedzieć jej, że sam być może jest trzecim.

- Tak. I muszę natychmiast ewakuować je do szpitala na lądzie, gdzie można poddać je kwarantannie z zagrożeniem czwartego stopnia.

- Dlaczego nie wezwał pan jeszcze pomocy?

- Wezwałem, ale mamy kłopoty z priorytetami. Zdaje się, że Straż Przybrzeżna potrzebuje porządnego kopa od centrali AFIP albo pomocy od Powietrznej Gwardii Narodowej.

- Załatwione.

Podziękował jej.

- Nie dziękuj, Frank. Przecież wiesz, co to znaczy.

Domyślał się, ale i tak mu powiedziała.

- Kiedy to wszystko się wyjaśni, wrócisz do Waszyngtonu, żeby mi złożyć pełne sprawozdanie. A potem twoje cywilne zadania w AFIP zostaną uznane za zakończone.

Tak samo jak odwołano go z funkcji wojskowych.

- Rozumiem.

- Doprawdy? - Po raz pierwszy przez mur chłodnej powściągliwości, jakim się otaczała, przebiły się prawdziwe emocje. - Nie mieliśmy nikogo lepszego od ciebie, Frank, nadstawiałam za ciebie karku. A teraz zwalasz mi na łeb coś takiego!

Kiedy się rozłączyła, Slater stał przez kilka sekund w namiocie łączności, zbierając myśli i patrząc, jak idzie z dymem cała jego kariera, dopóki nie wszedł przysypany śniegiem sierżant Groves. Slater błyskawicznie nasunął z powrotem maseczkę i ostrzegawczo wyciągnął rękę, aby Groves się do niego nie zbliżał.

- Laboratorium czyste? - zapytał. - Nie ma wilka?

- Dawno zniknął - odparł Groves, także zasłaniając usta i nos maską. - Zostawiłem tam Rudy ego. Ale musisz coś zobaczyć.

- Coś z Evą? Gorzej z nią?

- O ile wiem, bez zmian.

- Z Niką? - Zabronił jej opuszczać namiot do odwołania.

- Nie, nie chodzi o nic takiego - odparł Groves. Dał Slaterowi znak, żeby wyszedł za nim z namiotu.

Slater, który spał najwyżej dwie godziny, nałożył na kombinezon ochronny kurtkę i rękawice, po czym ruszył za Grovesem w burzę. Zobaczył nagle światło dnia przebijające się przez chmury i musiał się chwycić sznurów wzdłuż ścieżki, żeby nie zdmuchnął go wiatr. Groves brnął przez teren kolonii w kierunku cerkwi, ale tuż przed wejściem skręcił w bok. Przystanął nieopodal budynku w miejscu, gdzie wyraźnie rozkopany śnieg miał malinowy odcień. Slater już po chwili dostrzegł zmasakrowane zwłoki i strzępy niebieskiej roboczej bluzy... i poznał, że to Russell, mężczyzna, którego widział w barze, a potem na nabożeństwie żałobnym w kościele luterańskim. Należał do paczki kumpli Harleya Vanea.

- Jak długo, twoim zdaniem, tu leży?

Groves wzruszył ramionami.

- Chyba niedługo. Zauważylibyśmy w czasie rutynowego patrolu.

Slater zastanawiał się, czy Russell był na wyspie sam, czy sprowadził też Harleya. A może jeszcze trzeciego muszkietera, tego Eddiego. Czy ci dwaj jeszcze gdzieś tu są?

A jeżeli tak, to co w ogóle tu robią? Czy dziura na cmentarzu to ich dzieło? Po co mieliby rozkopywać groby, zwłaszcza teraz, gdy obozowała tu jego grupa?

- Zdaje się, że dopadły go wilki - dodał Groves.

- Między innymi - odparł z powagą Slater. Nie miał pojęcia, do czego jeszcze ci ludzie byli zdolni, ale Nika na pewno będzie wiedzieć. Na razie dodał tę zagadkę do szybko rosnącego zbioru niewiadomych. Dostrzegł leżącą w śniegu przemokłą starą książkę z rozdartą oprawą. Podniósł ją. Była napisana po rosyjsku. Wyglądała na księgę rachunkową.

- Wyszusz to, a potem niech Kozak spróbuje coś z tego odczytać.

- Zrobi się. Co z ciałem?

- Zapakuj, zabezpieczenie trzeciego stopnia. Wyślemy je do Port Orlov, kiedy przyleci tu helikopter.

- Czyli kiedy?

Slater też chciałby wiedzieć. Spoglądając w górę, widział tylko szare chmury, za którymi od strony cieśniny płynęły po niebie czarne ławice zwiastujące burzę. Bez względu na to, kiedy przyleci śmigłowiec, na pewno będzie to zła pora.

- Na razie nikomu o tym nie mów - przypomniał mu Slater. Groves skinął głową. Obaj wiedzieli, że na takich misjach informacje powinny być przekazywane poufnie, tylko tym, którym były potrzebne.

Wchodząc do cerkwi, ze zdziwieniem zobaczył, że Kozak nie siedzi na stołku przed namiotem, gdzie poddano kwarantannie Evę Lantos; miał pilnować obiektu i nasłuchiwać, czy Lantos nie odzyskuje przytomności. Kroplówka z demerolem powinna ją wystarczająco uspić, ale nigdy nie wiadomo. Slater spojrział w głąb cerkwi i zauważył snop światła latarki przesuwaną się po stercie połamanych ławek i żelaznych sprzętów.

- Zszedłeś z posterunku - powiedział, podchodząc do profesora. - Gdyby była wojna, postawiliby cię pod murem.

Kozak też miał nosić maseczkę z gazy jako element stroju, którego Slater wymagał od osób pracujących w miejscu kwarantanny, ale wisiała mu na szyi. Slater pokazał mu na migi, aby ją nałożył, ale wcześniej Kozak zapytał:

- Wiesz, co to jest?

- Wygląda mi na górę rupieci.

- Spójrz dalej - odparł Kozak, przykrywając w końcu maską swoją starannie przyszytą siwą brodę. - Zrzucano tu te rupiecie, żeby schować ścianę osłaniającą ołtarz.

- Tam jest ołtarz?

- Musi być, a ta ściana to ikonostas. Znajdziesz ją we wszystkich świątyniach prawosławnych. Chroni „święte świętych”, prezbiterium. W dużych cerkwiach, takich jak ta, do której w dzieciństwie chodziłem w Moskwie, w ikonostasie jest kilkoro drzwi. Z poszczególnych z nich mogą korzystać tylko wybrani mnisi i kapłani. Obowiązuje wiele skomplikowanych reguł. Ale w mniejszej cerkwi, takiej jak ta, czasem są tylko jedne drzwi - drzwi świętego Szczepana, Protomartyra.

- Kogo? - Slater nigdy nie interesował się religią. Jego doświadczenie pokazywało, że jest to tylko jeszcze jeden powód, dla którego ludzie są zdolni zabijać z przekonaniem o słuszności swoich czynów i poczuciem bezkarności.

- Święty Szczepan, pierwszy męczennik chrześcijaństwa - wyjaśnił Kozak nieco zirytowanym tonem. - Nigdy nie śpiewałeś w dzień świętego Szczepana kolędy o dobrym królu Waclawie? - Kozak zaczął nucić, lecz przestał, bo Slater pokiwał głową, rozpoznając melodię. - Święty Szczepan został osądzony przez Sanhedryn - ciągnął Kozak - a potem ukamienowany.

- Za co?

- Głoszenie świętości Chrystusa.

No i proszę, pomyślał Slater. Jeszcze jeden punkt do jego listy religijnych mordów.

Unosząc aparat, żeby zrobić zdjęcie stosu rupieci, Kozak oświadczył:

- Chyba napiszę artykuł o tej cerkwi.

- Ale nie w czasie dyżuru, kiedy masz pilnować Ewy.  
- Śpi, słuchałem monitora - zapewnił go Kozak, po czym dodał: - Ale chyba powinna już być w szpitalu, prawda?

- Tak, i niedługo będzie. Helikopter jest już w drodze.

- Ach, czyli przebiłeś się jednak do kogoś wyżej.

- Musiałem zadzwonić do szefowej AFIP do Waszyngtonie. Jeżeli ona ich nie pogoni, to nikomu się nie uda.

Kozak wsunął aparat do kieszeni.

- Przypuszczam, że nie była zadowolona z wiadomości - rzekł ze współczuciem.

- Nie była. - Wiedząc już, co jest w głębi cerkwi, Slater za kamuflażem z rupieci rzeczywiście dojrzał ścianę. Dostrzegł nawet błysk złotej farby na wyblakłym malowidle.

Kozak pokiwał głową, spuszczać wzrok.

- Ci biurokraci nigdy nic nie rozumieją. Sytuacja w prawdziwym terenie nigdy nie wygląda tak jak w ich planach. Wydaje im się, że wszystko powinno iść łatwo, jak na papierze.

Święta racja, pomyślał Slater. Starał się nie zastanawiać nad konsekwencjami rozmowy z doktor Levinson. Resztę życia widział jako bezkresną pustkę, dlatego niemal z ulgą usłyszał cichy, ale przepojony udręką jęk dobiegający z ustawionego w cerkwi namiotu.

- Eva się budzi - powiedział, gdy w głośniku monitora zatrzeszczał jej głos.

- Ale chyba bardzo cierpi.

Mógł zwiększyć jej dawkę kroplówki, nawet dać zastrzyk, ale w tych warunkach nie umiał zrobić nic więcej. Biegając jej pomóc, usłyszał dźwięk, który zmartwił go jeszcze bardziej.

Kaszel. Ostry i mokry. Wyraźnie grypowy.

## Rozdział 44

Zrywająca łańcuchy.

Kiedy Charlie Vane przeczytał na ekranie komputera te dwa słowa, poczuł się, jakby właśnie włamał się do skarbcza w Fort Knox.

Srebrny krzyż leżał na żółtym notatniku, a jego szmaragdy lśniły w żółtym blasku stojącej na biurku lampki. Jak zwycięzca loterii, który jeszcze raz musi obejrzeć swój



szczęśliwy los, Charlie wziął go i obrócił w palcach. Inskrypcja była po rosyjsku, ale zapisał przecież w notatniku tłumaczenie, które podał mu Voynovich.

Dla mojej małej. Nikt nie może rozerwać łańcuchów świętej miłości, które nas wiążą. Twój kochający ojciec, Grigorij.

Odczytał to zupełnie nie tak, jak należało. Źle to zinterpretował.

Ale był już mądrzejszy. Jak gdyby te dwa słowa stanowiły klucz do tajnego kodu. Wiedział już wszystko. Przeszukiwanie internetu w końcu się opłaciło.

W 1901 roku Mikołaj II, ówczesny car z rodziny Romanowów, długo modlił się o syna. Ze swoją żoną Aleksandrą mieli już trzy córki, ale aby zapewnić przetrwanie dynastii, Mikołaj potrzebował męskiego potomka. W nocy 18 czerwca caryca urodziła jednak czwartą dziewczynkę, a Mikołaj, chcąc oszczędzić żonie widoku własnego rozczarowania, wyszedł na długi spacer, aby się uspokoić przed powrotem do cesarskiej komnaty. Na tym spacerze musiał się surowo zbesztać, ponieważ postanowił znieść to z podniesionym czołem i uczcić narodziny nowej córki uwolnieniem kilku studentów, których uwięziono za udział w rozruchach w Moskwie i Petersburgu zimą minionego roku.

Wybrał dla niej imię Anastazja, które oznacza „zrywająca łańcuchy”.

Oglądając jeszcze raz krzyż, Charlie zobaczył, jak wszystko pięknie się układa.

„Moja mała” wymieniona w dedykacji - maleńkaja - to była wielka księżna Anastazja, bo tak powszechnie nazywano psotną dziewczynkę. A „kochający ojciec” nie oznaczał jej prawdziwego ojca, ale księdza. Ojca imieniem Grigorij.

Grigorij Rasputin, samozwańczy święty, którego czcili Romanowowie, a naród nienawidził.

Charlie trzymał w ręku nie tylko kawałek historii, ale i przedmiot o absolutnie niewyobrażalnej wartości. Czasy zebrania o nędzne datki dla witryny „Pisma Świętego według Vanea” skończą się na zawsze! Będzie mógł nieść swoje posłanie - wyzwolenia przez całkowite podporządkowanie się, pod każdym względem, woli Bożej! - milionom ludzi naraz. Nieprzypadkowo mógł się przy okazji stać jeszcze bogatszy i sławniejszy, choć to także był niewątpliwie element Boskiego planu wobec niego.

Nie zdążył nacieszyć się swoim triumfem i wyobrazić sobie batalii na licytacji, jaka rozgorzeje między najbogatszymi kolekcjonerami i muzeami, gdy przed domem zapaliły się wyposażone w czujnik ruchu światła, zalewając podjazd zimnym białym blaskiem. Popychając wózek przez warstwę dywaników, zerknął przez okno; spodziewał się zobaczyć przechodzącego obok domu łosia albo skradającą się parę lisów. Ujrzał jednak swojego brata Harleya, który ledwie trzymając się na nogach, zmierzał w stronę schodów przed wejściem.

- Rebekah! - krzyknął Charlie. - Idź otworzyć!

- Dlaczego ja? - zawołała z kuchni. - Właśnie piekę. - Od paru godzin dom wypełniał zapach zwęglonego chleba na zakwasie.

Rozległo się łomotanie do drzwi i krzyk Harleya:

- Otwórzcie! Na litość boską, otwórzcie!

Charlie manewrował wózkiem, chcąc wyjechać na korytarz, ale usłyszał zbiegającą po schodach Bathshebę.

- Otworzę! - zawołała z przejęciem. - To Harley. - Miała wyraźną słabość do jego brata; raz powiedziała, że jest podobny do tych młodych wampirów z jej książek.

Ale gdy otworzyła, Harley dosłownie wpadł do środka, zatrzasnął za sobą drzwi i zasunął zamek. Oparł się o futrynę, tocząc dokoła dzikim wzrokiem. Jego brązowe włosy sterczały zlepione w sople, buty ociekały wodą, która wsiąkała w dywany przykrywające stare, nierówne deski podłogi, a twarz była bledsza niż u Bathsheby, co wiele mówiło.

- Nie chcą przestać! - krzyknął. - Nie chcą przestać!

- Kto nie chce przestać? - spytał Charlie, czując, że koło wózka zahaczyło o dywanik.

- Eddie i Russell!

- Co ty gadasz? Są tu z tobą?

- Nie, ich już nie ma!

Nie ma? Cokolwiek Harley miał na myśli, Charlie wiedział, że w powietrzu wiszą poważne kłopoty. Bathsheba wycofała się na schody.

- Dobra, Harley, uspokój się, zgoda? Wejdz i opowiedz mi, co się dzieje. Bathsheba, idź powiedzieć siostrze, żeby nam przyniosła gorącej herbaty i chleba, który przypala przez całe popołudnie.

Harley dopiero po kilku sekundach oderwał się od drzwi, a gdy Charlie prowadził go do pokoju modlitw, gdzie pracował, usłyszał pobrzękiwanie metalu i szkła w plecaku, który Harley niósł na ramieniu. Ciekawe, czy to dobry znak. Minęło wiele dni, odkąd miał ostatnie wiadomości z Wyspy Św. Piotra, i choć odetchnął z ulgą, widząc Harleya żywego, nie było wątpliwości, że brat zbzikował.

- Już w porządku - powiedział Charlie. - Usiądź i wyluzuj.

Harley najpierw podszedł do okna i stał tam, dopóki nie wyłączyły się czujniki ruchu i nie pogasły światła na podjeździe. Zaciągnął zasłony i obrócił się w panice, gdy do pokoju weszła Rebekah, niosąc tacę z herbatą i grzankami. Bathsheba niepewnie zaglądała przez szparę, ukryta za drzwiami.

- Postaw tacę i zostaw nas samych - powiedział Charlie.

Rebekah spełniła polecenie, ale w proteście przeciwko tak nieuprzejmemu traktowaniu z rozmachem postawiła tacę na blacie biurka, wylewając odrobinę herbaty z kubków.

- Ten chleb nie pochodzi z żadnego sklepu - oznajmiła, jak gdyby ktoś sugerował, że jest inaczej, po czym wyszła, głośno zasuważąc za sobą drzwi.

- Wypij to - powiedział Charlie, podając bratu kubek. - Smakuje ohydnie, ale dobrze ci zrobi.

Harley drżącymi rękami wziął herbatę i siorbnął łyk. Plecak zsunął się na podłogę między jego nogi. Potem pożarł dwie grzanki, nie zadając sobie nawet trudu, żeby posmarować je dżemem domowej roboty. Charlie przyglądał mu się uważnie, jak gdyby był jednym z szaleńców, których jako kaznodzieja od czasu do czasu widywał - na monitorze albo osobiście. Zwykle twierdzili, że słyszą głosy w głowie albo że ktoś ich prześladowa. Kiedyś wpadł jakiś Eskimos, krzycząc, że go śledzą, ale okazało się, że miał rację - uciekł z zakładu psychiatrycznego w Dillingham i ludzie z opieki społecznej deptali mu po piętach.

Harley nie wyglądał lepiej od nich, ale Charlie pozwolił mu pić herbatę domowej roboty - tym razem bez żadnych narzekań z jego strony - dopóki trochę się nie uspokoił. Co się stało na tej wyspie? I co miał na myśli, mówiąc, że Eddiego i Russella już nie ma?

- Słuchaj, możesz zdjąć kurtkę i trochę tu posiedzieć - zasugerował Charlie.

Ale Harley wyglądał jakby wciąż było mu za zimno, żeby się rozbierać, a Charlie wiedział, że lepiej go nie poganiać. Zresztą nie chodziło mu o kurtkę, ale o plecak - nie mógł się doczekać, żeby do niego zajrzeć.

- Kiedy cię nie było, sam wybrałem się na małą wyprawę - rzekł Charlie, żeby na chwilę zmienić temat. - Do Nome.

Harley nie zareagował, jeśli nie liczyć nerwowego pocierania uda.

- Poszedłem do tego złodzieja Voynovicha.

Harley uniósł wzrok znad kubka.

- Powiedział mi parę rzeczy o krzyżu. Sam też próbowałem się dowiedzieć tego i owego.

Harley zaczynał przytomnieć.

- Zdaje się, że może być wart o niebo więcej, niż przypuszczaliśmy.

Harley prychnął, jak gdyby to nie miało już większego znaczenia, a Charlie poczuł się urażony.

- Jeżeli cię to interesuje - powiedział - krzyż należał do Anastazji, najmłodszej córki ostatniego cara. I był prezentem od niejakiego Rasputina. Dowiedziałem się tego sam, siedząc w tym pokoju. - Czekał na wrażenie, jakie wywołają te nowiny. - Co ty na to?

- Moim zdaniem powinieneś wrzucić to cholerstwo do oceanu.

Nie takiej reakcji spodziewał się Charlie. Na dywaniku wokół butów jego brata zaczęła się tworzyć kałuża sięgająca już dna plecaka.

- Wiesz co? - powiedział. - Nie wiem, co wzięłeś ani co ci się stało, ale mam już dość tej komedii. Powiesz mi, co się dzieje? Gdzie są Eddie i Russell?

Harley w końcu się uśmiechnął, ale nie był to uśmiech, który mógł kogokolwiek uradować. Charlie pomyślał, że brat wygląda na tak samo obłąkanego jak tamten facet z Dillingham.

- Eddie i Russell nie żyją.

- Nie żyją? - Niech to wszyscy diabli, w co ci kretyni się wpakowali?

- Tak jakby.

- Co to znaczy, tak jakby?

- Eddie spadł z klifu, a Russella zjadły wilki.

Charlie powoli wypuścił powietrze z płuc i rzekł:

- Czyli wynika z tego, że raczej nie żyją.

Harley nieoczekiwanie zachichotał.

- Może, ale nie byłbym taki pewny.

Charlie, który nigdy nie był obdarzony zbyt dużą cierpliwością, poczuł, że właśnie mu się wyczerpała. Eddie i Russell pewnie siedzieli teraz w barze „Yardarm”, naćpani tak samo jak jego brat. Kto wie, co łyknęli? Mama Eddiego pichciła kiedyś różne świństwa.

- Weź ten cholerny plecak i podaj mi - rozkazał.

Harley rzucił mokry plecak na kolana Charliego.

Kiedy Charlie zaczął w nim grzebać, Harley ostrzegł:

- Na twoim miejscu bym uważał. - Ale było już za późno. Charlie ukłuł się w palec i szybko wsunął go do ust, żeby zatamować krwawienie.

- Co ty tu masz? - zapytał, odwracając plecak i potrząsając nim nad dywanikiem. Wysypał się z niego grad stłuczonych probówek i zatyczek, ze śladami krwi i kawałkami topniejącego ciała. Charlie wzdrygnął się na ten widok. - Odbiło ci? - Nie czekał na odpowiedź. - Skąd masz to gówno?

- Z kolonii.

- Po co ci to?

- Szukaj dalej.

Charlie potrząsnął jeszcze raz i na kolana wypadła mu ikona. Maryja z dzieciątkiem Jezus... ozdobieni trzema lśniącoymi brylantami. Nastrój Charliego zmienił się w jednej chwili.

- Matka Boska.

- Faktycznie.

Charlie przesunął wózek bliżej lampy na biurku, żeby obejrzeć blask kamieni.

- To z któregoś grobu?

Harley skinął głową.

- Jest tam tego więcej?

- Chyba tak.

Co to za odpowiedź? Charlie balansował między euforią a złością. Krzyż ze szmaragdami i ta ikona oznaczały, że trafili na żyłę złota, ale ile jeszcze ten idiota zostawił w ziemi?

- W takim razie trzeba tam będzie wrócić.

Charlie, który nigdy nie był obdarzony zbyt dużą cierpliwością, poczuł, że właśnie mu się wyczerpała. Eddie i Russell pewnie siedzieli teraz w barze „Yardarm”, naćpani tak samo jak jego brat. Kto wie, co łyknęli? Mama Eddiego pichciła kiedyś różne świństwa.

- Weź ten cholerny plecak i podaj mi - rozkazał.

Harley rzucił mokry plecak na kolana Charliego.

Kiedy Charlie zaczął w nim grzebać, Harley ostrzegł:

- Na twoim miejscu bym uważał. - Ale było już za późno. Charlie ukłuł się w palec i szybko wsunął go do ust, żeby zatamować krwawienie.

- Co ty tu masz? - zapytał, odwracając plecak i potrząsając nim nad dywanikiem. Wysypał się z niego grad stłuczonych probówek i zatyczek, ze śladami krwi i kawałkami topniejącego ciała. Charlie wzdrygnął się na ten widok. - Odbiło ci? - Nie czekał na odpowiedź. - Skąd masz to gówno?

- Z kolonii.

- Po co ci to?

- Szukaj dalej.

Charlie potrząsnął jeszcze raz i na kolana wypadła mu ikona. Maryja z dzieciątkiem Jezus... ozdobieni trzema lśniącoymi brylantami. Nastrój Charliego zmienił się w jednej chwili.

- Matka Boska.

- Faktycznie.

Charlie przesunął wózek bliżej lampy na biurku, żeby obejrzeć blask kamieni.

- To z któregoś grobu?

Harley skinął głową.

- Jest tam tego więcej?

- Chyba tak.

Co to za odpowiedź? Charlie balansował między euforią a złością. Krzyż ze szmaragdami i ta ikona oznaczały, że trafili na żyłę złota, ale ile jeszcze ten idiota zostawił w ziemi?

- W takim razie trzeba tam będzie wrócić.

- Ja nie wracam.

Boże, dodaj mi sił, pomyślał Charlie. Gdyby nie ten wózek... Zastanawiał się, jaką przyjąć taktykę, i próbował pohamować gniew, gdy nagle Harley zgiął się wpół i spokojnie zwymiotował grzankami i herbatą na dywan.

Chryste, Rebekah dostanie szału.

Ale Harley jak gdyby nigdy nic uśmiechnął się w rozmarzeniu, a potem spadł z krzesła i wylądował nieprzytomny w kałuży wymiocin i kawałkach potłuczonych fiolek.

## Rozdział 45

Wchodząc do namiotu, Slater od razu zobaczył, że stan Lantos zmienił się ze stabilnego w krytyczny. Czoło miała mokre od potu, jej kręcone włosy zlepily się w strąki, które płasko przylegały do skóry, a usta przybrały jasnosiną barwę. Rzuciła się w malinię, szarpiąc prowizoryczne pasy, które w końcu dla niej zrobili, mającyla coś o wilkach, krwi i myszach.

- Eva, przestań się szamotać - powiedział, próbując przytrzymać mocniej jej ręce. - Chcę ci dać coś przeciwbólowego.

- Szpital - jęknęła, prawie nie zatrzymując na nim wzroku. - Muszę... do szpitala.

- Wiem, pojedziesz tam - odrzekł. - Niedługo zabierzemy cię z wyspy. Obiecuję. - Ale czy będzie mógł dotrzymać tej obietnicy?

Szperając w szczupłych zapasach w namiocie, szukał czystej strzykawki i ampulki morfiny. W strefach działań wojennych sanitariusze mieli autostrzykawki z morfiną, przypominające szpikulce do kukurydzy, które można było natychmiast wbić pod skórę. Oddałby teraz wszystko za jedną taką dawkę. Ale misja przyjechała tu z innym zadaniem. Nie miał zestawu polowego. Nie mógł nawet znaleźć nieużywanej strzykawki; wszystko, czym

dysponował, wciąż znajdowało się w namiocie, gdzie mieściło się laboratorium i prosektorium.

Podłączył resztkę demerolu do jednej kroplówki, a antybiotyk do drugiej i powiedział:

- Zaraz wracam. Wyjdiesz z tego. Nic ci nie będzie.

Nakazał Kozakowi, żeby nadal trzymał straż, ale nie zbliżał się do Lantos, po czym wybiegł w szalejącą burzę. W zacinającym śniegu namioty wyglądały jak niewyraźne zielone plamy i obawiał się, że w takich warunkach śmigłowiec nawet nie będzie próbował lądować. Trzymając się kurczowo sznurów wzdłuż ścieżek, z trudem szedł przez teren kolonii w stronę głównej bramy, gdzie stał namiot laboratorium. Kiedy tam dotarł, zobaczył Rudyego w ubraniu ochronnym, który kulił się w wejściu, uderzając się rękami po udach, żeby nie zmarznąć.

- Pilotowi będzie ciężko - powiedział Rudy, wskazując na burzę. - Nie wiem, jak mu się uda wylądować.

Ale Slater przemyślał już jedyne alternatywne wyjście.

- Zejdz na plażę i przygotuj łódź. Być może trzeba ją będzie spuścić na wodę.

- W takich warunkach?

- Idź.

Potem wszedł do laboratorium, minął szklane pojemniki, w których kotłowały się białe myszy, i skierował się prosto do szafki z lekami, materiałami opatrunkowymi i instrumentami, która mimo chaosu, jaki panował tu po ataku wilka, pozostała zamknięta i nienaruszona. Otworzył ją i wyciągnął kilka opakowań i torebek leków antyretrowirusowych i antybiotyków. Napelnił nimi obszerne kieszenie kurtki, a także kombinezonu ochronnego, który miał na wierzchu. Zabrał też trochę gazików, sterylnych bandaży i czystych strzykawek.

Co jeszcze? Starał się nie zapomnieć o niczym, ale jego myśli uparcie wracały do Niki. Lantos cierpiała na skutek obrażeń fizycznych, ale jeżeli naprawdę zachorowała na grypę, niewykluczone, że Nika została zarażona wirusem, kłując się igłą. W przypadku grypy, zwłaszcza szczepu, który był zamrożony przez sto lat, nie wiadomo, w jaki sposób, w jakich warunkach i kogo może zarażać wirus. Slater wiedział jedynie, że Nika musi jak najszybciej opuścić wyspę. Przeklinał dzień, w którym pozwolił jej dołączyć do zespołu. Stała mu się zbyt droga, a do takiej sytuacji nie powinien dopuścić żaden epidemiolog.

Na drugim końcu laboratorium przed częścią prosektoryjną wisiały poplamione krwią pasy plastiku przypominające czerwone wstęgi; tabliczka z deklaracją, że jest to miejsce, gdzie umarli cieszą się, że mogą pomóc żywym, leżała na podłodze z krwawym odciskiem łapy. Slater dostrzegał spoczywający na stole karmazynowy zarys ciała diakona... który

przypomniał mu o czymś, co mówił Kozak. Diakońskie wrota w ikonostacie prowadziły do prezbiterium, gdzie znajdowało się wszystko, co najświętsze. Te zbezczeszczone zwłoki, ten człowiek, był strażnikiem największych skarbów i najgłębiej strzeżonych tajemnic kolonii.

Ciało nie powinno tak leżeć na wierzchu. Nawet dla osoby o tak świeckich poglądach jak Slater był to dowód rażącego braku szacunku, a z medycznego punktu widzenia - prawdziwe zagrożenie. Mimo pośpiechu, postanowił poświęcić chwilę, rozchylił zasłony i wszedł do środka.

W prosektorium panował kompletny bałagan, taki sam, jaki tu zostawił, ale w oczy rzuciło mu się coś dziwnego: narządy wyjęte z ciała pozostały nietknięte w naczyniach, a na samych zwłokach nie było widać śladu zwierzęcej brutalności. Wiedział, że wielu mięsożerców, nawet najbardziej wyrachowanych czy głodnych, potrafi wyczuć w padlinie chorobę i zastanawiał się, czy właśnie tu stało się coś takiego. Czyżby wilk wykrył coś na tyle podejrzanego, że zniechęciło go do uczy?

Stan zwłok już i tak uniemożliwiał prowadzenie dalszych badań, Slater wziął więc brezent, którego użyli do transportu diakona z cmentarza, i nakrył nim ciało. Zanim jednak zasłonił mu głowę, delikatnie uniósł płat skóry z włosami, który opadł na twarz, i przyglądał go nad czołem. Ze zdziwieniem zauważył, że szaroniebieskie oczy, obramowane tającymi, wciąż wilgotnymi rzęsami, zmieniły pozycję. Pamiętał, że spoglądały spod jasnych brwi nieruchomo na wprost, teraz jednak patrzyły w lewo.

Na pewno na skutek rozkładu, mimo to widok mógł przyprawić o dreszcz zgrozy.

Podążył za spojrzeniem oczu... do stojącej w rogu zamrażarki.

Która była otwarta. I pusta.

Slater natychmiast pochylił się nad nią, nie wierząc własnym oczom. Chcąc się upewnić, przesunął dłoń po pustych półkach, na których wcześniej ustawił próbki pobrane in situ oraz późniejsze wycinki, które pobrali z Lantos podczas autopsji.

Znalazł tylko parę potłuczonych fiolek, jak gdyby ktoś bardzo się spieszył i upuścił je, zanim uciekł z resztą. Ale kto? Russell? Do, czego u diabła, mógłby ich potrzebować?

Nie było w tym cienia sensu.

Potem przypomniał sobie, że Eva - w szoku po pojawieniu się wilka - wrzuciła do zamrażarki kartkę z modlitwą oraz wysadzaną brylantami ikonę. Obydwu przedmiotów też nie było.

Zaczynało to wreszcie nabierać sensu.

A kiedy do laboratorium wpadł Rudy, żeby go poinformować, że łódź zniknęła, Slater wybuchł:



- Jak to zniknęła? Nie była odpowiednio zabezpieczona?

- Była - odparował Rudy. - Ktoś odwiązał liny. Na śniegu są ślady.

Nagle wszystkie elementy ułożyły się w przerażającą całość. Russell nie był sam. Na wyspie musieli być także jego kumple Harley i Eddie.

A teraz płynęli z powrotem do Port Orlov... z wirusem w kieszeniach.

## Rozdział 46

Anastazję obudził krzyk... jej własny.

Wszystko wokół było czarne, ciche i nieruchome, jakby była otulona grubym futrem z norek.

Albo leżała w trumnie.

Znów wrzasnęła, czując ból w każdym centymetrze ciała. Lecz gdy wyciągnęła przed siebie ręce, na szczęście nie trafiła w deski trumny, a kiedy usiadła, nie uderzyła w nic głową.

Ale gdzie była?

Usłyszała szybkie dyskretne kroki, a następnie skrzypnięcie otwieranych drzwi... ale drzwi w podłodze. Zza uchylonej kłapy do pokoju wpadło światło lampy naftowej, a kobiecy głos poprosił ją, żeby przestała krzyczeć.

- Jesteś bezpieczna, moje dziecko. Jesteś bezpieczna.

Po ostatnich szczeblach drabiny weszła kobieta w czarnym habicie zakonnicy i uklękła obok siennika, na którym leżała Anastazja.

- Przepraszam, widocznie w lampie skończyła się nafta - powiedziała. Jej twarz wydawała się znajoma.

Ana ujrzała teraz rozchybotany stół, na którym stała zgaszona lampa oraz fajansowa miska i dzbanek. Z krokwi pod pochyłym sufitem zwisały pajęczyny. Była na strychu... strychu pachnącym świeżym chlebem, drożdżami i miodem.

- Jesteś w nowotichwińskim monasterze. Przyniósł cię tutaj żołnierz - Siergiej.

- Kiedy? - zapytała schrypniętym głosem.

- Trzy dni temu.

Trzy dni temu... nagle wróciła fala wspomnień; obudzono ich w środku nocy, w błogiej nieświadomości zeszli do piwnicy, ustawili się do fotografii... i zamiast fotografa zobaczyli wpadających do pomieszczenia gwardzistów. Odczytano wyrok śmierci. Nie potrafiła myśleć o tym, co stało się później; wstrząsnął nią niepohamowany szloch.

Zakonnica, w czarnym czepku z prostym dnem i czarnym welonie spływającym wzdłuż obu policzków, pocieszała ją, jak umiała, a równocześnie przypominała jej, żeby zachowywała się cicho.

- Moja rodzina... - wyszeptala w końcu Anastazja. - Co z moją rodziną?

Zakonnica nie odpowiedziała. Nie musiała nic mówić. Ana wiedziała.

Wiedziała też, kim jest zakonnica - już sobie przypomniała, że ma na imię Leonida. Siostra Leonida. To ona przynosiła świeży prowiant do domu Ipatiewa.

- Szukają cię bolszewicy. Wiedzą, że uciekłaś. Dlatego ukryliśmy cię tutaj, nad piekarnią.

Monaster słynął nie tylko z chleba i wypieków. Oprócz sześciu kościołów, jakie znajdowały się na jego terenie, miała tu również siedzibę szkoła diecezjalna, biblioteka, szpital, sierociniec i warsztaty, gdzie blisko tysiąc sióstr pisało ikony i haftowało stroje dla duchownych jedwabnymi, srebrnymi i złotymi niciami. Ich prace od dawna uchodziły za najpiękniejsze w całym imperium rosyjskim.

- Musisz coś zjeść - powiedziała siostra Leonida i unosząc rąbek habitu, ostrożnie zesłała po drabinie. Obok wypełnionego słomą materaca zostawiła lampę, przy świetle której Ana zsunęła z siebie koc i zaczęła się oglądać. Ubrana była w długą białą szatę - podriasnik - którą zakonnice i księża zwyczajowo nosili pod zewnętrznym habitem i sutanną; sięgała stóp, a długie rękawy zwężały się u nadgarstków. Stroju, który miała na sobie tamtej strasznej nocy, nie było - cóż mogło z niego pozostać po takiej kanonadzie? - ale gorset z wszytymi carskimi klejnotami wisiał na krześle. Zastanawiała się, czy zakonnice znalazły to, co było w nim ukryte... uświadomiła sobie, że cenna zawartość gorsetu musiała uratować jej życie, odbijając grad kul. Żebra i brzuch tak ją bolały, jak gdyby obły ją tysiące pięści, a na ramionach i nogach miała świeże bandaże. Szarpnąwszy podriasnik z przodu, zobaczyła szmaragdowy krzyż, który wciąż spoczywał na jej piersi. Na stopy naciągnięto jej szorstkie wełniane skarpety; przypomniał jej się spaniel Jemmy, który w nocy zwykle spał na jej nogach, i znów po policzkach popłynęły jej strugi łez.

Gdy siostra Leonida wróciła, przyniosła kawał świeżego ciemnego chleba i talerz gorącej duszonej jagnięciny. Ana nie chciała jeść. Ze smutku miała tak ściśnięte gardło, że nie umiała nic przełknąć, ale Leonida usilnie ją namawiała.

- Jesteś to winna sobie, swojej rodzinie... i Bogu. Z jakiegoś powodu cię oszczędził.

Czyżby? Tak, uratowała się, ale komu właściwie zawdzięczała ten dziwny los? W pamięci rozbrzmiały jej prorocze słowa świętego starca Rasputina... i choć wolałaby o tym

zapomnieć, oczyma duszy ujrzała jego widmo wylaniające się z dymu w piwnicy tamtej strasznej nocy.

Gdy już zjadła tyle, by uspokoić zakonnicę, Leonida powiedziała:

- Zostawię tu miseczkę, żebyś mogła zjeść resztę, a tymczasem przyniosę ciasto miodowe, które jest jeszcze w piecu.

Ana zapytała ją o Siergieja.

- Czy oni wiedzą, że to on mnie uratował?

Siostra skinęła głową.

- On też się ukrywa. Ale przekażę mu, że się obudziłaś i wracasz do sił.

- Czy mógłby tu do mnie przyjść?- Ana nie wiedziała, czy nie prosi o niewyobrażalną przysługę i nie naraża Siergieja na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Ale bardzo pragnęła go zobaczyć.

- Jedz - powiedziała siostra. - I odpoczywaj.

Ana nie była pewna, jak ma rozumieć tę odpowiedź, ale bała się dopytywać. I prawdę mówiąc, znowu zapadła w letarg. To była ucieczka od wszystkiego, czego się już dowiedziała, a o czym chciałaby znowu zapomnieć... i na powrót pogрузić się w kojącej otchłani snu.

## Rozdział 47

Slater pędził do Niki z sercem ściśniętym strachem. Nie mógł zapukać w poły namiotu, ale przekrzykując wiatr, wołał, że idzie do niej i że powinna nałożyć maskę i strój ochronny.

Za zasłoną okularów ujrzał parę przestraszonych oczu. Wisząca u góry na kablu naga żarówka kołysała się w wydętym od wiatru namiocie.

- Pokaż rękę - polecił, a ona posłusznie wyciągnęła dłoń jak pies, który zranił się w łapę. Trzymając ją ostrożnie przez rękawiczki, obejrzał miejsce, gdzie igła przebiła skórę. Ślad był nadal widoczny, ale nie dostrzegł na razie stanu zapalnego ani niczego podejrzanego. Poczul pewną ulgę, ale nic ponad to. Etiologia i czas inkubacji tej grypy były - oględnie mówiąc - pewną niewiadomą.

- Jak się czujesz?

- Boję się - przyznała. Czarne włosy miała zaplecione w dwa warkocze, które lśniły na jej ramionach.

- Jak my wszyscy - odrzekł. - Ale będzie dobrze, zaufaj mi.

- Co z Evą?

- Zrobiłem dla niej wszystko, co się tutaj dało. - Rzeczywiście, przed chwilą zmienił jej opatrunki, wymienił kilka zerwanych szwów i podał silniejszy środek uspokajający. - Ale niedługo zostanie ewakuowana helikopterem. Ty też polecisz.

- Przecież mnie nic nie jest. Jeżeli potrzebujesz miejsca na pokładzie dla...

- Musisz mi pomóc odnaleźć Harleya Vanea i Eddiego.

- O czym ty mówisz?

Możliwie krótko opowiedział jej, czego się dowiedział, łącznie z faktem, że przed cerkwią odgrzebano zamrożone zwłoki Russella. Na twarzy Niki malowało się niedowierzanie.

- Zaatakowały go wilki? - zapytała.

- Nie ma co do tego wątpliwości - odparł Slater, po czym wyjaśnił, co jego zdaniem zrobili na wyspie pozostali.

- Czyli nie wiadomo, z czym mogli mieć kontakt?

- Nie wiadomo - przytaknął Slater. - Oni też nie wiedzą.

Nika, rozumiejąc już w pełni powagę sytuacji, spytała:

- I udałoby im się dopłynąć do Port Orlov łodzią w taki sztorm?

- Przyjmijmy teoretycznie, że tak.

- Powinnam zadzwonić do szeryfa w miasteczku - powiedziała, sięgając po telefon satelitarny, ale Slater uniósł rękę, żeby ją powstrzymać.

- Już został zawiadomiony i wie, jakie środki ostrożności on i jego ludzie muszą zastosować. - Slater zawiadomił także Straż Przybrzeżną, Gwardię Narodową i cywilne władze w stolicy stanu Juneau. Musiał otoczyć Port Orlov ciasnym pierścieniem i utworzyć jeszcze jeden, w promieniu piętnastu kilometrów od miasta. Na szczęście północnozachodnia część Alaski jest słabo zaludniona i nie przecina jej gęsta sieć dróg i autostrad; ludzie podróżują na ogół po morzu oraz w powietrzu i Slaterowi udało się już załatwić blokadę portu i uziemienie wszystkich samolotów cywilnych. Kiedy napotykał jakikolwiek opór, odsyłał wszystkich do centrali AFIP w Waszyngtonie. Doszedł do wniosku, że jeśli kiedyś zdoła dotrzeć do stolicy, doktor Levinson prawdopodobnie postawi go przed plutonem egzekucyjnym.

- Frank? - spytała Nika - co się stanie z ludźmi w Port Orlov?

- Nic - odrzekł. - Na pewno uda nam się to powstrzymać.

- Nie zniosłabym - powiedziała wciąż załknionym głosem - gdyby powtórzyło się to samo co w 1918 roku... i to podczas mojej warty. Jestem burmistrzem, jestem członkiem rady plemiennej, osobą, której ufają. Pamiętam opowieści o tym, jak ludzie umierali w swoich chatach i psy przez całe tygodnie żywiły się ich zwłokami.

- To się nie powtórzy - rzekł, trzymając jej dłonie w rękawiczkach i żałując, że nie może zdrzeć wszystkich tych warstw ochronnych - swoich i jej - i naprawdę jej dotknąć.

- Te historie przekazywali moi pradziadkowie. Należeli do tych nielicznych, którzy przeżyli.

- I niech Bóg błogosławi twoich przodków, bo być może przekazali tę odporność tobie i innym. Będziemy pamiętać o wszystkich niezbędnych środkach ostrożności - zapewnił ją. - Ale opanujemy zagrożenie.

Nie mogąc jej pocałować ani nawet dotknąć ręką jej dłoni bez rękawiczki, pochylił się i oparł głowę o jej czoło. Choć wiedział, jak dziwnie, może wręcz komicznie wyglądałoby to w oczach postronnego obserwatora - para w kombinezonach ochronnych połączona w zagadkowy sposób w rozchwianym, targanym wiatrem namiocie - była to najbardziej intymna chwila, jakiej doświadczył od lat. Zamknął oczy, miał wrażenie, że pierwszy raz od bardzo dawna, i gdyby nie dobiegający z oddali furkot łopat wirnika, mógłby tak trwać całą wieczność.

- Frank, słyszysz?

Słyszał.

- Zbierz swoje rzeczy i bądź gotowa za pięć minut!

Wybiegł na zewnątrz i ocierając śnieg z gogli, spojrział w górę. Zobaczył mrugające czerwone światelka helikoptera Straży Przybrzeżnej, który leciał nad wierzchołkami drzew, a potem zatoczył koło nad kolonią. Sierżant Groves zapalił krąg rac, którymi oznaczył lądowisko, i śmigłowiec powoli się obniżył, kołysząc się mocno i trzepiąc śnieg na białą pianę. Nie czekając, aż koła dotkną ziemi, Slater podbiegł do otwierających się drzwi kabiny.

- Za mną! - rozkazał krótko dwóm opatulonym w kombinezony ochronne ratownikom, którzy wyskoczyli w zawieruchę, dźwigając wzmocnione metalem nosze. Kiedy dotarli do cerkwi, Slater kopniakiem otworzył wypaczone drzwi i wpadł do środka razem z wiatrem, który jak małe tornado dmuchnął śniegiem przez całą nawę aż do ikonostasu.

- Tutaj - pokazał Slater, zatrzymując się, by szarpnięciem otworzyć prowizoryczne miejsce kwarantanny.

Eva była półprzytomna; gdy odłączał kroplówki, podawał ratownikom najnowsze dane na temat jej stanu i pomagał przenieść ją na nosze.

- Frank - wymamrotała przez maskę - przepraszam...

Reszta słów utonęła w zamieszaniu, jakie spowodowała operacja wynoszenia jej z namiotu.

- Nie masz za co przepraszać - rzekł, kładąc dłoń na jej wątłym ramieniu.

Ratownicy ostrożnie znieśli ją po pochyłych stopniach i ruszyli przez teren kolonii w kierunku lądowiska. Slater zobaczył, jak Groves i Rudy dźwigają worek ze zwłokami Russella w stronę ładowni, a gdy sierżant otworzył zamki luku, z kabiny wyskoczył pilot, żeby zaprotestować przeciwko niespodziewanemu dodatkowemu ładunkowi.

Mimo wycia wiatru Slater usłyszał jego krzyki:

- Co wy wyrabiacie? Nie mam na to zezwolenia!

Slater nagle poczuł się tak samo jak w Afganistanie, kiedy dziewczynka umierała od ukąszenia żmii.

- Ja daję zezwolenie - oznajmił. Gdy ratownicy wspinali się z Lantos na pokład, zjawiała się Nika i jak strzała wskoczyła do kabiny. Pilot, choć miał twarz przysłoniętą maseczką z gazy, sprawiał wrażenie, że zupełnie nie wie, co począć w tej sytuacji, ale Slater szybko ją wyjaśnił.

- Rozkazuję startować!

W takich chwilach trudno mu było pamiętać, że nie jest już majorem tylko cywilnym epidemiologiem, ale nauczył się, że kiedy zachowuje się jak oficer, niewiele osób jest gotowych kwestionować jego autorytet.

Kilka sekund później helikopter wzniósł się z warkotem łopat, chwiejąc się na wszystkie strony, jak gdyby waliła w niego olbrzymia łapa; przez pleksiglasowe okno Slater zobaczył Grovesa i Rudy ego z rękami uniesionymi na pożegnanie, a gdy poprawiał pasy bezpieczeństwa, aby nie wbijały mu w pierś bilikina z kości słoniowej - gdzie to szczęście, które amulet rzekomo miał mu przynieść? - dostrzegł Kozaka, który ślizgając się, wybiegł naprzód i w geście otuchy pokazał uniesione kciuki; nauszники futrzanej czapki sterczały mu jak para skrzydeł. To był dobry zespół, tu się nie pomylił. Lantos jęknęła, gdy śmigłowiec przechylił się i z obniżonym nosem ruszył naprzód, unosząc się nad palisadą i cebulastą kopułą przekrzywionej cerkwi.

## Rozdział 48

Siergiej z łatwością potrafił zapaść się pod ziemię. Nie sposób wychować się na syberyjskich stepach, nie wiedząc, jak wyżywić się z ziemi i nikomu się nie pokazywać; miał to we krwi każdy, czyi przodkowie musieli kiedyś uciekać przed mongolską hordą czy ukrywać się przed siejącymi zniszczenie Kozakami.

Teraz jednak było to wyjątkowo trudne. Kiedy szczęśliwie przekazał Anastazję w ręce siostry Leonidy, zaczął krążyć wokół Jekaterynburga, gdzie zachodziły wielkie zmiany - zwłaszcza w Domu Specjalnego Przeznaczenia. Z ukrycia obserwował, jak usuwa się stamtąd wszystkie ślady po rodzinie carskiej i wiele rzeczy wrzuca do ognia, rozpalonego na dziedzińcu. Widział, jak pod nadzorem Gwardii Czerwonej miejscowi robotnicy zeskrobują białą farbę z okien, usuwają nieprzyzwoite napisy z wychodka oraz wnoszą ścierki, miotły i wiadra, żeby wyszorować miejsce kaźni w piwnicy. Udało mu się poszperać w śmieciach w mieście i znaleźć zabrudzony numer miejscowej gazety, a w niej tekst zatwierdzony, jeśli nie wręcz napisany, przez samego Lenina. Nagłówek brzmiał: „Decyzja Uralskiej Obwodowej Rady Delegatów Robotniczych, Chłopskich i Żołnierskich”, a artykuł zawierał oficjalne stanowisko partii: „W obliczu zagrożenia Jekaterynburga, czerwonej stolicy Uralu, przez bandy czechosłowackie, w celu uniemożliwienia koronowanemu katu ucieczki przed trybunałem ludowym (ujawniono plan porwania rodziny carskiej przez Białą Gwardię), Prezydium Komitetu Obwodowego zgodnie z wolą ludu postanowiło, że były car Mikołaj Romanow, winny niezliczonych krwawych zbrodni wobec ludu, zostanie rozstrzelany

Decyzję wykonano w nocy z 16 na 17 lipca. Rodzina Romanowów została przewieziona z Jekaterynburga w bezpieczniejsze miejsce”.

Bezpieczniejsze miejsce, pomyślał szyderczo, mnąc w rękach gazetę. Dno szybu górniczego w Uroczysku Czterech Braci.

Ale w jednym gazeta miała słuszość - Czesi i Biała Gwardia penetrowali i zajmowali teren. Osiem dni po masakrze Jurowski i jego łotewscy towarzysze musieli uciekać i większości z nich już w mieście nie było, Siergiej postanowił więc zaryzykować i jeszcze tej samej nocy wrócił do monasteru nowotichwińskiego.

- Czuje się dużo lepiej - mówiła siostra Leonida, prowadząc go przez tylną bramę. - Chociaż, jak można się spodziewać, jest głęboko zmartwiona.

- Czy można ją stąd zabrać?

- Po co ją zabierać? Tu jest bezpieczna, nikt jej nie znajdzie między tyloma siostrami.

Ale Siergiej wiedział swoje; wiedział, że losy wojny często się odwracają i że Jekaterynburg w końcu wpadnie w ręce Czerwonych. Gdy to nastąpi, sam monaster zostanie prawdopodobnie zniszczony; Lenin nie darzy religii sympatią.

Co więcej, domyślał się, że komendant Jurowski - nie w ciemną bitą - zorientował się, że został oszukany i że najmłodsza księżniczka być może wciąż gdzieś żyje. Nie, jest tylko jedno miejsce na świecie, gdzie byłaby naprawdę bezpieczna, i Siergiej postanowił ją tam zabrać.

Zakonnica zaprowadziła go do piekarni, pustej, ale wciąż ciepłej i pachnącej wypiekami z całego dnia. W milczeniu wskazała mu klapę w suficie, po czym dyskretnie zostawiła go samego. Siergiej wspiął się na beczkę z mąką, ostrożnie pociągnął klapę, a następnie rozłożył drabinę. Gdy wszedł na górę, ujrzał Anastazję, która siedziała przy małym stoliku w rogu strychu i pisała w pamiętniku przy świetle lampy naftowej. Ubrana w czarny habit z misternym srebrnym haftem, cicho nucąc jakąś smutną melodię, nie usłyszała go i dalej notowała w zeszycie. Siedziała z pochyloną głową, a brązowe loki muskały jej ramiona. Mimo że tyle razem przeszli, Siergiej się wstydził - był wiejskim chłopakiem, który w jej towarzystwie czuł się jak potargany strach na wróble.

Ale gdyby było trzeba, jeszcze raz zaryzykowałby własne życie, żeby ją uratować.

- Ana - powiedział, a ona lekko uniosła głowę, jak gdyby w krokwiach usłyszała ducha. - Ana.

Odwróciła się znad stołu. Jej szare oczy, kiedyś tak figlarne i radosne, przepelniał nieopisany smutek. Nie miała jeszcze osiemnastu lat, ale wyraz jej twarzy zdradzał ból i strach kogoś, kto widział przerażające sceny, których nikt nie powinien oglądać, i przeżył koszmar, jakiego nikt nigdy nie powinien był doświadczyć. Jej policzki, kiedyś różowe i zaokrąglone, zapadły się i zmizerniały, a kąciki ust opadły.

- Modliłam się, żebyś wrócił. - Nawet głos miała zgnębiony, pełen udreki.

Siergiej zamknął za sobą klapę, wszedł i ukląkł obok niej przy stoliku. Pogłaskała go po włosach, jak zwykły to czynić stare kobiety - jego, który w zeszłym miesiącu skończył dwadzieścia lat - ale gdy na nią spojrział, przekonał się, jak bardzo ucieszyła się na jego widok.

- Tak się bałam, że już nigdy nie będę mogła ci podziękować.

Grzbietem dłoni musnęła jego twarz, a pod wpływem jej dotyku dreszcz przebiegł mu po skórze.

- Siostra Leonida mówi, że wracasz do zdrowia.

- Wszystkie są dla mnie bardzo dobre.

Siergiej zauważył na stole flakon z bukietem chabrow i uśmiechnął się.

- Pamiętasz dzień, w którym mi dałaś taki kwiatek? - Nie zdradził jej, że wciąż go ma.



Ana też się uśmiechnęła i przez kilka minut wspominali tylko mało znaczące drobiazgi. Mówili o kwiatkach na polach, które mijał pociąg w drodze na Syberię, o tym, jak Jemmy lubił wyskakiwać z wagonu i biegać w kółko, gdy tylko pociąg stawał, żeby załadować węgiel, o zamiłowaniu doktora Botkina do szachów (i o tym, jak się denerwował, gdy Aleksemu udało się zremisować). Podobnie jak wielu rosyjskich chłopów, Siergiej żywił wrodzony szacunek dla cara i jego rodziny - szacunek, który Czerwoni niestrudzenie starali się podkopać i zniszczyć. Argumenty bolszewików przypieczętowało krwawe żniwo wojny.

Gdy jednak Siergiej mógł się przyjrzeć rodzinie carskiej z bliska, kiedy zobaczył, jak następcą tronu z powodu byle skaleczenia zwija się z bólu, jak caryca nieustannie martwi się o syna, gdy usłyszał śmiech czterech wielkich księżnych i przyglądał się, jak przygnębiony car przechadza się pod palisadą ogradzającą dom Ipatiewa, jeszcze utwierdził się w swoim przekonaniu. To nie były już postaci z obrazu, krwawe marionetki, jak przedstawiał ich Lenin, ale prawdziwi ludzie... ludzie, z którymi zaprzyjaźnił się święty starzec z jego wioski, niegdyś najszlachetniejszy człowiek w całej Rosji.

Czy Siergiej miał słuchać proroka ze swojej wsi - płonącego świętym ogniem duchownego - czy jakiegoś polityka, którego Niemcy w tajemnicy przywieźli pociągiem z emigracji do kraju tylko po to, żeby wzniecił bunt?

- Jak ci się udało przeżyć? - zapytała Anastazja i Siergiej opowiedział, jak ukrywał się w okolicznych wioskach. W lipcu nie było z tym kłopotów; w następnych miesiącach mogło być trudniej.

- Czy świat wie... - spytała łamiącym się głosem - co się stało z moją rodziną?

Powiedział jej, co przeczytał w gazecie, łącznie z bezczelnym kłamstwem na temat bezpieczeństwa rodziny, a jej policzki oblały się rumieńcem wściekłości.

- Mordercy! - wykrzyknęła. - I tchórze. Boją się przyznać do własnych zbrodni!

Siergiej zastanawiał się, czy o tym właśnie pisała w swoim pamiętniku.

- Powiem światu! Rozgłoszę to wszędzie i postaram się, żeby ci mordercy skończyli na szubienicy!

Siergiej zaczął uciszać Anastazję, a po chwili usłyszał stukanie miotły w klapę w podłodze. Siostra Leonida pewnie stała na straży w kuchni na dole.

- Kiedyś to zrobisz - powiedział, próbując ją uspokoić - a ja ci w tym pomogę. Ale ten dzień jeszcze długo nie nadejdzie. Masz wrogów, widziałas już, do czego są zdolni. Jeszcze nie pora.

Głęboko oddychając, trochę się opanowała.

- Na co więc pora? Mam się ukrywać na strychu jak jakaś myszka?

- Też nie. - Była to chyba najlepsza okazja, żeby przejść do tematu, który zamierzał poruszyć. - Teraz jest pora na to, żebyś wyjechała ze mną tam, gdzie ojciec Grigorij przygotował schronienie. Miał taką wizję przed śmiercią.

Ana dobrze pamiętała liczne przepowiednie Rasputina... które, jak dotąd, wszystkie się sprawdziły - niestety, nawet te najbardziej tragiczne.

- To kolonia na wyspie. Wielu wiernych już tam jest. Pamiętam dzień, kiedy wyjechali z Pokrowskoje razem z diakonem Stefanem. Nie będziesz bezpieczna, dopóki nie wyjedziesz z kraju i nie ukryjesz się tam, gdzie nikt cię nie znajdzie.

Nie wyglądała na przekonaną, ale wciąż słuchała.

- Gdzie jest to tajemne miejsce?

- Daleko stąd na wschód, za stepami.

- Jak mielibyśmy się tam dostać?

Siergiej poświęcił dużo czasu na ułożenie w głowie planu, zastanawiając się, gdzie mogliby pod przybranymi nazwiskami wsiąść do pociągu zbudowanej niedawno Kolei Transsyberyjskiej i jak daleko dotarliby na wschód. Gdyby pociąg skręcił na południe, musieliby wysiąść i znaleźć inny sposób kontynuowania podróży na północ. W pewnym momencie będą musieli znaleźć pilota z samolotem, który zgodziłby się przewieźć ich na drugą stronę Cieśniny Beringa. Nauczył się już, że za odpowiednią cenę wszystko da się zrobić, a wiedział, że nie musi się martwić, czy będą mieli czym zapłacić; wystarczyłby któryś z klejnotów zaszytych w gorsiecie Anastazji, żeby mieli każdy środek transportu, jaki byłby potrzebny. Ale zamiast przedstawiać jej szczegółowy plan - będą mieć na to jeszcze wiele tygodni - wskazał tylko na szmaragdowy krzyż na jej szyi i powiedział:

- Czytałem napis na odwrocie.

Anastazja poczerwieniała, jakby ją przyłapał, gdy wyszła z kąpieli.

- Jego błogosławieństwo dotąd cię chroniło - rzekł Siergiej. - Dlaczego miałoby teraz stracić moc?

## Rozdział 49

Policyjna syrena zbliżała się do domu i Charlie ledwie zdążył zamknąć drzwi do pokoju modlitw, gdzie na kanapie leżał nieprzytomny Harley, gdy blask reflektorów rozjaśnił okna, a na lodzie i zwirze zachrząściły opony radiowozu.

Rebekah, wciąż wściekła jak osa za to, że Harley zwymiotował na dywan, ruszyła biegiem do drzwi, ale Charlie wyjechał na korytarz i odciął jej drogę, każąc jej wracać do kuchni.

- Powiedz swojej siostrze, żeby też nie wychodziła!

- Co? - zaperzyła się Rebekah. - Nie mogę już otworzyć drzwi we własnym domu?

- Nie, zresztą to nie jest twój dom, ale mój.

Na werandzie ktoś mocno tupał, otrząsając śnieg z butów.

- No już, sio! - syknął. - I nikomu ani słowa o Harleyu.

Sekundę później rozległo się pukanie, głośne i energiczne, i Charlie usłyszał głos szeryfa:

- Otwórz, Charlie! Tu Ray Blaine.

Charlie bez pośpiechu otwierał zamki, sprawdzając, czy Rebekah zniknęła z pola widzenia. Radiowóz stał na podjeździe z włączonymi niebieskimi kogutami na dachu, ale bardziej zaskakujący był widok maseczki z gazy, która zasłaniała usta i nos szeryfa, oraz gumowych rękawiczek na jego dłoniach. Kiedy Charlie otworzył drzwi, policjant cofnął się o metr.

- Cześć, Ray - powiedział Charlie. - Co cię sprowadza w taki wieczór?

- Widziałeś Harleya?

- Nie. Czemu pytasz? Tylko mi nie mów, że znowu wpakował się w jakieś kłopoty. -

Charlie pokręcił głową z miną rodzica, którego dziecko stale płała komuś figle.

- A Eddiego Pavlika?

- Też nie. Słuchaj, po co ci ta maska? Jesteś chory czy już mamy Halloween?

- Nie kłam, Charlie - odparł Ray, wyciągając szyję, żeby zajrzeć do środka. - Gdybyś któregoś z nich zobaczył, daj mi znać, jasne? Na twoim miejscu nie podchodziłbym do nich za blisko.

- Co ty wygadujesz, do cholery? - W tym momencie odezwał się walkietalkie zawieszony na pasie szeryfa. Ray odebrał i odchodząc w głąb werandy, powiedział:

- Tak jest, właśnie tu jestem. - Słuchał przez chwilę, po czym rzekł - Stawiamy blokady tak szybko, jak się da, majorze.

- Blokady?

Szeryf rozłączył się, strząsnął śnieg z ramion i ostrzegł:

- Nigdzie się dzisiaj nie wybieraj.

- Chcesz mi powiedzieć, że jestem aresztowany? - spytał Charlie, udając oburzenie. -

Za co?

- Chcę ci tylko powiedzieć, że drogi są zamknięte.

Tyle Charliemu wystarczyło. Gdy tylko szeryf wsiadł do radiowozu, zrobił zwrot wózkiem i krzyknął do żony, żeby zapakowała coś do jedzenia i kawę.

- Żadnego świństwa z cykorii! Zaparz prawdziwą, taką, jak podajemy na wieczorach modlitw.

Potem z rozmachem rozsunął drzwi i wrzasnął do Harleya, żeby się budził.

- Wyjeżdżamy!

Harley wybełkotał coś, ale ani drgnął, dopóki Charlie nie trącił go w ramię i nie powtórzył.

- Rany, ale mocno spałem - wymamrotał Harley. - Czemu wyjeżdżamy?

- Może sam mi to powiesz po drodze.

Mimo że teraz Charlie pragnął zbawić świat, znacznie dłużej niż sługą bożym był człowiekiem światowym i w takich chwilach wracał do dawnej formy. Wiedział, że jeżeli w domu zjawia się policja, stawia się blokady dróg i wszędzie szuka się Harleya, to sprawa musi być poważna. Nawet jeśli chodził tylko o te cholerne klejnoty - szmaragdowy krzyż i wysadzaną brylantami ikonę - to lepiej czym prędzej jechać do Voynovicha, wziąć za nie tyle, ile gotów jest zapłacić, a potem na jakiś czas zaszyć się w chatce i łowić ryby pod lodem... przynajmniej dopóki nie ustalą, co się właściwie dzieje.

Harley nakładał przemoczone buty, skarżąc się, że boli go noga, ale Charlie nie miał ochoty tego słuchać.

- Idź do samochodu - polecił mu, wpychając do kieszeni krzyż i ikonę. Z kuchni zabrał prowiant, który Rebekah zapakowała do foliowej torby, a potem wyjechał tylnym wyjściem i skierował się na podjazd przed garażem.

Bathsheba, która stała w drzwiach, ociągając się z odejściem, spytała nieśmiało, czy z Harleyem wszystko w porządku.

- Chyba nie ma żadnych kłopotów?

Charlie musiał się zaśmiać.

- A kiedy ich nie ma? - rzucił, nie odwracając głowy.

Siadając za kierownicą i ustawiając dźwignie, poczuł bijący od brata smród i zaczął żałować, że nie kazał mu najpierw wziąć prysznica. Harley wyglądał równie paskudnie, jak cuchnął - oczy błyszczały mu szaleńczo, a skóra lśniła od potu. Drapał się w udo. Co u diabła mogła w nim widzieć nawet tak tępa dziewczyna jak Bathsheba?

Charlie wycofał vana po pochyłym, oblodzonym podejździe, cały czas rysując w myślach trasę. Musiał ominąć jedyną główną drogę łączącą Port Orlov z cywilizowanym

światem - jeżeli w ogóle można powiedzieć, że Nome to cywilizowany świat - ponieważ jej najbliższy odcinek na pewno będzie patrolował szeryf i Charlie nie wiedział, gdzie dokładnie ustawi on swój posterunek kontrolny. Trzeba będzie zrobić objazd, ale kiedy to się uda, prawdopodobnie dalsza droga będzie wolna.

Przy pierwszym zakręcie skierował starego forda na pole, przejechał przez parę zardzewiałych ogrodzeń z drutu kolczastego i znalazł się na starej leśnej drodze, którą wywożono drewno z wycinki. Van podskakiwał na głębokich koleinach, aż Harley zapytał:

- Po co tu wjechałeś? Złamiesz oś.

- Skręcę ci kark, jeżeli nie powiesz, dlaczego szukają cię wszyscy gliniarze na Alasce.

- Szukają?

- Nie wciskaj mi kitów, Harley. Zabiłeś Eddiego? I Russella?

- Oczywiście, że nie. Mówiłem ci, Eddie spadł z klifu, a Russella...

-...zjadły wilki. Tak, jasne. Wiem, co mi mówiłeś, ale wiem też, że nikt nie zadawałby sobie tyle trudu, żeby złapać zwykłego złodzieja. - Na sekundę odrywając wzrok od wąskiej leśnej drogi, obrzucił spojrzeniem potarganego i brudnego brata. - Co ci się w ogóle stało? Dlaczego szeryf miał maskę?

- Jaką maskę? - spytał Harley, znów drapiąc się w udo.

- I co ci się, kurwa, stało w nogę?

- Skaleczyłem się tym, co mi Eddie napchał do kieszeni. Sporo się stłukło.

Charlie też się skaleczył, szperając w plecaku Harleya.

- Pokaż nogę.

- Co? - zaprotestował Harley. - Nie będę spuszczał przed tobą spodni.

Charlie wyciągnął rękę i chwycił brata za gardło.

- Pokaż... mi... nogę. - Od wypadku Charlie miał znacznie więcej siły w rękach niż wcześniej, ale potrzebował ich obu, żeby trzymać kierownicę i manipulować dźwigniami. Puścił Harleya, który odpiął pas bezpieczeństwa i opuścił do kolan dżinsy. Charlie zatrzymał samochód, zapalił wewnętrzną lampkę i na białej skórze Harleya zobaczył małą ranę długości trzech, może czterech centymetrów. Sama w sobie nie wyglądała groźnie, ale biegła od niej sieć wypukłych, grubych nitek, przypominających czerwone paski lukrecji.

Przypomniał sobie, jak szeryf ostrzegał go, żeby nie zbliżał się za bardzo do brata.

- Od kiedy masz te żyłki?

- Nie wiem - odrzekł Harley, jak gdyby to w ogóle nie była jego sprawa. - Teraz wyglądają na dłuższe. - Nagle zgiął się i kaszlnął, a na desce rozdzielczej osiadła kropla krwi. - Przepraszam za to - wymamrotał, ścierając ją rękawem kurtki. - Wiem, jak dbasz o wóz.

- A to od kiedy?

- Może od paru godzin. Chyba zachorowałem na tej cholernej łodzi. - Naciągnął z powrotem spodnie i zapiął pas. - Powinni mi dać medal za to, że udało mi się dopłynąć.

Wyraźnie działo się coś złego, Charlie nie wiedział jednak, co. A siedząc w lesie, niczego się nie dowie. Harleya musi obejrzeć lekarz, a jeśli ktoś zna lekarza, który za odpowiednią cenę nie puści pary z ust, to na pewno Voynovich. Charlie wrzucił bieg i ruszył dalej leśną drogą. Wiatr kołysał vanem, na przedniej szybie zbierał się śnieg. Kiedy dotarli na szczyt nagiego wzniesienia, Charlie zgasił światła i zatrzymał wóz. W dole na drodze widział kilku facetów w mundurach polowych Gwardii Narodowej, którzy ustawiali flary i rozkładali w poprzek jezdni pas z kolczatką.

- To wszystko dla nas? - zapytał Harley z nutką dumy w głosie.

Charlie skierował vana w dół wzniesienia i toczył się nierówną dróżką, dopóki nie był pewien, że zostawili blokadę daleko z tyłu. Pojechałby dalej między drzewami i zaroślami, ale wiedział, że napotka tam kilka wąwozów i rowów, których nie pokonałby nawet hummerem. Poza tym kierował się prosto na południowy wschód, a władze będą go szukać na północny zachód od miejsca, w którym naprawę się znajdował.

Szarpiąc z pasją dźwignie zmiany biegów, gazu i hamulca, ruszył w dół długiej, śliskiej pochyłości i parę razy omal nie stracił kontroli nad wozem.

- Chcesz, żebym poprowadził? - spytał Harley.

- Przecież nie umiesz.

- Umiem. Kto cię przywiózł z Dillingham, kiedy tak się schlałeś, że nie mogłeś ustać na nogach?

- Chyba zapomniałeś, że w ogóle nie mogę ustać.

- Ale gdybyś mógł.

Charlie wjechał vanem w długi rów melioracyjny, potem wspiął się po nasypie i znalazł się z powrotem na asfaltowej drodze. Po raz pierwszy od ponad godziny wszystkie koła znalazły się na tym samym poziomie. Mając jednak na uwadze fakt, że wszystkie służby nadawały komunikat o poszukiwaniu Harleya, pomyślał, że może byłoby lepiej, gdyby jego brat był mniej widoczny, bo mogli się natknąć na jakiegoś dobrego obywatela wyposażonego w CB radio.

- Przesiądź się do tyłu - powiedział - i nakryj się kocem.

- Przecież na tym zadupiu nikogo nie spotkamy - sprzeciwił się Harley. - Jak będzie trzeba, to się schowam.

- Chcesz się ze mną kłócić o każdą pierdołę?

Burcząc pod nosem, Harley przelazł na tylne siedzenie, strącając na podłogę biblijne płyty Charliego. Grzebiąc w wyposażeniu awaryjnym, jakie woził ze sobą każdy kierowca na Alasce - na które składały się dodatkowe kanistry z benzyną, flary, latarki, baterie, koło zapasowe, klucz do kół, paczki suszonej wołowiny, woda w butelkach, środek przeciwko komarom, śpiwór - w końcu odnalazł wytarty koc i narzucił go sobie na ramiona.

Charlie popatrzył w lusterko wsteczne na skulonego za fotelem kierowcy brata i nie spodobało mu się to, co zobaczył. Czyżby miał dreszcze?

- Połóż się i spróbuj zasnąć - powiedział.

Przynajmniej raz Harley spełnił polecenie.

Jadąc ciemną drogą, Charlie włączył radio, nastawione na lokalną stację podającą prognozy, i dowiedział się, że zapowiadają się jeszcze gwałtowniejsze burze śnieżne. Witajcie na Alasce. Pchnął mocniej dźwignię gazu, ustawił tempomat na siedemdziesiąt kilometrów na godzinę - przy większej prędkości na pewno wpadłby w poślizg - i utkwiał wzrok w drodze.

- Przecież nie umiesz.

- Umiem. Kto cię przywiózł z Dillingham, kiedy tak się schlałeś, że nie mogłeś ustać na nogach?

- Chyba zapomniałeś, że w ogóle nie mogę ustać.

- Ale gdybyś mógł.

Charlie wjechał vanem w długi rów melioracyjny, potem wspiął się po nasypie i znalazł się z powrotem na asfaltowej drodze. Po raz pierwszy od ponad godziny wszystkie koła znalazły się na tym samym poziomie. Mając jednak na uwadze fakt, że wszystkie służby nadawały komunikat o poszukiwaniu Harleya, pomyślał, że może byłoby lepiej, gdyby jego brat był mniej widoczny, bo mogli się natknąć na jakiegoś dobrego obywatela wyposażonego w CB radio.

- Przesiądź się do tyłu - powiedział - i nakryj się kocem.

- Przecież na tym zadupiu nikogo nie spotkamy - sprzeciwił się Harley. - Jak będzie trzeba, to się schowam.

- Chcesz się ze mną kłócić o każdą pierdołę?

Burcząc pod nosem, Harley przelazł na tylne siedzenie, strącając na podłogę biblijne płyty Charliego. Grzebiąc w wyposażeniu awaryjnym, jakie woził ze sobą każdy kierowca na Alasce - na które składały się dodatkowe kanistry z benzyną, flary, latarki, baterie, koło zapasowe, klucz do kół, paczki suszonej wołowiny, woda w butelkach, środek przeciwko komarom, śpiwór - w końcu odnalazł wytarty koc i narzucił go sobie na ramiona.

Charlie popatrzył w lusterku wstecznym na skulonego za fotelem kierowcy brata i nie spodobało mu się to, co zobaczył. Czyżby miał dreszcze?

- Połóż się i spróbuj zasnąć - powiedział.

Przynajmniej raz Harley spełnił polecenie.

Jadąc ciemną drogą, Charlie włączył radio, nastawione na lokalną stację podającą prognozy, i dowiedział się, że zapowiadają się jeszcze gwałtowniejsze burze śnieżne. Witajcie na Alasce. Pchnął mocniej dźwignię gazu, ustawił tempomat na siedemdziesiąt kilometrów na godzinę - przy większej prędkości na pewno wpadłby w poślizg - i utkwiał wzrok w drodze.

Reflektory oświetlały tylko wąski pas pośrodku, ale dalej wokół niego, aż po niewysokie skute lodem wzgórza, które zdawały się na niego napierać, otaczały go pustka i mrok. Ciemność tak gęsta, jak trafnie ujęli to Księga Wyjścia i wielebny Abercrombie, że można dotknąć ciemności.

## Rozdział 50

Kiedy helikopter przelatywał nad portem miasteczka, Slater zobaczył łodzie Straży Przybrzeżnej, które kołysały się na falach w pewnej odległości od nabrzeża i omiatały przystań światłem szperaczy, by sprawdzić, czy nikt nie wpływa ani nie wypływa. W taką noc było to zresztą mało prawdopodobne. Prawie cały Port Orlov spowijał mrok, a po zaśnieżonych ulicach hulał nieubłagany wiatr.

Twarz doktor Lantos, która ledwie żywa leżała pod maską tlenową, miała barwę głębokiego fioletu i zdaniem Slatera nie mogło być już żadnych wątpliwości, co jej jest. Miała suchy kaszel, coraz większe problemy płucne i wysoką gorączkę.

Zachorowała na grypę.

A to oznaczało, że Nika, która ukłuła się igłą, też mogła zostać zarażona. Nie było to jednak nic pewnego, wiele pytań pozostawało bez odpowiedzi. Czy choroba przenosi się tą drogą? Czy igła została zainfekowana, a ściślej mówiąc, czy była zainfekowana, zanim doszło do ukłucia? Zajmując się Lantos, Slater kurczowo trzymał się nadziei, że jednak nie. Kiedy ostatnim razem znalazł się w takiej sytuacji, opiekując się zagrożoną pacjentką w luku helikoptera, to rzeczywiście źle się skończyło, ale teraz musiał zapomnieć o swoich obawach i odsunąć od siebie straszne wspomnienia z Afganistanu. Powtarzał sobie, że tym razem pacjent przeżyje; tym razem zdążą udzielić jej pomocy, zanim będzie za późno; tym razem



będzie mógł liczyć na pełną współpracę i nikt nie będzie grał na zwłokę ani rzucał mu kłód pod nogi.

Śmigłowiec obniżył lot i muskając wierzchołki zimozielonych drzew, skierował się w stronę jasno oświetlonego lodowiska. Ledwie siadł pośrodku jego tafli i wirnik jeszcze nie przestał się obracać, podjechała do niego cysterna. Najbliższy szpital ze specjalistycznym oddziałem zakaźnym był setki kilometrów stąd, w stolicy stanu.

- Eva - powiedział Slater, kładąc rękę na jej ramieniu - do zobaczenia w Juneau.

Nie odpowiedziała ani nie dała żadnego znaku, że go słyszy.

Drzwi kabiny otworzył lekarz wojskowy w pełnym rynsztunku ochronnym, a Slater wyskoczył ze śmigłowca. Wyciągnął rękę, żeby pomóc wsiąść Nice, ale sama dała susa na lód.

- Ray! - zawołała do mężczyzny w policyjnej kurtce z gwiazdą szeryfa na piersi, który stał w odległości kilku metrów, ale przez maskę na twarzy w ogóle nie było jej słychać. Zdjęła ją na sekundę i jeszcze raz krzyknęła: - Ray! Znalazłeś ich?

- Jeszcze nie - Zawołał w odpowiedzi, stojąc w rozkroku, żeby utrzymać równowagę na lodzie. Zgodnie z instrukcją też miał maskę i rękawiczki. - Pojechałem do domu Vanea, ale Charlie powiedział, że ich nie było.

- Oboje wiemy, że Charlie Vane nie potrafiłby powiedzieć prawdy, nawet gdyby próbował.

- Racja, ale nie miałem nakazu, żeby mu zrobić rewizję, a poza tym od paru dni nikt nie widział Harleya ani Eddiego. - Wskazując na cysternę wysłaną z firmy, która zatrudniała Russella, dodał - Russell też nie pokazał się w pracy.

- Już się nie pokaże - odrzekła poważnym tonem Nika. - Nie żyje.

- Co powiedziałaś?

Wskazała na ładownię, z której dwaj funkcjonariusze straży, też w kombinezonach i maskach, wynosili worek ze zwłokami.

- Znaleziono go na wyspie. Wilki go dopadły.

Szeryf, nawet z odległości kilku metrów, wyglądał, jakby dostał obuchem w głowę.

- Proszę go zostawić na lodowisku i nie otwierać worka - wtrącił Slater, po czym odwrócił się do Niki i cicho powiedział - Może teraz my powinniśmy pojechać.

- Jasne - odparła, doskonale wiedząc, co ma na myśli. Uważając, żeby nie pośliznąć się na lodzie, odprowadzana zdziwionym spojrzeniem szeryfa i jego zastępcy, Nika poszła ze Slaterem do garażu służbowych pojazdów za lodowiskiem; kiedy była tu ostatnim razem,

parkowała rolbę. Teraz minęła ją, tak samo jak stojące obok pługi śnieżne i śmieciarkę, i zatrzymała się przed jedynym terenowym ambulansem, jakim dysponował Port Orlov.

- Wsiadaj - powiedziała, zajmując miejsce za kierownicą, a Slater szybko podbiegł do drzwi od strony pasażera. - Dokąd najpierw?

- Do Harleya.

- Zapnij pas - poradziła, odkręcając okno i wrzucając bieg.

Kiedy wyjeżdżała z garażu, przed maską pojawił się szeryf i uniósł ręce w świetle reflektorów.

- Zaraz, dokąd się wybieracie? - krzyknął, odsuwając maskę od ust. - Nikomu nie wolno dzisiaj wyjeżdżać, takie są rozkazy.

- Burmistrz jest z nich zwolniony - zawołała Nika, ominęła go szerokim lukiem i skręciła za róg ośrodka kultury. Zastępca szeryfa na chwilę uniósł strzelbę, jak gdyby czekając na rozkaz, ale szeryf stał z rękami na biodrach, wahając się, czyj autorytet powinien przeważać w takiej sytuacji.

Front Street była zupełnie pusta, a nieliczne sklepy z jedzeniem i ze sprzętem rybackim zamknięte na głucho. Ciemno było nawet w barze „Yardarm”. Wyłonił się przed nimi stary, przechylony na bok słup totemiczny. Slater całkiem nowym okiem spojrzał na uśmiechnięte wydry i wyszczerzone pyski wilków. Nic tak nie poszerza horyzontów jak wyprawa na Wyspę Św. Piotra.

Nad nimi z ogłuszającym rykiem silników przeleciał zatankowany helikopter, błyskając czerwonymi światełkami. Skierował się na wschód... unosząc cenny i zagrożony ładunek.

- Przeżyje? - zapytała Nika.

Tym razem Slater nie wiedział, co odpowiedzieć; na pokładzie zdał dokładną relację lekarzowi, a doktor Levinson przygotowała zespół w Juneau. Ale nic nie było pewne.

- Mam nadzieję - odrzekł w końcu.

Tymczasem mógł tylko uważnie obserwować Nikę.

Skręciła na podjazd między sklepem z bronią a składem drewna i powiedziała:

- Harley mieszka w przyczepie, która stoi w głębi. - Spomiędzy poplątanych listewek żaluzji w oknie sączył się fioletowy blask. - Pewnie karmi swojego węża.

Wysiadła z karetki i wbiegła na stopnie przed drzwiami. Załomotała głośno otwartą dłonią, a potem pochyliła się nad oknem i zajrzała do środka. Slater, z jedną nogą w samochodzie a drugą na ziemi, zsunął na chwilę maskę i skorzystał z okazji, żeby wciągnąć haust świeżego powietrza. W kombinezonie termicznym i skafandrze ochronnym było mu

dość ciepło - w samochodzie zdecydowanie za ciepło - ale już po minucie alaskie zimno potrafiło przeniknąć nawet najgrubsze warstwy. Nika wróciła, przecząco kręcąc głową.

- Do Eddiego? - zapytał.

- Mama Eddiego jedzie na metamfetaminie. Nikt tam nie zagląda, nawet Eddie.

- A ty twierdzisz, że Charlie Vane kłamie.

- To prawda - odparła, wsiadając za kierownicę. - Ale nigdy nie mówiłam, że jest w tym dobry.

Wycofała na pustą ulicę, po czym skręciła w prawo za składem drewna i ruszyła ciemną, wyboistą drogą, przy której nie było już żadnych sklepików ani lokali. Była to zwykła boczna dróżka, gdzie od czasu do czasu stała jakaś buda sklecona ze zniszczonych desek i papy albo przyczepa mieszkalna, zaparkowana na zboczu wzgórza. Między rozpadającymi się szopami a stertami drewna na opał stały stare drewniane wieszaki do suszenia mięsa ubitych zwierząt. Po drodze Nika opowiedziała mu bardziej szczegółowo o Charliem i jego kościele Pisma Świętego.

- I mówisz, że naprawdę znalazł wyznawców?

Nika wzruszyła ramionami.

- W internecie można chyba spotkać każdy typ człowieka. Charlie zrobił nawet więcej. Udało mu się przekonać te dwie kobiety, które widziałeś na nabożeństwie - jedna to Rebekah, a druga Bathsheba - żeby zamieszkały z nim i prowadziły mu dom.

Wdepnęła hamulec, bo na drogę wgramoliło się coś dużego i czarnego. Kiedy łoś ospale odwrócił łeb, w blasku reflektorów błysnęły oczy i poroże. Jak na stworzenie takich rozmiarów, jego nogi wydawały się chude, a guzowate kolana wręcz kruche.

- Potrzebował ich - ciągnęła Nika, znów rozpędzając karetkę, gdy łoś zlazł z nasypu. - Po wypadku.

- Co mu się właściwie stało?

Nika powtórzyła w skrócie historię rodziny - mówiąc o zatopionych kutrach, setce zarzutów drobnych kradzieży, tragicznej, choć niedorzecznej próbie spływu przez bystrza Heron River - żeby na nowo uzmysłwić mu, z jaką osobą może się spotkać.

- Ale dość dobrze się porusza, ma wózek i vana z ośmiocylindrowym silnikiem i napędem na cztery koła, który całkowicie przerobiono na jego potrzeby. Dziwię się tylko, że jeszcze go nie rozbił.

Ambulans podskoczył na serii wybojów i Nika mocniej zacisnęła na kierownicy dłonie w lateksowych rękawiczkach.

- Rodzina Vanebw - podsumowała - ma nieprawdopodobny talent do destrukcji.

Patrząc w atramentowy mrok, Slater zastanawiał się, jak daleko sięga ten talent. Gdyby nawet znalazł Harleya, czy będzie umiał przemówić mu do rozsądku? Jeżeli Harley miał jeszcze fiolki z zamrażarki w laboratorium, nie mówiąc o zwoju i ikonie, czy Slater da radę mu wytłumaczyć, że sam ściągnął na siebie śmiertelne niebezpieczeństwo? Czy będzie go umiał przekonać, że uniknie dalszych zarzutów - i nikt nawet nie ujawni jego tożsamości - jeśli po prostu odda swój śmiercionośny łup? Slater miał bolesną świadomość, że misja doprowadziła do katastrofy, ale gdyby zdołał powstrzymać zagrożenie, zanim zdąży się rozprzestrzenić, mógłby przynajmniej zakończyć swoją publiczną karierę ładnym akcentem. Wciąż rozbrzmiewał mu w głowie głos jego byłej żony, która wiele razy namawiała go do spokojnej, przyjemnej praktyki w mieście, gdzie leczyłby alergię i opatrywał otarte kolana, ale nienawidził takiej perspektywy. Chciał, żeby jego praca znaczyła coś dla świata, chciał poczucia, że robi coś wartościowego, potrzebnego i wartego jego wysiłków.

Od długiego czasu nie zauważył śladów żadnych domostw; widział tylko pustą krętą drogę, która stopniowo prowadziła z powrotem w stronę wybrzeża. W okna zacinął śnieg i deszcz ze śniegiem, niesiony przez wiatr znad Syberii i Morza Beringa. Trudno było sobie wyobrazić zapał, jakim przed stu laty musiała się kierować mała rosyjska sekta, by wyruszyć w tę samą podróż przez lodową cieśninę i osiedlić się na niedostępnym skrawku obcej ziemi, któremu ośmielili się nadać imię swojego patrona świętego Piotra.

Jeszcze bardziej zdumiewający był fakt, że ta dawno zapomniana podróż, która zakończyła się ich zagładą, dziś stanowi tak ogromne zagrożenie dla świata daleko poza tym pustkowiem.

- To już za następnym zakrętem - odezwała się Nika, zwalniając. - Na pewno zauważysz podświetlony krzyż, który Charlie postawił sobie na dachu.

Slater przypomniał sobie, że widział krzyż, gdy pierwszy raz przyleciał do miasta. Ale gdy światła ambulansu przesunęły się po rzadkich krzewach rosnących przy brzegu oceanu, jego uwagę przykuło zrujnowane nabrzeże. Uwiązana do betonowego pala stała tam niewielka łódź.

To była łódź hybrydowa Straży Przybrzeżnej.

- Harley tu jest - oznajmił. - To łódź z wyspy!

Nika skinęła głową, wjechała karetką na wąski podjazd, przy którym piętrzyły się zaspasniegi, i zatrzymała się przy zapadających się schodach. Na dachu obok komina jaśniał podświetlony krzyż. Paliły się światła w domu i w wolno stojącym starym garażu, który pierwotnie był chyba stajnią.

Pozwól mi mówić - powiedziała Nika. - Może to i wariatki, ale wiem, jak sobie z nimi poradzić.

Gdy Nika poszła do domu, Slater wyciągnął ze schowka latarkę i przemknął się do garażu. Podciągnął gnijącą kłodę pod umieszczone wysoko okno, stanął na niej i usłyszał, jak Nika łomocze do drzwi wejściowych. Miał mokre ochraniacze butów i musiał uważać, by nie stracić równowagi, gdy kierował światło latarki przez brudne i zasnuwane pajęczynami okienko. Dostrzegł łopaty, kilofy, piramidę zardzewiałych puszek z farbą i skuter śnieżny.

Nie było jednak vana, ani przerobionego, ani żadnego innego.

- Zejdz - usłyszał za plecami czyjś głos - bo jak nie...

Kiedy odwrócił głowę, zobaczył, że Rebekah, ubrana w długie wytarte futro, celuje do niego z dubeltówki. Sądząc po wyrazie jej wychudłej twarzy, nie była to czeza pogróżka.

Zszedł z kłody, wyciągając ręce na znak, że nie ma żadnych złych zamiarów.

- Szukamy Harleya Vanea - powiedział przez maskę. - Nic więcej.

- Mogłabym cię zastrzelić na miejscu - oznajmiła. - I miałabym do tego prawo.

- Musimy z nim tylko porozmawiać - odrzekł, starając się mówić jak najrozsądniejszym tonem.

- Idziemy - powiedziała, wskazując strzelbą, że ma się skierować w stronę domu i wejść po schodach na werandę. Przez całą drogę czuł wycelowaną w siebie broń. W korytarzu zobaczył Nikę z podniesionymi rękami i Bathshebę, która w drżących rękach trzymała wymierzony w nią pistolet.

- Mówiłaś, że cię posłuchają - powiedział Slater, na co Nika wzruszyła ramionami.

- Mówią, że Harleya tu nie ma - odrzekła.

- Wejdźcie do pokoju modlitw - rozkazała Rebekah, a Bathsheba odsunęła się na bok. Slater zobaczył za nią wejście do dużego pokoju, w którym podłoga była wyłożona mnóstwem dywaników, a obok szeroko otwartej szafki na broń leżała sterta składanych krzesel.

Kiedy Slater i Nika spełnili polecenie, siostry wyglądały, jak gdyby nie wiedziały, co dalej począć. Bathsheba zapomniała nawet, że powinna unosić pistolet, a Rebekah mierzyła z dwururki to do Niki, to do niego.

- Charliego też nie ma w domu? - spytała Nika.

- Przynieś sznur - powiedziała Rebekah do siostry.

- Ile?

- Ile ci się uda znaleźć!

Slater szybko obejrzał pomieszczenie, które nazywały pokojem modlitw; wyglądało bardziej na biuro. Znajdowało się tu stare masywne biurko, z drucianych koszy wysypywały się papiery i wydruki komputerowe, a na blacie stały dwa duże monitory. Jeden wyświetlał wygaszacz ekranu - strzelisty krzyż z białym wilkiem u stóp i napisem „Pismo Święte według Vanea”. Ale znacznie bardziej intrygujący był obraz na drugim.

Kiedy Bathsheba poszła po sznur, Slater ukradkiem zbliżył się do biurka i zobaczył na ekranie rząd rosyjskich ikon, które w większości przedstawiały Matkę Boską w czerwonym welonie, trzymającą małego Chrystusa na kolanach. Napis u góry brzmiał: „Ze zbiorów Państwowego Muzeum Ermitażu, Sankt Petersburg, Rosja”. Jedna z nich była łudząco podobna do ikony, którą znaleźli w grobie diakona.

Jeśli miał choć cień wątpliwości co do współudziału Harleya w zaginięciu ikony i jego pobytu na wyspie, to właśnie się ich pozbył.

Nie miał też wątpliwości co do planów sióstr: zamierzały zatrzymać go razem z Niką jako zakładników, dopóki bracia Vane nie dotrą tam, dokąd uciekli vanem, którego nie było w garażu.

- Dokąd pojechali? - zapytał, zauważając mokrą plamę na dywanie i wyczuwając lekki zapach wymiocin.

Rebekah mocniej zacisnęła dubeltówkę.

- Musisz coś wiedzieć - ciągnął surowo. - Jestem doktor Frank Slater i jako reprezentant Instytutu Patologii Sił Zbrojnych USA w Waszyngtonie żądam, żebyś odłożyła broń i odpowiadała na moje pytania.

Rebekah słuchała, lecz strzelba ani drgnęła.

- Jeżeli nie będziesz współpracować, jeżeli natychmiast nie powiesz mi, dokąd pojechał Harley z bratem, grożę ci zarzuty złamania prawa lokalnego, stanowego i federalnego. Ręczę, że staniesz przed sądem i razem z siostrą zostaniecie skazane na długie więzienie. - Patrzył prosto w jej bladą twarz. - To twoja ostatnia szansa, żeby zacząć współpracować.

- Do miasta - wyrwało jej się w końcu. - Pojechali do miasta.

- Kłamstwo - powiedziała Nika. - Minęlibyśmy ich po drodze.

Do pokoju wpadła Bathsheba, ciągnąc za sobą po dywanie kawał sznura.

- Chociaż Harley i twój mąż nic o tym nie wiedzą - ciągnął Slater - grozi im poważne niebezpieczeństwo.

- Nie większe niż wam - odrzekła, poruszając strzelbą. - Po co wam te maski i gumowe rękawiczki? Wyglądacie mi na parę włamywaczy. Tak właśnie powiem, kiedy mnie zapytają, dlaczego was zastrzeliłam.

- Pewnie jadą do Nome - Nika zwróciła się do Slatera, jak gdyby byli sami.

- W takim razie też tam jedźmy - powiedział Slater, nie zwracając uwagi na Bathshebę, która stała obok, bawiąc się sznurem. Rebekah, wciąż ściskając w rękach dubeltówkę, najwyraźniej zastanawiała się, co teraz zrobić. - Chodź.

Spokojnie, ale zdecydowanym ruchem odsunął na bok lufy strzelby, a Nika wymknęła się z pokoju. Potem Slater, wstrzymując oddech, ruszył za nią do ambulansu. Oboje wskoczyli do wozu, a wrzucając wsteczny bieg, Nika powiedziała z uznaniem:

- Kiedy następnym razem ktoś weźmie zakładników i będzie potrzebny negocjator, wiem, do kogo się zgłosić.

- Lepiej jedź.

Ale dotarli może do połowy wzniesienia, gdy za karetką pobiegła Bathsheba, wymachując sznurem jak kowboj, i przycisnęła ręce do tylnego zderzaka.

- Zostawcie Harleya w spokoju! - krzyczała. - On nic nie zrobił!

Nika wcisnęła hamulec, ale samochód dalej ześlizgiwał się z podjazdu, pchając Bathshebę.

- Zostawcie go w spokoju!

Nika zaklęła, jeszcze raz wdusiła pedał hamulca, ale podjazd był oblodzony i ambulansem zarzuciło. Usłyszeli głuchy łomot i Bathsheba z impetem wpadła w zaspę.

- Och, nie! - jęknęła Nika, ze złością waląc w kierownicę. Wreszcie udało jej się zatrzymać ambulans.

Frank odpiął pas i sięgał do klamki, gdy po schodach z werandy zbiegła Rebekah, krzycząc jak potępieniec na widok siostry w zaspie. Slater w szoku zobaczył, jak unosi dubeltówkę i strzela prosto w samochód.

Prawy reflektor eksplodował gradem białych iskier i odłamków szkła, a Slater sięgnął w bok i pociągnął Nikę w dół, zasłaniając ją swoim ciałem.

Drugi pocisk przebił przednią szybę i wgiął dach nad ich głowami. Wybił dziurę wielkości pięści, ale reszta szyby, pokryta siatką tysięcy pęknięć, wytrzymała.

Slater usłyszał, jak Rebekah ładuje dwa nowe pociski, ale nie zamierzał czekać, żeby lepiej wycelowała. Otworzył drzwi i wypadł na śnieg. Kiedy uskoczył za drzewo, huknął strzał i tuż za nim wzbil się obłoczek ziemi i lodu. Usłyszał chrzęst butów. Rebekah pobiegła

za nim, a gdy wyrzwał zza pnia, następna kula wyrwała kawał kory, sypiąc mu w twarz drzazgami i okruchami drewna.

Ale oznaczało to, że obie lufy znów są puste i miał kilka sekund, zanim Rebekah przeładuje broń.

Ocierając oczy, wybiegł zza drzewa. Właśnie wepchnęła do lufy nowy pocisk, kiedy rzucił się na nią. Ale buty w ochraniaczach poślizgnęły się i zdążył tylko podbić strzelbę, a kula przecięła wierzchołki drzew, płosząc stado ptaków, które z wrzaskiem poderwały się w ciemne niebo.

Warknęła ze złością, a Slater wyciągnął rękę i chwycił broń. Próbowała ją wyrwać, ale trzymał mocno i nagle mocnym skrzętem dłoni udało mu się wyszarpnąć dubeltówkę z jej rąk. Zagięła palce jak szpony, wydała mrożący krew w żyłach wrzask i skoczyła z pazurami do jego twarzy. Nie mając innego wyjścia, uderzył ją kolbą od dołu w podbródek. Jej szczęki zatrzęsły się jak pułapka na niedźwiedzie, oczy wywróciły się białkami na wierzch i Rebekah padła nieprzytomna na ziemię.

Kiedy w głowie przestało mu huczeć od wystrzałów, Slater usłyszał dobiegający od strony zasy głoś Niki, która wołała o pomoc.

## Rozdział 51

Arktyczny wicher łomotał w ściany stołówki, a światła mrugały i słabły. Przez parę sekund profesor Kozak bał się, że za chwilę zepsuje się komputer, ale generatory wciąż szumiały, a mimo ryczącego wiatru, namiot trzymał się całkiem mocno. Kozak nalał sobie następny kieliszek wódki.

Minęło dopiero kilka godzin od startu helikoptera ze Slaterem i Niką na pokładzie, lecz kolonia wydawała się coraz bardziej wymarła i opuszczona. Zabrali doktor Lantos i choć profesor miał nadzieję na cud, nie sądził, by ten nastąpił. Nie przypuszczał, że mogłaby przeżyć z takimi obrażeniami, zwłaszcza że ewakuacja do Juneau tak się przeciągnęła. Poza nim w obozie zostali tylko sierżant Groves i Rudy, ale poszli na patrol sprawdzić, czy na wyspie nie ma innych intruzów i czy nie zdarzyło się nic więcej, co zakłóciłoby spokój wypatroszonych zwłok diakona. Prawdopodobnie biedak wciąż leżał na stole w prosektorium.

Profesor nie zazdrościł Frankowi Slaterowi. Nigdy nie miałby ochoty pisać raportu z takiej misji. Wszystko, co mogło pójść źle, poszło źle... i to bardzo. Mógł się tylko domyślać, że to oznacza koniec kariery Slatera jako epidemiologa pracującego w terenie.



Wrócił spojrzeniem na obrazy na ekranie komputera, wizerunki Theotokos, jak kościół prawosławny nazywał Przenajświętszą Dziewicę. Wszystkie przedstawiały wyobrażenie Matki Boskiej i Dzieciątka, lecz w czterech tradycyjnych pozach. Odigitria, w której Maryja wskazuje na Chrystusa jako drogę do zbawienia. Eleusa, gdzie Dzieciątko dotyka policzkiem twarzy matki, co symbolizuje miłość między Bogiem a człowiekiem. Hagiosoritissa, czyli Pośredniczka, w której Bogurodzica wyciąga błagalnie rękę do oddzielnego obrazu Chrystusa. I wreszcie Panachranta przedstawiająca Matkę Boską na tronie, trzymającą na kolanie Dzieciątka; według soboru chalcedońskiego właśnie w takim wizerunku kierują losami świata.

Choć Frank podał mu bardzo ogólny opis ikony, którą wyjęli z zamrożonej ręki diakona - a którą właśnie skradła nieznana ręka - Kozak był pewien, że chodzi o to ostatnie, najbardziej królewskie wyobrażenie. Czerwony welon na głowie Matki Boskiej symbolizuje cierpienie, niebieska szata oznacza jej więź z człowiekiem. Trzy brylanty, o których wspomniał Slater - na czole i ramionach Bogurodzicy - miały być symbolem Trójcy Świętej.

Ze stanowiska łączności w rogu namiotu dobiegł szum zakłóceń radiowych, a potem upiorny głos z posterunku Straży Przybrzeżnej w Point Barrow ostrzegł o następnym froncie nadciągającym nad Cieśninę Beringa. Jak i po co tamci osadnicy postanowili założyć kolonię w tak nieprzyjaznym miejscu? Wokół namiotu wiał wiatr i Kozakowi przypomniały się chwile grozy, które przeżywał w dzieciństwie, kiedy nocami czytał w swoim maleńkim pokoiku na piętrze letniej dachy. Co roku w czerwcu jego rodzina opuszczała swoje okazałe mieszkanie przy Prospekcie Kutuzowa w Moskwie i wyjeżdżała do tego nędznego domku w szczerym polu, żeby „pooddychać świeżym powietrzem”. Zdaniem Wasilija powietrze w miejskich bibliotekach było wystarczająco świeże. W domku nie było prądu, musiał więc czytać książki przy świetle lampy naftowej. Do dziś czuł ten zapach zakopconego klosza i miał przed oczami ściany z surowych bali. Ilekroć gałąź otarła się o okap albo skrzypnęło okno, wyobrażał sobie, że to rusałka wzywa go na brzeg rzeki. Mówiono, że bladolice panny, przystrojone girlandami kwiatów, wabią niewinnych ludzi do swoich wodnych kryjówek i tam ich topią; ogrodnik powiedział mu, że raz przegonił widłami rusałkę z przystani. „No więc nie masz się czego bać, mały Wasiliju” - mówił. - „Już się tu nie pojawiają”.

Mimo to mały Wasilij nadal się bał.

Dyżurny Straży Przybrzeżnej w Point Barrow miał pytanie.

- Słyszysz mnie, Wyspa Św. Piotra? Słyszysz mnie?

Kozak wreszcie podniósł się z krzesła i odpowiedział:

- Tak, głośno i wyraźnie. Tu profesor Wasilij Kozak z Instytutu Geofizyki imienia Trofimiuka.

Przez chwilę słycać było trzaski, a potem niepewne:

- Jakiego instytutu? Jest pan członkiem misji AFIP? Kierowanej przez doktora Franka Slatera? Odbiór.

Widocznie nie wszędzie dotarła jeszcze wiadomość, że Frank został oficjalnie zwolniony z obowiązków.

- Tak.

- W porządku. Według naszych danych wiatr osiąga prędkość stu sześćdziesięciu mil na godzinę, a ciśnienie leci na łeb, na szyję. Przy ostatnim odczycie 98 milibarów. Poutykajcie wszystkie szpary i przygotujcie się na najgorsze w ciągu co najmniej najbliższej doby.

- Dziękuję za ostrzeżenie - odparł Kozak, tłumiąc czknięcie. - Poutykam wszystkie szpary. Bez odbioru.

Wrócił na krzesło, nalał jeszcze jeden kieliszek i przerzucił wystrzępione stronicie książki, którą znalaziono w kieszeni tego martwego chłopaka. Nika mówiła, że miał na imię Russell.

Jeden rzut oka wystarczył, by Kozak odgadł, że to księga zgonów, w której grabarz odnotowywał wszystkie pochówki na cmentarzu kolonii. Nikt nie wiedział, skąd Russell to wziął, ale Kozak się domyślał. Gdzieś w lesie, niedaleko cmentarza, musiała stać stara buda, dziś zapewne zrujnowana i zarośnięta, gdzie grabarz trzymał narzędzia, rejestry i nagrobki. Kiedy zawieja się skończy, będzie musiał wysłać sierżanta Grovesa, żeby jej poszukał.

Wódki szybko ubywało. Na szczęście spakował jeszcze kilka butelek.

Na ocalałych stronach ciągnęła się zaskakująco długa lista nazwisk, rozpoczynająca się jesienią 1918 roku. Znalazł też kilka informacji o dynamicie, którego mieszkańcy kolonii używali do wysadzania ziemi, by groby miały dostateczną głębokość. Były to ośmiocalowe laski pochodzące z firmy DuPont w Delaware. Dynamit został wyprodukowany po to, żeby zabijać Niemców na polach bitew pierwszej wojny światowej, ale tu posłużono się nim, aby pomógł pochować rosyjskich pacyfistów w miejscu oddalonym o tysiące mil od frontów. Kozak ucieszył się, znajdując dowód potwierdzający jego hipotezę. Nic dziwnego, że ściana klifu osuwa się szybciej, niż wynikałoby to ze skutków globalnego ocieplenia.

Kiedy jednak dotarł do kilku ostatnich stron książki, zapisanych bardziej kobiecym charakterem pisma, odstawił kieliszek i wyprostował się na krześle. Atrament mocno wyblakł, a brzegi kartek wciąż były wilgotne, ale Kozak nie miał wątpliwości, że autorem

ostatnich wpisów nie był już grabarz. Może umarł i ta kobieta go zastąpiła? W rejestrze, który dotąd zawierał tylko suchy spis nazwisk i dat, pomiędzy informacjami o ostatnich zgonach pojawiły się jakieś rozpaczliwe błagania, napisane bardziej literackim językiem.

- Wybaczcie mi - brzmiała jedna z przesyconych cierpieniem notatek. - Stałam się przekleństwem wszystkich, którzy mnie znają, w kraju i tu, w tym strasznym miejscu.

Poniżej autorka sumiennie odnotowała informacje o następnym pogrzebie, niejakiego Szczepana Nowika. Diakon naszego świętego zgromadzenia. A więc tak się nazywał. Nazwisko zatarło się na nagrobku, lecz teraz wyryty w kamieniu zagadkowy motyw zyskał sens. Dwoje drzwi w rogach symbolizowało wrota diakońskie w ikonostasie... prowadzące do ołtarza. Do miejsca, gdzie tradycyjnie przechowywano i chroniono największe skarby cerkwi.

- To on ocalił mnie przed wilkami i udzielił mi schronienia. A ja tak mu się odpląciłam.

Kilka następnych linijek było zamazanych i nieczytelnych, ale poniżej drżącą ręką skreślono zapis ostatniego pochówku.

- Dziś Pan zechciał zwrócić mi doczesne szczątki Siergieja Ilinskiego, mojego biednego, wiernego, najdroższego Siergieja. Morze wyrzuciło jego ciało na brzeg tej przeklętej wyspy i pochowałam je sama w ostatnim grobie. Nie potrafię już dłużej kopać.

Na szyi zawiesiłam mu szmaragdowy krzyż, który kiedyś podarował mi święty człowiek w Petersburgu. Niech teraz strzeże Siergieja w jego podróży... i niech jego łańcuchy przestaną mnie wiązać z tym światem. Pragnę się z nich uwolnić, ale boję się, że błogosławieństwo krzyża stało się teraz moim przekleństwem.

Kozak odchylił się na krzesło, głęboko poruszony udręką i samotnością anonimowej kobiety. Pozostałe stronicie były puste. Kozak niecierpliwie przerzucił je aż do końca, żeby sprawdzić, czy znajdzie coś jeszcze.

Pośrodku ostatniej strony były słowa: Moja dusza przetrwa tu... na zawsze. Matko Boża, zbaw mnie. Pod spodem widniał podpis, na którego widok serce stanęło mu w piersi. Jednym haustem opróżnił pełny kieliszek. Światła w namiocie przygasły i mrugały i Kozak zastanawiał się, czy to nie zorza polarna znów zakłóca pola magnetyczne i elektryczne. Nie miał jednak ochoty wychodzić i popatrzeć. Nie teraz.

Gdy światła znów rozbłysły jasnym blaskiem, odczytał podpis jeszcze raz.

Ale brzmiał tak samo.

Wypił resztę wódki, a gdy z rozmachem postawił na stole pustą butelkę, światła zgasły zupełnie, pograżając go w ciemności. Sam ze swoimi myślami i starym rejestrem poczuł ten

sam dreszcz grozy co w dzieciństwie, jak gdyby rusalka, którą sobie wyobrażał, zmartwychwstała.

## Rozdział 52

Slater wstał i przyjrzał się swojej pracy. Nie był dumny z tego, co się stało, ale poradził sobie ze skutkami najlepiej, jak potrafił.

Z pomocą Niki wydobył z zasy Bathshebę i po pobieżnym badaniu ustalił, że nie licząc kilku sińców, najbardziej poważnym obrażeniem jest prawdopodobne złamanie kości piszczelowej. Mogła chodzić, ale z wielkim trudem i żeby wrócić do domu, musiała się wesprzeć o ramiona Niki i Slatera. Mimo to wyraźnie bardziej martwiła się o Harleya niż o siebie.

- To wszystko wina Charliego - powiedziała, krzywiąc się z bólu. - To przez niego ciągle pakuje się w jakieś kłopoty. Harley potrzebuje kogoś, kto by się nim zajął, kto mógłby go zrozumieć.

Slater i Nika wymienili znaczące spojrzenie; brzmiało to jak gdyby mówiła o niesfornym bohaterze jakiegoś romansu. Korzystając z wyposażenia ambulansu, Slater nastawił i usztywnił jej nogę, potem ułożył ją wygodnie na kanapie, a następnie - ponieważ nie mógł pozwolić, żeby ostrzegła braci o ich pościgu lub, co gorsza, żeby dostała się do miasta - zanim zdążyła się zorientować, co robi, podał jej solidną dawkę środka przeciwbólowego. Na tyle dużą, żeby nie tylko zmniejszyć ból, ale żeby przez kilka godzin pozostała w błogim stanie na granicy jawy i nieświadomości.

Rebekah sprawiła im większy problem. Slater żałował, że musiał ją tak mocno uderzyć kolbą strzelby, ale gdy ktoś próbuje cię zabić, nie masz wielkiego wyboru. Nadal była nieprzytomna - na szczęście, bo dzięki temu mógł ją spokojnie zbadać, bez konieczności odpierania następnego ataku. Miała rozciętą wargę i wybity przedni ząb, ale drogi oddechowe były czyste, a serce pracowało równo. Wiedział, że kiedy się ocknie, będzie ją bardzo bolało, dlatego w widocznym miejscu zostawił fiolkę vicodinu, choć nie miał pojęcia, czy jej przekonania religijne pozwalają brać leki, a potem na wszelki wypadek przywiązał ją do składanego krzesła sznurem, który przyniosła jej siostra.

- Zabierz im jeszcze komórki - rzekł Slater i Nika znalazła je na blacie biurka. Broń wziął sam. - No dobra - oznajmił - zrobiliśmy wszystko, co się dało. W drogę.

Padał tak gęsty śnieg, że Slater musiał wyciągnąć z karetki łopatę i odgarnąć go trochę, by tylne koła miały jako taką przyczepność. Nika wyznała, że czuje się trochę niewyraźnie - nic dziwnego po tym, co się przed chwilą stało - usiadł więc sam za kierownicą. Choć działał tylko jeden reflektor, Slater zobaczył ślady kół prowadzące z podjazdu przed domem Vanea w jedynym możliwym kierunku... do Nome. Czuł pod koszulą figurkę sowy, którą dała mi Nika. Jeśli kiedykolwiek potrzebował umiejętności widzenia w ciemności, to właśnie teraz.

Wysoko w górze, ponad burzowymi chmurami, usłyszał dudnienie następnego helikoptera zmierzającego w stronę Port Orlov. Bez względu na to, które wojskowe czy cywilne służby go wysłały, wiedział, że operacja szybkiego reagowania będzie się rozwijać z minuty na minutę. Na Port Orlov zostanie nałożona całkowita i rygorystycznie przestrzegana kwarantanna aż do odwołania, miał więc szczęście, że udało mu się stamtąd wydostać. Tylko on znał prawdziwą skalę zagrożenia śmiertelnym ładunkiem, który Harley i Charlie prawdopodobnie mieli w kieszeniach - albo w żyłach - i postanowił za wszelką cenę zapobiec dalszej katastrofie. Jako kierownik misji odpowiadał za jej początek, a teraz postanowił być tym, który ją zdławi.

Przez chwilę zastanawiał się, kogo wyznaczą na jego miejsce. Ktokolwiek to był, z pewnością już zastał wybrany. Nie było czasu do stracenia.

- Zadzwoń do szeryfa - powiedział do Niki, trzymając kierownicę jedną ręką, a drugą grzebiąc w konsoli między fotelami. - Powiedz mu o siostrach, każ, żeby nie wpuszczał i nie wypuszczał nikogo z domu Vane'ów, dopóki nie przyjedzie zespół do walki z zagrożeniem biologicznym. Trzeba zastosować wszelkie zabezpieczenia. - Choć oboje bardzo uważali i cały czas czuł, jak stygnące strużki potu płyną mu po plecach pod kombinezonem i wilgotnym skafandrem, dobrze wiedział, że wirusy to najwięksi spryciarze na świecie. A ten, choć pierwotnie przenosił się drogą kropelkową przez powietrze, świetnie rozwija się we krwi, ciele i płynach ustrojowych nosicieli.

Podczas rozmowy Niki z szeryfem Rayem - słyszał, że robi jej same trudności - znalazł w konsoli parę wełnianych rękawic, przeróżne lekarstwa luzem i zeszywniałego batona Almond Joy. Kiedy skończyła, powiedziała:

- Zanim to wszystko się skończy, chyba nas oboje aresztują.
- Dla mnie to nic nowego - odrzekł z półuśmiechem na twarzy. - Proszę, zjedz coś na kolację - i dodał, podając jej batona. - Mizernie wyglądasz.
- Nie jestem głodna.

- Mimo wszystko zjedz. Musisz zachować siły. - Nika siedziała zagłębiona w fotelu, choć może tylko po to, żeby się ukryć przed silnym podmuchem wiatru wpadającym przez dziurę w przedniej szybie, wybitą przez pocisk z dubeltówki.

Nie zdejmując rękawiczek, zaczęła niezdarnie otwierać opakowanie, a Slater wychylił się i wepchnął do dziury wełnianą rękawicę. Bał się, że jeżeli zrobi to za mocno, wyleci reszta szyby, którą pokrywała siatka tysięcy pęknięć, ale na razie chyba się trzymała.

- Jak w ogóle coś przez to widzisz? - zapytała Nika.

- Kto powiedział, że widzę?

Jak dotąd, nie minęli żadnego pojazdu, co oznaczało, że prawdopodobnie gdzieś przed nimi ustawiono już blokadę. Obawiał się jednak, że jeśli bracia Vane nie zostali jeszcze zatrzymani, to mogli znaleźć sposób, by prześliznąć się przez sieć. O dalszym ciągu tego scenariusza strach było myśleć. Jak daleko w końcu może sięgać oblawa? I jaka panika może wybuchnąć, jeżeli spróbują zarządzić ją na znacznie większą skalę?

Potarł oko w miejscu, gdzie trafił go odłamek drzewa, i podkręcił ogrzewanie w karetkce. Nika siedziała zgarbiona, jak gdyby wciąż było jej zimno.

- Powinnaś zdjąć buty - poradził - i oprzeć stopy o ciepły nawiew. Musisz się rozgrzać.

Zsuwając buty i ochraniacze, położyła stopy w skarpetach na desce rozdzielczej i poruszała palcami.

- Frank - powiedziała ponurym tonem - co się stanie, jeżeli rzeczywiście ich dogonimy?

- Spróbuję im przemówić do rozsądku.

- To wszystko? Taki masz plan? - Odwróciła się, by spojrzeć przez boczne okno. - Nie należą do facetów, którzy posłuchają rozsądnych argumentów.

Slater zdawał sobie z tego sprawę.

- Mam nadzieję, że masz plan B.

- Wziąłem z ich domu broń.

Ten plan chyba też nie wywarł na niej wielkiego wrażenia, ale Slater miał nadzieję, że nie dojdzie do jego realizacji. Gdzieś przed sobą mieli blokadę i modlił się, żeby zobaczyli tam samochód Charliego, zatrzymany na poboczu, i dowiedzieli się, że bracia Vane zostali aresztowani.

Jechał dalej przez trudniejszy teren niż dotąd. Zastanawiał się, czy Eva Lantos znalazła się już w izolacji na oddziale zakaźnym w Juneau... i czy wciąż walczy o życie. To był cud, że w ogóle przeżyła. Mogła przecież zginąć w wyniku ataku wilka albo umrzeć na

skutek kontaktu z wirusem w zdemolowanym laboratorium, ale nie uległa ani jednemu, ani drugiemu, co świadczyło o jej nieugiętym charakterze. Właśnie jej trzeźwość umysłu i zimna krew przekonały go, aby włączyć ją do zespołu misji.

Minąwszy zakręt, dostrzegł na pobliskich wzgórzach różowy odbłask migoczących świateł ostrzegawczych ustawionych przy drodze. Wychylając głowę w różne strony, żeby zobaczyć coś zza rękawicy w szybie i siatki pęknięć, nigdzie nie zauważył vana. Jedyne reflektor ambulansu był włączony na długie światło i Slater zwolnił na widok oficera w hełmie bojowym, który wyszedł zza pojazdu opancerzonego stojącego pośrodku drogi. Żołnierz uniósł obie ręce na znak, żeby się zatrzymali, a gdyby to nie było wystarczająco zrozumiałe, na asfalcie klęczeli dwaj gwardziści z karabinami wycelowanymi w chłodnicę karetki.

- Zdaje się, że nie żartują - powiedziała Nika.

- I słusznie.

Slater zatrzymał samochód i czekał, aż oficer do nich podejdzie. Z drugiej strony zbliżył się żołnierz, który miał karabin zawieszony na ramieniu, ale palec trzymał na spuście. Zauważył z satysfakcją, że obaj mają na twarzach maseczki z gazy, na rękach lateksowe rękawiczki i trzymają się w bezpiecznej odległości od nich. Choć prawdopodobnie nigdy sobie nie wyobrażali, że będą musieli zastosować te procedury, to przynajmniej zostali odpowiednio wyszkoleni.

- No dobrze - rzekł oficer. - Zaczniemy od tego, kim jesteście. - Miał na hełmie dystynkcje porucznika, a przy każdym słowie wydymała się maseczka na jego ustach. - Proszę dokumenty.

Nika podała mu swoje prawo jazdy, oświadczając:

- Jestem burmistrzem Port Orlov.

Wziął dokument z odległości wyprostowanej ręki, obejrzał go i powiedział z aprobatą:

- Takiego burmistrza jeszcze nigdy nie widziałem. - Na jego hełmie zaczynał osiadać mokry śnieg.

- Mhm, dziękuję - odparła zmęczonym tonem osoby, która za często słyszała podobne komplementy. Odebrała prawo jazdy.

Otwarto tylną klapę ambulansu i żołnierz zajrzał do wnętrza, trzymając w pogotowiu karabin.

Slater pokazał swoją zalaminowaną odznakę AFIP, a gdy porucznik zobaczył nazwisko ze zdjęciem, zrobił wielkie oczy.

- Pan doktor Slater? Szef tej misji?

- Tak. - Tym razem jego nieudolność nie obróciła się przeciwko niemu; wyglądało na to, że teoretycznie nadal jest szefem.

- To co pan tu robi, w dodatku w takim gruchocie? - Obejrzał rozbity reflektor i przednią szybę. - Potrącił pan łośia?

- Nie, ale mieliśmy inne kłopoty. - Nie zamierzał wdawać się w szczegóły. Tylne klapy zostały zatrzaśnięte.

- Co wiadomo o braciach Vane? - zapytał Slater, odbierając swoją legitymację. - Ktoś ich widział?

- Jeszcze nie.

- Szukajcie niebieskiego forda vana. Mamy powody przypuszczać, że nim wyjechali.

- Nic takiego tędy nie przejeżdżało. Zatrzymaliśmy ciężarówkę z drewnem i starszą panią jadącą pikapem.

- Na pewno nikt więcej? - spytała Nika, pochylając się w kierunku oficera. - Musieli już dojechać do blokady.

- Nie, tu ich nie było. Stoimy na drodze od osiemnastej.

- W takim razie musieli pojechać objazdem - mruknęła do Slatera. - Może którąś ze starych dróg leśnych.

Slater nie wątpił, że ma rację.

- Ale nawet jeżeli minęli blokadę, nie mogą minąć kanionu Heron River - dodała. - Jest długi i szeroki, a na drugą stronę prowadzi tylko jeden most.

- Daleko stąd? - zapytał.

- Jakies siedemdziesiąt, może osiemdziesiąt kilometrów.

- Proszę posłuchać, poruczniku - powiedział Slater. Twarz młodego człowieka zasłaniała maska i hełm, widział więc tylko dwoje bystrych brązowych oczu. - Niech się pan skontaktuje z kimś, kto dowodzi całą akcją, i przekaże mu, żeby postawiono jeszcze jedną blokadę na moście na Heron River. Niech to zrobią natychmiast i czekają na tego vana.

Wrzucił bieg, a porucznik zawołał:

- Zaraz, dokąd pan się wybiera?

- Na most. Proszę zrobić przejazd.

Porucznik wyraźnie miał dylemat.

- Nadal obowiązują mnie rozkazy i mam zatrzymywać ruch w obu kierunkach.

- I świetnie pan to robi - odparł Slater. - Ale to ja odpowiadam za tę operację, sam pan to powiedział, i nakazuję wam zabrać z drogi swój pojazd.



Żeby przerwać dalsze dyskusje, Slater zamknął okno i wcisnął włącznik uruchamiający syrenę i światła na dachu ambulansu. Porucznik wahał się jeszcze przez chwilę, ale gdy Slater spojrział na niego ze złością i pokazał palcem opancerzony wóz, dał żołnierzom znak, żeby przestawili pojazd na bok. Dwóch innych zdjęło z jezdni kolczatkę, którą Slater dopiero teraz zauważył. Cieszył się, że nie stracił cierpliwości i nie postanowił pokonać pędem barykady.

Kiedy droga była wolna, przejechał przez lukę w blokadzie i wyciągnął rękawicę z dziury w szybie. Bardziej niż wiatrochronu potrzebował teraz wycieraczek. Gdy tylko blokada zniknęła mu z oczu i nie widział jej nawet w lusterku wstecznym, wyłączył syrenę i koguty.

- Nie chcę ostrzegać Vaneów, jeżeli nie będę musiał - powiedział, rozpędzając ambulans, na ile tylko pozwalała śliska jezdnia i uszkodzenia pojazdu.

- Na pewno czegoś się już domyślili - odrzekła Nika. - Wiedzą, że ktoś ich szuka, bo inaczej nie skręciliby na wertepy.

Racja, pomyślał, zaciskając palce na kierownicy i pędząc przez coraz gęstsza śnieżycę. Ale czy wiedzą, że największe zagrożenie jedzie razem z nimi?

## Rozdział 53

Myśli kłębiły się Charliemu w głowie. Nie widział na drodze ani jednego pojazdu jadącego w żadną stronę, ale kto przy zdrowych zmysłach wybierałby się w podróż w taką noc? Chyba tylko kierowcy ciężarówek jeżdżący w dalekie trasy, ale wyłącznie dlatego, że muszą. Śnieg padał tak gęsto, że wycieraczki nie nadążały z jego odgarnianiem, choć pracowały na najwyższym biegu.

Spoglądając w lusterko wsteczne, zobaczył skulonego na tylnym siedzeniu Harleya. Już wcześniej zdawało mu się, że brat wygląda niezdrowo, a teraz było z nim jeszcze gorzej. Na czole perlił się pot, oczy były dziwnie szkliste, a palce cały czas dotykały tej przeklętej rany na nodze; Charlie przypuszczał, że musiał wdepnąć na wyspie w jakiś wredny syf. Syf, który prawdopodobnie zaraził już cały samochód. Po powrocie do Port Orlov będzie musiał powiedzieć, żeby Rebekah i Bathsheba wyszorowały i zdezynfekowały wóz.

Wierzchem dłoni Charlie sprawdził własne czoło, ale było suche i chłodne. Nie kaszłał, nie miał żadnych innych objawów. Przynajmniej na razie. Ale jeżeli Harley przywłókł coś zakaźnego i sprzedał to Charliemu, gorzko tego pożałuje.

W ciemności błysnęła tablica z informacją „Następna stacja benzynowa i restauracja - 50 mil”. Charlie zerknął na wskaźnik paliwa; zostało mu mniej więcej pół baku, ale miał z tyłu kanistry, więc powinien bez trudu dotrzeć do Nome bez przystanków. Nie chciał ryzykować, płacąc kartą kredytową na stacji ani pokazując się w restauracji. Nauczył się jednego - ludzie zapamiętują faceta na wózku, więc na wszelki wypadek, żeby nikt nie próbował go śledzić, wolał nie zostawiać więcej śladów, niż to było konieczne. Niech się głowią, co kombinują bracia Vane.

Dziwne, ale jazda tą pustą drogą sprawiała mu dużą przyjemność. Przypominała mu o dawnym życiu, zanim poświęcił się służbie Panu. Kiedy nie wypltywali z Harleyem na połów krabów, zawsze kombinowali, jak tu wyciąć jakiś numer, podprowadzić komuś łódź, włamać się do domku jakiegoś bogatego sukinsyna. Dziś wiedział, że postępował źle, że łamał trzecie, a może czwarte przykazanie - to, które zabraniało kradzieży, ale wiedział też, że nic innego nie dawało mu takiej frajdy. Teraz coś podobnego przeżywał, kiedy wygłaszał kazania i dawał się ponieść emocjom, kiedy naprawdę czuł obecność Boga.

Gdyby jednak miał być ze sobą zupełnie szczery, nie mogło się to równać z chwilą, kiedy otwierał czyjś sejf w ścianie i znajdował w środku gruby plik studolarówek. Dlaczego? Będzie musiał poruszyć ten temat z Jezusem podczas następnej szczerzej rozmowy.

Pogrzebał w kurtce i wyciągnął papierosa, a z kieszeni koszuli zapalniczkę. Skoro nie było przy nim kobiet, mógł sobie po kryjomu zapalić. Zaciągnął się głęboko i rzucił zapalniczkę na fotel pasażera. Zabawne, że paląc papierosa, człowiek czuje, jakby miał większe płuca, choć w rzeczywistości się kurczą.

Podmuch wiatru tak mocno uderzył w bok samochodu, że wyrwał Harleya z zamroczenia.

- Ikona - wymamrotał zmęczonym głosem. - Co z nią zrobiłeś?
  - Włożyłem do schowka. Razem z krzyżem.
  - Jest mi potrzebna.
  - Do czego? - Charlie nie wiedział, czy brat jest przy zdrowych zmysłach.
  - Żeby mnie ocaliła.
- Już wiedział.
- Jak ma cię ocalić, Harley?
  - Jest na niej mały Jezus. Jezus cię uratował, nie?
  - Tak, uratował. Ale nie potrzebujesz do tego starej ikony.
  - Potrzebuję - wychrypiał Harley. - Potrzebuję czegoś, bo dzisiaj umrę.

Charlie nigdy nie słyszał, żeby brat mówił coś podobnego, a gdy znów zerknął w lusterko, zobaczył, że oczy Harleya płoną jak dwa węgle i cała głowa się trzęsie.

- Nie ma mowy o żadnym umieraniu - powiedział Charlie. Wrócił pamięcią do wieczoru, gdy zobaczył - wyobraził sobie - tamtego mężczyznę o pustych oczodołach, w długim futrze, który z tylnego siedzenia wyciągał rękę po krzyż. Nie obchodziło go już, ile warte są te rosyjskie skarby. Zaczynał żałować, że w ogóle je zobaczył. - Jak dojedziemy do Nome, zabiorę cię do lekarza. Zaraz cię postawi na nogi.

Droga ostro skręcała, biegnąc wzdłuż krawędzi kanionu Heron River. Zwykle sam fakt, że Charlie znalazł się w miejscu swojego wypadku, po którym na resztę życia stracił władzę w nogach, wystarczała, by wytrącić go z równowagi, nawet gdyby sytuacja nie była tak popieprzona.

Ale była, przez co denerwował się jeszcze bardziej.

Tablica informowała, że zbliżają się do mostu. Wzdłuż poboczy stały ogromne, przysypane śniegiem granitowe głazy, pozostawione przez dawne lodowce. Przypominały wagony pociągu, które czekają na lokomotywę.

- Nie zdążymy - powiedział Harley. - Daj ikonę.

- Nie sięgnę tak daleko. Dam ci, jak tylko przejdziemy most.

- Za późno - odrzekł Harley z przerażającą pewnością. - To będzie za późno.

Samochód zakołysał się na odcinku asfaltu zniekształconym przez wysadzinę. Co roku wiosną wydział utrzymania dróg przysyłał ludzi, żeby naprawili szkody powstałe zimą. Kiedyś w młodości Charlie i Harley próbowali ukraść im równiarkę, zanim się zorientowali, że maszyna potrafi się rozpędzić najwyżej do piętnastu kilometrów na godzinę.

Kanion wcinał się głęboko w ziemię na odcinku prawie dziewięciu mil, a most zbudowano w najwęższym miejscu, między dwoma cyplami skalnymi. Charlie wpatrywał się w drogę, która szybko znikła za ruchomą zasłoną śniegu i lodu. Nawet wóz z napędem na cztery koła i łańcuchami od czasu do czasu tracił przyczepność. Jego brat jęczał, a kiedy Charlie spojrział na niego w lusterku, zauważył mały punkcik światła na drodze za nimi.

Punkcik wyraźnie się poruszał.

- Harley, przestań jęczeć i odwróć się.

- Czemu?

- Powiedz mi, co widzisz na drodze!

Nie zdejmując koca z ramion, Harley obrócił się i wyjrzał przez tylną szybę.

- Wygląda jak reflektor. Może to tylko motor.

Charlie obserwował światelko i rzeczywiście wyglądało jak pojedynczy reflektor. Ale kto próbowałby pokonywać motocyklem te niebezpieczne drogi podczas śnieżycy? Chyba tylko szaleniec. Policja korzystałaby z terenowego radiowozu, Gwardia Narodowa jechałaby dżipem. Mógł tylko powiedzieć, że światło poruszało się dość szybko.

- Miej na to oko - polecił Charlie, wyłączając tempomat i wciskając dźwignię gazu.
- Cholera. A jeżeli to Eddie na skuterze?

Usłyszał cichy trzask odbezpieczanego pistoletu. Glocka 10, sądząc po dźwięku. Chryste, Harley był nie tylko stuknięty... ale i uzbrojony?

- Skąd to masz? - zapytał ostro Charlie, choć niewątpliwie broń pochodziła z szafki w jego własnym domu. - Odłóż to. Już.

Ale Harley pograżył się już w swoich urojeniach.

- Pieprzony Eddie - mruknął, patrząc przez szybę vana.
- Eddie nie żyje. Sam mi mówiłeś.

Harley, nie odrywając wzroku od światelka, cmoknął z niesmakiem.

- Eddie nigdy nie wiedział, kiedy dać sobie spokój. Nie powinienem był pozwolić mu wracać ze mną.

Wracać? Charlie sądził, że Eddie spadł z klifu na wyspie.

- No to tym razem załatwię go na dobre.

Charlie już nie próbował doszukiwać się sensu w bredniach Harleya. Mógł tylko jechać... i modlić się, żeby dotrzeć do Nome, zanim Harley eksploduje mu w samochodzie jak bomba.

## Rozdział 54

Wchodząc do gospody, Ana starała się nie wyprzedzać Siergieja. Ubrana w stare zgrzebne rzeczy, z krótko przyciętymi włosami i spuszczonego wzrokiem, robiła wrażenie idealnej wiejskiej żony, którą siłą nauczono milczenia i uległości. W ciągu trwającej wiele tygodni ucieczki w końcu zaczynała się przyzwyczajać do tej roli.

Siergiej, w brązowej wełnianej bluzie zapiętej po szyję i w czarnym futrze z fok, ukradkiem przebiegł wzrokiem po gospodarce i jej gościach. Sześciu mężczyzn w skórzanych kurtkach grało w karty i domino, złoścąc z butelek piwo i wódkę. W olbrzymim kominku trzaskał ogień, a przy ścianach świeciły się lampy naftowe. Z fonografu na barze dobiegały

zgrzytliwe dźwięki nowego hymnu państwowego - Międzynarodówki; z każdą kolejną nutą Ana miała coraz większą ochotę rozbić płytę na kawałki.

Na ich widok łysy mężczyzna w brązowym mundurze, siedzący samotnie przy stoliku w rogu, znacząco uniósł głowę. Siergiej i Ana przecisnęli się przez zastawioną salę, ściągając na siebie parę spojrzeń i słysząc kilka wulgarnych uwag na temat ćwoków ze wsi, wreszcie odsunęli krzesła przy stoliku.

- Pan jest Newski? - zapytał Siergiej ściszym głosem.

Łysy mężczyzna nie odpowiedział, ale dał znak karczmarzowi, żeby przyniósł dwie dodatkowe szklanki. Nad barem wisiał zamazany plakat

Carskich Sił Powietrznych Rosji, obok którego czerwoną farbą wypisano nową nazwę radzieckiego lotnictwa: RobotniczoChłopska Czerwona Flota Powietrzna. Łysy mężczyzna miał na mundurze mnóstwo błyszczących medali i baretek.

Właściciel gospody z brzękiem postawił szklanki na stole, a następnie nalał winiaku z karafki i powiedział:

- Newski, masz zaległy rachunek.

- Zapłacę, jak ty zestrzelisz pierwszego myśliwca wroga - odparł Newski schrypniętym głosem.

Właściciel odburknął coś z niesmakiem i wrócił do baru.

- A to kto? - zapytał Newski, wskazując na Anę.

- Moja żona.

- Nikt mi nie mówił, że będzie was dwoje - powiedział, próbując stłumić kaszel.

- Co to za różnica? Przecież samolot może wziąć jeszcze jednego pasażera, prawda?

Newski przechylił szklaneczkę.

- Nie za tę samą cenę.

Ana nie była zaskoczona. Chociaż panowała nad sobą i nie odezwała się, ale w ciągu całej podróży z monasteru nowotichwińskiego niezmiennie spotykało ich to samo. Zmuszano ich, żeby przekupywali wszystkich, od woźniców po ładowaczy ciężarówek i sprzedawców biletów Kolei Transsyberyjskiej. W Rosji każdy wyciągał rękę i niczego nie dało się zrobić czy dostać bez dodatkowej zapłaty. Cały naród cierpiał od głodu, nieszczęść i przemocy, a chociaż starała się odnaleźć w sercu współczucie dla tych ludzi - którzy byli drodzy jej ojcu i matce, bez względu na to, co o nich mówiono - nie potrafiła. W każdym żołnierzu czy chłopie, którego spotykała, widziała tylko jednego z morderców.

- W takim razie jaka jest cena? - zapytał Siergiej.

- Podwójna. A niby jaka miałyby być? - Znowu sobie nalał. - Bierzesz mnie za złodzieja?

Siergiej nawet nie musiał czekać na zgodę Any; jedyną rzeczą, którą na pewno mieli, były pieniądze.

- Zapłacimy, ale dopiero po przewiezieniu nas na wyspę.

- Najpierw pokażcie, czy naprawdę macie czym płacić - odrzekł Newski, obrzucając Siergieja znaczącym spojrzeniem od stóp do głów. Futro z fok było zniszczone, koszula zabrudzona, a buty znoszone. Newski miał wyraźne wątpliwości.

Siergiej odwrócił się nieznacznie w stronę Any, która wyciągnęła spod szerokiej spódnicy sakiewkę. Siergiej wziął sakiewkę na kolana i trzymając ręce pod zadrapanym blatem stolika, wyciągnął z niej dwa brylanty wielkości kropelek łez. Położył je na dłoni, a Newski wyciągał szyję, żeby zobaczyć je pod stołem.

- Teraz jeden - powiedział Newski - jako zadatek.

Siergiej dał mu brylant, a Newski rozejrzał się po sali, sprawdzając, czy nikt na niego nie patrzy, po czym przyjrzał się uważnie kamieniowi, obracając go w palcach. Zadowolony, zawinął go w czerwoną chusteczkę i włożył do kieszeni munduru. Następnie przechylił się do tyłu na krześle i ze sceptycznym wyrazem twarzy zapytał:

- Ale skąd ktoś taki jak wy, ma coś takiego?

Było to pytanie, które Siergiejowi i Anie zadawano już wcześniej.

- Z Pałacu Zimowego - wyznał Siergiej, jakby wstydząc się swoich czynów.

- Skarby cara to własność ludu - zauważył Newski udając oburzenie. Zakaszłał, przysłaniając usta wierzchem dłoni. - Po szturmie na Pałac Zimowy, ten łup należał się proletariatu.

- Jestem członkiem proletariatu - odparł Siergiej, a Newski parsknął śmiechem.

- Trzeba przyznać, że dość przedsiębiorczym. - Nachylając się nad stołem, wyjaśnił, że Ana i Siergiej mają się z nim spotkać na lotnisku, gdy tylko wstanie świt. - Bądźcie za hangarami i na miłość Boską, nie rzucajcie się nikomu w oczy. Nie przynóście ze sobą nic cięższego niż garść słomy. Samolot nic więcej nie udźwignie.

Wieczorem, w zamian za niebotyczną cenę, jakiej zażądał karczmarz, Siergiej i Ana przenocowali między beczkami w piwnicy gospody, niecierpliwie czekając świtu. Ana nigdy wcześniej nie leciała samolotem i była pewna, że Siergiej również. Nie zapytała go, bo wiedziała, że lubił udawać bardziej światowego i doświadczonego, niż był w rzeczywistości, chociaż w jej oczach był po prostu chłopakiem - tyczkowanym i trochę niezdarnym, z

niesfornym czubem włosów sterczących nad czołem i pociągłą twarzą, która przypominała jej ulubionego kucyka.

Kochała go.

Nie tylko dlatego, że uratował jej życie - chociaż, czy nie byłby to wystarczający powód? - ale dlatego, że jego serce pozostało czyste i uczciwe. Kochała go za jego niewinność, za jego oddanie... i dlatego, że on ją kochał. Ana żyła wcześniej w zbytku i luksusie, ciesząc się niezliczonymi przywilejami, ale także w izolacji od świata, przed którym chroniono ją złotym kloszem. Dopiero w minionym roku, gdy odebrano jej to wszystko, wiele dowiedziała się o prawdziwym życiu. Ojciec Grigorij zawsze jej powtarzał, że czeka ją wyjątkowy los - szmaragdowy krzyż pod bluzką był znakiem nierozzerwalnej więzi między nimi - ale dopiero teraz czuła, że być może zmierza do tego celu, cokolwiek to będzie. A bez Siergieja nigdy nie udałoby jej się uciec i trafiłaby na Uroczysko Czterech Braci, gdzie leżała pogrzebana cała jej rodzina.

Obrzydzeniem napawała ją oficjalna prasa radziecka, która wciąż twierdziła, że zastrzelono tylko jej ojca, a reszta rodziny została przewieziona do jakiegoś bezpiecznego miejsca odosobnienia. Postanowiła, że gdy tylko odzyska wolność, nawet jeśli miałyby się nią cieszyć tylko na wysepce pośrodku Morza Beringa, znajdzie sposób, żeby pokazać światu, kim naprawdę są ci rzeźnicy.

Jeszcze przed świtem Siergiej lekko trącił jej ramię. Wątpiła, by w ogóle spał, bo i sama nie potrafiła zasnąć. Zebrali garść swoich rzeczy w tobołek i ukradkiem wyszli po schodach z piwnicy. Karczmarz w nocnej koszuli rozpałał ogień w kominku i udawał, że ich nie widzi. Na zewnątrz było chłodno, ale już wystarczająco jasno, by zobaczyć, że na niebie nie ma ani jednej chmurki. Z pewnością będzie to dobra pogoda na lot na Wyspę Św. Piotra. Myśl, że znajdzie się w miejscu, nawet tak odległym i dzikim, gdzie naprawdę będzie mogła być sobą, gdzie nie będzie się musiała bać każdego spotkania i unikać każdego nieznanego, gdzie będzie otoczona przyjaciółmi i wyznawcami ojca Grigorija, dodawała jej takiej otuchy, że zniknął cały strach, jaki mogła odczuwać przed podróżą samolotem.

Gdy dotarli do hangarów, zobaczyli, że samolot ze świeżo wymalowaną czerwoną gwiazdą na nosie stoi już na pasie startowym. Newski, w skórzanej czapce opinającej ciasno łysą czaszkę i zawieszonych na szyi przyciemnianych goglach, chodził dokoła maszyny i sprawdzał koła, wsporniki, rozporki i skrzydła. Samolot miał podwójne skrzydła, szersze nad małą kabiną i węższe pod nią, połączone szeregiem prętów, oraz długi ogon, który Anastazji przywodził na myśl ważkę. A ponieważ wydawał się równie wąty jak ważka, trudno jej było sobie wyobrazić, że będzie ich wioził kilometrami nad lodowatym morzem. Siergiej stanął jak

wryty i wpatrywał się w samolot z otwartymi ustami i wyraźnym lękiem. Newski zauważył ich, szybko rozejrzał się po pustym polu i dał im znak, żeby podeszli.

- Chodź - powiedziała Ana, biorąc Siergieja za rękę i wyprowadzając spod hangaru. - Musimy się pospieszyć.

Newski otworzył przed nimi małe drzwi do kabiny i na widok ich tobołka zmarszczył czoło.

- Co wam mówiłem na temat bagażu? - zapytał, biorąc go do rąk i sprawdzając, ile może ważyć, a następnie niechętnie cisnął go na podłogę w kabynie. - Wsiadać! - rozkazał. Zaczął kaszleć i splunął flegmą na nawierzchnię pasa.

Zginając się w pół, Ana wsunęła się przez wgniecione metalowe drzwi i, sztywno wyprostowana, usiadła na przykrytej czymś miękkim desce, a tobolek wcisnęła pod nogi; ledwo mogła się ruszać, ponieważ chcąc zmniejszyć bagaż, założyła pod płaszcz gorset z klejnotami. Siergiej, z oczami okrągłymi jak spodki, wszedł i usiadł na desce naprzeciw niej. Było ciasno, a nogi miał takie długie, że stykali się kolanami. Ana uśmiechnęła się do niego życzliwie, ale wyglądał jak owieczka prowadzona na rzeź.

Newski, stękając, wgramolił się do kabiny, zaryglował za sobą drzwi, a następnie usadowił się na miejscu z przodu samolotu; kokpit miał kształt wiadra i był wysłany złożonym na pół dywanem. Newski grubymi, lecz zręcznymi palcami zaczął obracać pokręta i przestawiać przełączniki oraz robić mnóstwo innych rzeczy, których celu Ana nie umiała pojąć. Zrozumiała natomiast przeznaczenie karabinu maszynowego, przymocowanego obok jego łokcia i wycelowanego przez szczelinę w przedniej szybie. Widok czarnej lufy i jej śmiercionośnego wylotu przypominał jej, że ten samolot był przeznaczony do walk w powietrzu, a nie do przewożenia uciekinierów. Został zbudowany, aby nieść śmierć, nie życie... tak jak wszystko, do czego bolszewicy przyłożyli rękę.

- Tam są pasy - rzucił przez ramię Newski. - Zapnijcie je pod ramieniem i wokół pasa.

Ana znalazła je - wisały po obu stronach kabiny jak lejce w stajni - i zrobiła, jak powiedział. Natychmiast zauważyła, że na klamrze jest wryty dwugłowy orzeł, dawne godło rosyjskich sił powietrznych. Siergiej zapinał się, poruszając mechanicznie palcami, ze wzrokiem wbitym w podłogę, którą sklecono chyba ze stalowych blach, a potem uszczelniono warstwą smoły. Cała kabina wydawała się zbyt krucha, żeby wytrzymać trudy jazdy po nierównej drodze, a co dopiero lotu.

Nagle poruszyły się śmigła, po dwa z każdej strony kadłuba, a gdy słońce w pełni wyszło na syberyjskie niebo, Newski prowadził już samolot na pas startowy, krzycząc do nich:



- Trzymajcie się!

Tylko czego? - pomyślała Ana. Ryknęły silniki, a koła zadudniły, tocząc się po ziemi. Siergiej siedział z zamkniętymi oczami, sztywny jak kij, z głową opartą o kadłub. Jego usta poruszały się - z pewnością odmawiał modlitwę. Ryk wzmagał się, a kabina tak się kołysała i skrzypiała, że Ana wcale by się nie zdziwiła, gdyby ta cała blaszana puszka za chwilę wybuchła. Wyglądając zza szerokich ramion Newskiego, zobaczyła tundrę przesuwaną się obok nich z taką prędkością, że wyglądała jak niewyraźna brązowa plama - jak cokolwiek mogło się poruszać tak szybko? - a Newski pociągnął dębowy uchwyt manetki gazu, który przypominał jej jedną z lasek hrabiego Benckendorffa. Prędkość wzrosła, silniki ryczały ogłuszająco, a w chwili, gdy pomyślała, że rozdygotany samolot na pewno rozpadnie się na kawałki, jego nos lekko się uniósł, wstrząsy niespodziewanie ustały i ku swojemu zdumieniu zobaczyła, jak ziemia się oddala. Za przednią szybą płonął oślepiający pomarańczowy blask i Anastazja zaczęła żałować, że nie ma takich przyciemnianych gogli jak Newski. Miała dziwne uczucie, jak gdyby żołądek wpadł jej do butów, ale to nie było nieprzyjemne; przypominało chwile, gdy Nagorny, opiekun Aleksego, huśtał ją na huśtawce w ogrodzie tak wysoko, że gdy na chwileczkę zatrzymywała się na samej górze, bała się, że spadnie prosto na drążek, ale zaraz znów opadała, wychylając się w przeciwną stronę. W myślach usłyszała głos Aleksego, który błagał, żeby też go rozhuścić tak wysoko, i jego uradowany pisk, gdy Nagorny spełniał prośbę.

Znów, jak to się często zdarzało, ogarnęła ją fala przemożnego smutku i bólu.

Siergiej miał już otwarte oczy. Nie chciał jednak patrzeć przez okno, tylko posłał Anastazji słaby uśmiech, a ona ujęła jego dłoń i mocno uścisnęła.

- Będziemy lecieć na północny wschód - krzyknął Newski, którego słowa niósł w ich stronę zimny podmuch powietrza. - To cholerne słońce będzie nam świecić w oczy przez całą drogę.

Anie się podobało - podobało jej się gorące żółte światło i niezmacony ani jedną chmurką głęboki błękit nieba, podobało jej się też, gdy ciemny, pokryty plamami śniegu ląd został z tyłu, a w dole rozpostarła się kobaltowa toń Morza Beringa. Lodowce spokojnie spoczywały na wzburzonych falach, wśród dryfujących kawałków kry baraszkowało stadko wielorybów, które wyskakiwały ponad powierzchnię. Horyzont był jasną pomarańczową kreską, prostą jak naciągnięty szew, a gdzieś w oddali przed nimi leżała wyspa, która nie należała już do Rosji, wyspa, gdzie mieściła się kolonia wiernych. Mała kolonia przyjaciół. Glądając zza szerokich ramion Newskiego, zobaczyła tundrę przesuwaną się obok nich z taką prędkością, że wyglądała jak niewyraźna brązowa plama - jak cokolwiek mogło się

poruszać tak szybko? - a Newski pociągnął dębowy uchwyt manetki gazu, który przypominał jej jedną z lasek hrabiego Benckendorffa. Prędkość wzrosła, silniki ryczały ogłuszająco, a w chwili, gdy pomyślała, że rozdygotany samolot na pewno rozpadnie się na kawałki, jego nos lekko się uniósł, wstrząsy niespodziewanie ustały i ku swojemu zdumieniu zobaczyła, jak ziemia się oddala. Za przednią szybą płonął oślepiający pomarańczowy blask i Anastazja zaczęła żałować, że nie ma takich przyciemnianych gogli jak Newski. Miała dziwne uczucie, jak gdyby żołądek wpadł jej do butów, ale to nie było nieprzyjemne; przypominało chwile, gdy Nagorny, opiekun Aleksego, huśtał ją na huśtawce w ogrodzie tak wysoko, że gdy na chwileczkę zatrzymywała się na samej górze, bała się, że spadnie prosto na drążek, ale zaraz znów opadała, wychylając się w przeciwną stronę. W myślach usłyszała głos Aleksego, który błagał, żeby też go rozhuścić tak wysoko, i jego uradowany pisk, gdy Nagorny spełniał prośbę.

Znów, jak to się często zdarzało, ogarnęła ją fala przemożnego smutku i bólu.

Siergiej miał już otwarte oczy. Nie chciał jednak patrzeć przez okno, tylko posłał Anastazji słaby uśmiech, a ona ujęła jego dłoń i mocno uścisnęła.

- Będziemy lecieć na północny wschód - krzyknął Newski, którego słowa niósł w ich stronę zimny podmuch powietrza. - To cholerne słońce będzie nam świecić w oczy przez całą drogę.

Anie się podobało - podobało jej się gorące żółte światło i niezmacony ani jedną chmurką głęboki błękit nieba, podobało jej się też, gdy ciemny, pokryty plamami śniegu ład został z tyłu, a w dole rozpostarła się kobaltowa toń Morza Beringa. Lodowce spokojnie spoczywały na wzburzonych falach, wśród dryfujących kawałków kry baraszkowało stadko wielorybów, które wyskakiwały ponad powierzchnię. Horyzont był jasną pomarańczową kreską, prostą jak naciągnięty szew, a gdzieś w oddali przed nimi leżała wyspa, która nie należała już do Rosji, wyspa, gdzie mieściła się kolonia wiernych. Mała kolonia przyjaciół.

Chętnie porozmawiałaby z Siergiejem, chociażby po to, żeby go trochę zająć, ale uniemożliwiała to wycie wiatru i warkot śmigieł. Trzymała go więc tylko za rękę i patrzyła na niewiarygodny widok za oknem kokpitu. Szkoda, że psuł go karabin maszynowy, czarny, lśniący od oleju, złowrogi jak sęp.

Gdy samolot przechylił się na bok, Ana została przyciśnięta do ściany - miała teraz wrażenie, że leży na płycie lodu - i tym razem nie mogła tak łatwo opanować reakcji żołądka. Czuła, że samolot traci wysokość i przez moment martwiła się, że jednak się rozbija. Przez okno zobaczyła, że świat przechylił się pod dziwnym kątem, a w oddali dostrzegła dwie wyspy - dwie, nie jedną, a obydwie płaskie i szare, wystające niewiele ponad poziom morza.

Jedna była znacznie większa do drugiej, żadna nie wyglądała szczególnie przyjaźnie. Ana zastanawiała się, która z nich nosi imię świętego Piotra..

Samolot zwiększył kąt, silniki ryczały głośniejsze i bardziej zgrzytliwie. Zeszli jeszcze niżej, przelecieli nad wąskim kanałem, który rozdzielał wyspy, a po chwili przednią szybę wypełnił widok większej z nich. Samolot stopniowo wyrównywał lot i za oknem pojawił się brzeg. Nierówny, nagi, pełen stad krzyżących ptaków. Anastazja dostrzegła niewielkie skupisko chat na klifach przy zatoczce i po chwili samolot już siadał na pustym polu, znów dudniąc kołami, które właśnie zetknęły się z ziemią. Śmigła obracały się coraz wolniej, a Newski chwycił manetkę gazu obiema rękami, ciągnąc ją, jak gdyby chciał ujarzmić ogiera. Kabina dygotała, opony wydawały przeraźliwe piski i tylko karabin maszynowy ani drgnął. Samolot toczył się i podskakiwał przez kilkaset metrów tundry, aż wreszcie silniki przestały warczeć, śmigła znieruchomiały i wszystko się zatrzymało.

Newski zsunął gogle na czubek głowy, odwrócił się do nich i powiedział:

- Możecie już odpiąć pasy. - Zakaszła w chusteczkę.

Ana i Siergiej rozpięli pasy, a Siergiej drżącymi palcami otworzył drzwi. Wygramolił się na ląd, a potem wyciągnął rękę, aby pomóc Anie. Kiedy się pochyliła, gorset wpił jej się w żebra i zachwiała się na nogach tak mocno, że omal się nie przewróciła. Siergiej podtrzymał ją, a zaraz za nimi wysiadł

Newski. Bez słowa poszedł do małej walącej się szopy i po chwili wyłonił się z powrotem, taszcząc w obu rękach kanistry paliwa.

Ana w zdumieniu zaczęła się rozglądać, ale oprócz szopy nie było w pobliżu żadnych domostw i ani śladu ludzi. Czy tamte chatki to cała kolonia? W jej serce zaczęło się wkradać zwątpienie. Dlaczego nikt nie przyszedł ich przywitać?

Wydawało się, że Newski celowo ich unika, a kiedy Siergiej odważył się zadać mu pytanie, zbył go, mówiąc:

. - Najpierw to skończę. - I wlał zawartość drugiego kanistra przez lejek, który umieścił w baku z tyłu samolotu. Gdy skończył, znów poszedł do szopy, wrócił z dwoma następnymi kanistrami i przelał z nich paliwo. Otwarte pole chłostał ostry wiatr i Ana skuliła się za kadłubem, szukając tam osłony.

Newski rzucił na bok puste kanistry, wyciągnął lejek i w końcu odwrócił się do nich, mówiąc:

- Teraz poproszę drugi brylant.

- Gdzie są wszyscy? - zapytał Siergiej.

- Będą. No, gdzie on jest?

Siergiej miał niepewną minę, ale gdy Ana skinęła głową, dał mu brylant. Newski wcisnął go do kieszeni i otworzył drzwiczki samolotu. Następnie wskoczył do środka, zamknął zamki i pojawił się w oknie kokpitu. Odsunął szybkę i znad karabinu powiedział do Any i Siergieja, którzy stanęli pod okienkiem:

- Jesteście teraz w miejscu, które Eskimosi nazywają Nunarbuk.

- To ich nazwa Wyspy Św. Piotra? - spytał Siergiej.

- Wyspa Św. Piotra - odparł Newski, opuszczając gogle na twarz i wskazując palcem prosto na wschód - jest tam.

- Zapłaciliśmy, żeby nas pan tam zawiózł - zawołała Ana, lecz Newski tylko wzruszył ramionami.

- Nie mają lądowiska - wyjaśnił.

- W takim razie musisz nas zabrać z powrotem! - krzyknął ostrym tonem Siergiej, waląc pięściami w bok samolotu.

- Uważaj - powiedział Newski, zamykając okno. - Śmigła mogą cię przekroić na pół jak bochenek chleba.

Chwilę później Ana usłyszała warkot silników. Śmigła zaczęły terkotać i Siergiej musiał szybko odsunąć się na bok, a uzbrojony w cztery wirujące łopaty samolot, podskakując, zakreślił szerokie koło po ziemi, po czym szybko nabrał prędkości, a po chwili także wysokości. Dopiero gdy był wysoko w górze, błyszcząc w słońcu i wolno kierując się w stronę Syberii, Ana zdała sobie sprawę, że zapomnieli wyciągnąć spod siedzenia tobołek.

## Rozdział 55

- To on? - zapytał Slater. - To jest ten van?

Siedząca obok Nika wyciągnęła szyję.

- Nie widzę wyraźnie - odrzekła, wpatrując się przez popękaną szybę.

- Śnieg jest za gęsty.

Po prawej stronie drogi stała żółta tablica z napisem: „MOST NA HERON RIVER. JEDŹ OSTROŻNIE. ZWOLNIJ”. Była podziurawiona kulami i Slater pomyślał, że na całej Alasce nie ma chyba tablicy czy skrzynki pocztowej, której nie używano by jako tarczy do ćwiczeń w strzelaniu.

Wcisnął gaz, ale poczuł, że na oblodzonej nawierzchni koła tracą przyczepność, i musiał zwolnić.

Droga wiła się teraz przez rumowisko skalne, porośnięte karłowatymi drzewkami i usiane ogromnymi głazami. Czasem samochód przed nimi ginął mu z oczu, znikając za skałami albo w chmurze wirującego śniegu, ale ilekroć znów się pojawiał, Slater zauważał jakiś nowy szczegół. Najpierw dostrzegł kanciastą sylwetkę vana. Potem zobaczył, że wóz jest ciemny, granatowy albo czarny.

To musiał być samochód Charliego Vanea.

Wiedział, że ambulans jedzie o wiele za szybko przy tym stanie drogi i tej pogodzie, a mimo to w ogóle nie zbliża się do wozu przed nimi. Tamci musieli pędzić co najmniej sto albo sto dziesięć na godzinę. Spodziewał się, że lada chwila van może wpaść w poślizg albo uderzyć w skały.

- Myślisz, że nas zauważyli? - spytała Nika.

- Oczywiście. - Ale co mogli zobaczyć? - Mam włączyć syrenę i koguty? Może trzeba ich przekonać, że ściga ich policja?

- Tylko przyspieszą.

Slater doszedł do tego samego wniosku.

- Jest jeszcze jeden zakręt - dodała Nika - ale szeroki, sięga aż za tamte wzgórza. Kiedy wyjedziesz po drugiej stronie, zobaczysz kanion i most, dość daleko, ale dokładnie na wprost.

Slater liczył na to, że zobaczy barykadę ustawioną przez Gwardię Narodową, reflektory, ciężarówki i uzbrojonych żołnierzy, obawiał się jednak, że to płonne nadzieje. Pewnie było za mało czasu na tak skomplikowaną operację i zastanawiał się, jak długo będzie musiał jechać za braćmi Vane. Aż do Nome? Zerknął na deskę rozdzielczą i zobaczył, że bak jest już w trzech czwartych pusty. Najważniejsze było jednak, aby ich zatrzymać, zanim dostaną się do jakiegoś ludzkiego skupiska.

Pozostawało pytanie, jak to zrobić?

Z każdej strony wznosiły się zaśnieżone wzgórza, które jak lejek skupiały śnieg, zmieniając go w gęstą mgłę niemal zupełnie zasłaniającą drogę. Kurs pozwalały utrzymać tylko stalowe słupki wysokości około metra, ze światłami odblaskowymi u góry. Zardzewiałe znaki ostrzegały przed zakrętami, ruchem dwukierunkowym, zwierzętami na drodze, lawinami, oblodzeniem nawierzchni. Karetka trzymała się drogi, wycieraczki pracowały jak szalone, samotny reflektor rozjaśniał kurtynę śniegu. Przez dziurę w przedniej szybie wpadał nieprzerwany strumień lodowatego powietrza, a Slater modlił się, żeby wycieraczki nie zahaczyły o jakieś pęknięcie i żeby cała szyba nie wpadła do środka, bombardując ich twarze odłamkami szkła.

I kiedy myślał, że wzgórza już nigdy się nie skończą, wyjechał na szeroki płaskowyż. Van musiał zwolnić, ponieważ odległość między nimi była teraz mniej więcej taka jak między kilkoma skrzyżowaniami w mieście.

Co więcej, Slater zobaczył niknące w ciemnościach stalowe przęsło mostu nad Heron River... przed którym stał zaparkowany prostopadle radiowóz alaskiej policji stanowej z włączonymi reflektorami i błyskającymi światłami na dachu.

Nie był to pluton Gwardii Narodowej, ale dobre i to.

Tak w każdym razie sądził.

Patrzył, jak van zaczyna zwalniać, jak gdyby Charlie zastanawiał się, co zrobić, a Slater wykorzystał tę okazję, by jeszcze bardziej się do niego zbliżyć.

- Dobra, teraz włączmy światła i syreny! - zakomenderował Slater, chwytając mocno kierownicę, bo nagle poczuł, jak ambulans ślizga się na gołoledzi. - Pora dać mu znać, że jest otoczony.

Ale gdy Nika włączyła sygnały alarmowe, a Slater zobaczył policjanta wychodzącego przed radiowóz, van ruszył z kopyta w kierunku mostu, tylnymi kołami wzbijając gejzer śniegu i lodu.

- Co on wyrabia? - krzyknęła Nika.

Dowiedzieli się sekundę później, gdy van z pełną prędkością uderzył w przód radiowozu, spychając go z drogi i obracając nim jak bakiem. Trysnęły iskry, zgrzytnął metal, a policjant zdążył uskoczyć w ostatniej chwili.

Slater, próbując zachować panowanie nad własnym samochodem, wcisnął hamulec i skręcił kierownicę w stronę poślizgu. Ale ambulans też zdążył nabrać rozpędu.

Van pomknął po garbatej pochylni na most, podskakując jak dziki koń usiłujący zrzucić jeźdźca. Nika zapała się mocno o deskę rozdzielczą, a ambulans wykonał pełny obrót, po czym zarył przednim błotnikiem w kopiec śniegu.

Po pierwszym wstrząsie Slater spojrział przez boczne okno i zdążył zobaczyć kłęczącego policjanta, który przytrzymując ramię drugą ręką, strzelił kilka razy w tył granatowego samochodu.

Z początku wydawało się, że strzały nie odniosły żadnego skutku, ale po ostatnim Slater zobaczył, jak van raptownie skręca na drugi pas, przez chwilę jedzie zygzakiem, a potem uderza w barierę ochronną tak mocno, że najpierw dwa, a potem wszystkie cztery koła oderwały się od jezdni. Prysnęło szkło, wóz obrócił się dymiącymi oponami do góry i przez chwilę wirował w połowie długości mostu jak odwrócony talerz.

- Nic ci się nie stało? - zapytał Slater.

- Mnie nic - odrzekła drżącym głosem Nika. - Ale nie wiem, co z ambulansem i Vane'ami. - Patrzyła na rozbity samochód na moście.

Polecił jej, żeby wezwała przez radio pomoc medyczną.

- I nie rozłączaj się, dopóki nie przyjadą. Nie zbliżaj się do mostu.

Wyskoczył z karetki i pognął w stronę granatowego vana.

- Kim pan jest? - wrzasnął policjant, wciąż trzymając uniesioną broń. Slater zobaczył, że na szczęście funkcjonariusz też ma maskę - widocznie wiadomość dotarła - ale zawieszoną na szyi.

- Nie zbliżać się! - krzyknął Slater, przebiegając obok uszkodzonego radiowozu. - Nałóż maskę i nie zdejmuj, dopóki nie zezwolę!

- Na czyje polecenie?

- Na moje! - oświadczył Slater. - To rozkaz!

Zanim policjant zdążył go zatrzymać, Slater przemknął obok niego, nie odrywając wzroku od przewróconego vana... i modląc się, żeby to był koniec drogi dla braci Vane i wirusa.

## Rozdział 56

Charlie najpierw usłyszał brzęczyk.

Tkwiał w przewróconym vanie, z głową wciśniętą w lampkę pod sufitem.

Brzęczyk ostrzegawczy, który włączał się, kiedy nie zapięto się pasów albo nie domknęło drzwi, dźwięczał dyskretnie.

Dopiero po kilku sekundach Charlie zorientował się w sytuacji.

Przypomniał sobie, jak zwolnił przed blokadą i pomyślał: Po co mam próbować ją omijać? Za chwilę zaczną mnie śledzić helikopter. A zanim zdał sobie sprawę, co się dzieje, Harley zaczął wrzeszczeć z tyłu jak oszalały:

- Przejedź! Przejedź!

Charlie nie zamierzał jednak być taki głupi; w życiu miał już dość kłopotów, zresztą był teraz zupełnie innym człowiekiem niż dawniej. Próbował przemówić Harleyowi do rozsądku, ale brat, wciąż w kocu narzuconym na ramiona, gwałtownie wychylił się do przodu i wcisnął dźwignię gazu.

- Przejedź!

Samochód wyrwał z kopyta, a Charlie, wciśnięty w oparcie jak kosmonauta przy starcie, na próżno próbował dosięgnąć dźwigni hamulca. Z impetem uderzyli w przód radiowozu, a po chwili, błyskawicznie nabierając prędkości, minęli go.

Kiedy samochód wpadł na most, Charlie mógł ledwie muskać palcami kierownicę, ale Harley wisiał nad nim, próbując kierować. Zdawało mu się, że usłyszał strzał - a może to eksplodowała opona? - a po chwili walnęli w barierę ochronną i z trzaskiem pękły wszystkie szyby. Koła trafiły na taflę lodu i cały samochód obrócił się w powietrzu jak naleśnik na patelni, a kanistry z benzyną i wszystkie rzeczy z tyłu rozleciały się we wszystkie strony.

A teraz słyszał tylko ten brzęczyk. We wnętrzu vana unosił się zapach benzyny, zmieszany z cierpką wonią krwi. Czując ból w karku i ramionach, spojrzał na przód swojej kurtki, gdzie wykwitła ciemna mokra plama, która szybko się powiększała. Przebita poduszka powietrzna zwisała jak pusta sakwa przy siodle, schowek był otwarty na oścież. Jego zawartość, łącznie z krzyżem i ikoną, leżała rozsypana między rozbitym na proszek szkłem i kawałkami poskręcane metalu.

- Kurwa.

Usłyszał. To był głos Harleya. Żył, ale gdzie się podział?

Stopniowo zaczęły docierać do niego inne dźwięki. Kapanie benzyny, skrzypienie zmiażdżonej stali, brzęk spadającego na ziemię szkła. Świat powoli wracał do niego... a wraz z nim potworny ból.

Charlie próbował się odwrócić, ale pas bezpieczeństwa oplatał go jak wąż, a nogi oczywiście jak zawsze były bezużyteczne. Próbował się poruszyć, ale udało mu się uwolnić tylko jedną rękę. Chciał dosięgnąć klamry pasa, ale zasłaniały ją fałdy ciepłej kurtki.

- Gdzie jesteś? - zapytał przez zaciśnięte zęby.

Usłyszał jęk i coś drgnęło za jego głową. Miał wrażenie, że to stopa.

- Staraj się nie poruszać - powiedział, myśląc o swoim paraliżu. - Zaraz sprowadzą tu jakiegoś ratownika. - Ale jak długo to mogło potrwać? Byli na zupełnym pustkowiu, w śnieżycy.

- Mówiłem - wyrzęził Harley. - Mówiłem, że dzisiaj umrę.

Charlie musiał przyznać, że niewiele się pomylił. Ale Pan miał chyba wobec nich inne plany?

I nagle przez gwizd wiatru usłyszał tupot czyichś stóp. Po chwili przy przewróconym samochodzie kucnął jakiś facet w białym kombinezonie laboratoryjnym. Miał maseczkę z gazy i gumowe rękawiczki. Jak ratownicy mogli tu dotrzeć tak szybko?

Przyjrzał się Charliemu, szybko ocenił sytuację i zapytał:



- Możesz oddychać?

- Prawie nie - odrzekł Charlie. - Pas.

Ręce faceta w kombinezonie sięgnęły do klamry, żeby ją odpiąć. Kiedy puściła, Charlie poczuł, jak opada mu brzuch, a płuca wypełnia zimne powietrze. Po chwili ratownik rozpiął mu kurtkę i przez chwilę przyglądał się bez słowa. Wystawały z niego dwa pręty dźwigni niczym wygięte gałęzie drzewa.

- Zaczekaj tu - powiedział spokojnie. - Nic ci nie będzie.

Chryste, dokładnie to samo mówili mu, kiedy wpadł na skały, płynąc kanionem Heron River.

Facet zapiął mu z powrotem kurtkę i zniknął z pola widzenia, żeby zająć się Harleyem z tyłu.

- Możesz poruszać głową i szyją?

Harley znów jęknął i zaklął, ale ratownik powoli uwalniał go z wraku.

- Staraj się niczym nie poruszać - powiedział ratownik. - Ja to będę robił za ciebie.

Przez puste okienko, gdzie wcześniej była szyba, Charlie zobaczył, jak wyciąga z vana pokiereszowane ciało brata i kładzie je na asfalcie. Padał ciężki śnieg, łącząc się z coraz większą kałużą czegoś mokrego i lepkiego. Przez chwilę Charlie myślał, że to krew, zaraz jednak zdał sobie sprawę, że nie. To była benzyna.

Jęki Harleya przerodziły się we wrzask. Znów krzyczał coś o Eddiem.

- Niech cię szlag, Eddie, to nie była moja wina!

Zaczął się szarpać z ratownikiem. Chyba naprawdę myślał, że ten facet to Eddie.

- Spokojnie - wymamrotał Charlie do brata. Dziwne, z sekundy na sekundę w brzuchu robiło mu się coraz zimniej. - To nie Eddie.

- Odpierdol się! - wydarł się na ratownika Harley, wymachując ramionami pod kocem przesiąkniętym krwią. I nagle, w ułamku sekundy, uwolnił jedną rękę, w której błysnął ten przeklęty glock.

- Mówiłem ci, żebyś dał mi spokój! - wrzasnął Harley. - Mówiłem!

Ratownik rzucił się, żeby złapać go za nadgarstek, ale zanim zdążył, w ciemne niebo poleciał grad pocisków.

Facet skrzyknął mu przegub, uderzając nim o jezdnię i próbując wyrwać pistolet, lecz Harleyowi jeszcze raz udało się nacisnąć spust. Charlie zobaczył jasny łuk światła, piękną pomarańczową parabolę, która omal go nie oślepiła. Pociski przeszły blachy przewróconego samochodu i wybiły dziury w kanistrach. W tym momencie cały świat bezboleśnie i lekko uniósł się z wszechogarniającym hukiem, a Charlie został porwany w powietrze, jak gdyby na

spotkanie z Panem... opuszczając wrak, opuszczając własne okaleczone ciało i zmierzając w głąb ciemności - tak przepastnej, gęstej i kojącej, że mógł jej naprawdę dotknąć.

## Rozdział 57

Nika zamarła i mikrofon wypadł jej z dłoni. Zobaczyła, jak nagle rozbłysła kula ognia, a rozbity van strzelał wysoko w górę. Chwilę później fala uderzeniowa dotarła do ambulansu, wstrząsając popękana szybą i zasypując deskę rozdzielczą deszczem odłamków szkła.

Huk zabrzmiał jak odległy grzmot, który zakołysał zawieszeniem karetki.

- Co to było? - zatrzeszczał głos w radiu. - Jest pani tam?

Na asfalcie zaczęły lądować kawałki vana; inne, płonąc, spadały z mostu.

- Proszę odpowiedzieć - nalegał dyżurny. - Nic się pani nie stało?

Nika unosiła mikrofon do ust, gdy nagle coś trzasnęło w maskę ambulansu, odbiło się i wpadło przez otwór po szybie na fotel obok niej. Spojrzała - to była połowa nogi w dzinsowej nogawce przesiąkniętej krwią, z zachowaną stopą. W szoku wypadła z samochodu.

Biegła w stronę mostu, tuż obok uszkodzonego radiowozu i stojącego w pobliżu policjanta. Trzymał w ręku mikrofon, którego przewód był rozciągnięty na całą długość. Usłyszała, jak mówi:

- Wypadek! Szybko!

Powtarzała sobie, że Frank nie miał przecież na sobie dzinsów. Był ubrany w biały kombinezon. Na pewno nic mu się nie stało.

Gdy dotarła do wjazdu na most, zobaczyła płonące fragmenty wraku, wciąż spadające na dno kanionu. Wiatr niósł zapach benzyny i śmierci. Biegła dalej, w kierunku chmury czarnego dymu, ale w miarę, jak się zbliżała, musiała zwolnić i ostrożniej stawiać kroki wśród tłących się szczątków, mrużąc oczy w gryzących oparach.

- Frank! Słyszysz mnie? Frank!

Zawieja zbiła popiół i dym w złowrogą mroczną masę. Kiedy Nika zatrzymała się na chwilę, żeby otrzeć łzy z oczu, policjant minął ją biegiem, omiatając latarką cały most. Światło padało na kawałki metalu, drewna, tkanin... i osmalone fragmenty ludzkiego ciała.

Boże, pomyślała, Boże, pozwól mi go znaleźć.

- Frank! - zawołała znowu, czując, jak z każdym oddechem trujące powietrze parzy jej płuca. Przypomniała sobie o zawieszanej na szyi masce i szybko zasłoniła nią usta i nos. Nigdy tak się nie cieszyła, że ją ma.

Pośrodku drogi leżała wciąż połączona z kołami oś vana, która wyglądała jak porzucona sztanga.

Nika krawędzią stopy zahaczyła o jakiś przedmiot, który jak kula do kręgli potoczył się wzdłuż skrajnej linii jezdni. Dopiero po chwili zobaczyła, że to doskonale gładka, idealnie wypalona i zupełnie nierozpoznawalna ludzka głowa.

Stanęła jak wryta, bojąc się zrobić jeszcze jeden krok i zobaczyć jeszcze jakąś okropność. Wiatr porywał rzeczy, które spadły z powrotem na ziemię, toczył je i odwracał, jak gdyby chciał je poddać szczegółowym oględzinom, ale Nika nie mogła znieść tego widoku. Dysząc ciężko, spuściła wzrok i w blasku płonącego siedzenia samochodu ujrzała coś błyszczącego. To był krzyż, zrobiony ze srebra. Wysadzany szmaragdami, które mieniły się w świetle huczących wokoło płomieni. Skąd się u licha tutaj wziął?

- Tutaj! - zawołał policjant, odsuwając maskę od ust.

Kucał przy barierze mostu.

- Tutaj!

Nika przeskoczyła skrzyżowaną rurę wydechową i podeszła do barierki.

Zobaczyła leżące tam, owinięte podartym na strzępy kocem ciało, niemal rozerwane na pół. Widziała, że brakuje mu kończyn.

Serce w niej zamarło, ale policjant, wskazując latarką w dół, powiedział:

- Pod spodem! Popatrz!

Otarła popiół z oczu.

I zobaczyła, że pod zmasakrowanymi zwłokami leży ktoś jeszcze.

- Pomóż - poprosił policjant, nasuwając maskę z powrotem na twarz i zabierając się do rozplątywania ciała.

Zsunęli na bok to, co pozostało z ciała leżącego na wierzchu. Zachowało się z niego tyle, że Nika rozpoznała Harleya Vanea.

A pod nim leżał Frank w kombinezonie całym we krwi i popiele. Na jęgoramieniu spoczywała zawieszona na rzemyku sowa z kości słoniowej. Kiedy Nika zawołała go po imieniu, jego powieki lekko drgnęły. Nie miał maski, a jego twarz była poparzona i zakrwawiona. Widziała jednak, że porusza ustami.

- Leż spokojnie - powiedziała, delikatnie ścierając mu sadzę z policzka. - Nie próbuj nic mówić.

Ale próbował... i mogłaby przysiąc, że wymówił jej imię.

Odwracając się do policjanta, powiedziała:

- Proszę wezwać transport. Potrzebujemy helikoptera, jak najszybciej! Policjant pokręcił głową.

- Już wzywałem, ale wszystkie śmigłowce wysłano do akcji wprowadzania kwarantanny. Pomoc może się zjawić dopiero za kilka godzin.

Nika nie mogła sobie pozwolić na kilka godzin czekania.

- W takim razie będę potrzebowała pańskiego radiowozu.

- Widziała pani, co z niego zostało? Musiałaby pani jechać bez maski. Nika zastanawiała się gorączkowo. Jedynym wyjściem był ambulans bez przedniej szyby, z jednym reflektorem i odrobiną paliwa w baku.

- Może pan przelać benzynę ze swojego baku do karetki?

- Tyle mogę - odrzekł z wyraźną ulgą, że może w jakiś sposób pomóc i ruszył w drogę powrotną przez dymiące pole minowe.

Nika pochyliła się nad Frankiem, próbując obejrzyć obrażenia, ale był tak zakrwawiony, że nie potrafiła nic zobaczyć. Na twarzy miał mnóstwo zadrapań i otarć, a Nika ostrożnie przesunęła palcami między sztywnymi, zlepionymi włosami, szukając wyczuwalnych ran. Nic takiego nie znalazła i odetchnęła z ulgą. Rozluźniła kombinezon i próbowała zajrzeć do środka. Nie dostrzegła żadnych otwartych ran ani wystających kości, lecz nawet ona wiedziała, że obrażenia wewnętrzne, choć niewidoczne, mogą być znacznie groźniejsze.

Kiedy wrócił policjant z noszami na kółkach, położyli na nich Franka i zawieźli do ambulansu. Po drodze wzrok Niki znów przyciągnął srebrny krzyż, który błyszczał między kawałkami szkła i metalu. Wzięła go i wsunęła do kieszeni. Przypuszczała, że to jakaś rodzinna pamiątka, którą należy zwrócić żonie Vanea. To mógłby być gest pojednawczy po tym, co się stało w ich domu. O wiele za mały... ale zawsze.

Kiedy załadowali i zabezpieczyli nosze, policjant powiedział:

- Ciągle nie wiem, jak pani chce dojechać takim wozem w taką pogodę.

Ale Nika wyciągała już z karetki sprzęt ratowników. Nałożyła wielki czerwony skafander z białymi krzyżami na rękawach i narzuciła gruby, obszerny kaptur. Twarz, ledwie widoczną zza zabrudzonej maski, zupełnie zasłoniły gogle chroniące przed śniegiem. Na ręce w lateksowych rękawiczkach nałożyła rękawice z izolacją termiczną. Kiedy już się ubrała, policjant zapytał:

- Jest pani tam, pani doktor?

Po drodze, może ze względu na ambulans i biały kombinezon, doszedł do wniosku, że Nika jest lekarzem, a ona sprytnie postanowiła nie wyprowadzać go z błędu. W odpowiedzi na jego pytanie skinęła głową, ale nawet ten ruch mógł być niezauważalny w fałdach kaptura.

- Uprzedzę ich przez radio, że pani jedzie.

Odgarnęła potłuczone szkło z fotela kierowcy, zabrała urwaną nogę i położyła na jezdni, po czym wsiadła i zapięła pas. Policjant, machając latarką jak pracownik lotniska kierujący samolot na właściwy pas, pomógł jej przeprowadzić ambulans przez pobożowisko na moście, gdzie wciąż, jak ognie sygnalizacyjne, tliły się pojedyncze płomienie, a potem pomachał jej na pożegnanie. Uniosła dłoń, salutując, po czym w lusterku wstecznym zobaczyła, jak znika w białej zawierusze.

## Rozdział 58

Gdy samolot już zupełnie zniknął im z oczu i nawet odgłos silnika utonął w szumie hulającego po opuszczonym lądowisku wiatru, Anastazja powiedziała:

- Tam na klifach jest jakaś wioska. Widziałam ją przed lądowaniem. Ale Siergiej stał bez ruchu w wydętym od wiatru czarnym futrze z fok, ze wzrokiem utkwionym w błękitne, choć już puste niebo.

- Siergiej, on już odleciał. Nic nie poradzimy.

W bezsilnej złości parę razy rzucił w kierunku samolotu kamieniem; kolejny wciąż ścisnął w rękę, jakby nie mógł przestać.

Ana postanowiła dać mu trochę czasu, a sama poszła zajrzeć do szopy. Najwyraźniej był to skład dla samolotów: zobaczyła kanistry z benzyną, narzędzia i przeróżne części, ale nie zauważyła niczego, co mogłoby im się przydać.

- Przepraszam - usłyszała za plecami. - Byłem głupi.

- Oboje byliśmy - odrzekła, pamiętając, że sama go zachęcała, żeby dał Newskiemu drugi brylant. - Każdy, kto ufa innemu Rosjaninowi, jest głupcem - dodała z goryczą.

Wzięła go za rękę i oszczędzając chorą stopę, która podczas podróży pokryła się pęcherzami, poprowadziła go przez pole w stronę klifów, gdzie widziała ponure chatki. W połowie drogi zobaczyła kilka zmierzających w ich stronę postaci - trzech niskich i barczystych mężczyzn, opatulonych w futra ze zsuniętymi do tyłu kapturami. W ich twarzach było coś dziwnego. Dopiero gdy podeszli bliżej, zobaczyła, że mężczyźni mają zatknięte w dolnych wargach krążki z kości słoniowej wielkości monety. Wiedziała, że to pewnie

Eskimosi; ich szerokie, ogorzałe twarze, wysokie kości policzkowe i ciemne oczy przypominały jej mongolskich jeźdźców, którzy kiedyś wystąpili z pokazami dzygitówki w Carskim Siole z okazji rocznicy ślubu rodziców.

Ana i Siergiej zatrzymali się i pozwolili mężczyznom podejść bliżej. Dwaj młodszy zostali z tyłu, a trzeci, o krzaczastych siwych brwiach, wsparł się na kij, podniósł rękę i powiedział:

- Da? Tak.

Ana nie wiedziała, co odpowiedzieć. Mężczyzna rozglądał się, jakby był zdziwiony, że nie widzi samolotu, pilota ani jakiegokolwiek innego wyjaśnienia ich obecności.

- Da? - powtórzył, a ona nie była pewna, czy sam rozumie, co mówi.

- Mam na imię Ana, a to jest Siergiej - powiedziała.

Starzec skinął głową.

Co dalej? - zastanawiała się.

- Niestety, chyba będziemy potrzebować waszej pomocy. - Czy w ogóle rozumiał po rosyjsku coś więcej poza jednym słowem?

- Chcemy popłynąć na Wyspę Św. Piotra - odezwał się Siergiej, wskazując na wschód.

- Wyspa. Świętego. Piotra.

- Kanut - odrzekł mężczyzna, dotykając palcami futra.

Ana, uśmiechając się nerwowo, powtórzyła ich imiona, a starzec znów na znak zgody skinął głową.

- Mówi pan po rosyjsku? - zapytała.

- Da, - i po chwili dodał - parę słów.

Dzięki Bogu, pomyślała. Być może będą się mogli porozumieć. Zanim jednak zaczęła mówić, starzec odwrócił się i ruszył z powrotem w stronę klifów. Mogła się tylko domyślać, że mają pójść za nim, zwłaszcza że jego dwaj towarzysze czekali, żeby zamknąć pochód. Ana była zaskoczona, ale nie czuła strachu - bałaby się, gdyby prowadzili ich rodacy.

Wioska, jeśli można było ją tak nazwać, leżała niedaleko. Najpierw Anastazja usłyszała szczekanie psów husky i poczuła dym, a potem zobaczyła chatki. Było ich najwyżej kilkanaście i miały najbardziej prymitywną konstrukcję, jaką kiedykolwiek widziała - na kupkach kamieni rozciągnięto skóry pełniące funkcję dachu. Strome ścieżki prowadziły z klifu do skrawka kamienistej plaży, gdzie na stojakach zrobionych z kości wieloryba leżały odwrócone do góry dnem kajaki i kanadyjki. Na oddzielnych słupkach stała drewniana szalupa z widocznym jeszcze rosyjskim napisem „Karpatia” na burcie. Siergiej ścisnął jej

dłoń, a drugą ręką pokazał na Cieśninę Beringa. W oddali Ana dostrzegła małą wysepkę, wynurzającą się z morza jak czarna pięść i mimo słonecznej pogody otuloną pasem mgły.

Starzec pochylił się i unosząc zasłonę z foczego futra, dał nura do jednej z chat. Ana zdumiała się, zobaczywszy przestronne i ciepłe pomieszczenie. Ubita ziemia była pokryta kilkoma warstwami nałożonych na siebie skór i futer, a w rogu przy prymitywnym palenisku z blaszanym kominem stały dwie kobiety, tak samo niskie i przysadziste jak mężczyźni, i doglądały ognia. Ana usłyszała bulgotanie samowara i ze zdziwieniem poczuła aromat herbaty. Jedna z kobiet przyniosła im ją, ukazując w uśmiechu zepsute, pożółkłe zęby. Podawała herbatę w wyszczerbionych porcelanowych filiżankach, ozdobionych złotym paskiem i tym samym napisem „Karpatia”. Ana domyślała się, że wszystkie te rzeczy pochodzą z wraku statku o tej nazwie.

Rozumiała jednak, że Kanut stara się ugościć ich po królewsku. I chociaż nie podano ani cukru, ani cytryny, ani mleka, nie mówiąc już o pięknie udekorowanych i ułożonych ciasteczkach, do których kiedyś była tak przyzwyczajona, to jeszcze nigdy herbata nie była tak smaczna i nie sprawiła jej takiej przyjemności. Od pobytu w Jekaterynburgu jej serce stało się nieczułe, ale ten drobny gest ludzkiej życzliwości poruszył ją do głębi.

- Skąd pan zna rosyjski? - zapytała, starannie wymawiając każde słowo.

Starzec zdjął futro, pod którym ukazała się wyszywana kamizelka ze skóry jelenia, zapinana na guziki z kości wieloryba. Na szyi miał małą figurkę niedźwiedzia. Anastazja zastanawiała się, czy taki sam niedźwiedź zdobi również krządek w jego wardze.

- Handel - wyjaśnił. - Pracował na statkach. - Uniósł ramię i zacisnął dłoń, jak gdyby chciał rzucić harpunem. - Dziesięć lat.

Siedzący obok niej Siergiej okazywał zniecierpliwienie, więc uspokajającym gestem położyła mu dłoń na ramieniu.

- Napij się herbaty - powiedziała łagodnie. - To cię wzmocni. - Po czym podziękowała gospodarzowi. Mimo nieznanego otoczenia, poczuła się tak, jakby znów znalazła się w jednym z carskich pałaców, witając delegację z odległego zakątka imperium. Kiedyś jej rodzina rządziła jedną szóstą świata, a dziś zostały jej tylko ubrania, które miała na sobie, i klejnoty w gorsecie. Znów się ucieszyła, że była na tyle przezorna, by go założyć zamiast zapakować do tobołka, który im skradziono.

Przez kilka minut gospodarz łamanym rosyjskim opowiadał o swoich przygodach na morzu - podobno przemierzył większą część Arktyki, polując na bobry, morsy, foki i wieloryby - ale Ana patrzyła na Siergieja, u którego wyczuwała coraz większe napięcie. Co

chwilę zakładał nogę na nogę, odchrząkiwał, a nawet kaszłał. W końcu, nie mogąc dłużej wytrzymać, wtrącił:

- Czy możemy wynająć pana lub pana ludzi, żeby nas zabrali na wyspę? Chętnie zapłacimy, ile pan zechce.

Chociaż starzec uprzejmie się uśmiechnął, Ana widziała, że poczuł się urażony tak bezceremonialnym przerwaniem rozmowy. Pewnie rzadko spotykał nowego słuchacza. Przecząco pokręcił głową, ale chodziło o coś więcej niż rozdrażnienie nieuprzejmością Siergieja.

- Nie. Tam nie - odpowiedział.

- Dlaczego nie?

- Pech - wyjaśnił, bezwiednie muskając palcami niedźwiedzia, którego nosił na szyi.

Czyżby to był jego talizman? - zastanawiała się Ana. Taki jak jej szmaragdowy krzyż, ukryty pod bluzką?

- Dlatego, że tam są rosyjscy osadnicy? - naciskał Siergiej. - Mogę obiecać, że nie zrobiam wam nic złego. Są wyznawcami wielkiego człowieka, świętego człowieka, znanego jako ojciec Grigorij.

Ale starzec był niewzruszony jak głaz.

- Nazywał się Rasputin - powiedział Siergiej. - Na pewno słyszeliście takie nazwisko.

- Miejsce duchów - rzekł starzec, mówiąc o wyspie. - Mówię im, tam nie jechać. Miejsce umarłych. Nie jechać.

Ana odniosła wrażenie, że próbuje im wyjaśnić, że to jest święte miejsce Eskimosów, święta ziemia, którą koloniści sprofanowali swoją obecnością. Wystarczył rzut oka na wyspę, żeby potwierdzić jej podejrzenia. Była groźna i niedostępna.

Ale Siergieja nic nie mogło skłonić do zaniechania wyprawy na wyspę. Jej zresztą też. Nie mogli wrócić do Rosji i przebyli tę długą drogę, by znaleźć bezpieczną przystań, choćby na rok czy dwa, dopóki świat nie oprzytomnieje i nie pozbawi Czerwonych władzy z taką samą bezwzględnością, z jaką po nią sięgnęli. Nie, tak samo zdecydowanie jak Siergiej pragnęła dotrzeć do celu, zwłaszcza gdy znalazł się tak blisko.

- Skoro więc nie chce pan popłynąć - powiedział Siergiej - to może nam pan sprzeda jedną z tych łodzi na plaży? Tę z „Karpatii”? - Uniósł filiżankę, wskazując na wypisane na niej słowo.

Kanut zmarszczył czoło.

- Ile pan za nią chce? - kontynuował Siergiej, zerkając na Anastazję. Wyciągnęła z zanadru sakiewkę, w której mieli przygotowane klejnoty na łapówki. Siergiej otworzył ją,



poszperał w środku i wyciągnął błyszczący żółty brylant. Pokazał go starcowi. - Jest wart tysiąc rubli. A ile warta jest ta drewniana łódka?

Kiedy mężczyzna nie wykazał żadnego zainteresowania, Siergiej wyciągnął szafir, tak duży i niebieski, że wyglądał jak dorodna jagoda.

- Jeden i drugi, może pan wziąć jeden i drugi.

Ale Kanut nawet nie drgnął. Ana nie wiedziała, czy w ten sposób się targował, czy rzeczywiście nie był zainteresowany.

Siergiej był coraz bardziej zniecierpliwiony, ale chyba wpadł na pomysł. Sięgnął głębiej do sakiewki i wydobył z niej trzy złote pierścionki, które kiedyś należały do jej sióstr. Na ich widok Ana poczuła bolesne ukłucie w sercu. Ale Siergiej miał rację - złoto od razu przykuło uwagę Kanuta. Nie zależało mu na kamieniach, ale złoto było uznaną walutą na całym świecie, zwłaszcza w regionie, gdzie tyle go odkryto.

- Pierścionki, czyste złoto, może pan wziąć wszystkie trzy.

Kanut wyciągnął rękę, a gdy Siergiej położył na niej pierścionki, nadal ją trzymał... czekając na brylant i szafir. A więc jednak nie jest tak nieczuły na ich piękno i wartość, pomyślała Ana. Siergiej niechętnie dał mu kamienie. Właśnie kupili łódkę za cenę carskiego jachtu „Standard”.

Starzec wsunął zdobycz za kamizelkę i być może obawiając się, że tych dwoje głupców za chwilę pożałuje transakcji, wstał i powiedział:

- Musicie ruszyć niedługo. Przyptyw.

Krzyknął coś do kobiet, z których jedna zamierzała im właśnie podać kawałki solonego wielorybiego tłuszczu, i dał Anie i Siergiejowi znak, żeby poszli za nim.

Przed chatką dwaj mężczyźni, którzy towarzyszyli Kanutowi, kucali na ziemi, rzucając rybie ogony psom, które szarpały się na łańcuchach. Kiedy starzec wydał im jakieś polecenie w ich języku, wyraźnie się zdziwili. Dodał coś jeszcze, a Ana zobaczyła, jak jeden z mężczyzn, ze złotym zębem na przedzie, spojrzał na nią i zaśmiał się. Nie potrzebowała tłumacza, żeby zrozumieć, o czym mówili.

Droga na plażę była stroma i przez chorą stopę trudno jej było utrzymać równowagę. Siergiej objął ją w pasie i niemal niósł przez prawie całą drogę. Na dole brakło mu tchu i zgięty w pół, zaczął kaszleć.

Pod bacznym okiem Kanuta mężczyźni odwiązali łódź od palików z wielorybiej kości, odwrócili ją i zepchnęli dziobem na zimną, pokrytą topniejącym śniegiem wodę. Jeden z nich stanął między ławkami i pociągając za zwiniętą linę, postawił płócienny żagiel. Drugi wydobył manierkę i potrząsnął nią, żeby usłyszeli, że jest pełna, a następnie wziął garść

pasków suszonego mięsa i parę kawałków solonego wielorybiego tłuszczu, po czym wrzucił wszystko na rufę łodzi. Ana przypuszczała, że z taką ilością prowiantu albo dopłyną na sąsiednią wyspę... albo zginą na morzu.

Sergiej, niepokojąco zdyszany i blady, podał Anastazji rękę i pomógł jej wsiąść do łodzi, a kiedy usiadła, zajął miejsce na rufie i jedną ręką chwycił rumpel, a drugą szot. Skinąwszy głową Eskimosom jak myśliwy dający znak naganiaczom, żeby spuścili psy, owinął linę wokół nadgarstka, a tubylcy wsparli się ramionami o łódź i odepchnęli ją od brzegu. Najpierw zakołysała się w miejscu, lecz Siergiej podciągnął wyżej żagiel, który nagle wypełnił wiatrem. Łódź oddaliła się od skalistej plaży, a zimne fale łapczywie liznęły jej burty. Ana trzymała się dulki. Nunarbuk szybko został w tyle, a niskie kamienne chatki zniknęły za szarym klifem. Wyspa Św. Piotra wciąż pozostawała tylko czarnym wzniesieniem pośród wzburzonego morza. Wokół wątlęgo masztu krążyło stado ciemno upierzonych ptaków, które przeraźliwie krzyczały, jak gdyby chciały im przekazać swoje ostrzeżenie.

Ale Anastazja zmówiła tylko szeptem modlitwę, dotykając miejsca, gdzie spoczywał szmaragdowy krzyż. W cóż innego mogła wierzyć?

## Rozdział 59

Nika jechała sama pustą drogą do Nome, wioząc ambulansem przypiętego do noszy Franka, a przez wybitą szybę do samochodu wlatywał śnieg. Czasami padał tak gęsto i szybko, że nie było widać jezdni i Nika musiała się zatrzymywać, żeby nawałnica trochę się uspokoiła i pozwoliła jej zobaczyć drogę. Jediną wskazówką były czerwone światelka odbłaskowe na słupkach, kiedy oświetliła je jedynym reflektorem ambulansu.

Wiedziała, że ta okolica jest prawie niezamieszкана, ale i tak nic nie można było zobaczyć za zasłoną wirującego śniegu. Zakaszła pod maską - dzięki niej przynajmniej śnieg nie dostawał się do ust - obawiała się jednak, że zaczyna mieć zawroty głowy. Baton, którego wcześniej zjadła, nie mógł dodać jej zbyt wiele sił, chociaż na samą myśl o jedzeniu odczuwała mdłości, nie głód. Przez najbliższe kilka godzin musiała po prostu panować nad nerwami i koncentrować się. Od tego zależało życie Franka.

Oglądając się do tyłu, zobaczyła, że Frank leży bez ruchu pod kilkoma kocami i okryciem termicznym, w wełnianej czapce naciągniętej głęboko na czoło i cały czas na przemian to traci, to odzyskuje przytomność. Martwiła się, że może mieć wstrząs mózgu albo

coś gorszego, ale co właściwie mogła o tym wiedzieć? Mimo przypuszczeń policjanta, nie była lekarzem.

Gdyby Frank był w pełni przytomny, mógłby sam ocenić swój stan.

Włączyła ogrzewanie na cały regulator, lecz prawie całe gorące powietrze natychmiast ulatywało przez otwór po przedniej szybie; to, co zostało, po prostu topiło śnieg zbierający się z przodu ambulansu, aż zmieniał się w lodowatą wodę, która chlupotała na podłodze między pedałami. Mimo to Nika czuła, że bez ogrzewania, mimo ciepłych rękawic, mogłyby jej zamarznąć ręce.

Gdy droga skręciła w głąb łądu, po obu stronach pojawiły się gęściej rosnące drzewa, dające odrobinę osłony przed wiatrem. Pomagały jej też zobaczyć, dokąd prowadzi droga, dzięki czemu mogła przyspieszyć. Od czasu do czasu zauważała nawet jakiś znak drogowy - zwykle ostrzegający przed niebezpiecznym odcinkiem drogi - ale czasami pojawiały się informacje o odległości do Nome. Wiedziała, że benzyny na pewno nie zabraknie, ale poślizg zakończony w zaspie albo kolizja z jakimś nocnym zwierzęciem, które wyruszyło na żer, mogłyby się okazać śmiertelne. Sama słyszała o trzech osobach z Port Orlov, które umarły z zimna; był wśród nich Innuita - stryjeczny dziadek Geordiego - który mieszkał tu przez całe życie. Cztery dni później jego głodny malamut przybłąkał się sam do baru „Yardarm”.

Kuląc się nad kierownicą i brnąć do Nome w swojej własnej desperackiej misji, przypominała sobie o innym malamucie, słynnym Balto, który przed prawie stu laty przywiózł ratującą życie surowicę. Myślała o wielkich trudach, jakie musieli pokonać psy i maszerzy, i choć męczył ją atak kaszlu, starała się podtrzymywać na duchu ich odwagą i poświęceniem. Jeżeli oni potrafili przejechać taką drogę otwartymi saniami przez niemożliwy do pokonania teren, to czemu miałyby wątpić w swoje szanse? Miała samochód, chociaż marny. Miała ogrzewanie, mimo że zmieniało wszystko w lepką paćkę, miała też lekarza, chociaż był ranny i prawie cały czas nieprzytomny. Powinno jej się udać.

Doping nie pomógł jej jednak tak, jak na to liczyła.

Włączyła radio i odezwała się stacja nadająca country, na przekór burzy. Nika nie interesowała się tym rodzajem muzyki, nie znała więc piosenkarza nucącego o dziewczynie, która go opuściła. To nie miało jednak znaczenia. Chodziło o łączność z cywilizacją, o jakiś głos w pustce, o towarzystwo w podróży przez ciemność i przenikający do szpiku kości ziąb. To była psychiczna lina sztormowa na pokładzie, której mogła się uczepić... bo czuła, że opuszcza ją energia.

Nie wiedziała, ile czasu minęło w ten sposób. Tak bardzo koncentrowała się na tym, by nie zgubić drogi i śledzić czerwone światełka po obu stronach, że zaczynała mieć objawy

śniegowej ślepoty. Chyba parę razy bezwiednie na kilka sekund zamknęła oczy, bo gdy znów unosiła wzrok, w polu widzenia coś się zmieniało - mijała już znak, który widziała przed chwilą w oddali albo droga skręcała nagle między drzewa. Pospiesznie ścierała śnieg z gogli, uderzała się rękami po bokach, żeby pobudzić krew i głośno mówiła do siebie:

- Obudź się, Nika, obudź się!

Ambulans był tak stary, że nie miał GPSu, nawet licznik był zepsuty, trudno więc było powiedzieć, ile kilometrów miała jeszcze do pokonania. Musiała polegać na pojawiających się z rzadka tablicach. Ale nie było sensu się tym przejmować, myślała, a jeszcze bardziej bez sensu było zawracać. „Jak zajedziesz, to będziesz” - mawiała jej babcia. Wtedy uważała, że to bez sensu. Teraz brzmiało to jak życiowa mądrość.

W radiu odezwała się Taylor Swift - nareszcie ktoś, kogo poznała - śpiewająca swoją starą piosenkę o chłopaku, który źle ją potraktował (Nika próbowała sobie przypomnieć, kto to był, bo według tabloidów było ich wielu), gdy nagle zaskoczył ją głos dobiegający z tyłu, który mówił:

- Dość... dość...

Szybko odwróciła głowę i zobaczyła, że Frank porusza się na noszach. Wciąż był otulony kocami, czapkę przyprószył śnieg.

- Dość... tego country.

Jego głos przypominał skrzek żaby, ale w jej uszach zabrzmiał jak najpiękniejsza muzyka. Przechyliła głowę, żeby spojrzeć mu w oczy - pojawiły się już wokół nich głębokie sińce, jakby solidnie dostał pięścią. Po omacku wyłączyła radio.

- Dobrze się czujesz? - zapytała, obracając co chwila głowę, żeby patrzeć i na drogę, i na niego.

- Gdzie jesteśmy?

- W drodze do szpitala w Nome.

Zamknął oczy, jak gdyby chciał to przemyśleć.

- Mam się zatrzymać? Potrzebujesz pomocy?

Otwierając oczy, spytał:

- Co się stało na moście?

Nie wiedząc, od czego zacząć, opowiedziała o radiowozie blokującym wjazd, ale lekko pokręcił głową.

- Tyle pamiętam. Pytam o Vane'ów.

Przełknęła ślinę i odrzekła:

- Samochód wybuchł. Musieli wieźć duży zapas benzyny. Ciebie odrzuciło na bok.

Powiódł wzrokiem po wnętrzu ambulansu, do którego wpadał śnieg i wirował jak w szklanej kuli. Najwyraźniej zauważył, że jest jedynym pasażerem i Nika uznała, że nie musi mówić już nic więcej. Z powrotem położył głowę i wbił wzrok w sufit, a ona znów spojrzała na drogę. Nawierzchnia była tu gładsza i niedawno musiał przejechać tędy pług, co oznaczało, że zbliżali się do miasta.

Mimo działającego pełną parą ogrzewania dygotała w swoim grubym skafandrze. Zgięła się nad kierownicą w następnym ataku kaszlu.

- Od dawna to trwa? - zapytał Slater, jakby znów zbudziła się w nim czujność.

Nika lekceważąco machnęła ręką, poluzowując maskę, by odetchnąć świeżym powietrzem; na lęk reagowała hiperwentylacją. Przez wirujący śnieg i lód dojrzała przed sobą światła. Niewiele, ale wystarczająco dużo. Mocno chwyciła kierownicę obiema rękami, jak kapitan gotów pójść na dno ze swoim statkiem, i wzięła kurs na światła.

Minęła ledwie widoczny zajazd po lewej i tablicę nad granitową opaską brzegową przy Gold Beach. Jechała wzdłuż Zatoki Nortona, a wiatr niemiłosiernie tłukł w bok ambulansu. Stąd było już niedaleko do nowego szpitala. W pogodną noc mogłaby go już nawet zobaczyć; choć miał tylko cztery piętra, był najwyższą budowlą w mieście. Żeglarze, którzy kiedyś orientowali się według wież kościoła, dzisiaj szukali podświetlanej anteny na szczycie szpitala.

Gdy w końcu wjechała w gęstą sieć ulic tworzącą centrum Nome, czuła się jak biegnący na drżących nogach w kierunku mety maratończyk. Jak gdyby na potwierdzenie swojego wrażenia, po lewej zobaczyła drewniany łuk wyznaczający koniec wyścigu Iditarod... a potem słup z drogowskazami, pokazujący odległość do takich miast jak Miami i Rio de Janeiro. Latarnie kołysały się, rzucając upiornie żółte światło na salony bingo i bary, ale na zasypanych śniegiem ulicach nie było żywej duszy.

Na rogu West Fifth Avenue Nika za ostro skręciła i ambulans o mały włos nie zderzył się z hydrantem.

Spokojnie, powiedziała sobie. Jesteś już prawie na miejscu.

Na wprost przed sobą zobaczyła podświetlaną tablicę z napisem „REGIONALNE CENTRUM MEDYCZNE NORTON SOUND: WJAZD DLA KARETEK”. Z wciśniętym klaksonem zjechała samochodem po pochylni pod zadaszonym portykiem, prosto do ogrzewanego garażu.

Przez rozsuwane szklane drzwi wybiegło kilka osób ze szpitalnego personelu - wszyscy zostali uprzedzeni i mieli na sobie kombinezony ochronne. Dwaj sanitariusze podbiegli do tylnych drzwi starego ambulansu, wyciągnęli Franka i zawieźli go na noszach do

izby przyjęć, a trzeci otworzył drzwi od strony kierowcy. Na podłogę chlusnął roztopiony śnieg, a Nika czuła się, jakby też za chwilę miała runąć na ziemię. Krzepki sanitariusz złapał ją mocno w pasie i zaprowadził do środka.

- Kwarantanna - powiedziała przez maskę. - Trzeba go poddać kwarantannie.

- Już wiedzą - odrzekł sanitariusz przez swoją plastikową maseczkę. - Dzwonił do nas patrol z policji stanowej.

Zaprowadził ją do najbliższego krzesła, ale gdy spojrzała na swoją maskę, zauważyła różową plamkę.

- Mnie też - dodała stłumionym głosem.

Była jednak pewna, że jej nie słyszał.

Kiedy zdjęto jej rękawiczki, żeby sprawdzić, czy nie ma odmrożeń, na środku dłoni w miejscu, gdzie na Wyspie Św. Piotra ukłuła ją igła, zobaczyła skupisko cienkich czerwonych żyłek rozchodzących się gwiazdźście jak promienie słońca na dziecięcym rysunku.

- Mnie też - powtórzyła, odsuwając się od sanitariusza i zginając wół w ataku gwałtownego kaszlu. - Do kwarantanny.

Sanitariusz instynktownie odskoczył, a gdy Nika w końcu odzyskała oddech, wykrztusiła tylko:

- Nie zbliżaj się - po czym bezwładnie jak szmaciana lalka osunęła się na krzesło i na lśniącej linoleum.

## Rozdział 60

- Pozwól mi chociaż trzymać rumpel! - Anastazja błagała Siergieja. Powtarzała to, ale za każdym razem odmawiał. Z determinacją zaciskał zęby, utkwivszy oczy w odległej Wyspie Św. Piotra, ale ona bała się o jego życie. Strzegł jej, opiekował się nią, kochał ją przez tysiące mil, a teraz, kiedy widzieli już cel swojej długiej podróży, jego skóra zaczęła przybierać niebieskawy odcień i cały czas zanosił się ostrym, niepokojącym kaszlem.

Brzmiał znajomo.

Zimą zeszłego roku Anastazja i jej siostra Tatiana zachorowały na grypę, ale choć choroba była ciężka, szczęśliwie ją przetrwały. Wiedziała, że tysiącom innych się to nie udało. W wojskowych szpitalach, gdzie carskie córki pomagały opiekować się żołnierzami rannymi w walce z Niemcami, Ana często mijała sale dla chorych na grypę, skąd dobiegał suchy kaszel, bulgoczące rżenie, rozdzierające krzyki i bezradne charczenie jej ofiar,

tonących we własnej krwi i służbie. Po śmierci ich ciała pospiesznie zawijano w prześcieradła, na których leżeli, i zamiast wynosić je korytarzami szpitala, ryzykując zarażenie innych, zsuwano je przez okna po drewnianej rynnie, zarekwirowanej w spichlerzu, prosto na czekający na dole wóz. Na obrzeżach Petersburga wykopano wielkie doły wypełnione wapnem i tam składano zmarłych, bez żadnych obrzędów i ceremonii. Kto chciałby pozostawać dłużej w takim miejscu?

Powinna się domyślić, kiedy jeszcze w gospodzie usłyszała kaszel pilota Newskiego. W drodze przez cały kontynent udało im się uniknąć wszystkich niebezpieczeństw, od drobnych złodziei po bolszewickich żołnierzy, od skorumpowanych urzędników po bandy Kozaków, ale choroba była jedynym zagrożeniem, którego się nie spodziewali. A gdyby nawet się spodziewali, to co mogliby poradzić? Nie było innego sposobu, aby dotrzeć tak daleko, jak tylko przekupić pilota. Życzyła Newskiemu jak najgorszego losu.

- Siergiej - ostrzegła go tonem wielkiej księżnej, która nie znosi sprzeciwu - nie mogę sama płynąć tą łodzią. Musisz odpocząć ze względu na mnie, jeżeli nie na siebie.

Ale zachowywał się tak, jak gdyby w ogóle jej nie słyszał; możliwe, że naprawdę nie słyszał. Dzwoniąc zębami, upadł w następnym paroksyzmie kaszlu. Wszystko potoczyło się tak szybko, że nie mogła wprost uwierzyć... choć już wcześniej widziała takie zjawisko. W wojskowym szpitalu choroba często rozwijała się najszybciej u najbardziej wytrzymałych i dziarskich młodych ludzi. Była to jedna z jej największych zagadek. Doktor Botkin, który zajmował się Aną i jej siostrą, sugerował, że to sam organizm przyczynia się do śmierci ofiary.

- Do zguby prowadzi ich własna siła - mówił, kręcąc głową, odczytując temperaturę i ordynując następne zimne okłady na obniżenie gorączki. - Powinniście się cieszyć, że jesteście wątłymi i rozpieszczonymi księżniczkami - dodał, a Tatiana rzuciła w niego poduszką.

Czy rzeczywiście to je ocaliło? A może, jak złowieszco przepowiedział Rasputin, w jej żyłach kryła się broń przeciwko zarazie i śmiertelnie niebezpieczna choroba krwi, odziedziczona po matce, na którą zapadało męskie potomstwo, jej dawała odporność na spustoszenia, jakie wyrządzała hiszpanka? Jakie to dziwne, że niedomaganie cielesne mogło się stać jej najlepszym obrońcą.

Czyli mogła być posłańcem zagłady, ale nie jej ofiarą.

O łódź uderzył kawał lodu, a lodowata fala uniosła się nad sterburtą i chlusnęła na dno, zalewając jej buty. Anastazja próbowała unieść stopy nad wodę, ale nie potrafiła zbyt długo utrzymać równowagi na wąskiej ławce. Obie nogi miała zupełnie przemarznięte, ale

doskwierała jej zwłaszcza lewa, na której nosiła specjalny but, dostosowany do zniekształconej stopy. Zupełnie straciła w niej czucie. Marzyła o tym, żeby zdjąć but i masażem pobudzić ją trochę do życia, najlepiej przed trzaskającym ogniem... ale Wyspa Św. Piotra wciąż była daleko.

I w miarę jak się do niej zbliżali, wyglądała coraz mniej przyjaźnie.

Nieforemna czarna skała, otulona mgłą i otoczona ostrymi głazami wystającymi z wody niczym kolce, zupełnie nie przypominała miejsca, które zasłużyłoby sobie na miano azylu. Wiedziała jednak, że właśnie dlatego je wybrano. Wyznawcy ojca Grigorija, którzy tak jak ona wierzyli, że był prorokiem, przebyli długą drogę z Pokrowskoje, aby tu się schronić, zbudować cerkiew i czekać na przybycie świętego starca. Ana uważała, że jego cielesny powrót jest mało prawdopodobny - za dobrze wiedziała, jak go okaleczono przed utopieniem w Newie - nie wątpiła jednak w moc jego ducha. Ufała, że jego sylwetka, która wyłoniła się z dymu po strzałach w piwnicy w Jekaterynburgu, była równie rzeczywista jak spoczywający pod jej płaszczem i gorsetem szmaragdowy krzyż, w którym była zamknięta jego moc.

Siergiej oderwał rękę od rumpla i drżącym palcem wskazał wyspę. Gdy wyciągnęła dłoń i pogładziła go po twarzy, cofnął się w przerażeniu, bojąc się ją zarazić. Powtarzał jej, żeby szukała ognisk.

- Na pewno rozpalili ogniska.

A potem, wstrząsany kaszlem, od którego cała dłoń pokryła się kropelkami jego krwi, wypuścił żagiel i wypuścił z rąk własne życie. Pobłogosławił ją, przechylił się przez burtę i runął we wzburzoną toń cieśniny.

Gdy rzuciła się w stronę rufy, jego ciało pochłonęły już fale; ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła, był zwiędły, zamarznięty bławatek unoszący się między kawałkami lodu. Na pewno ten sam, który dała mu wtedy na Syberii przy torach.

Oddałyby wszystkie zaszyte w gorsecie kamienie, żeby go odzyskać.

A potem zaczęła sterować łodzią przez oślepiającą mgłę i rozkołysane morze, wytrwale szukając ognisk. Siergiej mówił, że rozpalają je na klifach co dzień o zmierzchu.

- To mają być znaki, które zaprowadzą do ich nowego domu proroka błakającego się w ciemności - mówił.

I kiedy je zobaczyła, jak maleńkie świeczki na końcu długiego i mrocznego korytarza, w jej serce wstąpiła otucha. Łódź, jak gdyby prowadzona w cudowny sposób, ominęła skały i rafy, by zatrzymać się na wąskim pasie piasku i kamieni. Ana wyszła na plażę, przemoczona i bez tchu, osunęła się na kolana i podziękowała Bogu za ocalenie. Wydawało jej się, że przez huk fal słyszy bicie cerkiewnego dzwonu.



W resztkach światła dnia - a w tej północnej części świata dzień był krótszy niż gdziekolwiek indziej - ujrzała na plaży sylwetki biegnące jej na ratunek. Ale słowa dziękczynnej modlitwy zamarły jej na ustach, kiedy się do niej zbliżyły.

Nikt nie biegł jej na ratunek. To było stado czarnych wilków o lśniących pomarańczowo oczach i białych obnażonych kłach. Fale zniosły łódź na morze i nawet gdyby chciała uciec, nie miała dokąd. Wyciągnęła spod ubrania krzyż, zacisnęła go mocno w dłoni, pochyliła głowę w modlitwie i przygotowała się na spotkanie z wymordowaną rodziną w niebie. Wilki były coraz bliżej i lada chwila spodziewała się usłyszeć ich krwiożercze dyszenie i poczuć na szyi ostre zęby. Ale gdy przygotowała się na atak, usłyszała z klifów ostry, przeszywający gwizd, a gdy uniosła wzrok, przez zasłonę pokrytych lodem włosów zobaczyła, jak wilki zatrzymują się przed nią, nerwowo grzebią łapami w piasku i zaczynają biegać wokół niej, skomląc i szczekając jak psy pod kuchennymi drzwiami.

Co się stało?

Przewodnik stada z białą plamką na pysku podszedł bliżej - poczuła jego cuchnący oddech - i z niemal ludzkim zaciekawieniem spojrział na jej ręce ściskające szmaragdowy krzyż.

Znów rozległ się gwizd i wilki obróciły łby w kierunku klifu, z którego po niewidocznych z plaży stopniach schodził mężczyzna w długiej czarnej sutannie. Przez chwilę Anastazja pomyślała: Mój Boże, to Rasputin! Ale gdy kroczył przez zamrażającą plażę, zobaczyła, że to ktoś inny. Był wysoki i barczysty jak Rasputin, ale rysy miał łagodniejsze, mniej światowe i pozbawione zasłony czarnej splątanej brody. Ojciec Grigorij miał w oczach dzikość, której śladów próżno było szukać w twarzy tego księdza. Kiedy machnął ręką, wilki, z wyjątkiem przywódcy stada, rozpiechły się jak kurz przed miotłą.

- Anastazjo - powiedział, klękając obok niej. - Jestem diakon Szczepan.

To był człowiek, o którym mówił Siergiej, człowiek, który wyprowadził pielgrzymów z wioski.

Biorąc ją w objęcia, rzekł:

- Czekaliśmy na ciebie bardzo długo.

Nagle z jej oczu trysnęły gorące łzy, ogrzewając jej twarz, a kiedy wilk z białą łatką na nosie podszedł bliżej, aby je zlizać, diakon mu nie przeszkadzał.

Częśćczwarta

## Rozdział 61

Sytuacja była dziwna. Doktor Frank Slater pierwszy musiałby się z tym zgodzić.

Z jednej strony był pacjentem Regionalnego Centrum Medycznego w Nome i większość czasu spędzał w lekko uniesionym łóżku szpitalnym pod stałą obserwacją, prowadzoną za pośrednictwem kamery oraz zza oszklonych drzwi OIOMu, a z drugiej tym oddziałem kierował.

W wyniku wybuchu na moście doznał wstrząśnienia mózgu i złamania dwóch żeber, przez co krzywił się przy każdym głębszym oddechu, a na skórze miał tyle sińców i skaleczeń, że nie potrafił ich zliczyć. Jego lekarstwa na malarię trzeba było dostarczyć samolotem - na Alasce zwykle nie było na nie dużego zapotrzebowania - ale to właśnie chroniczna choroba pomogła mu ocalić życie. Ze względu na zaburzoną reakcję immunologiczną i przyjmowanie leków antyretrowirusowych, skutki zarażenia grypą były znacznie łagodniejsze. Jego układ odpornościowy był za bardzo osłabiony, żeby stawiać zacięty opór prowadzący do burzy cytokin, która zabiła tyle milionów ludzi.

Pierwszy raz się cieszył, że ugryzł go ten przeklęty komar.

Ale mimo że opiekowano się nim i dbano o jego powrót do zdrowia, wiedział, że jest odpowiedzialny za działanie oddziału kwarantanny. Sam go zorganizował - najpierw zajmując OIOM, a potem przeprowadzając intensywne praktyczne szkolenie dla personelu. Lekarze byli przyzwyczajeni do rutynowych przypadków, takich jak zawały albo postrzały na polowaniach, lecz już gdy wieźli go korytarzem, zaczął udzielać pierwszych instrukcji, jak należy postępować z potencjalnie śmiertelnie wirusem, takim jak ten. Całkowicie odgrodził tę część najwyższego piętra od reszty szpitala, komunikowano się prawie wyłącznie za pośrednictwem interkomów, a wstęp miała tu tylko ograniczona liczba pracowników, zawsze w pełnym rynsztunku ochronnym. W tym momencie poza nim oddział miał tylko jedną pacjentkę - Nikaluk Tincook.

Nie radziła sobie z chorobą tak dobrze jak on. Podobnie jak doktor Lantos, przyjęto ją z objawami nie tylko grypy, ale także posocznicy - zalewu bakterii zapychających krwiobieg. Kiedy tylko Slater dowiedział się o czerwonych żyłkach na jej dłoni, osobiście zajął się drenowaniem i sterylizowaniem rany, ale było za późno. Grypa i sepsa były jak dobre przyjaciółki, które się spotkały, by razem odegrać śmiertelny koncert i wiedział, że jeśli nie opracuje doskonałego planu akcji odwetowej, to albo jedna, albo druga może zwyciężyć. Strach kąsał go jak szczur.

Doktor Jonah Knudsen, stetryczały bęcwał, który kierował szpitalem, radził mu, żeby odesłać Nikę do supernowoczesnej placówki w Juneau, gdzie leczono doktor Lantos. Stojąc

przed drzwiami oddziału i rozmawiając ze Slaterem przez interkom, poinformował go, że trafiły tam także Rebekah Vane i jej siostra Bathsheba.

- Miały objawy grypy?

- Rebekah tak - odparł Knudsen. - Widocznie miała większy kontakt fizyczny z Harleyem Vanem i jego pływami ustrojowymi.

- Z pływami ustrojowymi?

- Podała mu herbatę i grzanki, a potem posprzątała po nim, kiedy zwymiotował.

Teraz to brzmiało logicznie.

- Chociaż jej stan jest stabilny, to doznała złamania szczęki i kilku drobniejszych obrażeń. Powinien pan też wiedzieć, że zapowiedziała pozew przeciwko panu i rządowi federalnemu o liczne szkody. Przede wszystkim oczywiście o stratę męża.

Oczywiście, pomyślał Slater. Chociaż walczyli o jej życie po incydencie, do którego w ogóle by nie doszło, gdyby jej rodzina nie postanowiła wybrać się na nielegalne poszukiwanie skarbów, to nawet leżąc w szpitalu, obmyślała już pozwy do sądu. Była to nowa amerykańska rozrywka, przez którą bardziej niż kiedykolwiek miał ochotę uciec od wszystkich jej przejawów i następstw. Chciał znów po prostu praktykować medycynę gdzieś, gdzie jego umiejętności i praca zostaną docenione, a biurokracja będzie się ograniczała do zwykłych formularzy ubezpieczeniowych. Być może kariera epidemiologa globtrotera już się zakończyła - doktor Levinson niedwuznacznie dała mu to do zrozumienia - ale jego wysiłki, aby uratować Lantos, a teraz Nikę, przypomniały mu, ile satysfakcji daje wyleczenie jednej osoby. Jak brzmiało to hebrajskie przysłowie, które usłyszał od samej doktor Levinson? „Kiedy ratujesz jedno życie, ratujesz cały świat”.

Teraz jedynym życiem, na którym zależało mu bardziej niż na własnym, było życie Niki.

Przez cały dzień jej niewysokim, mocno zbudowanym ciałem wstrząsały spazmy i ataki kaszlu, co chwila wymieniano jedną przeponą szpitalną koszulę na następną. Jej długie czarne włosy, zaplecione w warkocz, tłukły w poduszki jak bicz. Poziom płytek krwi gwałtownie się obniżył, badanie gazometryczne wykazało początki kwasicy metabolicznej, oddech stał się tak słaby, że trzeba było podłączyć respirator; najważniejsze narządy zaczęły się po kolei wyłączać jak kostki domina. Płuca, wątroba, ośrodkowy układ nerwowy; kiedy odmówiły posłuszeństwa nerki, Slater zarządził natychmiastową dializę.

Była młoda, zdrowa i wysportowana, a teraz największe zagrożenie stanowiła dla niej siła jej własnego układu odpornościowego. Zaczynał pracować na najwyższych obrotach... prowadząc do wstrząsu. Slater wiedział, że wielu pacjentów już z niego nie wychodziło.

Kiedy personel szpitala w panice zwrócił się do niego o pomoc, zarządził bombardowanie nowym zestawem antybiotyków w kroplówce - tym razem klindamycyną i flucytozyną - kazał też podać wazopresory, aby doprowadzić do obkurczenia się naczyń krwionośnych i zapobiec hipotensji, insulinę, aby ustabilizować poziom cukru we krwi, kortykosteroidy, aby zwalczyć stan zapalny. Choroba szalała w niej jak pożar w lesie, trawiąc ją jak kiedyś jej innuickich przodków, a Slater musiał znaleźć sposób, żeby utrzymać ją przy życiu, dopóki zaraza się nie wypali.

- Doktorze Slater - powiedziała jedna z pielęgniarek, gdy czuwał przy niej przez długie godziny - może wróci pan na swoją salę i odpocznie? Zawiadomimy pana, jeżeli coś się zmieni.

- Zostanę - odrzekł. Miał na sobie czysty seledynowy kombinezon ochronny i siedział na plastikowym krzeselku w rogu sali. Co kilka godzin jego krzesło, jak i wszystkie pozostałe sprzęty w tej części dawnego OIOMu, spryskiwano od góry do dołu silnym środkiem dezynfekującym.

Nika była ledwie widoczna zza monitorów, przewodów, rurek i stojaków na kroplówki. Ale każda najdrobniejsza zmiana w pracy jej serca, oddechu czy funkcjonowaniu mózgu była natychmiast identyfikowana i odnotowywana przez te wszystkie instrumenty, które wstawiono do sali. Wyczerpany Slater odchylił się na krzeselku i poczuł na wilgotnej skórze dotyk bilikina z kości słoniowej, małej sowy ze złożonymi skrzydłami.

Na wyspie profesor Kozak pytał o nią, a Nika wyjaśniła, że została rzekomo wykonana z kości mamuta włochatego.

Slater przyjrzał się wtedy figurce uważniej.

- To by oznaczało, że pochodzi sprzed mniej więcej jedenastu tysięcy lat - poinformował go później Kozak.

Slater zastanawiał się, czy przez te wszystkie wieki nabrała jakiejś dodatkowej, nadprzyrodzonej mocy. Choć nie wierzył w takie rzeczy - jak mógłby wierzyć? - to w tej chwili gotów był przyjąć każdą pomoc.

Zjawił się doktor Knudsen w białym kitlu i stanął za szklanymi drzwiami.

Nie była to pomoc, na jaką liczył.

- Przykro mi, że panu przeszkadzam - powiedział Knudsen, pochylając się nad interkomem, choć w jego głosie nie było słyhać nawet nutki żalu - ale pomyślałem, że powinien pan wiedzieć.

- Co? - zapytał Slater, już się bojąc tego, co usłyszy.

- Chodzi o doktor Evę Lantos. Godzinę temu zmarła.

To było jak cios młotem w i tak już posiniaczoną pierś.

- Ze względu na bezpieczeństwo publiczne - ciągnął Knudsen - według oficjalnego aktu zgonu wydanego w Juneau przyczyną zgonu była śmiertelna infekcja bakteryjna. Ale jej ciało natychmiast przetransportowano samolotem wojskowym do AFIP w Waszyngtonie.

Slater widział, że lekarz trzyma przy piersi podkładkę z dokumentami i kołysze się na obcasach.

- Bardzo mi przykro - dodał Knudsen.

Ale Slater uznał, że jego mina, podobnie jak ton, świadczy o czymś przeciwnym; wyglądał jak człowiek, który nie kryje satysfakcji, mogąc powiedzieć swojemu gościowi, który korzystając ze swoich przywilejów, zajął mu OIOM, że nie jest jednak takim wybrańcem losu.

Slater po raz pierwszy stracił członka zespołu na misji; każdy epidemiolog wyjeżdżający do najniebezpieczniejszych i najdziwniejszych części świata musi mieć świadomość podejmowanego ryzyka. Taki niepokój zawsze czai się w głębi serca. Ale Eva Lantos? Siedziała cała i zdrowa, zaszyta w swoim laboratorium w MIT, z którego ją wywabił. Choć niczego, co stało się na tej wyspie, nie można było przewidzieć - w tym miejscu logika nie miała żadnego zastosowania - to obwinał tylko siebie. Wniosek był prosty: gdyby tamtego popołudnia nie zadzwonił do niej ze swojego biura w instytucie, dziś spokojnie rozwiązywałaby w Bostonie zagadkę genomu golca. A tak leżała martwa w izolowanej komorze w kostnicy.

Slater zamknął oczy, pragnąc tylko, żeby Knudsen, ten anioł śmierci, zostawił go w spokoju. Gdy znów spojrzął w stronę drzwi, Knudsen nie było. Dzięki Bogu za te drobne łaski. I nagle uświadomił sobie, że jego palce przez materiał kombinezonu ściskają sowę z kości słoniowej.

Monitory popiskiwały, szumiał respirator, maszyny mruczały, a Nika - milcząca, nieruchoma, z zamkniętymi oczami - walczyła dalej. Przypominał sobie ich pierwsze spotkanie, kiedy helikopter przegonił z lodowiska jej rolę. Źle zaczęli tę znajomość, zwłaszcza gdy tak wolno do niego dotarło, że ma przed sobą burmistrza miasteczka i członka rady plemiennej w jednej osobie. Miał sporo do nadrobienia.

Ale szybko zauważył jej zalety, jej zdolności... i jej urodę. Na to ostatnie starał się nie zwracać uwagi - wiedział, że ma do wykonania poważne zadanie i że nie może sobie pozwolić na żadną dekoncentrację. W terenie Slater zawsze podchodził do swoich obowiązków profesjonalnie, co miało szczególnie duże znaczenie w przypadku ekspedycji takiej wagi. Nie zamierzał rozbudzać w swoim sercu tego uczucia, w ogóle się go nie

spodziewał. Zupełnie go zaskoczyło, podobnie jak fantastyczne widowisko zorzy polarnej, które razem oglądali.

A teraz... co zrobił z tym uczuciem? Nigdy nie powiedział jej, co czuje. Nigdy jej nie powiedział, że się w niej zakochał. Ale gdyby dzisiaj zmarła w tym okropnym miejscu, z dala od swojego domu i ludzi, których kochała... nie wiedział, jak by to zniósł.

Zupełnie stracił poczucie czasu. Na ścianie wisiał zegar, ale on nie miał pojęcia, czy pokazuje dziesiątą rano, czy wieczorem. Było tu tylko jedno okno na końcu korytarza, ale zamalowane i zamknięte na stałe. Tymczasem dzień na Alasce wstawał coraz później i trwał coraz krócej. Wciąż się dziwił, jak Innuici potrafili przetrwać w tym ostrym i surowym świecie, ale byli odpornym ludem... na to przecież liczył. Przodkowie Niki należeli do nielicznej grupy, która przetrwała epidemię grypy hiszpanki w 1918 roku i być może przekazali tę nabytą odporność młodej kobiecie, która właśnie walczyła o życie.

Rozpiął kombinezon na tyle, by wyciągnąć sowę z kości słoniowej, po czym zerwał rzemyk. Zrobił małe zagłębienie w kocu na łóżku i delikatnie położył w nim bilikina. Wiedział, że tam, gdzie przebywa teraz Nika, jest bardzo ciemno i jeśli sowa naprawdę jest dobrym przewodnikiem, to teraz powinna tego dowieść.

## Rozdział 62

Jak można się było spodziewać, jako pierwszy zachorował diakon.

To on pierwszy objął Anastazję na plaży, to on trzymał ją za ręce - te same, które pogładziły policzek umierającego Siergieja - prowadząc ją po stopniach wykutych w skalnej ścianie, a potem przez główną bramę kolonii. Pozostali, w sumie może trzydzieści czy czterdzieści kilka osób, nie posiadali się z radości, kiedy przybyła. Wprowadzono ją do cerkwi, gdzie na stole w nawie podano przygotowaną naprędce kolację. W kopule cerkiewnej co chwila dźwięczał dzwon. Jej bezpieczny przyjazd uważano za zwiastun jeszcze większego i wspanialszego wydarzenia. Była dla nich wyczekiwany od dawna posłańcem zapowiadającym powrót samego Rasputina.

Anastazję posadzono u szczytu długiego i wąskiego stołu i ku jej zakłopotaniu, jakaś stara wieśniaczka natychmiast zwała jej przemoczone buty i zanurzyła obolałe, zmarznięte stopy w wiadrze z ciepłą osoloną wodą. Zakłopotanie szybko jednak zniknęło, kiedy poczuła mrowienie i nie całkiem przyjemne pulsowanie krwi, która znów poczęła krążyć w stopach i kostkach. Diakon Szczepan podał jej szklanekę z jakimś orzeźwiający napojem o

obrzydliwym smaku - domyślała się, że to grog, o którym kiedyś mówił marynarz Nagorny. Kobiety wciąż przynosiły do stołu ciepły chleb i duszone mięso, a Anastazja, choć tak przygnębiona śmiercią Siergieja, że prawie nie mogła jeść, brała, ile mogła i dziękowała im z całego serca. Wszyscy - mężczyźni, kobiety i garstka dzieci - wpatrywali się w nią bez zażenowania i nie mogła nie zauważyć, jak często ich wzrok zatrzymuje się na szmaragdowym krzyżu. Kilka razy widziała, jak starsi spośród mieszkańców kolonii żegnają się, patrząc na niego. Słuchali jak urzeczeni jej opowieści o podróży, którą odbyła z Siergiejem. Ana domyślała się, że rzadko widzą tu kogoś nowego, a jeszcze rzadziej zdarza się, że przybyszem jest jedna z wielkich księżnych z liczącej trzysta lat dynastii Romanowów.

Tu, inaczej niż w całej Rosji, tytuł budził szacunek, a nawet głęboką cześć.

Dla Any przeznaczono jedną chatę, ale gdy zobaczyła, że znajduje się tam dobytek należący do kogoś innego - ręcznie uszyta kołdra, ikona ze świętym Piotrem, garnki i czajniki zawieszane na hakach nad brzuchatym piecykiem, ubrania w szafie - próbowała odmówić.

- Nie chcę, żeby przeze mnie wyrzucano kogoś z domu - powiedziała. - Mogę spać gdziekolwiek, choćby w cerkwi.

Ale diakon Szczepan nalegał:

- Ci ludzie zabiegali o taką okazję. Wera poczuje się upokorzona, jeżeli nie skorzystasz z jej gościnności. To dla niej zaszczyt.

Tak więc przyjęła gościnę. Nie pamiętała nawet, czy powiedziała diakonowi dobranoc. W chwili, gdy usiadła na sienniku, ogarnęło ją straszliwe zmęczenie i zapadła nie tyle w sen, co w rodzaj otępienia. Jak przez mgłę widziała staruszkę, która obmyła jej nogi, a teraz weszła do chaty, aby zdjąć z niej resztę mokrych rzeczy. Przykryto ją kołdrą po samą brodę, a potem niedźwiedzią skórą. Ana nie poruszała ani jednym mięśniem; miała wrażenie, że nie potrafiłaby, nawet gdyby próbowała. Leżała tak przez wiele godzin - nie wiedziała dokładnie, ile - na wpół pogrążona we śnie, na wpół świadoma wszystkiego i wszystkich. W myślach przeżywała jeszcze raz nieskończenie długą podróż, która ostatecznie przyprowadziła ją na wyspę; oglądała w pamięci każdy szczegół, odtwarzała każdą scenę, od pokoiku na strychu monasteru nowotichwińskiego po zatłoczony przedział pociągu Kolei Transsyberyjskiej (gdzie konduktor zaczął zdradzać nadmierne zainteresowanie Anastazją i Siergiej w środku nocy postanowił, że wysiądą na najbliższym przystanku).

Siergiej. Jeszcze jedno imię na liście zmarłych i drogich jej sercu osób. Lista była już bardzo długa, choć Anastazja ledwie skończyła osiemnaście lat. Ile jeszcze osób do niej dopisze? Wybacz mi, modliła się. Wybacz mi cierpienia, których moja rodzina i ja przysporzyliśmy tak wielu ludziom. Los, jaki ją spotkał, uważała za błogosławieństwo - tylko

ona przeżyła kaźń w domu z pobielonymi oknami - ale i za przekleństwo. Nikt inny nie wiedział tak dobrze, co się tam stało, i nie musiał tego przeżywać na nowo w snach... i koszmarach.

- Nazajutrz wstała późno, gdy trwający kilka godzin dzień dobiegał już końca. Odważyła się wyjść z chaty na mroźny zmierzch. Wokół niej wznosiła się palisada otaczająca niewielką, ale starannie utrzymaną kolonię. Poza cerkwią, zbudowaną na jednym końcu osady, służącą też jako miejsce zgromadzeń i jadalnia, zobaczyła chaty i zagrody dla zwierząt, ogródki warzywne, kuźnię i kramik aptekarza, a nawet wspólny ustęp z oddzielnymi drzwiami dla mężczyzn i kobiet. Mimo posępnego otoczenia, był to samowystarczalny świat sam w sobie.

Jakiś mężczyzna, który rąbał drewno, uniósł wzrok i dotknął brzegu futrzanej czapki, po czym wrócił do pracy. Jakaś kobieta w długiej wiejskiej spódnicy i wełnianym szalu na głowie i ramionach wносиła do chaty drewniany kosz pełen korzeni i grzybów; zanim zamknęła skrzypiące drzwi, na próg padło słabe, ponure światło. Między palami ogrodzenia świstał zimny wiatr i Anie natychmiast przypomniała się palisada zbudowana wokół domu Ipatiewa. Jurowski mówił, że to dla ochrony carskiej rodziny, gdy wychodzi zaczerpnąć świeżego powietrza, ale nikt nie dał się zwieść. Równie dobrze mogli otoczyć dom żelaznymi kratami.

- Wstałaś? - usłyszała głos diakona Szczepana, który wchodził przez główną bramę. Niósł na ramieniu wędkę, a na żyłce dwa halibuty. - Zaglądałem do ciebie wcześniej. Spałaś jak kamień.

Nie miał na sobie sutanny, ale grube futro sięgające kostek. Spod kozackiej czapki z szarej wełny spływały długie pasma jasnych, prawie białych włosów.

- Dobrze się czujesz?

- Tak - odrzekła. - Chyba tak. - Nie zastanawiała się nad tym wcześniej. Tyle tu było do oglądania.

- Ten człowiek, o którym wspominałaś przy kolacji, Siergiej... - rzekł, spuszczaając niebieskie oczy. - Jeszcze go nie widziałem. Przeszukałem brzeg.

Anastazja skinęła głową.

- Ale morze w końcu wszystko oddaje - dodał. - Będziemy szukać dalej.

Ana podziękowała, ale zbył to milczeniem.

- Będziemy co dzień odprawiać za niego mszę, dopóki morze nam go nie zwróci.

Kaszlnął, przysłaniając usta zaciśniętą dłonią, a Ana poczuła, jak sztywnieją jej plecy.



- Łowiłeś w taki ziąb? - spytała. - Mam nadzieję, że się nie przeziębisz. - Nie wspomniała o chorobie Siergieja. Powiedziała tylko, że wypadł z łodzi.

- To nic takiego - odparł, lecz znów zakaszłał. - Nikt nie polecał tutejszej pogody.

- Pójdę usmażyć ryby - powiedział. - Zjemy razem w cerkwi, kiedy się ściemni.

- Jak mogłabym pomóc? - zapytała Anastazja. Choć urodziła się jako wielka księżna, wychowano ją w szacunku dla prostych ludzi i nauczono dzielić z nimi ich trudy, jeśli to było możliwe. Dlatego właśnie ojciec kazał im przez lata spać w zwykłych łóżkach w skromnie urządzonych sypialniach, a matka woziła je do wojskowych szpitali, aby pomagały opiekować się rannymi. Anastazja nigdy nie zrozumiała, dlaczego rosyjscy chłopci, robotnicy i żołnierze dali się przekonać temu bezdusznemu rewolucjonście Leninowi, że jej rodzina nie darzy ich wszystkich sympatią ani miłością - tak, nie byłoby przesadą nazwać tych uczuć miłością.

Rzecz jasna, Anastazja przestała je już żywić i była ciekawa, co powiedziałby ojciec Grigorij, gdyby mogła mu to wyznać.

- Nie martw się - rzekł diakon, odpowiadając na jej pytanie. - W kolonii zawsze jest coś do zrobienia. Znajdziesz tu swoje miejsce, wasza wysokość.

Z półuśmiechem na ustach pomaszerował dalej, niosąc na ramieniu ryby. Ana próbowała odwzajemnić uśmiech, ale zaczęły ją szczypać policzki i nie była pewna, czy to wina przenikliwego wiatru, czy tak bardzo odwykła od takiego wyrazu twarzy.

## Rozdział 63

Nika biegła, biegła tak szybko, że krew huczała jej w uszach i tłumiała wszystkie inne dźwięki. Biegła tak szybko, że oddech palił ją w gardle i bolały ją płuca. Biegła tak szybko, że nogi zaczęły jej słabnąć, a ramiona opadać.

Musiła jednak biec przez zmrożone pola, między krzewami i nagimi drzewami, coraz dalej i dalej... w stronę niewielkiego wzniesienia nad maleńką wioską, przycupniętą na brzegu. Tam się zatrzymała i pochyliła, opierając ręce na kolanach i próbując złapać oddech.

Była późna jesień i choć niektórzy z tubylców już postawili igloo z okrągłymi dachami i ścianami z bloków ubitego śniegu, innym wciąż wystarczały namioty ze skór karibu, powiązane długimi sznurami albo ścięgniemy zwierząt i umocowane kośćmi. Czekwała i patrzyła, ale nawet w qarqui - chacie obrzędowej na drugim końcu wioski - nie dostrzegła śladu żywej duszy. Nie było rybaków wciągających kajaki na kamienisty brzeg ani bawiących

się dzieci, ani kobiet dogładających husky (a gdzie były psy?). Widok był upiorny: samotna wioska, przysypana świeżym śniegiem, na tle zwału gęstych ciemnych chmur nadciągających z nad Cieśniny Beringa i pożerających ostatnie nikłe promienie słońca. Słysząc było tylko wiatr tłukący falami o skały i krzyki krążących w górze kormoranów.

Dziwne, pomyślała. Przecież te kormorany wyginęły przed wielu laty.

Ale to właśnie było przed wielu laty. Nika miała świadomość, że to, co przeżywa, jest realne, ale jednocześnie nierealne... że śni, mieszkając w tym śnie, w którym ma do odegrania główną rolę. Poprawiała paski plecaka wpijające się jej w ramiona, uważając, żeby nie zniszczyć cennych ampulek w środku - po prostu wiedziała, że tam są.

Czuła się, jak gdyby od wielu dni była w drodze i cały czas biegła, trawiona gorączką i wstrząsana dreszczami. Czuła się rozbita i wycieńczona, w ustach miała ostry smak własnej krwi. Jej mukluki były śliskie od lodu, futro z fok wilgotne od potu. Wiedziała jednak, że musi dotrzeć do wioski. Miała tam zadanie do wykonania.

Ślizgając się na śniegu, zbiegła ze wzniesienia i zbliżyła się do najdalej wysuniętych igloo. Wejście wykopano kilkadziesiąt centymetrów poniżej powierzchni ziemi, a zasłaniały je prymitywne drzwi, sklecone z wyrzuconego przez morze drewna. Kiedy jednak próbowała je otworzyć, zacięły się. Kucnęła i pchnęła mocniej, a wtedy coś, co opierało się o nie od wewnątrz, powoli odsunęło się na bok. Wreszcie mogła zajrzeć do ciemnego mrocznego pomieszczenia.

Kudluk, lampa na olej z fok, która zwykle paliła się jasnym płomieniem, była zgaszona, ale przez otwór w dachu wpadało dość światła, by mogła dostrzec kilka osób w dziwnie powyginanych pozach. Zobaczyła twarze zastygłe w grymasie, szklane, niewidzące oczy. Ciało, które zatarasowało drzwi, należało do młodego człowieka, ubranego w niewyprawioną skórę, w kapturze na głowie, który zaciskał ręce na nożu myśliwskim, wbitym we własny brzuch. Wyglądało na to, że wolał odebrać sobie życie, niż znosić takie cierpienia jak pozostali.

Nika wycofała się, zamykając za sobą drzwi. Choć widok był okropny, nie była nim zaskoczona; jak gdyby wiedziała, czego się spodziewać za drzwiami, jak gdyby ten obraz krył się gdzieś w głębi zbiorowej podświadomości. Odchodząc od igloo, zaczepiła stopą o coś pod śniegiem - łańcuch. Szarpnęła go i zobaczyła, że jest przymocowany do palika wbitego w wieczK.RZYŻ ROMANOWÓW ną zmarzlinę... a na jego końcu był uwiązany husky. Odgarnęła śnieg i znalazła psa, który zdechł z zimna i głodu. Leżał jak betonowy posąg, z wywieszonym z pyska językiem, który był niebieski jak szczelina w lodzie.

Rozglądając się po sąsiednich chatkach i igloo, zauważyła podobne kopczyki śniegu, w których prawdopodobnie leżały martwe i zamrożone na kość psy.

Chodząc po wiosce i zaglądając do domostw, widziała podobnie makabryczne sceny: tubylców leżących na przesiąkniętej krwią ziemi i skórkach zwierząt. Gdy podchodziła do ostatniego igloo przed ąarąui, usłyszała dobiegające z wnętrza odgłosy i pomyślała, że może jednak ktoś ocalał. Rozchylając skóry antylopy zasłaniające wejście, spojrzała i stanęła jak wryta na widok psów, które, zaskoczone, uniosły pyski znad uczyty. Ich szczęki i futra były zlepione krwią, niektóre miały jeszcze uwięź z palikiem, który udało im się wyrwać z ziemi. Między ich łapami dostrzegła zmasakrowane fragmenty zwłok, które rozdarły na sztuki.

Duży biały pies z zabarwionym na różowo pyskiem warknął groźnie, radząc jej, żeby trzymała się z dala od bankietu.

Wycofała się powoli, zasłaniając ich widok skórą przy wejściu.

Chmury przysłoniły już całe niebo i zniknęły resztki dziennego światła, a Nika biegła szukać schronienia w domu obrzędowym, rodzaju ratusza Inuitów, gdzie tradycyjnie spotykali się mieszkańcy wioski, aby śpiewać, tańczyć i odprawiać swoje święte rytuały podczas długiej arktycznej zimy. Był to duży owalny budynek, wzniesiony z kawałów ziemi i drewna, obłożonych różnego rodzaju skórą. Gdy dała nura w korytarz prowadzący do wąskich drzwi, zrobionych z dna kajaka, znów usłyszała jakieś dźwięki. Tym razem nie były to jednak szukające padliny psy. Znieruchomiała i usłyszała głos kobiety, stary i słaby, mówiący w jej ojczystym języku.

Otworzyła drzwi na zawiasach z wnętrzości karibu i ujrzała starą niską Inuitkę, która mieszała coś w garnku długą łyżką z kości. W żółtym blasku ognia zebrało się wokół niej kilkoro dzieci, jak młode niedźwiadki trzymające się blisko matki. W ich czarnych oczach malował się głęboki smutek.

- Dzięki Bogu, że jeszcze żyjecie - powiedziała Nika, a wszyscy się obrócili i spojrzeli na nią jak na posłańca z obcej planety. Przy ścianach stały kamienne ławki, na suficie wisały poroża i ozdobne figurki z wielorybich fiszbinów i ciosów morsa. Na drugim końcu domu stał dumny i wysoki jak maszt słup totemiczny, taki sam jak w centrum Port Orlov. Patrząc na jego żywe kolory i prostą sylwetkę, Nika przypominała sobie, co symbolizował, i ogarnął ją wstyd. Postanowiła, że jeśli dostanie szansę, zrobi to, co powinna zrobić już dawno temu.

- Nikaluk - powiedziała słabym i łagodnym głosem staruszka. - Wiedziałam, że przyjdiesz. - Miała wysokie azjatyckie kości policzkowe, a resztką jej zębów była starta na żółte pieńki. - Wiedziałam.

Gdyby Nika też miała taką pewność! Grypa trawiła ją jak prawie wszystkich, ale jakimś cudem - tak jak dzieci i starzy ludzie, których kruche ciała nie mogły stawić chorobie zaciętego i samoniszczącego oporu - przeżyła. Przedtem miała wrażenie, jakby pierś wypełniały jej rozżarzone węgle, teraz jednak poczuła powiew chłodu. W gardle nie dławiała jej już wzbierająca fala krwi. Wcześniej oczy piekły ją jak rozpalone kamyki na plaży, teraz zdawało jej się, jak gdyby obmyła je w strumieniu.

Staruszka podeszła do niej w otoczeniu dzieci, które uczepliły się jej spódnicy

- Ocalisz nas - powiedziała.

- Tak, tak - odrzekła Nika, przypominając sobie o swoim zadaniu. Zdjęła z ramion plecak, uklękła, żeby rozpiąć paski, i sięgnęła do środka po ampułki z surowicą... ale z przerażeniem stwierdziła, że ich nie ma. Sięgnęła głębiej, ale znalazła tylko sople, które dzwoniły jak kawałki szkła. Jak mogła dać się tak oszukać?

Zawiodła. W tak krytycznym momencie zawiodła swój lud. Czując jeszcze większy wstyd niż przed chwilą, gdy zobaczyła, jak powinien wyglądać słup totemiczny, nie śmiała spojrzeć staruszce w oczy.

Poczuła jednak dłoń na głowie, jak gdyby w błogosławieństwie, a gdy wreszcie uniosła wzrok, kobieta powiedziała:

- Ocalisz nas - i wcisnęła jej coś do ręki.

Mały i gładki przedmiot z kości słoniowej, wyrzeźbiony z surową prostotą. W pełgającym świetle ognia Nika zobaczyła, że to sowa, opiekuńczy duch Inuitów. Nie była pewna, czy powinna przyjąć dar - może była to jedyna cenna rzecz, jaką miała staruszka - ale wiedziała, że obraziłaby ją, gdyby próbowała odmówić.

Staruszka pogładziła Nikę po włosach i uśmiechnęła się. Uśmiech przypominał jej babcie. A może to była... jej prababcia?

Nika nagle zrozumiała, że nie przybyła tu, aby coś dać. Przybyła, aby coś otrzymać.

Skłoniła głowę.

Spróbuję... Spróbuję.

W tej chwili usłyszała swoje imię, jak gdyby wypowiedziane z końca długiego tunelu.

- Nika?

To już nie był głos staruszki, nie czuła też na głowie jej dłoni. Pomieszczenie zalało białe światło, zbyt ostre dla jej oczu, a jej czoło gładziła inna dłoń - w chłodnej rękawiczce.

- Spróbuję - powiedziała jeszcze raz i staruszka rozplynęła się razem z dziećmi, ogniem i rzeźbami przodków, zawieszonymi na belkach ąraui. Ostatnia zniknęła wyszczerzona w uśmiechu wydra ze słupa totemicznego.

- Nika - usłyszała znowu i rozchyliła powieki na tyle, by ujrzeć Franka, który siedział przy jej łóżku, otoczony mrugającymi ekranami i cicho popiskującymi monitorami. - Nika - powiedział, zdejmując okulary ochronne i rzucając je na bok.

Zobaczyła, że ma policzki mokre od łez.

- Już wszystko dobrze - rzekł, chociaż i tak już o tym wiedziała. - Już wszystko będzie dobrze.

Ujął jej dłoń leżącą na kocu i przycisnął do niej usta. Zdała sobie sprawę, że ścisną coś w rękę. Kiedy otworzyła dłoń, zobaczyła bilikina z kości słoniowej, którego kiedyś mu dała. Wydawało się, że to było wieki temu.

Ale mała sowa wykonała swoje zadanie, pomyślała... przeprowadziła ją przez ciemność, przez tamten świat, który właśnie opuściła, by wrócić do żywych. Nigdy nie zapomni tej pomocy ani niezachwianego zaufania, które symbolizowała.

- Tak się bałem - mówił Frank. - Myślałem, że może nie będę miał już szansy.

- Szansy? - powtórzyła Nika, czując, że ma gardło suche jak pergamin. Frank wyglądał mizernie i było widać, że od wielu dni się nie goli.

- Powiedzieć ci, że cię kocham.

Gdyby Nika nie leżała wycieńczona w łóżku, wiedziała, że zareagowałaby inaczej. Teraz mogła jednak tylko ścisnąć jego dłoń z taką siłą, jaką zdołała z siebie wykrzesać, i powiedzieć:

- Ulżyło mi.

Zaskoczony Frank wyprostował się na krześle i parsknął śmiechem.

- Ulżyło?

- Nie chciałam być w tym osamotniona - odrzekła.

## **Rozdział 64**

Nazajutrz rano diakon nie obudził się, by uderzyć w cerkiewny dzwon. Już przy kolacji nie miał apetytu na ryby, które złowił, skarżył się na ból głowy i dreszcze. Gdy zaprowadzono do jego chaty Anastazję, uprzedziła innych, żeby nie wchodzili i sama jedna przekroczyła próg.

Choć dawno minęła pora śniadania, słońce jeszcze nie wzeszło. W świetle lampy naftowej, która mrugała przy łóżku, Ana zobaczyła, że zaraził się grypą. Jego jasne włosy, wilgotne i zlepione, leżały rozrzucone na poduszce, na czole perlily się krople potu. Jasne

oczy błdziły w roztargnieniu po izbie, a na kocu było widać plamki zaschniętej krwi. Anastazja widziała w szpitalu żołnierzy w takim stanie... a potem słyszała, jak ich ciała, owinięte w prześcieradła, spuszczano po drewnianej rynnie do czekającego wozu.

Wyszła z chaty do kilku mieszkańców kolonii, którzy z niepokojem czekali na wiadomości, i poprosiła o gorącą wodę i rosół, dodatkowe koce, drewno i winiak, jeśli mieli. Próbowała sobie przypomnieć, co zapisywał doktor Botkin, i odgadnąć, co by zrobił w takiej sytuacji, ale w głębi serca widziała, że teraz wszystko było już w ręku Boga. Hiszpanka zabierała, kogo chciała - najpierw najsilniejszych - i zazwyczaj zabierała ich szybko.

Przez resztę dnia Anastazja czuwała u boku diakona, opiekując się nim, daremnie próbując podać mu coś do jedzenia, ocierając mu czoło i ścierając kropelki krwi z warg, gdy dostawał napadu kaszlu. Od czasu do czasu wymawiał słabym głosem imię ojca Grigorija i Anastazja nie miała wątpliwości, że rozmawia z nim, jak gdyby przy nim był. Kilka razy rozmowa brzmiała tak prawdziwie, że Ana odwracała się na krześle albo szła do drzwi i wyglądała na zewnątrz, ale zawsze widziała tylko zebraną w półmroku garstkę mieszkańców kolonii przesuających paciorki różańca, ściskających i całujących ikony oraz odmawiających półgłosem modlitwy za wyzdrowienie diakona. Tylu z nich spoglądało na szmaragdowy krzyż na jej piersi, że w końcu zaczęło ją to krępować i go schowała. Moc, jaką mu wyraźnie przypisywali, okazywała się bezużyteczna wobec ataku grypy.

Raz czy dwa słyszała wśród nich stłumiony kaszel, co w jej sercu tylko budziło jeszcze większy lęk.

Nazajutrz rano diakon nie żył.

Anastazja umyła go, jak umiała, a następnie ubrała w czarną sutannę z podszewką ze szkarłatnego jedwabiu na rękawach. Złożyła mu ręce na piersi, a potem zasiadła przy drewnianym stole, przy którym pracował. Leżały na nim przybory do pisania, luźne kartki z jego kazaniami oraz ikona Matki Boskiej, ozdobiona trzema brylantami. Tak cenna rzecz musiała pochodzić od samego Rasputina. Na kartce napisała modlitwę za duszę diakona Szczepana, zwinęła ją i wsunęła mu do jednej z martwych rąk, a w drugiej umieściła ikonę. Nie mógł być lepiej przygotowany na spotkanie ze Stwórcą.

Nie pierwszy raz pragnęła sama odbyć tę ostatnią podróż... żeby zobaczyć Siergieja, swoją rodzinę, przyjaciół, dobrego doktora Botkina, Nagornego, pokojówkę Demidową. Bez względu na zasady prawosławnej wiary, Anastazja była pewna, że będzie tam na nią czekał także jej spaniel Jemmy. Skoro rzeczywisty świat zalewało tyle nienawiści, dlaczego miłość - każdego rodzaju - nie miałyby znaleźć bezpiecznego schronienia na tamtym świecie?

Sama wygłodniała i zmęczona, zdmuchnęła lampę, zamknęła drzwi i poszła do cerkwi, szukając towarzystwa przy wspólnym posiłku. Ale inaczej niż do tej pory, gdy przy długim stole stawiano krzesła i ławki dla kilkudziesięciu kolonistów, teraz było tam najwyżej dziesięć osób i nawet oni się zmieszali, gdy weszła przez podwójne drzwi. Wera padła na kolana przed ikonostasem i przeżegnała się trzy razy, mężczyzna, który wcześniej rąbał drewno, pochylił głowę nad miską zupy i nie odważył się na nią spojrzeć.

Kobieta stawiająca na stole cynowe talerze zapytała:

- Jak się czuje diakon?

- Diakon zmarł - odparła Ana i zobaczyła, jak kobieta szybko rozgląda się po pomieszczeniu, jak gdyby szukając potwierdzenia, że wszyscy usłyszeli. Kilkoro ludzi krzyknęło w rozpacz, jakiś starzec cisnął fajkę na podłogę, po czym nastąpił ogólny exodus z cerkwi. Niektórzy, wychodząc, z powagą kiwali głową w stronę Anastazji, a na ich wymizerowanych twarzach malował się strach i osłupienie... ale wszyscy bez wyjątku omijali ją z daleka.

Stojąc samotnie w nawie, uświadomiła sobie, że nie tylko dotarła na koniec świata, ale i znalazła koniec wszystkiego, czego mogła oczekiwać od tego życia. Z wyczekiwanego słynnego posłańca, który zapowiadał nadejście proroka, ojca Grigorija, stała się zwiastunem zagłady. I choć nadal chodziła w aurze osoby wybranej przez samego Rasputina i nosiła jego znak, zasiała w jego owczarni ziarno zwątpienia. Nie wiedzieli już, co o niej myśleć i jak rozumieć nieszczęście, które na nich ściągnęła. Czyżby wybierając takie życie, popełnili jakiś błąd? Okazali się nie dość pobożni? I Anastazja przybyła jako narzędzie boskiej kary?

Gdyby nawet zdobyli się na odwagę, by zadać te pytania, sama nie potrafiłaby na nie odpowiedzieć.

To, co nastąpiło w następnych dniach, było tragiczne i nieuniknione. Mieszkańcy kolonii jeden po drugim zapadali na gripę, a pozostali przy życiu kilofami i dynamitem wykopywali w ziemi płytkie groby, aby wyprawić zmarłym coś na podobieństwo chrześcijańskiego pogrzebu. Ana uczestniczyła w pochówkach - co więcej, mieszkańcy nie zaczęli nawet obrzędu bez jej milczącej obecności, taki miała prestiż jako księżna i ulubienica Rasputina - ale po pewnym czasie nie mogła już dłużej tego znieść. Cmentarz urządzono na klifach nad Morzem Beringa i Ana musiała walczyć z pokusą, by rzucić się z urwiska do morza. Powstrzymywał ją tylko większy strach - strach, że moc szmaragdowego krzyża być może pozwoli jej przeżyć i lodowate fale będą nią miotać przez wieczność.

Wśród ostatnich, którzy oddali ducha, był grabarz i Ana przejęła jego obowiązki, sumiennie spisując imiona i nazwiska zmarłych i daty śmierci. Niektórzy w malignie pobiegli

do lasu i nigdy nie wrócili, inni pomarli na skałach u stóp kolonii, a ich zastygłe w cierpieniu ciała zabrała do morza fala odpływu. Dla pozostałych Ana znalazła niedokończone nagrobki oraz pozostawione przez grabarza wieka trumien i każdemu wyprawiła stosowny pogrzeb, tak jak umiała. Grabarz - którego pracowitość dorównywała czarnowidztwu - był na tyle przewidujący, że pozostawił dla swoich współtowarzyszy odpowiednią liczbę pustych kwater... okazało się, że więcej, niż było trzeba.

Nadszedł dzień, kiedy już wszyscy byli pochowani i nie został nikt, kto mógłby opłakiwać ich śmierć. Na wyspie nie było nikogo. Ana poszła na skraj cmentarza, ściskając w ręku szmaragdowy krzyż, gdy ujrzała na plaży u stóp klifu ciemną postać w futrze z fok, którego poły leżały na kamieniach i piasku, rozpostarte jak skrzydła nietoperza.

Stała jak wryta, wysuwając stopy poza krawędź przepaści, i wpatrywała się w ciemną sylwetkę. Czy to możliwe? Po tak długim czasie?

Zeszła na plażę i zbliżyła się do ciała ostrożnie, jak gdyby to była pułapka czekająca, aby się zatrasnąć. Nie wierzyła własnym oczom. Ale gdy podeszła bliżej, zobaczyła ten sam niesforny kosmyk brązowych włosów, zamrożony sztywno i sterczący na głowie. Zmrożony piasek zachrzącał pod jej butami, gdy uklękła i delikatnie odwróciła ciało na plecy. Pokryty lodem Siergiej wyglądał jak zrobiony ze szkła.

- Morze wszystko w końcu zwraca - powiedział jej diakon. I zwróciło.

Na cmentarzu pozostał pusty grób; znajdował się najbliżej klifu i Anastazja zastanawiała się, czy na wyspie znajdzie się ktokolwiek, kto będzie ją mógł w nim pochować. Teraz mogła złożyć tam ziemi ciało swojego ukochanego opiekuna Siergieja. Kiedy leżał w otwartej trumnie, sięgnęła pod swój płaszcz. Zdjęła szmaragdowy krzyż, ostatni raz odczytała błogosławieństwo, które Rasputin kazał wyryć na srebrnym korpusie: „Nikt nie zdoła rozerwać łańcuchów miłości, które nas wiążą”. Nawiązał do jej imienia, „zrywającej łańcuchy”. Chciała już jednak zerwać te łańcuchy. Pragnęła raz na zawsze odciąć się od tej siły, która uwiązała ją na ziemi.

Uniosła głowę Siergieja i włożyła mu na szyję łańcuch i ułożyła na jego piersi szmaragdowy krzyż. Następnie podniosła wieko - z misternie wyrzeźbionym wizerunkiem świętego Piotra - i przykryła nim trumnę; nie na darmo coś jej mówiło, żeby ją zachować. Potem wbiła tradycyjne cztery gwoździe i zasypała grób ziemią i śniegiem, ile jej się udało nakopać. W bramie cmentarza pojawił się jeden z czarnych wilków krążących po wyspie - w bramie, gdzie obsesyjnie wydrapywała swoje błagania o przebaczenie. Zwierzę uniosło łeb i żałośnie zawyło. Ale Ana się nie bała. Wiedziała, że te stworzenia to tylko zagubione i opuszczone dusze, takie jak ona... skazane na taki sam czyściec. One także zostały tu



uwięzione nie ze swojej winy i tak samo jak ona nie potrafiły zejść z tego świata i odnaleźć spokoju. Od chwili, gdy czarny wilk zlizął łzy z jej twarzy, zrozumiała, że ich losy są połączone - czyż nie były wiernymi dziećmi Rasputina? - i wiedziała, że zakończą swoją nieszczęsną drogę dopiero wtedy, gdy jej podróż dobiegnie końca.

## Rozdział 65

Gdy tylko Slater zobaczył, że Nika, którą wieziono do ambulansu, przez całą drogę protestuje - „Przecież umiem chodzić! Nie potrzebuję wózka!” - już wiedział, że znów jest sobą. Szpitalny regulamin wymagał jednak, aby opuściła Regionalne Centrum Medyczne w Nome na wózku, a rozsądek nakazywał, aby do domu w Port Orlov odwiozła ją karetka.

- Niedługo zobaczymy się na miejscu - powiedział Slater, pochylając się, żeby pocałować ją ostatni raz, a sanitariusz pchający wózek dyskretnie odwrócił wzrok.

- Powinniśmy już wtedy zakończyć prace nad totemem - odrzekła.

Rzeczywiście, było to chyba pierwsze polecenie, jakie Nika wydała, ledwie spadła jej gorączka i zupełnie odzyskała przytomność. Choć Slater jej o to nie zapytał, wiedział, że coś się stało, gdy trwała zawieszona między życiem a śmiercią, coś, co kazało jej odnowić słup totemiczny w Port Orlov, aby odzyskał dawną chwałę i znaczenie.

- Odślonięcie będzie wielkim świętem w takim miasteczku jak nasze.

- Chyba nie mogę przegapić takiej okazji.

- To nie przegap.

Pozwolono jej usiąść z przodu obok kierowcy, a kiedy ambulans odjechał, Slater przeciął zaśnieszony parking i wsiadł do czekającego helikoptera Straży Przybrzeżnej. Tym razem siedział w przedziale pasażerskim sam, a pilot, uruchamiając silnik, polecił mu natychmiast zapiąć pasy.

- Mamy bardzo napięty plan - powiedział, nie okazując mu takiego szacunku jak wówczas, gdy był majorem Frankiem Slaterem czy nawet doktorem Slaterem kierującym operacją na Wyspie Św. Piotra. Teraz był zwykłym cywilem korzystającym z rządowych środków.

Slater wcale jednak nie był tym zirytowany, a nawet poczuł, jak gdyby zdjęto mu z serca wielki ciężar. Jego życie należało teraz do niego - i miał już sprecyzowane plany.

Śmigłowiec skierował się prosto w stronę morza i poleciał wzdłuż brzegu na północ. Slater odchylił głowę do tyłu i wyjrzał przez okno. Po ostatnich ciężkich przeżyciach wciąż

był słaby i choć wciąż musiał przybrać parę kilogramów, to uporał się już z tym, co się stało, i odzyskał jako taki spokój. Może nie powinien już więcej zbawiać świata; może lepiej po prostu ocalić jego mały kawałeczek? Nie mógł się doczekać odpowiedniej chwili, aby powiedzieć o tym Nice.

W bladym świetle popołudnia zobaczył na horyzoncie znajome płaskowyże Wielkiej i Małej Diomedey oraz błękitnego kanału między nimi, wyznaczającego granicę Stanów Zjednoczonych i Rosji. Czyste niebo miało kolor skrzydeł szarego gołębia, ale gdy się zbliżyli do wyspy, zobaczył, że wiatr, nigdy niesłabnący wiatr, szaleje jak zwykle, skubiąc otaczającą skaliste brzegi mgłę.

Trudno uwierzyć, że od pierwszego lotu na wyspę minęło zaledwie kilka tygodni.

Kiedy helikopter się zbliżył, Slater zobaczył kilka łodzi Straży Przybrzeżnej, zakotwiczonych niedaleko brzegu, zobaczył też, że sama kolonia jest znacznie bardziej oświetlona, ogrodzona i zaludniona, niż gdy ją opuszczał. Zbudowano nawet okrągłe lądowisko dla śmigłowców, oznaczone światłami odbłaskowymi między starą studnią przed cerkwią a zielonymi namiotami, które postawił zespół Slatera.

- Niech się pan trzyma - poradził pilot przez słuchawki, gdy helikopter wytracił prędkość przed lądowaniem i zakołysał się od podmuchów wiatru znad Cieśniny Beringa. Slater złapał się pasów, a ledwie koła dotknęły ziemi i wirnik zaczął zwalniać, zobaczył profesora Kozaka i sierżanta Grovesa, którzy biegli otworzyć drzwi kabiny.

- Tak dobrze cię widzieć - zawołał Kozak, klepiąc go po plecach, a Groves zacisnął jego dłoń w mocnym uścisku.

- Dużo się tu zmieniło - dodał sierżant, wyprowadzając ich spod łopat śmigłowca.

- Widziałem już z góry - odparł Slater. Rzeczywiście, rozglądając się po kolonii, zauważył kilka chodników, położonych między nowymi namiotami i półokrągłymi barakami z aluminium. Zewsząd wystawały anteny, a pod zadaszeniem szumiała dodatkowa bateria generatorów. Między budowlami biegało kilku strażników Straży Przybrzeżnej.

- Jak cię czujesz? - zapytał Groves, ale zanim Slater zdążył odpowiedzieć, Kozak wtrącił:

- Chyba wszystko w porządku, tak? Na pewno, jeżeli cię wypuścili. - Profesor zmierzył go uważnym spojrzeniem i bez względu na to, co pomyślał, rzekł: - Tak, wyglądasz bardzo dobrze.

Slater się uśmiechnął; Kozak zupełnie nie umiał kłamać. Wiedział, że nadal wygląda, jakby właśnie brał udział w burdzie w barze. Sińce na twarzy nieco zbladły, przybierając

niebieskawy odcień, ale wiele zadrapań i otarć jeszcze się nie zagoiło, a gdy zbyt nieostrożnie stawiał kroki, złamane żebra boleśnie o sobie przypominały.

- A Nika? - spytał Kozak. - Co z nią?

- Jest w drodze do Port Orlov - odrzekł Slater.

- Szczęściarze, że mają takiego burmistrza - zauważył Kozak.

- Racja - przytaknął Groves, chichocząc. - Ale zanim się spostrzeżemy, zostanie gubernatorem. Nie ma dla niej rzeczy niemożliwych.

A potem, jak gdyby myśli ich wszystkich, niczym stado ptaków, skierowały się w jedną stronę, nastąpiła chwila ciężkiego milczenia.

- Doktor Lantos była bardzo odważną kobietą - powiedział w końcu sierżant, a Kozak, żegnając się z poważną miną, dodał:

- I świetnym naukowcem.

- Najlepszym - zgodził się Slater. Wprawdzie spadł mu z serca wielki ciężar, ale nadal mocno przeżywał śmierć Ewy Lantos; wiedział, że zawsze będzie mu ciążyć na sumieniu.

Od strony cmentarza dobiegało dudnienie jakiejś maszyny, dziwnie przypominające betoniarkę, ale zanim Slater o to zapytał, podbiegł do nich Rudy, młody podporucznik Straży Przybrzeżnej.

- Witamy na wyspie, doktorze Slater - powiedział, niepotrzebnie salutując. - Major Waggoner, tymczasowy komendant, rozkazał, żeby natychmiast po przylocie zameldował się pan w punkcie dowodzenia.

Rozkazał. Zabawne, jak niewiele to słowo znaczyło teraz dla Slatera.

- Lepiej popraw krawat i wyglansuj buty - wtrącił kpiąco Groves.

Slater wiedział, że reszta jego zespołu nie darzy nowej władzy szczególną sympatią.

- Tędy - powiedział Rudy, ruszając w kierunku największego baraku, gdzie przedtem stało laboratorium polowe, które już zniknęło. Jak się pozbyli zwłok diakona? - pomyślał Slater. Aby to bezpiecznie zrobić, należało zastosować mnóstwo środków ostrożności. Zrobili to?

- Frank - odezwał się Kozak, ciągnąc go za rękaw. - Musimy pogadać. Jak tylko znajdziesz chwilę.

Rudy zatrzymał się i zawołał:

- Doktorze Slater? Obawiam się, że to mnie zmyją głowę.

- To bardzo ważne - dodał Kozak cicho, ale z naciskiem.

Slater domyślał się, że prawdopodobnie chodzi o badania geologiczne, które kończył, ale co może w nich być takiego pilnego? Zawiadomiono go, że cmentarz został odgrodzony,

tym razem na dobre, a cała wyspa stała się terenem zamkniętym. Z doświadczenia wiedział jednak, że naukowcy zawsze uważali własną pracę za najważniejszą.

- Gdy tylko będę wolny - obiecał, po czym ruszył za swoją zniecierpliwioną eskortą.

W punkcie dowodzenia krzątało się wiele osób, a na drugim końcu baraku urządzono biuro majora Waggonera. Miał kanciastą szczękę, kanciaste ramiona i kanciastą głowę, które Slater bardzo często widział podczas swojej służby wojskowej. Waggoner stał i rozmawiał przez telefon satelitarny, a gdy wprowadzono Slatera, bezceremonialnie wskazał mu krzesło naprzeciwko biurka.

Trochę jak wezwanie na dywanik do dyrektora szkoły, pomyślał Slater.

Kiedy Waggoner uznał, że Slater nasiedział się już wystarczająco długo, by zrozumieć, kto tu rządzi, zakończył rozmowę i oznajmił ostrzegawczym tonem:

- Chyba zauważył pan, że wprowadziliśmy kilka zmian. Prowadzimy tę operację trochę inaczej.

- Powinniście zaczekać - odparł Slater. - Są pewne procedury bezpieczeństwa, których należy przestrzegać.

Major zrobił zaskoczoną minę.

- Mamy na miejscu oficera z AFIP, wybranego osobiście przez doktor Levinson w Waszyngtonie.

- Kto to jest?

- Kapitan doktor medycyny Stanley Jenkins.

- Dobry wybór - rzekł Slater z ulgą. Nigdy z nim nie współpracował, ale czytał jego raporty z terenu i wiedział, że jest świetnie zapowiadającym się fachowcem. - Proszę wypełniać wszystkie polecenia kapitana Jenkinsa, a wszystko się uda.

Waggoner spojrzał na niego z jeszcze większą niechęcią.

- Doktor Jenkins pełni tu funkcję doradcy i podlega moim rozkazom. Może od rozprawy przed sądem wojskowym już pan zapomniał, na jakich zasadach działają służby mundurowe naszego rządu, doktorze Slater.

To był tani chwyt, Slater postanowił go zignorować.

- Jeżeli chodzi o pańskich współpracowników profesora Kozaka i sierżanta Grovesa, to poleciłem im poruszać się tylko w obrębie bazy. Kozak kończy jakieś badania ziemi na terenie kolonii. Nie mam pojęcia, do czego się mogą przydać, ale dzięki temu trzyma się z daleka od cmentarza i nie wchodzi mi w drogę. Jeżeli chodzi o pana, odprawa odbędzie się jutro o dziewiątej rano, proszę więc zebrać wszystkie notatki i dane, jakie pan tu zostawił, i

przynieść je. Proszę też zabrać pozostały sprzęt, bo gdy tylko skończymy, pan i pańscy koleddy zostaniecie wywiezieni z wyspy. Potem nie będzie już na nią wstępu.

Polecając dodatkowo Slaterowi, żeby pozostał w ogólnodostępnej części w granicach palisady, odprawił go ruchem ręki. Slater odniósł wrażenie, że Waggoner całe życie czekał, aby dostać tak ważną operację - choć pozostawało otwartą kwestią, jak długo będzie nią kierować Straż Przybrzeżna - a widział, że major nie znosi, kiedy ktoś wtrąca się w jego sprawy.

Na zewnątrz Slater głęboko odetchnął i pomasaował obolałe zębra. Pasy bezpieczeństwa w helikopterze dały im się we znaki. Rozglądając się, zauważył, że na palisadzie zamontowano mocne reflektory punktowe, a ponieważ światło słoneczne już gasło, właśnie zostały zapalone. Teren obozu zalał ostry biały blask, rzucając wszędzie cienie i nadając starym chatom i budynkom kolonii dziwnie sztuczny wygląd. Przekrzywiona cerkiew ze zrujnowaną kopułą wyglądała jak pałac strachu w wesołym miasteczku. Drzwi zamknięto na gruby łańcuch i naklejono na nich żółtą taśmę, tworzącą dużą literę X.

Slater zauważył też, że nikt go nie obserwuje. Nigdzie nie widział podporucznika Rudyego, a dwóch innych strażników ciągnęło wózek pełen kabli z jednego namiotu do drugiego. Jeżeli miał się wymknąć do miejsca, które najbardziej chciał zobaczyć - na stary cmentarz - nie sądził, by trafiła mu się lepsza okazja.

Wciąż mając w uszach rozkaz majora, by nie opuszczać terenu kolonii, Slater wolnym krokiem zbliżył się do głównej bramy, beztrzesko zasalutował sanitariuszom, którzy mieli tam posterunek, po czym skierował się w stronę prowadzącej na cmentarz pochylni. Nie oglądał się za siebie, ale gdy zbliżył się do lasu, zobaczył, że wyrąbano tu szeroki pas drzew, a pochylnia została zastąpiona zwirowym podjazdem szerokości ponad czterech metrów. Dostrzegł w błocie ślady opon, a dudnienie maszyn brzmiało coraz głośniejsze.

Kiedy dotarł do miejsca, gdzie kiedyś stały słupki cmentarnej bramy - po nich też nie było już śladu - wyczuł wyraźny zapach silnych odkażających środków chemicznych i gorącej smoły. Zobaczył, jak na pozostały po cmentarzu teren z rynny betoniarki wylewa się gruba, równa warstwa betonu. Wszystkie nagrobki i krzyże zostały usunięte, a powierzchnię betonu wyrównuje kilku robotników w kombinezonach ochronnych, kaskach i oryginalnym dodatku do stroju - wysokich do bioder gumowych waderach. Komora dekontaminacyjna została, ale wokół niej stały duże puste pojemniki po malationie, organofosforanie stosowanym powszechnie w takich rejonach świata jak Ameryka Środkowa, gdzie DDT straciło siłę rażenia. Slater nie musiał o nic pytać. Zamiast narażać się na ryzyko kontaktu z zarażonymi ciałami, AFIP postanowił po prostu zatruć ziemię, nasączyć ją stężonymi

chemikaliami o podwójnej mocy, a dodatkowo zamknąć szczelnie cmentarz pod półmetrową skorupą betonu.

To nie wystarczy, pomyślał Slater. Ocieplenie klimatu doprowadzi w końcu do osunięcia ziemi i beton popęka. Ale taki był rząd. Wolał tymczasowo załatać problem, a potem stworzyć komisję, która przez parę następnych lat będzie debatować nad tą sprawą.

Slatera zauważył któryś z robotników, a on, zamiast zrobić unik i ukryć się przed jego wzrokiem, pomachał do niego i krzyknął:

- Dobra robota! Tak trzymać!

Robotnik wrócił do wyrównywania betonu.

A Slater odwrócił się i poszedł dobrze oświetloną drogą do bramy kolonii. Miał wrażenie, jak gdyby starego, straszego olbrzyma ułożono do snu pod nowym kocem. Modlił się, żeby spał tam mocno już na zawsze.

W namiocie zobaczył, że jego łóżko i rzeczy osobiste pozostały nietknięte. Obok pustego kubka po kawie stała fiolka chlorochiny, a na stole leżał raport, do którego przed wyjazdem dopisywał uwagi. Wszedł profesor Kozak i siadając ciężko na składanym stołku, zapytał:

- Widziałeś cmentarz?

Slater skinął głową, składając luźne kartki.

- Ekshumowali najpierw jakieś ciała?

Kozak przecząco pokręcił głową.

- Popatrzeli, a potem wjechali buldożerami, żeby zrównać cmentarz z ziemią.

Slater zaczął zbierać notatniki.

- Jak poszło z Waggonerem? - zapytał Kozak.

- Tak, jak się można było spodziewać - odparł Slater, chowając notatniki do plecaka. -

Mamy czas może do jutra w południe, a potem zostaniemy wygnani na zawsze.

Kozak w zamyśleniu przyglądał siwą bródkę.

- W takim razie nie ma innego wyjścia. To musi być dzisiaj. O północy.

- O czym ty mówisz?

- Musimy wejść do cerkwi.

- Po co? - zdumiał się Slater. - Nic tam nie ma, poza połamanymi ławkami i stołami.

Czego mielibyśmy tam szukać?

Kozak wyciągnął z kieszeni iPhonea, kilka razy przesunął palcem po ekranie i pokazał mu. Slater zobaczył zdjęcie starego nagrobka z rosyjskim nazwiskiem i parą drzwi wyrytych po jego obu stronach.

- No, ładnie wyrzeźbione - rzekł Slater. - Ale co z tego wynika?

- To nagrobek tego człowieka, którego odkopaliśmy - powiedział Kozak. - Szczepana Nowika. Diakona.

Slater wciąż nic nie rozumiał.

- Dwoje drzwi to wrota diakońskie. Prowadzą przez ikonostas.

- Mówisz o tej drewnianej ścianie, przed którą zrzucano te wszystkie rupiecie?

- Tak. Za nią jest ołtarz.

- Wierzę ci na słowo. Ale nawet jeżeli myślisz, że jest tam coś wartościowego, to muszę ci przypomnieć, że nie jesteśmy poszukiwaczami zaginionej Arki?

- Nie jesteśmy - zgodził się Kozak. - Ale jesteśmy naukowcami, tak?

- Tak.

- I historykami?

To akurat było dyskusyjne, ale Slater skinął głową, żeby profesor wreszcie skończył.

- Chciałbyś na przykład wiedzieć, skąd wirus wziął się w tym miejscu na końcu świata?

Rzeczywiście, akurat to pytanie nurtowało Slatera, pod tym względem hiszpanka wykazywała się dużą pomysłowością. Wystarczyłby jakiś kajakarz z lądu, który zgubił drogę na morzu.

Kozak schował telefon, sięgnął głęboko do drugiej kieszeni kurtki i wyciągnął księgę zgonów. Slater domyślał się, że zachował jej istnienie w sekrecie, bo inaczej major na pewno dawno by ją skonfiskował. Otwierając ją na końcu i wskazując grubym palcem na ostatnią część napisaną ozdobnym kobiecym charakterem pisma, przetłumaczył:

- Tu jest napisane: „Wybaczcie mi. Stałam się przekleństwem wszystkich, którzy mnie znają”. - Kozak uniósł wzrok. - Pamiętasz te słowa, tyle razy wyryte na bramie cmentarnej?

- Brzmiały „Wybaczcie mi” - rzekł Slater, a profesor z satysfakcją pokiwał głową i wrócił do księgi.

- Jest tu też wpis o pogrzebie. Diakona. Autorka pisze, że uratował ją przed wilkami i udzielił jej schronienia na wyspie, a ona tak mu się odwdzieczyła.

- Jak? Zараżając go grypą?

- Ostatni wpis o pochówku dotyczy jakiegoś Siergieja - ciągnął Kozak. - Chyba zginął na morzu, ale jego ciało wyrzuciło na brzeg. Kobieta pisze, że musiała go sama pochować, z krzyżem na szyi, bo nie było już nikogo, kto mógłby to zrobić.

Slater był poruszony strasznymi doświadczeniami tej anonimowej kobiety, lecz zanim Kozak zaczął mówić dalej, zapytał:

- A ten krzyż? Pisze o nim coś więcej?

Profesor jeszcze raz przejrzał zapisane wyblakłym atramentem strony i powiedział:

- Tak, skoro pytasz, nazywa go szmaragdowym krzyżem.

Slater przypomniał sobie, że Nika znalazła taki krzyż w miejscu wypadku na moście. Znalaziono go w jej kieszeni, kiedy straciła przytomność w szpitalu w Nome, i o ile mu wiadomo, został hermetycznie zamknięty i wysłany do laboratoriów AFIP razem ze wszystkimi przedmiotami, które miała przy sobie. Żona zmarłego Charliego Vanea z pewnością wnieśie pozew, aby go odzyskać.

- Pod koniec dziennika - kontynuował Kozak - autorka twierdzi, że jej dusza jest skazana, żeby żyć wiecznie w tym okropnym miejscu.

- Nie można jej się dziwić - zauważył Slater. - Pewnie już kompletnie oszalała.

- Właśnie - przytaknął profesor. - Nie można się dziwić, zwłaszcza wiedząc, co wcześniej przeżyła. To była dziewczyna, młoda kobieta, która widziała samo piekło.

- Wiesz, kto to jest? - spytał Slater. - Podpisała to?

Kozak odchrząknął nerwowo i otworzył księgę na ostatniej stronie.

- Tu prosi Boga, żeby uwolnił ją z ziemskich więzów. A poniżej napisała swoje imię. - Znów wskazał podpis palcem.

Slater czekał.

- No?

- Podpisała się - rzekł Kozak, gładząc brodę i patrząc Slaterowi w oczy - „Anastazja, Wielka Księżna Wszechrusi”.

## Rozdział 66

Siedząc wieczorem z Kozakiem i Grovesem w jadalni, Slater czuł się jak buntownik. Wokół nich strażnicy ze Straży Przybrzeżnej i technicy, których sprowadzono, aby posprzątały kolonię, zjadali kolację, rozmawiając hałaśliwie, i opowiadali dowcipy, napelniając sobie talerze i odprężając się po następnym ciężkim dniu. Slater i jego zespół siedzieli stłoczeni przy aluminiowym stolyczku, częściowo zasłonięci skrzyniami, i rozmawiali przyciszonym głosem o rzeczach, w które nikt by nie uwierzył.

- Myślałem, że wszystkie te historie o Anastazji to bujdy - powiedział Groves, wycierając skórka chleba resztę mielonej wołowiny z sosem pomidorowym. - Przecież zginęła razem ze swoją rodziną.



- Niekoniecznie - odparł Kozak. - Zawsze krążyły plotki, że jedna z sióstr przeżyła.

- Jak? - zapytał Groves. - O ile pamiętam z historii, strzelali do nich z małej odległości.

- Według niektórych relacji samych morderców, kule odbijały się od ciał dziewcząt. Zbrodniarze zaczęli się bać, myśląc, że młode księżne mogą być jednak święte. Dopiero potem, kiedy przy starych szybach kopalnianych ciała rozebrano i zdjęto im gorsety, okazało się, że były w nich zaszyte klejnoty.

- Czyli miały coś w rodzaju kamizelek kuloodpornych - powiedział Groves, już z mniejszym niedowierzaniem.

- Tak. Jest jeszcze historia o życzliwym gwardziście, który pomógł przemyścić Anastazję w bezpieczne miejsce.

- Dużo w tym wszystkim domysłów i hipotez - odezwał się Slater. Mimo zapisków w księdze zgonów, nie był gotów zaakceptować tego tak ochoczo jak Kozak. Może Kozak coś źle zinterpretował? Może to była mistyfikacja albo wpis dokonany przez kobietę, która nie bez powodu oszalała? - Przede wszystkim odnaleziono chyba wszystkie ciała?

- Niekoniecznie - powtórzył profesor. - Wciąż są pytania bez odpowiedzi. W tamtej piwnicy zastrzelono jedenaście osób, ale z dużą dozą pewności zidentyfikowano szczątki tylko dziewięciu, może dziesięciu. Pamiętaj, że zwłoki zostały okaleczone, poćwiartowane, spalone i potraktowane kwasem; przewożono je też z miejsca na miejsce, żeby nie zostały wykryte. To była masa połamanych kości i murszejących zębów, rozsiana w kilku miejscach.

- A analiza DNA? - pytał dalej Slater.

- Kiedy w 2008 roku wrócono na miejsca pochówku, ciała były w zaawansowanym stadium rozkładu. Pamiętaj też, że zabito tam sześć kobiet, a cztery z nich były siostrami w bardzo podobnym wieku. Nawet jeżeli zidentyfikowano jakąś kość młodej kobiety, trudno było ustalić, której. Czy to Anastazja, a może kawałek Marii, Olgi albo Tatiany? - Kozak odchylił się na krześle, ocierając brodę serwetką. - Nie, przyjaciele, tych wątpliwości nigdy nie rozstrzygnięto. I nigdy nikt ich nie rozstrzygnie - dodał - chyba że my to zrobimy.

- Jak może nam w tym pomóc włamanie do cerkwi? - zapytał Groves.

- Wszystko, co cenne w kolonii, prawdopodobnie przechowywano w zakrystii, pomieszczeniu przy ołtarzu za ikonostasem. Powinno tam być dwoje drzwi, na jednym i drugim końcu. Na pewno diakon przechowywał tam swoje dokumenty z listą wszystkich członków zgromadzenia. Czy jest tam jakiś dowód obecności Anastazji? Kto wie, co możemy znaleźć.

- Jeżeli się tam dostaniemy - rzekł Groves. - Nie zauważył pan, że ogrodzili całą cerkiew, na drzwiach powiesili kłódkę i zatkali dziurę w bocznej ścianie? Major postawił nawet wartownika, który chodzi dokoła.

Kozak uśmiechnął się i między talerzami rozłożył mapę topograficzną.

- Urok georadaru - powiedział, wskazując obniżenie dwóch linii.

- Co to jest? - spytał Groves.

- Żeby przygotować fundament pod cerkiew i wyrównać teren, osadnicy użyli dynamitu. W taki sam sposób, jak przygotowali cmentarz. Potem osadzili podpory narożne i zbudowali cerkiew z małą szparą pod spodem.

- Piwniczka? - spytał Slater.

- Tak, a dzięki przechyleniu budynku jest szersza tutaj, od północnej strony. Pewnie na tyle duża, że każdy z nas się tam zmieści. Potem podważymy od dołu deski w podłodze; większość i tak już przegniła.

Co tam macie, mapę skarbów? - huknął od wejścia drwiący głos. Unosząc wzrok, Slater zobaczyła majora Waggonera i jego świtę; wszyscy otrząsali śnieg z butów i rozpinali kurtki. W pierwszym odruchu Slater chciał schować mapę, ale to tylko zwróciłoby na nią uwagę.

- Lepiej szybko z niej skorzystajcie - poradził Waggoner. - Wasz śmigłowiec odlatuje jutro, panowie, w samo południe.

Jeden z poruczników powiedział coś, czego Slater nie zrozumiał, a Waggoner ze śmiechem odrzekł:

- Jakich jeszcze szkód mogą narobić?

Następnie pomaszerował w kierunku stolika zarezerwowanego dla komendanta, razem z całym swoim towarzystwem z wyjątkiem jednego mężczyzny. Slater go nie znał, ale pod kurtką miał mundur kapitana i skinął głową Kozakowi i Grovesowi, wyciągnął rękę.

- To zaszczyt pana poznać, doktorze Slater.

- Kapitan Jenkins - przedstawił go Kozak.

- Z AFIP - dodał Jenkins. - Na początku tej pracy musiałem przeczytać wszystkie pana akta w Waszyngtonie. Jeżeli wolno mi tak powiedzieć, wykonał pan ogromną robotę.

- Niech pan to powie swojemu szefowi - rzekł Groves, wskazując podbródkiem stolik Waggonera.

- Jenkins! - ryknął major. - Żadnych konszachtów z nieprzyjacielem! - Zaśmiał się, jak gdyby to był żart, ale nikt się nie dał nabrać.

- Dużo hałasuje, ale proszę się nie martwić - zapewnił Jenkins. - Na razie daje mi wolną rękę. Skorzystaliśmy z mapy profesora, żeby wpompować w szczeliny nierozcieńczony organofosforan do głębokości dwóch metrów.

- A wyciek? - spytał Slater.

- Powinien być minimalny, zresztą równocześnie wylewamy beton.

- Popęka.

- Pan o tym wie i ja o tym wiem, ale komisja nadzorująca z Waszyngtonu chciała beton, więc będzie miała beton.

Slater doszedł do wniosku, że kapitan Jenkins o wiele lepiej radzi sobie w sprawach politycznych niż on.

- W styczniu, kiedy będzie nowy budżet - ciągnął Jenkins - dopiszę do niego koszt warstwy nieprzepuszczalnej. Położymy ją wiosną.

Slater z aprobatą pokiwał głową, ciesząc się, że sprawa trafiła w tak kompetentne ręce. To, co słyszał o kapitanie, było prawdą.

Kiedy Jenkins odszedł zająć swoje miejsce przy stoliku majora, Kozak rzekł:

- Przynajmniej moje mapy do czegoś im się przydały. - Potem nachylił się i spytał: - No więc? Słyszałeś majora. Jeżeli dzisiaj tego nie zrobimy, nie będziemy mieli drugiej szansy.

Groves spojrzał pytająco na Slatera, a Kozak bębnił palcami w mapę.

Major Waggoner zaczął się z czegoś głośno śmiać, waląc pięścią w stół tak mocno, że podskoczyły talerze.

- Co mi mogą zrobić? - rzekł Slater, odsuwając krzesło i patrząc na zegarek. - Postawić mnie przed sądem wojskowym?

## **Rozdział 67**

W kolonii było tak jasno, że Anastazja nie mogła tego znieść. Jeszcze teraz, długo po zakończeniu wszystkich swoich zajęć, intruzi zostawili zapalone światła - wielkie oślepiające lampy, jaśniejsze niż tysiąc kryształowych żyrandoli. Czego się bali? Co chcieli zobaczyć? Ich zielone namioty świeciły się od wewnątrz, silniki huczały całą noc i cały dzień, ich samoloty - maszyny o dziwnym kształcie, ze śmigłami wirującymi jak wiatraczki - lądowały i startowały, wypluwając coraz to nowe maszyny, samochody i traktory, a wszystkie miały tylko niszczyć i szerzyć spustoszenie.

Cmentarza już nie było. Rozebrano słupki przy bramie, na których przed wielu laty wyrzyła swoje błagania o wybaczenie. Nagrobki bezmyślnie zwalono, a same groby wybetonowano, ale chodząc po twardej, gładkiej powierzchni, doskonale wiedziała, w którym miejscu pod jej stopami kto leży. Tu był pochowany kowal Arkady. Tam pochowano drwała Ilję, a obok spoczywała jego żona. Gdy zbliżała się do klifu, wiedziała, że niżej leżą szczątki diakona Szczepana. A dalej, w najbardziej wysuniętym miejscu, był kiedyś grób Siergieja.

Pozostała po nim tylko poszarpana blizna w ziemi.

Stała tam, wpatrując się w morze, jak od niepamiętnych czasów, zastanawiając się, czy kiedykolwiek będzie mogła dołączyć do śpiących dusz, które kiedyś знаła. Pogrzebała szmaragdowy krzyż ze swoją jedyną prawdziwą miłością, ale nie wyzwoliła się z jego mocy. Łańcuchy, które przykuwały ją do ziemi, wciąż ją mocno trzymały, dłużej niż jakiegokolwiek innego śmiertelnika. Chociaż Rasputin przepowiedział, że taka klątwa spadnie na jej rodzinę, jeśli będzie odpowiedzialna za jego śmierć, to jednak tylko ona przeżyła, by ją znieść. Dlaczego święty starzec nie przewidział i tego?

A może przewidział? Takie myśli nachodziły ją w najczarniejszych chwilach.

Dziś na Morzu Beringa kołysały się łodzie. Nawet one miały światła i regularnie kierowały je na skaliste klify i brzeg. Nikły blask jej latarni tonął w powodzi światła tych potężnych lamp. Z początku myślała, że ten najazd na wyspę może być znakiem końca jej wiecznego czysćca, ale nie żywiła już takiej nadziei. Nie wiedziała, co mogą zwiastować te wydarzenia. Może okażą się tylko fazą przejściową, przypadkowym wtargnięciem w jej samotność, po którym znów zostanie opuszczona. To nie byłoby żadne zaskoczenie.

Zaskoczeniem byłaby dla niej tylko śmierć.

Odwracając się w kierunku swojego schronienia, usłyszała ciche stąpanie wilków, swoich jedynych towarzyszy. Gdy osadnicy umierali, wilków przybywało - jeden za jedną martwą duszę. Zauważyła też, że przez wiele dziesiątków lat ich liczba nie zwiększała się ani nie zmniejszała. Nie umiały mówić, ale w ich oczach dostrzegała nadnaturalną inteligencję, przemożne pragnienie, by przekroczyć granicę milczenia oddzielającą ludzi od zwierząt. Wiedziała, że one też są tu w niewoli, uwiązane tym samym zaklęciem. Instynkt drapieżców łączył się w nich z niewzruszoną wiernością wobec nieżyjącego świętego starca, a władza proroka, jak Kirke nad świniami, trwała długo po jego śmierci w rzece.

Przewodnik stada z białą łatką na pysku wybiegł naprzód, jak gdyby chciał sprawdzić, czy może bezpiecznie przejść. Pokonywali tę drogę tysiące razy.

Nawet zawsze ciemna cerkiew była skąpana w świetle lamp; jej stara i zniszczona kopuła świeciła z daleka jak latarnia morska. Ludzie w dawnym kraju często żartowali, że

zwieńczenie rosyjskich cerkwi wygląda jak cebula, ale kiedy była mała, ojciec Grigorij wyjaśnił jej, że to święty symbol.

- Kopuła ma kształt płomienia świecy - mówił, wskazując na szczyt kaplicy w Carskim Siole. - Ma nam oświetlać drogę do nieba.

Gdyby tylko mogła w to uwierzyć. Gdyby tylko mogła odnaleźć taką ścieżkę. Och, jak prędko by nią ruszyła, nie zważając na chorą stopę.

Ale ponieważ Bóg nie zechciał wskazać jej drogi, a tych, którzy próbowali własną ręką przeciwstawić się Jego woli, czekało wieczne potępienie, pozostawało jej tylko się poddać i modlić się o zbawienie.

Pożegnała się z wilkami i przeszła przez tajemne drzwi prowadzące do jej prywatnej komnaty. Zamykając za sobą wejście, złożyła obolałe kości w tym ostatnim maleńkim schronieniu. Postawiła latarnię przy swojej ręce, zamknęła oczy i zmusiła się do powrotu do innych czasów i miejsc. Czasem było to carskie zacisze na Krymie, kiedy indziej ogród w Pałacu Aleksandrowskim. Ale zawsze z rodziną. Jak leśne zwierzę zapadające w zimowy sen, wchodziła w stan zawieszenia, w nierealny trans, z którego pragnęła już nigdy się nie obudzić.

Mimo swoich starań, zawsze się jednak budziła. Następnej nocy, a może dopiero kolejnej, wychodziła na klify z latarnią w ręku i z sercem ciężkim jak młyński kamień.

## **Rozdział 68**

Wystawiwszy głowę z namiotu, Słater przekonał się, że przejść niepostrzeżenie przez obóz do cerkwi po prostu się nie da. Major najwyraźniej wierzył w dużo święteł, które pała się bez przerwy.

Zarzucając na plecy zestaw połowy - nauczył się, że zawsze warto mieć przy sobie podstawowe wyposażenie, od apteczki pierwszej pomocy po strzykawkę - spojrzął na zegarek: dochodziła północ. Zaczekał, aż wartownik przejdzie przez obóz i skręci w stronę głównej bramy kolonii, a potem wyszedł z namiotu i pomaszerował szybko między namiotami za starą studnię. Była bezchmurna, ale przejmująco zimna noc - czy kiedykolwiek nie było tu zimno? - a uczucie chłodu potęgował przenikliwy wiatr. Nawet mimo ocieplanej odzieży musiał opanować dreszcze.

Ominął cerkiew szerokim łukiem, starając się wykorzystać każdą osłonę, aż w końcu zawrócił pod północną ścianę. Na razie nie widział nocnego patrolu.

Nie widział też sierżanta Grovesa ani Kozaka... dopóki nie usłyszał cichego gwizdu. Odwrócił się i ujrzał ich obu skulonych w wylomie palisady. Profesor niósł łopatę, a Groves zwędził gdzieś kilof. Przywołując ich gestem, Slater złapał profesora za ramię i spytał:

- Gdzie ta piwniczka?

Kozak, poruszając się szybciej, niż można się spodziewać po człowieku takiej tuszy, podbiegł kilka metrów, przyklęknął, przyjrzał się podstawie cerkwi, pomacał pokrytą śniegiem ziemię i szepnął:

- Tu. Powinna być dokładnie tutaj.

- Powinna czy jest? - dopytywał się Slater.

- Jest! Jest!

Groves nie potrzebował dodatkowych instrukcji; odsunął ich obu na bok i z szerokim zamachem wbił kilof w ziemię. Na szczęście głuchy szcęk ostrza o twardą ziemię zagłuszył porywisty wiatr. Po kilku uderzeniach sierżant zrobił przerwę, aby Kozak mógł łopata usunąć ziemię i śnieg.

- Tak, tak, jest! - ucieszył się Kozak. - Jeszcze parę uderzeń!

Groves machał kilofem, a Slater stał na czatach. Kiedy sierżant skończył, Kozak szybko odgarnął na bok ziemię i śnieg, zmieszane z kawałkami drewna i trocinami, po czym zakreślił łuk latarką.

- Frank! - szepnął gorączkowo. - Chodź!

Slater sięgnął do zestawu polowego i wyciągnął ochraniacz, w której krył się dziewięciocalowy nóż chirurgiczny; nieczęsto używał tego narzędzia, ale parę razy trzeba było wykonać nagłą amputację. Jeśli szerokie ostrze potrafiło przepiłować kość, to przypuszczał, że świetnie poradzi sobie i z drewnem.

- Patrzcie! - powiedział Kozak, zagładając do dziury. Rzeczywiście, georadar się nie mylił. W ziemi wyrąbano dynamitem prawdziwy tunel, który otworzył się przed nimi jak koryto strumienia. Cerkiew chwiała się nad nim niebezpiecznie. Ale jeśli budynek stoi od stu lat, to jakie jest prawdopodobieństwo, że zawali się akurat dziś?

Ściskając nóż w ochraniaczu zębami, Slater wsunął się do otworu z latarką w rękę. Korytarzyk był szerszy, niż przypuszczał - to dobra wiadomość dla Kozaka, który miał zejść zaraz po nim - ale przez całą drogę ocierał się głową o podłogę cerkwi. Ziemia była twarda jak skała i za każdym razem, gdy musiał podczołgać się naprzód, żebra bolały go jak diabli. Unosił się tu zapach jak w najgłębszej i najbardziej wilgotnej piwnicy, a po pokonaniu najwyżej czterech czy pięciu metrów, dalszą drogę uniemożliwiał przechył budynku. Przekręciwszy się na wznak, Slater skierował latarkę na podłogę nad głową i znalazł szparę

między dwiema deskami. Wyciągnął nóż i wcisnął go w szczelinę. Kiedy zaczął nim poruszać tam i z powrotem, wióry sypały mu się na twarz i musiał je zdmuchiwać. W końcu udało mu się wypiłować otwór na tyle duży, by włożyć palce. Pociągnął i po kilku szarpnięciach usłyszał trzask drewna. Przypomniawszy sobie, jak rozłupał wieko trumny na cmentarzu. Pociągnął znowu, ale w wąskiej przestrzeni trudno było przyłożyć odpowiednią siłę. Puścił latarkę, nabrał powietrza, odwrócił twarz, żeby chronić oczy, i obiema rękami podważył deskę. Tym razem puściła, tworząc na tyle dużą szczelinę, że mógł przez nią wystawić głowę jak peryskop.

Był w nawie, kilka metrów przed ikonostasem.

Pochylił się, przepchnął przez otwór zestaw połowy, po czym zaczął rąbać sąsiednią deskę, dopóki nie udało mu się jej poluzować i odsunąć na bok. Z dużym wysiłkiem wciągnął się do wnętrza cerkwi, ale z trudem się zmieścił. Kozak będzie potrzebował więcej miejsca, zanim więc dał mu sygnał, że może iść za nim, wyłamał jeszcze trzecią deskę, aż powstał otwór wielkości wjazdu do studzienki. Usiadł i głęboko odetchnął, masując klatkę piersiową.

Usłyszał dobiegający z dołu głos Kozaka odbijający się echem w tunelu:

- Pusto? Jesteś w środku?

Slater pochylił się nad dziurą i gwizdnął przez trociny, które miał na wargach. Usłyszał stłumione sapanie, gdy korpulentny, ale silny Kozak czołgał się po zamrożonej ziemi. Wyobraził sobie, że takie odgłosy musi wydawać niedźwiedź, gdy mości się w gawrze do zimowego snu. Kiedy Slater zobaczył zbliżające się światło latarki, wsadził głowę w otwór i zobaczył połyskujące w ciemności okulary profesora. Wyciągnął rękę i Kozak chwycił ją dłonią w skórzanej rękawiczce. Slater pociągnął, aż zabolowały go zębra, aż wreszcie geolog, parszając, wyłonił się z tunelu, podrapany, pokryty ziemią, lodem i fragmentami drewna.

- Następnym razem poproszę większą dziurę - oznajmił.

Slater się uśmiechnął.

Kozak, z nogami wciąż pod ziemią, rozejrzał się po cerkwi, oświetlonej tylko blaskiem latarek i światłem księżyca sączącym się przez szpary w dachu oraz dziury w kopule. Wyglądał jak dziecko w wesołym miasteczku.

- Cała cerkiew dla nas! - szepnął.

- Już niedługo - odparł Slater. - Chodźmy poszukać tej zakrystii.

Kozak dźwignął się na nogi i człapiąc po pochyłej podłodze, zbliżył się do sterty rupieci zasłaniającej ikonostas.

- Szukaj z tamtej strony, a ja poszukam z tej - powiedział, podchodząc do połamanych mebli i poskręcanych rusztów z paleniska.

- Czego właściwie mam szukać?

- Jesteś na południowym końcu, więc będziesz szukał wejścia - wrót z wizerunkiem świętego Michała Archanioła, obrońcy wiary.

- Po czym go poznam?

- Prawdopodobnie będzie trzymał miecz. Ja poszukam wyjścia, na którym powinien być archanioł Gabriel, posłaniec Boży.

- O które drzwi nam chodzi?

- Wszystko jedno, byle były otwarte.

Slater zwrócił twarz w stronę ścianki, próbując coś dojrzeć przez rupiecie. W blasku jego latarki mignęły drobiny farby na starych pobielonych deskach - czerwonej, złotej i niebieskiej. Tu i ówdzie dostrzegł nawet zarysy aniołów i świętych, a w jednym miejscu obraz przedstawiający chyba Arkę Noego.

- W wielkich katedrach - mówił Kozak - ikonostasy były bogato zdobione i sięgały do samego sufitu.

Ten sięgał prawie równie wysoko i Slater wyobrażał sobie, że w czasach świetności też musiał być piękny w swojej prostocie.

- Znalazłem Gabriela - uradował się Kozak - dmie w róg.

- Na nasze powitanie?

- Nie, drzwi są zamknięte i zabite deskami. Bardzo dziwne.

Kozak podszedł do Slatera.

- Może będziemy mieli więcej szczęścia ze świętym Michałem.

Odsuwając na bok połamane stoły jadalniane i popękane beczki, oświetlali ścianę latarkami, dopóki Slater nie dojrzał obramowania drzwi - wąskich i zakończonych łukiem, z ledwie widocznym zarysem złotowłosego świętego dzierżącego srebrny miecz. Na drzwiach wisiał otwarty zardzewiały łańcuch i nie zabezpieczały ich żadne deski.

Nie musieli się naradzać. Każdy z nich chwycił jeden koniec przewróconej ławki i ostrożnie odsunęli ją od ikonostasu. Następnie Slater uprzętnął trochę mniejsze rupiecie, jak gdyby wycinał zielsko z ogrodu, aż dostał się do samych wrót. Jeżeli była w nich klamka, to dawno odpadła i pewnie leżała gdzieś w ciemności u ich stóp.

- Pozwól - powiedział Kozak, przepychając się obok niego i opierając się ramieniem o drzwi. - Jeżeli jest jakaś klątwa, niech spadnie na mnie.

Naparł na drzwi krzepkim ramieniem i Slater usłyszał pisk zabytkowych zawiasów, które jednak nie puściły.



- Dobra rosyjska robota - mruknął Kozak, pochylając głowę i pchając mocniej. Po kilku sekundach rozległ się trzask, najpierw jednego zawiasu, potem drugiego. Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem, szorując dołem po podłodze.

Kozak stanął z boku i szerokim gestem zaprosił Slatera do wejścia.

- Nie obchodzi mnie, co mówią w Waszyngtonie - oświadczył. - Dla mnie wciąż jesteś szefem misji.

Slater, wdzięczny za wotum zaufania, wślizgnął się w szparę, otwierając drzwi szerzej. Pajęczyny osiadły mu na głowie, a powietrze w środku było zimne, nieruchome i duszące jak w chłodni z mięsem. Miał dziwne wrażenie, że narusza jakieś święte, dawno nietknięte miejsce. Omiótł pomieszczenie latarką, ale jej blask tonął w atramentowym mroku. Tu nie było dziur w dachu ani szpar w ścianach, przez które mogłoby wpadać światło księżycy; nawet podłoga, kiedy ją oświetlił, miała matowy połysk smoły. Zakrystia była zamknięta szczelnie jak grobowiec.

- Dużo bym dał za lampę - powiedział Kozak.

Slater też. Latarka pozwalała zobaczyć tylko pojedyncze szczegóły: drewniany ołtarz, okryty czerwoną i białą tkaniną, kilka naczyń liturgicznych - kielichy, miseczki i tace. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu.

Był tu także kandelabr z resztkami świec.

- Masz przy sobie zapalki? - zapytał Slater, a Kozak poklepał się po kieszeni, w której nosił fajkę.

- Zawsze.

Slater oświetlił latarką kandelabr, a profesor zapalał jedną zapalkę po drugiej, próbując znaleźć knoty. W końcu udało mu się zapalić cztery z siedmiu świec, które rozjaśniły pomieszczenie migoczącym, ale bardziej rozproszonym światłem.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważył Slater, były drzwi wysokości najwyżej półtora metra, wycięte w równej linii ze ścianą z bali i zamknięte na zasuwę. Pokazał je Kozakowi, mówiąc żartobliwie:

- Szkoda, że nie wiedzieliśmy o nich wcześniej.

- Ach - odparł Kozak, przeczesując palcami brodę. - Drzwi biskupie. Spotyka się je w wielkich cerkwiach w takich miastach jak Moskwa, gdzie biskup może zapragnąć pojawić się w cudowny sposób. Ale nigdy nie spodziewałbym się zobaczyć ich tutaj. - Szarpnął zasuwę, a ona poruszyła się bez trudu. - Raczej nie mogli się spodziewać, żeby ich cerkiew odwiedził jakiś biskup.

- A wielka księżna? - Slater zaczynał wierzyć w to, co Kozak przetłumaczył z księgi zgonów.

\*

Kozak pokręcił jednak głową.

- Nie sądzę, żeby nawet ona wiedziała, że dożyje tutaj swoich dni.

- No to dla kogo były przeznaczone?

- Gdybym miał zgadywać - odrzekł profesor - powiedziałbym, że chodziło o jej opiekuna i spowiednika. Człowieka, którego ci ludzie przyjechali tu czcić. O Rasputina.

Slater jeszcze raz spojrzął na drzwi z grubo ciosanego drewna, dopasowane do ściany tak sprytnie, że gdyby nie zasuwa, można ich było nie zauważyć. Z zewnątrz zupełnie nie było ich widać.

Pod przeciwległą ścianą stała otwarta szafka z lustrami, w której wisiały na hakach dwie sutanny. Kozak z szacunkiem pogładził rękaw białej, mówiąc:

- Ta była zakładana tylko na Paschę. Wielkanoc.

Druga była czarna, ze szkarłatną podszewką. Kiedy odsunął ją na bok i sięgnął w głąb szafki, poczuł krawędź misy - najprawdopodobniej lawaterza, do obmywania rąk przez kapłanów - i zaczął ją wyciągać. W misie rozległ się stukot kamyków.

- Frank. - W głosie Kozaka brzmiał ton nabożnego lęku. - Frank.

Profesor podszedł do ołtarza, niosąc przed sobą misę tak ostrożnie, jakby to była sama hostia. Kiedy ją postawił, Slater skierował do wnętrza snop światła latarki i odniósł wrażenie, jakby patrzył na kalejdoskop.

Misa była z białej porcelany ze złotym brzegiem, ale wewnątrz, jak szklane kulki, spoczywał oszłamiający stos klejnotów: białych brylantów, płomiennych rubinów, szafirów niebieskich jak szczeliny w lodowcu, szmaragdów zielonych jak kocie oczy. Były też złote i srebrne pierścienie, bransolety oraz brosze z kości słoniowej i onyksu, a także zwinięte i splątane sznury pereł, które przybrały barwę słabej herbaty. Kozak zanurzył w nich dłonie, jak gdyby mieszał sałatę, i obracał kamienie w palcach. Stukały i pobrzękiwały, a odgłos odbijał się w zakrystii echem.

- Królewski skarb - rzekł Slater.

- Nie - odparł Kozak. - Carski.

Slater nie wyobrażał sobie takiego znaleziska. Przystał na plan profesora bardziej z ciekawości niż z przekonania - nie mówiąc o przyjemności zignorowania rozkazów majora Waggonera - a teraz przypadkiem natknęli się na dawno zaginiony i legendarny skarb. Znaleźli to, co zostało z klejnotów Romanowów.

Świece skwierczały i kapały na ołtarzu. Z jednej spadła iskra i poszybowała w głąb pomieszczenia. Slater najpierw odprowadził ją wzrokiem, a po chwili latarką, ponieważ zdawało mu się, że w cieniu coś dostrzegł.

Kozak wciąż był pochłonięty oglądaniem kamieni, lecz Slater zrobił krok w głąb zakrystii.

W najciemniejszym kącie stało krzesło, nie, raczej tron na czymś w rodzaju podestu. Miało grube pazurzaste nogi, które wystawały spod długiego, cieniutkiego jak pajęczyna baldachimu, umocowanego u sufitu. Był tak wielki, że stanowił małe oddzielne pomieszczenie. Czyżby to miejsce też czekało na przybycie Rasputina?

Gdy podszedł jeszcze bliżej, zdawało mu się, że widzi wystający spod tkaniny czubek buta. Niemożliwe. Chwyił baldachim i unióś o parę centymetrów, na tyle, by zobaczyć, że but jest ciężki i czarny, wysoko sznurowany i z grubym obcasem, jak gdyby został dopasowany do zdeformowanej stopy. Unosząc spłowiałą tkaninę wyżej, zobaczył postrzępiony rąbek długiej spódnicy z ręcznie tkanej granatowej wełny.

- Wasilij - powiedział - podejdź tu.

- Nie widzisz, że jestem zajęty? - zażartował Kozak.

- Mówię poważnie.

Kozak zbliżył się wolno, na chwilę zasłaniając szerokimi plecami blask świec, a widząc krzesło pod baldachimem, rzekł:

- A to jest biskupi tron. Czyli jednak musieli się spodziewać Rasputina.

Kiedy Slater pokazał mu but i spódnicę, profesor zamarł.

- Boże - wyszeptał.

Slater odgarnął tkaninę na bok, bardzo delikatnie, ale i tak zaczęła się drzeć i odrywać od haków. Wzbiła się przy tym chmura kurzu i obaj musieli się odwrócić, kaszląc i zamykając oczy. Gdy kurz nieco opadł i Slater odwrócił się z powrotem, osłupiał. W pierwszej chwili przyszedł mu na myśl mumie znalezione w Andach.

Na krześle, prosto jak królowa, siedziała stara kobieta. Miała zamknięte oczy i długie siwe włosy, zaplecione w warkocz spływający na pelerynę. Pod spodem miała kilka warstw ubrań - zobaczył kołnierz wytartej bluzki, kurtkę z jakiejś skóry, a nawet dół bogato haftowanego gorsetu.

Najbardziej fascynująca była jednak jej skóra. Poznaczona tysiącem zmarszczek twarz wyglądała jak stare zwiędłe jabłko, spoczywające na oparciach krzesła ręce były brązowe ze starości, a palce wyglądały jak kruche gałązki. Jedna dłoń dotykała podstawy staroświeckiej latarni naftowej.

- Myślisz... - zaczął Slater, ale zanim dokończył, Kozak powiedział:

- Tak. Nawet but to potwierdza. Anastazja miała zdeformowaną lewą stopę.

Przez co najmniej minutę stali, milcząc z szacunkiem, zatopieni w myślach. Slater zastanawiał się już, jak powiedzieć o tych odkryciach majorowi, który surowo zakazał im wychodzić poza kwatery. Waggoner mógł grzmieć, ile chciał, ale w obliczu twardych dowodów - pełnej klejnotów misy i zamarzniętych zwłok - nie będzie miał innego wyjścia, jak tylko zawiadomić zwierzchników w Straży Przybrzeżnej, AFIP i Bóg wie, ile jeszcze innych służb.

- Co robimy? - przerwał ciszę profesor, a Slater przestawił się na tryb naukowy. Gdyby nie zaskakujący, niemal niewiarygodny charakter ich odkrycia, co zrobiliby w takiej sytuacji? Jaki byłby następny punkt w bardziej logicznych okolicznościach?

Systematyczne zebranie dowodów. Przy każdym zadaniu epidemiologicznym pierwszy cel polegał na zebraniu wszystkich dostępnych na miejscu danych i dowodów, i to właśnie musiał zrobić tu i teraz, jeszcze przed poinformowaniem majora. Slater nie był wcale pewien, czy kiedy Waggoner o wszystkim się dowie, to czy on sam w ogóle zostanie dopuszczony do sprawy. Najprawdopodobniej będzie czekał pod strażą na najbliższy helikopter, który zabierze go z wyspy, a gdyby major postawił na swoim, to może nawet w kajdankach. Nie, zrozumiał, że to może być jego jedyna szansa na jakiegokolwiek badanie naukowe.

Slater wyciągnął swój zestaw połowy i otworzył go, układając w głowie plan zadania. W przeciwieństwie do pozostałych mieszkańców wyspy, Anastazja najwyraźniej nie umarła na gripę - była odporna, tak jak on, kiedy przetrzymał kryzys w szpitalu w Nome. Nie zapominał jednak, że to ona prawie sto lat temu przywiozła tu wirusa. W związku z tym najważniejsze to zachować konieczne środki ostrożności, zwłaszcza ze względu na Kozaka.

Wyciągnął maskę z gazy i kazał ją profesorowi nałożyć i stanąć z tyłu obok ołtarza.

- Dlaczego? - zapytał Kozak. - Co zamierzasz zrobić?

Slater, sam również zasłaniając usta i nos maseczką, odparł:

- Dać twoim kolegom z Instytutu Trofimiuka małe próbki DNA, jeżeli wszystko pójdzie dobrze.

- Ach tak, dziękuję. - Kozak założył za uszy gumki maseczki. - Wydaje mi się, że będą je woleli od królewskich klejnotów.

Slater zdjął latarnię z oparcia krzesła i postawił na podium obok buta kobiety. Nie rozumiał tylko, skąd wzięła się tu wilgoć; nawet brzeg jej długiej spódnicy wydawał się mokry. Przypuszczał, że to pewnie topi się śnieg na jego kurtce.

Obejrzał zwłoki, wybierając najlepsze miejsce na pobranie próbki. Włosy zawierały informację genetyczną, zwłaszcza gdyby udało mu się wydobyć mieszek włosowy - sama łodyga zawierałaby tylko DNA mitochondrialne - ale były w stanie rozkładu i mogły się okazać niewystarczające. Jej kościste nadgarstki były natomiast doskonale wyeksponowane i gdyby mógł pobrać odrobinę skamieniałej skóry i komórek krwi z żyły, miałby najbogatsze i najbardziej obiecujące próbki.

Kładąc latarkę na drugim oparciu krzesła, przypomniał Kozakowi, żeby się zanadto nie zbliżał.

- Ale spróbuj potrzymać świecznik. Potrzebuję wszystkich świateł, jakie są pod ręką.

Kozak uniósł kandelabr, a Slater w drżącym blasku odnalazł żyłę, ledwie widoczną niebieską kreskę pod plamistą brązową skórą, po czym wyjął z zestawu strzykawkę. Aby mieć lepszy kąt, nieco odwrócił dłoń - poruszała się swobodniej, niż mógł sądzić - odciągnął tłok i ostrzem lekko dotknął ciała.

- Potem nacisnął strzykawkę.

Wtedy ręka drgnęła.

Slater wzdrygnął się i odsunął, pozostawiając wbitą igłę strzykawki.

Nawet Kozak zauważył, co się dzieje.

- Matko Boża - wykrztusił profesor.

Slater cofnął się, najpierw w zdumieniu, potem w przerażeniu.

Oczy kobiety otworzyły się - były jasnoszare - i spojrzały na niego, jak gdyby wciąż była pogrążona we śnie i nie chciała się obudzić. Poruszyła się na krześle w taki sposób, jak śpiący człowiek odwraca się na drugi bok, a jej but strącił z brzegu podium latarnię, która roztrzaskała się na podłodze. Krople nafty rozprysły się we wszystkie strony, nasączając zerwany baldachim.

- Matko Boża - powtórzył Kozak, robiąc krok do tyłu i potykając się. Świecznik zakolysał mu się w ręce i zapalona świeca spadła z podstawki, lądując na podłodze.

Rozległ się trzask i nafta zajęła się płomieniem, który pomknął po podłodze zakrystii.

Slater nie wierzył własnym oczom.

Stara kobieta sama wyglądała na zaskoczoną, chociaż wcale się nie bała. Nie drgnęła, żeby się odsunąć od buchającego ognia.

- Musimy uciekać! - krzyknął Kozak. Slater słyszał, jak zaczął się mocować z zasuwą na drzwiach biskupich.

Ogień liznął brzeg baldachimu i sucha tkanina zapłonęła jak pochodnia. Płomienie przeskoczyły na brzeg serwet na ołtarzu, które też się zapaliły, otaczając lawaterz jak

pierścień świętego ognia. Rubiny lśniły jak węgle, brylanty płonęły, sama misa poczerniała i pękła, a kamienie rozsypały się po całym ołtarzu.

Slater usłyszał, jak zasuwa z łomotem spada na podłogę. Rozgrzana smoła zaczęła się topić.

- Chodź! - krzyczał Kozak.

Ale nie mógł zostawić staruszki, kimkolwiek była, na pastwę płomieni.

- Chodź! - wołał profesor, otwierając drzwi biskupie. Do pomieszczenia wpadł podmuch lodowatego wiatru, jak gdyby niecierpliwie czekał na swoją kolej, i zanim Slater zdołał wykonać jakiś ruch, w całej zakrystii zawirował nagle ogień, popiół, dym i śnieg. Staruszka nieporuszenie siedziała na swoim podium i Slater mógłby przysiąc, że rozłożyła nawet ręce przed burzą ognia, jak gdyby witała dawno zaginionego kochanka. Wydawało mu się nawet, że słyszy jej wołanie: „Siergiej! Siergiej!”

Z kałuży nafty u jej stóp strzelały na jej ciało macki płomieni. Gdy jej włosy eksplodowały koroną ognia, Slater poczuł na kołnierzu ciężką rękę Kozaka, która wyciągnęła go z cerkwi.

Na zewnątrz Kozak rzucił go na ziemię; nie zauważył nawet, że tłą mu się spodnie, a buty lepią się od gorącej smoły. Pojawił się Groves, który zduślił ogień garściami śniegu, cały czas odciągając ich od szalejącej pożogi.

- Co się dzieje? - krzyknął któryś ze strażników, biegnąc w stronę kłębow dymu. To był Rudy z karabinem, który szybko odwrócił, kiedy zobaczył, kto to. - Co wy tu robicie?

Rudy zajrzał do zakrystii tak jak Slater, ale to było tak, jak gdyby spoglądali w brzuch wielkiego pieca, języki ognia syczały i pluły, sięgając aż do cebulastej kopuły i rozświetlając ją jak płomień świecy, który miała symbolizować. Cała cerkiew z potężnym trzaskiem i hukiem zaczęła się walić do środka, strzelając iskrami i serpentynami ognia. Niesione wiatrem, lądowały na drewnianej pokrywie studni, na dachach sąsiednich chat, na kuźni.

Strażnicy i robotnicy wysypywali się z baraków, nakładając w pośpiechu skafandry, buty i rękawice, krzycząc i biegnąc na łeb, na szyję przez kolonię.

Ogniem zajęła się pierwsza budowla, potem druga, aż w końcu wyglądało to tak, jak gdyby cała palisada utworzyła pierścień pomarańczowych płomieni. Slater, Kozak i Groves zeszli ze wzgórza w kierunku głównej bramy, zderzając się z majorem Waggonerem w rozpiętej kurtce, rozwiązanych butach i z włosami w nieładzie. Patrzył na nich przez sekundę, ale Slater uznał, że to wystarczy, aby się domyślił, kto za to odpowiada. Spodnie Slatera były przypalone i łopotały na wietrze.

- Podłączyliśmy wąż, majorze! - wrzasnął do niego jeden ze strażników, ale Waggoner spojrział na nacierającą ścianę ognia i machnął ręką w stronę bramy.

- Uciekać! Natychmiast uciekać! - Wspiął się na wzniesienie, ale dym gęstniał z minuty na minutę. - Ewakuacja! - krzyknął do wszystkich, którzy go jeszcze słyszeli. - Ewakuować kolonię!

Podczas gdy sierżant torował im drogę, Slater i Kozak dołączyli do reszty, która, przepychając się, płynęła ku bramie, a kiedy bezpiecznie znaleźli się na klifach i spojrzeli za siebie, kolonia przypominała już gigantyczne ognisko wypełniające niebo chmurą dymu i popiołu, podsycane przez zdradziecki wiatr znad Morza Beringa. Slater czuł, jak popiół osiada mu na gołej głowie i na ramionach.

Cerkiew dawno runęła z fundamentów i nie było jej już nawet widać. Gdzieś pośród płonących ruin leżały klejnoty Romanowów i ich ostatnia prawowita właścicielka... Wielka Księżna Anastazja. Slater był już pewien, choć nikt poza profesorem Kozakiem nigdy nie będzie o tym wiedział ani w to nie uwierzy.

Postanowił, że nikomu nie powie, nawet Nice. Lepiej, jeśli tę ziemię będzie się uważać za nagą i wypaloną, lepiej, jeśli ostatniej z rodu Romanowów pozwoli się spoczywać w pokoju i nie będą jej zagrażać poszukiwacze skarbów i hieny cmentarne, takie jak Harley i Charlie Vaneowie. Czekwała bardzo długo i bez względu na to, jaka klątwa więziła ją na tej samotnej wyspie dłużej niż trwało życie jakiegokolwiek zwykłego śmiertelnika, Slater miał nadzieję, że nareszcie została ona zdjęta.

Niech buldożery, organofosforany, beton i osłony nieprzepuszczalne pogrzebią kolonię na zawsze. Niech nikt nie zakłóca spokoju Anastazji, niech jej grób pozostanie nieznany i bezimienny.

Co nie znaczy, że nikt nie będzie jej oplakiwał. Wiatr przyniósł rozlegające się na całej wyspie wycie czarnych wilków... żałobny lament, który trwał całą noc.

Pożar dopalił się nazajutrz rano i dopiero wtedy - choć było jeszcze ciemno - major zebrał grupę rozpoznawczą, która miała wrócić do zgliszczy i ocenić sytuację.

Kiedy Slater zgłosił się na szefa wyprawy, Waggoner zmierzył go wściekłym spojrzeniem i wyrzucając z siebie słowa jak karabin maszynowy, powiedział:

- Nigdy nie powinienem był ci pozwolić wrócić na wyspę.

Tym razem Slater uznał, że ma rację.

## Rozdział 69

Helikopter nawet nie wyłączył silników. Po prostu dotknął płozami tafli lodowiska i gdy tylko otworzyły się drzwi kabiny, Slater, Kozak i sierżant Groves zostali dosłownie wyrzuceni razem ze swoim sprzętem i plecakami. Z ładowni wywieziono georadar profesora, a po chwili śmigła, które ani na moment nie przestały się obracać, z powrotem uniosły maszynę w ciemne niebo. Slater patrzył, jak śmigłowiec kieruje się z powrotem w stronę spustoszonej Wyspy Św. Piotra, a serce wypełniło mu poczucie głębokiego żalu - nic w życiu nigdy nie poszło mu aż tak źle - a jednocześnie niezaprzeczalnej ulgi.

To już nie był jego problem.

Odprawa, która miała się odbyć rano, została odwołana ze względu na pożar, a major Waggoner zadał mu tylko jedno pytanie:

- Doktorze Slater, ogień wybuchł przypadkowo, czy został celowo podłożony?
- Przekładkowo - odrzekł Slater. Nie było sensu się wypierać.

Major, który miał pełne ręce roboty, powiedział mu, żeby zachował notatki, dokumenty i sporządził pełny raport z Port Orlov.

-...czy dokąd tam pan pojedzie. Osobiście nie mam najmniejszej ochoty znowu pana oglądać i proszę mi wierzyć, że to samo odczucie panuje w biurach AFIP w Waszyngtonie.

Rzeczywiście, tu się nie mylił. Frank zadzwonił jeszcze jeden, ostatni raz do doktor Levinson, która słuchała go obojętnie, gdy zdawał ocenioną relację z przebiegu wydarzeń na wyspie - nie wspominając o klejnotach i broń Boże o ich właścicielce - a gdy zrobił przerwę dla nabrania oddechu, poinformowała go, że Rebekah Vane także padła ofiarą grypy, gdy leczono ją na zamkniętym oddziale zakaźnym w Juneau.

- Myślałem, że jest w stabilnym stanie - wymamrotał.
- Ja też - odparła Levinson. - Myliliśmy się oboje.

Usłyszał w jej głosie rozczarowanie, a nawet lekceważenie.

- Czy doszło do innych naruszeń procedur - zapytał, bojąc się odpowiedzi - i czy były inne ofiary?

- Jak dotąd, nie. Uważamy, że zdążyliśmy na czas i ustanowiliśmy odpowiednią strefę kwarantanny. - W słuchawce zapadła cisza. - Nie muszę chyba dodawać, że pański raport będzie ściśle tajny. Nakładam na pana i pozostałych członków zespołu ściśle embargo informacyjne.

- Jasne.

- Doprawdy, doktorze? Bo na tej misji nic więcej nie było jasne.

Przyjął cios. Zasłużył na niego.



- Czekam na pański raport za tydzień. Aha - dodała lodowatym tonem - proszę się nie spodziewać żadnych referencji. - I rzuciła słuchawkę.

Gdyby to nie było takie przykre, mógłby się nawet roześmiać. Ale biorąc pod uwagę jego obecne plany, wątpił, czy w ogóle będzie potrzebował referencji.

- No i co? - spytał go Groves. - Zrzucimy rzeczy w ośrodku i pójdziemy do miasta coś przegryźć?

Slater skinął głową i wszyscy trzej zmęczonym krokiem zeszli z lodowiska.

W ośrodku zastali Geordiego, który sam pilnował interesu.

- Tak, domyśliłem się, że ten śmigłowiec was przywiezie - powiedział. - Ale jeżeli szukacie naszej burmistrz, to jest już na uroczystości.

- Jakiej uroczystości? - zdziwił się Kozak.

Nawet Slater zapomniał, że zaplanowano ją na dzisiaj.

- Drugie odsłonięcie słupa totemicznego - wyjaśnił Geordie, jak gdyby podawał wiadomości ze świata. - Pamiętacie, jaki był przechylony? Zebrało się parę osób z miasta, parę firm i go naprawili.

- To dlaczego ciebie tam nie ma? - zapytał Groves, a Geordie zerknął na zegar ścienny.

- Ratusz oficjalnie jest czynny do osiemnastej. Zostało mi jeszcze nie-

\* całe pół godziny.

Mężczyźni zachichotali, a Slater rzekł:

- Podziwiam twoją etykę zawodową, ale jeżeli wszyscy poszli na imprezę, to kto tu będzie dzwonił?

Geordie rozważał to może dwie sekundy, a potem chwycił wiszącą na krześle kurtkę i powiedział:

- Idziemy, lepiej tego nie przegapić!

Gdy mijali po drodze sklep z bronią „Arctic Circle Gun Shoppe”, Slater zatrzymał się na chwilę, żeby zajrzeć w głąb alejki. Zobaczył starą przyczepę Harleya Vanea, przez żaluzje nie sączyło się już fioletowe światło, a na klamce wisiała żałośnie kartka „DO WYNAJĘCIA”. Co za masę kłopotów złowił Harley tamtej nocy w swoje sieci, pomyślał Slater, i ile osób w rezultacie straciło życie, nie wyłączając jego samego.

Front Street była rzęsiście oświetlona na całej długości, a bar „Yardarm” zbierał obfite żniwo. Choć totem był zasłonięty płóciennym żaglem, wszystko wskazywało na to, że stoi prosto.

- Szkoda, że nie pozwolili mi najpierw zbadać gruntu - mruknął Kozak, a Groves oddzielił się od nich i pozełgował do zatłoczonego baru. - Jeżeli nie zrobili tego porządnie, znowu się przechylili.

Między totemem a portem zaparkowano ciężarówkę z platformą, na której stały dwa potężne głośniki, z których dudnili BlackEyed Peas. Na ulicy kręciła się może setka ludzi, zacierających ręce nad płonącymi koksownikami, którzy popijali piwo z lodowatych puszek albo gorący jabłecznik z parujących kubków, śmiali się i przekrzykiwali muzykę. Parę osób tańczyło, żeby się zagrzać.

Slater uniósł Geordiemu jeden nausznik, pochylił się i zapytał:

- Gdzie Nika?

Geordie odwrócił się, pokazując na kapitanat portu.

Za jednym z oświetlonych okien budynku zobaczył ją, jak stoi ze spuszczoną głową i coś czyta. Podeszedł bliżej i stanął tuż pod oknem. Ściany były oklejone mapami i ulotkami, na krokwiach wisały sieci rybackie i wędkę.

Nika robiła notatki na marginesie wymiętej kartki i nie widziała go w oknie. Przez chwilę po prostu cieszył się z okazji, że może ją niepostrzeżenie obserwować. Ostatnim razem, gdy ją widział, wieziono ją na wózku do ambulansu, którym miała wrócić do Port Orlov, i choć nie wyglądała już tak trupio jak wcześniej, nadal wydawała się bledsza niż zwykle. Jej czarne włosy były zaplecione w dwa warkocze i, być może ze względu na szczególną okazję, ozdobione wstążkami oraz kolorowymi koralikami. Pomyślał, że wygląda tak pięknie i naturalnie jak jej prababki.

Nagle uniosła wzrok, jak gdyby wyczuwając jego obecność. Spojrzała w ciemność, uniosła rękę, a Slater ruszył do drzwi.

Ledwie je otworzył, już znalazła się w jego ramionach. Zamknął drzwi nogą i po prostu stali, tuląc się w milczeniu. Jeśli Slater miał jeszcze jakieś wątpliwości, jeśli pozostały jeszcze jakieś zastrzeżenia co do decyzji, którą już podjął (ale jeszcze jej nie ogłosił) - wszystkie stopniały w ciepłe ich uścisku.

\*

Zanim jednak zdążył znaleźć odpowiednie słowa, Nika, z twarzą wciąż wtuloną w jego pierś, powiedziała:

- Pracowałam nad tym, co mam powiedzieć.

- O totemie?

- Nie mogę zapomnieć o żadnym z darczyńców, którzy pomogli zebrać pieniądze albo wykonać prace.

Wygląda na to, że serca mieli tak zajęte ważniejszymi sprawami, iż mogli rozmawiać tylko o najbliższych i najmniej znaczących rzeczach.

- Na pewno sobie poradzisz - uspokoił ją.
- Publiczne występy to nie jest moje ulubione zajęcie.
- Będziesz świetna.

Objął ją jeszcze mocniej, chcąc jej dodać otuchy, a potem rozdzielili się, żeby mógł spojrzeć w ciemne jeziora jej oczu. Wiedział, że ten widok nigdy mu się nie znudzi.

- Trochę ostatnio myślałem - zaczął odrobinę niepewnym głosem; żałował, że nie przygotował sobie lepszego początku.

- O czym?
- O tym, co teraz będę robił, skoro nie pracuję już w AFIP. Pomyślałem, że...

Rozległ się łomot do drzwi, w szybę trafiła śnieżka, a grupka nastolatków dokazująca na dworze wrzasnęła:

- E, pani burmistrz, tak przy wszystkich?
- To o której w końcu zobaczymy totem?

Nika zaśmiała się z zakłopotaniem i odsunęła się od Slatera. Zerknęła na zegarek i odkrzyknęła:

- Jeszcze nie pora. Oficjalnie o szóstej.
- Wyglądało, że jednak pora! - huknął jeden z nich pod oknem, a reszta ryknęła śmiechem i rozbiegła się na wszystkie strony.

Slater próbował zebrać myśli, ale Nika wróciła do stołu, gdzie zostawiła swoją przemowę, i jeszcze raz ją przejrzała. Dopisała na liście jeszcze jedną pozycję - skład drewna i tartak Growdona - a potem złożyła kartkę i wsunęła ją do kieszeni kurtki.

- Och, prawie zapomniałam, że to mam - powiedziała, wyciągając nieprzezroczystą foliową torebkę z napisem „Regionalne Centrum Medyczne Nome”. - Przy wyjściu dał mi to sanitariusz.

Slater wziął od niej torebkę i otworzył.

- Znalazłam to na moście i oddali mi razem z osobistymi rzeczami.

Slater nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Rosyjski prawosławny krzyż ze srebra, wysadzany szmaragdami.

- To pewnie Charliego albo jego żony.

Slater wiedział swoje.

- Ale wiem, że Charlie nie żyje - ciągnęła Nika. - Harley też.

Slater wiedział, że w następną niedzielę ma się odbyć nabożeństwo żałobne za braci Vane, zastanawiał się jednak, ile osób się na nim zjawi.

- Chyba powinniśmy to oddać jego żonie - podsumowała.

- Rebekah też nie przeżyła - odparł Slater. - Umarła na gripę w szpitalu w Juneau.

Nika nie wiedziała o tym i wiadomość ją poruszyła.

- Co się stanie z Bathshebą?

- Z tego, co wiem, wraca do sekty w Nowej Anglii. Widocznie zagubiona owieczka jest tam ciągle w cenie.

Nika skinęła głową z wyraźną ulgą. Ale przyglądając się krzyżowi, zapytała:

- Co w takim razie z tym zrobimy? Wygląda na bardzo cenną rzecz.

Fakt, że w ogóle oddali krzyż, był rażącym złamaniem procedur medycznych i w innych okolicznościach Slater zrobiłby im piekło. W tym jednym przypadku był to jednak dar niebios. Popęłniłby największy błąd, gdyby ujawnił jego istnienie albo komukolwiek go przekazał. Odwracając go, zobaczył inskrypcję, oczywiście po rosyjsku. Zastanawiając się, co może oznaczać, wsunął krzyż do kieszeni swojej kurtki i powiedział:

- Zajmę się tym.

- Zaczynamy, pani burmistrz, tyłki nam marzną! - krzyknął jeden z nastolatków na przystani.

Nika wcisnęła do kieszeni kartkę z przemową i powiedziała:

- Może lepiej mieć to już z głowy.

Slater otworzył drzwi i ruszyli w stronę wrzawy wokół słupa totemicznego, który wciąż nakryty był żaglem.

Nika zawołała kilku uczestników uroczystości i poprosiła ich, żeby ustawili wokół swoje samochody i oświetlili totem reflektorami. Następnie wspięła się na platformę ciężarówki, odłączyła od głośników długie kable i podłączyła mikrofon. Muzyka urwała się raptownie, a tłum ucichł, patrząc, jak światła samochodów kierują się na totem. Słysząc tylko trzask płomieni w koksownikach i szum wiatru, nigdy niemilkącego wiatru od morza. Niebo było bezchmurne.

Stojąc na ciężarówce z mikrofonem w ręku, Nika przywitała wszystkich, najpierw po angielsku, a potem w ojczystym języku Inuitów. Wiele osób w tłumie z satysfakcją pokiwało głowami, zwłaszcza starsi, którzy usłyszeli swój niemal zapomniany język. Slater doskonale rozumiał, jak to się stało, że ta młoda energiczna kobieta została członkiem rady plemiennej.

- Zanim przejdę do najważniejszego powodu, dla którego się tu zebraliśmy, chcę skorzystać z okazji i odpowiedzieć na kilka ważnych pytań, które przez cały dzień kierowano do naszego ośrodka kultury.

- Tak, co się paliło w nocy? - zawołał chłopak w puchowej kurtce. - Podobno Wyspa Św. Piotra? Ciągle czuć dym.

- Tak, w dawnej kolonii wybuchł pożar. Ale poinformowano mnie - dodała, ruchem głowy wskazując Slatera, który stał obok ciężarówki - że sytuacja została całkowicie opanowana i odtąd wyspa będzie pod nadzorem Straży Przybrzeżnej.

- Przecież to nasza ziemia - poskarżył się starszy Inuita. - Jest nasza na mocy traktatu.

- Mogą ją sobie wziąć - odpowiedział mu inny głos. - To i tak od stu lat jest przeklęta wyspa.

Nika podniosła rękę i powiedziała:

- Nadal należy do nas. Ale na razie nie ma tam wstępu.

Slater wiedział, że już nigdy absolutnie nikt nie będzie miał tam wstępu.

- A o co chodziło z tą kwarantanną? - zapytał biały mężczyzna w czapce Green Bay Packers. - Co to znaczy, że rząd mówi mi, gdzie mogę, a gdzie nie mogę jechać? Nie mogłem się dostać do mojej chatki rybackiej.

Przez tłum przebiegł szmer, wiele osób pokiwało głowami, a Slater usłyszał kilka głosów sugerujących jakiś spisek.

- To był nadzwyczajny środek ostrożności - wyjaśniła. Starannie dobierała słowa, trzymając się scenariusza, który przeciwczyli ze Slaterem w Nome. - Mogę tylko powiedzieć, że istniało niewielkie ryzyko, że do Port Orlov przedostała się zaraźliwa choroba i na wszelki wypadek zamknięto najbliższą okolicę miasta. Nie ma już zagrożenia. Żadnego.

- Co się naprawdę stało z Vane'ami? - zapytał kibic Packersów. - Charlie Vane ciągle jest mi winien sto dolców za odśnieżarkę.

- Tak jak poinformowałam was w biuletynie - tłumaczyła cierpliwie Nika - Charlie i Harley Vane zginęli w wypadku samochodowym na moście na Heron River. W najbliższą niedzielę odbędzie się nabożeństwo żałobne.

- Ale mojej stowy już nie dostanę.

Nika rozsądnie zbyła milczeniem tę uwagę, a kiedy Slater zaczął się obawiać, że cała uroczystość przerodzi się w demonstrację niezadowolonych, Nika poprosiła wszystkich, żeby zebrali się u stóp słupa totemicznego.

- Od bardzo dawna w centrum naszego miasta mieliśmy powód do wstydu - mówiła. - Jako wasz burmistrz ponoszę za to dużą część winy. Ten totem został zbudowany dwieście lat temu przez naszych przodków, rdzennych Amerykanów, którzy pozostawili go w spadku swoim potomkom. To coś więcej niż pamiątka. Totem symbolizuje lud Inuitów, ich historię, legendy, duchy. Miał nam przypominać o naszym dziedzictwie i jednocześnie czuwać nad naszym dzisiejszym życiem.

Zrobiła pauzę, by wszyscy dobrze zrozumieli te słowa.

- Ale sami nad nim nie czuwaliśmy. Pozwoliliśmy, żeby spłowiała farba. Pozwoliliśmy, żeby popękało drewno. Pozwoliliśmy, żeby prawie się przewrócił.

Innuci w tłumie poczuli się szczególnie nieswojo, uświadamiając sobie własne zaniedbanie. Nawet niektórzy biali wyglądali na nieco zmieszanych.

- To jest symbol Alaski, dlatego zawsze powinien stać dumnie i wysoko. Tak samo jak wszyscy Alaskanie, bez względu na pochodzenie.

Można się było spodziewać, że ta opinia spotka się z ogólną aprobatą, i tak się stało.

- Dlatego właśnie zebraliśmy się tu dzisiaj, wszyscy mieszkańcy Port Orlov, aby to sobie wyjaśnić, pod każdym względem. - Zaglądając do kartki, wymieniła po kolei wszystkich darczyńców, obywateli i biznesmenów, którzy ofiarowali swoje pieniądze, czas i wysiłek dla odnowienia totemu. Sklep żelazny ofiarował farbę i cement, skład drewna Growdona pracował nad odnowieniem drewna, miejscowa firma budowlana nadzorowała wykonanie nowej podstawy. Wiele innych osób dołożyło po pięć czy dziesięć dolarów. A bar „Yardarm” zafundował drinki na uroczystość odsłonięcia. - Ale tylko po jednym piwie na głowę - dodała z uśmiechem Nika.

Skończyła odczytywać listę i rozległ się umiarkowany aplauz, a gdy dała znak swojemu siostrzeńcowi Geordiemu, ten podszedł i wziął do ręki koniec sznura, który mocował żagiel na miejscu.

- Tak więc, bez dalszych wstępów, żebyśmy tu nie zamarzli, przyjrzyjmy się, co potrafimy zrobić, kiedy się wszyscy zmobilizujemy. Geordie, ciągnij!

. Geordie mocno szarpnął sznur, ale ku rozczarowaniu zebranych coś się zaczepiło. Zmienił pozycję, owinął sznurem nadgarstek i znów pociągnął, i tym razem żagiel pięknie zsunął się ze szczytu słupa totemicznego i z szelestem opadł wokół jego podstawy. W blasku reflektorów błysnęły świeżo odmalowane wydry, niedźwiedzie, lisy i wilki; ich białe zęby lśniły, futro miało soczyście brązową albo kruczoczną barwę, a niebieskie oczy głęboki metaliczny połysk.

Najpierw przez chwilę tłum milczał z uznaniem, a potem kibic Packersów wyrzucił w górę czapkę, wykrzykując motto stanu:

- Przez północ w przyszłość!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem i zaczęli bić brawo; nawet Slaterowi udzieliła się ogólna radość.

Podszedł do niego Kozak z darmowym piwem w dłoni i rzekł:

- Mimo wszystko, przed wyjazdem zrobię badania gruntu. Gratis.

Slater podziękował mu skinieniem głowy.

- Teraz prezentuje się bardzo pięknie - przyznał profesor.

Stojący kilka metrów dalej sierżant Groves pokazał mu dwa uniesione kciuki.

Nika odłożyła mikrofon, zniknęła za głośnikami i podłączyła do nich odtwarzacz CD.

Ale nie odezwali się już BlackEyed Peas.

Zabrzmiała pieśń tubylców, rytmiczny śpiew z cichym towarzyszeniem miarowego rytmu bębna. Na placu miasteczka zapadła pełna szacunku cisza, niektórzy starsi Innuici instynktownie pochylili głowy. Z zamkniętymi oczami, wzięwszy się pod boki, kołysali się lekko i przytupywali butami na śniegu. Wokół totemu zrobiło się pusto, a starsi i niektórzy z młodszych rdzennych Amerykanów zaczęli wolno tańczyć dokoła słupa. Starsze kobiety z szeroko rozpostartymi ramionami poruszały się jak jastrzębie szybujące na wietrze, mężczyźni człapali jak niedźwiedzie na lodzie. Wszyscy zrobili im miejsce, przyglądając się pradawnemu rytuałowi odprawianemu przy słupie totemicznym, czując moc, majestat i niewypowiedziany smutek tego tańca. To był niemal zapomniany ślad świata, który dawno odszedł, świata, którego koniec zaczął się w dniu, gdy pierwsi rosyjscy badacze wpłynęli na te wody w osiemnastym wieku.

Nikę też pochłonęła muzyka i taniec. Stała między głośnikami, kołysząc ramionami i zamykając oczy w mistycznym uniesieniu. Właśnie ta niezwykła więź sprowadziła ją z powrotem do Port Orlov i ta sama więź nie pozwoliła jej stąd wyjechać. Wróciła, aby ocalić tych ludzi, uratować od zagłady ich kulturę, a Frank, przyglądając się jej, wiedział, że nigdy nie będzie mogła z tego zrezygnować... nawet dla niego.

Wiedział też, że popełniłby błąd, gdyby kiedykolwiek o to poprosił.

Czar, jaki roztaczała muzyka, przerwały trzaski, światła w witrynach ulicznych nagle przygasły, by po chwili zupełnie się wyłączyć. Głośniki na ciężarówce prychnęły i umilkły, a latarnie na Front Street zgasły jedna po drugiej.

Slater domyślał się, co się dzieje.

Tancerze, tak jak wszyscy na placu, znieruchomieli i zadarli głowy, patrząc na znak, który ukazał się na niebie. Członkowie rady plemiennej zaczęli nucić i cicho śpiewać, a ich uniesione do góry twarze zalśniły od łez.

Na niebie rozwinęła się gigantyczna wstęga zielonego światła, gładka i połyskująca jak atlas... rozpościerając się coraz szerzej, jak kurtyna odkrywająca wyciemnioną scenę. Slater dopiero drugi raz w życiu widział zorzę polarną, ale nie wyobrażał sobie cudowniejszego i bardziej znaczącego momentu, w którym mogła się ukazać.

Zachwycona Nika zeskoczyła z ciężarówki i chwyciła go za rękę.

- Tylko mi nie mów, że to zaplanowałaś - powiedział, a ona się roześmiała.

- Chciałabym, ale jestem tylko burmistrzem, nie Bogiem - odrzekła.

Większość ludzi została na placu, ale niektórzy ruszyli nad brzeg, żeby obejrzeć zorzę nad wodą.

Nika, jak dziecko w wesołym miasteczku, pociągnęła Franka w stronę kapitanatu, a potem na przystań. Stanęli na samym końcu pomostu, sami, patrząc na migoczące niebo. Slater otoczył ją ramieniem, a ona przytuliła się do niego. Oglądali razem nocny spektakl: do zieleni dołączył teraz pełgający pomarańczowy płomień, który zaczął się spiralnie wznosić, jak kręte schody prowadzące prosto do raju. Wydawało się, jak gdyby nawet powietrze trzaskało od energii elektrycznej.

- Duchy się unoszą - powiedziała Nika z oczami błyszczącymi w pomarańczowym blasku.

Slater mógłby przysiąc, że słyszy dobiegający zza czarnego morza głos wilków, wyjących do nieba na Wyspie Św. Piotra.

- Idą do domu.

Wierzył w to. Światła przypominały niebiańskie stopnie i wyobrażał sobie, jak wreszcie wspina się po nich stara kobieta - Anastazja, Wielka Księżna Wszechrusi.

Wyobrażał sobie także inne rzeczy. Że zostaje w tym miasteczku z Niką, która już na zawsze mu towarzyszy. I że prowadzi przychodnię, której tak bardzo potrzebuje Port Orlov. Za długo próbował zbawić świat. Teraz skupi się na ocaleniu jego małej, często niedostrzeganej części.

Kiedy światła zgasły jak zduszona świeca i Nika w ciemnościach odwróciła do niego głowę, pochylił się, żeby ją pocałować. Wszystkie słowa, które chciał jej powiedzieć, ulotniły się, na wszystkie pytania miał już odpowiedź. Nie było potrzeby mówić.

Zauważył, że nawet wilki umilkły. Poza krzykiem myszołowa, niewidzialnego na ciemnym niebie, słycać było tylko głuche, jednostajne wycie wiatru.



Ciągle trzymając go za rękę, Nika ruszyła w stronę miasteczka, ale po kilku sekundach Slater przystanął i powiedział:

- Mam coś jeszcze do zrobienia.

Zaciekawiona Nika zatrzymała się, a Frank sięgnął do kieszeni po szmaragdowy krzyż i wrócił na nabrzeże.

Myszołów z krzykiem śmignął nad przystanią, ściskając w szponach rozpaczliwie wijącą się ofiarę.

Nika zobaczyła, jak Frank unosi rękę i usłyszała daleki plusk, a kiedy wrócił, nie pytała go, co zrobił. Nie musiała.

W miasteczku znów rozbłysły światła, a oni, idąc pod rękę, wracali razem do domu... Tymczasem myszołów przycupnął na dachu baru „Yardarm”, aby zjeść wywalczoną z niemałym trudem zdobycz - małą białą myszkę z pomarańczową plamką na grzbiecie i ogonie.

## **Posłowie**

Jak niektórzy czytelnicy zapewne zauważyli, autor powieści, przedstawiając realia Alaski, pozwolił sobie na pewną swobodę. Na żadnej mapie nie znajdziemy na przykład Wyspy Św. Piotra, miasteczka Port Orlov czy drogi prowadzącej z północnozachodniego wybrzeża bezpośrednio do Nome. Proszę potraktować tę drogę jako mój prezent dla mieszkańców Alaski.